



**SALLY BEAUMAN**



**KOCHANKOWIE I KŁAMCY**

**Cz. 1**

# *PROLOG*

## *CZTERY PACZKI*

Główna siedziba międzynarodowej firmy wysyłkowo-spedycyjnej, ICD - Intercontinental Deliveries - znajduje się w centrum Londynu, w City, niedaleko St Mary Axe. Sto lat temu dookoła sporego dziedzińca stała tu grupa domów przesiąkniętych wilgocią, przeżartych pleśnią i zatłoczonych do granic możliwości. Był wśród nich dom noclegowy dla marynarzy, burdel, a także gospoda, gdzie szklankę ginu można było kupić za dwa pensy. Te czasy dawno już jednak minęły - niewiele lat po zakończeniu drugiej wojny światowej wartość działek w tej części miasta zaczęła rosnąć, aż wreszcie osiągnęła obecną zawrotną wysokość, tak więc główne biuro ICD znajdowało się na piętnastym piętrze eleganckiej wieży ze stali i szkła.

Biuro obsługiwało pięć kontynentów. Wciąż powiększająca się flota samolotów, ciężarówek, półciężarówek oraz motocykli dostarczała pilne przesyłki i dokumenty do miejscowości na całym świecie.

Latem 1993 roku firma zamieściła w dzienniku „The Times” ogłoszenie, iż poszukuje pracownicy lub pracownika do recepcji. W rezultacie zwycięską kandydatką okazała się dziewczyna imieniem Susannah, charakteryzująca się skłonnością do sweterków-bliźniaków i biżuterii z perłami. Susannah posiadała dyplom kursu układania kwiatów ze szwajcarskiej szkoły dla dobrze urodzonych pań, hojne kieszonkowe na stroje, fundowane przez tatusia biznesmena, oraz doskonały, budzący podziw brytyjski akcent.

Gdyby zalety Susannah były natury głównie dekoracyjnej, wydarzenia, o których będzie tu mowa, mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej. Na szczęście Susannah okazała się inteligentną, szybką i sprawną recepcjonistką, dla której praca na komputerze nie przedstawiała żadnych trudności. Poza tym, co w gruncie rzeczy było jeszcze ważniejsze, Susannah dowiodła, iż może się poszczycić niezawodną pamięcią - w przeciwieństwie do większości świadków, dokładnie i wyraźnie zapamiętała to, co się wydarzyło.

W pierwszych dniach stycznia 1994 roku właśnie Susannah, po przedłużonej przerwie gwiazdkowo-noworocznej, przyjęła do wystania cztery identyczne przesyłki i to ona, pierwszego dnia pracy, o godzinie dziewiętej trzydzieści rano, odebrała dziwny i niezwykle istotny telefon od nadawczym paczek.

Był wtorkowy ranek. Zanosiło się na śnieg, ciche City ziało jeszcze pustkami, Susannah nie spodziewała się zatem tłumu klientów. Obchody Nowego Roku przypadły w weekend, więc poprzedni dzień, poniedziałek, był wolny. Całe dwadzieścia cztery godziny, wyrwane z nudnego biurowego życia, pomyślała Susannah, ziewając i przeciągając się. Nie miała powodu do narzekań, ponieważ dzięki długiemu weekendowi mogła o kilka godzin przedłużyć swój wypad na narty do szwajcarskiego Gstaad.

Zrobiła sobie kawę, przywitała się z kilkoma spóźnionymi pracownikami działu księgowości, ułożyła świeże kwiaty, które zawsze miała na biurku i bez wielkiego zapachu zabrała się do przeglądania grudniowego numeru „Vogue”.

Nie mogła oderwać myśli od zaśnieżonych górskich zboczy i pewnego młodego biznesmena, który w nieustraszony sposób pokonywał najtrudniejsze fragmenty narciarskich tras, wykazując się godnymi pozazdrosczenia umiejętnościami. Susannah poznała go dopiero teraz, w *chalet* swoich rodziców, chociaż mniej więcej dziesięć lat wcześniej razem z jej starszymi braćmi uczęszczał do elitarniej męskiej szkoły z internatem w Eton. Zastanawiała się, czy zgodnie z obietnicą skontaktuje się z nią, żeby umówić się na lunch. Kiedy dokładnie o dziewiętej trzydzieści zadzwonił telefon, szybko podniosła słuchawkę, ale nie był to jej nowy znajomy. Usłyszała miękki, kobiecy głos. Cóż, najwyraźniej sprawa służbowa... Spojrzała na zegarek i odnotowała rozmowę.

Większość przesyłek dla ICD zgłaszały sekretarki, więc początkowo nie miała powodu do zdumienia, oczywiście jeśli nie liczyć głosu kobiety, który był dość niski, melodyjny, o akcencie bardzo zbliżonym do tego, z jakim ona sama mówiła. Susannah nigdy w życiu nie przyznałaby się do snobizmu, gdyby komuś przyszło do głowy oskarżyć ją o coś takiego, podobnie jak większość Anglików była jednak w pełni świadoma, więcej - wyczulona, na subtelne i wiele mówiące modulacje tonu oraz akcentu. Natychmiast zareagowała na fakt, iż rozmówczyni najwyraźniej należała do

tej samej grupy społecznej co ona, później okazało się to zresztą bardzo istotne. Jako świadek Susannah od samego początku była czujna i skupiona.

Po paru zdaniach zauważyła, że kobieta mówi w dziwny, jakby pełen wahania sposób.

- Nie wiem, czy są państwo w stanie doręczyć cztery paczki, które chcę wysłać... - przemówiła takim tonem, jakby podejrzewała, że podobna prośba raczej nie zostanie spełniona.

- Oczywiście - odparła Susannah. - Gdzie mają dotrzeć?

- Jedna do Paryża - rzekła kobieta. - Jedna do Nowego Jorku...

- Miasta czy stanu? - zapytała Susannah.

- Och, chodzi mi o miasto... Tak, ta paczka musi zostać doręczona pod adres na Manhattanie... Trzecia do Londynu, a czwarta do Wenecji... - W głosie zabrzmiała przepraszająca nuta, zupełnie jakby Wenecja była wioską w dalekim Tybecie lub osadą pod kołem polarnym. - Czy jest to możliwe?

- Naturalnie. Nie ma najmniejszego problemu.

- Och, cudownie... - Kobieta odetchnęła z ulgą. - Zupełnie niesamowite... Pewna trudność może jednak polegać na tym, że te cztery przesyłki muszą być dostarczone jutro rano, nie później...

Ponieważ taki termin nie był żadnym wygórowanym żądaniem, przez głowę Susannah przemknęła myśl, że może ktoś próbuje zrobić jej kawał.

- Mogę to pani zagwarantować pod warunkiem, że nasze biuro przyjmie przesyłki przed szesnastą - powiedziała nieco chłodniej niż poprzednio.

- Och, na pewno będą u was jeszcze przed południem...

- Może życzy sobie pani, żeby zgłosił się po nie kurier?

- Kurier? - Kobieta zawahała się chwilę, potem Susannah usłyszała jej cichy śmiech. - Nie, to nie będzie konieczne, sama przywiozę je do waszego biura, sądzę, że koło jedenastej...

Na tym etapie rozmowy Susannah doszła do wniosku, że ma do czynienia z dziwaczką. Kobieta mówiła tak, jakby była pod wpływem jakichś środków odurzających lub wielkiego napięcia. Susannah zaczęła dopytywać się o szczegóły

związane z wysyłką, a wtedy jej rozmówczyni - w każdym razie tak Susannah później relacjonowała - zaczęła zachowywać się jeszcze dziwniej.

- Wielkość paczek? - zapytała Susannah.

- Słucham?

- Wielkość, wymiary. Chodzi o to, że jeżeli są wyjątkowo duże lub ciężkie, muszę uprzedzić kurierów i przewoźników.

- Och, nie, nie są duże... - W głosie zabrzmiało zabarwione urazą zdziwienie. - Są lekkie, bardzo lekkie... W żadnym razie nie ciężkie...

- Zawartość?

- Nie rozumiem...

- Musimy dołączyć formularze deklaracji celnych do trzech przesyłek zagranicznych - wyjaśniła Susannah. - Głównie z powodu ustawy antynarkotykowej. Właśnie dlatego pytam o zawartość paczek.

- Och, naturalnie... - Kobieta wydawała się lekko rozbawiona. - Cóż, z pewnością nie wysyłam kokainy, a gdybym zamierzała to zrobić, na pewno nie korzystałabym z usług firmy wysyłkowej... Ale oczywiście rozumiem, w czym rzecz... Zawartość... Tak... Czy może pani wpisać: Podarunki?

- Obawiam się, że potrzebna mi będzie bardziej konkretna informacja.

- Tak... Prezenty urodzinowe? Susannah z irytacją przygryzła dolną wargę.

- Trochę bardziej szczegółowo, jeżeli można... Słodyczne, książki, konfekcja, zabawki - coś w tym rodzaju...

- Och, w takim razie to nic trudnego... Prezenty urodzinowe - odzież... Tak, proszę to wpisać.

- Na wszystkich formularzach dla przesyłek zagranicznych?

- Tak. - Kobieta znowu roześmiała się cicho. - Zabawne, prawda? Wygląda na to, że wszyscy moi najbliżsi przyjaciele urodzili się pod znakiem Koziorożca...

Susannah wykrzywiła się do komputera i zaczęła przeglądać na monitorze rozkład lotów oraz połączenia kurierskie. Obserwując pojawiające się na ekranie godziny i dane, zapytała o następne szczegóły: adres nadawcy, adresy odbiorców, sposób zapłaty za usługę. Rozmówczyni przerwała jej uprzejmie.

- Och, te informacje mogą chyba poczekać do chwili, gdy dostarczę przesyłki...

- Doskonale. Woli pani zapłacić czekiem czy kartą kredytową? Mogłabym zapisać teraz podstawowe dane...

- Gotówką. - W głosie kobiety po raz pierwszy pojawiła się zdecydowana, twarda nuta. - Zapłacę rachunek gotówką.

Klienci niezwykle rzadko płacili teraz gotówką, więc nic dziwnego, że właśnie w tej chwili dziewczynę ogarnęły poważne wątpliwości.

- Dobrze - powiedziała. - Proszę podać mi tylko nazwisko i telefon kontaktowy...

- Muszę teraz wyjść. Bardzo pani dziękuję, ogromnie mi pani pomogła.

Nie wdając się w żadne wyjaśnienia, kobieta odłożyła słuchawkę.

Susannah westchnęła. Była mocno zirytowana. Podejrzewała, że „transakcja” na tym się skończy i była przekonana, że klientka nie pojawi się w biurze. Cała rozmowa była zwykłą stratą czasu.

Wkrótce okazało się jednak, że Susannah bardzo się myliła.

Punktualnie o jedenastej drzwi łączące siedzibę ICD z holem otworzyły się i do recepcji weszła najpiękniejsza kobieta, jaką Susannah kiedykolwiek widziała. Dziewczyna od razu pomyślała, że musi to być modelka, chociaż nie rozpoznała jej twarzy. Ze wszystkich sił usiłowała nie gapić się na przybyłą, lecz niezwykła uroda, wdzięk i kosztowna elegancja stroju nie pozwoliły jej oderwać wzroku od młodej kobiety. Później była w stanie dokładnie opisać klientkę, co prawdopodobnie było od początku zamierzone.

Kobieta miała blisko metr osiemdziesiąt wzrostu i była cudownie smukła. Jej krótko obcięte włosy stanowiły niezwykle, fascynujące połączenie kolorów złocistego i srebrzystego, możliwe do osiągnięcia jedynie wtedy, gdy naturę wspomóż drogi fryzjer. Nie potrzebowała makijażu i nie miała go. Jej skóra była opalona, oczy szafirowobłękitne, zęby białe i idealnie równe, uśmiech ciepły.

Na przegubie ręki nosiła złoty, masywny zegarek od Cartiera na pasku z zielonej krokodylej skóry, w którym Susannah z punktu się zakochała. Na ramiona narzuciła najpiękniejsze futro na świecie, futro, przez które Susannah pośpiesznie zrewidowała wszystkie swoje twarde zasady, dotyczące ochrony malutkich kudłatych

zwierzątek - to futro, sięgające kostek i luksusowe do granic możliwości, wykonano ze skórek soboli.

Pod futrem kobieta od stóp do głów ubrana była w arcydzieła od Chanel, Susannah nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości ani w tamtej chwili, ani później. Był to kostium z miękkiego beżowego tweedu, uwieczniony na okładce tego wydania „Vogue”, które Susannah właśnie skończyła przeglądać. Susannah zapamiętała także wszystkie dodatki, również widoczne na zdjęciu w „Vogue” - od klasycznych i bardzo niepraktycznych dwubarwnych czólenek po podwójny sznur prawdziwych, starannie dobranych pod względem wielkości pereł. Perły ze zdjęcia otaczały szyję klientki, Susannah zaś na ich widok natychmiast przypomniała sobie, że zgodnie z opisem w magazynie mody pochodziły z salonu jubilerskiego Bulgari i kosztowały ćwierć miliona funtów.

Kobieta przytrzymała ramieniem cztery identyczne małe paczki, owinięte w taki sam papier, lecz różniące się wagą. Szybko przekazała je recepcjonistce, podając wszystkie potrzebne informacje. Susannah pośpiesznie wpisała je do komputera:

*Nazwisko i adres nadawcy:*

Pani J.A. Hamilton

132 Eaton Place

LONDYN SW1

Tel. 071.750.0007

*Nazwiska i adresy odbiorców:*

1) Pan Pascal Lamartine

Atelier 5

13, rue du Bac

PARYŻ 56742

2) Pan Johnny Appleyard

Apt. 15, 31 Gramercy Park

NOWY JORK 10003

NY



3) Pan James McMullen  
6, Palazzo Ossorio  
Calle Streta Campiello Albrizzi  
WENECJA 2361

4) Panna Genevieve Hunter  
56 Gibson Square,  
1 LONDYN N1

Łączna opłata za doręczenie czterech przesyłek wyniosła 175 funtów i 50 pensów. Kobieta wyjęła banknoty z nowiuteńskiego portfela firmy Vuitton, a pięćdziesięciopensową monetę z nowiuteńskiej portmonetki tej samej firmy. Uprzejmie podziękowała miłym, niskim głosem i mniej więcej dziesięć minut po przybyciu opuściła główną siedzibę ICD.

Później, kiedy okazało się, że transakcja była czymś więcej, niż się mogło wydawać - jeden z odbiorców już nie żył, a urodziny żadnego z pozostałych nie przypadły na styczeń - Susannah bynajmniej nie poczuła się zaskoczona. Oświadczyła, że już przyjmując przesyłki, zwróciła uwagę na parę innych dziwnych rozbieżności.

Po pierwsze, klientka w sobolach podała się za panią J.A. Hamilton, ale nie nosiła obrączki. Po drugie, twierdziła, że jest tą samą osobą, która telefonowała do biura rano, a było to oczywistym, absurdalnym kłamstwem. Kobieta, z którą Susannah rozmawiała o dziewiątej trzydzieści z całą pewnością była Angielką, podczas gdy piękność w kosztownym futrze ponad wszelką wątpliwość była Amerykanką.

- I było to dziwne... - oświadczyła Susannah, marszcząc brwi.

Odwróciła się od dwojga rozmówców i utkwiała wzrok w oknie, w rysujących się ostro na tle nieba wieżowcach City.

- Dlaczego dziwne? - zapytała jedna z tych osób.

- Ponieważ ta niezgodność rzuciła się w oczy, a raczej w uszy, i była zupełnie niepotrzebna - odparła Susannah. - Zupełnie jakby ona już wtedy wiedziała...



- Wiedziała o czym?

- Że ktoś będzie mnie wypytywał o tę transakcję. Nie rozumiecie? To niesamowite futro i cały strój... Dwie różne kobiety, podające się za jedną... Kimkolwiek była, nie wątpię, że zależało jej, bym to wszystko zapamiętała...

Przerwała. Jej goście wymienili spojrzenia.

- Dlaczego miałyby jej na tym zależeć? - zapytała Susannah.



# *CZEŚĆ PIERWSZA*

## *CZTERY PRZESYŁKI*

### *I*

*PASCAL LAMARTINE*

Przesyłkę doręczono parę minut po dziewiątej. Pascal Lamartine, i tak już spóźniony na umówione spotkanie, podpisał formularz, potrząsnął paczką i położył ją na stole. Doszedł do wniosku, że nie jest to nic ważnego, więc otworzy później. Na razie walczył z kilkoma czynnościami równocześnie - parzył kawę, pakował się, sprawdzał pokrowce na aparaty fotograficzne oraz, co było najtrudniejsze, namawiał córeczkę Marianne, żeby wreszcie zjadła jajko na miękko.

Przesyłki, zdaniem Pascala, dzieliły się na dwie kategorie. Jeżeli były płaskie, zawierały zdjęcia i mogły być pilne, jeżeli nie były płaskie, zawierały inne, najczęściej zupełnie niepotrzebne i mało ważne rzeczy, na przykład jakieś materiały promocyjne. Siedmioletnia Marianne prezentowała w tej sprawie całkowicie odmienny punkt widzenia - jej paczki kojarzyły się z Bożym Narodzeniem lub urodzinami i zwiastowały mnóstwo przyjemności. Kiedy Pascal skończył się pakować, zaparzył kawę i wrócił do stołu, zobaczył Marianne, trzymającą w ręku jego przesyłkę. Jajko - mało apetyczne, musiał to uczciwie przyznać, ale cóż, niewiele mógł teraz poradzić na to, że nie potrafi przyrządzić nawet najprostszycy potraw - nadal tkwiło w kieliszku, oczywiście nietknięte.

Marianne obejrzała paczkę, dotknęła sznurka i podniosła na ojca wyczekujące spojrzenie.

- Prezent - powiedziała. - Popatrz, tatusiu, ktoś przysłał ci prezent. Powinieneś go natychmiast otworzyć...

Pascal uśmiechnął się, skupiony na mieszaniu kawy i mleka w odpowiednich, akceptowanych przez Marianne proporcjach. Napój musiał być bardzo mleczny i słodki, podany w tradycyjny francuski sposób, w miseczce. Miseczka, którą Marianne dostała od matki Pascala i którą uwielbiała, była zielona, ozdobiona porcelanową

figurką kogucika siedzącego na brzegu. Należało ustawić ją na stole w taki sposób, żeby kogut znalazł się naprzeciwko Marianne. Dziewczynka wykazywała czasami skłonność do pedanterii, co niepokoiło Pascala. Obawiał się, że może to być rezultat jego bolesnego rozvodu. Wrzucił do miseczki trzy kostki cukru, zamieszał kawę i podsunął miseczkę Marianne. Ze smutkiem spojrzął na nadpękniętego kogucika - miseczka miała już ponad trzy lata i była pamiątką po matce Pascala, która nie żyła od prawie roku.

- Obawiam się, że nie jest to prezent, kochanie - powiedział, siadając. - Od dawna nie dostaję prezentów, na pewno dlatego, że jestem już bardzo, bardzo stary...

Opuścił ramiona, zgarbił się, zrobił melancholijną minę i przybrał postawę nieszczęśliwego, stojącego na krawędzi grobu starca. Marianne się roześmiała.

- Ile masz lat? - zapytała, nadal przyglądając się paczce.

- Trzydzieści pięć. - Pascal przez chwilę opierał się pokusie, lecz w końcu zapalił papierosa. Westchnął. - Na wiosnę skończę trzydzieści sześć. Jestem stary jak egipskie piramidy...

Marianne się zamyśliła. Lekko wydeła wargi, ściągnęła brwi. Pascal uświadomił sobie, że dla jego córki trzydzieści pięć lat to z pewnością bardzo podeszły wiek. Mój ojciec, Matuzalem... Lekko wzruszył ramionami. Dla Marianne wiek był nagim faktem, pozbawionym okoliczności czy konsekwencji. Dziewczynka była jeszcze za mała, aby kojarzyć starzenie się z chorobą czy śmiercią.

- Jajko niezbyt mi się udało, prawda? - Uśmiechnął się. - Nie zjadaj go na siłę, lepiej weź się za kanapkę...

Marianne rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie i ugryzła kęs świeżego chleba z masłem i dżemem truskawkowym, który natychmiast przylgnął do jej podbródka, ręki oraz obrusa. Pascal wyciągnął rękę nad stołem i delikatnie przeniósł odrobinę dżemu na czubek nosa Marianne. Dziewczynka zachichotała. Chwilę z wyraźną przyjemnością przeżuwała kanapkę, a potem przesunęła paczkę w stronę ojca.

- To naprawdę może być prezent - powiedziała poważnie. - Jakiś przyjemny podarunek. Nigdy nie wiadomo... Otwórz, tato, proszę, zanim wyjdziemy...

Pascal spojrział na zegarek. Miał dokładnie godzinę, aby odwiedzić Marianne do jej matki na odległe przedmieście Paryża, przedrzeć się do centrum w porze najgorszych korków, zdążyć na spotkanie z Francoise i wręczyć jej nowy komplet zdjęć. Jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, powinien bez specjalnych trudności dojechać na lotnisko de Gaulle'a i wsiąść do samolotu, odlatującego do Londynu parę minut po dwunastej w południe. Zawahał się: powinni byli wyjść dziesięć minut temu...

Z drugiej strony, ładna walizeczka Marianne, ta sama, którą niedawno kupił jej w prezencie, była już spakowana. Cała menażeria pluszowych misiów i królików, razem ze smutnym kangurkiem, bez którego jego córeczka nie potrafiła zasnąć, czekała w holu. Pascal nienawidził sprawiać Marianne rozczarowań, zwłaszcza w chwilach, kiedy patrzyła na niego z taką nadzieją i wyczekiwaniem.

- Dobrze - powiedział. - Zajrzyjmy do środka...

Przysunął paczkę i spojrział na nią. Dopiero teraz zauważył, że wcale nie wygląda na jedną z przesyłek promocyjnych. Świeży, brązowy papier okrywał jakieś pudełko. Lekkie. Zgrabna paczka, dwadzieścia centymetrów wysokości. Sznurek, którym ją obwiązano, w kilku miejscach tworzył zalane czerwonym woskiem węzły. Pascal od lat nie widział i nie dostał podobnej paczki. Jego nazwisko i adres ktoś starannie wypisał drukowanymi literami, wiecznym piórem, co było dość niezwykle.

Starał się nie okazać zaskoczenia, lecz później, wracając myślami do tej chwili, zdał sobie sprawę, że musiał poruszyć się zbyt szybko, zbyt gwałtownie odsunąć krzesło od stołu. Niewykluczone, że zbladł. Tak czy inaczej, na pewno jakoś zareagował, bo Marianne wyczuła jego poruszenie. Posiadała typową dla jedynaków wrażliwość na niuanse, szósty zmysł, wyczulony przez lata kłótni między rodzicami, które zawsze odbywały się za zamkniętymi drzwiami, lecz mimo wszystko przenikały poza nie. Teraz, kiedy niedbale podniósł paczkę i ruszył z nią ku drzwiom, Marianne popatrzyła na niego niepewnie, z zachmurzoną buzią.

- Co się stało, tatusiu?

- Nic, kochanie, nic. - Starał się mówić zupełnie spokojnie. - Właśnie się zorientowałem, która godzina, to wszystko. Biegnij po płaszczyk, dobrze?

Siedziała dłuższą chwilę, nie spuszczać z niego oczu. Obserwowała, jak opiera na brzegu popielniczki zapalonego papierosa i kładzie paczkę na blacie z nierdzewnej stali, służącym do krojenia i osuszania warzyw. Przyglądała się, jak rozkręca kran nad zlewem. I w końcu, nagle posłuszna, wstała ze swojego krzeselka.

Kiedy się obejrzał, była znowu w kuchni, tym razem trzymając płaszczyk. Stała na środku dużego pomieszczenia i patrzyła na niego, a wpadające przez wysokie okna słońce rozświetlało jej włosy.

Na twarzy miała wyraz, którego Pascal nie widział od miesiący i nie spodziewał się teraz ujrzeć, a który wyraźnie mówił, wręcz krzyczał, o zagubieniu i poczuciu winy. Kiedyś obiecał sobie, że postara się, aby po rozwodzie nigdy więcej nie budzić w niej tych uczuć. Zostawił paczkę i szybko podszedł do córki. Pocałował ją w czubek głowy, objął ramieniem i delikatnie skierował ku drzwiom. Dziewczynka przystanąła w progu i spojrzała na niego z zaniepokojeniem.

- Coś się stało - powiedziała. - Co zrobiłam, tato?

To pytanie uderzyło Pascala w samo serce. Często zastanawiał się, czy taki właśnie jest los wszystkich dzieci rozwiedzionych rodziców - iść przez życie, obwiniając się za cudze nieszczęścia i błędy.

- Nic nie zrobiłaś, kochanie - rzekł, przytulając ją do siebie. - I nic się nie stało. Mówiłem ci już, że jesteśmy spóźnieni i dosłownie przed paroma sekundami uświadomiłem sobie jak bardzo, to wszystko. Posłuchaj, Marianne... - Otworzył drzwi na klatkę schodową i spokojnie wyprowadził małą na zewnątrz. - Otworzę tę głupią paczkę później, po powrocie z Londynu, a jeżeli będzie w niej coś ciekawego, od razu zadzwonię i wszystko ci opowiem, obiecuję. Włóż płaszczyk, dobrze? Zaraz, zaraz, co my tutaj mamy? Jeden miś, jeden królik, jeden kangurek... Mam pomysł! Zejdź na parter i zaczekaj tam na mnie, w porządku? Tylko nie wychodź na ulicę, zaczekaj w holu. Za sekundę do ciebie zejdę, muszę jeszcze zabrać parę papierów i bilet na samolot...

Podziałało. Buzia Marianne się wypogodziła.

- Mogę zajrzeć do pani LaValle i przywitać się z nią, tak jak ostatnim razem?

Pascal uśmiechnął się, błogosławiąc w duchu przyjaźnie nastawioną do ludzi dozorczynię, która bardzo lubiła jego córeczkę.

- Oczywiście, kochanie. Przedstaw jej zwierzątka, na pewno będzie zachwycona...

Marianne skinęła głową i pobiegła na dół. Pascal chwilę nasłuchiwał. Słyszał kroki córki, potem skrzypnięcie otwieranych drzwi i głos pani LaValle.

- Mój Boże, a cóż to takiego? Króliczek, niedźwiadek i... *Mon Dieu*, pierwszy raz w życiu widzę takie dziwne zwierzę!

- To kangur, *madame*. - Jasny głosik Marianne brzmiał czysto i wyraźnie. - Widzi pani, tu ma kieszeń, bo kangury noszą swoje dzieci w kieszeniach, zawsze przy sobie...

Pascal zamknął drzwi i otarł pot z czoła. Wrócił do kuchni i stanął przy blacie, patrząc na starannie zapakowaną przesyłkę, obwiązaną lakowanym sznurkiem. Przed pięciu laty robił fotoreportaż o Organizacji Wyzwolenia Palestyny, przed sześciu był w Irlandii Północnej. Teraz jego praca wyglądała inaczej, lecz czujność, kiedyś niezbędna, pozostała.

Ostrożnie oparł dłoń na wierzchu paczki. Przesunął palcami po powierzchni papieru, szukając ostrych krawędzi i twardych nitok drutu. Niczego nie wyczuł. Odwrócił paczkę do góry dnem, zawahał się i w końcu sięgnął po najostrzejszy kuchenny nóż. Przeciął sznurek w czterech miejscach i zsunął go z papieru.

Nic. Przyszło mu do głowy, że zachowuje się głupio, a jego podejrzliwość jest nieuzasadniona. Ale dlaczego nazwisko i adres wypisano atramentem? Podniósł dłoń, sprawdzając, czy na czubkach palców nie ma granatowych plam, ale nie. Zmarszczył brwi i pomyślał o fotografiach w teczce, które czekały na dostarczenie.

Aby je zrobić, musiał włożyć kombinezon w stapiających się z terenem kolorach i przczołgać się pięćset metrów przez gęste krzaki, porastające pewną posiadłość w Prowansji. Miał ze sobą telefotograficzny obiektyw 1200 mm, który ważył ponad dziesięć kilogramów, oraz specjalny niski statyw, wykonany na jego zlecenie. Dzięki obu tym sprzętom mógł liczyć na wyraźne, ostre zdjęcia, zrobione niczego nie podejrzewającej osobie z odległości trzystu metrów. Kiedyś Pascal był fotoreporterem wojennym i teraz zdobyte wtedy doświadczenie wykorzystywał w innych celach. Kim teraz był? Cóż, był zwykłym paparazzi, człowiekiem nie zasługującym na szczególną uwagę, a już na pewno nie na to, aby wysyłać mu bombę. Nagle

ogarnęła go nienawiść do samego siebie, wstępn i wstyd. Szybkim ruchem zerwał z paczki brązowy papier i podniósł przykrywkę.

To, co znalazł w środku, ułożone na grubej warstwie bibułki, było dziwne i wydało mu się zupełnie pozbawione sensu czy jakiegokolwiek znaczenia. W pudełku nie było żadnej karteczki, spoczywało tam tylko coś, co Pascal w pierwszej chwili wziął za kawałek materiału.

Wyjął to i ze zdumieniem spostrzegł, że trzyma w ręku nie tkaninę, lecz skórę, najdelikatniejszą, mięciutką skórę najlepszego gatunku. Rzecz, której przeznaczenia na początku nie mógł odgadnąć, okazała się damską rękawiczką.

Rękawiczką z lewej dłoni, zupełnie nową, w każdym razie tak myślał do chwili, kiedy dostrzegł ledwo widoczne załamania, wskazujące na to, że rękawiczka jednak była noszona, a ręka, którą okrywała, co najmniej kilka razy mocno się zacisnęła. Rękawiczka była wąska, na smukłą dłoń. Wieczorowa, długa aż do łokcia.

Pascal przyglądał się jej, nie wiedząc, co myśleć. Czy przesłanie, jakie z sobą niosła, miało mówić o chęci uwiedzenia, czy o groźbie? Czy była to wskazówka, czy żart? Już miał wrzucić ją z powrotem do pudełka, ale pobudzona ciekawość skłoniła go, żeby przyjrzeć się jej uważniej. Przycisnął ją do wierzchu dłoni i poczuł, że przesuwana się po skórze tak lekko i gładko, jakby została nasączona olejem. Potem podniósł ją do twarzy i powąchał.

Wydzielała niepokojący, intensywny zapach. Pascal czuł aromat damskich perfum, a pod nim, w tle, nie do końca zamaskowany przez ambre, rozmytą zapachem futra i jedwabiu, inny, bardziej codzienny i przyziemny, już nie tyle aromat czy zapach, lecz odór. Może ryby, może potu - nie był pewny. Nagle miękka rękawiczka wydała mu się obrzydliwa, odstręczająca.

Rzucił ją na bibułkę. Jest późno, pomyślał, znowu zerkając na zegarek. Spóźni się przez tę przeklętą paczkę...

Chwycił teczkę, torby z aparatami fotograficznymi i niewielką, mocno podniszczoną walizkę, do której byle jak spakował na chybił trafił wybrane rzeczy. Kiedy otworzył drzwi mieszkania, z dołu dobiegł go głos córki. Tydzień do następnego spotkania, pomyślał. Ogarnęła go fala miłości i czułości tak boleśnie dojmującej, że na chwilę zamarł bez ruchu.



Stał na podeście schodów i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w dachy innych domów i blade, ołowiane niebo. Deszcz dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj - wlokąca się bez końca zima. Oby wreszcie nadeszła wiosna, pomyślał z gwałtowną, namiętą tęsknotą, i przez parę sekund czuł ją na skórze, czuł łagodny dotyk wszystkich wiosen swego dzieciństwa i wczesnej młodości, widział pola, winnice oraz dębowe lasy. Słyszał głos matki, wołającej go do domu pod koniec złocistego długiego popołudnia i patrzył na rzekę, zygzakami przecinającą niżej położoną dolinę...

Teraz dom był sprzedany, a matka nie żyła. Minęło wiele lat od czasu, gdy nadejście wiosny napępiało go nadzieją i uczuciem radosnego oczekiwania.

Nostalgia oznaczała słabość, więc Pascal szybko zatrzaskał ją za drzwiami. Z parteru wołała go Marianne. Zarzucił na ramię paski wszystkich podróżnych toreb, odwrócił się i zbiegł po schodach.

## II

### **JOHNNY APPLEYARD**

Budynek, w którym mieszkał Johnny Appleyard, stał na południowo-zachodnim rogu Gramercy Park. Był wysoki, utrzymany w pseudogotyckim stylu, z wieżyczkami. Julio Severas, kurier firmy ICD obsługujący tę część Nowego Jorku, dotarł tam tuż przed dziesiątą rano.

Dzień był pogodny i zimny. W nocy spadł śnieg, ale chodnik przed domem był starannie zamieciony. Julio przystanął na chwilę, żeby przyjrzeć się masywnemu portykowi i schodom z lśniącego marmuru. Lubił swoją pracę - dawała mu możliwość obserwacji, jak żyje druga połowa ludzkości.

Wchodząc do holu, z wielkim zainteresowaniem rozejrzał się dookoła. Ciemna boazeria na ścianach, witrażowe okno... Dziwne, pomyślał, trochę jak w kościele.

Portier, Grek, nie zdradzał ochoty do rozmowy. Zaprowadził Julia do windy, również wyłożonej ciemną boazerią, z wąską, obitą skórą ławeczką. Winda była uruchamiana ręcznie i Julio ze zdumieniem przyglądał się, jak portier ze znajomością rzeczy manewruje liną. Rozległ się zgrzyt maszynierii, brzęk uderzenia balastowych ciężarków i kabina sprawnie pomknęła w górę.

- Niezły system - odezwał się Julio z podziwem. - Bez prądu, prawda?

Greki wskazał wypolerowaną na błysk mosięzną tabliczkę z napisem: WINDY OTISA 1908.

- Oryginalna - powiedział. - Ręcznie obsługiwana i całkowicie bezpieczna. W Nowym Jorku to unikat.

- Prawdziwy antyk, co? - Julio się ucieszył i postanowił opowiedzieć o windzie swojej żonie, którą także fascynowały szczegóły stylu życia bogaczy. - Ekskluzywny budynek. Na pewno tylko dla bardzo zamożnych... - dorzucił, kiedy mężczyzna zatrzymał windę.

Greki spojrzał na niego wyniośle i gestem ponaglił do wyjścia. Julio wyszedł wprost na wypolerowany parkiet i stanął naprzeciwko wysokich mahoniowych drzwi. Portier zadzwonił. Zza drzwi niósł się hałaśliwy rytm rockowej muzyki.

Julio westchnął i podjął jeszcze jedną próbę.

- Mieszka tu mnóstwo sław, co? - zagadnął. - Może gwiazdy rocka? Aktorzy i artyści?

Portier pogardliwie wzruszył ramionami.

- Powiedziałem już, że pana Appleyarda nie ma, prawda? - westchnął. - Więc jak, chcesz zostawić tę paczkę u mnie?

- Nie - odparł Julio, postanawiając wziąć odwet przynajmniej w ten sposób. - Nie chcę.

Portier podniósł rękę, żeby jeszcze raz nacisnąć dzwonek, ale zanim to zrobił, drzwi otworzyły się nagle i stanęła w nich śliczna dziewczyna, otoczona obłoczkami mocnego zapachu olejku różanego i od stóp po szyję spowita w biały szlafrok. Na widok obu mężczyzn jej twarz posmutniała.

- Och, myślałam, że to Johnny... - zaczęła niskim, zachrypniętym głosem.

Julio zamrugał. Popatrzył uważniej i uświadomił sobie swoją pomyłkę. Miał przed sobą nie młodą kobietę, lecz młodą dziewczynę, chłopca o oliwkowej skórze, oczach koloru fiołkowych hiacyntów i sięgających ramion, wijących się jasnych włosach. Jeden wilgotny lok przyłgął do mokrej szyi młodzieńca, który w prawym uchu nosił złoty kolczyk, a na przegubie prawej dłoni wąską złotą bransoletę. Chłopak miał około dwudziestki, był wysoki, szczupły i naprawdę piękny. Jego płęć zdradzała

jedynie niska barwa głosu. Gdyby Julio zobaczył go na ulicy, nigdy by nie zgadł, że ma do czynienia z mężczyzną. Jezu Chryste, pomyślał, mocno się czerwieniąc. Szybko spuścił oczy i utkwiał wzrok w bosych stopach chłopca.

- Przesyłka dla pana Appleyarda - aroganckim tonem oznajmił Grek, wskazując kciukiem stojącego obok Julia. - Mówiłem mu już, że pana Appleyarda nie ma, tak? Nie widziałem go od ładnych kilku dni...

W głosie mężczyzny zabrzmiała złośliwa nuta. Kiedy Julio podniósł wzrok, zobaczył, że chłopiec zarumienił się i z trudem powstrzymuje łzy.

- W tej chwili go nie ma - powiedział obronnym tonem. - Ale wkrótce się go spodziewam. Może wrócić po południu albo wieczorem... - Wyciągnął smukłą rękę po paczkę. - Wezmę ją i oddam Johnny'emu, kiedy tylko wróci. Mam podpisać?

Julio podał mu przesyłkę. Młody człowiek miał wiejski akcent, rozwlekał wyrazy, a niektórych końcówek w ogóle nie wymawiał. Dzieciak niedawno przyjechał ze Środkowego Zachodu, pomyślał Julio. Chłopak oglądał paczkę z dzieciinną ciekawością, obracając ją w dłoniach. Potrząsnął nią lekko i ze zmarszczonymi brwiami odczytał opis zawartości na formularzu.

- Artykuły odzieżowe... Podarunek urodzinowy... Podarunek urodzinowy? - powtórzył niepewnie. - Johnny ma urodziny w lipcu... Jest Lwem, tak jak ja. Ktoś pośpieszył się o sześć miesięcy. Dziwne...

Jeszcze raz potrząsnął paczką. Wewnątrz coś zaszeleściło. Julio spojrzął na portiera.

- Pan Appleyard mieszka tutaj? - zapytał.

- Jasne. Stevey jest jego lokatorem, prawda, Stevey? - Grek uśmiechnął się szeroko. - Stevey mieszka tu od trzech, może czterech lat i pięknie opiekuje się panem Appleyardem, a kiedy go nie ma, pilnuje mieszkania...

Kurierowi zrobiło się żal chłopca. Insynuacja w tonie portiera była zupełnie wyraźna - nieuprzejmość nabrała teraz barwy bezczelności. Grek zakołysał się na piętach, z sarkastycznym uśmiechem mierząc Steveya wzrokiem od stóp do głów. Julio był pewien, że Stevey zaraz się odgryzie, odpowie bezczelnością na bezczelność. Kim w końcu był ten Grek? Pracownikiem wynajętym w celu obsługiwanie mieszkańców domu, prawda?

Ku jego zdziwieniu chłopak nie zareagował. Patrzył na Greka szeroko otwartymi oczami, jakby miał nadzieję, że słowa tamtego miały być komplementem. Julio spojrział na portiera z nieskrywaną niechęcią. Podsunął tabliczkę z formularzem i długopis Steveyowi, który po paru sekundach wahania naskrobał we wskazanej rubryce nieczytelny podpis.

- Życzę miłego dnia - powiedział Julio, starając się wynagrodzić młodemu człowiekowi nieuprzejmość Greka, czy choćby złagodzić wrażenie, jakie musiało po niej pozostać.

Chłopiec skinął głową, uśmiechnął się nieśmiało i zamknął drzwi. W korytarzu wciąż unosił się zapach rózanego olejku.

- Pieprzone pedały! - rzucił soczyście Grek i uśmiechnął się złośliwie. - Biedny, malutki Stevey, co on teraz zrobi, gdy pan Appleyard nie jest już na niego taki napalony jak wcześniej? Dzieciak zaczyna się denerwować. Widziałeś, co? Jezu, o mało się nie rozplakał! Pan Appleyard nie pokazuje się w domu od ponad tygodnia. Założę się, że zafundował sobie nowego chłopaczka. Ale co to kogo obchodzi...

Portier otworzył drzwi windy i ruszył w kierunku swojego biurka. Julio poszedł za nim, trochę wolniej. Nadal współczuł Steveyowi i już zaczął układać sobie w myśli, jak opowie to wszystko żonie w czasie kolacji, co pominie, a co doda. Ten aspekt pracy kuriera podobał mu się najbardziej, ponieważ przypominał oglądanie ciekawego filmu, krótkich wycinków z życia innych.

- Więc ten Appleyard... - Zatrzymał się przy wejściowych drzwiach, chcąc podjąć jeszcze jedną próbę. - Nazwisko wydaje mi się znajome... Chyba o nim słyszałem. Kto to jest? Piosenkarz? Muzyk?

- Pracuje dla gazet i prowadzi się z gwiazdami. Pedał, lubi ładnych chłopców. Zmienia ich jak rękawiczki.

- Cóż, są gusta i guściki - niepewnie powiedział Julio. - Appleyard jest starszy od tego chłopaka, prawda?

Greki wymownie przewrócił oczami.

- Jest po czterdziestce i straszny z niego dupek, po prostu książę dupków.

Julio kiwnął głową i zatrzasnął za sobą drzwi.

### III

#### *JAMES McMULLEN*

Giovanni Carona pracował jako kurier ICD na Wenecję. Nie było to zajęcie na cały etat. Giovanni, który ożenił się kilka miesięcy wcześniej, nadal mieszkał z rodzicami i oszczędzał na własne mieszkanie, po prostu wpasowywał kurierskie zlecenia w swój plan dnia.

Wraz z nadejściem lata pojawiali się turyści i wtedy Giovanni zgarniał niezłe sumki za wożenie Amerykanów i Japończyków gondolą po Wielkim Kanale i lagunie, zimą natomiast brał wszystkie prace, jakie się nawinęły.

Tę przesyłkę miał odebrać na lotnisku o dziewiątej rano. O ósmej był już na małym kanale za domem swego ojca i usiłował pobudzić do życia silnik starej motorówki. Ranek był przejmująco zimny i wilgotny. O ósmej trzydziści Giovanni sunął przez labirynt wąskich kanałków, nad którymi wisiała szarawa mgła. Miasto dopiero budziło się do życia.

Przeżegnał się, mijając St Michele, wysepkę-cmentarz, i wypłynął na kanał prowadzący do lotniska. Łódź terkotała, zostawiając za sobą wyznaczające trasę czarne bąble, mgła zgęstniała i można było odnieść wrażenie, że dosłownie przykleja się do skóry. Daleko przed Giovannim, tam, gdzie za lotniskiem rozpościerała się przemysłowa dzielnica Mestre, mgła miała żółty odcień i tworzyła ciężkie obłoki.

Z powodu mgły samolot z Londynu wylądował z godzinnym opóźnieniem. Dochodziła jedenasta, kiedy formalności przekazania przesyłki dobiegły końca i Giovanni ruszył w drogę powrotną. Tym razem wybrał inną trasę, kierując się do miasta przez Wielki Kanał, a potem skręcając na południe, w wężową płataninę małych kanałów.

Do tej części Wenecji trafiało niewielu turystów, lecz Giovanni czuł się tu jak u siebie w domu. Odprężył się, przestał się spieszyć. Przez chmury przedarły się promienie słońca, które ogrzały powietrze i rozproszyły mgłę. Gdy przybił do brzegu w pobliżu Palazzo Ossorio, dochodziło południe. Zacumował łódź i przyjrzał się

budynkowi, opierając dłonie na biodrach. Kiedyś pałac na pewno zachwycał pięknem, ale teraz popadał w ruinę.

Ogarnął wzrokiem brudną, miejscami odartą z tynku fasadę. Parter już od dawna był niezamieszkały, potrzaskane płaskorzeźby pokrywała zielona pleśń. Okna pałacu, zamknięte i nieprzyjazne, ziały ciemnością. Połowy okiennic brakowało, a urocze balkoniki i wysokie kolumny przy wejściu były w strasznym stanie. Cały budynek wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł się zawalić.

Giovanni zerknął na przymocowany do pakowego papieru formularz. McMullen, z pewnością cudzoziemiec... Anglik? Irlandczyk? Amerykanin? Z doświadczenia młodego Włocha wynikało, że większość obcokrajowców unikało takich miejsc. Ten McMullen musiał być ekscentrykiem, kimś, kto doszukiwał się romantyzmu w ruinie. Giovanni nie uznawał takich bzdur. Wskoczył na chodnik i ruszył w stronę dziedzińca przed wejściem do pałacu. Kiedy wszedł na dziedziniec, usłyszał chrobot i serię szmerów, nie zauważył jednak ani szczura, ani myszy.

Nie zauważył też portiera, dozorczy czy choćby śladu istnienia mieszkańców budynku. Wszystkie okna wychodzące na podwórko było zasłonięte okiennicami.

W rogu znajdowały się schody. Mieszkanie numer sześć, czyli to należące do McMullena, musiało być na najwyższym piętrze - namalowana na murze strzałka wskazywała drogę. Wchodząc po schodach, Giovanni nikogo nie widział i nie słyszał. Wyschnięte liście zaszeleściły kilka razy w kątach podestów. Drzwi, które mijał, robiły wrażenie od dawna zamkniętych. Giovanniemu przyszło nawet do głowy, że trafił pod niewłaściwy adres, ale nie, był przecież w Palazzo Ossorio i to tu, na najwyższym piętrze, ujrzał drzwi oznaczone cyfrą sześć.

Badawczo popatrzył na drzwi. Podest pogrążony był w półmroku, docierało tu niewiele światła, ale chyba nawet w najlepszym oświetleniu nikt nie znalazłby tu dzwonka... Giovanni zastukał w gruby panel, nastawił uszu, zastukał znowu. Żadnych kroków, żadnego dźwięku.

Z boku do framugi przypięta była kartka, wyblakła i usiana odchodami much. Giovanni znał angielski dość dobrze, aby zrozumieć treść wiadomości: *Jeżeli mnie nie zastaniesz, spróbuj później.*

Angielskie nazwisko na paczce, napisana po angielsku informacja na drzwiach - tak, nie ulegało wątpliwości, że wszystko się zgadzało. Giovanni jeszcze raz zastukał, zawołał „Halo!” i zbliżył twarz do drzwi. Nagle cofnął się, z obrzydzeniem marszcząc nos. To miejsce nie tylko wyglądało na zaniedbaną ruinę, ale jeszcze w dodatku śmierdziało.

Na klatce schodowej unosił się gęsty zaduch amoniaku, zupełnie jakby ludzie od dawna traktowali ją jak publiczny urynał, lecz pod tym zapachem dawał się wyczuć inny, jeszcze bardziej nieprzyjemny, coś jakby odór gnijącego mięsa. Giovanni westchnął z irytacją.

Usłyszał miauknięcie i kiedy spojrzał w dół, zobaczył chudego rudego kota, który powoli i ostrożnie zmierzał ku niemu, tuląc się do ściany. Biednemu zwierzakowi sterczały żebra. Giovanni schylił się, żeby go pogłaskać, lecz kot wygiął grzbiet w łuk, obnażył zęby i prychnął z wściekłością.

Rozzłoszczony Giovanni spróbował go kopnąć, ale nie trafił. Popatrzył na paczkę, na kartkę na drzwiach i zamyślił się. Zgodnie z zasadami ICD, kurier w żadnym wypadku nie powinien zostawiać paczki, jeżeli formularz nie został podpisany przez odbiorcę, lecz z drugiej strony wydawało się bardzo mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek miał ją stąd ukraść. Podpis McMullena można było sfalszować, tych dokumentów i tak nikt nigdy nie sprawdzał... Giovanni zawahał się. Pokusa była poważna - minęło już południe, Był głodny jak wilk i stracił cały ranek na doręczenie przesyłki, której odbiorca zniknął. Po paru sekundach wreszcie podjął decyzję, oparł paczkę o drzwi, zbiegł po schodach i opuścił Palazzo Ossorio. Do diabła z tym wszystkim, pomyślał na odchodnym.

Po południu ogarnął go niepokój. Doszedł do wniosku, że wykazał się lenistwem i złamał zasady. Potrzebował pracy, a właśnie zaryzykował jej utratę. Razem z żoną długo zastanawiał się, co robić i w końcu, za jej namową, wieczorem wrócił do Palazzo Ossorio.

Żona postanowiła mu towarzyszyć. Ułożyli prosty i całkiem przyjemny plan - mieli sprawdzić, czy przesyłka została odebrana, a potem wybrać się na wieczorny spacer i może zajrzeć do jakiejś kawiarni na szklaneczkę wina.



Podobnie jak przed południem, budynek był pusty. Dobijanie się do drzwi McMullena nie przyniosło żadnego rezultatu, lecz paczki nie było, a z boku ktoś postawił spodeczek z mlekiem dla kota. Najprawdopodobniej paczkę zabrał adresat, lecz Giovanni nie mógł pozbyć się uczucia dziwnego zaniepokojenia. Kilka razy zastukał do drzwi i przytknął ucho do drewnianej powierzchni. Znieruchomiał. Był pewny, że w mieszkaniu ktoś jest. Usłyszał szmer za drzwiami, potem skrzypienie podłogi. Ktoś tam był.

Zapadał zmrok. Żona Giovanniego pociągnęła go za rękaw, zadrżała i lękliwie zerknęła ku schodom.

- Chodźmy stąd... - szepnęła. - Chodźmy. To jakieś dziwne miejsce...

Giovanni położył palec na wargach.

- Posłuchaj - odezwał się cicho. - Ktoś kręci się w środku... Słyszę kroki. Jeżeli jest w mieszkaniu, to dlaczego nie otwiera?

- Ja nic nie słyszę. - Ona też przycisnęła ucho do drzwi. - Nie, to tylko wiatr... - I ona też cofnęła się gwałtownie. - Skąd ten smród? Jaki okropny...

- Chyba z kanalizacji. Faktycznie strasznie tu cuchnie, mocniej niż rano.

Giovanni zmarszczył brwi. Zastukał ostatni raz, ale odpowiedziała mu zupełna cisza.

- Chodźmy stąd, proszę... - powtórzyła żona. - Po prostu wydawało ci się, że coś słyszysz...

- Dobrze, już dobrze! Boże, ależ ziąb! Nic dziwnego, że drżysz. Już idziemy...

Poszli do małej kafejki na placyku za rogiem i wypili po szklaneczce niezłego czerwonego wina. Giovanni usiłował dowiedzieć się od właściciela kafejki, czy może zna *signora* McMullena i czy w pałacu w ogóle ktoś mieszka, ale nie uzyskał żadnych konkretnych informacji. Właściciel kawiarenki, człowiek niezbyt rozmowny, obojętnie wzruszył ramionami. Tamten pałac? Mieszka tam jedna zwariowana starucha z co najmniej pięćdziesięcioma zdziczałymi kotami. Nie, nikt więcej. Któregoś dnia Palazzo Ossorio po prostu runie do kanału, z zaniedbania...

Podstawowa informacja okazała się jednak nieścisła. Kiedy z żoną po raz ostatni mijali pałac w drodze do domu, Giovanni podniósł wzrok. Okno mieszkania

numer sześć znajdowało się w rogu budynku. Wszystkie pozostałe okna pałacu były ciemne, poza tym jednym,

Giovanni dłuższą chwilę stał, wpatrując się w okno na najwyższym piętrze. Nie, nie mylił się, i wcześniej również miał rację. Ktoś był w mieszkaniu wtedy i teraz także. Okiennice były zamknięte, lecz przez szparę pośrodku wydobywało się pasmo słabego światła.

## *IV*

### ***GENEVIEVE HUNTER***

Genevieve Hunter mieszkała w suterenie wysokiej wczesnowiktoriańskiej kamienicy, której okna wychodziły na jeden z najładniejszych skwerów w Islington. W chwili przybycia kuriera ICD, czyli tuż po dziewiątej rano, Genevieve z rezygnacją przyjęła już do wiadomości, że tego dnia spóźni się do redakcji. Była na górze, w mieszkaniu zajmowanym przez podeszłą w latach sąsiadkę, kiedy usłyszała, że ktoś puka do jej drzwi na dole. Otworzyła okno, wychyliła się i zobaczyła mężczyznę w uniformie, trzymającego w rękach paczkę i tabliczkę.

- Sekundę, zaraz zejść! - zawołała.

Mężczyzna podniósł wzrok, zadygotał, przestąpił z nogi na nogę i kiwnął głową.

Genevieve dokładnie zamknęła okno. Potem się odwróciła i rozejrzała po skromnej sypialni, w której jej sąsiadka, pani Henshaw, spędziła pięć lat wdowieństwa i prawie czterdzieści lat małżeńskiego życia. Podłogę pokrywało linoleum, a na całe umeblowanie sypialni składała się masywna szafa i stare, równie potężne łóżko. Genevieve sprawdziła, czy gazowe ogrzewanie zostało wyłączone, chwyciła dwie duże walizy pani Henshaw i skierowała się ku schodom.

Jej sąsiadka, jedna z niewielu osób, które mieszkały tu jeszcze w czasach, gdy Islington było mocno zaniedbaną dzielnicą, i które nadal pamiętały tę część Londynu taką, jaką była przed jej „ucywilizowaniem”, zamierzała spędzić dziesięć dni u swojej zamężnej córki w Devonie. Pani Henshaw miała sześćdziesiąt osiem lat i nie była

przyzwyczajona do podróżowania. Sądząc po wadze obu walizek, zapakowała w nie dość rzeczy na dwumiesięczny pobyt.

Gini uśmiechnęła się do siebie i z pewnym trudem, objuczona jak wielbłąd, zeszła po wąskich schodach. Na samym początku, kiedy kupiła mieszkanie w suterenie, wyposażone w centralne ogrzewanie oraz nowoczesną kuchnię i łazienkę, pani Henshaw traktowała ją z nieukrywaną podejrzliwością. I w zasadzie nie było w tym nic dziwnego, bo przecież na pewno trochę się obawiała tej wysokiej, bardzo szczupłej Amerykanki, niezameężnej i w dodatku pracującej dla jednej z londyńskich gazet.

- Nie przepadam za towarzystwem - oświadczyła, czujnie przyglądając się Gini przez szparę w uchylonych drzwiach, gdy dziewczyna przyszła się przedstawić.

Potem podejrzewania pani Henshaw zaczęły stopniowo znikać. Staruszka odkryła, że Amerykanka ma kota - imponującego kota w barwne łaty o imieniu Napoleon - a pani Henshaw uwielbiała koty. To pomogło zadzierzgnąć pierwszą nić znajomości. Potem pani Henshaw ze zdumieniem spostrzegła, że ta poważna, zwykle ubrana jak chłopaczysko młoda kobieta, która bardzo często pracuje do późna, zawsze znajduje czas, aby zrobić dla niej zakupy w pobliskim sklepiku w paskudne, wilgotne dni, kiedy artretyzm nie daje starszym ludziom spokoju.

Więcej, Gini chętnie przyjmowała zaproszenie na filiżankę herbaty i z wyraźnym zaciekawieniem oglądała albumy pełne wyblakłych fotografii, słuchała wspomnień pani Henshaw o Islington, o dawnych ciężkich czasach oraz o szóstce dzieci, które jej sąsiadka wychowała w tejże kamienicy.

Pani Henshaw, przyzwyczajona do tego, że młodszy krewni i znajomi widzą w niej starą nudziarę, samotna, ponieważ wszystkie jej dzieci wyprowadziły się z Londynu, zapalała do Gini ogromną sympatią.

- Ta Genevieve jest dla mnie jak córka - mawiała teraz w sklepie spożywczym pana Patela.

Starsza pani czekała już na dole, ubrana w sięgające do kostek buty na sztucznym futerku, trzy rozpinane swetry, palto, nowy wełniany szalik, który dostała od Gini oraz w najlepszy kapelusz. Trzęsa się ze zdenerwowania. Kiedy Genevieve postawiła walizki przy drzwiach, pani Henshaw po raz trzeci sprawdzała zawartość

torebki i półgłosem powtarzała listę wszystkich niezbędnych rzeczy. Bilety, okulary, chusteczka do nosa, portmonetka, książeczka z czekami emerytalnymi, klucze... Gini uspokajającym gestem objęła staruszkę i uściśnięła ją lekko. Ciężko jest wyruszyć nawet w najmniej skomplikowaną podróż, kiedy jest się starą, ubogą i samotną osobą, która zwykle wychodzi najdalej do sklepu na rogu ulicy, pomyślała. Zdawała sobie sprawę, że w żadnym razie nie wolno jej poganiać sąsiadki lub okazywać zniecierpliwienia.

- Pani H., ma pani niesamowity kapelusz - powiedziała. - Bardzo w nim pani do twarzy.

Pani Henshaw się zarumieniła. Niepokój i zdenerwowanie troszeczkę przycichły. Zerknęła na swoje odbicie w niewielkim lustrze wiszącym na ścianie holu i uśmiechnęła się.

- To mój najlepszy kapelusz. Ostatni raz miałam go na chrzcinach najmłodszej córeczki mojej Doreen, a to było już osiem lat temu... Doreen zawsze mówiła, że ten kapelusz jej się podoba, więc pomyślałam...

Z sutereny rozległo się pukanie. Odgłosy te wprawiły panią Henshaw w stan bliski paniki.

- Och, Gini, skarbie, nie potrafię myśleć w tym hałasie... Sama już nie wiem, czy wyłączyłam gaz... A mleko? Co z mlekiem? Zapomniałam zadzwonić do ludzi, którzy dowożą nam mleko...

Genevieve podeszła do frontowych drzwi, otworzyła je, zawołała do czekającego kuriera, że zaraz do niego zejdzie i rozpoczęła skomplikowaną operację wyprowadzania pani Henshaw z domu. Starła się nie myśleć, jak bardzo spóźni się do pracy i łagodnym głosem powtarzała uspokajający refren: tak, gaz jest na pewno wyłączony, sama sprawdziła to przed wyjściem, tak, we wszystkich pokojach; tak, dostawa mleka została odwołana, a wszystkie okna starannie zamknięte. Tak, córka pani Henshaw będzie czekała na nią na dworcu, a tutaj kierowca taksówki pomoże jej wsiąść do pociągu, zanieś walizki i umieści je, gdzie trzeba - wszystko jest załatwione.

Pomogła pani Henshaw zejść po schodkach na ulicę. Starsza pani miała nowe plastikowe biodro, lecz wciąż poruszała się powoli i niepewnie. Kiedy pani Henshaw sadowiła się na tylnym siedzeniu, Gini wcisnęła do ręki taksówkarza spory napiwek.

- Odprowadzi ją pan do pociągu i zajmie się jej bagażami, dobrze? I proszę jej nie poganiać, bo wtedy strasznie się denerwuje.

Młody mężczyzna zmierzył ją uważnym spojrzeniem i uśmiechnął się szeroko.

- To pani babcia, skarbie?

- Nie, po prostu dobra znajoma. Nie przywykła do podróży, więc...

- Niech się pani nie martwi, zaopiekuję się nią. - Odwrócił się do tyłu i obdarzył panią Henshaw serdecznym uśmiechem. - Wygodnie pani? W porządeczku, teraz może się już pani rozpogodzić. Podoba mi się ten kapelusz.

- To mój najlepszy - oznajmiła pani Henshaw.

Genevieve poczuła, jak ogarnia ją fala szczerego współczucia. Wsunęła głowę do taksówki i ucałowała nieco owłosiony policzek staruszki. Ucisnęła jej rękę, zajrzała do torebki, sprawdzając, czy bilety na pewno są w bocznej kieszonce, cofnęła się i zatrzasnęła drzwiczki samochodu. Taksówka ruszyła. Genevieve stała na chodniku, aż samochód z panią Henshaw w środku zniknął w oddali, potem zaś podniosła głowę i wystawiła twarz na dotyk przesiąkniętego wilgocią, szarego powietrza. Westchnęła i zeszła po schodach do swojego mieszkania.

Kurier czekał na nią z niewielką paczką w dłoni. Gini zwróciła uwagę, że była ona obwiązana sznurkiem, który w kilku miejscach opieczętowano czerwonym woskiem.

Mężczyzna z zaciekawieniem przyjrzał się Genevieve Hunter. Kiedy wychyliła się do niego z okna na piętrze, w pierwszej chwili wziął ją za chłopca, lecz teraz, z bliska, zrozumiał i swoją pomyłkę, i jej powody. Dziewczyna była wysoką i szczupłą, ubrana po męsku - czarne spodnie, czarny sweter z kołnierzykiem polo, buty na płaskim obcasie. Długie jasne włosy wepchnęła pod podniszczoną baseballową czapkę koloru khaki, a na ramiona narzuciła trochę dziwaczny trencz w wojskowym stylu, sięgający do połowy łydki i ozdobiony niezliczonymi kieszeniami, naszywkami oraz epoletami. Jednak w tej chwili, gdy patrzył na nią z niewielkiej

odległości, nie mógłby wziąć jej za mężczyznę; ta młoda kobieta miała duże, jasne oczy i poważną, piękną twarz.

- Przepraszam, że musiał pan czekać - powiedziała.

Potwierdziła odbiór podpisem i już miała wcisnąć paczkę do torby, gdy nagle zatrzymała się i uważniej przyjrzała przesyłce. Bardzo zależało jej, żeby jak najszybciej dotrzeć do redakcji „News”, ale ta paczka naprawdę wyglądała dość niecodziennie.

- Dziwne... - odezwała się. - Widzi pan? - podsunęła paczkę kurierowi. - Ktoś wypisał adres stałówką, wiecznym piórem...

Potrząsnęła pudełkiem. Oboje usłyszeli cichy grzechot. Genevieve zmarszczyła brwi, kurier potrząsnął głową.

- Może to niespodzianka - powiedział zachęcającym tonem. - Ktoś wypisał nazwisko i adres drukowanymi literami, atramentem, żeby nie rozpoznała pani charakteru pisma i nie wiedziała, od kogo ta przesyłka... Może od chłopaka? - Rzucił Genevieve badawcze spojrzenie. - Niespodzianka od chłopaka albo coś w tym rodzaju?

Genevieve się uśmiechnęła. Nie miała chłopaka, w każdym razie w tej chwili, a ostatni kandydat miesiąc wcześniej wyjechał do Australii, aby objąć stanowisko redaktora naczelnego jednego z tamtejszych dzienników. Genevieve nie tęskniła za nim zbyt mocno, zresztą nie był on typem mężczyzny, który przysyła swojej ukochanej niespodzianki. Zaskoczona i odrobinę zaniepokojona, jeszcze raz ostrożnie potrząsnęła paczką. Kurier, zaciekawiony w nie mniejszym stopniu, podał jej scyzoryk.

- Proszę bardzo. - Uśmiechnął się. - W dzisiejszych czasach lepiej uważać, więc po co ma pani nosić to ze sobą. Niech pani od razu otworzy paczkę...

Genevieve posłuchała jego rady. Ostrożnie przecięła sznurek i zdjęła brązowy papier. Wewnątrz znajdowało się zwykłe tekturowe pudełko, a w nim kilka warstw nowiutkiej bibułki. Między nimi spoczywały kajdanki, wykonane z solidnej stali, z kluczykiem w zamku.

Wyjęła je z okrzykiem zdziwienia. Jej zaniepokojenie się pogłębiło. Rozgarnęła cienki, szeleszczący papier, lecz w środku nie było żadnej karteczki. Dziewczyna gniewnie zacisnęła usta, jej policzki oblał ciemny rumieniec.

- Świetnie, żadnej wiadomości... - Spojrzała na kuriera, który z niedowierzaniem pokręcił głową. - Ale nawet bez kartki widać, co to jest... Co za zboczeniec mógł przysłać mi coś takiego?

Ściągnęła brwi, usiłując szybko sporządzić w myśli listę potencjalnych kandydatów. Komu mogło przyjść do głowy, że tego rodzaju „niespodzianka” podnieci ją czy sprawi przyjemność? Kogo było stać na taki chory dowcip?

Chyba nie znała nikogo takiego... Oczywiście, w redakcji miała nie tylko przyjaciół, ale i wrogów, poza tym wiele osób nie darzyło jej zbyt dużą sympatią po artykułach, które publikowała, lecz mimo wszystko nie sądziła, aby ktokolwiek chciał zemścić się na niej w tak paskudny sposób. Ze złością wzruszyła ramionami i zaczęła składać brązowy papier.

- Niech pani je wyrzuci, skarbie - doradził kurier, wskazując stojący przed sąsiednim domem pojemnik na śmieci. - Ja bym tak zrobił...

- Nie ma mowy - rzuciła Gini. - Będą mi potrzebne. Zamierzam dowiedzieć się, kto mi je przysłał.

Wrzuciła kajdanki do torby. Kurier się zawahał.

- Mógłbym trochę popytać w biurze, jeżeli pani zależy - zaczął. - Przesyłka nadeszła z naszej filii w City, tego jestem pewny. Mógłbym wpaść tam po pracy i czegoś się dowiedzieć...

Genevieve obdarzyła go pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Naprawdę? Sama bym to zrobiła, ale dziś cały dzień będę zajęta. - Podała młodemu mężczyźnie wizytówkę. - Tu ma pan numery moich telefonów, do domu i do pracy. Powinnam wrócić koło szóstej. Czy zadzwoni pan, jeżeli czegoś się pan dowie? Będę bardzo wdzięczna...

Kurier obiecał, że zrobi, co w jego mocy. Po chwili wahania dodał, że ma na imię George i że na pewno zadzwoni po szóstej.

Potem odjechał, aby dostarczyć następną przesyłkę, a zamyślona Gini stała parę sekund na chodniku. Było zimno i zaczynało padać. Postawiła kołnierz płaszcza i



zadrzała. Kajdanki... Czyżby miała nieznanego wroga? A może przesłanie anonimowej przesyłki miało zupełnie inny cel?

Wsiadła do samochodu i ruszyła. Była godzina szczytu, z trudem przebijała się przez uliczne korki, lecz trasę do biura pokonała, nawet nie zauważając, że jest już naprawdę bardzo spóźniona, pogrążona w myślach o dziwnym podarunku. W połowie drogi doszła do wniosku, że nadawcą kajdanków najprawdopodobniej był mężczyzna, i ta refleksja bynajmniej jej nie uspokoiła.



# **CZEŚĆ DRUGA**

## **DOCHODZENIE**

### **V**

Skrećając na podjazd eleganckiej posiadłości, Pascal pomyślał, że wybór tej dzielnicy był jak najbardziej w stylu jego byłej żony - chciała mieszkać w Paryżu, a jednak nie do końca w Paryżu, w otoczeniu, które chyba nie mogło być mniej francuskie. Jego była żona, językowo bardzo uzdolniona, biegle władająca francuskim, niemieckim i włoskim, pozostała Angielką do szpiku kości. Nigdy nie pozbyła się lekkiej pogardy w stosunku do cudzoziemców i niezachwianego przekonania o ich niższości.

- Paryż? - powiedziała kiedyś w czasie sprawy rozwodowej. - Miałabym na stałe zamieszkać w Paryżu? Oszalałeś? Zgadzam się pozostać tutaj wyłącznie ze względu na Marianne, ale nie w tym mieście, nigdy w życiu. Znalazłam już idealny dom na przedmieściach. Kosztuje pięć milionów franków. Możemy włączyć tę sumę do ugody. Mam nadzieję, że nie okażesz się drobiazgowy. Jak na taki dom to wcale niewygórowana cena...

Dom, który kosztował pięć milionów franków, stał przed Pascalem, w górnej części ulicy. Miał siedem sypialni, urządzonych drogimi meblami i sprzętami, z których pięć było nieużywanych, siedem łazienek, kuchnię wielkości sali operacyjnej, garaż na cztery samochody i okna wychodzące na pusty, dziewiczy, nietknięty ludzką stopą trawnik, ogromny jak pole golfowe. Był to dom podobny do wielu innych, znajdujących się w drogich, eleganckich podmiejskich dzielnicach wielkich metropolii, rozsianych na całym świecie. Pascal często je widywał w Londynie, Brukseli, Bonn, Detroit czy Nowym Jorku i wszystkie wydawały mu się równie wulgarne. Ten dom, w którym mieszkała jego córka i była żona, zbudowano z agresywnie szkarłatnej cegły. A on po prostu nie mógł na niego patrzeć.

Tego ranka doszło do pewnej odmiany w rutynie. Zwykle, zgodnie z niepisany porozumieniem, Pascal i Helen się nie spotykali. Pod koniec każdego

weekendu, który w myśl umowy rozwodowej Pascal spędzał z córką, odwoził Marianne pod sam dom. Marianne wysiadła, Helen, obserwująca podjazd z wielkiego okna na piętrze, biegła do drzwi, otwierała je i wyciągała ramiona, dziewczynka pędziła do matki, drzwi się zamykały i Pascal odjeżdżał.

Wyglądało na to, że ten rano miał stanowić wyjątek. Helen czekała na podjeździe, smukła, elegancka i wyraźnie zirytowana. Pocałowała Marianne i mała weszła do domu. Pascal otworzył okno samochodu.

- Spóźniłeś się - powiedziała Helen po angielsku.

- Wiem. Przepraszam, ale na ulicach były straszne korki. Wysoko uniosła brwi, demonstrując niedowierzenie.

- Naprawdę? Cóż, w gruncie rzeczy to bez znaczenia. Jak na pewno wiesz, nie mam nic do roboty, więc równie dobrze mogę czekać na Marianne... Mógłbyś wejść na chwilę? Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Nie mogę. Za dwadzieścia minut mam spotkanie w Paryżu, a w południe wylatuję do Londynu.

- Zawsze gdzieś wylatujesz! - Helen odwróciła się, jej policzki zabarwił rumieniec. - Wygląda na to, że nic się nie zmienia... Skoro nie możesz mi poświęcić dziesięciu minut swego cennego czasu, załatwię to przez prawników. Potrwa to dłużej i oczywiście będzie kosztowało, ale to twój wybór.

Na dźwięk słowa „prawnicy”, Pascal wyłączył silnik, wysiadł, zatrzasnął drzwiczki i wszedł do domu, nie oglądając się na Helen. W kuchni sięgnął po słuchawkę i zaczął wybierać numer. Kątem oka dostrzegł napełniony świeżo zaparzoną kawą dzbanek, talerz z herbatnikami na kuchennym blacie z białego marmuru, dwie białe filiżanki ze spodeczkami i dwa deserowe talerzyki.

Helen weszła do kuchni i z uśmiechem triumfu zamknęła za sobą drzwi. Widząc Pascala ze słuchawką w ręku, zmarszczyła brwi.

- Do kogo dzwonisz?

- Do redakcji magazynu. Mówiłem ci, że jestem umówiony na spotkanie. Teraz na pewno się spóźnię...

Zignorowała jego słowa. Gdy rozmawiał, nałala kawy do filiżanek i postawiła je na stole pod oknem. Obok umieściła porcelanowy dzbanuszek z mlekiem i porcelanową cukierniczkę.

- Usiądź, proszę - odezwała się, kiedy Pascal odłożył słuchawkę. - I postaraj się nie zabić mnie wzrokiem, dobrze? Nie zajmę ci dużo czasu.

Pascal ogarnął wzrokiem nakrycia na stole, oczywisty dowód przekonania Helen, że ustąpi i wysłucha przygotowanej przez nią mowy, choćby nawet bardzo niechętnie. Wzruszył ramionami i usiadł.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś mówiła krótko i zwięźle - rzekł uprzejmie. - Muszę zdążyć na samolot do Londynu, to ważne.

- Och, nie wątpię. - Uśmiechnęła się chłodno. - Zawsze gdzieś ci się spieszyło. Kiedy wracam myślami do naszego małżeństwa, a chyba nie muszę ci mówić, że staram się to robić jak najrzadziej, uświadamiam sobie, że nigdy nie było cię w domu. Gdzie byłeś, kiedy ja lub Marianne potrzebowałyśmy twojej obecności? Na lotnisku. W samym środku strefy działań wojennych. W jakimś zapchlonym hoteliku na końcu świata, z wiecznie zepsutą centralą telefoniczną. A jeżeli centrala przypadkiem działała, ciebie i tak nie było w pokoju. - Wzięła herbatnika i delikatnie ugryzła kęs. - Dziwne, naprawdę...

Pascal odwrócił wzrok.

- To dawne dzieje - powiedział, z trudem zachowując spokój. - Uzgodniliśmy, że nie będziemy już do tego wracać. Kiedy wychodziłaś za mnie, wiedziałaś...

- Kiedy za ciebie wychodziłam, nie wiedziałam nic, po prostu nic. - W głosie Helen zabrzmiała nuta gorzkości, która zaraz znikła. - Nieważne... To dawne dzieje, zgadzam się z tobą. Przejdę do rzeczy, bo przecież zależy ci na czasie. Chciałabym, żebyśmy załatwili tę sprawę w cywilizowany sposób. Powinieneś wiedzieć, że sprzedałam dom.

Przez chwilę w kuchni panowała cisza. Pascal uważnie przyglądał się byłej żonie. Jego żołądek skurczył się boleśnie.

- Ten dom? - upewnił się.

- Tak, ten, naturalnie. Innego nie mam, prawda? Doszłam do wniosku, że jednak mi nie odpowiada...

- Nie odpowiada ci?! Przecież sama go wybrałaś! Kosztował pięć milionów franków! Mieszkasz w nim od prawie trzech lat i nagle dochodzisz do wniosku, że ci nie odpowiada?!

- Przez prawie trzy lata znosiłam ten dom. - Policzki Helen poczerwieniały. - Nie podnoś głosu, bardzo proszę. Nie chcę, żeby usłyszała nas Marianne albo jej niania. Nie życzę sobie, żeby niania złożyła wymówienie. Marianne potrzebuje stabilizacji, a te dziewczyny nie znoszą scen...

- Scen? Scen?! - Pascal podniósł się zza stołu. - Biorąc pod uwagę, ile jej płacę, nie zamierzam się przejmować, czy dobrze znosi sceny!

- To było zupełnie niepotrzebne i szalenie nieuprzejme. - Helen także wstała. Jej policzki były szkarłatne. - Podejmuję wysiłek, żeby rozsądnie porozmawiać z tobą przez pięć minut, a ty zachowujesz się jak...

Drżała na całym ciele. Pascal patrzył na nią długo, uważnie. Helen prawie się nie zmieniła od dnia, kiedy poznał ją pod paryską siedzibą UNESCO, gdzie pracowała jako tłumaczka. Wtedy podobno uwielbiała Paryż, w każdym razie tak twierdziła. Była smukłą dziewczyną o gładkich, równo przyciętych ciemnych włosach i nerwowej, pociągłej, skupionej twarzy. Tamtego dnia była ubrana w ciemny płaszcz z czerwonym szalikiem - Pascal nadal widział ją, jak stoi na chodniku i patrzy na niego. Ich romans był krótki i burzliwy. Ciągłe się kłócili. Mimo tego po ślubie odkryli czułość i sporo wspólnych radości. Najwspanialszą chwilą, jaką razem przeżyli, były narodziny Marianne...

- Kiedyś cię kochałem - powiedział, zaskakując i ją, i siebie.

- Dziękuję za czas przeszły.

Odwróciła się. Pascal spojrzął na jej wąskie plecy, napięte mięśnie ramion. Nie zamierzał być okrutny, te słowa wymknęły mu się, bezwolnie. Odniosł wrażenie, że przeżywa swoiste *deja vu* - kobieta, którą kiedyś kochał, stała w odległości metra od niego, a jednak nie istniała.

- Przepraszam... - zaczął niepewnie i zaraz przerwał. - Masz rację, lepiej żebyśmy podeszli do tej sprawy...

- W oficjalny sposób? - zapytała, odwracając się do niego z sarkastycznym uśmiechem. - Całkowicie się z tobą zgadzam. Właśnie o to mi chodziło. Wracając do sprawy - jak już mówiłam, sprzedałam dom.

Wpatrywał się w nią bez słowa. Jej oświadczenie całkowicie go zaskoczyło i dopiero teraz uświadomił sobie, że Helen zaraz ukarze go odpowiednio dużą porcją cierpienia. Jego wybuch stał się gwarancją, że cierpienie będzie intensywne i długotrwałe. Twarz Helen przybrała twardy, zacięty wyraz; odwróciła wzrok.

- Postanowiłam wrócić do Anglii. Tata obiecał, że pomoże mi poszukać domu, może gdzieś w Surrey. Ceny nieruchomości na tamtejszym rynku spadły i tata sądzi, że uda nam się znaleźć jakąś naprawdę ładną posiadłość, z paddockiem, żeby Marianne mogła mieć własnego kucyka. Zupełnie oszalała na punkcie koni, mówiła ci o tym?

Pascal nie spuszczał oczu z twarzy żony. W jej spojrzeniu dostrzegł cień triumfu.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział.

- Och, mogę... Tata rozmawiał z prawnikami, zresztą ja także... Wzięliśmy ślub w Anglii, Marianne urodziła się w Anglii...

- Nalegałaś, żeby tak było!

- I w rezultacie ma podwójne obywatelstwo. Ja jestem jej główną opiekunką w oczach prawa. Adwokat taty twierdzi, że praktycznie rzecz biorąc, mam *carte blanche* i mogę zabrać ją wszędzie, gdzie zechcę.

- Zgodziłaś się! - Pascal z trudem wydobywał słowa z gardła. - Podpisałaś ugodę i zobowiązałaś się wychować Marianne tutaj! Chciałaś ułatwić mi kontakt z dzieckiem, sama tak powiedziałaś! Chciałaś, żebym w każdej chwili mógł się z nią zobaczyć! Ja i jej babka...

- Twoja matka nie żyje.

- Podpisałaś ugodę. Dałaś mi słowo...

- Każdą ugodę można renegocjować i w tej chwili właśnie to robię. Prawnicy uprzedzili mnie, że możesz się sprzeciwić, ale będzie cię to dużo kosztowało, a ostatecznie i tak przegrasz. Jeżeli dojdzie do przesłuchania, poruszą kwestię twojej

pracy, twojego zawodu. Podkreśla, że nigdy nie ma cię na miejscu, natomiast ja zawsze jestem przy Marianne, dzień i noc.

- Zawsze jestem na miejscu! - eksplodował Pascal. - Zawsze, kiedy wolno mi z nią być, czyli jeden wieczór na tydzień, jeden weekend na miesiąc. W ciągu trzech lat nigdy nie opuściłem spotkania, ani razu!

- Prawdę mówiąc, adwokaci uważają, że twoje kontakty z Marianne mogą ulec ograniczeniu. Oczywiście musielibyście widywać się w Anglii. Może Marianne mogłaby odwiedzać Francję latem, w czasie wakacji, ale...

- Dlaczego to robisz?

Jego pytanie wyraźnie ją rozzłościło.

- Dlaczego? Dlaczego?! Ponieważ nienawidzę tego kraju, zawsze go nienawidziłam! Chcę wrócić do siebie! Chcę być blisko moich rodziców i przyjaciół! Chcę znowu pracować...

- Możesz pracować tutaj, tłumacze mogą pracować wszędzie, sama zawsze tak mówiłaś!

- Ale chcę pracować tam, w Anglii! Chcę przebywać z ludźmi, których znam, wśród których dorastałam...

- Ja chcę, ja chcę, chcę... - Pascal cofnął się, rozkładając ręce. - Tylko to mamy brać pod uwagę, prawda? A co z Marianne? Nie interesuje cię, czego ona chce?

- Marianne uważa, że to świetny pomysł. Dom na wsi, kucyki...

- Już z nią o tym rozmawiałaś? Jezu Chryste!

- Tak, rozmawiałam. I jeżeli chcesz wiedzieć, to poprosiłam ją, żeby ci o tym nie wspominała, jeszcze nie teraz, bo chciałam mieć szansę omówić to z tobą w cztery oczy...

- Omówić to ze mną? Tak to nazywasz?!

Pascal poczuł, jak gniew podnosi się w nim wielką, niepohamowaną falą i w tej samej chwili ujrzał radość malującą się na twarzy jego byłej żony. Helen znajdowała szczególną przyjemność w prowokowaniu go, wiedział o tym od zawsze. Ruszył w kierunku drzwi. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli spędzi w tej potwornej kuchni następne pięć minut, w końcu ją uderzy, a akt przemocy stanowiłby idealny dowód dla sądu.



Helen nigdy dotąd nie mogła go o to oskarżyć i może właśnie teraz usiłowała go sprowokować.

Odwrócił się w progu.

- Zgłoszę sprzeciw - powiedział. - Będę walczył, niezależnie od tego, jak długo potrwa sprawa i ile będzie mnie kosztować. Nie ustąpię.

- Jak sobie życzysz... - Wzruszyła ramionami.

- Zastanów się... - Wykonał niepewny gest, jakby chciał wyciągnąć do niej rękę. - Przemyśl to jeszcze raz... Jestem jej ojcem, na miłość boską. Nie chcesz, żeby mnie widywała? Próbujesz nas rozdzielić?

- Rozdzielić? Skądże znowu! Jeżeli przystaniesz na moją propozycję, uzgodnione wcześniej warunki pozostaną niezmiennione - jeden wieczór w tygodniu, jeden weekend w miesiącu.

- Wieczór?! W Anglii? W Surrey?! Mam poświęcić trzy godziny na podróż w jedną stronę, spędzić dwie godziny z Marianne i wracać do Paryża, tracąc następne trzy godziny?!

Uśmiechnęła się.

- Przecież ty uwielbiasz podróżować samolotem - rzekła z wysublimowaną uprzejmością. - Myślę, że spędziłeś w samolotach blisko połowę życia, więc dlaczego nie miałbyś spędzić w nich jeszcze trochę czasu?

Na siódmym piętrze wieżowca, w którym mieściła się redakcja dziennika „Paris Jour”, znajdowały się gabinety redaktorów naczelnych oraz członków zarządu. Francoise Leduc, zastępca redaktora naczelnego, rozłożyła na stole konferencyjnym fotografie Pascala. Czarno-białe z lewej strony, kolorowe z prawej - obie kolumny zdjęć przedstawiały jasny obraz wydarzeń. Pascal, którego Francoise знаła od wielu lat i którego piętnaście lat temu pchnęła na drogę prowadzącą do kariery, przyglądał się jej spod oka. Francoise, kiedyś boleśnie zakochana w Pascalu, była zaskoczona jego zachowaniem. Przed chwilą sprezentował jej prawdziwą sensację, fotografie, których publikacja gwarantowała wzrost nakładu gazety, a jednak wydawał się całkowicie nieporuszony tym faktem. Robił wrażenie roztargnionego i spiętego.

- Za dużo palisz - powiedziała, przybierając macierzyński ton, który już dawno uznała za najbezpieczniejszy.

- Wiem. Masz rację.

Wzruszył ramionami i zdusił w popielniczce papierosa, drugiego w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Podszedł do okna i utkwiał wzrok w pochmurnym, zimowym niebie.

Francoise się zawahała. Obecnie ona i Pascal byli dobrymi przyjaciółmi, co bardzo sobie ceniła. Było to zwycięstwo, które odniosła dzięki żelaznej sile woli. Przez pięć, sześć, siedem, może więcej lat skutecznie ukrywała swoje uczucie do tego mężczyzny, nie zdradzając się ani gestem, ani tonem głosu. Nikt niczego nie podejrzewał, a już z pewnością nie Pascal. Był przystojny, lecz pozbawiony próżności - prawdziwa rzadkość. Może trochę brakowało mu wyobraźni... Francoise uśmiechnęła się do siebie. Pascal, zawsze skupiony na pracy, czasami przypominał kapłana jakiegoś wymagającego wielkich poświęceń bóstwa. Jeżeli nawet zauważał, jak reagują na niego kobiety, nie przywiązywał do tego żadnego znaczenia, lecz Francoise podejrzewała, że był po prostu dziwnie ślepy na często dramatyczny efekt, jaki wywierał.

Jej poświęcenie było warte wysiłku. Urodzona realistka, miała pięćdziesiąt lat i przedkładała długotrwałe korzyści, płynące z przyjaźni, nad krótki, ulotny urok romansu. Ukryła swoje uczucia, a w nagrodę otrzymała zaufanie Pascala.

Spojrzała na zdjęcia i przeniosła wzrok na ich autora. Ściągnęła brwi. Nadal pamiętała chwilę, kiedy go poznała. Miał dwadzieścia lat, właśnie wrócił ze swojej pierwszej podróży do Bejrutu i nikt go nie znał. Zgodziła się zamienić z nim parę słów na prośbę ich wspólnego przyjaciela. Przeznaczyła dla niego dokładnie dziesięć minut, ani sekundy więcej. Tymczasem spotkanie wydłużyło się do pół godziny, potem poszli na lunch, przed którym Francoise musiała zmienić poprzedni plan dnia. Kiedy ten niezwykle młody człowiek w końcu pożegnał się z nią mniej więcej cztery godziny później, dość długo siedziała jeszcze przy restauracyjnym stoliku, usiłując odzyskać równowagę. Przydarzyło jej się coś zupełnie nieprawdopodobnego, bezprecedensowego... Dlaczego tak postąpiła?

Czy dlatego, że zdjęcia, które królewskim, niedbałym gestem rozsypał na jej biurku, były wyjątkowo dobre, wręcz wybitne? W pewnej mierze tak, niewątpliwie, zresztą fotografie Pascala opublikowała na sześciu stronach w następnym tygodniu,

więc tak, istniały względy zawodowe... Istniały jednak także inne, i nie można było zaliczyć do nich seksu, gdyż Francoise była zbyt zdyscyplinowaną profesjonalistką, aby w sprawy zawodowe mieszać seks.

Wtedy doszła do wniosku, że wysłuchała go, oddając mu swój cenny czas, ponieważ dostrzegła w jego twarzy szczególne połączenie niewinności, młodości, namiętności i poświęcenia. Wszystko, co mówił, było wyrazem niezachwianego przekonania, że powierza jej bezcenny dar - nie jakieś tam fotografie, lecz dowody i absolutną prawdę.

Był bardzo młody, naiwny, niedoświadczony i utalentowany. Ta kombinacja trafiła do serca Francoise. Kiedy Pascal opowiadał o Bejrucie, o aktach przemocy i gwałtu, które rozegrały się na jego oczach, Francoise poczuła, że musi przyjrzeć się swemu życiu. Zobaczyła wszystkie kompromisy, wszelkie ustępstwa, na jakie poszła w pracy, zrozumiała pełzającą naturę swojego zawodowego cynizmu. Co takiego powiedziała do swojej sekretarki tuż przed przyjściem Pascala? „Co za nuda... Zajmie mi to najwyżej pięć minut. Znowu jakiś dzieciak ze zdjęciami z ostrzeliwanego Bejrutu! Kogo to obchodzi? Nie potrzebujemy teraz łzawych fotografii ze strefy działań wojennych...”.

Zaraz potem wpadł do jej gabinetu ten młody człowiek, wywijając proporcem i nawołując do krucjaty, wypowiadając osobistą wojnę niesprawiedliwości, kłamstwu i dwulicowości. Francoise wysłuchała go i w myśli uderzyła się w piersi. Niewątpliwie była światową, elegancką kobietą, lecz ten dwudziestolatek sprawił, że poczuła się jak ostatnie zero.

Było to piętnaście lat temu. Zewnętrznie Pascal prawie się nie zmienił - był wysoki, wąski w biodrach i szeroki w ramionach, poruszał się szybko, ubierał dobrze, lecz w jakiś nieokreślony sposób niedbale.

Francoise się uśmiechnęła. Dziś także miał na sobie dość eleganckie, dobre gatunkowo rzeczy, jak zwykle niewyprasowane. Mocno wątpiła, czy Pascal ma żelazko, lecz nawet jeżeli tak było, na pewno nie umiał się nim posługiwać. Nie miał pojęcia, jak przyszyć guzik, zrobić omlet czy powiedzieć kobiecie komplement, był absolutnie niepraktyczny i obojętny wobec tych aspektów życia, lecz wystarczyło

włożyć mu do ręki aparat fotograficzny, aby w jednej chwili stał się zupełnie innym człowiekiem...

Z aparatem w ręku i pomysłem na fotoreportaż w głowie Pascal nie zwracał uwagi na przeszkody wyrzeczenia, niebezpieczeństwo czy jakiegokolwiek trudności. W pogoni za dobrym ujęciem zachowywał się jak opętany.

Tyle, że... Francoise, która właśnie miała zamiar coś powiedzieć, powstrzymała się w ostatniej chwili. Popatrzyła na leżące na stole fotografie. Kiedyś Pascal Lamartine był jednym z najlepszych wojennych fotoreporterów na świecie. Fotografował wszystkie ważne konflikty zbrojne, przywożąc zdjęcia, które wywoływały łyzy i namiętne dyskusje. Co przyniósł jej teraz? Dowód cudzołóstwa - wykonane po kryjomu fotografie mężczyzny zdradzającego żonę...

Na tych zdjęciach można było bez trudu rozpoznać jednego z ministrów francuskiego rządu oraz jego kochankę, amerykańską gwiazdę filmową. Francoise widziała kształt rozpościerającego się w tle basenu i nawet tytuł książki, którą czytał ochroniarz ministra. Widziała ślubną obrączkę na dłoni, która pieściła sławne piersi równie sławnej aktorki. Wykonane przez Pascala zdjęcia nie zaskoczyły Francoise - członek francuskiego gabinetu był agresywnym orędownikiem wartości rodzinnych i cieszył się niesmaczną reputacją. Cóż, taki był ten świat...

Zaskoczyło ją jednak, że zrobił je właśnie Pascal. Mogła zrozumieć, że kilka razy przyjął takie zlecenia w czasie sprawy rozwodowej - prawnicy żądali astronomicznych sum - lecz to, że nadal podejmował podobne zadania teraz, **trzy** lata po rozwodzie, kiedy alimenty i podział majątku zostały już dawno ustalone, tego nie potrafiła do końca pojąć. Pascal nigdy nie rozmawiał z nią, ani z nikim innym, o żądaniach swojej byłej, nie ulegało jednak wątpliwości, że na tego rodzaju zdjęciach fotoreporterzy zarabiali znacznie więcej niż na fotografiach z linii frontu. Jeżeli Helen Lamartine żądała takiej właśnie ceny, to była ona o wiele za wysoka...

Francoise wzięła do ręki jedno ze zdjęć i zaraz je odłożyła. Były doskonałe i naprawdę gwarantowały wzrost nakładu, więc nie miała wyjścia - musiała je opublikować. Mimo oczywistych profitów, na widok tych ujęć ogarniała ją mdłości. Te fotografie stanowiły dowód, że człowiek, którego podziwiała i szanowała, niszczył samego siebie.

- W porządku - jednym ruchem zgarnęła wszystkie kartoniki. - Puścimy je w przyszłym tygodniu. Trzy rozkładówki plus pierwsza strona. Naturalnie wcześniej będziemy twardo zaprzeczać, że je mamy, może nawet spreparujemy jakiś mylny trop... Tak czy inaczej, na pewno pojawi się jakiś przeciek...

Pascal wzruszył ramionami.

- Myślisz, że spróbuje was powstrzymać?

- Może. I na pewno poda do sądu po publikacji, powołując się na pogwałcenie prawa do intymności. Facet zatrudnia trzech doskonałych prawników i nie daje im chwili wytchnienia - Uśmiechnęła się. - To głupiec. Przyłapany w łóżku z Sonią Swan? Po tej aferze każdy stuprocentowy mężczyzna we Francji odda na niego swój głos w wyborach! Niewykluczone, że mógłby nawet liczyć na prezydenturę. Robię mu przysługę, ale nie sądzę, żeby spojrzał na to z mojego punktu widzenia... - przerwała, bo Pascal najwyraźniej błędził myślami gdzie indziej. - Tak czy inaczej, jeżeli zdjęcia najpierw pojawią się w Anglii i w Stanach, jesteśmy kryci - dodała. - Nie da się sądzić kogoś za pogwałcenie praw, które już zostały pogwałcone gdzie indziej. Swoją drogą, co za świętoszkowaty skurwysyn... Drobnny faszysta... Gra jest warta świeczki.

- Nie musisz się martwić. - Pascal odwrócił się twarzą do niej. - Wszystkie szczegóły zostały ustalone i dograne. Zdjęcia trafią do kiosków w Londynie i Nowym Jorku jeszcze przed końcem tego tygodnia.

- Wiem. - Francoise zajęła się układaniem fotografii w folderach. - Dziś rano dzwonił z Londynu Nicky Jenkins. Był słodki jak miód, prawie słyszałam, jak się oblizuje...

Pascal, który nie znosił Nicholasa Jenkinsa, redaktora naczelnego londyńskiego dziennika „Daily News”, w równym stopniu co Francoise, nie zareagował. Z roztargnieniem spojrzał na zegarek i ruszył do drzwi.

- Przepraszam cię, ale muszę już zniknąć. Jestem umówiony z Nicholasem na lunch. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się jeszcze złapać samolot do Londynu zaraz po dwunastej...

- Zadzwoń do mnie po powrocie. W środę wieczorem będzie u mnie kilkoro przyjaciół, byłoby miło, gdybyś i ty mógł wpaść...

Z wyrazu jego twarzy natychmiast odgadła, że nie przyjmie zaproszenia. Pascal stawał się samotnikiem. Większość zaproszeń konsekwentnie odrzucał, chyba że obecność na przyjęciu czy innej uroczystości mogła pomóc mu w sprawach zawodowych.

- Możliwe, że wrócę dopiero za jakiś czas - powiedział. - Nicholas wpadł na trop jakiejś nowej afery i chce, żebym się tym zajął.

- Następny skandal?

- Tak mówił.

- Większy od tego? - Ruchem brody wskazała zdjęcia.

- Znacznie większy i na razie otoczony wielką tajemnicą. Sądzę jednak, że Nicholas przesadza, jak zwykle.

- Jeśli rzeczywiście ma coś dobrego, powiedz mu, że chcę się podłączyć. Nie życzę sobie, żeby Jenkins dzielił się swoimi smacznymi kąskami z „Paris Match” lub jakąkolwiek inną redakcją...

Zawahała się. Pascal popatrzył na nią chłodnymi, szarymi oczami.

- Tylko posłuchaj, o czym rozmawiamy... - powiedział sucho i szybko odwrócił wzrok.

Kiedy znów na nią spojrział, na jego twarzy nie było śladu ironii. Wyglądał na przeraźliwie zmęczonego, może nawet zrozpaczonego. Francoise nagle zabrakło słów.

- Jesteśmy przyjaciółmi, znamy się od bardzo dawna - zaczęła niepewnie. - Mam nadzieję, że ufamy sobie... Kiedyś wszystko, co robiłeś, było takie... Dlaczego babrzesz się w tym błocie?

Utkwiła spojrzenie w zdjęciach, które jej przekazał. Odrzucił z czoła lok ciemnych włosów, tym samym pełnym nieświadomej irytacji gestem, który widziała setki razy. Dopiero teraz zauważyła, że jego skronie siwieją, a od skrzydełek nosa do kącików ust biegną bruzdy, których chyba jeszcze niedawno nie było. Przez chwilę miała wrażenie, że jest na nią zły. Jego oczy zabłyśły. Czekwała na impulsywną reakcję, lecz Pascal milczał. Odwrócił się do drzwi i Francoise pomyślała, że zamierza pozostawić jej pytanie bez odpowiedzi, jednak w progu odwrócił się i wzruszył ramionami.

- Pracuję dla pieniędzy - rzekł. - Z jakiego innego powodu miałbym nurzać się w błocie?

- Nie zawsze tak było...

- Nie, nie zawsze. Kiedyś pracowałem dla... - Przerwał, jego twarz w ułamku sekundy stała się zamknięta, obca. - Okoliczności się zmieniają - dodał chłodno.

Jego słowa nic jej nie powiedziały, chciała więc zapytać, co miał na myśli, lecz on już wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Na parkingu pod budynkiem redakcji Pascal wszedł do samochodu, włączył silnik, lecz po paru sekundach wyłączył. Ostatnie pytanie Francoise było niezwykle ważne, wiedział o tym. Długą chwilę siedział ze wzrokiem utkwionym w przednią szybę, nie widział jednak przejeżdżających samochodów i przechodniów. Patrzył prosto w pustkę, pustkę, która teraz zajmowała centralne miejsce w jego życiu. Nie było tam ani optymizmu, ani szacunku dla samego siebie, za to bardzo dużo niechęci i pogardy. Poczul, jak ogarnia go rozpacz, a potem nienawiść do siebie.

Nie było sensu dłużej się nad tym zastanawiać. Nienawiść do siebie poprzedzała zwykle falę uzalania się nad własnymi porażkami, w której Pascal nie zamierzał się pogrążyć. Poza tym doskonale znał lek na rozpacz - nie alkohol, nie narkotyki, nie kobiety... Tamte środki wywoływały jeszcze głębsze przygnębienie, tym cudownym lekarstwem była praca.

Tak, praca, powiedział sobie Pascal i przekręcił kluczyk w stacyjce. Wrzucił wsteczny bieg, zawrócił, szybko przyspieszył i wjechał na obwodnicę prowadzącą do lotniska. Praca, tempo, pośpiech, koncentracja na szczegółach - oto, na czym teraz polegał. Taka kuracja miała jeszcze jeden plus - odpowiednio zastosowana, nie pozostawiała pacjentowi czasu na rozmyślanie. Pędząc w kierunku lotniska, uśmiechnął się z goryczą. W ciągu ostatnich trzech lat stał się prawdziwym ekspertem w wymijaniu niewygodnych myśli.



## VI

Genevieve pracowała nad nowym tekstem o seksie przez telefon. Pomysł wyszedł od Nicholasa Jenkinsa. Większość jego propozycji tekstowych dotyczyła seksu, w takiej czy innej formie.

W ciągu roku sprawowania funkcji naczelnego, Jenkins doprowadził do podwyższenia nakładu „News” o sto tysięcy egzemplarzy, więc wszystko wskazywało na to, że przynajmniej w tej dziedzinie instynkt redaktora i znawcy rynku prasowego podpowiadał mu właściwe rozwiązania.

Nie była to jednak polityka, w której gustowała Genevieve. Uważała, że pomysły Jenkinsa są tanie i wulgarne. Dziennik „News” był gazetą skierowaną do przeciętnie inteligentnego i wyrobionego czytelnika, nie brukowcem, posunięcia zaś naczelnego wymagały balansowania na linie. Ociekające seksem wypowiedzi dziewczyn z półświatka nie pasowały do tego typu prasy, więc podniecające założenia typowego artykułu a la Jenkins należało umiejętnie maskować. Zwykle też maską była „konieczność ujawnienia zła”. Jenkins ze wszystkich sił starał się podnieść dość obrzydliwe teksty do rangi sztuki. Genevieve mogłaby przełknąć wulgarność, tak jej się w każdym razie czasami wydawało, gdyby Jenkins nie udawał, że jest to jedyny środek zmierzający do przekazania ważnego przesłania.

Rozpoczynając wyszukiwanie materiałów do artykułu, zadzwoniła do kilku agencji zajmujących się świadczeniem usług seksualnych przez telefon, których podniecające reklamy znalazła na stronach konkurencyjnych gazet goniących za sensacją. W południe, po dwóch godzinach telefonowania, rozboleła ją głowa. Miała dość słuchania zduszonych okrzyków i zmysłowych jęków.

Teoria Nicholasa Jenkinsa głosiła, że gdzieś w Anglii działa Wielki Boss sieci seksu przez telefon. Zadaniem Genevieve miało być odnalezienie tego człowieka i wywleczenie jego mrocznej działalności na światło dzienne. Według Jenkinsa Wielki Boss był, lub raczej mógł być, znanym międzynarodowym przedsiębiorcą, którego bardziej legalne przedsięwzięcia obejmowały agencje zatrudniające modelki w Ameryce i na całym świecie oraz firmy trudniące się organizacją sesji nagranych i tras koncertowych gwiazd rocka. Przekonanie to Jenkins czerpał z sugestii Johnny'ego



Appleyarda, którego plotkarskie rewelacje naczelny „News” zawsze traktował jak wyrocznię.

Genevieve pokładała w nich znacznie mniejszą ufność. Jej zdaniem Appleyard był nachalnym, wtrącającym się w nie swoje sprawy plotkarzem z poważną słabością do koki, człowiekiem, którego międzykontynentalne afery w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach były wytworem fikcji.

Z westchnieniem odłożyła słuchawkę, przerywając w pół słowa ciężko dyszącej dziewczynie z południowej części Londynu („Francuska guwernantka poprawi twoje błędy”). Zamknęła oczy, oparła bolącą głowę na złożonych dłoniach i po raz setny wyobraziła sobie, jak przyjemnie byłoby powiedzieć Nicholasowi Jenkinsowi, żeby się wypchał. Przed pojawieniem się Jenkinsa w redakcji była dumna ze swojej pracy. W ciągu dziesięciu lat, jakie spędziła w Anglii, ciężko harowała na pozycję, jaką osiągnęła. Nie interesowały jej teksty o modzie, nowinkach kosmetycznych czy romantycznych komplikacjach w życiu zwykłych ludzi. Chciała pisać poważne teksty, reportaże dotyczące ważnych wydarzeń politycznych, zacząć dziennikarską karierę w taki sposób, jak kiedyś rozpoczął jej ojciec. Jej ambicją, z której nigdy nie zwierzyła się ojcu, było przebycie trudnej drogi od dziennikarstwa dochodzeniowego do reportaży zagranicznych. Sam Hunter pisywał reportaże wojenne i wiele lat temu otrzymał nagrodę Pulitzera za reportaże z Wietnamu. Dlaczego ona nie miałaby osiągnąć podobnego sukcesu? Posłuszna marzeniom, odbywała dziennikarski staż, ani na chwilę nie tracąc z oczu wytyczonego celu. Mocno wierzyła, że któregoś dnia ona także znajdzie się na froncie, w strefie działań wojennych.

Wojny przyciągały ją jak magnes. Uważała, że przekazywanie prawdziwych, obiektywnych doniesień z linii walk jest czymś ważnym i wyjątkowym. Czuła, że jeśli kiedyś będzie mogła się tym zająć, dowiedzie czegoś samej sobie, a może i ojcu, chociaż ten ostatni aspekt planu budził w niej niejasny niepokój.

I była już bliska osiągnięcia celu - naprawdę bliska. Wszystkie te trudne lata stażu w redakcjach takich gazet jak „Guardian”, „The Times” i „News” w końcu przyniosły oczekiwany efekt. Poprzednik Nicholasa Jenkinsa, dziennikarz, którego Genevieve szczerze podziwiała, przydzielał jej tematy, które stanowiły wyzwanie. Ostatnia sprawa, nad którą dla niego pracowała, dochodzenie w sprawie korupcji w

policii w północno-wschodnim regionie Anglii, przyniosła gazecie dwie dziennikarskie nagrody. Osobistą nagrodą dla Genevieve, ciężko zapracowaną nagrodą, miał być wyjazd na trzy miesiące do Jugosławii. W dniu, kiedy wszystko powinno zostać potwierdzone, miejsce tamtego naczelnego zajął Nicholas Jenkins.

- Jugosławia? - powiedział w ciągu sześciu minut, jakie w końcu zdecydował się jej poświęcić. - Sarajewo? Moja droga Genevieve, raczej nie...

- Dlaczego nie? - zapytała, chociaż doskonale знаła odpowiedź.

A ta odpowiedź nie miała nic wspólnego z jej umiejętnościami i kwalifikacjami, natomiast bardzo dużo ,z jej płcią.

- Ponieważ jesteś mi potrzebna tutaj - odparł Jenkins. - Mam w planie kilka naprawdę dużych spraw. Oczywiście, nie wykluczam reportaży z zagranicy, w żadnym razie. Wrócimy do tego za sześć miesięcy.

Sześć miesięcy później miał już nową wymówkę, po następnych trzech miesiącach wymyślił kolejną. Od tamtej rozmowy minął rok. Genevieve nie zbliżyła się do celu nawet o krok i przestała wierzyć zapewnieniom Jenkinsa. Co jej zostało? Seks przez telefon, pseudoafery nadana przez Johnny'ego Appleyarda. Z wściekłością spojrzęła na leżące na jej biurku koszarne reklamy i wybrała następny numer. Powiedziała sobie, że da Jenkinsowi jeszcze jeden miesiąc.

Jeżeli w tym czasie nie dostanie żadnego lepszego tematu, jeśli naczelny nadal będzie zbywał ją trywialnymi sensacjami, przyprze go do muru. Dawaj ciekawsze zlecenia, Nicholas, powie, albo wsadź sobie tę robotę...

Tymczasem połączyła się z następną agencją („Duże blondynki”) i usłyszała kolejny zdyszany głos.

- Ooooch... - jęczała wyraźnie znudzona dziewczyna. - Dziś wieczorem jestem całkiem sama... Zaraz rozepnę biustonosz... Wiem, że nie powinnam, ale jest taaaki straaaszny upaaał.... Czy mówiłam już, że noszę rozmiar 95D?

Genevieve jęknęła i utkwiała wzrok w oknie. Niebo było szare, z chmur siąpił zimny deszcz.

- Straszny upał? - mruknęła. - Masz szczęście, skarbie. U nas jakoś nie ma upału.

Nagranie ciągnęło się w nieskończoność. Genevieve usłyszała szelest, uchwycony na taśmie, kiedy dziewczyna przewróciła kartki scenariusza.

- Chyba powiem ci, co robię... Oooch, taaak... Rozpinam stanik... Oooch, tak jest dużo lepiej... Zsuwam go powoli... Czy mówiłam już, że cały jest z czarnej koronki?

- Nie, nie mówiłaś, kretynko! - warknęła Genevieve. - Pośpiesz się!

- Ma mocne fiszbiny... - Dziewczyna dyszała. Nagle zachichotała, bez cienia wesołości. - Muszę je mieć, bo jestem dużą dziewczynką i fiszbiny podtrzymują spory ciężar...

- Cholera jasna! - zirytowała się Genevieve. - Co to ma być - poradnik techniczny? Do rzeczy, do rzeczy!

Wiedziała, że traci czas i energię. Nagrany głos nie mógł zareagować, poza tym tego rodzaju sesje z założenia miały trwać jak najdłużej. Im dłużej jakiś nieszczęśnik słuchał tych głupstw, tym większy zysk zgarniała firma. Taka bezbarwna gra wstępna przez telefon mogła ciągnąć się godzinami. Scenariusze były do siebie podobne, ich wykonanie amatorskie. Genevieve wyobrażała sobie, jacy biznesmeni stali za tymi agencjami - drobni cwaniacy, dorabiający sobie na boku jako alfonsi. Im dłużej słuchała tych znudzonych dziewczyn, tym mniej wierzyła słowom Appleyarda.

Ziewnęła, przerwała monolog jednej z „Dużych blondynek” i wybrała numer „Opiekunek ze Szwecji”. Co za banalne stereotypy, pomyślała. Opiekunka ze Szwecji także miała południowolondyński akcent, poza tym lekko sepleniła i chyba cierpiała na dysleksję, bo nawet dwusylabowe wyrazy sprawiały jej spory problem. Kiedy całkiem się zaplątała, włączała wibrator. Teraz szczegółowo opisywała swoje majtki.

- Litości! - jęknęła Gini.

- Nie nadajesz się do tego tematu ze względu na płęć. - Jeden z dziennikarzy z działu krajowego przechylił się przez jej ramię i przytknął ucho do słuchawki. - Dlaczego Nicholas nie zlecił tego mnie? Kto to jest, na Boga?!

- Numer trzydzieści pięć, „Opiekunki ze Szwecji”.

- Sądząc po akcencie, pochodzi z Neasden, nie ze Sztokholmu!

- Wszystkie mają taki akcent.

- O, do diabła! Co to takiego?

- Jej wibrator. Znowu. Warczy nim równo trzydzieści sekund. Wszystkie to robią, mierzyłam im czas.

- Nicky chce, żebyś stawiała się w jego gabinecie. Zaraz. Powiedział, że masz wszystko rzucić, bo ma coś ważnego.

- Powinien zająć się pisaniem tych scenariuszy, ma idealny styl. - Genevieve odłożyła słuchawkę.

- Masz też odwołać lunch, jeśli z kimś się wcześniej umówiłaś - dorzucił kolega. - Poznasz jakiegoś fotoreportera, to podobno sprawa życia i śmierci. Podśledzałem, jak sekretarka Nicholasa rezerwowała stolik na trzy osoby w stołówce dla szefostwa.

Genevieve wstała zza biurka.

- Zmarnowane popołudnie! - warknęła. - Jesteś pewny, że chodziło mu o mnie? Odkąd to pracujesz jako goniec Jenkinsa?

Dziennikarz zasalutował jej z daleka.

- Wszyscy jesteśmy jego gośćcami - powiedział.

Potem odwrócił się i ruszył przez salę, między obklejonymi kartkami komputerami i zaśmieconymi biurkami.

Kiedy bóg wzywa, nie można go nie posłuchać. Gini wjechała windą na piętnaste piętro i stanęła na grubej, puszystej wykładzinie. Wielkie okna wychodziły na doki, żurawie, stopy skrzyń do przewożenia towarów, Tamizę i jej błotnisty brzeg.

Przeszła przez recepcję i już zbliżała się do najświętszego miejsca w całej redakcji, czyli gabinetu Jenkinsa, kiedy drzwi otworzyły się i na progu stanął naczelny we własnej osobie, wszechmocny, różowiotki, pewny siebie i elegancki.

- Ach, jesteś w końcu, Gini - powiedział. - Wejdz, wejdz, zapraszam! Charlotte, zrób Gini drinka.

Charlotte, główna sekretarka Jenkinsa, zrobiła komiczną minę za plecami szefa i przeszła obok Gini. Genevieve stała bez ruchu, wpatrzona w wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który stał przy biurku Nicholasa. Wydawało jej się, że w gabinecie zapadła kompletna cisza. Powietrze drżało, światła błyszczały jaśniej niż przed chwilą.

- No, wejdźże! - Nicholas prawie wciągnął ją do środka i popchnął w kierunku mężczyzny, który odwrócił się i patrzył na nią spokojnie.

- Przedstawiam ci Pascala Lamartine - rzekł Jenkins. - Na pewno o nim słyszałaś...

Gini ujęła dłoń, którą wyciągnął do niej mężczyzna. Czowała, jak krew odpływa jej z twarzy. Potrząsnęła ręką Lamartine'a i szybko ją puściła. Wiedziała, że musi coś powiedzieć, bo Nicholas przyglądał się jej uważnie.

- Tak... - odezwała się. - Słyszałam o nim, zresztą kiedyś już się spotkaliśmy...

- Dawno temu - uzupełnił Lamartine obojętnym tonem.

Jego akcent pozostał niezmienny. Zaciekawione oczy Jenkinsa znowu spoczęły na twarzy Gini.

- Wiele lat temu - powiedziała szybko, starając się mówić równie spokojnie jak Lamartine. - Byłam wtedy jeszcze w szkole... Pascal jest dawnym przyjacielem mojego ojca.

- Och, rozumiem - mruknął Jenkins i ku wielkiej uldze Gini natychmiast przestał się interesować jej wcześniejszą znajomością z Pascalem.

Wiele lat temu, w Bejrucie... Tyle, że Pascal nigdy nie był przyjacielem jej ojca, wręcz przeciwnie. Jej ojciec otrzymał nagrodę Pulitzera za całokształt dziennikarskiej pracy w Wietnamie, ale do czasu wojny w Libanie sława i alkohol pozbawiły go kłów i pazurów.

- Jestem starym bojowym rumakiem - mawiał, zamawiając pierwszego drinka w barze czterogwiazdkowego hotelu Ledoyen w Bejrucie, otoczony gromadą swoich dworzan i wielbicieli.

Ojciec Gini pochłaniał gin i sypał anegdotami jak z rękawa, ona zaś tkwiła w kącie, milcząca, ignorowana przez niego i jego znajomych. Z zażenowaniem odwracała wzrok od tego żalostnego spektaklu i wpatrywała się w obracające się nad jego głową skrzydła wentylatorów.

Bojowy rumak, stary wyżeł, tropiący wiadomości, czterdziestosześcioletni pijak... Jej ojciec, żywa legenda, wielki Sam Hunter, czczony i podziwiany przez wszystkich dziennikarzy. W Libanie Sam Hunter podpierał się pomocnikami,

tropicielami, i tylko raz na tydzień jeździł taksówką w miejsce, które nazywał linią frontu.

Na obrzeżach stłoczonej wokół Sama grupy stał młody fotoreporter, Francuz, przedstawiony przez australijskiego dziennikarza. Pascal Lamartine miał dwadzieścia trzy lata i przyjechał do Bejrutu już trzeci raz. Gini widziała jego zdjęcia i była pod ich wrażeniem. Sam Hunter także je widział, ale zbył ich znaczenie obojętnym wzruszeniem ramion.

- Fotografie? Co to kogo obchodzi? - To pytanie było ulubionym zwrotem Sama. - Dajcie mi spokój z tymi pijawkami. Jeden artykuł wart jest tysiąca zdjęć, mówię wam. To tanie obrazki - jednego dnia wycisną parę łez, następnego znajdą się w śmietniku. Natomiast słowa - słowa to jest coś, słowa trwają, zostają w pieprzonej podświadomości pieprzonego czytelnika. Pamiętaj o tym, Genevieve.

Pogarda okazała się obustronna, Gini natychmiast to zauważyła. Francuz został przedstawiony, rzucił jakąś uprzejmą uwagę, lecz nadal trzymał się na obrzeżach grupy. Jeden z admiratorów Sama wyskoczył z unizonym żartem i ojciec Genevieve włączył się jak odtwarzający wciąż tę samą taśmę magnetofon.

Francuz obserwował go w milczeniu. Nie odezwał się ani razu, lecz Gini czuła napływającą od niego co jakiś czas falę niechęci do Sama Huntera. Była młoda, naiwna i bardzo kochała ojca. Ramiona wentylatora obracały się, Hunter mówił i mówił, a serce Gini z każdą chwilą kurczyło się coraz bardziej. Młody Francuz stał w zasięgu jej wzroku, milczący, z kamienną twarzą. Nie starał się nawet ukryć pogardy.

Gini poczuła nagle dotyk bejruckiego powietrza, chociaż teraz była przecież daleko, w redakcyjnej stołówce londyńskiej gazety. Czuła zapach Bejrutu, zapach miodu i ciasteczek, araku i kawy, prochu i walących się pod strzałami murów, chociaż angielski lunch podawał jej angielski kelner. Nicholas Jenkins gadał bez przerwy, lecz przez jego słowa przebijał się inny, głębszy i bogatszy dźwięk - gwar ulic Bejrutu.

Jazgot karabinów maszynowych i nawoływania ulicznych sprzedawców... Miękkie głosy kelnerek... Zgrzyt opuszczanych żaluzji, gwałtowne bębnienie wielkich kropel letniego deszczu, zachodnie przeboje, sączące się z dansingowych sal, grzmot eksplozji i jękliwe zawrodozenie modlących się Arabów... Czuła to wszystko właśnie teraz, czuła suchy, nieprzytomny upał, oddychała powietrzem obcego kraju...

Pascal Lamartine wynajmował pokój niedaleko portu, tuż obok baru, nad tanim dansingiem. Pokoik miał cztery metry kwadratowe i był surowy jak cela mnicha. Pascal przechowywał swoje zdjęcia w kartonowych pudełkach, a umeblowanie składało się z materaca, dwóch krzeseł i malutkiego stolika. Kiedy Gini weszła tam po raz pierwszy, odkryła, że słycać w nim dobiegającą z dołu taneczną muzykę, a podłoga wibruje niczym pokład statku. Czasami wieczorem stawała przy oknie i przyglądała się, jak zmrok zapada nad portem. Gdy robiło się ciemno, rybackie łodzie wypływały z portu, a tancerki wychodziły na parkiet. Gini słyszała pomruk mężczyzn obserwujących tańczące dziewczyny, przyciszony jak odległy grzmot.

Zdarzało się, że wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby Pascal nie wrócił. Zdawało jej się, że widzi wybuchającą bombę lub snajpera i przeżywała śmierć Pascala. Liczyła sekundy, ulicznych przechodniów, nasłuchiwała brzęku szkła i niewyraźnych, niezrozumiałych szeptów z baru. Wreszcie drzwi się otwierały i Pascal wpadał do pokoju. Szybko, kochanie, mówiło któreś z nich, on albo ona, pośpiesz się...

Zmierzch, ciemność, blask neonu sączący się przez żaluzje. Czula zapach jego skóry, pamiętała spojrzenia, dotyk dłoni. Na przestrzeni minionych lat często zamykała oczy i pytała Boga, czy nigdy nie zdoła zapomnieć.

Wiele lat temu, w innym miejscu, w innym życiu. Od tamtej pory spotkała Pascala tylko raz.

Podniosła wzrok, starając się zepchnąć przeszłość tam, gdzie powinna się znaleźć, do martwej strefy. Pociągnęła łyk wody. Rozejrzała się po nowoczesnej kantynie, wróciła do rzeczywistości. Lunch był wystawny, zupełnie jakby Jenkins chciał zrobić wrażenie na Pascalu. Przed Gini leżał na białym talerzu jakiś mały ptak, glazurowana skórka została starannie obłożona winogronami. Jenkins wciąż mówił, a ona nie słyszała nawet słowa z tego, co wcześniej powiedział. Cała ta sytuacja wydała jej się nagle zupełnie nierzeczywista: Pascal siedział naprzeciwko niej, uprzejmy jak obcy człowiek, a w jej torbie spoczywały stalowe kajdanki. Wielka jadalnia była bardzo normalnym i bardzo zwariowanym miejscem.

Jenkins popijał meursaulta. Przed sekundą opróżnił kieliszek i znowu zaczął mówić. Bejrut zniknął, rozwiął się jak mgła. Gini zdała sobie sprawę, że uczestniczy w



jakimś spotkaniu, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa związanym z nowym tematem, i po raz pierwszy zaczęła słuchać naczelnego.

- ...całkowita dyskrecja. - Nicholas Jenkins się uśmiechnął.

Miał trzydzieści pięć lat, różowe policzki i nieco dziecięcą twarz, przybierał na wadze i nosił okulary bez oprawek. Jego odrobinę wymuszona wesołość nie do końca maskowała fakt, iż ze wszystkich sił stara się zrobić karierę.

- Żadnych przecieków - ciągnął, dźgając powietrze nożem. - Wszystko, co odkryjecie, ma być natychmiast sprawdzone, co najmniej dwa razy. Nie możemy pozwolić sobie na pomyłki, to naprawdę wielki temat.

Przeniósł wzrok z Gini na Pascala, przesunął do połowy zjedzoną przepiórkę na brzeg talerza.

- Chcę cię zatrudnić, Pascal, bo potrzebne mi są zdjęcia, jako że zdjęcia to dowód. I przydzielam ten temat tobie, Gini, ponieważ masz określone kontakty. - Uśmiechnął się tajemniczo. - Zrozumiecie, o co mi chodzi, gdy podam nazwisko... Nie wolno wam nikomu tego powtarzać, pod żadnym pozorem. Zachowajcie wszystkie informacje dla siebie, nie rozmawiajcie o nich w miejscach publicznych ani przez telefon, nie zapisujcie w redakcyjnym notatniku ani na dysku komputera, do którego wszyscy mają dostęp. Nie dzielcie się refleksjami z żonami, dziewczynami, chłopakami, ulubionymi psami i tak dalej, rozumiecie? Kompletna cisza w eterze. Pracujecie nad tym tematem razem. Zaczynacie od dzisiaj i kontaktujecie się wyłącznie ze mną, z nikim innym, w żadnym razie. Zrozumiano?

- Zrozumiano - odparła Gini, szczerze podziwiając aktorskie umiejętności Jenkinsa.

Zerknęła na Pascala i złowiła porozumiewawczy błysk w jego oczach. Potem Nicholas Jenkins wymienił nazwisko i rozbawienie w oczach Pascala zniknęło w jednej chwili. Twarz fotoreportera stała się skupiona i napięta. Podobnie jak Gini, natychmiast skoncentrował uwagę na Jenkinsie.

- John Hawthorne.

Nicholas odchylił się do tyłu, nie spuszczając z nich wzroku. Upewniwszy się, że jego rewelacja zaskoczyła ich i zaintrygowała, uśmiechnął się lekko.



- John Symonds Hawthorne i jego sławna żona, Lise Courtney Hawthorne - podjął po chwili. - Innymi słowy, jego eksceleńcja ambasador Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w Wielkiej Brytanii wraz z małżonką... - Jenkins uniósł kieliszek w żartobliwym toaście. - Idealna para, w każdym razie tak nam zawsze mówiono. Oczywiście wszyscy troje doskonale wiemy, że pary idealne nie istnieją...

Gini nagle w pełni pojęła, o czym mówi Jenkins i jakie mogą być implikacje jego słów. Zaczęła się koncentrować. Miała reporterską pamięć, podobnie jak Pascal. Kiedy tkwiące w jej pamięci fiszki zaczęły się przesuwać, zauważyła, że jego twarz także przybrała poważny wyraz. Nazwiska, daty, powiązania, znajomości, nowe i stare plotki... Gini zdawała sobie sprawę, że ich procesy myślowe przebiegają w bardzo zbliżony sposób.

Nicholas Jenkins spodziewał się bardziej dramatycznej reakcji. Uwielbiał reżyserować swoje występy i teraz, jakby postanawiając jeszcze przez chwilę zachować dalsze rewelacje dla siebie, pochylił się nad stołem, nagle chłodny i konkretny.

- Powiedzcie mi, co wiecie - powiedział. - A wtedy ja powtórzę, co słyszałem. Pascal, ty pierwszy.

Gini uważnie obserwowała Pascala. Mężczyzna, którego kiedyś знаła, nie interesował się ambasadorami i ich małżonkami, lecz ten Pascal najwyraźniej był kimś zupełnie innym.

- Dobrze - zaczął. - Hawthorne'owie mają politykę we krwi. Trzy pokolenia w służbie publicznej. Ich pieniądze pochodzą ze stali i stoczni. Obecnie interesy prowadzi młodszy brat, Prescott. Na ostatnio publikowanej liście Forbesa zajęli szóste miejsce. John Hawthorne ma czterdzieści sześć, może czterdzieści siedem lat...

- Czterdzieści siedem - wtrącił Jenkins. - Za parę tygodni będzie obchodził czterdzieste ósme urodziny.

- Wykształcony w Groton, potem Yale, gdzie skończył studia na wydziale prawa - Pascal na moment zawiesił głos. - Służył w Wietnamie, co czyni z niego wyjątek w tej grupie społecznej...

- Nie przestraszył się powołania do wojska - mruknął Nicholas. - W przeciwieństwie do wielu innych, których moglibyśmy wymienić...

- To prawda. - Pascal skinął głową. - Co jeszcze? Nie można nie wspomnieć o jego ojcu. Stanhope Symonds Hawthorne, wśród przyjaciół znany jako S.S.. Biorąc pod uwagę jego przekonania politycznie, nie jest to nieuzasadniony przydomek. Stanhope nadal żyje, chociaż jest już po osiemdziesiątce. Legendarny manipulant, rozdawca kart, człowiek stojący blisko serca politycznej maszyny... Częściowo sparaliżowany po ostatnim wylewie, porusza się na wózku, lecz nadal sprawuje rządy w olbrzymiej rodzinnej posiadłości w stanie Nowy Jork...

- S.S. Hawthorne... - Jenkins się zaśmiał. - Stary S.S., połączenie króla Leara i nazisty. Nie był najczulszym ojcem. Co z matką?

- Od dawna nie żyje. - Pascal wzruszył ramionami i zapalił papierosa. - Zginęła w wypadku samochodowym wiele lat temu, kiedy John miał osiem lat. S.S. nie ożenił się drugi raz i przez cały czas w pojedynkę rządził dynastią...

- A żona? Żona Johna Hawthorne'a? - zapytał z uśmiechem naczelny „News”.

- Słynna Lise? To wielka piękność, spokrewniona z Hawthorne'ami, ale dość odlegle, muszę to jeszcze sprawdzić. Pobrali się dziesięć lat temu. Podobno S.S. Hawthorne wybrał synowi żonę, ale moim zdaniem to nic pewnego. Mówiono mi, że John był nieprzytomnie zakochany w Lise. Tak czy inaczej, ich ślub był wielkim wydarzeniem. Ponad tysiąc zaproszonych gości... - W oczach Pascala znowu pojawił się błysk rozbawienia. - Jeśli dobrze pamiętam, panna młoda miała na sobie suknię zaprojektowaną przez St Laurenta, za jedyne trzydzieści tysięcy dolarów...

- Robiłeś fotoreportaż ze ślubu? - zapytał Jenkins.

Gini skrzywiła się lekko. Pascal rzucił Nicholasowi zimne spojrzenie.

- Nie - odparł. - Dziesięć lat temu nie robiłem zdjęć na ślubach. Byłem wtedy w Mozambiku.

- Tak, tak, oczywiście! - W głosie Jenkinsa zabrzmiało zniecierpliwienie, wywołane bynajmniej nie własnym brakiem taktu. Przeszłość innych zupełnie go nie interesowała, chyba że miała bezpośredni związek z przygotowywanymi przez niego tekstami. - Coś jeszcze? Na pewno słyszałeś jakieś plotki, w końcu taką masz pracę... Jakież skandale w rodzinie Hawthorne'ów?

- Nic z tych rzeczy. - Pascal pokręcił głową. - Ale przez ostatni rok pracowałem w Europie, nie wyjeżdżałem do Stanów. W tym czasie coś mogło się wydarzyć.

Słyszałem tylko, że Hawthorne'owie są niemodnie szczęśliwi. Mają dwóch synów, żyją przykładnie... Ona udziela się w organizacjach charytatywnych, on pozostaje w służbie publicznej. Mąż i żona, podziwiani i lubiani, krótko mówiąc, idealna para, dokładnie tak, jak mówiłeś.

Nicholas Jenkins rzucił Pascalowi ostre spojrzenie. Gini odniosła wrażenie, że miał ochotę na jakiś ryzykowny żart, ale się powstrzymał. Pascal Lamartine słynął ze skłonności do irytacji, więc Jenkins najwyraźniej postanowił trzymać język za zębami. Odchylił się teraz do tyłu w krześle, zadowolony z siebie i tajemnicy, której wciąż nie wyjawiał. Jakże on uwielbia informacje, pomyślała Gini. Jenkins z jeszcze nieujawnionym pomysłem na temat przypominał czuwającego nad swoim złotem skapca.

- Twoja kolej, Gini - powiedział, odwracając się ku niej. - Można jeszcze wiele dodać do tego opisu.

- Z pewnością... - Gini się zawahała. - Na początek powinnam chyba wyjaśnić, że oczywiście miałam okazję poznać Johna Hawthorne'a...

Ledwo wypowiedziała te słowa, a już tego żałowała. „Oczywiście” wymknęło jej się mimo woli. Siedzący naprzeciwko Pascal natychmiast zwrócił uwagę na ten zwrot.

- Oczywiście? - powtórzył z lekką ironią. - Czy Hawthorne także jest starym przyjacielem twojego ojca?

Przy stole zapadła nieprzyjemna cisza. Jenkins, którego zawsze cieszył wzrost napięcia między innymi, uśmiechnął się krzywo. Ton Pascala, leniwie maskujący swego rodzaju reprimendę, mocno zabolął Gini. Odczekała sekundę, lecz Jenkins już włączył się do rozmowy.

- Czyżbym coś przeoczył? - zapytał. - Mamy tu może jakąś małą tajemnicę? Twój ojciec zna Hawthorne'a?

- Nie mogę wykluczyć, że gdzieś się poznali - powiedziała Gini. - Ale nie, nie poznałam Hawthorne'a przez mojego ojca. Jak na pewno wiesz, mam także inne kontakty...

- Tak myślałem! - rozpromienił się Jenkins. - Mów dalej.

- Nie można tego zaliczyć do długich historii - Gini się uśmiechnęła. -

Spotkałam Hawthorne'a dokładnie dwa razy. Pierwszy raz wiele lat temu, kiedy pierwszą kadencję był senatorem. Było to kilka lat przed jego ślubem, gdy jeszcze chodziłam do szkoły. Miałam trzynaście lat, może trochę więcej, i rozmawiałam z nim najwyżej dziesięć minut.

- Czy to było w Anglii? - zapytał Jenkins. - Hawthorne spędził wtedy parę tygodni w Europie, tak?

- Tak. Drugi raz spotkałam go w zeszłym roku, kiedy przyjechał objąć urząd ambasadora. Zostałam zaproszona na jedno z przyjęć powitalnych i znowu zamieniłam z nim zaledwie kilka słów. Był bardzo zapracowany, w ambasadzie zjawiło się wtedy około dwustu osób.

- Zapracowany? - zdziwił się Nicholas.

- Musiał przywitać każdego gościa z osobna i każdemu powiedzieć coś miłego. To ciężka praca, możesz mi wierzyć.

- Dobrze wywiązał się z roli?

- Och, więcej niż dobrze. Znakomicie.

- A prześliczna Lise? Ona również tam była?

- Naturalnie, ale nie udało mi się z nią porozmawiać. Przez cały wieczór była otoczona zwartym kordonem wielbicieli.

- Ciekawe, ciekawe... - Jenkins odchylił się do tyłu. Pascal siedział w milczeniu i w zamyśleniu obserwował

Gini, która nie umiała odgadnąć, co kryje się w tym chłodnym, baczym spojrzeniu. Mogła to być wrogość lub zwykła niechęć. Tak czy inaczej, mimo zdenerwowania postanowiła, że nie pozwoli, aby jego milczenie i chłód wytrąciły ją z równowagi.

- Obudź się, Gini! - zniecierpliwił się Jenkins. - Powiedzże wreszcie, jakie zrobił na tobie wrażenie...

- Hawthorne? Naprawdę trudno mi będzie wyjść poza najbardziej oczywiste rzeczy... Jest wyjątkowo przystojny, czarujący... Słyszałam, że umie być hojny i okazuje zainteresowanie problemami innych. Bezlitośnie wykorzystuje wszystkie

kontakty i zawsze potrafi się zareklamować, ale wielu polityków robi to w znacznie mniej subtelny sposób...

- No, dobrze... - Jenkins pochylił się do przodu. - Wróćmy do informacji podstawowych... Czy chcesz dodać coś do tego, co przed chwilą powiedział Pascal?

Gini znowu się zawahała i spojrzała na Pascala. Przedstawiony przez niego opis Hawthorne'a był dość dokładny, ale zabrakło w nim kilku najistotniejszych faktów. Czy możliwe, aby nowa praca przyprawiła go o obsesję na temat tak trywialnych rzeczy jak modne śluby i suknie od wielkich projektantów? Gini nie mogła w to uwierzyć. Wydawało jej się, że Pascal drwi z pompatyczności Jenkinsa, ale nie była tego do końca pewna. Jedno było oczywiste - Pascal, którego dziennikarski instynkt był kiedyś wyostrzony do granic możliwości, zignorował najważniejszy i najbardziej interesujący aspekt błyskawicznej kariery Johna Hawthorne'a. Dlaczego?

- Na razie zatrzymam się przy jego karierze politycznej - powiedziała. - Powinniśmy zacząć od zagadki, prawdziwej tajemnicy. John Hawthorne jest obecnie ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii, prawda? Nie zapominajmy jednak, że z jego punktu widzenia musi to być ogromny krok do tyłu. Pięć lat temu Hawthorne był jednym z najpopularniejszych senatorów w kraju i wszystko wskazywało, że zamierza sięgnąć po najwyższy urząd. W latach 1989 i 1990 wszyscy prognostycy powtarzali zgodnym chórem: Hawthorne zostanie następnym kandydatem Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich.

- Właśnie! - Jenkins uśmiechnął się szeroko. - Z jego zdolnościami, majątkiem i charyzmą mógł bez większego trudu wejść do Białego Domu, zakładając oczywiście, że zgodziłby się startować w wyborach, a w to akurat nikt nie wątpił. Fascynujące, prawda? - Długą chwilę delektował się ciszą, z namaszczeniem zapalając cygaro. - W porządku - rzekł w końcu. - Tak więc w 1992 roku John Hawthorne mógł wystartować w wyborach prezydenckich z ramienia Partii Demokratycznej i objąć rządy w Owalnym Gabinetcie, lecz nie zrobił tego. Dalej, Gini.

- John Hawthorne jest częścią maszyny. Rodzinnej maszyny. Nasuwają się oczywiście porównania z klanem Kennedych, chociaż w przypadku Hawthorne'a nie można mówić o irlandzkich korzeniach. Ta rodzina pochodzi ze Szkocji. John wszedł do Senatu jako trzeci Hawthorne. Ojciec od najwcześniejszych lat przygotowywał go

do objęcia ważnego stanowiska państwowego, czy raczej stanowisk. Hawthorne skończył prawo, służył w Wietnamie, po powrocie został kongresmenem, potem senatorem - jego droga była gładka, szybka, niczym niezakłócona. Jest bogaty, inteligentny, pewnie dąży do celu, ma charyzmę. Świetnie radzi sobie na antenie radiowej, ma piękny, niski głos, znakomicie wypada w telewizji, bo kamera kocha jego prawie nienaturalnie doskonałą męską urodę. Krótko mówiąc, wspaniały materiał na nowoczesnego prezydenta. Hawthorne jako kandydat Demokratów w 1992 roku - takie były prognozy... - Gini na chwilę zawiesiła głos. - Ale coś poszło nie tak, jak powinno... Hawthorne nie zgłosił swojej kandydatury. Na początku 1991 roku zrezygnował z funkcji senatora i na cały rok zniknął z politycznej mapy, ku wielkiej radości zwolenników kandydata z Arkansas. Po wycofaniu się Hawthorne'a Clinton nie miał przed sobą żadnych poważnych przeszkód.

- Dlaczego zrezygnował? - zapytał Jenkins.

- Nigdy nie podał powodów, właśnie dlatego jest to takie ciekawe. Dlaczego odszedł z Senatu? Popierało go wielu potężnych, wpływowych członków Partii Demokratycznej - dlaczego zawiódł ich nadzieje? Nikt nie zna odpowiedzi na te pytania. Nie było żadnego skandalu, żadnych żenujących tajemnic, ujawnionych łapówek, romansów, związków z przedstawicielami świata przestępczego. Nic, po prostu nic. Mimo tego Hawthorne jednego dnia był liczącym się kandydatem na prezydenta, a następnego zniknął z politycznej sceny...

- Złożył oficjalne oświadczenie w tej sprawie - przerwał jej Pascal. - Jego młodszy synek poważnie zachorował.

- Och, oczywiście. I w rezultacie Hawthorne chciał poświęcić więcej czasu rodzinie. Nie mów mi, że dałeś się na to nabrać.

- Może i nie.

- Bo jeśli tak, to trzeba cię zaliczyć do jednoosobowej mniejszości... - prychnęła Gini.

- Dzieci, dzieci, proszę o spokój. Czyżbym wyczuwał tu pewną nutkę wrogości? - Jenkins, którego życiowa zasada brzmiała: „Dziel i rządź”, uśmiechnął się fałszywie i wykonał uspokajający gest. - Wracajmy do sprawy. Streszczajcie się, bo nie mamy czasu. Jak już powiedzieliście, Hawthorne odszedł z Senatu i nie stanął do

wyścigu o prezydencki fotel. I co dzieje się w miesiąc po zaprzysiężeniu nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych? John Hawthorne przyjeżdża do Wielkiej Brytanii, ściska rękę Elżbiecie II i zostaje ambasadorem. Całkowicie nieoczekiwana nominacja, prawda, Gini? Spróbujcie wyjaśnić mi ten krok w jego karierze.

Gini wzruszyła ramionami.

- Doskonale rozumiem, dlaczego ludzie Clintona zaproponowali mu to stanowisko. Oczami wyobraźni widzę, jak w czasie rozmowy w Owalnym Gabinetcie zadają sobie pytania: „Jak pozbyć się Hawthorne'a? Jak pogrzebać najpoważniejszego rywala prezydenta?”. No i wreszcie znaleźli idealny sposób... Tylko dlaczego Hawthorne zgodził się na zesłanie do Londynu? Przez całe życie był jak pocisk, który zmierza do wyznaczonego celu, czyli prosto do Białego Domu...

- Lecz w pewnym momencie zoczył z kursu - wtrącił Jenkins. - Naturalnie, zawsze można powiedzieć, że stanowisko ambasadora w Wielkiej Brytanii to niezwykle prestiżowy urząd, niektórzy widzieli w nim nawet świetny punkt startu do zawodów o prezydenturę, jednym z nich był Joseph Kennedy...

- Owszem, ale tak było ponad pięćdziesiąt lat temu. Czasy się zmieniają. Teraz ambasadorami zostają polityczni emeryci albo kobiety, w nagrodę za wyświadczone usługi. Zgodnie z realiami amerykańskiej sceny politycznej, Hawthorne jest teraz niewidzialny. Ambasadorowie nie trafiają na czołówki gazet. Przyjmując nominację, Hawthorne zagrał na zwłokę, odciął się od centrum władzy. Powiedziałabym, że coś zmusiło go do wyrażenia zgody na tę propozycję. Wie, że jest skończony, może nawet nie ma nic przeciwko temu...

Zapadła cisza. Jenkins delektował się pełną napięcia chwilą, w końcu uznał, że zwlekał wystarczająco długo. Pochylił się nad stołem, dmuchnął dymem z cygara w twarze Gini i Pascala.

- A gdybym tak powiedział wam, że Hawthorne wcale nie jest skończony? Że przemyślał swoje decyzje i teraz żałuje, że tak pochopnie zrezygnował ze złotej kariery?

- Uznałabym, że za długo się namyślał - mruknęła Gini.

- Jesteś pewna? - Jenkins się uśmiechnął. - Przeprowadźmy krótkie wyliczenie - założmy, że Clinton spędzi w Białym Domu całe dwie kadencje, czyli dotrwa do 2000



roku. Hawthorne, wtedy po pięćdziesiątce, będzie bez wątpienia wyglądał o dziesięć lat młodziej, podobnie jak teraz. Czy wykluczylibyście go z wyścigu? Człowieka o jego wyglądzie, możliwościach i koneksjach? Chyba jednak nie, prawda?

- W porządku, do pewnego stopnia mogę się z tym zgodzić - rzekła Gini. - Niewykluczone, że Hawthorne rzeczywiście mógłby pozwolić sobie na wielki powrót, ale nie uda mu się to bez wzmocnienia bazy w Stanach. Nie może zostać tu zbyt długo, bo przekreśli wszystkie swoje szanse...

Przerwała. Jenkins obserwował ją z uśmiechem. Gini, która dość dobrze знаła jego technikę działania, zrozumiała, że przed chwilą podrzucił jej wskazówkę, którą przeoczyła.

- Koneksje... - powtórzyła. - Och, rozumiem... Sądysz, że może wcale nie chodzi tylko o ambicje Hawthorne'a? Że jego polityczną przyszłość budują także inni ludzie?

- Tak sędzę, moja droga, tak sędzę... Przede wszystkim jego ojciec, a nie wolno nie doceniać starego S.S.. Słyszałem też, że wymienia się inne nazwiska, nazwiska bardzo wpływowych osób, reprezentujących potężne środowiska. Tak czy inaczej... - Jenkins przerwał i zaciągnął się cygarem. - Nie musimy się tym teraz zajmować, nie w tej chwili. Nie ściągnąłem was tutaj, żeby porozmawiać o być może świetlanej przyszłości Johna Hawthorne'a. Obecnie jest on jednym z najbardziej liczących się ambasadorów, człowiekiem o nieskalanej reputacji. Tyle że ja, w przeciwieństwie do was, słyszałem parę ciekawych, nawet bardzo ciekawych historyjek o Hawthornie. Tak, wręcz fascynujących... Waszym zadaniem będzie sprawdzenie, czy są wiarygodne. Jeżeli tak, to Hawthorne nie może liczyć na żadną przyszłość w polityce...

Jenkins popatrzył na Pascala i Gini. Koniuszek jego cygara żarzył się czerwienią. Gini zawahała się, zaskoczona milczeniem Pascala. Spojrzała na niego niepewnie, potem przeniosła wzrok na Jenkinsa.

- Chcesz powiedzieć, że Hawthorne ma wroga? - zapytała.

- Och, tak. Wyjątkowo podstępного wroga.

- To w pewnym sensie normalne. Ludzie tacy jak Hawthorne zawsze mają wrogów.



- Absolutnie się z tobą zgadzam. - Jenkins pokiwał głową. - Istnienie wroga nie ma wielkiego znaczenia, chyba że ten wróg może ujawnić coś, co John Hawthorne chciał zachować w tajemnicy. Coś, o czym wcześniej nikt nie wspominał, nikt nawet nie szeptał. Taki wróg...

- Poszedłby prosto do redakcji jednej z amerykańskich gazet - dokończył Pascal.

Gini drgnęła nerwowo. Francuz nie spuszczał wzroku z Jenkinsa.

- Najpewniej do „New York Timesa” lub do „Washington Post” - ciągnął Pascal. - Może nie zrobiłby tego wprost, ale bez wątplenia wykonałby taki krok. Nigdy nie udałby się do brytyjskiej gazety.

- To prawda - przytaknął Jenkins spokojnie. - Właśnie tak postąpiłby niebezpieczny wróg Hawthorne'a, chyba że w krytycznym momencie przebywałby w Anglii i miał angielskiego łącznika, kogoś, komu może ufać.

Przy stole znowu zapanowało milczenie. Jenkins uśmiechał się do Gini i Pascala, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. Gini widziała, że jej szef ma zamiar nadal delektować się chwilą ulotnego triumfu. Jenkins rozstawał się z informacjami równie niechętnie, jak żarłok z jedzeniem. Nie ulegało wątpliwości, że resztę historii trzeba będzie z niego wyciągnąć siłą.

- W porządku, wyjaśnijmy sobie, w czym rzecz - rzuciła. - Dotarły do ciebie pewne plotki o Hawthornie, tak? Istnieje coś, co Hawthorne stara się ukryć. Co to takiego? Oszustwa podatkowe?

- Nie.

- W takim razie chodzi o wpływy. Czy ma przyjaciół w niewłaściwych miejscach? Proponował łapówki wyborcom? Nawiązał kontakty ze światem przestępczym?

- Nic z tych rzeczy. W tych dziedzinach życia Hawthorne jest naprawdę wyjątkowy, ma naprawdę czyste ręce...

- Daj spokój, Nicholas, zmęczyło mnie już to zgadywanie.

- Jeszcze jedna próba, Gini.

- Dobrze. Seks... Chce ukryć coś, co dotyczy jego życia seksualnego.

- Ciepło, ciepło... Próbujcie dalej...

- Jeżeli chodzi o seks, to łatwo przewidzieć, co to za historia.

- Bieg najlepszych historii zwykle jest łatwy do przewidzenia. - Jenkins się zaśmiał.

- Kochanka? Nieślubne dziecko? Dziewczyny na telefon? Chwile zapomnienia z blondynkami?

- Masz rację, rzeczywiście chodzi o blondynki! - Nicholas uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Podobno interesują go wyłącznie jasnowłose dziewczyny...

Zaciągnął się cygarem i założył ręce na brzuchu z miną łagodnego, zadowolonego Buddy.

- Interesują go wyłącznie blondynki? - powtórzyła Gini. - Dziwnie to ująłeś...

- Bardzo konkretnie. Hawthorne zamawia tylko blondynki, chociaż oczywiście ma także inne wymagania i określa je w wyjątkowo precyzyjny sposób.

- Do rzeczy Nicholas.

- Proszę bardzo, Pascal. Blondynki... Hawthorne potrzebuje blondynek, lecz jego potrzeby są dość niezwykle, łagodnie mówiąc, nawet dla mnie, a przecież słyszałem już w życiu niejedno... Po pierwsze. - Podniósł w górę palec. - Zamawia je sobie bardzo regularnie, jedną raz w miesiącu, zawsze tego samego dnia, w niedzielę, dokładnie w trzecią niedzielę miesiąca. Po drugie, blondynka musi przez cały czas milczeć. Podczas... Podczas sesji, które odbywają, nie wolno jej się odezwać ani krzyknąć, dopóki Hawthorne jest z nią. Biorąc pod uwagę, jak wyglądają te spotkania, musi to być dość trudne, ale cóż, takie są zasady... Po trzecie, spotkanie trwa dokładnie dwie godziny, a dziewczyna występuje w kostiumie. W trakcie „zabawy” zdejmuje go, lecz nie do końca. Wkłada długie rękawiczki z czarnej skóry i nie wolno jej ich zdjąć. Może dotykać Hawthorne'a tylko dłonią w rękawiczkach...

- Rękawiczki? - odezwał się Pascal cicho.

Gini natychmiast zauważyła jego reakcję, Jenkins, który tokował na całego, niczego nie dostrzegł.

- Po czwarte, dziewczyna ma wypełniać wszystkie polecenia Hawthorne'a. Niektóre z tych rozkazów są dość niezwykle... Oczywiście są gusta i guściki... Zdarza się, że po spotkaniu z Hawthorne'em dziewczynie trzeba założyć opatrunki. Prawdopodobnie częściowo z tego powodu blondynki otrzymują bardzo wysokie gaże.

Słyszałem, że w Stanach dziewczyna dostawała za taką sesję dwadzieścia tysięcy dolarów, tutaj Hawthorne płaci dziesięć tysięcy funtów. Każda blondynka zamawiana jest tylko raz.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów? - Gini obrzuciła go niedowierzającym spojrzeniem.

- Hojnie, prawda? Może właśnie dlatego żadna z tych dziewczyn nie pobiegła do redakcji jakiejś gazety. Oczywiście jest jeszcze jedna przyczyna. Biorąc pod uwagę, co im się przydarzyło, nie sposób się dziwić, że wszystkie są śmiertelnie wystraszone... Fascynująca sprawa, nie sądzicie? Te przykłady obsesyjnych zachowań... Należy też pamiętać, że Hawthorne ma za dużo do stracenia...

- To śmieszne! - zaczęła Gini, prawie wchodząc w słowo Pascalowi. - Przecież to zwykłe plotki, śmieci! Barwne, oczywiście, ale nie wierzę w ani jedno słowo!

- Ja także. - Pascal podniósł się zza stołu. - Tracimy czas. Blondynka regularnie co miesiąc? Bzdury! Ten człowiek jest ambasadorem, na miłość boską, a wcześniej był senatorem Stanów Zjednoczonych! Aby zaaranżować takie spotkania, potrzebowałyby pomocy innych osób, przede wszystkim kogoś ze swojej asysty i ochroniarzy. Ktoś taki jak Hawthorne rzadko bywa przecież sam, więc nie ma szans, aby zdołał utrzymać coś podobnego w tajemnicy. Dwa miesiące, najwyżej trzy i cała sprawa błyskawicznie rozniosłaby się po mieście...

- Wiem - odparł Jenkins spokojnie. - Niemniej z moich informacji wynika, że ciągnie się to od lat co najmniej czterech. Krótko mówiąc, chodzi o naprawdę dużą liczbę blondynek.

- Chyba oszalałeś. - Pascal nie starał się ukryć zniecierpliwienia i niesmaku. - I po to ściągnąłeś mnie do Londynu? Równie dobrze mogę się już pożegnać...

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu. - Nicholas ostrzegawczo podniósł dłoń. - Nie słyszałeś jeszcze wszystkiego. Słuchajcie, w pierwszej chwili zareagowałem tak samo, nie chciałem wierzyć w ani jedno słowo. Z całą pewnością nie ściągnąłbym cię tu z powodu głupich plotek, bo jesteś na to za drogi...

Pascal się zaczerwienił. Jenkins krótkim gestem wskazał mu krzesło.

- Siadaj, mój drogi, siadaj! - ciągnął. - I pozwólcie mi dokończyć. W związku z tą historią pojawia się oczywiste pytanie, prawda? Kto wystąpił w roli źródła informacji...

- W porządku, czekam jeszcze pięć minut. - Pascal usiadł. - Więc kto był twoim źródłem? Jedna z tych dziewczyn?

- Skądże! - Jenkins rzucił mu oburzone spojrzenie. - Myślisz, że potraktowałbym poważnie historię opowiedzianą przez jakąś dziwkę? Moje źródło znajduje się blisko ambasadora.

- Rozmawiałeś z nim w cztery oczy?

Po raz pierwszy od początku rozmowy Jenkins stracił odrobinę pewności siebie i odwrócił wzrok.

- Nie - przyznał niechętnie. - Jeszcze nie. Informacje zostały przefiltrowane, otrzymałem je z drugiej ręki...

- Od kogo?

- To nazwisko na pewno nic nie powie ani tobie, ani Gini. Jest to mężczyzna, niejaki James McMullen. Tak się składa, że chodziłem z nim do szkoły. Właściwie znam go od dziecka.

- McMullen? - Pascal zerknął na Gini, która pokręciła głową. - Kim jest ten twój szkolny kolega?

- Nikim szczególnym. - Jenkins szybko odzyskał równowagę i zadowolenie z siebie. - Jest dobrze ustawiony, ma mnóstwo koneksji w towarzystwie. Inteligentny, wykształcony, studiował w Oksfordzie. Brak mu silnego charakteru i motywacji do osiągnięcia sukcesu. Rzucił studia, przez kilka lat służył w armii jako oficer, potem zrezygnował. Pracował w City, to tu, to tam. Chyba nie mógł się zdecydować, co właściwie chce robić, i zaczął dryfować po powierzchni życia.

Jest przystojny, czarujący, uczciwy, ma dobre serce, ale stracił kontakt z rzeczywistością. Można powiedzieć, że nie bardzo pasuje do współczesnego świata. Odezwał się do mnie trzy miesiące temu, czym bardzo mnie zaskoczył, bo nie spotykaliśmy się od wielu lat.

- I opowiedział ci tę historię o blondynkach? - Gini nie spuszczała wzroku z twarzy szefa. - Próbował ci ją sprzedać? Ile za nią chciał?

- Nic. Mój przyjaciel James nie myśli w ten sposób. Jest prawdziwym dżentelmenem, należy do wymierającej rasy. Wątpię, czy w ogóle wie, że gazety płacą za takie informacje. Nie, James nie chciał pieniędzy, zależało mu na czymś o wiele bardziej subtelnym. Chce, żeby prawda o Hawthornie ujrzała światło dzienne.

Jenkins zamilkł. Gini zdawała sobie sprawę, że Pascal gorączkowo myśli nad rewelacjami Jenkinsa i kalkuluje. Jego zniecierpliwienie znikło bez śladu.

- Dobrze... - odezwał się w końcu. - Więc twój przyjaciel był pośrednikiem, przekazał ci te informacje w imieniu kogoś trzeciego... Czy ta osoba naprawdę należy do otoczenia ambasadora?

- Och, tak... Do jego najbliższego otoczenia.

- I możesz ustalić, jaki jest związek między McMullenem i podstawowym źródłem?

- Ależ oczywiście! Na samym początku poprosiłem McMullena o dowód, że rzeczywiście dobrze zna tamtą osobę, a on spełnił moją prośbę. Widziałem, jak jadł lunch z osobą, o której mówię. Nie ulega wątpliwości, że są starymi znajomymi, więcej, przyjaciółmi. Potem... - Jenkins zawiesił głos i uśmiechnął się. - Potem, również za moją namową, nagrał swoją rozmowę ze źródłem na dostarczonym przeze mnie sprzęcie. Jutro nagranie zostanie skopiowane i wtedy wam je przekażę. Kiedy usłyszycie rozmowę, zrozumiecie, że James nie kłamie i że faktycznie jest bardzo blisko ze źródłem...

Pascal wzruszył ramionami.

- Niech będzie, zaczekamy do jutra. Podsumujmy: McMullen jest blisko źródła informacji, a źródło jest blisko Hawthorne'a. Jak blisko? Czy jest to ktoś zatrudniony w jego domu, czy w ambasadzie? Pokojówka? Kierowca? Jeden z jego asystentów? Ochroniarz?

- Bliżej.

- Ktoś z rodziny? Brat? Jeden z niezliczonych kuzynów? - Gini potrząsnęła głową. - Nie, nie uwierzę w to. Hawthorne'owie tworzą zjednoczony, zwarty front, nikt z tej rodziny nie ujawniłby takiej sensacji...

Jenkins nie słuchał. Siedział z wzrokiem utkwionym w wielkim oknie, za którym powoli zapadał zmierzch. Gini widziała, że jest zachwycony wrażeniem, jakie

zrobiła na nich ta informacja. Jenkins uwielbiał sukcesy, triumfy przyprawiały go o prawie fizyczną rozkosz. Pomyślała, że na pewno najważniejszą część zostawił na koniec.

- Można by nawet zaryzykować tezę, że źródłem jest sam ambasador - odezwał się znowu z namysłem. - Można, ponieważ ten comiesięczny rytuał posiada jeszcze jeden aspekt, aspekt, o którym dotąd nie wspomniałem. Wygląda na to, że kiedy Hawthorne wraca ze spotkania z blondynką, lubi omawiać wszystkie szczegóły, i to bardzo dokładnie. Jest to swoiste zakończenie nocnych rozrywek. Z tego, co słyszałem, największą satysfakcję Hawthorne czerpie właśnie z tych relacji.

- Chcesz powiedzieć, że Hawthorne opowiada komuś o swoich wyczynach? - Na twarzy Gini pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia. - Niemożliwe. Wraca, siada przy kominku i opisuje, co robił? Bardzo cię przepraszam, ale...

- Nie siada przy kominku - przerwał jej Jenkins ze złośliwą satysfakcją. - Podobno najbardziej lubi snuć te opowieści w łóżku...

- W łóżku?! Więc...

- Więc naszym źródłem jest żona ambasadora, moi drodzy. Sama Lise Hawthorne. Opowiedziała o wszystkim McMullenowi, swojemu staremu przyjacielowi, powiernikowi i opiekunowi, który dobrowolnie podjął się tej roli, on zaś powtórzył to mnie. Na pewno uznacie, że wykazał się naiwnością i łatwowiernością, oddając taki dynamit w ręce redaktora naczelnego gazety... Cóż, mój przyjaciel James jest dość naiwny i zaczynam wierzyć, że ta sama cecha charakteryzuje małżonkę ambasadora... Piękna, przerażona, ufna, schwytna w pułapkę i coraz bardziej zrozpaczona Lise...

Jenkins wreszcie uzyskał zamierzony efekt. Przez parę chwil napawał się ich zdumieniem, a potem wstał zza stołu.

- Pani Hawthorne pragnie, aby ta sprawa wyszła na jaw - ciągnął. - Ponieważ jest wierzącą katoliczką, rozwód nie wchodzi w grę. Oczywiście, sąd dotarłby do prawdy, ale ponieważ Lise Hawthorne w zgodzie ze swoim sumieniem nie może wystąpić do sądu, postanowiła zwrócić się do prasy, do nas. Postawiła jeden warunek - musimy znaleźć dowody sami, bez jej pomocy. Nie wolno nam ujawnić, że informacje wyszły od niej...

- Czy to znaczy, że nie możemy z nią porozmawiać? - przerwała mu Gini. - Nie możemy skontaktować się z bezpośrednim źródłem?

- Tak jest, moja droga, nie możemy, w żadnym wypadku. Tak brzmi podstawowa zasada postępowania, warunek, którego nie da się ominąć. McMullen postawił sprawę jasno - żadnych rozmów z piękną Lise. - Jenkins uśmiechnął się szeroko. - Znaczy to, że czeka was mnóstwo pracy i biegania. Nie można liczyć na telefony do rezydencji ambasadora oraz jego małżonki. Nie można wypytywać pracowników Hawthorne'a, którzy w trzy sekundy po zakończeniu rozmowy z wami powtórzą wszystko szefowi...

- Cholera jasna! - Gini otworzyła kalendarz i zaczęła przerzucać kartki. - Trzeba sprawdzić, kiedy przypada trzecia niedziela tego miesiąca... Zaraz... Zostało nam jedenaście dni...

- Tak - odrzekł Jenkins. - Musicie wykorzystać każdy z tych dni do maksimum, wycisnąć z nich, ile się da, sprawdzić wiele szczegółów. Niestety, w opowieści mojego przyjaciela Jamesa jest wiele luk. Wiemy, kiedy odbywają się te spotkania...

- Nie wiemy jednak gdzie - dokończyła Gini.

- To nie powinno stanowić problemu - Pascal z roztargnieniem popatrzył na Jenkinsa. - W końcu McMullen powiedział ci naprawdę dużo, okazał się świetnym informatorem. Znajdziemy to miejsce, sądzę, że bez większego trudu. Gdzie jest teraz McMullen? Jak mamy się z nim skontaktować?

- Ach, tu pojawia się maleńki problem - mruknął pogodnie Jenkins. - Powinienem był wspomnieć o tym wcześniej... McMullen zniknął. Zapadł się pod ziemię. Mieliśmy się spotkać tuż przed Bożym Narodzeniem, James obiecał, że poda mi miejsce następnej randki Hawthorne'a, lecz się nie pojawił. Od ponad dwóch tygodni nie ma go w Londynie. Inni jego przyjaciele i znajomi także go nie widzieli. Do nikogo nie dzwonił ani nie pisał. Bardzo tajemnicze... Zupełnie jakby nie żył... Hmm... Jestem jednak przekonany, że wy go znajdziecie.

Zasalutował im żartobliwie. Gini odniosła wrażenie, że postanowił nie odpowiadać na więcej pytań.

- Muszę lecieć. - Uśmiechnął się do nich. - Jestem już spóźniony na spotkanie z szefami działów. Proszę, tu macie zdjęcie...



Położył na stole wizytówkę i fotografię, wykonaną dość dawno, co najmniej parę lat temu. Zdjęcie przedstawiało przystojnego jasnowłosego mężczyznę w mundurze. McMullen, pomyślała Gini. Kontury twarzy i sylwetki były nieco rozmazane.

- To jego adres, a to jedyna fotografia, jaką zdołałem odszukać, ale na początek dobre i to, prawda? Pascal, zgłoś się do Charlotte, mojej sekretarki. Wiem, że zarezerwowała ci jakiś przyjemny i wygodny pokój. Za parę dni porozmawiamy o efektach waszego dochodzenia, kochani. Wykażcie się dużym sprytem i dobrze się bawcie. *Ciao*.

## VII

- Czy Jenkins zawsze jest taki? - zapytał Pascal, kiedy opuszczali budynek „News”.

Gini wzruszyła ramionami i ciasniej otuliła się płaszczem. Dochodziła trzecia trzydzieści, lecz na dworze było już prawie ciemno. Zimny, przenikliwy wiatr niósł tumany deszczu ze śniegiem.

- Przecież go znasz, więc powinieneś wiedzieć. Tak, zawsze jest taki.

- Straszne z niego gówno - osądził ponuro Pascal. - Od początku to podejrzewałem, a teraz jestem pewny. Facet delektuje się brudami.

- Jasne, Jenkins karmi się ludzkim nieszczęściem. Nie on jeden.

- Cały ten pomysł to szukanie igły w stogu siana - Pascal spojrzął w żółto-granatowe niebo i postawił kołnierz kurtki.

- Nie da się tego dowieść, to zbyt daleko posunięte założenia.

- Może, ale wcale nie jestem do końca przekonana. Nicholas ma nosa do dobrych historii. Pomyśl - z jego punktu widzenia zawsze można będzie z tego wyciągnąć korzyść. Jeżeli oskarżenia wobec Hawthorne'a są uzasadnione, sprawa trafi na pierwsze strony, a jeśli okaże się, że są fałszywe, i tak mamy świetny temat - Lise Hawthorne usiłuje przekazać prasie kłamstwa na temat swojego męża...

- Może i tak... Chyba masz rację.



Zapadło niewygodne milczenie. Gini czuła na sobie wzrok Pascala i odwróciła głowę. Rozejrzała się dookoła.

Siedziba redakcji „News” w latach bezpośrednio po przeprowadzce z Fleet Street często była obiektem ataków pikiet związkowców. Gini nie lubiła tego miejsca. Ktoś słusznie nazwał budynek redakcji „fortecą w dokach”. Otaczały go wysokie, pięciometrowe mury, których górną część wzmacniały zwoje drutu kolczastego, a do środka wchodziło się przez zdalnie otwieraną bramę. Kilka ulic dalej, przez labirynt dawnych municypalnych terenów i przebudowanych magazynów, płynęła Tamiza. Bliskość rzeki i jej błotnistych brzegów sprawiała, że powietrze zawsze było tu nieprzyjemnie wilgotne. Czasami Gini nie mogła oprzeć się wrażeniu, że pracuje w więzieniu.

- Genevieve? - Pascal odwrócił się ku Gini, dotknął rękawa jej płaszcza i szybko cofnął dłoń.

Fakt, że użył pełnej formy imienia, wymawiając je z francuskim akcentem, przywołał przeszłość. Przez jedną krótką i nieopisaną bolesną chwilę Gini wspomniała tamten czas, spędzony w małym pokoiku w porcie. Przypomniała sobie, jak muzyka z dansingowej sali wprawiała w drżenie podłogę, jak w nocy daleko na morzu błyskały światła rybackich kutrów i co czuła, kiedy Pascal trzymał ją w ramionach.

Odwróciła twarz i utkwiała spojrzenie w bramie.

- Przykro mi... - odezwał się Pascal z wahaniem. - Nie wiedziałem, że mamy pracować razem. Daję ci słowo, że Jenkins nie powiedział mi o tym do ostatniej chwili, gdy stanęłaś na progu sali. Nie miałem pojęcia...

Gini westchnęła.

- A gdyby Jenkins cię uprzedził? Zgodziłbyś się pracować ze mną, czy byś odmówił?

Przez jego twarz przemknął cień, ale Pascal, którego zapamiętała, zawsze był uczciwy i teraz także udzielił jej szczerzej odpowiedzi.

- Gdyby to zdarzyło się parę lat temu, na pewno bym odmówił. Starałem się wtedy ratować swoje małżeństwo, głównie ze względu na Marianne... moją córkę... - Przerwał, spojrzał na nią i odwrócił wzrok. Wsunął ręce do kieszeni kurtki i lekko

wzruszył ramionami. - Tak, gdybym miał pracować z tobą wtedy, wycofałbym się. Myślę, że wiesz, dlaczego.

- Za dużo wspomnień?

- Częściowo. I byłoby to zbyt wielkie ryzyko. Gini uparcie nie odrywała oczu od bramy.

- Ryzyko? - powtórzyła w końcu.

- Kiedyś się pokłóciliśmy. Nie chciałem, żeby znowu do tego doszło.

Nie była to odpowiedź, jaką miała nadzieję usłyszeć. Ruszyła przez dziedziniec w kierunku swojego samochodu, odgarniając wilgotne włosy do tyłu. Pascal szedł za nią i po paru krokach dotknął jej rękawa. Przystanęła.

- Dlaczego pytasz? - odezwał się, nie kryjąc zdenerwowania. - Nie chcesz ze mną pracować, czy tak?

Odwróciła się i zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Twarz miał bladą i spiętą, włosy mokre od deszczu. Wyczuwała jego niepokój i dostrzegła go w oczach.

- Jeżeli tak jest, to po prostu powiedz, a ja zrozumieję - ciągnął. - Wycofam się. To nie ma znaczenia, nie skarzę się na brak zleceń. Zrobię to, mogę od razu powiedzieć Jenkinsowi, że rezygnuję. Jeśli chcesz...

Zawahała się. Lodowaty deszcz smagał jej policzki, malutkie płatki śniegu oblepiały powieki i rzęsy. Zamrugnęła, żeby się ich pozbyć.

- Nie - powiedziała po chwili. - Nie, nie rób tego... Poza wszystkim, to chyba interesująca sprawa, są szanse, że rzeczywiście trafi na pierwsze strony. Nie ma powodu, byśmy nie mogli pracować jako zespół. Kilka lat temu może mnie także byłoby z tym ciężko, ale teraz już nie. Teraz mam to już za sobą...

- Rozumiem.

- To było dawno - rzekła. - Dwanaście lat...

Pascal położył rękę na jej ramieniu, odwrócił ją twarzą do siebie. Popatrzył na nią w skupieniu, z bliska, potem z półuśmiechem poprawił daszek jej czapki.

- Po co to przebranie? - zapytał. - Baseballówka, męski płaszcz, ukryte włosy? Takie piękne włosy... Spodnie, martensy... Próbujesz zmienić płeć?

- Skądże! - Gini wykonała szybki, pełen zniecierpliwienia gest. - Po prostu nie lubię wyglądać zbyt kobieco, to wszystko. A przynajmniej nie wtedy, gdy pracuję. W pracy cały czas mam do czynienia z mężczyznami i... W takim stroju lepiej się czuję.

- Tylko twoje oczy nadal są takie same, wiesz o tym?

- Pascal, nie...

Cofnęła się gwałtownie i znowu odwróciła głowę. Czowała, że nadal na nią patrzy. Z nieba lały się potoki śniegu z deszczem, po drugiej stronie dziedzińca ktoś włączył silnik samochodu. Starła się odepchnąć wszystkie wspomnienia, które ją opadły, gdy usłyszała tę czułą, nieco rozbawioną nutę w jego głosie. Nie pozwolę, żeby znowu mnie to spotkało, pomyślała. Nie pozwolę.

Pascal się odsunął. Kątem oka dostrzegła, że zrobił dziwny gest, jakby wypuszczał coś z dłoni.

- Masz rację, oczywiście.

- Bądźmy przyjaciółmi! - powiedziała szybko. - Możemy przecież pracować razem jako przyjaciele, prawda? Zawsze powtarzaliśmy, że właśnie tak powinno to wyglądać, gdybyśmy się znowu spotkali. Bez rozgoryczenia. Bez wyrzutów...

- Tak mówiliśmy?

- Tak. Dobrze wiesz, że tak. Może nie tymi słowami, ale...

- Możliwe, chociaż ja zapamiętałem to trochę inaczej. - Teraz on odwrócił wzrok. Spojrzał w ciemne niebo, wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, masz słuszość - bądźmy przyjaciółmi. Kolegami po fachu. Jesteśmy przecież profesjonalistami, *les professionnels, toi et moi...*

- Proszę, nie mów po francusku...

- Dawniej sama mówiłaś po francusku. - Uśmiechnął się. - Z marnym akcentem i potwornymi błędami gramatycznymi, ale mówiłaś. Nadal słyszę twój głos...

- Nie rób tego! - wybuchnęła. - Nie będę z tobą pracowała, jeżeli będziesz taki...

Przerwała. Echo powtórzyło jej głośno, gwałtownie wypowiedziane słowa.

Miała wrażenie, że Pascal chce zaprotestować, ale chyba doszedł do wniosku, że nie powinien. Zmienił się, pomyślała Gini. Dawniej nie poddałby się tak łatwo. Jego twarz naznaczona była piętnem zmęczenia i rezygnacji.

- To mną wstrząsnęło - rzekł powoli. - Nie spodziewałem się, że cię spotkam.

- Wiem. - Zaciśnęła wargi. - Ja też się tego nie spodziewałam. Damy sobie z tym radę...

Pascal nie zareagował. Odwrócił się i ruszył ku bramie. Spróbowała dotrzymać mu kroku. Za nimi z okien budynku redakcji w gęstniejący mrok sączyło się zimne, fluorescencyjne światło.

- Rozwiodłem się - powiedział Pascal, gdy dotarli do garbusa Gini.

- Wiem, słyszałam. Ktoś z redakcji mówił o tym przy mnie. Nawet przez chwilę chciałam napisać, byś wiedział, że jest mi bardzo przykro. Naprawdę jest mi przykro...

- Rozwody się zdarzają - rzekł obojętnym tonem. Nagle jego twarz się rozpozodziła. - Oczywiście, staram się często spotykać z moją córeczką, Marianne... Ma siedem lat. Mieszka z moją żoną, ale widuję ją co tydzień. W czasie wakacji... - przerwał. - Nie wyszłaś za męża?

- Nie. Może nie należę do kobiet, które łatwo zdobywają mężów. Wiesz, jak to jest...

Znowu zamilkli. Wciąż czujemy się ze sobą bardzo nieswojo, pomyślała Gini. Otworzyła torbę i zaczęła szukać kluczyków.

- Często o tobie myślałem. Czytałem twoje artykuły. Widziałem, że dobrze sobie radzisz i cieszyłem się. Zawsze pragnąłem, żebyś odniosła sukces. I była szczęśliwa... Mam nadzieję, że o tym wiesz...

- Jestem szczęśliwa - odparła szybko. - Wszystko układa mi się znakomicie. Słuchaj, muszę już jechać. Czeka nas mnóstwo pracy. Chyba wstąpię do biblioteki Stowarzyszenia Dziennikarzy i przejrzę wycinki prasowe o Hawthorne'ach. A ty musisz przecież zameldować się w hotelu. Podwieźć cię?

- Nie, nie, dziękuję! O, tam stoi taksówka, pojedę nią...

Podniósł rękę.

Gini nadal szukała kluczyków w pełnej po brzegi torbie. Jej palce natrafiły nagle na sztywny papier, pudełko i zimny metal. Kajdanki, przypomniała sobie. Prawie zapomniała o odebranej rano przesyłce. Zanurzyła rękę głębiej i wreszcie znalazła kluczyki. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła, że Pascal nadal obserwuje ją w skupieniu, spod ściągniętych brwi.

- A twój ojciec? Jak on się czuje? - zapytał. - Mam nadzieję, że dobrze...

- Ojciec pracuje teraz w Waszyngtonie. Pije trochę więcej niż kiedyś. Rzadko go widuję. Nie musisz się silić na uprzejmość.

- Co z twoją macochą? Nadal mieszka na wsi?

- Nie, przeniosła się do Londynu. Kilka lat temu powtórnie wyszła za mąż, tym razem bardzo szczęśliwie. Jej mąż zmarł w ubiegłym roku. Przeżyła trudne chwile, ale powoli wraca do równowagi. Taka już jest... - Gini odrzuciła do tyłu włosy. - Wydaje mi się, że z łatwością byś ją polubił. Zresztą i tak powinieneś ją poznać...

- Powiniennem? - Pascal spojrział na nią ze zdumieniem.

- Och, tak! Mary może nam bardzo pomóc. To z jej powodu Jenkins przydzielił mi ten temat - ona jest „kontaktem”, o którym mówił.

- Twoja macocha?

- Tak. Mary zna rodzinę Hawthorne'ów od ponad czterdziestu lat, i to bardzo dobrze. Ona i John są bliskimi przyjaciółmi. Poznałam go właśnie przez Mary, w jej domu, na przyjęciu, które zorganizowała.

Przez twarz Pascala przemknął wyraz, którego Gini nie była w stanie zinterpretować.

- Naturalnie - powiedział. - Te wszystkie twoje rodzinne powiązania...

Gwarantują natychmiastowe wejście...

- Nie reklamuję ich.

- Jestem tego pewny.

- Tak czy inaczej, Mary w niczym nie jest podobna do mojego ojca, a on... -

Gini przerwała. - Nie powinieneś był go winić...

- Nie przypisywałem mu żadnej winy - odezwał się ostro. - Winilem wyłącznie siebie...

Taksówkarz nacisnął klakson.

- Do diabła! - Pascal spojrział przez ramię. - Kierowca się niecierpliwi, muszę iść. Ty też się pośpiesz, jeżeli chcesz przejrzeć te wycinki. Na pewno jest ich potwornie dużo. Więc... - Odwrócił się do niej. - Co robimy? Chcesz umówić się na później? Może zjemy razem kolację?

- Nie, nie dzisiaj, wieczorem wychodzę. Zaczniemy od rana. Zadzwoń do mnie, dobrze? Masz mój telefon?

Znieruchomiała. Wspomnienia napłynęły znowu, zupełnie niespodziewanie. Przez chwilę czuła na skórze upalne powietrze libańskiego lata. Czasami Pascal znikał na całe noce. Kiedy tak się zdarzało, zawsze dzwonił do niej do hotelu z samego rana, punktualnie o ósmej, a ona nieodmiennie natychmiast podnosiła słuchawkę. Taki był ich rytuał. Kochanie, możesz przyjść? Mam zdjęcia, wszystko w porządku. Nic mi się nie stało, jestem bezpieczny. Odwróciła się. Te wspomnienia wywoływały ból.

Pascal się zawahał. Chyba chciał powiedzieć coś jeszcze, ale bez słowa ruszył do czekającej taksówki. Odezwał się dopiero wtedy, gdy dzieliło ich już parę metrów.

- Zadzwoń rano. O ósmej.

Wewnątrz garbusa panował potworny ziąb, siedzenia były wilgotne. Gini włączyła wycieraczki. Patrzyła, jak taksówka odjeżdża i znika za bramą, potem wyłączyła silnik. Krople deszczu mocno uderzały o dach, przednia szyba zasnuła się mgłą. Gini oparła się o kierownicę i zasłoniła twarz dłońmi.

Była sztywna z wysiłku. Gdyby wiedziała, że go spotka, poradziłaby sobie znacznie lepiej... Trudno było znieść fakt, że przywitał się z nią jak ze znajomą, z kimś prawie obcym, ale przecież gdyby Jenkins ją uprzedził, przygotowałyby się na to.

Wyprostowała się, znowu przekreśliła kluczyk w stacyjce i trochę nieprzytomnie rozejrzała się po dziedzińcu. Od Bejrutu minęło dwanaście lat. Od ich ostatniego, jedyne i zupełnie przypadkowe spotkanie pięć...

Siedziała wtedy przy stoliku ulicznej kawiarenki na szerokim bulwarze lewobrzeżnego Paryża. Jasny blask słońca zalewał całe miasto. Gini nie była sama, towarzyszył jej dziennikarz, Anglik, dużo starszy od niej. Wdała się z nim w gwałtowny, od samego początku burzliwy romans, a wspólny wyjazd do Paryża nie poprawił sytuacji. Klócili się przez prawie całą noc i rano. Pijąc powoli aromatyczną kawę, usiłowała nie słuchać oskarżeń, które płynęły ku niej strumieniem. Za chwilę po prostu wstanę i odejdę, myślała. I już nigdy nie będę musiała na niego patrzeć... Odwróciła głowę, popatrzyła na wysadzany platanami bulwar i przechodzących ludzi, i nagle jej spojrzenie padło na złożoną z trzech osób rodzinę.

Szli w jej kierunku powoli, rozluźnieni i zadowoleni - wysoki ciemnowłosy mężczyzna, ciemnowłosa kobieta i ich dziecko. Mężczyzna obejmował kobietę ramieniem, a ona popychała przed sobą wózek z małą dziewczynką. Dziecko,

najwyżej dwuletnie, śmiało się i wywijalo rączkami. Później Gini zrozumiała, że jej wzrok przyciągnął ich spokój, brak pośpiechu i nieukrywana radość z przebywania ze sobą.

Spojrzała uważniej. Mała ubrana była w błękitną sukienkę i fartuszek, i... I wtedy Gini uświadomiła sobie, na kogo patrzy. Miała przed sobą Pascala, który śmiał się z czegoś, co przed chwilą powiedziała kobieta. To Pascal wziął kobietę za rękę, zahuszał ich złączonymi dłońmi i przyśpieszył kroku. To Pascal przystanął w odległości kilku kroków od Gini, odwrócił się do żony, powiedział coś i pocałował jej uniesioną twarz.

Szok był ostry, dogłębny i dotkliwy. Gini wiedziała, że Pascal się ożenił i że urodziło mu się dziecko, lecz aż do tej chwili nie miała pojęcia, co straciła.

Szybko przeniosła wzrok w inny punkt i spuściła głowę. Powtarzała sobie, że na pewno jej nie zauważył, a nawet jeżeli tak, to minie ją bez słowa, ale się pomyliła. Pascal zatrzymał się w odległości kilku kroków i po paru sekundach wahania odezwał się do niej.

Wolałaby nie pamiętać tego, co nastąpiło później, najchętniej wyrzuciłaby z pamięci sztywne słowa, uściski dłoni, bezsensowną wymianę zdań, szklane, przypominające skurcz uśmiechy. Powietrze iskrzyło, mięśnie policzków żony Pascala przeistoczyły się w twarde kamyki, dziewczynka zaczęła płakać... W końcu rodzinna grupka odeszła. Towarzysz Gini wychylił kolejnego drinka.

- No, no, no... - wycodził. - Coś takiego, Pascal Lamartine we własnej osobie... Kiedy się z nim pieprzyłaś? Tylko nie zaprzeczaj, błagam, bo masz to wypisane na twarzy. Zresztą, on także...

Nie odezwała się. Po prostu wstała i odeszła. I w pewnej chwili poczuła najprawdziwszą ulgę. Pobiegła do hotelu, w którym się zatrzymali, spakowała rzeczy i wyjechała. Ten mężczyzna był zupełnie nieważny. Teraz, siedząc w samochodzie, z trudem przypominała sobie jego imię i nazwisko, nie mówiąc już o twarzy...

Ale tamten widok małżeńskiego szczęścia... Och, zapamiętała go na zawsze, bardzo wyraźnie. Patrzyła na dziedziniec, ale przed oczami miała nieznanne życie Pascala, życie, w którym ona nie brała żadnego udziału. Kiedy kilka minut wcześniej



wspomniął o swojej córeczce, nie odwołał się do tamtego spotkania. Może zapomniał, że Gini kiedykolwiek widziała jego żonę i Marianne...

Było to zupełnie prawdopodobne, mogła się tego spodziewać. Zwolniła hamulec i powoli wyjechała za bramę.

Okazało się, że hotel znajduje się na Park Lane. Był duży, bardzo nowoczesny, międzynarodowy i anonimowy. Pascal otrzymał klucze do apartamentu dla biznesmena, z dwoma telefonami i faksem. Ponieważ teraz życie upływało mu w takich właśnie hotelowych pokojach, miał wrażenie, że mógłby poruszać się po nich z zamkniętymi oczami. Rozpakował się w ciągu dwóch sekund.

Sprawdził aparaty fotograficzne, wybrał numer obsługi hotelowej i poprosił, aby o ósmej przyniesiono mu coś do jedzenia. Wziął prysznic, przebrał się, krytycznie przyjrzał się powieszonym w szafie wygniecionym ubraniom i postanowił zmienić coś w swoim życiu. Czy Gini chciałaby pracować z mężczyzną, który wygląda, jakby poprzednią noc przespał w najbliższych zaroślach? Z pewnością nie! Jeszcze raz zadzwonił do obsługi, wezwał lokaja i szerokim gestem wskazał zawartość szafy.

- Proszę zabrać te rzeczy - powiedział. - Wszystkie. Proszę je wyczyścić i odprasować, koszule uprać. Mogę na to liczyć?

Służący uśmiechnął się i przytaknął. Nie skomentował faktu, że w szafie znajdują się trzy stare koszule, trzy pary niebieskich dżinsów i niezliczona liczba skarpet z różnych par.

- Skórzaną kurtkę również, proszę pana?

Pascal przeczesał palcami włosy, stawiając je na sztorc.

- Nie, kurtkę chyba nie... Jest zimno, będzie mi potrzebna.

- Przyszyć brakujące guziki do koszul?

- Da się to zrobić? Wspaniale!

- Jeżeli zamierza pan zatrzymać się u nas nieco dłużej, ośmieliłbym się wysunąć pewną sugestię...

- Zostanę tu tydzień, może dwa... Może dłużej... Tak?

- W hotelu na półpiętrze znajduje się doskonały sklep ze znakomitą konfekcją męską.

- Z garniturami? - zapytał Pascal podejrzliwie.

- Powiedziałbym raczej, że z ubraniami w dość nieformalnym stylu, takimi, jakie pan nosi. Jest otwarty do ósmej.

- Doskonale!

Dał służącemu więcej niż hojny napiwek i zszedł na dół. Ostrożnie przyjrzał się wspomnianemu sklepowi. Ubrania nie interesowały go w najmniejszym stopniu i kupował je rzadko, tylko wtedy, gdy poprzednie wydały już ostatnie tchnienie. Wziął głęboki oddech, wszedł do środka i zaczął ściągać z półek wszystko, co wpadło mu w ręce.

- To... - oznajmił. - I to... I trzy pary tych... I tamto...

Stos na kontuarze rósł w szybkim tempie. Sprzedawca obserwował Pascala z całkowitą powagą.

- Wszystkie te rzeczy są czarne, proszę pana. Jest pan pewien, że...

- Tak, tak, czarne - przytaknął Pascal, wyjmując kartę kredytową. Był już śmiertelnie znudzony. - Wszystko czarne, tak jest prościej...

Sprzedawca świetnie wiedział, kiedy trafia się wyjątkowa okazja. Śpieszący się klienci to najlepsi klienci, poza tym akurat temu naprawdę warto coś doradzić. Był wysoki, szczupły, doskonale zbudowany. Zasługiwał na to, żeby go dobrze ubrać.

- Czy pozwoli pan, że coś zaproponuję? Do tych rzeczy, które pan wybrał... Może klasyczną białą koszulę? Mamy koszule firmy Turnbull & Asser. I jakiś elegancki krawat... Krawaty z jedwabnych dzianin wracają do łask...

Pascal nie miał zielonego pojęcia, że krawaty z jedwabnych dzianin kiedykolwiek wyszły z mody. Rzucił sprzedawcy niepewne spojrzenie.

- Krawat? Nie noszę krawatów...

- Na uroczystą kolację, proszę pana? Lub na biznesowe spotkanie?

Pascal się zawahał. Przed oczami stanął mu nagle obraz Gini, siedzącej naprzeciwko niego przy stole, w łagodnym blasku świec... Oboje pili szampana i jedli cudownie smaczne dania. Gini sprawiała wrażenie absolutnie szczęśliwej. Kobiety lubią, gdy zaprasza się je do restauracji, pomyślał z powagą. Zmarszczył brwi.

- Krawat... - powtórzył z namysłem. - Krawat. Tak, chyba ma pan rację...

- Wczoraj dostaliśmy też nowe marynarki od Armaniego, proszę pana.

Swobodna linia, tylko odrobinę bardziej dopasowane od tych, które wielki mistrz lansował w zeszłym roku. Ta tutaj... - Sprzedawca sięgnął po marynarkę.

Niestety, wzrok Pascala padł na metkę. Na jego twarzy odmalowało się czyste przerażenie.

- O, nie! Na to nigdy się nie zgodzę! Niemożliwe! Nie do pomyślenia! Na górze mam skórzaną kurtkę...

- Ach, rozumiem... Ale jeżeli wybierze się pan na uroczystą kolację? Czy na pewno będzie odpowiednia? To kaszmir, naturalnie...

Pascal jeszcze nie wyszedł ze wstrząsu, jakiego przed chwilą doznał i bynajmniej nie wyglądał na przekonanego. Nagle sprzedawca doznał olśnienia.

- Poza tym taka marynarka doskonale się nosi, proszę pana. Należy o tym pamiętać. Klasyczny krój, wyśmienita tkanina. Minie dziesięć lat, a pan nadal będzie ją nosił...

Pascal nie był aż takim naiwniakiem, na jakiego wyglądał. Wiedział, kiedy umiejętnie nakłania się go do zakupu, i uśmiechnął się. W myśli dokonał błyskawicznej kalkulacji - może powiększenie garderoby o elegancką marynarkę rzeczywiście było uzasadnione, kto wie... Szybko doszedł do właściwego wniosku i dorzucił do stosu rzeczy białą koszulę, krawat z jedwabnej dzianiny oraz marynarkę.

- *Ca suffit* - oświadczył zdecydowanie. - Wystarczy. Ani jednej skarpetki czy paska więcej. Dosyć.

Po powrocie do pokoju, Pascal zdobył się na nie lada wysiłek i porządnie powiesił nowe ubrania w szafie. Ich widok budził w nim wyrzuty sumienia i coś w rodzaju złości. Restauracja? Uroczysta kolacja? Co za bzdury... Najprawdopodobniej nigdy w życiu nie zaprosi Gini do restauracji... W ciągu dnia będą razem pracować, a wieczory ona spędzi z mężczyzną, który odgrywa teraz jakąś rolę w jej życiu. Pascal zmarszczył brwi, niechętnie przyjrzał się tym idiotycznym nowym ciuchom i szybko zatrzasnął drzwi szafy.

Trzeba wziąć się do pracy, przykazał sobie. Usiadł przy biurku. Wspomnienia krążyły nad nim, tuż na krawędzi świadomości, a on nie chciał dopuścić ich bliżej. Praca pomoże mu utrzymać je na dystans. Otworzył gruby notatnik i zaczął robić listę

osób, z którymi powinien się skontaktować. Zapomnij o Bejrucie, o małym kwadratowym pokoiku w porcie i o wszystkim, co się tam zdarzyło, pomyślał. To było w innym kraju i w innym życiu.

Na chwilę zamknął oczy i wtedy ujrzał Gini taką, jaką zapamiętał z tamtego okresu. W milczeniu stała przy oknie. Świtało, okiennice były zamknięte i różowe światło, przedostające się do środka przez szpary podkreślało zarys jej nagiego ciała. Gini przyglądała mu się ze smutkiem, a on spał. Wreszcie obudził się, zobaczył ją i natychmiast zapragnął wziąć w ramiona. Wyciągnął do niej rękę.

- Kochanie, nie martw się... Nie bądź smutna... Znajdziemy jakieś rozwiązanie, zobaczysz. Kocham cię. Wracaj do łóżka...

Pascal zaklął pod nosem, zamknął notes i znowu go otworzył. Wspomnienie zbladło i odpłynęło, lecz wiedział, że wkrótce wróci. Nazwiska, kontakty, pomyślał. Ktoś ze znajomych na pewno mógłby mu pomóc w pracy nad tą historią... Ktoś, ale kto? Który z tych wszystkich numerów...

Dla Pascala jego kontakty były tak ważne jak krew dla organizmu. Musiały być lepsze od tych, które posiadali jego rywale, ponieważ to właśnie one, na równi z umiejętnościami, pozwalały mu utrzymać się w ścisłej czołówce. Ludzie, którzy z nim współpracowali, stanowili przekrój wszystkich klas i grup społecznych - od bardzo bogatych kobiet i mężczyzn, zainteresowanych głównie wydawaniem modnych przyjęć i podróżowaniem prywatnymi odrzutowcami, po tych, którzy spełniali potrzeby bogaczy: pilotów, szoferów, urzędników obsługi hotelowej, instruktorów narciarskich, ochroniarzy, pokojówki, nianie oraz ogrodników. Wśród znajomych Pascala znajdowali się także właściciele nocnych klubów, krupierzy, trenerzy tenisa, sprzedawczynie z drogich sklepów, a także dziewczyny na telefon, tworzące osobną i niezwykle użyteczną podgrupę. Pascal często czuł puls goryczy i złości tych, którzy zaspokajali kaprysy najbogatszych. Starannie skrywana wrogość, jaką darzyli swoich pracodawców, już dawno przestała go dziwić. Tak jak oni, wiele się nauczył, ocierając się o najpotężniejszych tego świata. Nie znosił hipokryzji uprzywilejowanych, nienawidził prawie nieświadomego lekceważenia, jakie okazywali mniej hojnie obdarzonym przez los.

Dobrze i szybko płacił za uzyskane informacje. Przewaga, jaką mu to dawało, czasami go bawiła, częściej budziła w nim obrzydzenie. Jego matka, twarda, bezpośrednia i bezkompromisowa, do ostatniego dnia swego życia krytykowała jego pracę.

- Kiedyś twoje fotoreportaże miały jakieś znaczenie - mówiła. - A teraz kim jesteś? Szakalem, hieną, *une espece de parasite*, zwykłym pasożytem...

Pascal najczęściej nie odpowiadał na te oskarżenia, w myśli podliczając rachunki. Francuscy adwokaci. Angielscy adwokaci. Dom na przedmieściach Paryża, za pięć milionów franków, których nie miał. Dom, który - jak twierdził francuski prawnik i jak powtarzała Helen - miał zapewnić zadowolenie jego byłej żonie i zatrzymać ją we Francji... Zatrzymać we Francji Marianne, blisko, jak najbliżej, we francuskiej szkole...

Kiedyś miało to dla niego ogromne znaczenie. Teraz okazało się, że nawet ten wysiłek, którego celem było przywrócenie poczucia bezpieczeństwa dziecku wstrząśniętemu rozwodem rodziców, nie przyniósł spodziewanych efektów, zawiódł nadzieje...

Pascal przerzucił parę kartek notesu i znowu go zamknął.

- Gdyby na świecie nie było zła i niesprawiedliwości, nie miałbym pracy, *maman* - powtarzał. - Ludzie kłamią, *maman*. Oszukują. Krzywdzą się nawzajem. Moje zdjęcia to pokazują, pokazują prawdę.

Ostatnim razem matka nie zniżyła się do odpowiedzi, a Pascal, zawstydzony i upokorzony, odwrócił się i odszedł. Wolał nie usprawiedliwiać swojej pracy, chociaż może mógłby to zrobić... Potrzebował pieniędzy, a zdjęcia, które niedawno zaczął robić, opłacały się dużo bardziej niż fotoreportaże przedstawiające ofiary wojny i klęsk żywiołowych. Dostosował się do hierarchii wartości społeczeństwa, w jakim przyszło mu żyć, lecz to stwierdzenie wydawało mu się wyjątkowo idiotyczne.

Wstał i włączył telewizor. W serwisie informacyjnym powtarzano doniesienia z kilku krajów Bliskiego Wschodu. Tydzień wcześniej izraelskie oddziały przypuściły atak na arabską wioskę położoną na okupowanych terytoriach - zginęło szesnaście osób, w tym dwóch mężczyzn podejrzanych o działalność terrorystyczną oraz pięcioro dzieci. Do tragedii doszło podczas ostatniej rundy rozmów amerykańsko-izraelskich.

Nowe porozumienie zakładało zwiększoną pomoc ze strony Stanów Zjednoczonych dla Izraela, także militarną. Przez Egipt przetoczyła się fala demonstracji antyamerykańskich, teraz to samo zaczynało się w Syrii, Iraku i Iranie. Manifestanci wykrzykiwali hasła pod ambasadami USA i siedzibami wielkich amerykańskich koncernów. Pascal patrzył, jak jego przeszłość wraca do niego w telewizyjnych migawkach - marsze protestacyjne, plakaty, slogany pogrzeby zabitych.

W Londynie wciąż trwały organizowane przez IRA ataki bombowe. Po południu saperzy rozbroili ładunek wybuchowy, umieszczony w półciężarówce porzuconej na parkingu pod dworcem Victoria. W Brukseli ministrowie spraw zagranicznych krajów Wspólnoty Europejskiej spotkali się, aby... W zachodniej części Anglii rzeki wystąpiły z brzegów w wyniku ulewnych opadów... Wyłączył telewizor. Pół godziny spędził na rozmowach telefonicznych z różnymi osobami, między innymi z byłą szefową supereleganckiego burdelu w XVI dzielnicy Paryża, która mogła wiedzieć, gdzie wpływowi mężczyźni mogliby raz w miesiącu zarezerwować sobie usługi blondynki, chętnej spełniać sadomasochistyczne życzenia. Efekty tych telefonów w przyszłości mogły okazać się niezwykle ważne, lecz na razie były nad wyraz znikome. Pascal wbił wzrok w ścianę pokoju. Znowu myślał o Genevieve i słyszał muzykę, dobiegającą z dansingu do małego pokoju w Bejrucie.

O siódmej, zmęczony i przygnębiony, wyszedł z hotelu i długo chodził ulicami. Minął ciche Mayfair, potem Oxford Street, pełną jasno oświetlonych, pustych sklepów. Wydawało mu się, że jego spacer nie ma konkretnego celu, lecz wkrótce okazało się, że jest inaczej. Nogi same zniosły go na Grosvenor Square, pod ambasadę Stanów Zjednoczonych.

Przystanął i chwilę obserwował budynek z przeciwnej strony ulicy. Gęsta kurtyna deszczu przesłaniała widok. Okna zabezpieczone antybombowymi osłonami błyszczały w ciemności. Przed głównym wejściem, u szczytu schodów, stało na straży dwóch żołnierzy piechoty morskiej. Było to dość niezwykle, więc Pascal wyteżył wzrok. Widział białe skarpety i szamerowanie mundurów, błysk blaszek na hełmach. Wejście było jasno oświetlone. Oczy Pascala spoczęły na moment na brązowym orle z szeroko rozpostartymi skrzydłami, czuwającym nad drzwiami.

Gotów bronić swoich, lecz także bezpardonowo atakować obcych, pomyślał, nieufnie przyglądając się wyniosłemu ptakowi. Orły, młoty, sierpy, wszystko to jedno i to samo. Pascal nie znosił nieskomplikowanej symboliki imperializmu. Podniósł wzrok na maszt, z którego powiewał gwiazdzisty sztandar.

Obecność dwóch *marines* obudziła jego czujność. Nagle usłyszał szybki tupot ich nóg, przechodzących do pozycji na baczność. Kiedy spojrział w dół, drzwi właśnie się otwierały.

Ze środka wysypała się grupa mężczyzn w ciemnych płaszczach. Szybko ruszyli w dół, ku limuzynie, która zatrzymała się u stóp schodów. Silnik wozu mruczał cicho, drzwi były otwarte. Dwóch ludzi z ochrony stanęło z przodu samochodu i z tyłu, ich oczy czujnie obserwowały plac.

Mężczyźni zbiegli na dół i nagle, jak na dany sygnał, tuż przy samochodzie rozstąpili się i cofnęli. Jeden z ochroniarzy podniósł rękę i powiedział coś do ukrytego w zegarku na przegubie dłoni mikrofonu. Przez pół sekundy, nie więcej, wysoki mężczyzna stał przy drzwiach limuzyny. Jego jasne włosy załśniły w mroku. Potem schylił głowę i wsiadł do środka, drzwi zatrzasnęły się i samochód ruszył.

Szybko, dyskretnie, z jednym wozem asysty, bez motocykli. Z drugiego końca Grosvenor Square Pascal przez pół sekundy patrzył na twarz ambasadora.

Dzięki czystemu przypadkowi miał szansę zobaczyć zwierzynę, na którą wcale nie miał ochoty polować. Limuzyna zniknęła. Pascal odwrócił się i ruszył do hotelu.

## VIII

- Czy to panna Hunter? Panna Genevieve Hunter? - dopytywał się głos w słuchawce.

Połączenie było fatalne, na linii słyhać było głośnie trzaski. Genevieve potrząsnęła słuchawką. Wróciła do domu niecałe pięć minut wcześniej, jej kot domagał się jedzenia, a ona nawet nie zdążyła zdjąć płaszcza. Poza tym nie poznawała tego głosu.

- Słucham? Tak. Tak, to ja...

- Mówi George.



- Kto? Jaki George?

- George z ICD, z firmy kurierskiej. - W głosie młodego człowieka zabrzmiało rozczarowanie i wyrzut. - Prosiła pani, żebym zadzwonił...

- Och, George! Przepraszam! - Gini z trudem wydobyla ramiona z płaszcza, przytrzymała słuchawkę podbródkiem i weszła do salonu.

Nie było tu zbyt porządku. Książki i papiery leżały na krzesłach i na podłodze pod stołem. Gini przedarła się przez salon do małej kuchni, usiłując nie potknąć się o wygłodniałego Napoleona, który z zapalem ocierał się o jej nogi.

- Przed sekundą weszłam do domu - podjęła. - I nie bardzo jestem w stanie jasno myśleć. Słyszysz ten hałas? To mój kot. Koniecznie chce dostać coś do jedzenia, i to natychmiast. Nie zwracaj uwagi na te odgłosy, słucham cię, próbuję tylko znaleźć otwieracz do puszek. I puszkę...

- Popytałem tu i tam. - George mówił jak urodzony konspirator.

Gini pomyślała, że chłopak najwyraźniej nieźle się bawi. Znalazła puszkę kocięj karmy, podjęła próbę otworzenia jej jedną ręką i krzyknęła głośno.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się George.

- Nic, nic... Skaleczyłam się tylko tą cholerną puszką, to wszystko. Mów dalej.

- Przesyłka wyszła z naszej filii w City, jak już mówiłem. Wygląda na to, że jako jedna z czterech takich samych...

- Czterech?

- Właśnie. Wszystkie były identyczne, tak mi powiedział kierownik zmiany. Tak samo opakowane, opieczętowane woskiem. Zapamiętał je.

- Były cztery identyczne paczki? To dziwne...

Łyżeczką wygrzebała z puszki mięsną potrawkę z witaminami i przerzuciła ją do miseczki Napoleona, którą postawiła przy zlewie. Napoleon przestał miauczeć i z wielką determinacją zabrał się do jedzenia.

- Cztery... - Gini uśmiechnęła się lekko. - Myślisz, że we wszystkich były kajdanki?

- Artykuły konfekcyjne, tak określono to w formularzach. Pozostałe trzy wysłano zagranicę. W zasadzie to wszystko, czego udało mi się dowiedzieć...

- Nie zdobyłeś adresów?

- Nie. Takie rzeczy są tajne, więc nie chciałem za bardzo się dopytywać. Ale może pani by mogła... Proszę porozmawiać z dziewczyną na górze, z działu wysyłkowego.

- Chyba tak zrobię. Pojadę tam rano. Bardzo ci dziękuję, George.

- Gdyby miała pani jakieś kłopoty, to zawsze może pani do mnie zadzwonić... - George zawiesił głos. - Strasznie nieprzyjemnie jest dostać taką anonimową przesyłkę. Musiała pani przeżyć szok.

- Masz rację, naprawdę to mną wstrząsnęło...

Poczuła szczere współczucie dla młodego człowieka, z którego głosu emanował smutek samotności. Potrafiła go rozpoznać, jakże by inaczej... W końcu sama często czuła się bardzo samotna.

Zapisała numer jego telefonu na odwrocie rachunku za ubezpieczenie, który powinna była opłacić tydzień wcześniej, pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Napoleon skończył już kolację i wymownie spojrzął na puszkę, w której zostało jeszcze trochę kawałków mięsa. Kiedy wstawiła puszkę do lodówki, rzucił jej urażone spojrzenie i skupił się na toalecie.

- Och, Napoleonie, Napoleonie... - Gini pocałowała kota w głowę. - Kajdanki... Prawie o nich zapomniałam. Czy ktoś próbuje mnie przestraszyć, czy zastraszyć? A może miał to być jakiś durny kawał? Jak myślisz?

Miała sobie za złe te rozmowy z kotem, lecz nie potrafiła się bez nich obyć. Napoleon dobrze znosił nawet najdłuższe monologi. Kiedy wróciła do salonu, przemknął tuż za nią, wskoczył na jedyne niezawalone papierami krzesło i ułożył się do snu.

Gini, która nie miała najmniejszego zamiaru wychodzić (dlaczego powiedziała coś takiego, na miłość boską?), podjęła krótkotrwałą i niezbyt zaangażowaną próbę sprzątnięcia salonu. Przeniosła część papierów z podłogi na biurko i zapaliła gazowy kominek, dzięki któremu pokój sprawiał trochę przytulniejsze wrażenie. Potem zrzuciła buty, na bosaka udała się do sypialni, bezradnym spojrzeniem ogarnęła narastający i tutaj bałagan, wepchnęła trochę porozrzucanych rzeczy do szaf i strzepnęła narzutę na łóżko.

W kącie znalazła sporą górkę rzeczy do prania, a wśród nich kilka par rajstop, które opłotły pozostałe ubrania niczym oszalala ośmiornica. Wrzuciła wszystko razem do pralki, włączyła ją i zajrzała do lodówki. Zobaczyła jedną pomarańczę, kawałek starego sera, puszkę z resztą kociej karmy, ząbek czosnku, dwa zwiędłe liście sałaty oraz owiniętą w przeźroczystą folię kanapkę z tuńczykiem, o której zapomniała jakiś czas temu i która teraz zaczynała już cuchnąć.

Sprawnym ruchem umieściła kanapkę w śmietniku i zatrzasnęła drzwi lodówki. Chwilę się zastanawiała, czy jednak nie wyjść do sklepu spożywczego pana Patela, jedynej takiej instytucji w promieniu kilku kilometrów, która była otwarta do ósmej wieczorem, lecz w końcu zdecydowała się zamówić przez telefon pizzę.

Czekając na dostawę, wiedziona impulsem zajrzała do szuflady biurka. Nienawidziła sentymentalizmu, gardziła nim, podobnie jak żalonymi osobnikami rozmawiającymi z kotami, lecz w tej chwili odsunęła te uczucia na plan dalszy. W tylnej części szuflady, starannie ukryte, aby nie przywoływać wspomnień, znajdowało się pudełko po butach, a w pudełku pamiątki, relikwie. Tak, pamiątki, albo raczej szczątki, sprostowała surowo.

Usiadła przy kominku i zaczęła je wyjmować, jedną po drugiej. Były to marne, nieważne przedmioty, większość ludzi wzięłaby je za zwyczajne śmieci. Kartka z godzinami działania obsługi w hotelu Ledoyen w Bejrucie - na odwrocie tej kartki Pascal zapisał swój adres. Pożółkły egzemplarz powieści, *Obcy* Camusa, oczywiście po francusku. Gini kupiła tę książkę, ponieważ Pascal powiedział kiedyś, że ją podziwia, więc ona przysięgła sobie, że przeczyta ją w oryginale, kiedy tylko poduczy się francuskiego. List od Pascala, też po francusku. Kwiatek z dziedzińca niedaleko jego domu, który kiedyś dla niej zerwał, teraz wyschnięty i zbrązowiały, rozsypujący się w proch nawet przy najlżejszym dotyku. Łuska pocisku, którą podarował jej na szczęście - pocisk ten odbił się od muru i przeleciał tuż obok niego, w odległości dwudziestu centymetrów, może bliżej. Jeden kolczyk, maleńki, złoty, taki, jakie często noszą arabskie dzieci. Pascal, prawdziwy romantyk, namówił jubilera, żeby sprzedał im kolczyki na raty - ten pierwszy od razu, na urodziny Gini, a drugi na święta Bożego Narodzenia, za cztery miesiące. Nie kupił jej drugiego, ponieważ rozstali się na długo przed świętami. Pascal został w Bejrucie, Gini wyjechała.

Wyjęła mały kolczyk z pudełka i położyła go na dłoni. Jego zakup był długą, skomplikowaną transakcją. Bez najmniejszego trudu przywołała z pamięci obraz ciemnego wnętrza sklepu, lśnienie złota i srebra, wagę, według której kupiec określał cenę przedmiotów. Gini i Pascal usiedli na twardych krzesłach o wysokich oparciach, jakiś chłopiec przyniósł im słodką miętową herbatę. Gini zdążyła już odkryć, że w Bejrucie kupno nawet zupełnie małego, taniego przedmiotu wiązało się z określonym rytuałem. Sprzedawca biżuterii rozmawiał z Pascalem specyficzną mieszanką francuskiego i arabskiego. Pascal powtórzył jej z uśmiechem, że kupiec tłumaczył mu, iż taki podarunek, ofiarowany przez młodego mężczyznę młodej kobiecie, to wyraz głębokich, świętych uczuć i wymaga wyjątkowej oprawy.

- Będzie rozczarowany, jeżeli zbyt szybko podejmiemy decyzję - powiedział Pascal po angielsku. - Nie spiesz się z tą herbatą, powinniśmy na to poświęcić co najmniej pół godziny...

Gini powoli sączyła herbatę. Jeszcze dziś czuła aromat mięty i słodki, bardzo słodki smak, słyszała cicho wypowiedane francuskie i arabskie słowa. Siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę i powtarzała sobie, że teraz, właśnie teraz powinna wyznać prawdę. Powinna wyjaśnić Pascalowi, jeszcze zanim kupi dla niej jakiś drobiazg, że okłamała go co do swego wieku. Zdanie, które należało powiedzieć, wydawało się stosunkowo proste: *Nie mam osiemnastu lat, tylko piętnaście...* W milczeniu wpatrywała się w podłogę. Złoto lśniło. Nie potrafiła wydobyć z gardła tego nieskomplikowanego wyjaśnienia. Pascal pokazał jej pierścioneł, potem bransoletkę. Potrząsnęła głową. Z trudem przełknęła ślinę. Może jednak istniał jakiś łagodniejszy sposób sprostowania tego nieporozumienia... Może zabrzmiałoby lepiej, gdyby wyjaśniła, że zbliżają się jej szesnaste urodziny, nie osiemnaste? W końcu w Wielkiej Brytanii po ukończeniu szesnastego roku życia można zawrzeć związek małżeński...

Odwróciła wzrok. Doskonale wiedziała, że niezależnie od tego, jak to ujmie, fakt pozostawał faktem - wprowadziła go w błąd. Nie miała wątpliwości, że kiedy Pascal pozna prawdę, będzie wściekły, głównie na samego siebie, rozżalony, może skruszony. Tak czy inaczej, między nimi wszystko się skończy, była o tym głęboko przekonana. Więc milczała. Było jej coraz bardziej gorąco i duszno. Siedziała, spocona i nieszczęśliwa, szarpana wyrzutami sumienia, boleśnie świadoma własnego

kłamstwa. Później, kiedy wrócili do małego białego pokoiku, Pascal włożył jej złoty kolczyk. Pocałował zaróżowiony płatek jej ucha i spojrzał na nią niespokojnie.

- Podoba ci się? - zapytał. - Na pewno? Jest taki niepozorny...

- Podoba mi się, bardzo mi się podoba! I kocham cię! - Zarzuciła mu rękę na szyję i ukryła rozplamioną twarz na jego piersi.

Powiedziała sobie, że tak naprawdę wiek nie ma żadnego znaczenia, więc jej kłamstwo także. Pewnego dnia wszystko mu wyjaśni, ale jeszcze nie teraz. Rozgrzane upałem powietrze wibrowało, na białych ścianach widać było falujące linie. Gini zamknęła okiennice, wzięła go za rękę i poprowadziła do łóżka. Wyciągnęli się obok siebie i kłamstwo przestało jej tak ciążyć. Czas mijał. Mijały godziny i dni... Liczyło się tylko to, aby spędzili razem jeszcze tydzień, może dwa...

Gdyby mogła zapomnieć o przeszłości... Ujęła mały kolczyk i włożyła go. Może niepotrzebnie pozwoliła sobie na tę słabość, przywołując wspomnienia o dawnym szczęściu. Zaraz potem wróciła do rzeczywistości. Usłyszała dzwonek do drzwi i odebrała zamówioną pizzę. Odpięła kolczyk, starannie zapakowała go razem z pozostałymi pamiątkami do pudełka i schowała do szuflady biurka. Postanowiła, że będzie wobec siebie surowa. Żadnych pamiątek, żadnej nostalgii. Wyjęła z torby skserowane wycinki i rozłożyła je na biurku.

John Hawthorne i jego żona Lise patrzyli na nią ze zdjęć. Usiłowała się skupić. Hawthorne'owie, ta idealna para, sławna, znana, lecz jednocześnie zagadkowa. Gini westchnęła i oparła głowę na złożonych rękach. Czy za tą publiczną fasadą kryła się niepokojąca tajemnica?

Po godzinie zrobiła sobie przerwę, zaparzyła kawę i wróciła do biurka. Ogarnęło ją uczucie zniechęcenia. Miała przed sobą wszystkie oznaki zapowiadające wielką karierę, te same anegdoty, powtarzane w większości tekstów, te same cytaty. Obejrzała zdjęcia Hawthorne'a w wieku dwudziestu, trzydziestu i czterdziestu lat, przeczytała, co mówił i jakie miał przekonania, lecz czego tak naprawdę się dowiedziała? Miała wrażenie, że czyta wciąż tę samą autoryzowaną wersję, napisaną wiele lat temu, prawdopodobnie przez utalentowanego specjalistę od kontaktów z wyborcami, ojca obecnego ambasadora lub samego Johna Hawthorne'a. Wszystko to razem było zbyt doskonale, zbyt gładkie. W większości wywiadów autorzy przytaczali

te same dane, dawno temu udostępnione prasie. Dobrze znała tę metodę. Mogło to oznaczać, że dziennikarze wykazywali się lenistwem i spisywali informacje z publikowanych wcześniej artykułów albo też Hawthorne sztywno trzymał się raz ustalonej wersji swego życiorysu. Nikt nie zadawał mu zaskakujących pytań - nawet wrogo do niego nastawieni dziennikarze pisali o nim teksty, w których brakowało ognia.

Podobnie jak jego demonstracyjnie prawicowy ojciec, także i John Hawthorne mógł pochwalić się wzorowym wizerunkiem publicznym. To prawda, że pod koniec lat sześćdziesiątych walczył w Wietnamie i został trzykrotnie odznaczony za odwagę pod ogniem wroga, lecz zanim powołano go do wojska, brał udział w pokojowych manifestacjach w Selma i Birmingham; wymieniano go także jako jednego z bliskich przyjaciół Martina Luthera Kinga. Obecnie jego przekonania polityczne były dość trudne do zdefiniowania. John Hawthorne popierał politykę Izraela, opowiadał się za pomocą dla Rosji i jako jeden z pierwszych znanych polityków publicznie uznał, że interwencja sił międzynarodowych w Bośni jest absolutnie konieczna. Był za silnym systemem prawnym i karą śmierci, popierał wprowadzenie ustawy zabraniającej posiadania broni, lecz jednocześnie wykazywał się bardzo liberalnymi przekonaniami w kwestii aborcji i praw kobiet.

Prawdopodobnie niejedynemu amerykańskiemu politykowi uprawiał taki taniec na linie, ale nie ulegało wątpliwości, że Hawthorne doszedł w nim do perfekcji. Czy jego publiczny wizerunek był odzwierciedleniem szczerych przekonań, czy oportunistycznym? Trudno to ustalić. Gini mogła polegać wyłącznie na swoim instynkcie. Jej pierwsza reakcja zabarwiona była podejrzliwością - Hawthorne sprawiał zbyt dobre wrażenie. Był zbyt inteligentny, zbyt ostrożny i zbyt doskonały, i odnosiło się to tak do jego życia publicznego, jak i prywatnego.

Dziennikarze z rozkoszą rozpisywali się o szczegółach jego życia osobistego. Była to cena, jaką Hawthorne płacił za sławę, przywileje i męską urodę. Teraz Gini miała przed sobą Hawthorne'a - kochającego męża, dumnego ojca i dawnego złotego młodzieńca.

Patrzyła na zdjęcie osiemnastoletniego Johna z młodszym bratem Prescottem, trzema siostrami i patriarchą rodu, S.S. Hawthorne'em. Cała grupa stała przed domem

znajdującym się na terenie rodzinnej posiadłości nad rzeką Hudson. John Hawthorne uśmiechał się do kamery, jego ojciec obejmował go ramieniem, u ich stóp leżały dwa piękne spaniele.

Podobieństwo między ojcem i synem rzucało się w oczy. Obaj byli wysocy, o wyrazistych rysach i jasnych włosach. Obaj trzymali się bardzo prosto, z pewną arogancją, pomyślała Gini. Może zresztą podejrzenie o wyniosłość było tylko jej reakcją na widok bezkresnych trawników, drogich sportowych samochodów zaparkowanych na podjeździe i imponującej fasady domu...

Uważniej przyjrzała się fotografii. Zrobiono ją trzydzieści lat temu, była więc wyblakła i niezbyt wyraźna. Po dokładniejszych oględzinach doszła do wniosku, że John Hawthorne wygląda na zmieszanego, zupełnie jakby niechętnie znosił bliskość ojca.

Odsunęła zdjęcie i sięgnęła po inne. Młody Hawthorne z kolejnymi dziewczynami, z których każda mogła poszczycić się odpowiednim pochodzeniem i majątkiem. Nic dziwnego - John cieszył się wtedy reputacją prawdziwego Don Juana. Co miesiąc nowa dziewczyna... Hawthorne w Yale, z grupą przyjaciół... Wygodnie rozparty w fotelu, z dwoma niezidentyfikowanymi kobietami klęczącymi u jego stóp, patrzącymi na niego z uwielbieniem... John w mundurze... Jako młody kongresmen, potem senator... Pierwsze wspólne zdjęcie Hawthorne'a i Lise, wychodzących z restauracji w Waszyngtonie, opublikowane w kolumnie towarzyskiej jednego z popularnych magazynów... Pascal miał rację - Johna i Lise rzeczywiście łączył trzeci stopień pokrewieństwa. Znali się i przyjaźnili od wczesnego dzieciństwa. Należeli do liczного plemienia skuzynowanych Hawthorne'ów oraz Courtneyów, którzy w młodości spędzali wakacje w rodzinnych posiadłościach, grając w tenisa, pływając, żeglując i urządzając przyjęcia. Long Island, Nantucket, Toskania, farma na zachodnim wybrzeżu Irlandii, piękny dwór w angielskim Wiltshire, należący do szkockiej gałęzi rodziny zamek w Perthshire... Młodzi członkowie tego plemienia podróżowali po całym świecie, zatrzymując się u ciotek, wujów, kuzynów, zawsze w domach, gdzie była służba, korty tenisowe, baseny, konie, wspaniałe lasy i pola. Jeździli z miejsca na miejsce, a jednak wciąż pozostawali za murami tej szczególnej cytadeli ludzi bogatych...



John Hawthorne i jego daleka kuzynka Lise ponownie spotkali się mniej więcej jednaście lat temu. Lise, która przez pewien czas studiowała historię sztuki, sporządzała katalog dzieł sztuki w posiadłości dawnych przyjaciół swoich rodziców, mieszkających we Włoszech. Ostatni raz ona i jej kuzyn, senator, widzieli się pięć, może sześć lat wcześniej. Ich ponowne spotkanie zostało zaaranżowane przez ojca Hawthorne'a, w każdym razie tak twierdził autor jednej z kolumn towarzyskich, i odbyło się w Southampton, w majątku innego dalekiego kuzyna, lorda Kilmartina, dyplomaty pracującego dla ONZ.

Hawthorne miał wtedy trzydzieści sześć lat i zaliczany był do cieszących się największym wzięciem amerykańskich kawalerów. Lise skończyła dwadzieścia osiem, lecz wyglądała znacznie młodziej. Była wtedy w żałobie po rodzicach, którzy zginęli w katastrofie samolotowej sześć miesięcy wcześniej. Jak pisali dziennikarze, John i Lise od razu zakochali się w sobie i zaręczyli.

Po roku odbył się ślub, starannie nagłośniony w środkach masowego przekazu. Gini powoli przerzucała zdjęcia. I w tym wypadku Pascal miał rację - z tej fotografii patrzyła na nią promienna, piękna Lise, od stóp do głów spowita w prostą, dziewiczą, trochę przypominającą zakonny habit suknię projektu Yves'a St Laurenta. Czarne włosy luźną falą opadały na ramiona, urodę twarzy podkreślały fałdy welonu z białej koronki. Dwudziestometrowy tren z ciężkiego jedwabiu niosło czterech małych paziów i sześć druhenek, w uroczystym pochodzie kroczących za panną młodą.

Ślub dziesięciolecia, krzyczały nagłówki. Gini znalazła tu wszystkie szczegóły, nawet nazwisko katolickiego biskupa, który odprawił uroczystą mszę, liczbę specjalnych samolotów i pociągów, które podstawiono dla ponadtysięcznej rzeszy gości. S.S. Hawthorne sam pilotował helikopter, którym przyleciał na ceremonię. Na formalnych i nieformalnych zdjęciach elegancki Hawthorne senior sprawiał imponujące wrażenie.

Niebo rozświetlały sztuczne ognie, zgodnie z rodzinną tradycją. Tańce zaczęły się o północy i trwały do świtu. Na liście gości znalazło się wielu mężów stanu, polityków, przedstawicieli europejskiej arystokracji, gwiazd Hollywood, pisarzy, dyplomatów, a także diwa operowa i angielska księżna, w której żyłach płynęła królewska krew.

Wśród sławnych nazwisk było także kilka niesławnych, ponieważ S.S. Hawthorne, wyraźnie mniej praworządny od syna, miał sporo dawnych znajomych, których obecność mogła zaskoczyć, a nawet przestraszyć niektórych weselnych gości. Nie zabrakło tam bogatego jak Krezus handlarza bronią oraz pewnego Amerykanina sycylijskiego pochodzenia, który podobno był właścicielem większości klubów w Las Vegas. John Hawthorne nie pochwalał i nie zawierał takich znajomości, lecz jego ojciec nie miał podobnych uprzedzeń. Gini spojrzała na zdjęcie S.S. Hawthorne'a z handlarzem bronią i drugie, na którym z ożywieniem rozmawiał z Sycylijczykiem. Pełen energii i witalności, niezniszczalny S.S. robił wrażenie człowieka czynu nawet na wyblakłych fotografiach.

Tutaj zaś leżała cała kolekcja oficjalnych, upozowanych ślubnych zdjęć, wykonanych przez lorda Lichfielda. Ze wszystkich emanowała idylliczna, nieco tajemnicza aura. Doskonale oświetlone twarze i postacie miały wyrażać idealny spokój i radość, ale nie do końca się to udało. Gini czuła, że pozory skrywały jakąś historię, której istnienie Lichfield zasygnalizował w świadomy lub nieświadomy sposób.

Na wszystkich oficjalnych fotografiach John Hawthorne wyglądał na całkowicie spokojnego i swobodnego. Wysoki, przystojny, zdumiewająco jasnowłosy, chłodnymi niebieskimi oczami wpatrywał się w obiektyw aparatu. Robił wrażenie trochę rozbawionego całym tym „cyrkiem” - wargi wykrzywiał mu dziwny, nieco pogardliwy półuśmiech.

Jego młoda żona, wtedy jeszcze nieprzywykła do sławy, była fascynująco piękna, lecz także trochę sztywna i chyba zdenerwowana. Gini wiedziała, że później Lise Hawthorne opanowała sztukę wykorzystywania każdej możliwości zaprezentowania się z jak najlepszej strony, ale tutaj, na samym początku publicznej kariery, była jeszcze zupełnie niedoświadczona. Kurczowo trzymała się ramienia męża, jakby nie potrafiła obyć się bez jego wsparcia. Oczy miała albo skromnie spuszczone, albo z uwielbieniem utkwione w twarzy Johna. Przez głowę Gini przemknęła myśl, że Lise wyglądała trochę jak prowadzona na śmierć dziewczyna, gotowa poświęcić się dla jakiegoś wyższego celu. Jej wielkie ciemne oczy patrzyły ze starego zdjęcia z wyrazem rozpaczliwej prośby, zupełnie jakby Lise, po raz pierwszy zetknąwszy się ze sławą w jej surowej postaci, bez słów błagała o szansę ucieczki.

Ciekawe, pomyślała Gini. Równie interesujące było to, jak szybko Lise przystosowała się do nowej sytuacji i osiągnęła mistrzowski poziom w radzeniu sobie z fotoreporterami, prasą, publicznymi wystąpieniami. Dziś, dziesięć lat po ślubie, posiadała już starannie wypracowany własny wizerunek. Wychwalano ją za działalność charytatywną, za umiejętności gospodyni i za wyjątkową elegancję. Na współczesnych zdjęciach na jej twarzy trudno by się dopatrzeć oznak napięcia czy niepokoju. Teraz witała fotoreporterów promiennym spokojnym uśmiechem. Wprawdzie Gini była zdania, że image Lise był nieco przesłodzony, ale zdawała sobie sprawę, że jest to opinia zdecydowanej mniejszości. Większość ludzi postrzegała Lise Hawthorne jako kobietę piękną, dobrą i głęboko wierzącą, wzorową żonę i matkę. Jej przyjaciele, stale cytowani w prasie, radiu i telewizji, mówili zgodnym głosem: może Lise nie dorównuje mężowi pod względem intelektualnym, może brakuje jej błyskotliwości, ale jakie to ma znaczenie? Jest wyjątkową osobą - piękną kobietą o dobrym sercu. Mówiąc o niej, należy przede wszystkim pamiętać, że jest niewiarygodnie miłą, ciepłą, sympatyczną osobą, powtarzali.

Czy rzeczywiście taka była? Gini zmarszczyła brwi. Uważała, że podkreślane przez przyjaciół Lise cechy stoją w pewnej sprzeczności z kosztownymi słabościami i upodobaniami, choćby z suknią Yves'a St Laurenta za trzydzieści tysięcy dolarów, ale może jej punkt widzenia był niesprawiedliwy i zalatujący purytańskim skapstwem... Może po prostu była uprzedzona do Lise. Wszak w przypadku kobiety tak pięknej jak żona Johna Hawthorne'a, próżność jest wadą zasługującą na usprawiedliwienie i pobłażliwość. Wszystkie dowody świadczyły o tym samym - Lise harowała jak wół na rzecz organizacji charytatywnych, do których należała, uwielbiała męża i dzieci, prowadziła przykładne życie.

Gini z westchnieniem odsunęła stos wycinków. Sięgnęła po ostatni artykuł, nieskopiowany w archiwum, bo opublikowany w najnowszym wydaniu magazynu „Hello!”, czasopisma stanowiącego kronikę prywatnego życia ludzi sławnych i bogatych. Na okładce i wewnętrznych sześciu kolumnach znajdowały się zdjęcia Hawthorne'ów. Sfotografowano ich w Winfield House, świeżo odrestaurowanej rezydencji ambasadora w Regent's Park.

Lise słynęła z doskonałego gustu, więc chyba nic dziwnego, że odnowione wnętrza do złudzenia przypominały projekt scenografii do filmu lub sztuki teatralnej. Idealnego porządku nie mąciła nawet położona gdzieś przypadkiem gazeta, wszystkie krzesła, wazon, poduszki miały swoje miejsca, barwy sprzętów i tkanin tworzyły harmonijną całość. Autorzy artykułu uznali za stosowne poinformować czytelników, że Lise wybrała kretonowe zasłony do małego salonu, ponieważ odcień materiału świetnie komponował się z tonacją wiszącego nad kominkiem obrazu Picassa... Gini stłumiła uśmiech. Zauważyła, że obok Picassa z okresu różowego wisiał równie różowy Matisse.

Wszystkie zdjęcia wydawały się emanować tym szczególnym różowawym blaskiem. Fotograf musiał zrobić je ubiegłego lata, ponieważ na kilku Hawthorne'owie spacerowali po ogrodzie lub siedzieli wśród obficie kwitnących róż razem ze swoimi dwoma synami o anielskich buziach. Chłopcy mieli osiem i sześć lat. Zarówno starszy, Robert, jak i młodszy, Adam, byli wyraźnie podobni do ojca. Obaj odziedziczyli jego uderzająco jasne włosy i niebieskie oczy. Ośmiolatek sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie. Patrzył prosto w obiektyw, z łobuzerskim uśmiechem, a na niektórych ujęciach zwiślał z ramion dumnego ojca niczym ruchliwa małpka. Młodszy, Adam, cztery lata temu zachorował na zapalenie opon mózgowych i dosłownie cudem, zdaniem matki, wrócił do zdrowia po groźnej chorobie. W przeciwieństwie do brata, Adam wyglądał na chłopca nerwowego i zamkniętego w sobie, i wyraźnie nie czuł się swobodnie w obecności dziennikarzy. Na kilku zdjęciach patrzył w bok i trzymał się bardzo blisko matki.

- Adam jest już zupełnie zdrow - oświadczył jego ojciec - Musi tylko nabrać trochę pewności siebie i wszystko będzie w porządku...

Interesująca uwaga, pomyślała Gini, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę dość surowe wychowanie, jakie odebrał John Hawthorne. Zamknęła gazetę, lecz obrazy widzianego przez różową mgiełkę rodzinnego szczęścia pozostały pod jej powiekami. Potarła zmęczone oczy i wróciła myślami do historii, którą Nicholas Jenkins opowiedział jej i Pascalowi z jakże zjadliwą uciechą. Albo jej szef został wprowadzony w błąd, albo zdjęcia, które przed chwilą oglądała, kłamały... Która wersja jest prawdziwa - Jenkinsa czy ta tutaj?

Spróbowała przypomnieć sobie z najdrobniejszymi szczegółami swoje dwa spotkania z Johnem Hawthorne'em. Drugie, do którego doszło ubiegłego roku, na przyjęciu u Mary, nie powiedziało jej nic poza tym, że Hawthorne jest teraz doświadczonym, błyskotliwym politykiem, ale co mogła powiedzieć o pierwszym?

Bardzo dokładnie pamiętała tamten dzień. Przebywała . wtedy w domu Mary w Kent. Wielkanocne wakacje dobiegły końca i tego samego dnia po południu Gini miała wrócić do szkoły z internatem. Razem z nią do Mary przyjechała wtedy jej szkolna przyjaciółka.

Tegoż popołudnia Mary spodziewała się przybycia Johna Hawthorne'a, którego zaprosiła na krótką wizytę, i obie dziewczynki były bardzo podniecone tym wydarzeniem. Gini nigdy wcześniej nie widziała Hawthorne'a, lecz znała go z opowiadań Mary. Kilka razy oglądała jego zdjęcia i pokazywała je przyjaciółce. Rozchichotane trzynastolatki zgodziły się, że ten młody, przystojny i wtedy jeszcze niezonat Amerykanin był, jak określiła to przyjaciółka Gini, prawdziwym smakołykiem.

- Ile on ma lat? - zapytała przyjaciółka, która miała na imię Rosie.  
- Trzydzieści parę - odparła Gini. - Jest dla nas za stary.  
- Wspaniale! Uwielbiam starszych mężczyzn!  
- Nie wygłupiaj się, przecież on nawet nas nie zauważy. Dwie głupie uczennice...

Rosie rzuciła jej przebiegłe spojrzenie.

- No, nie wiem... - mruknęła. - Wyglądasz całkiem poważnie i naprawdę ładnie... Szkoda, że nie mam długich jasnych włosów... Cóż, trudno. Za to, kiedy zostanę mu przedstawiona, popatrzę na niego w ten sposób... A potem przejadę językiem po wargach...

Obie parsknęły śmiechem.

- Obliziesz wargi? - zapytała Gini. - Dlaczego?  
- Czytałam o tym w takim magazynie... Trzeba patrzeć im wtedy prosto w oczy. Podobno doprowadza to mężczyzn do szaleństwa, po prostu tracą rozum z pożądania...

- W porządku. - Gini pokiwała głową. - Założymy się? Stawiam połowę kieszonkowego, że nigdy tego nie zrobisz.

Oczywiście, były to tylko niemądre żarty. W rzeczywistości spotkanie wyglądało zupełnie inaczej. John Hawthorne spóźniał się i znudzone oczekiwaniem dziewczęta poszły do ogrodu i zaczęły grać w tenisa na starym korcie. Dzień był bardzo gorący i Gini powiedziała, że przyniesie z domu trochę lemoniady. Wpadła do salonu przez szeroko otwarte francuskie okno, rzuciła na krzesło różowy sweter i przystanąła w progu, zdyszana i spocona, aby zapiąć guzik króciutkiej sukienki do tenisa. Potem ruszyła przed siebie przez chłodny pokój i nagle stanęła jak wryta.

John Hawthorne był tutaj, w salonie, całkiem sam. Mary na pewno poszła zaparzyć herbatę, a on stał na środku pokoju i z lekkim uśmiechem patrzył na Gini.

Niewątpliwie był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała w swoim krótkim życiu. Wydał jej się nawet znacznie przystojniejszy niż na zdjęciach, które mogły oddawać kolor włosów, opaleniznę, niezwykle intensywny błękit oczu, lecz nie były w stanie oddać witalności i siły osobowości. Mógł być tylko Amerykaninem - roztaczał wokół siebie tę niepowtarzalnie amerykańską aurę zdrowia, sprawności fizycznej i zadowolenia z życia. Gini spojrzała na niego i ku swej wielkiej wściekłości poczerwieniała jak piwonia. Usilnie próbowała wyleczyć się z tego nawyku, ale jak dotąd nie odniosła wielkich sukcesów. W pierwszej chwili pomyślała, że może zdoła powstrzymać rumieniec, lecz zaraz poczuła, jak fala ciepła wypełza z dekoltu sukienki i powoli ogarnia szyję i twarz. Gdyby tylko przestał się na mnie gapić, pomyślała. To właśnie jego skupione spojrzenie, nadal rozbawione i pełne namysłu, sprawiało, że rumieniła się coraz mocniej. I wtedy, kiedy z namiętnym przekonaniem trzynastolatki mówiła sobie, że wolałaby umrzeć, teraz, natychmiast, John Hawthorne wyciągnął do niej rękę i powiedział:

- Jesteś Genevieve, prawda? Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać.

Uścisnął jej rękę i zmierzył ją uważnym spojrzeniem, od podniszczonych butów do tenisa, przez długie nogi, starą, tu i ówdzie pocerowaną sukienkę, aż po splątane włosy, które opadały jej na ramiona bezładną falą, wilgotne od potu. Do czoła kleiły się jasne loczki. Ku jej ogromnemu zdziwieniu, John Hawthorne podniósł rękę i palcem delikatnie odrzucił do tyłu jeden z loków. Zajrzał jej w oczy tak głęboko, że miała wrażenie, iż zaraz zemdleje. Nagle zrobił krok do tyłu i roześmiał się cicho.

- Musiał to być niezły mecz - powiedział. - Wygrałaś?

W tej chwili do pokoju wróciła Mary, niosąc tacę z filiżankami oraz herbatą, i zaczęła zastanawiać się, w jakich godzinach odjeżdżają pociągi do Londynu. Gini uciekła do ogrodu i do Rosie, która leżała wyciągnięta na trawie.

- O, mój Boże! - Rosie podniosła się, zgadując, co się stało. - Przyjechał, tak? Wyczytałam to z twojej twarzy... Dlaczego mnie nie zawołałaś, ty świnio?! Jaki on jest?!

- Olśniewający - odparła Gini, sięgając po słowo, które w tym roku było wyjątkowo modne.

- Co zrobił?

- Podał mi rękę. A potem... Potem odgarnął pasmo włosów z mojego czoła...

- Nie! Założę się, że wyglądałaś wtedy jak burak, zresztą, teraz też jesteś czerwona jak upiór! Szybko, chodźmy do domu!

Razem wróciły do salonu. John Hawthorne zrobił na Rosie tak ogromne wrażenie, że zupełnie zapomniała rzucić mu znaczące spojrzenie i oblizać wargi. Podobnie jak Gini, zaczerwieniła się i wbiła wzrok w podłogę.

Przez całą drogę do szkoły rozmawiały wyłącznie o tym wydarzeniu. W internacie przez wiele dni bezwstydnie przechwalały się znajomością z Johnem Hawthorne'em. Wycięły sobie jego zdjęcie z „Time” i przypięły je na ścianie między swoimi łózkami. Zauroczenie było gwałtowne i intensywne. Trwało dwa miesiące, może trzy, potem zaś, jak to zwykle bywa, dziewczęta stopniowo zapomniały o młodym amerykańskim bożku i zainteresowały się swoimi rówieśnikami.

Tak więc Gini doskonale pamiętała tamto spotkanie i nie miała najmniejszego zamiaru zwierzać się z własnej głupoty komukolwiek, a już w żadnym razie Pascalowi. Wspominając tamte chwile, widziała je teraz takie, jakie rzeczywiście były - to rozhuśtane emocje nastolatki rozdmuchały znaczenie jej pierwszej rozmowy z Johnem Hawthorne'em. Kiedy zastanowiła się nad tym, co wtedy zaszło, zrozumiała, że Hawthorne najprawdopodobniej odgadł, co się z nią działo i nie potrafił oprzeć się rozbawieniu.

Przed odjazdem Gini i Rosie John był uprzedzająco uprzejmy i rozmowny, i w najzupełniej oczywisty sposób bardzo, ale to bardzo dorosły. Mary podzielała chyba jego rozbawienie - teraz Gini przypominała sobie porozumiewawcze spojrzenia, jakie



oboje wymieniali, podczas gdy zaczerwienione dziewczęta, jękając się, odpowiadały na pytania Johna o szkołę i ulubione przedmioty.

Westchnęła i wstała zza biurka. Odsunęła to mało użyteczne wspomnienie i zebrała wycinki z gazet. Doszła do wniosku, że najbardziej przydałoby jej się teraz czyjeś bezpośrednie świadectwo - uzupełnienie informacji o Johnie i jego małżonce, usłyszane z ust kogoś, kto dobrze ich zna.

Była ósma trzydzieści, do końca wieczoru pozostało jeszcze sporo czasu. Gini wybrała numer telefonu macochy, modląc się w duchu, aby przynajmniej ten jeden, jedyny raz zastała Mary w domu o tej porze. Mary toczyła ciężką walkę z samotnością i smutkiem wdowieństwa, i starała się jak najczęściej widywać z przyjaciółmi.

Podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku i słysząc głos Gini, roześmiała się z radością.

- Och, to ty, kochanie! Cudownie, że dzwonisz. Słucham? Nie, absolutnie nie. Siedzę na kanapie i oglądam ten nowy amerykański serial... Tak, ten, który jest tak fatalny, że aż dobry... Ależ tak, bardzo chcę się z tobą zobaczyć! Przygotuję kanapki, dobrze? Co takiego? Pół pizzy? Znowu? Och, kiedy ty się wreszcie czegoś nauczysz... Wspaniale, skarbie, czekam.

- Podejrzewam, że trzecia żona zamierza zamordować drugą, ponieważ obie mają namiętny romans z synem ich męża i pierwszej żony - oświadczyła Mary, prowadząc Gini do dużego, zagraconego pokoju, który kiedyś był pracownią jej dziadka, znanego malarza.

Podeszła do telewizora, na ekranie pojawiła się właśnie długa lista wykonawców, i wyłączyła go.

- Z drugiej strony, wydaje się całkiem możliwe, że to syn jest prawdziwym czarnym charakterem - dodała. - Niewykluczone, że podpuszcza żonę numer trzy, bo chociaż ma z nią namiętny romans, to w głębi serca jest gejem i nienawidzi kobiet...

- To chyba strasznie skomplikowane - zauważyła Gini.

- Strasznie - zgodziła się Mary z pogodnym uśmiechem. - Skomplikowany stek bzdur, czyli dokładnie to, co lubię. W końcu wszystkie poplątane wątki rozwiążą się same, bo przecież zawsze tak jest, i wtedy dowiem się, kto był naprawdę zły, a kto

dobry. Lubię mieć co do tego całkowitą jasność, nienawidzę tego nowoczesnego paprania się w mętnej wodzie... No, dobrze, czego się napijesz?

- Kawy.

- Pijesz za dużo kawy i jesz za dużo tych gotowych świństw na wynos. Cieszę się, że chociaż od czasu do czasu mam szansę nakarmić cię jak Pan Bóg przykazał... Usiądź sobie przy kominku, a ja skończę robić kanapki. Potem trochę nagrzeszymy. Mam mus czekoladowy...

Gini się uśmiechnęła. Wiedziała, że z Mary nie ma sensu się spierać i że nie należy przeszkadzać jej w kuchni. Zgodnie z poleceniem, usiadła przy wesoło trzaskającym ogniu i z przyjemnością rozejrzała się po znajomym pokoju. To wystarczyło, by od razu ogarnęło ją poczucie głębokiego zadowolenia i bezpieczeństwa. U Mary zawsze potrafiła się zrelaksować.

Gini nie pamiętała swojej matki, która zmarła, gdy dziewczynka była jeszcze niemowlęciem, pamiętała natomiast procesję nianieek oraz przyjaciółek ojca, który starał się przerzucić obowiązek opieki nad dzieckiem na kogokolwiek innego. Nie lubiła wracać do tamtego okresu, lecz często wspominała chwilę, gdy Mary wkroczyła w jej życie.

Gini miała wtedy pięć lat. Pewnego dnia Sam wrócił do domu z impulsywną, wiecznie potarganą i szczerą do bólu Angielką, i oznajmił córce, że jest to jego nowa żona. Gini od razu polubiła Mary, a po paru dniach pokochała ją całym sercem. Sam zwykle wyjeżdżał po kilku dniach pobytu w domu i Mary była pierwszą osobą, która została z dziewczynką dość długo, aby ta miała szansę obdarzyć ją miłością. Od tej pory nigdy nie przestała ufać Mary i kochać ją równie gorąco jak w dzieciństwie.

Pięć lat po ślubie Mary doszła do wniosku, że nie jest w stanie dłużej tolerować powtarzających się zdrad Sama, jego ustawicznych zagranicznych wojaży i pogłębiającego się alkoholizmu. Wyjaśniła to wszystko Samowi, bez złości i wyrzutów, po czym oboje spokojnie doszli do wniosku, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie rozwód. Następny rok Gini spędziła w Waszyngtonie; w tym okresie jej ojciec przez dziewięć miesięcy przebywał poza domem, pozostawiając córkę po opieką kolejnych nianieek i przyjaciółek. Kiedy Mary się o tym dowiedziała, bez ogródek wyjawiała Samowi swoją opinię o nim jako ojcu małej dziewczynki.

Powiedziała, że skoro jej były mąż najwyraźniej nie radzi sobie z wychowaniem dziecka, Gini powinna przyjechać do Anglii, gdzie mogłaby chodzić do tej samej szkoły, do której kiedyś uczęszczała Mary, i zamieszkać u niej. Mary, która drugi raz miała wyjść za mąż dopiero po paru latach, mieszkała wtedy sama w odziedziczonym po rodzicach domu w Kent. Dom był mocno zaniedbany, lecz Mary zwyczajnie nie mogła sobie pozwolić na przeprowadzenie kosztownego remontu. Sam miał regularnie odwiedzać córkę i robił to, ale tylko przez pierwszy rok. Potem zaczął znajdować wymówki i jego dobre intencje legły w gruzach. Mary wydzwaniała do niego, prosiła, zachęcała i ganiła, Sam przyznawał jej rację i obiecywał, że przyjedzie do Gini, wracając z następnej podróży.

Potem wyjeżdżał na Bliski lub Daleki Wschód, albo do Afganistanu i czasami pamiętał o obietnicy, a czasami kompletnie o niej zapominał. Ale Mary zawsze była przy Gini. Kiedy Gini myślała o niej teraz, nie czuła bólu i niepokoju, które zawsze towarzyszyły jej miłości do ojca. Uczucie, jakim Gini darzyła Mary było proste i spokojne, i nie zmieniło się ani w okresie drugiego małżeństwa Mary, które zawarła, gdy Gini miała siedemnaście lat i właśnie poznawała smak pracy i samodzielności, ani później. Jedyna zmiana polegała na tym, że po śmierci drugiego męża Mary Gini zaczęła okazywać macosze uczucie w sposób znacznie bardziej otwarty niż poprzednio. Kochała ją i czuła do niej całkowite zaufanie. Było tylko jedno zdarzenie w jej życiu, które zataiła przed Mary - nigdy nie powiedziała jej, co spotkało ją tamtego lata, kiedy, zagubiona w chaosie dojrzewania, uciekła do Bejrutu.

To mój jedyny sekret, pomyślała teraz, rozglądając się dookoła. Poczowała ukłucie niepokoju, które szybko ustąpiło. Ten pokój ją uspokajał, można powiedzieć, że nawet usypiał. Mary posiadała wielki dar dzielenia się swoim szczęściem i spokojem z innymi, a salon bardzo ją pod tym względem przypominał. Znajdował się w dobudowanej części należącego do niej domu w Kensington, i to właśnie tutaj spędzała teraz większość czasu. Tutaj wydawała częste i słynne przyjęcia, na które zapraszała swoich katolickich przyjaciół i znajomych, i tutaj pochłaniała swoje ukochane kryminały oraz malowała akwarele, które nazywała „bohomasami” lub „pomyłkami”.

Pokój był duży, trochę zakurzony i bezpretensjonalny. Mówił o przeszłości Mary, o jej silnych uczuciach dla rodziny i przyjaciół. Jej największa zaleta to

wierność, pomyślała Gini. Ciepła i niezłomnie lojalna wobec żyjących, była równie lojalna i kochająca wobec zmarłych.

Pokój pełen był pamiątek z dzieciństwa Mary, wielkich wiktoriańskich obrazów olejnych jej dziadka oraz książek jej ojca dyplomaty. Wszystkie te rzeczy znalazły swoje miejsce obok posiadających jedynie wartość sentymentalną przedmiotów zgromadzonych przez nią samą. Włoskie naczynia ceramiczne, marokańskie tkaniny, małe mosiężne stoliki przywiezione z Dalekiego Wschodu - Mary była zapaloną podróżniczką i zawsze potrafiła wypatrzeć wspaniałą okazję.

- Najzwyczajniej w świecie nie potrafię oprzeć się kupowaniu rozmaitych paskudztw - narzekała czasami.

Tak więc w ulubionym pokoju Mary obok pięknych mebli w stylu chippendale był i ohydny wazon, kupiony na jakimś bazarze, i gruby różowy kot z porcelany, przedmiot niezrównanej brzydoty, którego Gini sama wybrała i podarowała Mary z okazji urodzin, w czasie, gdy Mary i Sam byli jeszcze małżeństwem, a Gini, już głęboko zakochana w angielskiej macosze, miała sześć lat.

Można tu było także natrafić na dowody, że dla Mary miłość i sympatia są znacznie ważniejsze od manifestacji dobrego gustu - na pięknym sekretarzyku stał paskudny i wulgarny puchar ze szkła firmy Steuben, ofiarowany Mary przez Sama jako zadośćuczynienie za jeden ze „skoków w bok”, jak nazywał swoje zdrady. Były tu również przedmioty związane z drugim, bardzo szczęśliwym małżeństwem Mary - wędki i kołowrotki, głowa jelenia z wygrawerowaną na plakietce datą polowania, w czasie którego zwierzę padło od strzału sir Richarda, książki sir Richarda, jego fajki, szachy i wiele innych rzeczy, jakie razem z Mary przywieźli z pobytów na placówkach dyplomatycznych.

- Nie jest ci smutno, kiedy patrzysz na to wszystko? - zapytała Gini kilka miesięcy po śmierci sir Richarda.

Mary spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Smutno? Skądże znowu, kochanie! Widok tych rzeczy przywołuje najlepsze wspomnienia.

Gini westchnęła. Często nękały ją wyrzuty sumienia, że nie starała się bardziej pomóc Mary w pierwszym roku jej wdowieństwa. Widywała się z nią co parę dni,

jeżeli tylko nie musiała wyjeżdżać z Londynu z powodów zawodowych, ale czasami miała wrażenie, że Mary potrzebuje pociechy, której ona nie jest w stanie jej dać. Czuła, że jej umiejętność okazywania miłości jest w jakiś sposób ograniczona, nawet w stosunku do Mary, która przecież była jej bardzo bliska prawie przez całe życie. Zastanawiała się, kiedy narodziła się jej ostrożność w manifestowaniu uczuć. Może stało się to zaraz po Bejrucie, a może znacznie wcześniej...

Z małej kuchni za pokojem dobiegał brzęk talerzy. Gini podniosła się z fotela, nagle zła na samą siebie, weszła do kuchni, objęła Mary i pocałowała ją. Mary roześmiała się i odwzajemniła uścisk.

- Co za miła niespodzianka, kochanie... Czy coś się stało?

- Nic. Po prostu jesteś mi bardzo bliska i od czasu do czasu powinnam ci o tym przypominać.

- To świetny pomysł. Weź tę tacę, dobrze? Zjemy przy kominku, będzie naprawdę miło. Nie, Dog, nie dostaniesz kanapki, do diabła!

Schyliła się i lekko szturchnęła Doga, starego i mocno cuchnącego labradora. Dog, który charakteryzował się twardą nieustępliwością, ani drgnął. Kiedyś wytresowany na psa myśliwskiego, ulubiony towarzysz sir Richarda, w ostatnich latach wyraźnie złagodniał. Od czasu śmierci swojej siostry, pięknej labradorki o soczystym imieniu Bitch, Dog niepodzielnie królował w domu i sercu Mary. Teraz siedział u jej stóp, z gorącym uwielbieniem patrząc jej w oczy. Mary prychnęła.

- Miłość do kanapki, tak? - skarciła psa surowo, po czym, zgodnie z przewidywaniami Gini, natychmiast zmiękła. - No, niech ci będzie... Jeden herbatniczek z otrębami, dobry na trawienie, i ani kęsa więcej...

Gini uśmiechnęła się i zaniósła tacę do pokoju. Mary też przeszła do pokoju, a za nią Dog. Chwilowo usatysfakcjonowany, z ostrożnością doświadczonego artretyka ułożył się na dywaniku przed kominkiem i przymknął oczy, udając, że śpi.

Mary usiadła na kanapie naprzeciwko Gini i podwinęła nogi pod siebie. Rzuciła Dogowi pełne sympatii spojrzenie.

- Biedny staruszek - powiedziała. - Nie powinnam mu ustępować, robi się taki jak ja, stary i gruby.

- Pulchny - sprostowała Gini, podsuwając jej kanapki. - I nie ma w tym nic złego, przeciwnie, bardzo ci z tym do twarzy.

- Może, nie jestem pewna. Wiesz, po śmierci Richarda powiedziałam sobie: Dobrze, teraz ulegnę wszystkim swoim najgorszym skłonnościom. Będę się kładła spać późno, wylegiwała w łóżku przez cały ranek, czytała powieści, jadła czekoladki, przestanę farbować włosy i roztyję się, jeżeli przyjdzie mi na to ochota... - Przerwała. - Och, i obiecałam sobie, że wreszcie przestanę przyjmować tłumy nieznanym ludzi. Zapomnę, że byłam córką i żoną dyplomatów, nigdy nie zaproszę na kolację więcej niż pięć osób, i to tylko takich, które naprawdę lubię...

- Rozumiem. - Gini uśmiechnęła się lekko. - I co?

- Okazało się, że przyzwyczajenie jest silniejsze. - Mary westchnęła. - Odkryłam, że nie potrafię tak żyć, poza tym musiałam się czymś zająć, a wszyscy przyjaciele i znajomi okazali mi tyle serca... Ciągłe zapraszali mnie do siebie, więc chciałam im się zrewanżować. Niemniej, udało mi się zrealizować niektóre postanowienia. - Uśmiechnęła się. - Popatrz na mnie, jestem siwiuteńka, przytyłam dobre pięć kilo i wyglądam okropnie...

Gini spojrzała na macochę. To prawda, że włosy Mary były zupełnie siwe, sylwetka stała się pulchna, lecz jej zdaniem Mary posiadała nieprzemijającą, wielką urodę. Czysta i piękna cera, niebieskie oczy, bystre i promienne, twarz jaśniejąca dobrocią.

- Nieprawda - zaprotestowała. - I mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Miło, że tak mówisz. - Mary bez skrępowań sięgnęła po następną kanapkę. - Brakuje mi samodyscypliny, zawsze tak było. Dziś po południu widziałam się z Lise - podarowałam jej pudełko przepysznych belgijskich czekoladek na poprawę humoru. I co? Lise skubnęła jedną, a ja pożarłam pięć. Pięć! Co za wstyd! I to po bardzo obfitym podwieczorku! Co tu kryć, okazałam się strasznym łakomczuchem... Coraz częściej łapię się na tym, że w ogóle nie myślę o tym, ile jem.

- Sądzę, że Lise ci wybaczyła. - Gini dołała sobie kawy. Oto doskonały początek rozmowy na temat Hawthorne'ów, pomyślała. - Zaniośś jej czekoladki na poprawę nastroju? - zapytała niedbale. - Czy coś jej dolega?

- Och, sama nie wiem, kochanie. Lise miewa czasami złe chwile, a wczoraj czuła się raczej podle, w każdym razie tak mi się wydawało. Właśnie wróciła z rezydencji pod Londynem, gdzie spędzili Boże Narodzenie i Nowy Rok, i Lise złapała jakąś paskudną infekcję, grypę czy wyjątkowo złośliwe przeziębienie. Choć, szczerze mówiąc, wyglądała całkiem nieźle, a kiedy wychodziłam, była już trochę weselsza. Myślę, że ona w skrytości bardzo martwi się o Johna...

- Martwi się? Dlaczego?

- Chodzi o jego bezpieczeństwo, skarbie. Przy całym tym chaosie na Bliskim Wschodzie dyplomaci czują się zagrożeni... Lise widzi terrorystów za każdym krzaczkiem. Ciągle jej powtarzam, że John jest całkowicie bezpieczny, bo przecież wszędzie towarzyszy mu ten oddział goryli... Och, chyba nie powinnam tak o nich mówić! Ale większość z nich to byli żołnierze piechoty morskiej, o przeciętnym wzroście metr dziewięćdziesiąt, więc naprawdę robią wrażenie, chociaż po chwili rozmowy okazuje się, że to całkiem mili chłopcy...

Mary umilkła. Gini doszła do wniosku, że główną słabością jej macochy jako świadka byłaby jej wrodzona dobroć.

Mary nie była naiwna, lecz zawsze grzeszyła dobrocią - według niej większość ludzi zasługiwała na miano „miłych”, w każdym razie dopóki nie okazali się bandytami...

- Czytałam ostatnio coś o Hawthorne'ach - powiedziała Gini, nadal tym samym niedbałym tonem. - Chyba nawet dzisiaj... Ach, już wiem, taki duży artykuł w magazynie „Hello!”...

- Ja też go czytałam! - Mary się ucieszyła. - Dzieci wyszły na zdjęciach jak aniołki, prawda? Są tacy podobni do Johna... Pamiętam, jaki był w ich wieku. Właśnie wtedy go poznałam. Mój ojciec był na placówce w Waszyngtonie, a stary S.S. usiłował zaskarbić sobie jego sympatię, nie pamiętam już, dlaczego... Na pewno uważał, że mógłby wykorzystać tatę w jakimś celu. No, nieważne. Tak czy inaczej, zostaliśmy zaproszeni do ich rodzinnej posiadłości nad rzeką Hudson. Opowiadałam ci o tym, pamiętasz? Miałam koło dwudziestu lat i byłam pod wielkim wrażeniem... - Mary się zawahała. - Nie, to mało powiedziane... Byłam po prostu wstrząśnięta. Ogromny dom, wspaniale urządzone, wręcz przerażający. Wszędzie kręciły się



legiony lokajów i pokojówek, posiłki przypominały ucztę. Przyjechałam do Ameryki zaledwie parę tygodni wcześniej, a w Anglii... Cóż, w całej Europie panowała jeszcze ta straszna atmosfera szarej, powojennej tymczasowości, więc trudno mi było uwierzyć, że ludzie nadal żyją na takim poziomie... S.S. zachowywał się jak wielki pan, był imponujący...

- Polubiłaś go?

- Starego S.S.? - Zmarszczyła nos. - Nie, podobnie jak mój ojciec, doskonale to pamiętam. Tata uważał, że S.S. nie zasługuje na zaufanie, ale nie było to żadne odkrycie, wszyscy o tym wiedzieli. Ja od razu uznałam go za potwornego despota, który przywykł do tego, że ludzie schodzą mu z drogi. Zrobił na mnie wrażenie prymitywnego brutala. Dziwne, bo miał doskonale maniery i urok, który potrafił włączać i wyłączać jak lampkę. Najbardziej zraziła mnie jego absolutna pewność, że każdego można kupić, to tylko kwestia ceny. Niestety, to jego przekonanie często okazywało się uzasadnione, ale i tak mi się nie podobało.

- Ciekawe... Więc był despota?

- I to jakim! - Mary sięgnęła po mus czekoladowy. - Rządził żelazną ręką. Drinki o siódmej trzydzięci wieczorem, kolacja o ósmej, wszyscy na swoich miejscach przy stole, co do sekundy, i biada temu, kto się spóźnił. Biedne dzieciaki... Wytresowane jak zwierzątka - zajęcia dodatkowe z tego, tamtego i owego... Nigdy nie mieli ani sekundy dla siebie, no i oczywiście musieli być we wszystkim najlepsi, drugie czy trzecie miejsce było powodem do wstydu... Mmmm... Pyszny mus... Na pewno nie chcesz? Może chociaż troszeczkę?

Gini potrząsnęła głową i pogłaskała przysypiającego Doga, który wydał z siebie serię przyjaznych prychnięć. Wyprostowała się. Wiedziała, że gdy Mary raz zacznie opowiadać o przeszłości, trzeba tylko od czasu do czasu podrzucić jej nowy temat.

- I wszystkie dzieci były poddawane takiej tresurze? - zapytała. - Chłopcy także? I John?

- Och, tak... - Mary zmarszczyła brwi. - Możliwe, że kiedy ich matka żyła, łagodziła wpływ S.S., chociaż mocno w to wątpię. Przyjechalismy tam z wizytą kilka miesięcy po jej śmierci. Niewykluczone, że to jej odejście skłoniło S.S. do tak surowego traktowania dzieci, nie wiem... Czasami zachowywał się naprawdę

paskudnie, wypytywał ich w obecności gości, karmił i krytykował z całą bezwzględnością. Młodszy syn, Prescott, bardzo bał się ojca. Jąkał się i zacinał, a S.S. otwarcie z niego kpił. Biedny chłopiec nie potrafił sobie z tym poradzić, stał przed S.S., czerwony ze wstydu, i dosłownie cały się trząsał. To było okropne...

- Żadne z nich nie próbowało mu się przeciwstawić?

- Oni wszyscy byli jeszcze małymi dziećmi, kochanie. John był najstarszy, ale przecież nawet on miał dopiero dziesięć lat. Nie wiedzieli, jak traktować te wybryki ojca... Chociaż kiedyś... - Mary się zawahała.

- Tak?

Mary rzuciła jej niespokojne spojrzenie.

- Opowiem ci o tym, kochanie, ale musisz mi obiecać, że zachowasz to dla siebie. Nigdy nie wspominałam o tym Johnowi... Na pewno myśli, że zapomniałam o tamtym wydarzeniu. Gdyby wiedział, że powtórzyłam to komukolwiek, bardzo by się zdenerwował...

- Oczywiście. Nikomu nic nie powiem.

- Szczerze mówiąc, było to niezwykle przeżycie... - Mary pochyliła się do przodu i zniżyła głos. - Lubiłam jeździć konno i trzeciego dnia naszej wizyty S.S. zaprosił nas na przejażdżkę. Myślę, że zależało mu, by popisać się wspaniałymi końmi, wielkimi stajniami i tak dalej. No, więc pojechaliśmy - ojciec i ja, S.S. i dwóch chłopców, Prescott i John. Od razu zorientowałam się, że Prescott nienawidzi koni. Bał się ich, a to zawsze można wyczuć. Dlatego nie mogłam zrozumieć... Kiedy dotarliśmy do stajni, jeden ze stajennych wyprowadził kuca dla Prescott'a, łagodną, słodką klaczkę i już usadził chłopca w siodle, gdy S.S. Hawthorne polecił mu, aby dał Prescottowi innego konia. - Mary ściągnęła brwi. - Myślę, że Prescott wiedział, co się dzieje, bo zbladł jak płótno. John coś powiedział, stajenny także, ale S.S. zaczął na nich wrzeszczeć i w końcu się poddali. Podprowadzono innego konia, zdecydowanie za dużego dla sześciolatka. Koń był ostry, kopał, rzucał głową i stawał dęba. Nawet stajenni mieli z nim kłopoty. Tak czy inaczej, nieszczęsny Prescott musiał go dosiąść. Kilometr za domem wierzchowiec go zrzucił. Chłopcu nic się nie stało, ale był w szoku, rozplakał się, miał zadrapaną twarz. John zeskoczył z konia i pomógł bratu podnieść się z ziemi. Właśnie wtedy stało się coś niezwykłego, właściwie były to dwie

rzeczy. S.S. Hawthorne także zsiadł z konia i podszedł do obu chłopców. Myślałam, że przytuli Prescottta i zabierze go do domu, ale on stał nieruchomo i patrzył na nich bez słowa. Potem straszyn, lodowatym głosem kazał Prescotttowi wziąć się w garść i ponownie dosiąść konia.

- Sześcioltniemu chłopcu?!

- Tak. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Koń Prescottta się spienił, S.S. z trudem trzymał go za uzdę, krótko mówiąc, zwierzę było gotowe ponieść. A on tylko popatrzył zimno na Prescottta i rzucił: „Wsiadaj!”...

- I co? Wsiadł? Mary westchnęła.

- Nie był w stanie tego zrobić, kochanie. Był przerażony, sztywny ze strachu. Chyba próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. I wtedy John...

- Wtrącił się?

- Zrobił coś więcej. Stanął przed ojcem, zasłaniając sobą Prescottta, podniósł głowę, odsłaniając białą jak ściana twarz i rzekł: „Prescott nie wsiądzie na tego konia. Nie pozwolę mu, to niebezpieczne...”. Nie jestem pewna, co wydarzyło się zaraz potem, bo wszystko działo się bardzo, ale to bardzo szybko, w każdym razie S.S. zaczął coś mówić i chyba spróbował odepchnąć Johna. W następnej chwili John uderzył go, mocno, z całej siły. Był wysoki jak na swój wiek i szpicrutą zdziesiął ojca w twarz...

Mary zamilkła. Zadrżała.

- Miał wtedy dziesięć lat? - zapytała Gini cicho, z niedowierzaniem.

- Tak. To było niesamowite. Zrobił to z rozmysłem, wcale nie stracił panowania nad sobą, nic z tych rzeczy. Był zupełnie spokojny, blady, lecz spokojny. To był naprawdę mocny cios... Na policzku S.S. wystąpiła krwawa pręga...

- Co zrobił S.S. Hawthorne? Oddał cios?

- Nie. Chwilę wpatrywał się w Johna, a potem ryknął śmiechem. Śmiał się, naprawdę pękał ze śmiechu. Odrzucił do tyłu głowę i było widać, że... Że nie jest zły, zażenowany czy poruszony. Nie, on był zachwycony. Chwycił Johna w ramiona, uniósł go i pocałował w oba policzki...

- I na tym się skończyło?

- Na tym się skończyło. Koniec dramatu. Prescott otrzymał rozgrzeszenie i wszyscy wróciliśmy do domu. Tata był okropnie zły, po prostu wściekły. Skrócił naszą wizytę i wyjechaliśmy jeszcze tego samego dnia, ale S.S. bynajmniej się tym nie przejął. Przy obiedzie bez przerwy przechwalał się, jak to jedno z jego dzieci stawiało mu czoło, przynajmniej jeden z jego synów okazał się prawdziwym mężczyzną, a nie lęklwym dzieckiem. Wygadywał te głupstwa wobec wszystkich dzieci i gości, coś potwornego...

Mary spojrzała Gini prosto w oczy. Jej łagodna twarz posmutniała, spojrzenie wyrażało dziwny niepokój. Westchnęła i powoli pokręciła głową.

- Taki był ten obrazek z życia rodzinnego Hawthorne'ów - powiedziała ze słabym uśmiechem. - Wydaje mi się, że ten incydent rzuca światło na charakter Johna... Pokazuje, że od początku był bardzo odważny. I teraz, kiedy czasami wracam myślami do tamtych chwil...

- Tak? - zachęciła ją Gini, lecz Mary nie dała nakłonić się do dalszych zwierzeń.

- Och, nic takiego - rzekła, odzyskując trochę swojej zwykłej werwy. - Po prostu chodzi mi o to, że John nie należy do osób, które łatwo dają się poznać, nawet jeżeli ktoś przyjaźni się z nim tak długo jak ja... John... Cóż, nieważne. Nie przyszłaś tu przecież po to, aby wysłuchiwać moich wspomnień o Hawthorne'ach. Na pewno zanudziłam cię na śmierć.

Mary wstała. Wyjęła ze szkatułki papierosa, codziennie pozwalając sobie tylko na jednego, i zapaliła go. Gini widziała, że nadal coś ją niepokoi. Zaraz potem Mary odepchnęła tę myśl, potrząsnęła głową i z uśmiechem odwróciła się do Gini.

- Bardzo bym chciała, żebyś wreszcie poznała Johna, Lise także, naturalnie. Zaczynam już tracić cierpliwość. Zawsze gdy próbuję zaprosić was do siebie, albo ty wyjeżdżasz z Londynu, albo John. Na pewno w tę sobotę też nie macz czasu, prawda?

- W tę sobotę? Nie mam żadnych planów...

- Więc może wpadniesz? W sobotę Lise obchodzi urodziny. - Mary się uśmiechnęła. - Pomyślałam, że wydam przyjęcie, między innymi z tej okazji. Powinnam zaprosić mnóstwo pospolitych nudziarzy, co znaczy, że sama kolacja nie będzie zbyt ciekawa. Wiesz, jacy są dyplomaci - interesują się głównie tym, obok

kogo będą siedzieli i czy wszystko jest zgodnie z protokołem. Ale będą John i Lise, więc... - Zawahała się, jej twarz nagle się rozpogodziła. - Już wiem! Najlepiej będzie, jeżeli wpadniesz na drinka po kolacji, w ten sposób będziesz miała trochę rozrywki, bo najwięksi nudziarze na pewno wyjdą przed drinkami...

- Hawthorne'owie zostaną?

- Oczywiście! - Mary się roześmiała. - John zawsze zostaje do późna.

Szczytową formę osiąga koło północy, jak ja...

Rozległ się dzwonek. Mary wydała okrzyk zniecierpliwienia.

- Co się dzieje? Jest już po dziesiątej, któż to może być?

Leżący przed kominkiem Dog uniósł wielką głowę i spojrzał w kierunku drzwi. Sierść podniosła mu się na karku. Warknął cicho. Dzwonek znów się odezwał. Mary rzuciła Gini niepewne spojrzenie.

- Co za głupota... - zaczęła. - Gardzę sobą za to, ale wiesz, od śmierci Richarda czasami trochę boję się być sama w nocy w tym wielkim domu, a Dog jest absolutnie bezużyteczny. Dużo szczeka, ale nie gryzie...

- Ja otworzę.

Gini przeszła przez pokój do holu. Mary przystanęła w progu. Gini poczuła, jak nagle ogarnia ją złość. Dlaczego nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że Mary może się bać? Zauważyła, że drzwi wejściowe są pozbawione jakichkolwiek zabezpieczeń - był tu tylko zwyczajny, marny zamek i stara, na pewno zepsuta zasuwa. Brakowało łańcucha czy choćby judasza. Postanowiła, że musi coś z tym zrobić, otworzyła drzwi i spojrzała w noc.

Usłyszała dziwny dźwięk, cichy trzask, jak na fali radiowej. Padał deszcz, a ulica była źle oświetlona. Gini zmrużyła oczy, usiłując przyzwyczaić wzrok do słabego, rozproszonego blasku najbliższej latarni. Dostrzegła błysk lakieru na masce samochodu, potem cień, który poruszył się u stóp schodów. Światło wydobyło nagle z mroku jasne włosy i rękaw ciemnego męskiego płaszcza. Mężczyzna odwrócił się ku niej.

- Mary? Już myślałem, że cię nie ma. Przywiozłem ci tę książkę, o której mówiłaś...

Przerwał ze wzrokiem utkwionym w twarzy Gini. Zapadło krótkie milczenie. Trwało najwyżej parę sekund, lecz to wystarczyło, aby Gini nabrała pewności, że chociaż nocny gość Mary udał na jej widok zaskoczenie, to jej obecność wcale go nie zdziwiła. Ruszył szybko w górę po schodach. Mary wybiegła z holu, radośnie wyciągając ramiona.

- John! - zawołała. - Co za cudowna niespodzianka! To Gini, Genevieve, pamiętasz? Wejdz do środka, proszę...

Hawthorne powiedział, że zabawi najwyżej pięć minut, ale został dziesięć. Wyjaśnił, że cały wieczór upłynął mu na rozmaitych spotkaniach, a przed chwilą wstąpił po synów do domu przyjaciół. Jego synowie, rzekł z lekkim uśmiechem, po raz pierwszy mieli okazję obejrzeć tradycyjną angielską gwiazdkową pantomimę.

- W ogóle nie mogli się w tym wszystkim połapać. - Roześmiał się wesoło. - Mężczyźni przebrani za kobiety, kobiety za mężczyzn, tańczące konie, wróżki i demony... Kiedy wszedłem, byli strasznie podekscytowani, a teraz stało się to, co stać się musiało - obaj zasnęli w samochodzie. Nie, nie, wszystko w porządku, Frank został z nimi, ale nie mam dużo czasu. Lise na pewno na nas czeka, więc musimy wracać.

- Strasznie miło z twojej strony, że wstąpiłeś... - Mary przycisnęła do piersi nową książkę. - Ale nie trzeba było robić sobie kłopotu...

- Nonsens, powiedziałaś przecież, że już nie możesz się doczekać, kiedy ją przeczytasz. Ci przyjaciele mieszkają tuż obok, za rogiem, dlatego pomyślałem, że ci ją podrzucę. Żaden kłopot. Wybacz, moja droga, ale masz dość szczególnie upodobania... Seryjni mordercy, krwawe zbrodnie... Założę się, że przez pół nocy nie zmrużysz oka...

- Wiem. - Mary pokiwała głową. - Ale ja nie mogę bez nich żyć, zawsze je uwielbiałam. Bardzo ci dziękuję, że pofatygowaleś się i przywiozłeś mi tę książkę.

- Podzielasz krwawy gust Mary, Genevieve? - John z miłym uśmiechem zwrócił się do Gini.

- Raczej nie... Nie przepadam za takimi powieściami.

- Ja też nie. Zresztą ostatnio mam coraz mniej czasu na lekturę. Czasami odnoszę wrażenie, że w ogóle nie czytuję już dla przyjemności. Nie, Mary, naprawdę, muszę się zbierać, chociaż wolałbym zostać. Nie, dziękuję za drinka.

- Może bardzo małego? - Mary podniosła butelkę whisky. Hawthorne parsknął śmiechem.

- Bardzo małego? Nigdy w życiu nie zrobiłaś nikomu bardzo małego drinka! Przyrządzasz najmocniejsze, jakie było mi dane pić, więc wolę nie ryzykować. Już idę. Zrobił krok w kierunku drzwi.

- Genevieve, cieszę się, że znowu cię widzę. - Na chwilę zatrzymał dłoń Gini w mocnym uścisku i zaraz ją uwolnił. - Mam nadzieję, że któregoś dnia wreszcie będziemy mogli porozmawiać. Mary tyle o tobie mówi, mam wrażenie, jakbym znał cię od dawna, a Lise bardzo pragnie cię poznać... Słucham? - Odwrócił się, słysząc uwagę Mary, i obdarzył Gini ciepłym uśmiechem. - W tę sobotę? Wspaniale, doskonały pomysł...

Razem z Mary wyszedł do holu. Gini patrzyła za nimi z progu pokoju. Widziała, jak John Hawthorne obejmuje jej macochę i mówi do niej coś przyciszonym głosem. Mary zaśmiała się i lekko klepnęła go w ramię.

- Czuję się doskonale - odparła. - Za dużo się martwisz, mój drogi. To naprawdę bardzo miłe, ale niepotrzebnie się troszczysz. Człowiek przyzwyczaja się do samotności, możesz mi wierzyć. Żyję sobie powoli, dzień po dniu...

Oboje zniknęli z pola widzenia Gini. Usłyszała jeszcze jakąś bardzo cichą uwagę Hawthorne'a i wybuch śmiechu Mary. Drzwi się otworzyły, rozległ się stukot butów na schodach.

- Gini! - zawołała Mary. - Podejdz tu i spójrz! Są uroczy, prawda?

Gini stanęła w drzwiach w chwili, gdy Hawthorne wsiadał do czekającej na niego czarnej limuzyny. Na tylnym siedzeniu, ledwo widoczni za barczystymi ramionami potężnego ochroniarza, spali dwaj jasnowłosi chłopcy o twarzach aniołów. Hawthorne podniósł rękę, samochód ruszył. Gdy obie kobiety wróciły do pokoju, Mary rzuciła pasierbicy triumfalny uśmiech.

- Cóż, dokonałaś podboju - powiedziała.

- Naprawdę?

- Tak jest. Czy masz bardzo czerwone uszy?

- Nie, dlaczego? - zdziwiła się Gini. - Co takiego powiedział?

- Nieważne, ale było to bardzo pochlebne.



- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego. Otworzyłam usta najwyżej dwa razy, więc nie wiem, co takiego...

- Najwyraźniej to nie twoje słowa wywarły na nim tak wielkie wrażenie - oświadczyła Mary z satysfakcją. Podeszła do stolika, wzięła do ręki nową książkę i zaraz ją odłożyła. - Tak czy inaczej, obiecujesz wpaść w sobotę, prawda? No, daj mi słowo, bo muszę cię już wygonić. Chcę się porządnie wyspać...

- Bzdury! - przerwała jej Gini ze śmiechem. - Nie możesz się doczekać, kiedy dorwiesz się do tej książki.

- To prawda. Jestem winna, ale obiecaj, że będziesz w sobotę.

- Oczywiście, z przyjemnością wpadnę. Jest tylko jedna komplikacja...

- Tak?

- Nie masz nic przeciwko, żebym przyszła ze znajomym? To Francuz, przyjechał dziś do Londynu i...

Mary natychmiast przestała oglądać książkę. Gini westchnęła w duchu, ponieważ dobrze wiedziała, co ją teraz czeka.

- Znajomy? - Mary, która była bardzo marną aktorką, starała się mówić obojętnym tonem. - Spotkałam go?

- Chyba nie, nie sędzę. Nazywa się Pascal Lamartine.

- Od dawna go znasz?

Gini odwróciła wzrok. Mogła powiedzieć, że zna Pascala od dwunastu lat, ale uznała, że nie powinna tego robić.

- Znam go raczej krótko - odparła. - Pracuje teraz dla „News”, więc...

- Wolny?

- Mary, daj mi spokój, dobrze? Tak, w pewnym sensie wolny. Rozwiedziony.

Mary zamyśliła się głęboko.

- Dziennikarz? - zapytała po chwili. - Reporter?

- Fotoreporter. Kiedyś robił fotoreportaże wojenne, bardzo dobre, a teraz jest... Cóż, chyba paparazzi to najlepsze określenie...

Użyła tego słowa celowo. Nadal było jej trudno myśleć o Pascalu w tych kategoriach, ale miało to swoje dobre strony. Jedno wydawało jej się pewne - Mary zapewne straci nim zainteresowanie i pozwoli zmienić temat. Niestety, okazało się, że

jej nadzieje były płonne. Mary pisnęła radośnie. Wciąż nie traciła nadziei, że w końcu zdoła wydać Gini za mąż.

- Paparazzi! - powtórzyła. - Niesamowite! Zawsze chciałam poznać jednego z nich! Są tacy odważni, jeżdżą na motocyklach, zawsze w ciemnych okularach, nawet w nocy... Zaraz, zaraz, jaki tytuł miał ten film...

- *La dolce vita. Słodkie życie*, film Felliniego. Ale tam paparazzi jeździli na skuterach, nie na motocyklach...

- Przecież to żadna różnica! Doskonale pamiętam ten film. Czy ten twój Pascal jest taki jak tamci?

- O ile mi wiadomo, jeździ samochodem - wyjaśniła Gini cierpliwie. - I nie jest mój, na miłość boską.

Powiedziała to w sposób niepozostawiający cienia wątpliwości, w każdym razie tak jej się wydawało. Mary nie zwróciła na jej słowa najmniejszej uwagi. Prychnęła pogardliwie i ciągnęła przesłuchanie. Mniej więcej piętnaście minut później, kiedy Gini wreszcie się pożegnała i nadal zbiegała po schodach, nadal jak nakręcona gadała o Fellinim, kamerach i fascynujących młodych mężczyznach na motocyklach.

- To były motocykle! - krzyknęła za Gini. - Motocykle, nie skutery, jestem tego pewna! Zapytam go w sobotę, tego twojego Pascala...

## IX

Pascal zadzwonił o ósmej rano. Gini, która nie spała od szóstej, postanowiła być ostrożna. Siedziała w odległości pół metra od telefonu, lecz podniosła słuchawkę dopiero po piątym dzwonku. Pascal nie skomentował tego ani słowem.

- To ja - powiedział. - Wypożyczyłem motocykl. Przyjadę po ciebie o dziesiątej.

- Słucham?!

- Wypożyczyłem motocykl. Czarny, niemiecki. BMW, bardzo szybki.

- Przecież ja mam samochód! Widziałeś go wczoraj...

- Właśnie, widziałem twój samochód. Dlatego wypożyczyłem motocykl.

- Czyżbyś miał jakieś zastrzeżenia do mojego samochodu? - zapytała.

- Owszem, kilka. Jest stary. Powolny. Pomalowany na jaskrawożółty kolor. Rzuca się w oczy, trudno go zapomnieć, więc zwyczajnie się nie nadaje. - Pascal przerwał na chwilę. - Poza tym niewykluczone, że będziemy musieli się rozdzielić, a nawet jeżeli nie, to przecież możesz usiąść za mną. Wezmę zapasowy kask, zgoda?

- Pascal...

- O dziesiątej. Muszę pojechać w jeszcze jedno miejsce, ale punktualnie o dziesiątej będę u ciebie. *Au revoir*.

Gini odłożyła słuchawkę. Długo siedziała, zapatrzona w okno. Potem zdjęła spódnice i przebrała się w dżinsy.

- Moja macocha Mary posiada dar jasnowidzenia, wiedziałeś o tym, Napoleonie? - zwróciła się do swego ulubieńca.

Podniosła kota i pocałowała go między uszami. Napoleon nie cierpiał pieszczot. Chwilę się wyrywał, przestępując z nogi na nogę na jej kolanach, ale w końcu ułożył się wygodnie i zaczął mruzczyć.

Sądziła, że dokładnie zapamiętała Pascala, a tymczasem zapomniała o jednej z jego najbardziej wyrazistych cech - niezwyklej energii. W pogoni za dobrą historią był skoncentrowany wyłącznie na czekającym go zadaniu. Pracował ciężko, intensywnie i szybko, zapominając o potrzebie snu i takich drobnych życiowych niedogodnościach jak konieczność zasilania organizmu jedzeniem. Ci, którzy pracowali razem z nim, zwykle nie byli w stanie dotrzymać mu kroku i dostawali ciężkiej zadyszki.

O dziesiątej pod oknami Gini z rykiem wyhamował potężny motocykl. Minutę po dziesiątej Pascal stał już w jej salonie, z dwoma kaskami pod pachą. Ubrany był w czarne dżinsy, czarny sweter i czarną skórzaną kurtkę. Co za szczęście, że nie włożył ciemnych okularów, pomyślała Gini. Dzięki ci, Fellini. Kiedy Pascal zamknął za sobą drzwi, papiery zafurkotały, uniesione prądem zimnego powietrza, zupełnie jakby chciały poderwać się do lotu.

- Doskonale - zaczął, stając na środku pokoju, który nagle dziwnie się skurczył.  
- Dowiedziałem się dwóch rzeczy jednej wczoraj wieczorem, drugiej dziś rano.

- Napij się kawy - powiedziała Gini, podając mu kubek. - I usiądź. Jesteś za wysoki do tego pokoju. Zdenerwowałam się przez ciebie. Ja też czegoś się dowiedziałam.

- Tak?

Wziął kubek z jej rąk i wypił połowę kawy. Potem odstawił naczynie na parapet nad kominkiem, usiadł na kanapie i wyciągnął przed siebie bardzo długie nogi.

- Mogę zapalić? - zapytał.

- Tak.

- Dziękuję. No, opowiadaj.

Gini opowiedziała mu o swojej wizycie u Mary i spotkaniu z Hawthorne'em. Pascal słuchał w skupieniu. Kiedy skończyła, zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem. Wyglądał na zdumionego twoją obecnością, ale ty czułaś, że tylko gra, tak? Dlaczego miałyby udawać?

- Nie wiem, to był instynkt. Miało to coś wspólnego z tonem jego głosu, chwila, w której się odwrócił i odezwał, trudno mi to wyjaśnić.

- Nadal nie rozumiem. Spodziewał się zobaczyć Mary, więc mógł być zaskoczony, nie sądzisz?

- Nie o to mi chodzi. Po pierwsze, naprawdę miałam wrażenie, że zachowuje się jak rasowy aktor, a po drugie, chociaż dobrze odegrał rolę, trochę się spóźnił. Musiał zobaczyć mnie kilka sekund wcześniej. Stałam w pełnym świetle, w otwartych drzwiach. Jestem pewna, że od razu się zorientował, że to nie Mary, ale mimo tego udał zdumienie. Po co? Pascal wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie tylko ci się tak wydawało. Sugerujesz, że Hawthorne wiedział, iż zastanie cię u Mary?

- Coś w tym rodzaju. I wcale mi się nie wydawało.

- Skąd mógłby wiedzieć, że tam jesteś?

- Nie mam pojęcia. Zadzwoiłam do Mary godzinę przed wizytą, nie umawiałam się z nią wcześniej.

- Przyjeżdżasz do niej co środę?

- Nie. Widujemy się często, ale nieregularnie.

Gini się zawahała. Była trochę rozczarowana reakcją Pascala. Jej opowieść najwyraźniej nie zrobiła na nim wrażenia i kiedy teraz dokładnie się nad nią zastanowiła, doszła do wniosku, że rzeczywiście nie kryje się w niej nic nadzwyczajnego.

czajnego. Bo o czym właściwie to wszystko świadczyło? O zbiegu okoliczności, o jej instynktownej reakcji i o niczym więcej...

- Nieważne - powiedziała. - Na pewno masz rację i nie ma to żadnego znaczenia. Tak czy inaczej, dobrze się składa, że będziemy mieli okazję się z nimi spotkać, prawda?

- W sobotę? Owszem, ale musimy zachować maksymalną ostrożność. Hawthorne nie może powziąć podejrzenia, że się nim interesujemy, bo będziemy spaleni.

Gini nie odpowiedziała. Czowała żal, że w tak lekceważący sposób odniósł się do tego, co zrobiła, ale uczucie to szybko minęło. Pascal wyjął z kieszeni małą paczkę i otworzył ją. Gini wydała cichy okrzyk.

- To jest taśma, którą nagrał McMullen?

- Tak. Jenkins przysłał ją dziś rano do hotelu, przez gońca. - Uśmiechnął się. - A ściślej, przysłał ją pod zbrojną asystą. Za chwilę ją przesłuchamy, ale najpierw chciałbym ci powtórzyć, czego się dowiedziałem.

Położył taśmę na stoliku do kawy i pochylił się nad nim.

- James McMullen, nasze źródło informacji... Gdzie jest?

Dlaczego zniknął? Wczoraj jeszcze raz rozmawiałem z Jenkinsem. Ostatni raz widział go wtedy gdy McMullen przekazał mu taśmę, dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia. Mieli spotkać się tydzień później, ale McMullen się nie pojawił. Wydaje mi się, że to jest najważniejszy punkt programu - musimy znaleźć McMullena. A to może okazać się bardzo trudne... Jenkins mówi prawdę, McMullena nie ma w jego mieszkaniu...

- Jesteś pewny? Skąd wiesz?

- Pojechałem tam z samego rana. Rozmawiałem z portierem i ze sprzątaczką. Oboje widzieli McMullena przed świętami, ale nie potrafili powiedzieć, kiedy dokładnie.

- Rozumiem.

- Podejrzałem, że tak będzie, więc wieczorem zadzwoniłem do przyjaciela, który pracuje na lotnisku Heathrow. Sprawdził listy pasażerów, którzy odlecieli z Londynu w ciągu ostatnich trzech tygodni. Nazwiska McMullena nie ma w bazie

danych Heathrow, Gatwick, Stansted ani na nowym lotnisku City. Znaczy to, że albo opuścił kraj statkiem czy pociągiem, albo...

- Twój znajomy sprawdził listy pasażerów wszystkich lotów? - Gini spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Oczywiście. - Pascal sprawiał wrażenie lekko zirytowanego. - Listy są w komputerowej bazie danych. Jeżeli znasz nazwisko, możesz bez trudu sprawdzić, czy pojawia się na liście. Nie trwa to zbyt długo.

- Co za użyteczny przyjaciel... - zauważyła sucho. Pascal się uśmiechnął.

- Mam wielu użytecznych przyjaciół. Tak czy inaczej, ta informacja nie jest szczególnie przydatna. McMullen mógł przecież odlecieć z jednego z lotnisk na prowincji, posłużyć się czyimś paszportem lub nawet wystarać się o paszport na inne nazwisko. W okresie świątecznym, kiedy przez lotniska przewija się tłum pasażerów, nikt nie jest w stanie przeprowadzić dokładnej kontroli wszystkich podróżujących. Po-tem dzwoniłem do firm wynajmujących taksówki, minivany i tak dalej.

- Takich firm w samym centrum Londynu jest około trzech tysięcy! - zawołała Gini.

Pascal niedbale machnął ręką.

- Tak, ale McMullen mieszka w apartamencie, prawda? W jednym z tych zaadaptowanych magazynów w pobliżu siedziby redakcji „News”. Mieszkańcy takich domów najczęściej korzystają z tych samych firm, czasami polecanych przez portiera. Zamieniłem więc parę słów z portierem McMullena. Dał mi trzy wizytówki. Druga należała do firmy taksówkowej w Wapping, mniej więcej trzy ulice od tego domu. Okazało się, że dobrze znają tam McMullena i często go wozili. Podali mi, kiedy ostatni raz zamawiał wóz. Taksówkarz podjechał po niego o ósmej wieczorem i zawiózł go na dworzec Victoria. Było to dwudziestego pierwszego grudnia zeszłego roku, na dzień przed wyznaczonym spotkaniem z Jenkinsem.

Zapadła cisza.

- Z Victoria Station odjeżdżają pociągi do Europy - odezwała się Gini.

- Dokładnie o tym samym pomyślałem. Na dworcach kolejowych nie prowadzi się list pasażerów, chyba że ktoś rezerwuje miejsce w przedziale sypialnym.

McMullen tego nie zrobił, sprawdziłem. Tego wieczoru do Dover/Calais odjeżdżały

dwa pociągi - jeden za pięć dziewiąta, drugi dziesięć po jedenastej. McMullen mógł wsiąść do któregoś z nich.

- Albo do żadnego. Albo do jakiegokolwiek odjeżdżającego wieczorem z dworca Victoria. Możliwe, że pojechał na dworzec tylko po to, aby zostawić fałszywy trop.

Pascal z zadowoleniem pokiwał głową. Gini odniosła wrażenie, że byłby rozczarowany, gdyby ich zadanie okazało się łatwiejsze. Uśmiechnął się.

- No, właśnie. Może mamy tu coś, a może nic. Dziś przed południem musimy dostać się do jego mieszkania. Nie powinno to być zbyt trudne.

- Nie powinno?

- Nie. Myślę, że okaże się całkiem łatwe. Mam plan. Zerknął na zegarek. - Spróbujemy dotrzeć tam tuż przed dwunastą, a teraz przesłuchamy taśmę. Moglibyśmy napić się jeszcze kawy?

Gini westchnęła. Zapomniała nie tylko o wibrującej energii Pascala, ale także o jego uzależnieniu od kofeiny. Wstała.

- Nic łatwiejszego - powiedziała. - Kawa jest w słoiku. Wsypujesz granulki do dzbanka, zalewasz gorącą wodą i *voilà*...

- To nie jest kawa. - Pascal także się podniósł, bardzo wysoki i stanął tuż obok niej, blisko, może nawet zbyt blisko. Popatrzył na nią z łagodnym smutkiem. - Następnym razem przyniosę kawę ziarnistą, prawdziwą kolumbijską. Nie umiem gotować, za to potrafię zaparzyć znakomitą kawę...

Odwrócił się i poszedł do kuchni, dokładnie w chwili, gdy Gini nabrała przekonania, że dotknie jej ramienia lub weźmie ją za rękę. Usłyszała szum wody i kilka wymamrotanych francuskich przekleństw.

Zakręciło jej się w głowie, więc usiadła. Po paru minutach Pascal wrócił do pokoju z dwoma kubkami. Skrzywił się lekko.

- Tak zwana nesca... - mruknął. - Ohyda... Nieważne, na razie musimy się tym zadowolić.

Gini postawiła magnetofon na stole między nimi i wsunęła taśmę do kieszeni. Pascal pochylił się do przodu. Nacisnęła „Play”. Rozległ się trzask, syczący szum, a potem dość wyraźny głos.



- Halo? Halo? Czy połączyłam się z Adelajdą w Australii?

- Nie, tu Sydney.

- Och, James... Dzięki Bogu! Zawsze się boję, że ktoś inny będzie akurat korzystał z twojej budki i podniesie słuchawkę...

- Nie martw się, kochanie, zawsze przychodzę tu pół godziny wcześniej. Gdzie jesteś? Czy to bezpieczne miejsce?

- Tak sędzę. Jem lunch z moją przyjaciółką Mary, jesteśmy w restauracji The Ivy. Powiedziałam, że idę do toalety. Frank zaglądał do sali pięć minut temu, więc następnym razem zajrzy za dziesięć, może piętnaście. Jest teraz na podjeździe za restauracją, razem z szoferem. Nie mam dużo czasu. O, Boże, jak dobrze słyszeć twój głos...

- Kochanie, nie denerwuj się. Nie płacz. Nie wolno ci. Postaraj się być dzielna. Zaufany człowiek nam pomoże, jestem tego pewny...

- Wiem. Wiem. Och, jesteś najlepszym przyjacielem na całym świecie! Gdyby nie ty... Gdybyśmy nie mogli rozmawiać... Żyję jak w więzieniu, bez przerwy obserwowana. Wiesz, wczoraj wieczorem widziałam go w telewizji, udzielał wywiadu... Był taki przekonujący, taki sympatyczny... Pomyślałam sobie, że gdyby ci wszyscy ludzie, którzy na niego patrzą i go słuchają, nagle dowiedzieli się, jaki jest naprawdę...

W tym miejscu pojawiły się jakieś zakłócenia w połączeniu i krótka przerwa. Gini zatrzymała taśmę i spojrzała na Pascala.

- Taśma została poddana obróbce, w każdym razie tak to brzmi...

Kiwnął głową.

- Też tak uważam.

- Ona robi wrażenie przerażonej... - Gini zmarszczyła brwi.

- Jak mała dziewczynka, jak wystraszone dziecko. - Rzucił jej pełne powątpiewania spojrzenie. - Czy to rzeczywiście jest Lise Hawthorne? A może słuchamy jakiejś podstawionej kobiety? Jak sądzisz?

- Jestem pewna, że to ona. Nie rozmawiałam z nią w czasie tamtego przyjęcia u Mary, ale stałam bardzo blisko niej, widziałam też kilka wywiadów z nią w telewizji. Ma bardzo charakterystyczny głos, z przydechem, dość dziecinny. Mogę sprawdzić,

czy faktycznie była z Mary na lunchu w The Ivy, ale w tej chwili jestem pewna, że to ona.

- Jenkins także nie ma żadnych wątpliwości. Kazał ekspertom od barwy głosu wykonać analizę i porównać fragment tego nagrania z wywiadem radiowym, jakiego Lise udzieliła w zeszłym roku. Potwierdzili, że to ona, ze stuprocentową pewnością. W każdym razie tak utrzymuje Jenkins...

- Posłuchajmy dalej...

- W porządku. Trochę głośniej, dobrze?

Gini zwiększyła natężenie głosu. Po krótkiej przerwie usłyszeli coś pomiędzy westchnieniem a jękiem, potem zaś głos McMullena, wyraźnie zaniepokojony.

- Kochanie, kochanie, przestań, bardzo proszę... Nie mogę znieść twoich łez...

- Wiem. Wiem... Przepraszam, ja tylko... Widzisz, ciągle o tym pamiętam, nie mogę zapomnieć, nie mogę... Ani na chwilę. Ciągle myślę o ostatniej niedzieli i jeżeli nawet czasami uda mi się o tym przez pewien czas nie myśleć, zaraz uświadamiam sobie, że następna niedziela jest już blisko, coraz bliżej... Strasznie się męczę, James... Przez niego moje życie jest okrutną torturą... Myślę, że on to planuje, robi to celowo - męczarnie, chwila oddechu, znowu męczarnie... Patrzę na niego i czasami chcę umrzeć...

- Kochanie, błagam cię, posłuchaj... Pamiętasz, co ci mówiłem o następnym razie? Czy nie mogłabyś wyjechać? Sama, do przyjaciół, na weekend...

- Nie mogę, nie mogę... Nie prosz mnie o to. Ty nie rozumiesz. Ukaralby mnie, gdybym zrobiła coś takiego... Nigdy nie pozwoli mi odejść. Raz spróbowałam... To było potworne... Nigdy więcej... Możesz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ktoś przez cały czas cię obserwuje, pilnuje? Gdyby nie ty... Gdyby nie dzieci... W zeszłym tygodniu byłam u tego lekarza, tego, o którym powiedziała ci twoja siostra, pamiętasz?

- To świetnie, kochanie. Bardzo dobrze. Widzisz? Kiedy coś postanowisz, wcale nie jest tak trudno... Zobaczysz, teraz wszystko zacznie się układać... Nasze plany na pewno się powiodą.

Gini zatrzymała taśmę. Spojrzała na Pascala.

- Dziwne, nie sądzisz? Co znaczy ten fragment? Potrząsnął głową.

- Nie jestem pewny... Był tam jakiś przeskok, przestałem nadążać... Puść to jeszcze raz.

Przewinęła taśmę, znalazła właściwe miejsce. Jeszcze raz przesłuchali budzący wątpliwości fragment. Pascal ściągnął brwi, zamyślił się.

- Wygląda na to, że siostra McMullena poleciła mu jakiegoś lekarza - powiedział. - Lise umówiła się na wizytę i odbyła ją. McMullen gratuluje jej, że jednak się zdecydowała...

- To brzmi sensownie, oczywiście, jeżeli niepokoił się o jej zdrowie. Lise sprawia wrażenie bliskiej załamania...

- Wszystko to prawda, ale ten przeskok pojawia się później - rzucił Pascal. - Dlaczego zaraz potem McMullen mówi, że teraz wszystko zacznie się układać? Jaki ma to związek z wizytą u tego lekarza? I jakie mają plany?

- Nie wiem. Myślę, że chodzi o nas, o nawiązanie kontaktu z Jenkinsem, z prasą... Muszę przyznać, że rzeczywiście nie ma to nic wspólnego z lekarzem, w każdym razie tak mi się wydaje...

- Może to tylko wrażenie - mruknął Pascal. - Ludzie, którzy dobrze się znają, często porozumiewają się skrótami. Zastanowimy się nad tym później. Na razie przesłuchajmy taśmę do końca...

Gdy nagranie się skończyło, Gini pokiwała głową.

- Nie wiem, co myślisz, ale moim zdaniem potwierdza to historię, którą McMullen opowiedział Jenkinsowi.

- Chodzi ci o odniesienia do niedzieli?

- Tak. Poza tym jestem pewna, że to rzeczywiście Lise Hawthorne, i nie mam cienia wątpliwości, że jest przerażona.

- Och, zgadzam się z tobą. Chyba że jest doskonałą aktorką...

- Nie sądzę.

- Ja też nie.

- W takim razie... - Gini pozwoliła ogarnąć się fali podniecenia. - W takim razie to może być prawda...

- Właśnie. Ja także nie mogę w to uwierzyć. Nie dziwię się już reakcji Jenkinsa. Potrafisz sobie wyobrazić, co będzie, jeżeli uda nam się znaleźć dowody? Co będzie się działo tutaj? I w Ameryce?

- Aż nazbyt dobrze....

- Mimo wszystko nie powinniśmy zbyt pochopnie dochodzić do ostatecznych wniosków. - Uniósł dłoń w wymownym geście. - Musimy sprawdzić wszystkie informacje, krok po kroku. Na taśmie jest kilka rzeczy, których po prostu nie rozumiem... Przegraj jeszcze raz ten ostatni fragment, w którym Lise i McMullen planują spotkanie...

- Zaczekaj. Zanim posłuchamy, spójrz na to... - Gini przerzuciła stos leżących na biurku wycinków i wyjęła jeden z nich, kopię krótkiego tekstu z kolumny towarzyskiej „Daily Mail”. - Widzisz? Tu mamy potwierdzenie - Lise rzeczywiście regularnie leczy się u osteopaty z Harley Street. Ma jakieś problemy z kręgosłupem. Kilka lat temu spadła z konia podczas polowania i doznała poważnej kontuzji. Nadal ma bóle.

Pascal przebiegł wzrokiem krótki artykuł.

- Faktycznie, to jest jakieś potwierdzenie - powiedział. - Przesłuchajmy ten fragment jeszcze raz. Potem pojedziemy do mieszkania McMullena.

Ostatnia część rozmowy telefonicznej trwała sześć minut i składała się głównie z uspokajających uwag McMullena. Fragment o lekarzu był pod koniec rozmowy.

- Rano mam spotkanie komitetu organizującego bal na rzecz szpitala, więc ten dzień odpada... Ale w przyszłym tygodniu, we wtorek... On jedzie wtedy do Brukseli i wróci późnym wieczorem. Po południu muszę iść na masaż, o trzeciej. Zawsze jeżdżę tam sama...

- W tym samym miejscu, gdzie poprzednio, kochanie? Ale co z Frankiem?

- We wtorek Frank ma wolne, a jego zastępcę... Pozbędę się go. Spławię go jakoś, wyślę po zakupy albo coś takiego...

- Naprawdę, kochanie? Na zakupy? Po co? Nowe ubrania?

- To bez znaczenia, przecież i tak nie może mi odmówić. Może wyślę go gdzieś z chłopcami. Jeżeli będziesz czekał na mnie na nabrzeżu...

- Nie wolno ci ryzykować. Nie teraz.

- Wszystko będzie dobrze, niczym nie ryzykuję. Wymknę się tylnymi drzwiami. Zostawię zaparkowany samochód na Harley Street... Jeżeli będzie im się chciało sprawdzać, to go znajdą i pomyślą, że jestem jeszcze u lekarza. James, proszę cię - to już prawie Boże Narodzenie. On zmusi mnie do wyjazdu na wieś, nie zobaczymy się przez parę tygodni, nie będziemy mieli szansy...

- W porządku, kochanie, w porządku, nie denerwuj się. Będę tam czekał. Dobrze wiesz, że przyjechałbym z drugiego końca świata, żeby spędzić z tobą choćby pięć minut...

- Będziemy razem dłużej niż pięć minut. Jeżeli zachowamy ostrożność...

- Och, kochanie, zaśmiałaś się tak szelmowsko... Ogromnie się cieszę, że wreszcie się śmiejesz...

- Ja też się cieszę. Wystarczy mi myśl, że niedługo się zobaczymy. Jeżeli zaczekasz w tamtym??? centrum, tak jak poprzednio... Będę miała chusteczkę na głowie. Moglibyśmy pójść do... Och, przepraszam... Ktoś chce skorzystać z telefonu. Muszę kończyć. Doskonale, jeżeli wszyscy członkowie komitetu są co do tego zgodni... Naturalnie, doskonale. W takim razie zobaczymy się na następnym spotkaniu, Świetnie. Do widzenia...

Gini wyłączyła taśmę. Pascal wstał i podniósł obydwie kaski. Nie odezwał się ani słowem, kiedy wychodzili z mieszkania. Wydawał się roztargniony i zamyślony, jakby w nagraniu usłyszał coś, czego nie rozumiał.

- Dziwne... - powiedział, przystając obok wielkiej czarnej maszyny. Odwrócił się do Gini i popatrzył na nią uważnie. - Czy Lise Hawthorne i McMullen są kochankami? Jak sądzisz?

- Nie wiem. Sama się nad tym zastanawiam. - Odwróciła wzrok, starając się nie wracać myślami do pewnych rozmów telefonicznych, jakie kiedyś odbyła. - Możemy się tylko domyślać - rzekła w końcu. - Z pewnością nie była to normalna rozmowa między kochankami, ale biorąc pod uwagę okoliczności...

Pascal stał nieruchomo, ze zmarszczonymi brwiami wpatrując się w przestrzeń.

- Oczywiście, usiłują zachować ostrożność... - mruknął. - A jednak on mówi do niej: „kochanie”, i to nie raz, a wiele razy...

- Ale ona mówi tylko o przyjaźni. Nazywa go przyjacielem.

- Właśnie... - Spojrzał na Gini. - Powiedziałbym, że McMullen jest w niej zakochany...

- Lecz ona nie odwzajemnia tego uczucia?

- W każdym razie nie w tym samym stopniu...

Gini nie mogła oprzeć się wrażeniu, że właśnie to go niepokoiło. Zastanawiał się jeszcze chwilę, potem ze zniecierpliwieniem wzruszył ramionami.

- Pal to lichy, w tej chwili mamy ważniejsze sprawy. - Podał jej duży, lśniący kask z ciemnym wizjerem. - Włóż go i trzymaj się mocno. Przechylaj się na bok razem ze mną. Jest piętnaście po jedenastej, koło dwunastej powinniśmy być w mieszkaniu McMullena.

- Ach, tak? I na pewno już wiesz, jak się tam dostaniemy?

- Oczywiście. - Rzucił jej pełne wyrzutu spojrzenie. - Włamiemy się. Nic prostszego - w budynku jest alarm.

X

Budynek, w którym mieszkał McMullen był dziewiętnastowiecznym magazynem, przeznaczonym na składowanie przypraw, stojącym nad samym brzegiem Tamizy. Duży i podobny do fortecy, został wyremontowany i zaadaptowany przy wielkim nakładzie kosztów w szczytowym momencie ery Margaret Thatcher.

Pascal zaparkował motocykl i poprowadził Gini krętymi, brukowanymi uliczkami, przy których z obu stron stały range rovery, jaguary i drogie niemieckie samochody. Obeszli główne wejście i duży dziedziniec przed nim, ozdobiony starannie przycinanymi iglakami i kratkami z roślinami pnącymi.

- Nie tędy, trochę dalej... - powiedział Pascal.

Wziął ją za rękę i pociągnął za róg domu, gdzie wąska kamienna alejka biegnąca w cieniu dwunastopiętrowych magazynów kończyła się schodkami i zejściem na brzeg Tamizy.

Poziom rzeki był na razie dość niski. Kiedy Gini stanęła na mieszaninie piasku, błota i żwiru, ze zdumieniem rozejrzała się dookoła. Przed jej oczami rozciągał się nowy Londyn, jakiego nigdy nie widziała, chociaż pracowała w pobliżu. Po lewej

miała lśniący, biały kompleks Canary Wharf; po prawej brzegi szarej rzeki spinał most i przysadziste, kamienne obwarowania Tower. Rzeką płynęła policyjna motorówka i barka. Pascal wpatrywał się w dom McMullena, licząc w myśli duże łukowate okna.

- Tamto należy do mieszkania McMullena - wskazał. - Tam, w środku, na najwyższym piętrze.

Gini podniosła wzrok. Ceglany mur miał mniej więcej dwadzieścia metrów wysokości i opadał prosto na wąskie nabrzeże i szumiącą niżej wodę. Po murze pięły się czarne schodki ewakuacyjne. Pascal odwrócił się do niej z uśmiechem.

- W porządku. Trzymaj się moich wskazówek. Porozmawiaj z portierem, nie zapominaj, że pełni on także rolę ochroniarza. Odwróć jego uwagę na pięć minut. Jestem pewny, że ci się uda. - Uśmiechnął się szerzej. - Zwykle pracuję sam, ale teraz zaczynam dostrzegać korzyści płynące ze współpracy z piękną blondynką...

Gini zignorowała tę uwagę.

- Co potem? - zapytała.

- Usłyszysz alarm. Zaczekaj jeszcze parę minut i wyjdź. W budynku jest kawiarnia, taka w amerykańskim stylu, po prawej stronie od wejścia. Tam się spotkamy.

- Czy cały ten plan ma szanse się powieść? W budynku na pewno są kamery, widziałam je nad dziedzińcem.

- Jasne, że są. Jeżeli działają, to są nastawione na główne wejście, hol, windy i korytarze, no i na schody ewakuacyjne. Mówiłem przecież, że cieszę się, iż jesteś blondynką...

Gini się poddała. Zostawiła Pascala nad wodą i zawróciła w stronę dziedzińca. Po drodze przystanęła i umalowała usta szminką, którą na wszelki wypadek zawsze nosiła w torebce. Przeszła przez dziedziniec i weszła do holu. W kącie stało biurko portiera, obudowane imponującym zestawem konsol z kilkoma telefonami, systemem interkomów, centralą oraz ścianą monitorów. Jeden z nich przekazywał ziarnisty obraz schodów ewakuacyjnych, na razie pustych. Portier miał koło trzydziestki, ubrany był w błękitny uniform. Gini przywitała go ciepło i, wzmocniwszy amerykański akcent, zabrała się do pracy.



Później nie bardzo mogła sobie przypomnieć, co mówiła. Najpierw snuła jakąś skomplikowaną historyjkę o przyjaciółce, która kiedyś wynajmowała tu mieszkanie i gorąco polecała jej tę okolicę, a potem zaczęła rozwlekle wypytywać, czy w budynku są w tej chwili jakieś wolne apartamenty, a jeżeli tak, to kto się tym zajmuje. Portier bardzo przejął się jej sprawą. Gini nie śmiała spojrzeć na znajdujące się za jego plecami ekrany. Kiedy rozdzwonił się alarm, portier właśnie przeglądał notes w poszukiwaniu telefonu agencji, trudniącej się wynajmem lokali w budynku.

Gini podskoczyła nerwowo. Dzwonek rozbrzmiewał zza biurka, na ścianie mrgały czerwone światła. W oddali, gdzieś z głębi ogromnego domu, słychać było przytłumione wycie drugiego alarmu.

Portier zareagował w dość nieoczekiwany sposób. Zaklął i pośpiesznie przeprosił Gini.

- Bardzo przepraszam, panienko. To ten nowy system, dopiero go założyli. Zaawansowana technologia, ale jak na razie mamy z nim same kłopoty. Chwileczkę...

Odwrócił się. Gini utkwiała wzrok w środkowym monitorze, na którym widać było czarne schody na zewnętrznej ścianie. Na schodach nie było żywej duszy.

Portier popatrzył na konsolę i tablicę kontrolną.

- Numer 12 - mruknął. - Mieszkanie pana McMullena, znowu to samo. Nie uwierzy pani, ale to już drugi raz w tym tygodniu, a nam brakuje ludzi. Tu jest adres tej agencji, panienko. Zaraz przyjedzie policja. Cóż, muszę pojechać na górę i sprawdzić...

- Policja?

- Tak, alarm ma bezpośrednie połączenie z posterunkiem, który znajduje się w górze ulicy. Oni tracą czas i ja także. Wie pani, co najczęściej powoduje, że alarm się włącza? Wysoka temperatura.

- Wysoka temperatura?

- Wysoka temperatura i te cholerne robale. Alarm jest wyposażony w czujniki ruchu i temperatury ludzkiego ciała, tą siecią objęte są wszystkie mieszkania. Robaki uwielbiają czujniki, bo zawsze są ciepłe, rozumie pani... Muchy, pająki, inne paskudztwa... To wszystko gromadzi się w pobliżu czujników, robi tam sobie

gniazdka i proszę bardzo... No, ale jednak powinienem sprawdzić. Może tym razem to nie robale tylko motylki, co? - portier uśmiechnął się i mrugnął znacząco.

Gini podziękowała mu i wyszła.

W pustej kawiarni leciały popularne przeboje z szafy grającej. Na zewnątrz, na dużym tarasie, ociekały wodą zestawione w stosy plastikowe krzesła i stoliki. Pascal usadowił się w takim miejscu, żeby widzieć, co dzieje się przed wejściem do budynku i na jego tyłach. Czytał gazetę i palił papierosa. Na stoliku przed nim stały dwie filiżanki kawy. W odległym kącie, za barem, znudzona kelnerka oddawała się lekturze jakiejś książki. Gini usiadła.

- Zaraz będzie tu policja - odezwała się cicho. - Chyba powinniśmy się ulotnić...

Pascal spojrział na zegarek.

- Ależ właśnie o to chodzi! - odparł. - Zaczekamy na przyjazd policji. Siedź spokojnie.

- Mam zachowywać się całkiem naturalnie, jak gdyby nigdy nic?

- Coś w tym rodzaju.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak łatwo cię zapamiętać? - zapytała Gini. - Masz metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ten idiotyczny francuski akcent...

- Mój akcent wcale nie jest idiotyczny. Wypraszam sobie.

- Chodzi mi o to, że bardzo go słychać, do cholery! Rzucasz się w oczy! Na pewno zapamiętał cię i portier, i ta kelnerka, zresztą mnie także...

- I co z tego? Nie mam kryminalnej przeszłości, a ty?

- To prawdziwy cud, że nie masz kryminalnej przeszłości, jeśli wziąć pod uwagę, jakie wykręcasz numery - westchnęła. - Zakradasz się na teren prywatnych posiadłości, czaisz się w krzakach, włamujesz do mieszkań...

Przerwała, ponieważ Pascal w ogóle jej nie słuchał.

- Może zainteresuje cię, że nie my jedni mieliśmy ochotę zajrzeć do mieszkania McMullena - podjęła po chwili, pochylając się nad stolikiem. - Alarm włączył się u niego już drugi raz w tym tygodniu...

- Jesteś pewna? Skąd to wiesz?

- Portier mi o tym powiedział. Wygląda na to, że nie było żadnych śladów włamania, bo przypisał wszystko jakiejś usterce mechanicznej. Wcale się nie przejął, kiedy alarm zaczął dzwonić.

- Uważaj... - Pascal przykrył dłonią jej rękę. - Jest policja, popatrz...

Na dziedzińcu zatrzymał się biały samochód, z którego wysiadło dwóch umundurowanych policjantów. Nie sprawiali wrażenia gotowych do akcji. Powoli ruszyli w kierunku wejścia, ani na chwilę nie przerywając ożywionej rozmowy, i zniknęli za drzwiami.

- Pięć minut - powiedział Pascal. - Najwyżej dziesięć. Czekamy.

Nie mylił się. Niecałe dziesięć minut później policjanci odjechali. Odczekał kolejne pięć i wstał.

Zapłacił za kawę, zamienił kilka przyjaznych słów z kelnerką i wyprowadził Gini na zewnątrz. Znowu pociągnął ją alejką biegnącą do Tamizy. Przeszli nad wodą, której poziom wyraźnie się podniósł, i przystanęli u stóp schodków ewakuacyjnych.

- W porządku, teraz wejdziemy na górę, i to szybko. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Jeżeli tak, to możemy spędzić pół godziny w mieszkaniu McMullena. Ani chwili dłużej.

- Tylko pół godziny?

- Potem poziom rzeki zacznie podnosić się w takim tempie, że nie udałoby nam się zejść na brzeg, a to byłoby niebezpieczne. Musielibyśmy siedzieć na schodach i czekać na odpływ. Ty pierwsza - rzucił Gini pełne galanterii spojrzenie. - Chyba nie masz lęku wysokości, co?

Szybko pokonała schodki. Pascal wspinał się tuż za nią. Starła się nie myśleć o monitorach video i oknach innych mieszkań, które wychodziły na te schody.

Kiedy byli w połowie drogi, lunął deszcz, nagle, zupełnie bez ostrzeżenia. Pascal zaklął. Zanim dotarli do okien McMullena, Gini miała mokre włosy, a po jej twarzy ściekały strużki wody.

Pascal nie zwracał uwagi na trudne warunki. Z kieszeni kurtki wyjął ciężki składany nóż.

- Zaraz zobaczymy, co będzie - powiedział. - Albo wyłamiemy zamek okna i nic się nie stanie, albo wyłamiemy go i włączymy alarm. Ryzyko...

- Jakie mamy szanse?

- Pół na pół, jak sądzę. Zwykle te alarmy trzeba ponownie nastawić po uruchomieniu...

- Uruchomiłeś alarm? Jak?

- To łatwe, popatrz. - Wskazał dwa małe czarne prostopadłościanny po wewnętrznej stronie framugi. - To są alarmy kontaktowe. Jeżeli mocno uderzysz we framugę, uruchamiają się. Na szczęście te są superczułe, więc nie musiałem rozbijać okna, jak czasem się zdarza... Wystarczył delikatny dotyk... - dokończył z uśmiechem.

- Wygląda na to, że sporo o nich wiesz. Nie wątpię, że robiłeś to już wcześniej...

- Oczywiście. - Wsunął ostrze noża między górną i dolną część framugi. - W skali oceny systemów ten jest średni, ale nie najgorszy i na pewno nie najdroższy. Radziłem już sobie z lepszymi... I z gorszymi...

Z cichym stęknięciem napał na okno, poruszając nożem w górę i w dół. Wewnętrzna zasuwka odskoczyła i z piersi Pascala wyrwało się pełne satysfakcji westchnienie. Lekko pchnął okno do środka i wyciągnął rękę do Gini, aby pomóc jej wejść.

Zignorowała niemą propozycję pomocy. Podciągnęła się na parapet i zajrzała do dużego pokoju.

- A co z tymi magicznymi czujnikami? - zapytała. - Portier mówił, że są we wszystkich mieszkaniach.

Pascal wyraźnie się zniecierpliwił.

- Powiedziałem ci przecież, że teraz nic nam nie grozi, bo system jest wyłączony. Gdyby nadal działał, alarm włączyłby się w chwili, gdy wsunąłem nóż pod framugę. Tłumaczyłem ci, że kiedy alarm raz się uruchomi, trzeba go potem nastawić od nowa. W tym celu muszą wezwać specjalistę od systemu. Nie sądzę, aby kody miał zwykły portier czy ochroniarz - to byłoby zbyt ryzykowne. Teraz portier na pewno dzwoni do firmy, która instalowała sieć alarmową i mówi, że ani on, ani policja nie znalazła śladów włamania, więc musiała to być usterka mechaniczna. Ktoś z firmy przyjedzie nastawić alarm ponownie, ale nie natychmiast, raczej po południu, w

każdym razie taką mam nadzieję. Dlatego teraz możemy liczyć na pół godziny spokoju. Pośpiesz się, bo woda cały czas się podnosi...

- Pospolity kryminalista... - Spojrzała na niego z mieszaniną podziwu i niechęci.

- Pracuję ze zwykłym przestępcą. Wspaniale...

- Ruszaj się - powiedział z czarującym uśmiechem. - Ja przeszukam sypialnię, ty biurko.

- Czego mam szukać?

- Notatnika, listów, notesu z adresami i telefonami, zapisków... Czegokolwiek, co by nam podpowiedziało, dokąd pojechał McMullen.

Mieszkanie McMullena było najbliższym idei nowojorskiego poddasza lokalem, jaki Gini widziała w Londynie.

Salon wydał jej się olbrzymi i rzeczywiście był taki, zwłaszcza że sufit znajdował się tu znacznie wyżej niż w większości londyńskich mieszkań. Rozglądając się dookoła, doszła do wniosku, że powstały w jej wyobraźni wizerunek Jamesa McMullena nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Przede wszystkim, nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że spędzający życie na wędrownkach po świecie McMullen może być bogaty, a nie ulegało wątpliwości, że tak właśnie było. McMullen mógł sobie pozwolić na apartament, z którym niewiele mieszkań mogło się równać, choćby pod względem wielkości, miał też sporo pięknych antyków, chociaż te mógł oczywiście odziedziczyć. Pokój podsuwał dużo wskazówek co do charakteru mężczyzny, którego szukali. McMullen lubił stare i nowe meble, miał nie tylko pieniądze, ale również dobry gust. Lubiał słuchać muzyki - specjalne półki zajmowała duża kolekcja płyt CD, w większości dzieł Mozarta. Uwielbiał czytać - całą ścianę naprzeciwko okna zajmowały półki z książkami. Musiało tu być co najmniej dwa tysiące tomów, w tym wiele opracowań historycznych, także w językach, których Gini nie znała. Chwilę przyglądała im się ze zmarszczonymi brwiami, ponownie rewidując swoją opinię o McMullenie. W końcu ten człowiek studiował na uniwersytecie w Oksfordzie, przypomniała sobie. Zajrzała do doskonale wyposażonej kuchni - lodówka była pusta i czysta - i podeszła do biurka.

Olbrzymi blat ze starannie wypolerowanego mahoni. Kilka książek, gruba, mięsista bibuła do osuszania papieru, pojemnik na pióra i długopisy, zdjęcie - jedyne,

jakie tu zauważyła. Odwróciła ciężką srebrną ramkę ku światłu. Z fotografii uśmiechnęła się do niej Lise Hawthorne, najwyżej dwudziestoletnia, promienna w białej sukni debutantki, która dopiero ma zająć należne jej miejsce w towarzystwie.

Gini zajęła się szufladami. Było ich sześć, wszystkie otwarte i puste. Patrzyła na nie ze zdumieniem. Wewnątrz nie znalazła nic, dosłownie nic - ani materiałów piśmienniczych, ani listów, ani notatników czy choćby jednego spinacza. Biurko zostało dokładnie wyczyszczone. Gini cicho gwizdnęła i sprawdziła tylne części szuflad. Nic.

Poruszając się szybko i celowo, sprawnie przeszukała cały pokój. Nietrudno było się zorientować, że wszelkie szczegóły i drobiazgi świadczące o istnieniu McMullena zniknęły. Meble, obrazy, dywany, chodniki i książki zostały, ktoś zabrał jednak dokumenty, listy i rachunki. Gini zajrzała do wszystkich szuflad, nawet tych w kuchni, ale nie znalazła nawet skrawka papieru.

Ogarnęło ją poczucie rozczarowania i zniechęcenia. Kto mógł to zrobić? Sam McMullen, czy ktoś inny? Słyszała kroki chodzącego po sypialni Pascala, odgłosy zamykanych i otwieranych drzwi i szuflad. Ze ściągniętymi brwiami wróciła do biurka.

Bibuła do papieru, pojemnik na długopisy, książki, zdjęcie Lise Hawthorne... Sięgnęła po książki i zaczęła je przeglądać z nadzieją, że spomiędzy kartek wypadnie może jakaś ukryta wiadomość od McMullena, lecz nic takiego się nie stało. Były to tylko trzy przypadkowo odłożone książki: *Oksfordzki wybór nowoczesnej poezji*, *Raj utracony* Milтона oraz *Ballada o Sad Cafe* Carson McCullers. Na pierwszej stronie *Raju utraconego* wypisane było imię i nazwisko właściciela, a poniżej słowa: *College Christ Church, Oksford - 1968*.

Mimo wszystko była to pewnego rodzaju pomoc, bo dzięki tej notatce Gini się dowiedziała, do jakiego college'u uczęszczał McMullen i kiedy studiował. Położyła książki na biurku i zapatrzyła się w okno. Czuła, że w pokoju musi znajdować się jakaś wskazówka, była tego pewna. Przecież ostatecznie to sam McMullen zaczął tę historię... Skoro musiał zniknąć, zdecydował się wyjechać, to czy nie zostawiłby jakiegoś tropu?

Bibuła? Gini ostrożnie zdjęła z niej papier, ale pod spodem nie było nic. Podniosła fotografię Lise i ostrożnie wyjęła ją z ramki. Początkowo myślała, że tu także nic nie znajdzie - tylko prostokątny kawałek tektury i taki sam papieru między zdjęciem a oprawką, lecz nagle coś dostrzegła. Na papierze wetkniętym pod tekturę ktoś zapisał ołówkiem kilka cyfr w dziwnym układzie:

3

6/2/6

2/7/6

Mogło być to coś ważnego, lecz równie dobrze nic, po prostu notatka o treści jasnej tylko dla tego, kto ją zrobił. Jeżeli jednak był to kod, teraz i tak nie mieli czasu, by próbować go odszyfrować. Pośpiesznie złożyła kawałek papieru i wsunęła do kieszeni. Umocowała fotografię i szkło w ramce, odwróciła się i już miała powiedzieć Pascalowi o swoim znalezisku, kiedy w sypialni rozległ się cichy okrzyk.

- Chodź tu szybko! - zawołał. - Spójrz na to...

Mimo woli zadrzała. Szperanie w cudzym mieszkaniu, skryte i podstępne, budziło w niej głęboką niechęć do samej siebie.

Weszła do sypialni. Nie ulegało wątpliwości, że jest to pokój mężczyzny - skromnie urządzone, wręcz spartański i bardzo czysty. Jedną ścianę zajmowały szafy. Otwarte drzwi ukazywały rzędy konserwatywnych, klasycznych marynarek i garniturów.

Pascal stał na środku, obok dużego, podwójnego łóżka. Z drugiej strony, przy ścianie dostrzegła komodę. Kilka szuflad było wysuniętych. Gini wskazała je ruchem głowy.

- Ty to zrobiłeś?

- Co? Czy otworzyłem szafy i komodę? Tak. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ biurko było kompletnie puste, ewidentnie wyczyszczone.

Zastanawiam się, kto to zrobił - McMullen czy człowiek, który parę dni temu uruchomił alarm...

- Ktoś przeszukał biurko?

- Tak - odparła. - I inne szuflady w całym mieszkaniu. Nie natknęłam się nawet na jeden kawałek papieru, poza tym.



Podawała mu znaną notatkę. Uważnie przyjrzał się cyfrom.

- Nic mi to nie mówi - mruknął.

- Mnie także, ale znalazłam to wewnątrz ramki z fotografią Lise Hawthorne, która stała na biurku.

- Schowaj, przyjrzymy się temu później. Zniżył głos i zacisnął dłoń na jej ramieniu. - Teraz pokażę ci, co ja znalazłem. Naprawdę bardzo ciekawe... Spójrz tam...

- Pokazał ręką jedną z szuflad.

Gini zajrzała do środka i zmarszczyła brwi.

- Widzę koszule... Ze dwa tuziny identycznych białych koszul, odebranych z pralni, nadal w foliowych woreczkach... O co ci chodzi?

- Mamy dowody, że ten McMullen jest metodycznym, dobrze zorganizowanym facetem, tak? W tej szufladzie trzyma białe koszule, w drugiej niebieskie. Tu, w najwyższej, po prawej stronie, przechowuje chusteczki do nosa, także świeżo prane, a tu, po lewej... Czego byś się spodziewała?

- O, Boże, naprawdę nie wiem... - Spojrzała przez ramię w stronę okna.

Nadal lało jak z cebra. Światło było szare i gęste, panująca wokół cisza denerwująca.

- Słuchaj, chodźmy już stąd - powiedziała. - Nie podoba mi się to wszystko. Nie powinniśmy grzebać w czyichś rzeczach osobistych, to nie tak...

Pascal zignorował jej słowa. Patrzył na nią w napięciu, a jego twarz była dziwnie blada.

- Powiedz mi tylko, co jeszcze spodziewałabyś się znaleźć w najwyższej szufladzie...

- Och, niech ci będzie... Bieliznę. Może skarpetki... Coś w tym rodzaju.

- Doskonale! - Uśmiechnął się triumfalnie. - Za drugim razem trafiłaś - skarpetki. Właśnie tego każdy by się spodziewał i dlatego, widząc skarpetki, na pewno nie przerzucałby ich zbyt dokładnie, zwłaszcza gdyby mu się spieszyło...

- Chcesz powiedzieć, że mieszkanie naprawdę zostało przeszukane?

- Nie jestem pewny. Podejrzewam, że McMullen spodziewał się przeszukania i dlatego przed wyjazdem sam je wyczyścił, z wojskową precyzją. Tak się jednak złożyło, że coś tu zostawił... Popatrz.

Wysunął najwyższą szufladę. Po lewej stronie, zgodnie z przewidywaniami Gini, leżały porządnie poukładane kolorami skarpetki: ciemnoszare, czarne i granatowe, idealnie pasujące do konserwatywnych garniturów oraz wizerunku byłego żołnierza.

Pascal sięgnął do środka i wyjął skrawek czarnego materiału. Podał go Gini, ona zaś przyjrzała mu się z zaskoczeniem. Była to rękawiczka, damska wieczorowa rękawiczka, sięgająca do łokcia, uszyta z najcieńszej, najdelikatniejszej skórki.

- Rękawiczka... - odezwała się Gini. - Prawdopodobnie zostawiła ją u niego jakaś przyjaciółka... A może to rękawiczka Lis,e, którą McMullen zachował z powodów sentymentalnych i...

Nagle przerwała. Pamięć podsunęła jej fragment opisu pewnej sytuacji.  
*Dziewczyna wkłada kostium i długie rękawiczki z czarnej skóry... Może dotknąć Hawthorne'a tylko dłonią osłoniętą rękawiczką...*

- O, mój Boże... - jęknęła.

- Otóż to! - Twarz Pascala była blada z podniecenia. - Ale to nie wszystko! To jest wyjątkowa rękawiczka, nie można jej zapomnieć... Przyjrzyj się jej z bliska. Powąchaj.

Przysunął rękawiczkę do twarzy Gini, która natychmiast cofnęła się, nie kryjąc obrzydzenia. Skóra wydzielala zapach ciężkich, piżmowych perfum, lecz także czegoś innego. Nie była pewna, ale mogła to być krew...

- Cuchnie...

- Właśnie. Nie jest to zapach, który łatwo da się zapomnieć. A przy dotyku... Sprawdź sama... - Przejechał dłonią Gini po miękkiej skórze. - Czujesz? Zupełnie jakby była nasączona olejem albo jakimś innym tłuszczem...

Gini zadrzała, obejrzała się przez ramię. Gdzieś na tym samym piętrze, za grubymi ścianami, w korytarzu trzasnęły drzwi. Położyła rękę na ramieniu Pascala.

- Nie podoba mi się to - powtórzyła. - Spędziliśmy tu już ponad pół godziny. Zbierajmy się.

- Jasne. I tak zresztą nie ma tu nic więcej. Idziemy. Ale to... - Podniósł rękawiczkę i włożył ją do kieszeni kurtki. - To zabierzemy ze sobą.

- Jedną rękawiczkę? Po co? Uważasz, że to dowód? Czego, na miłość boską?

- Coś mi to mówi. Coś, czego nie rozumiem... Chodź! - Chwyił ją mocno za ramię i pociągnął do okna, przez które weszli.

Już miała zaprotestować i wyszarpnąć rękę, ale spojrzała w dół i zobaczyła, że poziom rzeki bardzo się podniósł. Wydostała się przez okno na schody ewakuacyjne i wstrzymała oddech, bo ostry powiew wiatru rzucił jej w twarz falę deszczu.

Szybko zeszli na dół, przedostali się na nabrzeże i wkrótce byli już w wąskiej alejce. Gini odwróciła się do Pascala.

- No, dobrze, teraz wyjaśnij mi, co mówi ci ta rękawiczka. Chcę wiedzieć, i to od razu.

Pascal utkwiał wzrok w szarych wodach Tamizy. Fale powoli pochłaniały żwir i piasek na brzegu. Gini dostrzegła niepokój w jego twarzy i położyła mu dłoń na ręce,

- Mam drugą taką rękawiczkę, chyba z tej samej pary - rzekł cicho. - Taka sama skóra, takie same zagniecenia na dłoni, ten sam zapach...

Gini spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Ty masz taką rękawiczkę? Jak to możliwe?

- Ktoś przysłał mi ją, oczywiście anonimowo. Otrzymałem przesyłkę wczoraj, w Paryżu, przez specjalnego kuriera. Była zapakowana w brązowy papier, nazwisko i adres wypisano wiecznym piórem, ostrą stalówką. Obwiązano ją sznurkiem i... Co ci jest?

- Jedno pytanie... - Gini poczuła nagle, że robi jej się bardzo zimno i popatrzyła Pascalowi prosto w oczy. - Czy sznurek był zalakowany czerwonym woskiem?

## XI

- Cholera jasna! - powiedziała Gini. - Cholera, cholera, cholera...

Odłożyła słuchawkę. Pascal obserwował ją z przeciwnego rogu salonu. Trzymał kajdanki, które przysłano jej dwa dni wcześniej i z roztargnieniem przekładał je z jednej ręki do drugiej.

- Nie chcą współpracować?

- Nie chcą albo nie mogą. Kobieta, która przyjęła paczki, wzięła sobie wolne, ponieważ zachorowała jej matka. Stawi się w pracy jutro rano i wtedy będziemy mogli z nią porozmawiać. Ma na imię Susannah.

- Nikt inny nie może nam pomóc? Na pewno mają wszystkie dane w komputerze...

- Oczywiście. ICD to duża firma, ale najwyraźniej ta Susannah musi wyrazić zgodę... Wszystkie transakcje są utajnione. Trzeba będzie tam jutro pojechać, bo widzę, że przez telefon nic nie wskóramy.

- W porządku, pojedę tam z samego rana...

- Oboje pojedziemy - sprostowała Gini z naciskiem. - Ja też chcę porozmawiać z tą Susannah.

- Jasne... - Pascal zawahał się i odwrócił wzrok. Gini zmarszczyła brwi.

Przyjechali do jej mieszkania w Islington prosto od McMullena. Teraz było po trzeciej i powoli zmierzchało. Gini była zupełnie przemoczona, ale wcześniej nawet nie pomyślała, żeby się przebrać. Nadal czuła gwałtowny przyływ adrenaliny, przekonanie, że jeden telefon pozwoli dotrzeć do sedna sprawy i da im kluczową wskazówkę. Nie mogła zrozumieć reakcji Pascala - czyżby on tego nie czuł?

Nic nie wskazywało na to, aby był podekscytowany. Szczerze mówiąc, od chwili, gdy pokazała mu kajdanki, ucichł i jakby zamknął się w sobie.

Rzuciła mu niepewne spojrzenie. Była przekonana, że coś przed nią ukrywa. Stał pod oknem, bawiąc się kajdankami i wyglądał tak, jakby cała energia i determinacja nagle z niego wyparowały. Przez ostatnią godzinę, gdy ona rozmawiała przez telefon, wyjaśniała i nakłaniała, on milczał, zamyślony i nieobecny.

Wreszcie podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Powinnaś wziąć gorący prysznic i przebrać się, jesteś zupełnie mokra. Na razie i tak nic nie zrobimy, musimy czekać. I dobrze. Mamy trochę czasu, żeby wszystko omówić i przemyśleć...

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Czy coś się stało? - powtórzył z niewesołym śmiechem. - Nie, nic się nie stało. Ktoś przysłał ci kajdanki, ale to przecież najnormalniejsza rzecz pod słońcem...

- Więc co z tego? Tobie przysłali rękawiczkę, co łączy nadawcę tych przesyłek ze sprawą McMullena. To musi być jakiś sygnał czy wskazówka. Kurier powiedział mi, że z ich filii wyszły cztery takie paczki. Jedna do ciebie, jedna do mnie i jeszcze dwie, wysłane zagranicę. Chyba rozumiesz, jakie to ważne, żebyśmy odszukali nadawcę i dowiedzieli się, dla kogo przeznaczone były tamte przesyłki, prawda? To na pewno ważny trop. Na pewno...

- Zgadzam się, w dodatku podany na srebrnej tacy. Właśnie to ani trochę mi się nie podoba.

- Dlaczego? Bo zbyt łatwe? Co z tego? I tak musimy to sprawdzić jak najszybciej...

- Co z tego? - Pascal spojrział na nią gniewnie. - Bardzo się dziwię, że tak mówisz! Gdybyś się chwilę zastanowiła, wiedziałabyś, o co mi chodzi! Czy zwykle najpierw działasz, a potem myślisz? Taka jest twoja metoda? Ja pracuję inaczej, więc trochę zwolnij.

Gini miała już na końcu języka ostrą odpowiedź, ale się powstrzymała. Oskarżenie mocno ją zabolalo, głównie dlatego, że padło z ust Pascala. Wiedziała też, że jest w nim trochę prawdy. Czasami działała pod wpływem impulsu - bywało, że szybkość się opłacała, ale nie zawsze. Równie często impulsywność prowadziła do pomyłek i kłopotów.

Jej ojciec zawsze powtarzał, że tajemnicą dziennikarstwa jest dbałość o szczegóły.

- Sprawdzam informację raz - mawiał. - Potem drugi raz i trzeci... Bardzo powoli i ostrożnie dopasowuję fragmenty układanki. Wreszcie, kiedy wszystkie kawałki są na miejscu - wszystkie, nie tylko niektóre - zbliżam się do ostatecznych konkluzji. To jest najprzyjemniejsza chwila. - Uśmiechnął się. - Bo wtedy zapędzam kłamliwych drani w kozi róg i zmuszam ich, żeby się przyznali...

Gini zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Jej ojciec i Pascal mieli rację, to było oczywiste.

- Dobrze - mruknęła, unikając spojrzenia Pascala. - Może masz rację. Czasami za bardzo się śpieszę, wiem...

Pozornie zignorował zakamuflowane przeprosiny. Wzruszył ramionami.

- Na początku wszystkim nam za bardzo się śpieszy - rzekł.

Gini odwróciła się gwałtownie. W pokoju zapanowała ciężka cisza.

- Na początku? - powtórzyła. - Nie jestem na początku! Naturalnie jeszcze nie osiągnęłam twojego poziomu, ale jestem reporterką od prawie dziesięciu lat! Pracowałam nad kilkoma dużymi, ważnymi sprawami... Nie jestem już uczennicą, na miłość boską... Mam dwadzieścia siedem lat!

- Nie sądzisz chyba, że mógłbym zapomnieć, ile masz lat? - Jego twarz również stała się chłodna i napięta. - Mam powody, żeby o tym pamiętać...

- Nie do wiary! - Gini ze złością zerwała się z krzesła. - Musisz to teraz wywlekać?

- Niczego nie wywlekam - warknął. - Sama to robisz. Tak czy inaczej, źle mnie zrozumiałaś. Kiedy mówiłem o początku, bynajmniej nie sugerowałem, że brak ci doświadczenia. Chodziło mi o początek pracy nad nową sprawą, to wszystko.

- Akurat! Nie kłam. Poklepywałeś mnie po ramieniu, traktowałeś z góry...

- Bzdury! - W oczach Pascala błysnął gniew. - Powiedziałem już, że źle mnie zrozumiałaś! Posłuchaj, jeżeli mamy pracować razem...

- Jeżeli? Jeżeli? - Gini postąpiła krok w jego stronę. - Mój naczelny zlecił mi tę sprawę, do diabła, bez żadnych „jeżeli” czy „ale”, a jeśli ci się to nie podoba, to trudno, bo...

- Jezu Chryste...

Zaczął kłąć, soczyście, po francusku. Dzieliły ich tylko dwa metry, może mniej. Ciepłe powietrze wibrowało wściekłością. Gini przycisnęła dłonie do gorących policzków, prawie oślepią żalem i straszną, osłabiającą rozpaczą. Nigdy nie płakała, w każdym razie minęło wiele lat od chwili, kiedy płakała ostatni raz, lecz teraz czuła, że łzy czają się tuż pod powiekami.

Już miała odwzajemnić mu się równie gniewną odpowiedzią, lecz nagle powstrzymał ją wyraz jego oczu. Gniew opadł. Z rezygnacją machnęła ręką i wtedy, ku jej zaskoczeniu, chwycił jej dłoń i pociągnął ku sobie. On także nie czuł już gniewu, widziała to. Na jego twarzy malował się smutek i zagubienie.

- Przepraszam... - powiedział. - Kłócimy się o przeszłość, prawda? Wcale nie o tę sprawę... Kłócimy się o coś, co wydarzyło się dwanaście lat temu...

Westchnęła ciężko i odwróciła wzrok.

- Tak, masz rację...

- Nie powinniśmy... - Mocniej ujął jej rękę. - Spójrz na mnie, naprawdę nie powinniśmy... Nie wolno nam popełnić tego błędu...

- Wiem, wiem o tym... Tylko czasami... Czasami nie jest łatwo odsunąć to w przeszłość, zapomnieć...

- Tak... Przeszłość wyciąga po nas ręce, wypływa mocną falą... - Głos Pascala złagodniał. - Słuchaj, to rzeczywiście moja wina. Źle się wyraziłem chyba dlatego, że od bardzo dawna z nikim nie pracowałem... Za długo jestem samotnikiem. Łatwo tracę cierpliwość i wpadam w gniew. Miałem jednak powód, nie rozumiesz? Jesteś kobietą - nie, nie przerywaj mi. Jesteś kobietą, mieszkasz sama i ktoś anonimowo przysłał ci kajdanki. Może to nie budzi twojego niepokoju, ale z pewnością budzi mój...

Mówiąc to, patrzył Gini prosto w oczy. Widział, jak jej twarz na przemian to czerwienieje, to blednie, jak zmienia się jej wyraz, zupełnie jakby toczyła ze sobą bolesną walkę.

- Nie jestem do tego przyzwyczajona - odezwała się w końcu dziwnym, sztywnym głosem. Usłyszał w nim dumę i ból. - Nie przywykłam, żeby ktoś się o mnie troszczył. Zwykle pracuję sama, mieszkam sama, więc nie widzę powodu, by ktoś się niepokoił, dokąd idę, co robię i kiedy wracam. Chyba uczyniłam z tego ważną kwestię w swoim życiu, mam to za punkt honoru, czy coś w tym rodzaju. Poza tym... - przerwała.

- Powiedz - poprosił po chwili.

- Och, to nic takiego... - Bardzo starała się mówić lekceważącym tonem. - Mój ojciec zawsze mówił, że kobieta nie może być niezależna, nie w taki sposób jak mężczyzna. Kiedyś chciałam pokazać mu, że się myli. Może mi się to udało, sama nie wiem... Zmieniłam się. Nie jestem tamtą dziewczyną, którą znałeś...

- Nie byłbym tego taki pewny...

- Uwierz mi. Wtedy byłam taka głupia i słaba... Bez przerwy podejmowałam decyzje, których potem żałowałam. Pozwalałam, żeby moimi poczynaniami rządziło serce, nie głowa...

- To nie zawsze jest grzech, prawda?



- Może nie, może była to tylko część dorastania. Niezależnie od tego, jaka wtedy byłam, teraz naprawdę jestem inna. - Puściła jego rękę i cofnęła się. - Potrafię o siebie zadbać i ciężko znoszę opiekuńcze gesty ze strony mężczyzn.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią z zaciekawieniem. - Dlaczego?

Gini uśmiechnęła się nagle.

- Może dlatego, że... Boję się, że mogłoby mi się to spodobać, że jednak potrafiłabym się do tego przyzwyczaić... Uzależnić się...

- I to byłoby takie fatalne?

- Tak mi mówi doświadczenie.

- Rozumiem... - Zmarszczył brwi, lecz zaraz odpowiedział jej uśmiechem. - Myśl o tym jako o mojej słabości, wadzie, jeśli wolisz, może w ten sposób będzie ci łatwiej znieść te gesty. Przemawia przeze mnie moje francuskie dziedzictwo, niepohamowany impuls okazywania galanterii... W takich okolicznościach byłbym opiekuńczy wobec każdej kobiety. Może to dlatego, że się starzeję...

Zapanowało milczenie. Kątem oka dostrzegła w oczach Pascala wyraz, którego nie umiała zinterpretować. Nagle odsunął się i podszedł do kominka. Kiedy znowu się odezwał, jego głos brzmiał zupełnie normalnie.

- Chyba udało nam się oczyścić atmosferę, prawda? Może ustalimy kilka zasad. Żadnych odniesień do przeszłości. Jeżeli moja opiekuńczość zacznie wymykać się spod kontroli, hamuj mnie... Nadal uważam, że powinnaś się przebrać, bo wciąż masz na sobie mokre rzeczy... W tym czasie ja zaparzę kawę. Potem usiądziemy przy kominku i przedyskutujemy sprawę McMullena, dobrze?

- Rozsądna propozycja.

- Świetnie. Kiedy będziesz się przebierać, spróbuj się nad czymś zastanowić. Jest jedna rzecz, która mocno mnie niepokoi...

- To znaczy?

- Pomyśl o ramach czasowych całej tej historii. Sprawę Hawthorne'a zlecono nam wczoraj, tego samego dnia, gdy otrzymaliśmy dziwaczne przesyłki. Kto wiedział, że będziemy rozpracowywać ten domniemany skandal?

- Nicholas Jenkins - odpowiedziała powoli.

- Kto jeszcze?

- Nikt. Nawet ja nie miałam o niczym pojęcia, dopóki nie zaczął mówić w swoim gabinecie.

- A jednak musiał o tym wiedzieć ktoś jeszcze... - Pascal zmarszczył brwi. - Musiał... Rozumiesz, w czym rzecz, prawda? Paczki wysłano dwadzieścia cztery godziny wcześniej, przed naszym spotkaniem z Jenkinsem. Ktoś pokazał nam trop, zanim zabraliśmy się do pracy. Nie wierzę w takie przypadki. Ktoś poza Jenkinsem wiedział, że będziemy nad tym razem pracować. Potrafisz to wytłumaczyć? Bo ja nie.

Kiedy Gini zamknęła za sobą drzwi, Pascal wreszcie mógł przestać grać. Przeczesał włosy palcami i zaczął chodzić po pokoju. Powtarzał sobie, że udało mu się ukryć to, co czuł, ale wciąż był głęboko poruszony. Popełnił błąd, biorąc Gini za rękę, nie powinien był tego robić. I nie powinien był tracić panowania nad sobą - to był najgorszy błąd. Właśnie wtedy w powietrzu zaiskrzyło i przeszłość ogarnęła ich w jednej chwili. Trzy tygodnie w strefie działań wojennych przed dwunastu laty... Okazało się, że upływ czasu niczego nie zmienił. Pragnął Gini wtedy i pragnął jej teraz. To uczucie pozostało, intensywne i gorące jak dawno temu, w Bejrucie.

Jeszcze poprzedniego dnia czuł się zupełnie bezpieczny. Uważnie obserwował Gini w czasie lunchu z Nicholasem Jenkinsem i doszedł do wniosku, że jest już całkowicie niewrażliwy na jej urok, dzięki Bogu. To była nowa Gini, osoba obca. Nie miał cienia wątpliwości, że będzie mógł pracować z tą kobietą, bo gdy na nią patrzył, nie czuł kompletnie nic.

- Sę w tym, że to dobra dziennikarka - powiedział Jenkins przed przybyciem Gini. - Jest szybka, ma refleks i nosa do istotnych spraw. Ciężko pracuje. Moglibyście stworzyć niezły zespół... - Pascal słyszał wiszące w powietrzu „ale” i spokojnie czekał. Jenkins się uśmiechnął. - Ale, i jest to bardzo poważne „ale”, bywa trudna, podobnie jak wiele kobiet w tych czasach... Chodzi o ten cholerny feminizm, rozumiesz... - Skrzywił się. - Poza tym cierpi na kompleks ojca. Każda pieprzona historia, nad którą pracuje, musi być dopięta na ostatni guzik, idealna, bo przecież tatuś mógłby ją przeczytać... Podejrzewam, że tatuś nigdy nie czyta jej tekstów - ma je gdzieś, i tyle. Ale do niej to nie dociera. Usiłuje czegoś dowieść i kiedy pisze artykuł, robi to dla tatusia.

- Poznałem jej ojca - rzekł Pascal.

Rzucił Jenkinsowi szybkie spojrzenie, ale ten zapytał spokojnie:

- Naprawdę? W takim razie wiesz, o czym mówię. Błagam, nie wspominaj o Samie Hunterze i jego pieprzonej nagrodzie Pulitzera, bo Gini natychmiast zacznie wychwalać go pod niebiosa i nie przestanie do późnej nocy...

W głosie Jenkinsa zabrzmiał wyraźny ton osobistej urazy. Może Gini odrzuciła jego zaloty, pomyślał Pascal.

- Coś jeszcze? - zagadnął.

- Tak. Zasuwa do przodu jak czołg, jest ostra i oczywiście bardzo atrakcyjna, chociaż ma pewne braki, jeśli chodzi o kobiecy wdzięk...

- To znaczy?

- Ujmę to tak. Potrafi wzrokiem zamrozić facetowi jaja z odległości pięciu kroków. Nawet nie próbuj jej podrywać.

- Przyjechałem tu do pracy. - Pascal obrzucił go zimnym spojrzeniem.

Jenkins parsknął śmiechem.

- Dajże spokój, nie musisz być taki poprawny! Zaczekaj, aż ją zobaczysz... -

Obiema dłońmi narysował w powietrzu kontur kobiecej sylwetki. - Niewykluczone, że zmienisz zdanie.

Właśnie wtedy na progu stała Gini. W pierwszej chwili Pascal jej nie poznał. Patrzył na tę wysoką, bardzo szczupłą młodą kobietę o chłodnym, odrobinę zaczepnym sposobie bycia, z rozczarowaniem i smutkiem. Moja śliczna Gini, pomyślał z żalem. Co stało się z jej wielką urodą...

Przez cały lunch myślał o przemianie, jaka się w niej dokonała. Widział, że Gini nie lubi Jenkinsa i bardzo stara się nie okazywać mu niechęci. Nie dziwiło go to, ponieważ sam miał o Jenkinsie nie najlepsze zdanie, ale w przypadku Gini chodziło o coś więcej. Roztaczała wokół siebie prawie namacalny chłód. Siedziała naprzeciwko niego i nie uśmiechnęła się ani razu. Czas mijał, a on coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że jej zachowanie jest naznaczone pewną sztucznością, nienaturalnością. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że Gini odgrywa rolę, którą sama sobie narzuciła. Tak bardzo starała się chłodno i rzeczowo wyliczyć wszystkie informacje o Hawthornie, jakie udało jej się zdobyć, a jednocześnie z ledwo skrywaną satysfakcją uzupełniała jego wypowiedzi...

Twoja kolej, Gini, powiedział Jenkins. Na pewno możesz coś dodać... Oczywiście, odparła, rzucając Pascalowi pełne wyższości spojrzenie. Na razie ograniczę się chyba do polityki... Ta oczywista manifestacja bardzo zaskoczyła Pascala. Jak ona się zmieniła, pomyślał, jest teraz twarda jak kamień...

W miarę, jak historia Hawthorne'a nabierała barw i wyrazistości, Gini nie okazała żadnego uczucia - ani zdumienia, ani współczucia. Na jej twarzy malowała się tylko zimna, obojętna czujność. Pascal, który stale ją obserwował, nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że wszystko to w jakiś sposób pozbawia ją kobiecości. Pod koniec lunchu ogarnęło go paskudne przygnębienie. Zdawał sobie sprawę, że Gini musiała się zmienić, lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogłaby stać się kobietą, której nie darzyłby sympatią.

Kiedy wyszli z budynku, zaczął sobie wmawiać, że antypatia przyniesie mu ulgę. Nic nie stało na przeszkodzie, aby pracował z kobietą, która była mu zupełnie obca. Dziewczyny, którą zapamiętałem, już nie ma, powiedział sobie. Jest duchem, żyjącym wyłącznie w mojej pamięci. Jakie to dziwne... Myślał o niej przez dwanaście lat, a teraz, kiedy znowu ją spotkał, odkrył, że ona nie istnieje.

I wtedy stało się coś zaskakującego, coś, czego nie potrafił wyjaśnić. Szczypta magii, zmiana oświecenia, przekrzywienie głowy pod innym kątem, cień, który przemknął w głębi jej oczu... Stała wpatrzona w pogrążony w półmroku dziedziniec, milcząca, gdy nagle dokonała się przemiana i Pascal ujrzał w niesympatycznej kobiecie tamtą dziewczynę... Pod twardą, najeżoną kolcami fasadą dostrzegł dawną wrażliwość, w kształcie oczu i linii policzka duszę. Jego oczy spoczęły na jej twarzy i odnalazły w niej urodę. Poczul, że jednak ją poznaje i pozwolił ogarnąć się fali niespodziewanej, zaskakującej radości. Zanim zdołał się powstrzymać, wypowiedział jej imię, akcentując je tak jak dawniej. Odwróciła się szybko, zdumiona i pobladła, i zanim zdołała ukryć się w skorupie, Pascal rozpoznał w jej twarzy wszystkie cechy, które kochał, te same, nietknięte.

Właściwie nie było to nic, co umiałby jasno określić. Powaga, uczciwość, szczerłość, odwaga w obdarzaniu radością - tak, w przeszłości używał tych wyrazów, a także innych, w równie niedoskonały sposób oddających to niewytłumaczalne, co czyniło jej twarz wyjątkową, ukochaną i tak miłą jego oczom. W Bejrucie wiele razy

starał się uchwycić to na fotografii, ale oczywiście nigdy mu się nie udało. Film zamrażał i zachowywał chwilę, lecz dotyk jej dłoni czy ton głosu pozostawały poza jego zasięgiem. Pascal traktował to ograniczenie jak wielkie wyzwanie. Mówił sobie, że przecież obiektyw umie pokazać gniew, radość, szczęście, smutek, próżność, rozpacz... Determinacja, aby sportretować Gini przerodziła się w obsesję, szczególne poszukiwanie. „Stań tutaj, mawiał. Odwróć twarz do światła i patrz na mnie... Tak... Właśnie tak... Doskonale...”

Jednak to, co widział, zwykle bardzo różniło się od tego, co utrwał aparat. Kiedy patrzył na odbitki, zdawał sobie sprawę, że są dobre, ale martwe. Tym niemniej zachowywał je. Szczególnie przywiązany był do małego czarno-białego zdjęcia, które miał do dzisiaj. Siedząc teraz w londyńskim salonie Gini, ostrożnie wyjął je z portfela.

Zrobił je późnym popołudniem, blisko portu. Z technicznego punktu widzenia fotografia była nieudana. Światło było wtedy dziwne i Pascal źle ustawił migawkę. Zdjęcie było prześwietlone - twarz Gini wydawała się spowita mgiełką. A jednak wyjątkowo lubił to zdjęcie i wiedział, dlaczego traktował je jak talizman.

Przedstawiała młodą dziewczynę, zwyczajną dziewczynę, która podała się za starszą, niż była w rzeczywistości. Jasne włosy opadały na czoło, ubrana była w prostą, rozpiętą pod szyją białą koszulową bluzkę i nosiła jeden kolczyk. Miała szeroko rozstawione poważne oczy, patrzące spod lekko ściągniętych brwi. Uśmiechała się, ale tylko odrobinę. Ta bardzo przeciętna, niczym niewyróżniająca się fotografia wydawała się zaprzeczeniem zawodowych umiejętności Pascala. Wiele osób powiedziałoby na pewno, że widzi tylko dość ładną dziewczynę na tle rozkołysanych fal, lecz on dostrzegał w fotografii swoją własną prawdę, prawdę niezmienną i trwałą.

Później zwątpił w miłość, lecz zawsze mógł odwołać się do tej prawdy. Miał szczęście, ponieważ tamtego dnia uchwycił radość. Odkrył to z wielkim zdumieniem, bo przecież jego obiektyw portretował głównie śmierć.

To naprawdę się zdarzyło, powiedział sobie teraz. Zdarzyło się, a to zdjęcie stanowiło dowód... Zaledwie pół godziny wcześniej zdobył inny dowód - ujrzał przeszłość w zapamiętanym kształcie i barwie, zobaczył ją w oczach i twarzy Gini.

Nie potrzebuję już zdjęcia, pomyślał nagle. Teraz wiem, że tamta miłość naprawdę istniała.

Wiedziony impulsem, pochylił się, podsunął fotografię płomieniom i patrzył, jak ją ogarniają. Spłonęła błyskawicznie, w czarno-żółtym lśnieniu substancji chemicznych. Jednym dmuchnięciem rozproszył popiół. Rytuały bywały przydatne - świadomość, że coś się wydarzyło, lecz nieodwracalnie skończyło, trochę mu pomogła.

Z pokoju za salonem dobiegły go lekkie kroki, więc poszedł do kuchni i przygotował kawę. Powiedział sobie, że przecież mogą być przyjaciółmi, kolegami, współpracownikami. Dlaczego nie?

- Pójdziemy na kolację? - odezwał się pogodnie, kiedy Gini stanęła w progu. - Napijemy się czerwonego wina, zjemy coś dobrego i omówimy sprawę...

Zawiesił głos. Gini obserwowała go w milczeniu, dopiero po chwili przyznała, że to dobry pomysł.

Pascal był ostrożny - podtrzymał nutę koleżeńską swobody do chwili, kiedy wyszli z mieszkania. Dopiero potem, chociaż doskonale wiedział, że lepiej zostawić przeszłość w spokoju, bo tylko wtedy zachowuje swoje idealne piękno i potęgę, niesplamione tym, co zrobił z resztą swojego życia, zadał nierozważne, głupie pytanie, którego nie zamierzał zadawać.

- A ten kolczyk... - powiedział, idąc za nią w kierunku drzwi. - Pamiętasz? Ten, który wybraliśmy razem. Masz go jeszcze? Nosisz czasami?

Było to fatalne pytanie. Gini oblała się szkarłatnym rumieńcem.

- Kolczyk? Nie, nie noszę. Nawet nie wiem, czy go mam. Wydaje mi się, że zgubiłam go w czasie ostatniej przeprowadzki.

Zdjęła łańcuch i przytrzymała drzwi. Kot wyszedł przed nimi, z gracją poruszając uniesionym w górę ogonem, ucieszony perspektywą zbadania okolicznych ulic.

- Chodźmy już. - Odwróciła się do Pascala. - Zarezerwowałam stół na ósmą, musimy się pośpieszyć.

Wybrana przez Gini restauracja znajdowała się kilka ulic dalej. Był to niewielki bezpretensjonalny lokalik prowadzony przez włoską rodzinę. W środku tygodnia panował tu spokój i cisza, a jedzenie zawsze było proste i bardzo smaczne.

Kelner zaprowadził ich do stolika we wnęce, na tyłach restauracji. Białe ściany zdobiły zdjęcia włoskich gwiazd filmu i piłki nożnej, z sufitu zwisały butelki z chianti oraz plastikowe pnącza. Pascal ogarnął wzrokiem dekoracje i uśmiechnął się.

- Włochy w północnym Londynie... Bardzo tu miło.

- Przede wszystkim cicho, no i podają pyszny makaron. Możemy spokojnie porozmawiać.

Parę minut później kelner przyniósł im spaghetti i sałatki, a Pascal napełnił kieliszki winem i wyjął notatnik.

- Dobrze - powiedział. - Zaczynamy.

- Robimy listę ewentualnych tropów? Jasne.

- Na początek firma wysyłkowa. Dowiemy się, dokąd wysłano tamte dwie paczki i kto był nadawcą. To może nam podpowiedzieć, dlaczego je wysłano. Czy był to celowo zostawiony ślad, czy nie...

- Potem zajmiemy się McMullenem... - Gini pochyliła się nad stołem. - Powinniśmy odszukać jego rodzinę i przyjaciół, sprawdzić jego przeszłość, Oksford, karierę w wojsku.

- Jenkins podał mi kilka kontaktów, tu są nazwiska i telefony. Przesłał je razem z taśmą... - Pascal w zamyśleniu postukał długopisem w kartkę. - Mamy tu siostrę McMullena, tę, o której wspomniał w nagraniu. To podobno była aktorka. Sądzę, że warto z nią pomówić.

- Mieszka w Londynie?

- Tak, w pobliżu Sloane Square. Ich rodzice jeszcze żyją, ojciec jest historykiem sztuki. Jenkins twierdzi, że to bardzo dobra rodzina. Mieszkają, niestety, aż w Shropshire, a wolałbym skontaktować się z nimi bezpośrednio, nie przez telefon, w każdym razie przynajmniej ten pierwszy raz. Zaczniemy od siostry i od przyjaciół.

- Jest ich wielu?

- Raczej nie. Zdaniem Jenkinsa, McMullen jest samotnikiem.



- No i wreszcie sam Hawthorne - powiedziała Gini. - Moglibyśmy sprawdzić niektóre fragmenty historii McMullena. Skoro Hawthorne spotyka się z tymi blondynkami regularnie, to przecież musi je gdzieś wynajmować. Wiesz, jak wynająć blondynkę?

Wzruszył ramionami.

- W agencjach towarzyskich, w sieciach zatrudniających dziewczyny na telefon. Na pewno wystarczy porozmawiać z głównym portierem w dowolnym londyńskim hotelu o wysokim standardzie...

- Mało prawdopodobne, aby Hawthorne rozmawiał z portierem...

- Oczywiście, chcę tylko powiedzieć, że nie jest to trudne. Jeżeli mężczyzna ma pieniądze, ma też ułatwiony dostęp do kobiet.

- Nie chce mi się wierzyć, żeby zwracał się do jakiejś agencji. - Gini pokręciła głową. - To zbyt publiczne, zbyt ryzykowne...

- Też tak uważam, ale niewykluczone, że posługuje się fałszywym nazwiskiem.

- I tak by go rozpoznano - powiedziała z przekonaniem.

- Co z tego? Nie byłby pierwszym ani ostatnim sławnym człowiekiem, który zamawia dziewczynę na godziny. Jeśli wiesz, dokąd się udać, za odpowiednią sumę możesz zapewnić sobie i dyskrecję, i współpracę.

- Dużo o tym wiesz, prawda?

- Dużo. Dobrze znam te ścieżki.

- Dziewczyny na telefon? Prostytutki?

- Modelki, hostessy, salony masażu, burdelmamy... Jasne. Daj spokój, wyobrażasz sobie, że dostaję cenne wskazówki od prezesów banków? Przecież wiesz, jaką dziedziną fotoreportażu teraz się zajmuję...

- Tak... Tak, wiem. - Gini odwróciła wzrok.

Zamilkli. Pascal nadal robił notatki, Gini przesuwiała jedzenie na talerzu. Straciła apetyt. Kwestia obecnej pracy Pascala, tematów, które w ostatnich latach fotografował, bardzo ją intrygowała. Chętnie by go zapytała, dlaczego teraz robi takie, a nie inne zdjęcia, i czy nie uważa tego za zdradę siebie i swojego talentu, ale nie śmiała. Woląca wstrzymać się do czasu, kiedy zdobędzie jego zaufanie. Wyczuwała, że

na razie nie ufa jej całkowicie. Może nie ufał nikomu. Wystarczyło wspomnieć o jego żonie, córce czy pracy, a już zamykał się w sobie.

Gdy przed chwilą mówił o źródłach, z jakich uzyskuje informacje, przez jego twarz przemknął cień, lecz potem skupił się na robieniu notatek i cień zniknął. Gini patrzyła, jak zapisuje uwagi i krótkie zwroty. Ciemne włosy, na skroniach posrebrzone siwizną, opadały mu na czoło, oczy utkwione miał w kartce papieru. Mogła teraz patrzeć na niego bezkarnie, ze starannie skrywaną przyjemnością...

Pascal odmieniony, a jednak ten sam... Na lewym policzku miał małą bliznę, pozostałość po jakimś upadku w dzieciństwie. Dawno temu, leżąc w ciemności i słuchając dobiegającej z dansingowej sali muzyki, delikatnie przesuwała palcem po tej bliznie.

Odczytywała palcami rysy jego twarzy ukochaną geografiją oczu, nosa, podbródka, karku i włosów. Dokładnie pamiętała zapach skóry, kształt i dotyk dłoni, wszystkie szczegóły fizycznej intymności. Pamiętała, jak się poruszał, jak mówił. Bolało ją, że te wspomnienia są tak wyraziste, ponieważ teraz nie było między nimi tej szczególnej iskry, nie było milczącego porozumienia. Tylko kochankowie nie potrzebują słów, pomyślała. Nie potrzebują ich, bo spojrzenia mówią dobitniej i bardziej zrozumiale.

- Czy coś się stało? - Pascal nagle podniósł wzrok znad notesu.
- Nie, nic... - Gwałtownie wróciła do teraźniejszości. - Dlaczego pytasz?
- Wydawało mi się, że jesteś smutna.
- Nie smutna, tylko skoncentrowana. Zastanawiałam się nad tym wszystkim...

Zamówimy kawę?

Skinął głową i zapalił papierosa.

- Mamy jeszcze jeden trop - powiedziała. - Tę kartkę, znalezioną w mieszkaniu McMullena... Nie można wykluczyć, że ma jakieś znaczenie...

Wyjęła kartkę z torby i podsunęła ją Pascalowi.

- Trzy zestawy cyfr... - mruknął, marszcząc brwi. - Nie są to daty. Może pomiary, może jakaś inna kombinacja... Trudno określić, jak dawno je zapisano...

- Ktoś napisał je bardzo starannie - zauważyła Gini.

- Tak czy inaczej, może to być tylko nieistotna notatka. Możliwe nawet, że zrobił ją ktoś inny, wcale nie McMullen.

- To prawda. - Gini wzięła kartkę z jego ręki i przyjrzała jej się uważnie. - Nie wydaje ci się, że zniknięcie McMullena jest dosyć dziwne? Po co skontaktował się z Jenkinsem, skoro zaraz potem wyjechał, bo przecież nie mamy podstaw przypuszczać, że przydarzyło mu się coś złego?

- Najwyraźniej między spotkaniem z Jenkinsem, na które McMullen przyniósł taśmę i dwudziestym pierwszym grudnia ubiegłego roku stało się coś bardzo ważnego. Może doszedł do wniosku, że coś mu grozi.

- Ale przecież w takim wypadku na pewno chciałby poinformować o tym Jenkinsa... Sprawa powoli osiągała moment krytyczny, McMullen zamierzał przekazać Jenkinsowi adres, pod którym miała odbyć się kolejna randka Hawthorne'a z blondynką. Jeśli musiał wyjechać, to dlaczego nawet nie zadzwonił?

- Myślisz, że chciał zostawić ślad? Całkiem prawdopodobne... - Pascal spojrzął na kartkę. - Jednak nawet jeżeli mamy tu do czynienia z zakodowaną wiadomością, ja i tak jej nie odszyfruję. A ty?

- Nie, kody nigdy nie były moją mocną stroną. Ale zawsze możemy wypróbować najprostsze rozwiązania, na przykład podstawić litery w miejsce cyfr.

- Litera A zamiast I? Dobrze... - Zaczął szybko pisać w notatniku. Po chwili przerwał i uśmiechnął się. - Chyba nic z tego nie będzie... Popatrz - podał Gini kartkę papieru.

3 C

6/2/6 F/B/F 2/1/6 B/A/F

- Chińszczyzna... - mruknęła Gini. - Podstawmy B jako I, lub C. C to trzecia litera alfabetu, może właśnie to oznacza trójka u szczytu kolumny cyfr...

Przez pewien czas wypróbowywali wszelkie kombinacje, jakie przychodziły im do głowy, lecz nie wyszło z tego żadne zrozumiałe słowo.

- To beznadziejne! - Pascal pierwszy stracił cierpliwość. - Tracimy tylko czas!

- Ostatnia próba, dobrze? Pomyśl, skup się... W całym mieszkaniu nie znaleźliśmy żadnego innego kawałka papieru z jakimikolwiek zapiskami. Ta kartka

włożona była pod zdjęcie Lise Hawthorne... To chyba musi coś sugerować, nie sądzisz?

- Może, może... - Uśmiechnął się. - Rozumiem, że to kusząca teoria. W porządku, może coś przeoczyłaś, może trzeba to połączyć z czymś innym... Powiedz mi jeszcze raz, jak to znalazłaś.

- Dwa razy przeszukałam biurko. Na blacie leżał bibularz do osuszania papieru...

- Z czystą bibułą? - zapytał.

- Czyściuteńką. Pod bibułą też nic nie było. Stos książek, ale książki były tam wszędzie, na półkach, na stoliku do kawy, na podłodze przy łóżku, sam widziałeś...

- Przeglądałaś książki?

- Oczywiście. Nic. Och, na tytułowej stronie jednej z nich widniało jego nazwisko, nazwa college'u w Oksfordzie i data - 1968. Sprawdzę to jeszcze, ale sądzę, że w tym roku rozpoczął studia.

- Żadnych podkreślonych fragmentów, notatek na marginesie?

- Niczego takiego nie zauważyłam, ale spieszyłam się. Książki były czyste, chociaż niewątpliwie wiele razy czytane.

- Co to za książki?

- Antologia poezji, *Raj utracony* Milтона i powieść Carson McCullers.

- Niezła mieszanka...

- Tak. Na półkach znalazłam mniej więcej to samo - powieści, eseje polityczne, poezje, opracowania historyczne. Najwięcej książek historycznych, może specjalizował się w historii. Sporo książek w obcych językach - niemieckim, francuskim, włoskim...

- Wykształcony oficer, ciekawe... - westchnął Pascal. - Nadal nic z tego nie wynika. Mów dalej.

- To już wszystko. Były tam książki, bibularz, fotografia Lise sprzed wielu lat i pojemnik na pióra i długopisy. Nic więcej.

Pascal potrząsnął głową.

- To ślepa uliczka - rzekł. - Nie znasz przypadkiem jakichś specjalistów od łamania szyfrów?

- Niestety. To nie moja specjalność. Chociaż zaraz... Chwileczkę. Chyba jednak znam kogoś, kto mógłby nam pomóc... To przyjaciel Mary, który kiedyś był dziekanem jednego z wydziałów uniwersytetu Cambridge... W czasie wojny pracował dla wojskowego wywiadu. Teraz układa krzyżówki, potwornie trudne krzyżówki dla „The Times”...

Przerwała. Zauważyła, że Pascal obserwuje ją uważnie, ze skupionym, łagodnym i trochę smutnym wyrazem twarzy.

- Coś się stało? - powtórzyła mimo woli jego pytanie sprzed kilkunastu minut.

- Nie, nic. - Uśmiechnął się. - Lubię patrzeć, jak się koncentrujesz, to wszystko. Twoja twarz przybiera wtedy charakterystyczny wyraz, odgarniasz włosy za uszy i... Nic takiego, naprawdę, zwróciłem tylko uwagę na to, jak światło podkreśla odcień twojej skóry... Wszystkiemu winne moje oko fotografa...

Gini spojrzała na niego niezbyt pewnie. Pascal nagle podniósł się zza stołu.

- Wezmę rachunek - powiedział. - A potem odprowadzę cię do domu.

Kiedy wrócili do mieszkania, Gini poszła zrobić kawę, a Pascal zaczął przechadzać się po pokoju. Przyglądał się drzwiom, oknom, obrazom i półkom w sposób, który wydał się niepokojący. Usiadła przy ogniu, głaszcząc Napoleona, podczas gdy Pascal oglądał albumy malarstwa. W końcu poczuła, że nie zniesie tego ani chwili dłużej.

- Co ty właściwie robisz? - zapytała.

- Słucham? - Odwrócił się i obrzucił ją roztargnionym spojrzeniem, zupełnie jakby myślami błądził gdzieś daleko.

- To zupełnie zwyczajne mieszkanie - wyjaśniła cierpliwie. - Zwyczajne plakaty, ilustracje, książki... Robisz takie wrażenie, jakbyś je oceniał, więc zastanawiałam się, dlaczego...

- Może chciałbym przez nie poznać ciebie. - Wzruszył ramionami.

- Przecież mnie znasz.

- Nie wiem... Zmieniłaś się.

- Więc co powiedziały ci te oględziny?

- Och, kilka rzeczy. Lubimy tych samych malarzy. Zwiedzamy te same wystawy. Na przykład ta, byłem na niej w Paryżu... - Wskazał wiszący na ścianie plakat. - Ty też na niej byłaś...

- Tak, razem z mniej więcej dwudziestoma pięcioma tysiącami innych osób. Ta wystawa cieszyła się ogromnym powodzeniem.

- Nieważne... - Spojrzał na nią ostro. - Zorganizowano ją w Paryżu, w zeszłym roku. Mieszkam w Paryżu... Byłaś na niej sama?

- Tak.

- Nie z mężczyzną?

- Prawdopodobnie nie byłam wtedy z nikim związana. Czasami mi się to zdarza.

- Ja też wybrałem się na tę wystawę sam... - Zawahał się. - Nie przyszło ci do głowy, żeby do mnie zadzwonić, kiedy byłaś w Paryżu?

- Nie... Posłuchaj, wiedziałam, że masz żonę, rodzinę, nie chciałam...

- W zeszłym roku nie miałem już żony. Rozwiodłem się trzy lata temu.

Wiedziałaś o tym.

- Naprawdę?

- Sama tak powiedziałaś. Powiedziałaś, że słyszałaś...

Gini szybko odwróciła głowę. Och, jak trudno jest ciągle grać, pomyślała ze znużeniem. Zastanawiała się, jak zareagowałby Pascal, gdyby powiedziała mu prawdę - że ilekroć przyjeżdżała do Francji, każda ulica, kawiarnia czy placyk śpiewały jego imię. Wiele razy spacerowała po paryskich bulwarach i widziała jego twarz w rozedrganym powietrzu i rozmigotanej powierzchni Sekwany.

- Ty też wiele razy byłeś w Londynie - odparła. - I nigdy do mnie nie zadzwoniłeś. Nigdy nie napisałeś... Spotkaliśmy się tylko raz, wtedy w Paryżu, zupełnie przypadkowo...

Teraz on musiał odwrócić wzrok. Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby powiedział prawdę - że dzwonił do niej, rozmawiał z nią wiele, wiele razy, oczywiście jedynie w myśli. Jak wytłumaczyć komuś, że mimo nieobecności i upływu czasu można utrzymywać milczący dialog, i że takie rozmowy zaczynają w końcu być własnym życiem... Nie, nie można tego wytłumaczyć, pomyślał ponuro, tak samo jak

nie da się wyjaśnić, w jaki sposób wciąż pozostajemy pod wpływem kogoś, kto dawno odszedł z naszego życia.

Spojrzał na zasłony w pokoju Gini i nagle ujrzał swój dom w Paryżu, dom, który pięć lat temu dzielił z Helen. Przywołał tamto popołudnie, skąpane w wiosennym słońcu. Jego córka spała w sąsiednim pokoju, Helen wyszła na zakupy. Sięgnął wtedy po słuchawkę i zaraz ją odłożył. Powtórzył tę operację trzy razy, zanim w końcu wybrał numer.

Kilka godzin wcześniej zobaczył Gini w ulicznej kawiarni i od tego czasu ciągle zmagał się z tym pragnieniem. Podczas tamtej krótkiej, lodowatej rozmowy Gini wymieniła nazwę hotelu, w którym się zatrzymała. A on nie był w stanie myśleć, wiedział tylko, że musi z nią porozmawiać, usłyszeć jej głos. Wybrał więc numer, poprosił recepcjonistkę o połączenie z pokojem Gini i czekał. Serce waliło mu coraz mocniej. Telefon zadzwonił raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty... Po szóstym sygnale w słuchawce odezwał się męski głos. Pascal zamarł. Powinien był to przewidzieć, przecież było to najzupełniej oczywiste, Gini niczego nie ukrywała... Miał przerwać połączenie, lecz odkrył, że nie może tego zrobić.

- *Je peux parler a Mademoiselle Hunter?*

- *Non. Je regrette...* - francuski Anglika był doskonały, prawie zupełnie bez akcentu. - *Elle est partie.*

- *Quand?*

- *Cet apres-midi - une demi-heure... Vous voulez laisser un message?*

- *Non. Ce n'est pas important. Merci. Au revoir...*

Więc wyjechała, pół godziny wcześniej... Pascal zupełnie nie wiedział, co ma zrobić. W chwili, gdy odkładał słuchawkę, uświadomił sobie, że Helen wróciła. Czuł jej obecność, jej spojrzenie, utkwione między jego łopatkami. Odwrócił się.

- Nie udało się? - Helen uśmiechnęła się skąpo, rozciągając wargi w wąską linijkę. - Co za rozczarowanie... Zastanawiałam się, kiedy do niej zadzwonisz. - Zerknęła na zegarek. - Dwie i pół godziny, dziwię się, że wytrzymałeś tak długo. Z drugiej strony wcześniej rzeczywiście nie bardzo mogłeś dzwonić, bo przecież byłam w domu... - Postawiła torbę na stole i zaczęła wyjmować z niej zakupy; pieczywo, wino, warzywa, ser. - Nie przejmuj się. Spróbuj do niej zadzwonić, kiedy następnym



razem będziesz w Anglii. Na pewno bardzo się ucieszy. Ani przez chwilę nie ukrywała swoich uczuć...

- Jesteśmy zaprzyjaźnieni, znamy się od dawna - zaczął Pascal, usiłując pokonać uczucie beznadziejności. - Mówiłem ci...

- Och, doskonale wiem, co mi mówiłeś. Nigdy nie umiałeś kłamać. Wydało mi się to szczególnie interesujące... Nie ma przecież żadnego powodu, abyś kłamał, prawda? Dlaczego miałoby mnie to obchodzić? W końcu poznałeś ją dawno temu, kiedy jeszcze się nie znaliśmy. Musiał to być jeden z tych twoich zagranicznych romansów, chyba że jednak była to poważniejsza sprawa... Czy tak właśnie było?

- Nie zamierzam o tym rozmawiać. Mylisz się. Nie zrozumiałabyś...

- Myle się? - Helen zimno popatrzyła mu w oczy. - Och, raczej nie... Raczej się nie mylę. Zastanawia mnie, dlaczego przez wszystkie te lata nigdy mi o niej nie wspomniałeś, nigdy nie wymieniłeś jej imienia... Wygląda mi to na jakąś tajemnicę. Ręce jej drżały, zauważyłeś?

- Nie, nie zauważyłem, do cholery!

- Dziwne...

- Posłuchaj, czy moglibyśmy po prostu o tym zapomnieć?

- Och, ja mogę, tak mi się w każdym razie wydaje. - Spojrzenie Helen było chłodne, pełne namysłu. - Pytanie tylko, czy tobie się uda... - Powoli złożyła plastikową torbę, w której przyniosła zakupy. - Powiedziałabym, że mamy do czynienia z niezakończoną sprawą... Radziłabym ci wybrać się do Londynu, zakończyć ją i dopiero wtedy wrócić do domu.

- Helen...

- Dlaczego nie? Tak byłoby najlepiej. Idź z nią do łóżka, bo najwyraźniej nadal masz na to ochotę. Gdyby tak nie było, to po co byś do niej dzwonił?

- Czy do kobiety dzwoni się tylko z tego jednego, jedyne go powodu, na miłość boską?! - wybuchnął. - Tylko dlatego, że chce się iść z nią do łóżka?!

- Nie, oczywiście, że nie, ale w twoim wypadku właśnie o to chodzi, niezależnie czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie.

- Nieprawda.

- Jeśli mam być szczerą, to już mnie to nie obchodzi. Nie dbam, dokąd chodzisz, co robisz i z kim się pieprzysz. - Przerwała i popatrzyła na niego uważnie. - Byłeś mi wierny? Jesteś wierny?

- Tak, chociaż przychodzi mi to z coraz większym trudem.

Jak zwykle gniew i pragnienie zadawania bólu sprawiały jej przyjemność. Uśmiechnęła się zimno.

- Więc nie trudź się dłużej, a w każdym razie nie ze względu na mnie - powiedziała. - Gdybyś mnie kochał, miałabym do tego inne podejście, ale ponieważ mnie nie kochasz, jest mi wszystko jedno. Czuj się wolny, mój drogi.

I pieprz się, z kim chcesz i ile chcesz.

Odwróciła się, nadal z całkowitym spokojem, otworzyła lodówkę i zaczęła układać w niej przyniesioną żywność. Pascal stracił cierpliwość. Zrozumiał, że ma dosyć swojej żony, dosyć tego mieszkania, dosyć wypełniającego je powietrza. Z całej siły uderzył otwartą dłonią w kuchenny stół.

- Dlaczego? - krzyknął. - Dlaczego to robisz? Dlaczego tak do mnie mówisz? Przecież ożeniłem się z tobą, prawda?

- No, tak, ożeniłeś się ze mną. - Helen zmierzyła go obojętnym spojrzeniem. - I utrzymywałeś, że mnie kochasz. Przez pewien czas nawet w to wierzyłam...

- Ja też w to wierzyłem, do diabła! - Znowu uderzył w blat, przewracając butelkę wina. - Gdybym nie wierzył, nigdy bym tego nie powiedział!

Helen troskliwie ustawiła butelkę na poprzednim miejscu.

- Cóż, nie do końca mnie to przekonuje... - Pokręciła głową. - Widziałam, że się starałeś, ale czy w głębi serca naprawdę wierzyłeś w tę miłość?

Zapadło długie, bardzo długie milczenie. Odwrócił się powoli. Helen westchnęła.

- Otóż to... - powiedziała i tym razem w jej głosie zabrzmiała gorycz. - Może właśnie dlatego nigdy nie czułam się twoją żoną, chociaż włożyłeś mi na palec obrączkę. Spójrzmy prawdzie w oczy. Ożeniłeś się ze mną, ponieważ okazałam się na tyle nierozsądna, że zaszłam w ciążę. Ożeniłeś się, bo w takich sytuacjach wymaga tego ucziwość, a ty potrafisz być bardzo ucziwym człowiekiem. Było to wzruszające i szczerze, tyle że, niestety, straciłam dziecko...

Mówiła coraz głośniej, z wyraźnym napięciem.

- Dlaczego? - odezwał się nagle Pascal. - Dlaczego to robisz, na Boga?

- Bo taka jest prawda. Sądzisz, że jestem kompletnie ślepa? Kiedy poroniłam, dokładnie wiedziałam, co myślisz. Doszedłeś do wniosku, że jednak niepotrzebnie się ze mną ożeniłeś.

- Jak możesz?! - Zbladł i postąpił w jej stronę. - Byłem przy tobie, robiłem wszystko, co było w mojej mocy. Znalazłem dla nas to mieszkanie, ponieważ na takim ci zależało. Rzucałem jedną pracę za drugą, przez ponad pół roku nie odstępowałem cię na krok. Moja matka starała się pomóc...

- Och, tylko nie mieszaj do tego swojej cholernie nudnej matki, dobrze? Ona myśli kategoriami francuskiej wieśniaczki. Uważa, że urodzenie dziecka to nic, że kobieta powinna urodzić i nie robić z tego problemu, zupełnie jak jakieś zwierzę na farmie! Co ona tam rozumie...

Pascal z trudem zdławił gniewną odpowiedź. Jego matka przyjechała do Paryża na kilka miesięcy i ze wszystkich sił starała się pomóc Helen w okresie po poronieniu - robiła dla niej zakupy, gotowała i cierpliwie znosiła nieprzyjemne uwagi. Pascal spojrział na żonę i jego twarz przybrała twardy wyraz.

- Nie mam wpływu na to, jak ty to widzisz - rzekł. - Przekłamię wszystko, jeśli chcesz, wykoślawiaj... Jest jedna rzecz, której nie możesz zapomnieć - mamy Marianne.

Helen zacisnęła usta. Zrobiła mały, prawie niedostrzegalny gest i szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Tak... - przyznała. - Urodziła się Marianne. W końcu dałam ci powód, żebyś ze mną został, prawda? Dziękuję...

Odwróciła się i zaczęła przygotowywać podwieczorek dla Marianne. Strzepnęła obrus, znalazła fartuszek i śliniak, talerzyk i specjalną łyżeczkę. Pascal poczuł, jak ogarnia go uczucie bólu i zagubienia. Niektóre z tych oskarżeń były stare, lecz inne całkiem świeże i te obudziły w nim czujność. Już tyle razy uczestniczył w podobnych scenach... Mógł podejść do Helen i objąć ją, pozwolić jej się wypłakać. Później, po dwóch, trzech dniach wszystko zaczęłoby się od nowa.

- Zawsze wiedziałam - powiedziała napiętym jak struna ostrym głosem. - Od samego początku, jeszcze przed ślubem. Wiedziałam, czułam, że myślisz o kimś innym... Cóż, teraz przynajmniej wiem, jak ona wygląda. Cieszę się, że ją poznałam. Ma interesującą twarz, rzeczywiście... Ma także kochanka, ale to cię z pewnością nie martwi. Wyglądał na znacznie starszego od niej, zresztą twoja mała Genevieve chyba nie jest nim zbyt zachwycona...

Pascal drgnął na dźwięk imienia Genevieve i pobladł z gniewu. Odwrócił się i podszedł do drzwi.

- Dosyć... - Nie mógł się zdobyć, żeby na nią spojrzeć. - Wychodzę. Nie chcę tego dłużej słuchać...

- Powiedz mi tylko, czy naprawdę było to przypadkowe spotkanie? A może wiedziałeś, że ona jest w Paryżu i zaplanowaliście je razem...

- Nie, niczego nie zaplanowaliśmy, do cholery! Mówiłem ci przecież - nie miałem pojęcia, że przyjechała! Nie widziałem jej od wielu lat.

- Jestem pewna, że szybko to nadrobicie. - Helen uśmiechnęła się chłodno. - Posłuchaj mojej rady i pojedź za nią do Londynu. Może wtedy nauczysz się tego, czego ja nauczyłam się już dawno, chociaż dużo mnie to kosztowało...

Pascal przystanął w progu.

- To znaczy czego? - zapytał.

- Że ideał nie istnieje, a nawet jeżeli istnieje, to szybko się zmienia lub umiera. Dlatego prześpij się z nią i zakończ swój romansik, bo dopiero wtedy się dowiesz, jak to jest...

- Nie rozumiem. Nie rozumiem, o co ci chodzi, do diabła.

- Ale zrozumiesz. Odkryjesz, że ona wcale nie jest osobą, która żyła w twojej wyobraźni, tak jak ja dowiedziałam się, że ty nie jesteś tym mężczyzną, którego sobie wyobraziłam. - Zaśmiała się krótko. - Spróbuj, dobrze ci radzę. Dowiedz się, jak to jest, kiedy pieprzysz się z marzeniem.

Pascal nadal słyszał tamte słowa i ich intonację. Jego pamięć powtarzała je raz po raz, napelniając nimi salonik Gini. Rozejrzył się dookoła. Gini zadała mu pytanie, a on nie odpowiedział. Czekwała, przyglądając mu się uważnie. Ile wieków, ile sekund minęło od chwili, gdy skończyła mówić? Nigdy nie skorzystał z rady Helen, głównie z

powodu nie do końca uświadomionego lęku, że jej ostatnia uwaga może okazać się prawdziwa.

Odwrócił się twarzą do Gini, która nadal głaskała kota. Napoleon mruczał. Dziewczyna nachyliła się nad nim i wtedy złote pasmo włosów opadło na rudoszara sierść. Wcale nie wygląda jak produkt wyobraźni, pomyślał Pascal. Jest dokładnie taka, jaką zapamiętałem - prawdziwa...

- Ile razy byłem w Londynie? - powtórzył.

Gini się uśmiechnęła. Luka między pytaniem a odpowiedzią nie była chyba jednak zbyt długa. Jakże dziwne są projekcje umysłu, pomyślał.

- Tak, w Londynie - powiedziała. - Na pewno często tu przyjeżdżałeś. Ale nigdy nie zadzwoniłeś...

- Wiem... - Wykonał niepewny gest. - Może z przesadnego strachu...

- Nie dlatego, że byłeś na mnie wściekły?

- Nie, nie dlatego. W żadnym razie... Byłem wściekły, kiedy wyjechałaś z Bejrutu, później już nie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Westchnęła.

- Cieszę się...

Zapanowała cisza. Na zewnątrz ciągle padał deszcz i Gini słuchała, jak krople uderzają o parapet. Atmosfera była senna, bardzo spokojna. Czuła, jak powoli ogarnia ją dziwne, kojące zadowolenie. Przymknęła oczy, po chwili otworzyła je znowu. Pascal nadal stał, patrząc na nią, wyraźnie nieswój.

- Jesteś zmęczona - rzekł. - Robi się późno. Powinienem już iść... - Zawahał się.  
- Zamkniesz za mną drzwi? Zaryglujesz, dobrze? Obiecujesz?

- Oczywiście.

- Nie żartuję... Nie podoba mi się, że zostawiam cię tu samą, w mieszkaniu w suterenie...

- Nic mi nie grozi. Mówiłam ci już, że nigdy nie miałam tu ani włamania, ani...

- I nigdy nie dostałaś paczki z kajdankami w środku. Podejdz do tego poważnie, proszę. Ta historia o Hawthornie to w gruncie rzeczy opowieść o sadyzmie, z kobietami w roli ofiar...

- Nie wiemy nawet, czy jest prawdziwa.

- Może nie jest, ale ktoś wie, gdzie mieszkasz i jest to ten sam człowiek, który przysłał ci kajdanki. Na pewno wie także, że mieszkasz sama.

- Przestań... - Gini wstała i podeszła do niego. - Dwa dodać dwa to cztery, nie dziesięć...

- Nie wmawiaj mi, że przesadzam. - Pascal spojrział na nią łagodnie, musnął palcem jej policzek i cofnął się. - Mam nosa do kłopotów, wyczuwam je na odległość. Teraz także czuję, jak się zbliżają.

Wzruszyła się, ponieważ w jego głosie i oczach wyczytała prawdziwy niepokój.

- Dziś nikt nie jest bezpieczny - powiedziała, podnosząc ku niemu twarz. - Nikt, ani ja, ani ty...

Uśmiechnął się z ironicznym rozbawieniem.

- Och, wiem o tym - odparł. - Wiem, możesz mi wierzyć... - Zawiesił głos, jakby spodziewał się, że odnajdzie jakieś ukryte znaczenie jego słów, lecz gdy się nie odezwała, podszedł do drzwi. - Zadzwoń o ósmej rano, dobrze?

- O ósmej, w porządku.

- Przyjadę po ciebie około ósmej trzydzieści. O dziewiątej powinniśmy być w biurze tej firmy wysyłkowej.

Wciąż stał przy drzwiach. Gini, która chciała, aby został jak najdłużej, wpatrywała się w podłogę. W końcu niepewnie dotknął jej dłoni.

- Dobranoc - powiedział.

- Dobranoc.

Zamknęła za nim drzwi i zaryglowała je, zgodnie z obietnicą.

Potem długo stała bez ruchu, rozglądając się po swoim ciepłym, przytulnym, dobrze znanym pokoju. Coś ją niepokoiło, lecz dopiero po pewnym czasie zrozumiała, co to takiego. Był to ten sam pokój co rano, ale jakby uboższy. Brakowało w nim obecności Pascala. Wydawał jej się teraz o wiele bardziej pusty niż kiedykolwiek dotąd.

## XII

Następnego ranka punktualnie o dziewiątej byli w biurze ICD w City. Susannah szybko udzieliła im informacji, o jakie prosili.

- Kajdanki? - Najpierw spojrzała na dziennikarkę, potem na towarzyszącego jej fotoreportera.

Oboje byli bladzi i chyba zmęczeni, jakby poprzedniej nocy wcale nie spali. Kobieta pracowała dla gazety „News”, a ten incydent mógł stać się źródłem antyreklamy dla ICD.

- Bardzo mi przykro... - zaczęła Susannah. - Oczywiście, gdybym wiedziała... Ta pani robiła bardzo sympatyczne wrażenie... Naturalnie, w tej sytuacji zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc... Doskonale ją pamiętam, a wszystkie szczegóły mam w komputerze...

Rozmowa trwała pół godziny. Parę minut po dziesiątej Pascal i Gini byli już w dzielnicy Belgravia. Znowu padało. Pascal zaparkował motocykl. Dwa razy obeszlili Eaton Place, zanim doszli do zupełnie oczywistego wniosku. Piękna blondynka, domniemana pani J.A. Hamilton, podała prawdopodobny, lecz fałszywy adres. Nie było domu oznaczonego tabliczką 132 Eaton Place. Sprawdzili Eaton Square i Eaton Terrace, także bez powodzenia, i wrócili na Eaton Place. Deszcz przestał padać, ale tylko na krótko.

- *Merde*... - zaklął Pascal, ogarniając wzrokiem szereg dyskretnie drogich domów. - *Merde!* Można się było tego domyślić. Sprawdzę numer telefonu, który podała ta Hamilton, jeżeli faktycznie tak się nazywa, choć mocno w to wątpię. Ty pukaj do drzwi - opisz ją, nie zapomnij o futrze. Gra warta świeczki... Może mieszka gdzieś w sąsiedztwie. Nigdy nie wiadomo, co może pobudzić ludzką pamięć...

Budka telefoniczna znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Zamknął się w niej, Gini natomiast powoli ruszyła wzdłuż ulicy, przyglądając się domom po prawej i lewej. Białe fasady wręcz dziewiczo czyste, żelazne balustrady idealnie zakonserwowane. Wszędzie skrzynki na kwiaty, drogie zasłony i żaluzje, wszystko to skąpane w atmosferze bogactwa. Wystarczyło odbyć kilkuminutowy spacer, żeby znaleźć się wśród modnych, ekskluzywnych sklepów na Sloane Street, do Harrodsa



czy salonu mody Harveya Nicholasa można dojechać stąd w dziesięć minut. Był to doskonały adres, niewątpliwie celowo wybrany, dla kobiety wyglądającej jak modelka „Vogue”.

Przez głowę Gini przemknęła myśl, która natychmiast przerodziła się w gotowy plan. Postanowiła zrealizować go później, na razie powinna się skupić na wypyтaniu ewentualnych sąsiadów pani Hamilton. Widziała tkwiącego w budce Pascala - mówił coś, żywo gestykułując. Kiedy rano zjawił się u niej, wyglądał na zupełnie wyczerpanego, co sugerowało, że spędził bezsenłą noc, podobnie jak ona, lecz teraz odzyskał część energii. Chyba spierał się z kimś, bo gwałtownym ruchem odwiesił słuchawkę i zaraz wybrał nowy numer. Gini uśmiechnęła się do siebie i ruszyła w kierunku wejścia do domu w samym końcu zaułka.

Właścicielka, smukła, dobrze ubrana kobieta o krótkich włosach, otworzyła po trzecim dzwonku.

- Jeżeli chodzi o ubrania na wyprzedaż, to spóźniła się pani - powiedziała zdecydowanym tonem. - Dzwoniłam i wyjaśniałam, że mi się spieszy, prawda? Czekaliśmy kilka tygodni, nie odbieraliście ich, więc w końcu zawiozłam je do sklepu charytatywnego. Oddałam nawet tę wieczorową suknię od Ozbeka...

- Nie chodzi mi o ubrania na wyprzedaż - zaczęła Gini.

- Och, Boże, mam nadzieję, że nie chce nas pani nawracać? - Kobieta skrzywiła się lekko. - Jeżeli należy pani do mormonów albo do świadków Jehowy, to nic z tego nie będzie... W tej okolicy wszyscy są porządnymi anglikanami...

Gini nie pozostało nic innego, jak tylko wyjaśnić, o co jej chodzi. Kobieta miała ochotę zamknąć jej drzwi przed nosem, ale wyraźnie zainteresowała się, gdy Gini opisała futro pani Hamilton.

- Sobole? Dobry Boże... Wysoka? I blondynka?

- Rzucająca się w oczy. - Gini się uśmiechnęła. - Mieszkałyśmy razem w college'u. Zawsze była potwornie roztargniona, więc nic dziwnego, że teraz podała mi zły adres, biedna idiotka...

Kobieta ściągnęła brwi.

- Może mieszka przy Eaton Square lub Eaton Terrace...

- Nie, już sprawdziłam. Tam na pewno nie.

- Mieszkamy tu od trzech lat, ale nigdy nie zauważyłam nikogo przypominającego pani przyjaciółkę. Większość naszych sąsiadów to raczej ludzie starsi albo cudzoziemcy. Wie pani, jak to jest... Och, przepraszam, naturalnie nie mówię o Amerykanach! - Uśmiechnęła się. - Mieszkają tu zamożni Arabowie, sporo Japończyków...

- Może mieszkała tu tylko przez jakiś czas lub zatrzymała się u kogoś... - podsunęła Gini.

- Cóż, to zawsze możliwe... Hamilton, Hamilton... Nie, jestem zupełnie pewna, że nie znam tu nikogo o tym nazwisku. Mogłaby pani spróbować zapytać lady Knowles, po drugiej stronie ulicy. Ona zna wszystkich, bo mieszka tu od niepamiętnych czasów...

Okazało się, że lady Knowles mieszka przy Eaton Place od trzydziestu lat. Ona także nie mogła sobie przypomnieć nikogo z sąsiadów, kto nazywałby się Hamilton. Przedstawiony przez Gini opis nie wywołał żadnej reakcji. Gini zadzwoniła jeszcze do pięciu domów, a potem zawróciła.

Pascal siedział już na motocyklu, trzymając kask pod pachą i ponuro wpatrywał się w niebo.

- Czy w tym kraju kiedykolwiek przestaje padać? - zapytał.

- Czasami, ale nie w styczniu.

- Nic?

- Nic, zero informacji, tak jak się spodziewaliśmy. A ty?

- Też nic. Podany przez nią numer nie istnieje. W całym Londynie nie ma telefonu zarejestrowanego na J.A. Hamilton, ani na kobietę, ani na mężczyznę. I tyle.

- Nie przejmuj się - powiedziała Gini. - Ta dziewczyna z ICD naprawdę nam pomogła. Mamy teraz adres McMullena...

- W Wenecji. - Pascal westchnął. - Trzy godziny samolotem. Poza tym założę się, że go tam nie ma.

- Wiemy też, że czwarta paczka przeznaczona była dla Johnny'ego Appleyarda. Mówiłam ci, że go znam. Zawsze mogę go odszukać...

- Appleyard pisze dla kolumn towarzyskich?

- Nie, w każdym razie nie tylko. Można powiedzieć, że raczej podsuwa smakowite kąski innym. To facet, który jest w dobrych stosunkach z ginekologami z Hollywood, dzięki czemu może powiadomić redakcję „National Inquirer”, że ta czy inna filmowa gwiazda jest w ciąży, jeszcze zanim nieszczęsna kobieta sama odbierze wyniki testu ciążowego. - Gini skrzywiła się. - Taki oślizgły typ...

- Appleyard, Appleyard... - zamyślił się Pascal. - Dlaczego ktoś miałby wysłać mu paczkę?

- Nie wiem, ale mogę zadzwonić i go zapytać. Jenkins często korzysta z jego „serwisu informacyjnego”. Kilka razy rozmawiałam z nim przez telefon. Spotkałam go nawet, chyba ze dwa razy.

- A McMullen? W Wenecji? W styczniu? Po co tam pojechał? Dlaczego? Przecież Lise Hawthorne najwyraźniej bardzo zależało, żeby był w Londynie...

- Może ma jakieś kontakty w Wenecji. Poza wszystkim, Wenecja jest w zimie wyjątkowo spokojnym miejscem. Mógł tam znaleźć doskonałą kryjówkę, jeżeli chciał zniknąć.

- On nie zniknął. - Pascal spojrzął Gini w oczy. - W każdym razie niezbyt skutecznie. Ktoś poznał jego miejsce pobytu i wysłał paczkę na ten adres. - Przeczesał włosy palcami, jego twarz znowu przybrała zaniepokojony wyraz. - Kto pociąga za sznurki? Bo nie ulega wątpliwości, że ktoś to robi...

- Chciałbyś wiedzieć, kto nami manipuluje? - Gini uśmiechnęła się lekko. - Może nikt. Wszystko to może być efektem zbiegu okoliczności.

- Chyba nie. - Pascal odwrócił wzrok. - Ja czuję się wmanewrowany w tę sytuację.

Kilkanaście metrów dalej przy krawężniku zatrzymał się czarny samochód. Silnik pracował, z wozu nie wysiadł ani kierowca, ani pasażer.

- I obserwowany - dodał Pascal.

Gini zadrżała i ciaśniej otuliła się płaszczem. Spojrzała w kierunku czarnego samochodu. Wewnątrz siedziały dwie osoby, kobieta i mężczyzna. Gini zobaczyła, jak mężczyzna bierze kobietę w ramiona i szybko odwróciła się do Pascala.

- Nie powinniśmy wpadać w paranoję - powiedziała. - To choroba zawodowa dziennikarzy. Skupmy się na następnych posunięciach.

- Chyba wiem, czego spodziewa się po nas ten specjalista od pociągania za sznurki. - Pascal pokiwał głową. - Mamy polecieć do Wenecji, tak samo jak teraz mieliśmy trafić tutaj. Mam uczucie, że komuś zależy, byśmy zmarnowali jak najwięcej czasu. Tak czy inaczej, możemy polecieć do Wenecji, tyle że jest już piątek, a jutro mamy być na przyjęciu u twojej macochy i zobaczyć Hawthorne'ów. Nie chcę stracić tej szansy.

- Ja też nie - odparła Gini. - Chcę, żebyś poznał Hawthorne'a, obejrzał go sobie.

- W takim razie najpierw sprawdzę, czy McMullen ma w tym Palazzo Ossorio jakiś telefon. Mój kolega pracuje dla włoskiej firmy telekomunikacyjnej.

- Wiemy przynajmniej jedno. Palazzo Ossorio istnieje, w przeciwieństwie do pani Hamilton i jej domu przy Eaton Place. Palazzo Ossorio musi być rzeczywistym miejscem, bo przecież ta paczka została tam dostarczona.

- Właśnie... - Pascal zmarszczył brwi. - Właściwie moglibyśmy polecieć do Wenecji jeszcze dzisiaj, ale mielibyśmy bardzo mało czasu. Niewykluczone, że udałoby nam się odnaleźć McMullena, lecz trochę w to wątpię. Byłoby to zbyt proste. A jeżeli go tam nie ma, nie zdążylibyśmy niczego się dowiedzieć. Wystarczy niewielkie opóźnienie powrotnego lotu - mgła, jakieś trudności na lotnisku, cokolwiek - i przegapimy spotkanie z Hawthorne'em. Nie, nie warto ryzykować... Lepiej polemy do Wenecji w niedzielę rano, przenocujemy i wrócimy w poniedziałek...

Wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Gini miała wrażenie, że padł na nią cień.

- Jeżeli tak zrobimy, będę musiał wracać przez Paryż. W tę niedzielę przypada mój dzień odwiedzin, nie mogę go opuścić. Muszę zobaczyć się z Marianne.

Długą chwilę oboje milczeli. Gini patrzyła w górę ulicy. Kusiło ją, aby zapytać, jak sobie z tym radzi, chciała go jakoś pocieszyć, nawet jeżeli tą pociechą byłaby tylko możliwość rozmowy. Próbowwała to zrobić już poprzedniego wieczoru, w drodze do restauracji, lecz natychmiast się zorientowała, że popełniła błąd. Wszystkie osobiste pytania napotykały na mozolnie budowaną przez Pascala ścianę milczenia. W końcu, wyczuwając w nim rozgoryczenie i ból, zrezygnowała z poruszania tego rodzaju tematów. Pascal potrafił się bronić i widziała, że nie życzy sobie, aby ktoś porywał się na jego barykadę.

- W porządku - odezwała się. - Ustalamy, że polecimy do Wenecji w niedzielę... Teraz powinniśmy się chyba rozdzielić. Chcę wrócić do redakcji, poszukać Appleyarda i sprawdzić parę innych rzeczy...

- Jakich innych rzeczy?

- Och, po prostu coś przyszło mi do głowy... Oczywiście, takie wyjaśnienie nie zadowoliło Pascala.

Przez chwilę protestował, usiłował się dowiedzieć, co Gini planuje, ale w końcu się poddał.

- Dobrze, może masz rację. W ten sposób zaoszczędzimy trochę czasu. Wrócę do hotelu, zadzwonię do paru osób i spróbuję umówić się z siostrą McMullena. Przyjadę do ciebie po południu. Koło trzeciej?

Gini spojrzała na zegarek.

- Raczej koło czwartej. Gdyby mnie nie było, możesz otworzyć sobie drzwi i wejść, chyba że miałbyś ochotę się włamać...

W oczach Pascala natychmiast zagościł chłód.

- Nie byłoby to trudne. Obejrzałem twoje okna i drzwi. Wiesz, jak długo zajęłoby mi dostanie się do środka? Dokładnie pięć sekund.

- Na szczęście nie będziesz musiał się fatygować - odparła słodko. - Możesz skorzystać z zapasowego klucza. Zawsze zostawiam go mojej sąsiadce z góry, która czasami zagląda, żeby nakarmić Napoleona. Znajdziesz go pod trzecią doniczką od lewej.

- Na pewno leżał tam także wczoraj w nocy?

- Tak. Zapomniałam go zabrać. Tak czy inaczej, nie ma to znaczenia - nikt nie otworzy kluczem zaryglowanych od środka drzwi, prawda?

- Jesteś niemożliwa...

Przerwał, założył kask i zajrzał Gini w oczy. Podniósł dłoń i jednym palcem, bardzo delikatnie otarł krople deszczu z jej policzków.

- Niemożliwa, uparta, apodyktyczna... Doszedłem do tego wniosku tego samego dnia, kiedy cię poznałem. A jaki nasuwa mi się dwanaście lat później? Że w ogóle się nie zmieniłaś i że miałem rację.

Opuścił wizjer. Gini patrzyła teraz w prostokąt czarnego szkła, w niewidzialną twarz. Pascal uniósł dłoń i kopnął starter. Silnik zapalił, maszyna zatoczyła koło i z rykiem pomknęła w dół ulicy.

Zobaczyła jeszcze, jak Pascal bierze zakręt. Potem znikł. Przez chwilę jego nieobecność wydawała się fizycznie wyczuwalna, bardzo intensywna. Gini stała w deszczu, czekając aż uczucie straty przycichnie. Kiedy odzyskała równowagę, poszła w kierunku najbliższej stacji metra i pojechała na Baker Street. Stamtąd ruszyła pieszo na północ, do Regent's Park, gdzie dotarła od południowo-zachodniego krańca, przez Hanover Gate.

Dookoła parku biegła wąska alejka. Gini przystanęła z boku i spojrzała w prawo i w lewo. Po prawej ręce miała szereg pięknych domów projektu znanego architekta Nasha, po lewej główny londyński meczet i otaczające go zabudowania. Za jasną fasadą meczetu, zwieńczoną miedzianą kopułą, droga zakręcała. Naprzeciwko, właściwie już na terenie parku, znajdował się Winfield House, oficjalna rezydencja ambasadora Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii. Gini stała w odległości mniej więcej stu metrów od posiadłości, odgródzonej od drogi grubym pasem żywopłotu. Miała przed sobą dom Johna Hawthorne'a.

Przeszła na drugą stronę alei i weszła do parku. Chciała z bliska spojrzeć na rezydencję, lecz zbliżyła się do niej dyskretnie, okrężną drogą. Najpierw przeszła przez cały Regent's Park, mijając jezioro, na którym od wiosny do jesieni pływały łodzie i małe żaglówki, a także parkową muszlę, gdzie latem czasami dawały koncerty wojskowe orkiestry. Padał coraz gęstszy deszcz i park prawie zupełnie opustoszał - tylko kilku mieszkańców pobliskich domów nadal wytrwale spacerowało z psami. Gini przypomniała sobie, że kilkanaście lat temu pomalowana wesołe pasy muszla i grająca w niej wtedy orkiestra królewskiej gwardii stały się celem ataku IRA. W zamachu zginęło kilka osób.

Szła dalej. Zbliżyła się do rezydencji ambasadora od tyłu, gdzie rozległy ogród graniczył z parkiem.

Dom był stąd prawie niewidoczny. Gini mogła dostrzec jedynie przeświecające wśród gałęzi dachy i kominy oraz wiecznie zielony żywopłot, rosnący wzdłuż wewnętrznego ogrodzenia.

Okrążyła ogrody i wróciła na drogę. Przemaszzerowała po chodniku naprzeciwko wejścia. Zorientowała się, że rezydencja posiadała dwie bramy. Jedna wzmocniona dodatkową warstwą metalu sprawiała wrażenie nieużywanej. Obok drugiej, przesuniętej bardziej na północ, stał niski, niewielki pawilon, coś w rodzaju domku stróża. Jego dach najeżony był antenami i kamerami, których obiektywy wymierzone były w bramę i podjazd. Każdy, kto chciałby dostać się na teren rezydencji, musiał najpierw porozumieć się z ochroną przez okno z zielonkawego pancernego szkła.

Gini uświadomiła sobie, że nie powinna niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Tkwiła przed rzędem czarnych oczu kamer, zapewne obserwowana przez ochroniarzy. Widziała kilka postaci w ciemnych garniturach i płaszczach przy pawilonie obok bramy. Dwóch - nie, trzech ochroniarzy stało opartych o czarną limuzynę. Starali się nie patrzeć na nią, kiedy przechodziła.

Gini usiadła przy swoim biurku w dziale reportażu, odgrodzonym od sali monitorami komputerów, i przysunęła telefon. Najpierw musiała zadzwonić do Mary.

Starsza pani wydawała się trochę zaskoczona, że Gini kontaktuje się z nią drugi raz w tak krótkim czasie. Wychodziła właśnie, aby spotkać się z przyjaciółmi, lecz znalazła chwilę czasu na rozmowę i potwierdziła, że restauracja The Ivy rzeczywiście jest ze wszech miar godna polecenia.

- Och, tak, kochanie, koniecznie zabierz tam swoich przyjaciół - powiedziała. - Na pewno będą zachwyceni. Zamów takie malutkie tartinki z pomidorami, są po prostu przepyszne...

- Wiem, że wieczorami zawsze przewalają się tam tłumy... - Gini postanowiła nacisnąć trochę mocniej. - Chyba w porze lunchu jest trochę luźniej, prawda?

- Tak, oczywiście. Często zaglądam tam przed koncertami, które zaczynają się wczesnym popołudniem. Zwykle jest tam pełno aktorów, pisarzy i tak dalej...

Mary przerwała. Gini milczała, wychodząc z założenia, że czasami lepiej jest nie podpowiadać.

- Kiedyż to ostatni raz byłam tam na lunchu? - podjęła Mary. - Sekundę, niech pomyślę... Już wiem! Tak, zaprosiłam tam Lise, tuż przed Bożym Narodzeniem. Pamiętam, kiedy to było, bo tydzień później Lise miała już wyjechać na wieś. Nigdy



wcześniej nie była w The Ivy. Bardzo jej się tam spodobało, więc mogę śmiało powiedzieć, że ona również poleciłaby ci tę restaurację. Czułam, że przypadnie jej do gustu. John woli inny styl, ale... Słucham, kochanie? Ach, dzwoni drugi telefon... Dobrze, skarbie. Do zobaczenia jutro wieczorem. I nie zapomnij przyprowadzić swojego Pascala...

Gini odłożyła słuchawkę. Spodziewała się tego, ale wolała sprawdzić. Teraz Appleyard... Otworzyła kołonoatnik. Appleyard. Miała dwa numery, oba do jego mieszkania w Gramercy Park. Wybrała pierwszy. Czekwała długo i już miała zrezygnować, kiedy w słuchawce odezwał się młody męski głos, wyraźnie niepewny i czujny.

- Tak? Kto mówi?

- Dzień dobry tu Gini Hunter z gazety „News”. Zastałam Johnny'ego?

Nastąpiła dłuższa przerwa. Gini usłyszała, jak jej rozmówca pracowicie skrobie coś na kartce.

- Mogłaby pani przeliterować swoje nazwisko? - poprosił po chwili. - Z gazety „News”, tak? Zaraz zapiszę...

Szeroki akcent, pomyślała Gini. Chłopak pochodzi ze Środkowego Zachodu. Spełniła jego prośbę i wyjaśniła, że dzwoni z Londynu. Zanotowanie tej informacji zajęło młodemu człowiekowi sporo czasu. Tak bardzo się starał, że Gini wcale się nie zniecierpliwiła.

- Johnny'ego nie ma? - odezwała się w końcu. - Pracujesz dla niego? Może wiesz, kiedy wróci?

- Och, nie, nie pracuję dla Johnny'ego, to znaczy... Niezupełnie. Odbieram telefony i zapisuję informacje, takie tam rzeczy... Jestem Stevey, Stevey przez „y” na końcu... Mieszkam u Johnny'ego, jestem jego przyjacielem. Chyba nie rozmawialiśmy wcześniej, ale jestem tu od dawna...

Oczywiście! Gini przypomniała sobie złośliwe uwagi, jakie Jenkins niedawno robił na temat ostatniego chłopca Johnny'ego Appleyarda. Łudząco podobny do młodego Rudiego Nuriejewa, moi drodzy. Ledwo umie czytać i pisać, i ze wszystkich sił stara się zrobić jak najlepsze wrażenie... Przez cały wieczór opowiadał mi o hodowli świń. Nudne? Cholernie nudne, kochani. Johnny poderwał go na dworcu, tak

jest, ściągnął go prosto z pociągu. Mówi, że nie mógł oprzeć się jego kształtnemu, jędrnemu tyłczkowi. Daj spokój, Johnny, powiedziałem mu. Przecież ten chłopak przed chwilą wyszedł pomiędzy kartek powieści Steinbecka i ma jeszcze siano we włosach...

Gini się zawahała.

- Ach, Stevey... - powiedziała. - Jasne, pamiętam... Kiedy Johnny był ostatnio w Londynie, wspominał o tobie.

- Naprawdę? - Chłopak nie krył zadowolenia. - Tak, Johnny pojechał do Londynu jesienią. Mało brakowało, a zabrałby mnie ze sobą.

- Tak?

- Nie inaczej. Strasznie się napaliłem, bo nigdy nie byłem zagranicą. Wszystko zaplanowaliśmy, ale... Cóż, bilety są takie drogie... Johnny się rozmyślił.

Nic dziwnego, pomyślała Gini. Sądząc po tym, co słyszała o zachowaniu Appleyarda można było przypuszczać, że zakochany wieśniak tylko by mu przeszkadzał. Ogarnęło ją szczere współczucie dla chłopca.

- Kiedy spodziewasz się powrotu Johnny'ego? - zapytała. - Muszę z nim jak najszybciej porozmawiać.

- Trudno powiedzieć... - Stevey zawahał się, w jego głosie zabrzmiała nuta smutku. - Widzi pani, nie wiem, gdzie jest teraz Johnny... Wyjechał dość niespodziewanie i dotąd nie dzwonił...

- Rozumiem... - powiedziała łagodnie. - Tak po prostu wyjechał? Od jak dawna go nie ma? Od paru dni?

- Dłużej, proszę pani. Wyjechał dwudziestego siódmego grudnia, to już jedenaście dni...

Zapisała datę. Zaniepokoiła się. Johnny rzeczywiście wyjechał dawno temu, w dodatku przez cały ten czas nie dał znaku życia. Przy skłonnościach Appleyarda kilkudniowa nieobecność nie mogła dziwić, ale dziesięć dni...

- Może musiał zająć się jakąś nieoczekiwaną sprawą - podsunęła, starając się mówić zupełnie spokojnie.

- Nie wydaje mi się, proszę pani - odparł ostrożnie. - Zawsze mówił mi, kiedy wyjeżdżał, żeby zbierać informacje do jakiegoś tekstu. I dzwonił, żeby odebrać wiadomości i porozmawiać...

- Więc nie wiesz, gdzie jest Johnny? Naprawdę muszę się z nim skontaktować, to pilne....

W słuchawce długo panowała cisza.

- Przysłał mi faks - powiedział w końcu z wyraźną niechęcią. - Ale to było pięć dni temu. Ten faks jest jakiś dziwny...

- Jak to - dziwny?

- Johnny nie napisał, gdzie jest, tylko że będzie ze mną w kontakcie. Faks był wydrukowany, a Johnny zawsze pisze fakсы ręcznie. W dodatku zrobił błąd, napisał moje imię przez „ie” na końcu, nie „y”. Johnny nigdy by tego nie zrobił.

Gini zmarszczyła brwi i zanotowała te szczegóły.

- Na pewno można to jakoś wyjaśnić - rzekła pośpiesznie. - Mogło mu się śpieszyć albo poprosił sekretarkę o wysłanie faksu...

- Może...

- Wiesz, skąd wysłał ten faks?

- Nie. Na górze był cały pasek różnych cyferek, ale nic mi one nie mówią. Kiedy go przeczytałem, z błędem w moim imieniu i tak dalej, od razu pomyślałem, że musiał to wysłać ktoś inny, może ktoś, z kim Johnny wtedy był...

Teraz Gini bardzo wyraźnie słyszała ból i smutek w głosie Steveya. Chłopak bał się, że Johnny go rzuci i prawdopodobnie jego obawy były uzasadnione. Nowy kochanek mógł być jednym z powodów dziesięciodniowego milczenia Johnny'ego, ale nie jedynym.

- Myślę, że Johnny jednak pogonił za jakąś nową historią - powiedziała pocieszająco. - Założę się, że właśnie dlatego wyjechał, zobaczysz. Musiało trafić mu się coś wyjątkowego, więc rzucił wszystko i wcale mu się nie dziwię... Wiesz, jak to jest...

- Może ma pani rację... Teraz przypominam sobie, że wspominał o jakimś nowym zamówieniu na tekst...

Próba uspokojenia Steveya okazała się całkiem skuteczna - w głosie młodego człowieka zabrzmiały żywsze nuty.

- Wróci, zanim się obejrzysz - ciągnęła Gini. - Hmm... Skoro nie ma Johnna, to może ty mógłbyś mi pomóc... Byłeś w domu przez cały ten tydzień?

- Jasne.

- Czy do Johnny'ego przyszła jakaś paczka? Z Anglii, w środę, rano albo w ciągu dnia, dostarczona przez kuriera? Porządnie zapakowana w brązowy papier, nieduża, owinięta sznurkiem miejscami zalakowanym czerwonym woskiem?

- Paczka? Tak, w środę. Odebrałem ją rano... - Stevey ucichł. - Zaraz, skąd pani o tym wie? To pani ją przysłała? Dlaczego? To nie był śmieszny kawał, wcale nie! Co za okropieństwo! Ja...

- Chwileczkę - przerwała mu. - Nie wysłałam tej paczki i nie mam pojęcia, kto to zrobił. Mówię o tym dlatego, że sama dostałam taką przesyłkę, także przez kuriera, i zawartość mojej też nie była zabawna...

- Nie? - niepewnie zapytał Stevey.

Gini się zawahała. Czasami w celu zdobycia informacji należy podzielić się tymi, które się posiada.

- Posłuchaj - powiedziała. - Ktoś przysłał mi kajdanki, bez żadnej wiadomości. Mieszkam sama, więc nie byłam zbyt rozbawiona, kiedy otworzyłam paczkę. Dzwonię do Johnny'ego, ponieważ po awanturze, którą zrobiłam firmie wysyłkowej, poinformowali mnie, że taką samą przesyłkę dostarczyli na ten adres... - Zawiesiła głos, lecz Stevey nie zareagował. - Chcę się dowiedzieć, co dostał Johnny. Może miał podejrzenia, kto robi sobie takie żarty... - Przerwała znowu, ale chłopiec nadal milczał. - Naprawdę zależy mi, żeby odkryć, kto i dlaczego przysłał mi te kajdanki. Czy przypadkiem nie otworzyłeś paczki Johnny'ego?

W słuchawce znowu zapanowała cisza.

- Otworzyłem ją... - przemówił w końcu Stevey. - Chyba dlatego, że... Że niepokoiłem się o Johnny'ego. Poza tym na formularzu ktoś napisał „prezent urodzinowy”, a Johnny ma urodziny w lipcu, nie w styczniu. Długo przyglądałem się tej paczce, patrzyłem na nią i patrzyłem... Johnny nie dzwonił, więc ją otworzyłem. Pomyślałem, że może w środku znajdę jakąś wskazówkę, dokąd pojechał...

Gini czuła, że Stevey wciąż zмага się z wątpliwościami i postanowiła mu pomóc.

- Powiesz mi, co było wewnątrz? - zagadnęła spokojnie. - Mogłoby mi to pomóc...

- Nie mogę, proszę pani.

- Była tam jakaś wiadomość?

- Nie - odparł. - Żadnej kartki, żadnej wiadomości. Sprawdziłem.

- Czy to były kajdanki, tak samo jak w mojej paczce, czy coś innego?

- Coś innego.

- Ale coś podobnego? Coś nieprzyjemnego? Coś, co mogło zdenerwować Johnny'ego?

- Nie wiem... Nie potrafię powiedzieć, czy Johnny by się wściekł, czy zaczęłyby się śmiać... Ja... - Zawahał się. - To żenujące, proszę pani...

- Przestań tak do mnie mówić. Mam na imię Gini, w porządku? I mogę ci obiecać, że nie poczuję się zażenowana. Jestem dziennikarką, niełatwo mnie zaskoczyć. Słuchaj, muszę to wiedzieć, bo chcę dopaść tego, kto chciał nas bezkarnie postraszyć.

- Dobrze, Gini... Skoro tak mówisz... - Stevey zniżył głos. Gini była pewna, że oblał się rumieńcem. - To była bielizna, damska bielizna... Z falbankami i czarną koronką. Majtki, proszę pani... Takie, co to można zobaczyć na małych zdjęciach na okładkach różnych czasopism albo zamówić z katalogu, bo żaden porządny sklep nie sprzedaje czegoś takiego...

Gini już od lat nie zetknęła się z pruderią rodem ze Środkowego Zachodu. Była rozbawiona i jednocześnie trochę wzruszona. Fakt, że młody człowiek, narażony na wpływ świata i środowiska, w jakim obracał się Johnny Appleyard, pozostał tak naiwny i niezbrukany, wydał jej się zdumiewający. Pośpiesznie przerwała Steveyowi.

- W porządku, już rozumiem - powiedziała. - Masz siostrę albo siostry?

- Mam, proszę pani. Dwie siostry.

- I to z pewnością nie jest bielizna, jaką one by nosiły, prawda?

- Moje siostry? - powiedział z oburzeniem. - Absolutnie nie, proszę pani. To były majtki jak z burdelu, z rozcięciem z przodu i... - przerwał. Gini usłyszała

dzwonek, potem w słuchawce zapanowała cisza. - Przepraszam panią, ale ktoś dzwoni do drzwi - odezwał się chłopiec. - Muszę iść otworzyć...

- Oczywiście. Jeszcze jedno, mimo wszystko muszę pilnie porozmawiać z Johnnym. Powtórz mu, żeby skontaktował się ze mną, kiedy wróci albo zatelefonuje, dobrze? Podam ci mój domowy numer i faks...

Stevey długo zapisywał oba numery. Dzwonek wciąż zachłystywał się piskliwym dźwiękiem gdzieś w tle.

- Już idę! - zawołał Stevey i powoli odczytał cyfry.

- Doskonale, wszystko się zgadza - powiedziała Gini. - Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co, prosz... Gini... - Stevey odłożył słuchawkę.

Gini chwilę zastanawiała się nad wydobytymi ze Steveya informacjami. Dziesięciodniowa nieobecność Appleyarda, majtki z burdelu... Czy można na tej podstawie cokolwiek wydedukować?

Zaraz potem Gini zadzwoniła do działu mody. Miała nadzieję, że ktoś z tego działu pomoże jej rozwikłać zagadkę, dręczącą ją od rozmowy z Susannah. Dlaczego tajemnicza kobieta, która przyniosła paczki do biura ICD, była ubrana w tak rzucający się w oczy i łatwy do zapamiętania sposób?

Po drodze do działu mody minęła dziupłę szefa działu fotograficznego. Drzwi były otwarte, w małym pokoju kłębił się tłum mężczyzn. Była tu co najmniej połowa fotoreporterów i spora grupa ludzi z innych działów. Dziennikarze stali nawet przed wejściem, podając coś sobie z rąk do rąk. Wszyscy szeptali, gwizdali lub wydawali pełne podziwu okrzyki.

Gini przystanąła. Jeden z kolegów trochę nieśmiało podsunął jej plik zdjęć.

- Lamartine! - rzucił z uśmiechem. - Ustalamy ostateczny rozkład, Jenkins przed chwilą wyraził zgodę na druk. Puścimy je w jutrzejszym wydaniu. Co o tym myślisz?

- Śmiało! - krzyknął ktoś z tyłu. - Przedstaw nam kobiecy punkt widzenia na tę sprawę. Są gorące czy nie?

Kilku mężczyzn parsknęło śmiechem. Gini spojrzała na fotografie. Nie było wątpliwości, że główną bohaterką jest Sonia Swan, a partneruje jej ogólnie znany minister francuskiego rządu, który trzymał ją w ramionach. Platynowe włosy sławnej

aktorki były potargane, wargi, według najświeższych doniesień ostatnio znowu zasilone silikonem, rozchylone, szyja wygięta. Największa gwiazda Hollywood do pasa naga, Francuz podnosił do ust jej prawą pierś, jego język lizał sutek.

- Tego nie możemy dać na pierwszą stronę - oświadczył szef fotoreportażu, który właśnie wyszedł ze swego gabinetu i patrzył na zdjęcie przez ramię Gini. - Wielka szkoda... Może damy je na rozkładówkę, Jenkins jeszcze się waha. Uważa, że jest trochę zbyt pornograficzne. Umieścimy te fotki na sześciu stronach. Dynamit, co?

- Zrobił je Pascal Lamartine? - zapytała Gini. Nagle zrobiło jej się niedobrze.

- A któż by inny? Cała ta posiadłość była strzeżona jak Pałac Buckingham. Ochroniarze, wartownicy, pieprzone dobermany... Bóg jeden wie, jak Lamartine dostał się do środka, ale udało mu się...

- Żabojad może pożegnać się z szansą na fotel prezydencki - uśmiechnął się zastępca szefa działu. - I dobrze mu tak, bo to strasznie arogancki gówniarz. Trafiła mu się Sonia Swan, ale będzie musiał odejść. - Odwrócił się do kolegów. - Zaraz, zaraz, może wykroimy z tego tytuł... Swan, czyli łabędź... „Łabędzia pieśń”, co wy na to?

Dziennikarze powitali ten banał chóralnym jękiem. Gini oddała fotografię stojącemu obok dziennikarzowi i bez słowa poszła do windy. Chwilę potem drzwi kabiny się rozsunęły i Gini stanęła twarzą w twarz z Nicholasem Jenkinsem. Naczelnny roztaczał wokół siebie aurę prasowego giganta. Obok niego tkwił jego zastępca i asystent, dziennikarz nazwiskiem Daiches, i robił notatki, co jakiś czas rzucając szefowi pełne uwielbienia spojrzenia.

- Zaczekam - powiedziała Gini. - Chcę zjechać na dół...

- Nic z tych rzeczy. - Jenkins gestem zaprosił ją do windy. - Jedziemy na górę, do mojego gabinetu. Na pięć minut. Daiches, powiedz im, że cytat z oficjalnego stanowiska Pałacu Elizejskiego jest mi potrzebny dokładnie za piętnaście minut. Czy stanowisko ministra jest bezpieczne, czy zagrożone? Tak czy nie, wystarczy prosta odpowiedź, na jej sformułowanie mieli cały pieprzony dzień. Jeżeli nie ma oficjalnego stanowiska, to sami je napiszemy, trzeba się tylko postarać, by brzmiało przekonująco. Można powołać się na rzecznika prasowego rządu. Kto u nas parluje?



- Holmes świetnie zna francuski, ale Mitchell lepiej naśladowuje styl oświadczeń Pałacu Elizejskiego...

Daiches, znany w redakcji jako przedstawiciel Jenkinsa na ziemi, charakteryzował się łagodnym sposobem bycia, co niejednego wprowadziło w błąd. Daiches pełnił rolę oczu i uszu Jenkinsa. Kiedy naczelny zdecydował się zrezygnować z dalszych usług jakiegoś dziennikarza, co zdarzało się dość często, to Daiches wyręczał szefa, spełniając za niego niemiły obowiązek. Gini weszła do windy, czując na sobie spojrzenie jego bladych jasnoszarych oczu. Nigdy jej nie lubił, a ona w pełni odwzajemniała tę antypatię. Teraz podnózek szefa zaakceptował jej obecność krótkim skinieniem głowy.

- Mitchell będzie lepszy - zawyrokował Jenkins. - Daj to Mitchellowi.

Daiches kiwnął głową i zanotował polecenie. Dotarli na piętnaste piętro. Jenkins szybkim krokiem przemierzył wyłożony miękką wykładziną hol i wszedł do sekretariatu, gdzie na jego widok z krzeseł natychmiast poderwało się kilka osób.

- Nie teraz, nie teraz, nie mam czasu! - Władczym gestem odsunął czekających na audiencję interesantów. - Daiches, zajmij się tym wszystkim!

Gini weszła za naczelnym do jego gabinetu, gdzie jeden z telefonów dzwonił uporczywie. Jenkins chwycił słuchawkę.

- Żadnych pieprzonych telefonów, pięć minut pieprzonego spokoju, dobrze, Charlotte? - powiedział bardzo uprzejmym tonem i rzucił słuchawkę na widełki.

Usiadł, a Gini stanęła po przeciwnej stronie biurka. Przez następną minutę grał zajętego szefa, przeglądając leżące na biurku papiery, potem podniósł wzrok.

- Jakież postępy? - rzucił.

- Całkiem spore.

- Znaleźliście McMullena?

- Niewykluczone. Zdobyliśmy nowy adres. Ja...

- Nie mam czasu na detale. Zgłoście się do mnie w poniedziałek, wtedy nie ma tu takiego piekła. - Przesunął o centymetr jakąś kopertę. - Co z seksem na telefon?

Gini się zawahała.

- Zostawiłam to na razie - powiedziała. - Myślałam, że chcesz, abym skoncentrowała się na sprawie Hawthorne'a. Mówiłeś...

- Słodki Jezu! Chyba możesz równocześnie chodzić i żuć gumę, nie?

- Jasne, Nicholas.

- Więc postaraj się, pracuj nad obiema sprawami. - Z irytacją spojrział na biurko.

- Coś jeszcze?

Było to charakterystyczne dla Jenkinsa, że kiedy wpadał w taki nastrój, wzywał do siebie pracowników, a potem zachowywał się tak, jakby mu się naprzykrzali. Gini, która doskonale o tym wiedziała, zignorowała jego ton.

- Tak, jest coś jeszcze - odparła. - Czy ktoś poza nami wiedział o sprawie Hawthorne'a?

- Nie. Tylko ty, ja i Pascal. Nikt więcej.

- A Daiches?

- Ile razy mam powtarzać jedno i to samo? Nie, Daiches nic nie wie. To mój trop i moja historia. Długo ją pielęgnowałem i trzymałem pod kloszem... Dlaczego się uśmiechasz?

- Zupełnie bez powodu. Przyszło mi tylko do głowy, że może jednak jest to i moja historia... I Pascala, oczywiście.

- Jasne, jasne - przytaknął. - Dlatego nie spieprzcie jej, tylko o to proszę. I powiedz Pascalowi, żeby ograniczył wydatki, do cholery. To jest gazeta, nie mennica.

- Na pewno mu to powtórzę...

Ruszyła w kierunku drzwi. Jenkins obrzucił ją ostrym spojrzeniem.

- Jak sobie radzicie jako zespół, ty i Pascal? Wszystko między wami gra?

- Jak na razie wszystko gra.

- I tak trzymać, moja droga, tak trzymać. Ta sprawa wymaga pracy zespołowej, poza tym możesz się dużo nauczyć od Pascala.

- Nie wątpię.

- Widziałaś zdjęcia Soni Swan? - Uśmiechnął się z całkowicie fałszywą dobrocią.

- Przed chwilą.

- Świetne, co? - Wstał, wyszedł zza biurka i położył rękę na ramieniu Gini. - Przy okazji przekaz Pascalowi, że jutro zwiększam nakład o kolejne sto tysięcy egzemplarzy. Niezły numer z tej Soni Swan... Na zdjęciach widać, jak obciąża łaskę

ministrowi, dosłownie na oczach ochroniarza... I Pascal to wszystko sfotografował, wprost nie do wiary... Nie możemy puścić najbardziej drastycznych kadrów, to jasne, ale możemy dać czytelnikom do zrozumienia, co zachowaliśmy dla siebie. - Poklepał Gini po plecach. - Tak czy inaczej, zaliczamy sukces. „Mail” i „Express” już są do tyłu i dobrze o tym wiedzą. Konają z zawiści. Koniecznie powiedz Pascalowi, że jutro rzucamy na ulice podniesiony nakład i zetrzemy inne redakcje w proch.

W dziale mody jak zwykle panował kompletny chaos. Wszyscy przygotowywali się do wielkiej sesji zdjęciowej.

- Suknie balowe na Syberii? - zapytała Gini.

- Niezupełnie. - Jej przyjaciółka Lindsay, szefowa działu mody, uśmiechnęła się lekko. - Kolekcja inspirowana strojami z okresu niewolnictwa, fotografowana na Martynice.

- Słuchaj, zrobisz coś dla mnie? Zadzwoń do Chanel, dobrze? Znają cię tam i na pewno nie odmówią informacji. Do Chanel i kilku innych miejsc. Muszę sprawdzić parę szczegółów dotyczących pewnego futra z soboli...

- Futra z soboli? O, cholera... - Lindsay uśmiechnęła się łakomie. - Chyba wiesz, że w całym Londynie zostało już tylko kilka sklepów z futrami? Nawet u Harrodsa zrezygnowali z prowadzenia tego działu...

- Ale sama mówisz, że kilka jeszcze jest.

- Tak, to prawda. To wszystko?

- W zasadzie tak... Zapytaj jeszcze o ten kostium i dodatki. - Gini położyła na biurku okładkę grudniowego numeru „Vogue”.

Lindsay uważnie przyjrzała się zdjęciu.

- Och, pamiętam! - ożywiła się. - Klasyczne cudo!

- Właśnie. Chcę wiedzieć, kto je kupił, to samo dotyczy futra. Mogę podać dość dokładną datę sprzedaży...

Gini wyjaśniła wszystkie szczegóły. Kiedy skończyła mówić, Lindsay zmierzyła ją baczny spojrzeniem.

- Po co to wszystko?

- Nieważne. Pomóż mi, proszę. Jeżeli zadzwonię sama, nic mi nie powiedzą, a tobie zajmie to najwyżej dziesięć minut.

- Niech ci będzie... Doszły mnie słuchy, że pracujesz z Pascalem Lamartine, to prawda?

- Kto ci o tym powiedział?

- Nie pamiętam. Ktoś z redakcji. Pomyślałam sobie, że masz szczęście. Wysoki, ciemnowłosy, przystojny, tajemniczy... Barrrdzo seksowny...

- Daj spokój, on nie jest w moim typie.

- Ja tam chętnie zmieniałabym mu filmy w aparacie! -

Lindsay się roześmiała. - Sądysz, że udałoby mi się namówić go na sesję mody?

- Nie, nie sądzę.

- Szkoda, mogłoby być ciekawie. Jego zdjęcia są przesiąknięte erotyzmem. Robione z ukrycia, bardzo w stylu paparazzi...

- Sekrety są erotyczne, nie zdjęcia... - mruknęła Gini.

- Widziałaś fotografie Soni Swan, prawda? - zainteresowała się Lindsay. - Niewiarygodne! Wyobrażasz sobie, jak czuje się człowiek, który leży w krzakach i fotografuje coś takiego? Ciekawe, czy to go podnieca...

- Nie mam zielonego pojęcia.

- W porządku, w porządku, nie powiem ani słowa więcej. Wiem, kiedy się wycofać, ale przecież mówiłaś, że on nie jest w twoim typie...

- Och, przestań wreszcie!

Lindsay przyjrzała się Gini i podniosła ręce do góry w geście kapitulacji.

- Nie pisnę ani słowa, przysięgam. Twoja tajemnica jest całkowicie bezpieczna.

- Zadzwoń wreszcie do Chanel, dobrze?

- Jasne, już dzwonię. Tylko nie odgryź mi głowy...

Lindsay zajęła się telefonowaniem, natomiast Gini zaczęła przeglądać katalogi ze zdjęciami modelek. Jej zdaniem Susannah z ICD była wyjątkowo spostrzegawczą osobą, a jaka była jej pierwsza reakcja na widok kobiety, która przyniosła cztery paczki do recepcji? Susannah uznała, że jej klientka może być modelką. Gini nie miała cienia wątpliwości, że kobieta tylko podała się za panią J.A. Hamilton. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Susannah miała rację.

Stos katalogów wydanych przez różne agencje modelek, między innymi Models One, Storm, Elite, był całkiem spory. Morze pięknych twarzy... Gini uważnie przeglądała zdjęcia. Łatwość, z jaką te kobiety zmieniają wygląd, jest doprawdy denerwująca, pomyślała. Oto Linda Evangelista jako blondynka, rudowłosa, brunetka...

Po pół godzinie Lindsay zakończyła serię rozmów. Podeszła do Gini i podała jej zapisane kartki. Wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie.

Gini czytała zapiski ze zdumieniem i rosnącym podnieceniem, w całkowitym milczeniu. Po paru minutach podniosła głowę.

- Jesteś tego absolutnie pewna? Lindsay skinęła głową.

- Na sto procent. Dobrze znam dyrektora salonu Chanel, a właśnie z nim rozmawiałam. Nie mógł się pomylić.

- Często zgadzają się na taki układ?

- W przypadku sławnej klientki, która stale robi u nich zakupy? Jasne, jak mogliby się nie zgodzić? Wyglądasz na bardzo podekscytowaną, znam ten błysk w twoim oku... Czy to coś ważnego?

- Nie, nieszczególnie... - Gini wycofała się pośpiesznie. - To tylko informacje do tła artykułu... Dziękuję ci bardzo. Och, i nie wspominaj nikomu, że cię o to prosiłam, dobrze?

- Naturalnie, obiecuję.

Lindsay przeciągnęła się, ziewnęła i znużonym spojrzeniem ogarnęła panujący w jej dziale bałagan. Czekало ją jeszcze wiele godzin pracy. Zerknęła na Gini, która zbierała się do wyjścia. Zmarszczyła brwi. Czuła, że coś jest nie tak, ponieważ na twarzy Gini malowało się napięcie i gniew, zupełnie jakby bardzo skupiała się na pracy, ale jednocześnie zmagala się z czymś jeszcze. Lindsay pomyślała, że Gini rzadko wpada w irytację. Przyjaźniły się, szczerze mówiąc, Gini była najbliższą przyjaciółką Lindsay w redakcji. Lindsay nigdy dotąd nie widziała jej tak spiętej...

Kiedy Gini sięgnęła po płaszcz, zatrzymała ją.

- Hej, spokojnie, nie spiesz się tak - powiedziała. - Wszystko w porządku?

- Nie - odparła Gini. - Nic nie jest w porządku... - Wzruszyła ramionami. - Wiesz, jak to jest... To cholerne miejsce...

- Napijesz się kawy?

Lindsay i Gini często posługiwały się myślowymi skrótami. Zaproszenie na kawę oznaczało propozycję rozmowy. Gini się zawahała.

- Chyba nie powinnam... Z drugiej strony dziesięć minut mnie nie zbawi...

- Mnie także przyda się krótka przerwa - rzekła Lindsay. - Chodź do mojego gabinetu, tam nie ma takiego potwornego burdelu...

- Dobrze, dziękuję... Całkiem zapomniałam o lunchu, więc chętnie napiję się kawy. Ale tylko dziesięć minut, w porządku? Później muszę lecieć...

Lindsay się uśmiechnęła.

- Ciągłe się spieszysz, to jeden z twoich problemów, wiesz? Czego się boisz? Że będziesz miała chwilę czasu, by pomyśleć, co się z tobą dzieje?

Kiedy zamknęły za sobą drzwi gabinetu Lindsay, Gini zaczęła nerwowo chodzić od ściany do ściany. Zdjęła płaszcz, który parę chwil wcześniej zarzuciła na ramiona, i położyła go na krześle. Następnie zdjęła szalik, szkarłatne rękawiczki i rzuciła wypchaną torbę, którą zawsze nosiła na ramieniu. Lindsay nastawiła czajnik i w milczeniu przyglądała się przyjaciółce. W zimnym, nieprzyjemnym blasku biurowych świetlówek włosy Gini przybrały srebrzysty odcień, światło wyostrzyło kąty i krawędzie płaszczyzn jej twarzy.

- Jezu Chryste... - mruknęła Gini, ani na moment nie przerywając przechadzki. - Nie wytrzymam tego dłużej... To miejsce, ludzie, którzy tutaj pracują...

Lindsay nadal milczała. Gini nie zwracała na nią najmniejszej uwagi, a Lindsay nigdy nie widziała, aby jej przyjaciółka zachowywała się w taki sposób. Zwykle była chłodna i opanowana, Lindsay często zastanawiała się, ile kosztował ją ten spokój. Teraz już wiem, pomyślała.

- Jak ty to znosisz? - Gini odwróciła się do niej na sekundę, lecz zaraz znowu zaczęła przemierzać pokój. - Te idiotyczne spojrzenia, miny, język, podteksty, wzajemne poklepywanie się po ramieniu przy kserokopiarce, przyjmowanie poleceń od takich kretynów jak Nicholas Jenkins... Nigdy, nigdy nie możesz powiedzieć, co naprawdę myślisz, bo jesteś kobietą, co znaczy, że musisz bez przerwy mieć się na baczności, nie wolno ci stracić panowania nad sobą, nie wolno ci być szczerą... Czy przynajmniej raz na jakiś czas nie masz ochoty powiedzieć im, co o nich myślisz, i nie

przejmować się, że uznają cię za histeryczkę, która cierpi na zespół napięcia przedmiesiączkowego, albo za wściekłą feministkę? Nie masz ochoty przestać grać, udawać, chociaż na trochę?

W gabinecie zapanowała cisza. Lindsay zrobiła kawę i postawiła kubki na biurku. Gini nadal chodziła. Nagle gwałtownym ruchem zdarła gumkę, ściągając włosy z tyłu, i uwolniła je. Lindsay nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Gini czuje się tu jak w klatce.

- Mam swoją własną działkę - odezwała się Lindsay. - To kobieca dziedzina, więc jestem bezpieczna. Faceci nie wtrącają się w to, co robię, a jeśli próbują, zawsze mogę im powiedzieć, żeby się odpieprzyli. Nie mają mi tego za złe, ponieważ temat mody jako taki nie stanowi dla nich zagrożenia.

- O, Boże, Boże... - Gini uderzyła otwartymi dłońmi w blat biurka. - Czasami mam ochotę wysadzić całe to gówno w powietrze...

- Co się stało? No, dalej, jeżeli tak zależy ci na szczerości, to wreszcie powiedz, o co chodzi!

- O co chodzi? O Jenkinsa! Nienawidzę go, gardzę nim, nie trawię faceta! I gardzę sobą za to, że dla niego pracuję. Powinam była odejść kilka miesięcy temu, ale nie zrobiłam tego. Nie trzeba było słuchać tych jego kłamliwych obietnic! W przyszłym miesiącu, Gini, może w przyszłym miesiącu wyślemy cię zagranicę... - Szpetnie wykrzywiła twarz, naśladując Jenkinsa. - A na razie zajmij się tą bardzo ważną sprawą... Chodzi o seks przez telefon, temat ogromnej wagi...

- No, dobrze... - Lindsay zapaliła papierosa.

Nie chciało jej się wierzyć, że Gini, chłodna i opanowana Gini, która nigdy nie traci cierpliwości i nie wybucha, zachowuje się tak z powodu Jenkinsa.

- Dobrze... - powtórzyła. - Rozumiem, w czym rzecz. Co jeszcze?

- Co jeszcze?! Co jeszcze?! Na przykład ci cholerni podglądacze, z zapartym tchem oglądający zdjęcia Soni Swan! Hej, Gini, gorące fotki, co nie? Robi mi się niedobrze, chce mi się rzygać! Żaden z nich nie ma dość cywilnej odwagi, żeby zapytać Jenkinsa, dlaczego w ogóle puszcza takie gówno w naszej gazecie! Kogo obchodzi, czy Sonia Swan pieprzy się z całym francuskim rządem, czy tylko z jednym ministrem?! Kogo to obchodzi, na miłość boską? - Wzięła głęboki oddech i spojrzała



Lindsay prosto w oczy. - Oni nie mają odwagi, ale ja także nie, rozumiesz? Sama mogłam powiedzieć to Jenkinsowi. Przed chwilą byłam w jego gabinecie, miałam szansę, ale wolałam trzymać buzię na kłódkę. Dlaczego? Czy dlatego, że się go boję? - Przerwała i potrząsnęła głową. - Nie, sęk nie w tym, że się go boję, lecz w tym, że właśnie teraz pracuję nad tematem, na którym mi zależy i nie chcę ryzykować, więc zgodnie przytakuję. Tak, Nicholas, nie, Nicholas... Nienawidzę samej siebie.

- I co jeszcze? - drażzyła nieustępliwie Lindsay.

Gini się zawahała, straciła rozpęd. Lindsay obserwowała, jak przyjaciółka stacza ze sobą krótką walkę.

- Chodzi o Pascala Lamartine - odparła Gini po dłuższej chwili. - Przede wszystkim o niego. To on zrobił te zdjęcia Soni Swan, a ja nie potrafię się z tym pogodzić. Nie potrafię.

- Dlaczego? - zapytała Lindsay, chociaż znała już odpowiedź.

Wyczytała ją w płonących oczach Gini, w wyrazie jej twarzy.

- Dlaczego? Bo jest za dobry na coś takiego. Sama wiesz, jakie zdjęcia kiedyś robił, a teraz nurza się w tym bagnie... Widzę, że to go niszczy, że jest to jego własny sposób na popełnienie samobójstwa i nie mogę na to patrzeć...

Gini przycisnęła dłonie do serca. Potem wykonała dziwny, gwałtowny i gniewny gest, jakby wypuszczała coś z rąk. Poruszyła głową i jej niesamowite włosy załśniły błękitnobiałym światłem. Lindsay odczekała jedną chwilę, drugą. Gini spojrzała na nią i szybko odwróciła wzrok. Lindsay westchnęła.

- Teraz powiedz mi, kiedy to było - poprosiła cicho.

Spodziewała się, że Gini w ogóle nie odpowie, albo, jeżeli nawet się przyzna, powie, że stało się to w ubiegłym roku lub parę miesięcy wcześniej. Myliła się.

- Dwanaście lat temu - odparła Gini.

- Dwanaście lat? - Lindsay o mało nie otworzyła ust ze zdziwienia. Nie przypominała sobie, aby Gini kiedykolwiek choćby przelotnie wspomniała o Pascalu Lamartine. - Dwanaście?! Więc miałaś wtedy piętnaście lat?!

- Tak, ale on o tym nie wiedział. Okłamałam go, udawałam starszą.

- Gdzie się poznaliście?

- W Bejrucie.

- I jak długo to trwało?

- Trzy tygodnie.

- Trzy tygodnie... To wszystko? Gini rzuciła jej gniewne spojrzenie.

- To wystarczyło. Możesz mi wierzyć, że czas nie ma w tym wypadku znaczenia. On nadal jest tutaj. - Gini przycisnęła dłonie do piersi. - W moim sercu i w głowie. Nie mogę się go pozbyć, nie mogę...

Lindsay się zamyśliła. Była dziesięć lat starsza od Gini i nagle uświadomiła sobie, jak wiele je dzieli.

- Co się wydarzyło? - zapytała łagodniej.

Jak jej to wytłumaczyć, pomyślała. Jak wyperswadować uczucie komuś, kto tak mocno kocha...

- Co się wydarzyło? - Gini uśmiechnęła się ironicznie. - Zjawił się mój ojciec. Dowiedział się o nas i...

Odwróciła się, z tłumioną wściekłością odrzuciła włosy do tyłu.

- I tyle? - dokończyła Lindsay. - Przestaliście się widywać?

- Tak. Potem nie było już nic. Kiedyś spotkałam go przypadkiem w Paryżu, ale tylko raz. Nie kontaktowaliśmy się aż do tego tygodnia...

- Czy było to milczenie, które dużo mówi?

- Z mojej strony tak, z jego nie. Ożenił się, urodziło mu się dziecko, rozwiódł się...

- Odezwał się do ciebie po rozwodzie?

- Nie.

- A liczyłaś na to?

- Tak... - Gini dumnie uniosła głowę.

W pokoju zapanowała długa cisza. Światłówki mrugały, deszcz smagał szyby. Ulicą w dole przejechała ciężarówka, gdzieś za drzwiami zadzwonił telefon.

- Trzy tygodnie, a potem dwanaście lat milczenia? - odezwała się Lindsay. - Chcesz, żeby cię zranił? Znowu?

- Nie. Chcę, żeby Bóg wtrącił się w to, co nas łączy i wszystko wyprostował - odpowiedziała cicho Gini. - Jeżeli się nie wtrąci i jeżeli będę miała wybór - albo coś się stanie i będę cierpiała, albo nic się nie stanie i nie ucierpię - to chyba zaryzykuję i

zdecyduję się na cierpienie. Wolałabym, żeby mnie bolało, niż żebym znowu nie czuła kompletnie nic...

- Niezbyt rozsądne wyjście...

- Rozsądne? - Twarz Gini ściągnął ostry spazm. - Nie wiem już nawet, co to znaczy. Rozsądek nie należy do tego równania. Nie mogę traktować tego rozsądnie, mierzyć, liczyć i tak dalej...

- Więc powiedz mi. - W głosie Lindsay zabrzmiała ostra nuta.

- Nie, w żadnym razie. Na to nie mogę sobie pozwolić. Nie wiesz, jaki on jest. Niedawno przeżył koszmarny rozwód, nie trzeba mu teraz następnych problemów.

- Co za bzdury! - Lindsay niespodziewanie dla samej siebie straciła współczucie i cierpliwość. - Moim zdaniem to drań pierwszej klasy!

Zapadła cisza. Gini zbladła.

- Dlaczego tak mówisz? Dlaczego?

- Daj spokój, doróżnij wreszcie! Trzy tygodnie w ogarniętym wojną Bejrucie i dwanaście lat bez słowa? Przecież to oczywisty dowód obojętności! Wykorzystania i obojętności!

- Mylisz się, bardzo się mylisz. Było zupełnie inaczej. Pascal nie był wtedy i teraz też nie jest draniem...

- Jesteś pewna? - zagadnęła spokojnie Lindsay. - A może sama piszesz ten scenariusz?

Znowu milczenie, tym razem krótsze. Potem Gini odwróciła się i zaczęła się ubierać. Włożyła płaszcz, rękawiczki, szalik, chwyciła torbę. Lindsay milczała. Gini przystanąła przy drzwiach, z twarzą ściągniętą smutkiem.

- Lindsay?

- Tak?

- Przepraszam cię. Nie powinnam była zwałać ci tego wszystkiego na głowę. Ja... Nigdy dotąd z nikim o tym nie rozmawiałam.

- Domyśliłam się tego.

- Nie powiesz nikomu? Obiecujesz? Lindsay pokręciła głową.

- Przecież wiesz...

Gini wiedziała i w gruncie rzeczy nie potrzebowała zapewnień. Znowu zawahała się i zrobiła krótki, błagalny gest.

- Powiedziałaś, że to była obojętność... Naprawdę tak myślisz?

Lindsay westchnęła. Potem wstała i obie uściskały się mocno.

- Chyba rozumiesz, że nie mogę wydawać sądów - rzekła. - Osoby, które widzą sytuację tylko z zewnątrz nigdy nie powinny tego robić. Ja tylko czytam z faktów i muszę przyznać, że nie wyglądają dobrze. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że jest inaczej.

- Najprawdopodobniej masz rację. - Twarz Gini przybrała obojętny, spokojny wyraz. - W gruncie rzeczy zawsze wiedziałam, że tak było... Dwanaście lat bez słowa... Próbowałam sobie z tym poradzić i mało brakowało, a udałoby mi się, naprawdę. Już prawie przestałam o tym myśleć. Wszystko pękło we mnie tylko dlatego, że zjawił się tak nieoczekiwanie, bez uprzedzenia. Przeszłość wróciła...

- Musisz pamiętać, że to przeszłość, nic więcej.

- Tak... Tyle tylko, że ja jestem jego przeszłością, a on częścią mojej...

Lindsay zaczęła protestować i Gini się otrząsnęła.

- Masz rację, oczywiście - powiedziała z uśmiechem. - Najwyższy czas, żebym dorosła. Dziękuję ci... Dobrej zabawy na Martynice, oto, czego ci życzę.

Kilka minut później Gini wyszła z redakcji, zabierając ze sobą katalogi wydane przez agencje modelek, które jakimś cudem udało jej się upchnąć w torbie.

Było już po czwartej. Padał deszcz ze śniegiem i na ulicach było ślisko. Gini doszła do wniosku, że jeśli się pośpieszy, dotrze do City i do siedziby ICD, zanim Susannah skończy dyżur. Może kobieta, która przyniosła paczki, istotnie była modelką, wynajętą przez kogoś do wykonania tej niecodziennej pracy.

Niewykluczone, że Susannah rozpozna jej twarz w którymś z katalogów.

Warto spróbować, pomyślała Gini. Chętnie wróciłaby do Pascala z nowymi informacjami, może zdołaliby ułożyć jakiś fragment układanki...

Przystanąła nagle, na środku ulicy. Wróciłaby do Pascala... Dlaczego pozwoliła sobie na taką myśl? Miała wrócić do domu, do swojego mieszkania, w którym może czekał Pascal, ale nie do Pascala... Nie wolno o tym zapominać...

Chwilę stała bez ruchu, nie zważając na deszcz. Przez cały czas rozmowy z Lindsay wiedziała, że przyjaciółka ma słuszność, że udziela jej rozsądnych, dobrych rad. Jej umysł nie wątpił w to, natomiast serce tak. Kochałam go, powiedziała sobie. Powtarzała te słowa raz po raz, aż stały się refrenem, pozbawionym sensu zdaniem, opisem złudzenia piętnastoletniej dziewczyny, złudzenia, które powinna była odrzucić już przed wieloma laty.

Upewniwszy się, że widzi w tej iluzji głupotę i godną pogardy naiwność, znowu ruszyła przed siebie. Taksówek nie było, w autobusach kłębiły się tłumy. Przeszła pieszo całą drogę do City i kiedy znalazła się na moście Tower, wreszcie pozbyła się iluzji, rzuciła ją w szare wody Tamizy niczym namacalny, fizyczny byt. Poczła się lekka, odciążona, lecz jednocześnie pusta i nierzeczywista. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że dopuściła się jakiejś nieokreślonej zdrady, ale szybko odzyskała równowagę. Jej serce ścisnął ostry ból.

### XIII

Siostra Jamesa McMullena miała na imię Katherine lub, jak zawsze utrzymywała, Kate. Mieszkała w małym dwupiętrowym domku przy Chester Row w dzielnicy Belgravia, wynajmowanym za duże pieniądze od gminy Westminster. Dom wyglądał bardzo skromnie, lecz znajdował się w ekskluzywnej dzielnicy i właśnie na tym polegała ekstrawagancja. Kate podpisała umowę najmu dwanaście lat wcześniej, kiedy była młodsza, ładniejsza i dość popularna. Wtedy wszyscy ją znali, głównie dzięki roli w serialu telewizyjnym, wyświetlanym dwa razy w tygodniu, w najlepszym czasie antenowym.

Niestety, sześć miesięcy po wynajęciu domu producent serialu rzucił Kate dla młodszej aktoreczki, a dwa miesiące później grana przez nią bohaterka zaczęła żreć pigułki i w ciągu kilku tygodni kopnęła w kalendarz.

Jej kariera także kopnęła w kalendarz. Ta myśl co jakiś czas pojawiała się w głowie Kate, lecz ona odsuwała ją ze zniecierpliwieniem lub topiła w wódce z tonikiem. Powtarzała sobie, że telewizja przeżuwa aktorów i wypluwa ich zwłoki, ale ona nigdy się nie podda. I rzeczywiście, czasami trafiała jej się jakaś praca. Poza tym

była pewna, że lada tydzień, lada dzień otrzyma scenariusz i propozycję idealnej dla niej roli, która uczyni ją sławną.

Tak czy inaczej, ponuro myślała Kate, wracając na Chester Row po nieudanej próbie zdobycia roli w telewizyjnej reklamie proszku do prania, tak czy inaczej, ten milutki domek dla lalek kosztuje zdecydowanie za dużo. Dobrze chociaż, że pomaga podtrzymywać pozory, a pozory mają ogromne znaczenie w show-biznesie. Co prawda niekoniecznie, bo choć Kate dołożyła wszelkich starań, aby zrobić dobre wrażenie na producentach proszku, mimo wszystko nic z tego nie wyszło... A teraz, na domiar złego, zaczęło padać. Przystanąła, żeby skarcić niebo wściekłym spojrzeniem i zaraz przyspieszyła kroku, ponieważ stąd widziała już swój dom. Nagle znowu przystanąła.

Przed jej drzwiami stał mężczyzna, nieprawdopodobnie przystojny. Był wysoki, miał ciemne, niezbyt krótko ostrzyżone włosy i modny zarost, długie nogi, wąskie biodra, dopasowane czarne dżinsy, czarny sweter i czarną skórzaną kurtkę. Wyglądał na niebezpiecznego faceta o zmiennych, burzliwych nastrojach, w typie francuskiego amanta filmowego. I na takiego, który wspaniale się kocha, a potem pali w łóżku gauloise'a, czyli na kogoś, kto sprawia problemy przez duże „P”. Właśnie taki facet dzwonił do jej drzwi... Kate ruszyła przed siebie szybko, prawie biegiem. Wszystko wskazywało na to, że w jej życiu lada chwila miał nastąpić pozytywny zwrot.

Dotarła do drzwi zdyszana i odrobinę spocona. Nieznajomy spojrzał na nią z wysokości prawie dwóch metrów. Miał cudowne, ciemnoszare oczy i wspaniałe uśmiech. Kiedy się odezwał, okazało się, że mówi z akcentem, od którego ugięły się pod nią kolana.

- Katherine, prawda? - powiedział. - Jestem przyjacielem twojego brata, Jamesa.

Katherine miała w nosie, kim jest ten przystojniak. Jeśli o nią chodzi, równie dobrze mógł być zaprzysięgłym wrogiem Jamesa.

- Na imię mi Francois - dodał. - Francois Leduc.

- Och, oczywiście... - Ani imię, ani nazwisko kompletnie nic jej nie mówiło.

Uśmiechnęła się promiennie. - James zawsze o tobie opowiada... Boże, co za ulewa! Wejdz, proszę... Napijemy się czegoś.

- Może być wódka albo wódka. - Kate McMullen się roześmiała. - Wybieraj!

Pascal uprzejmie skinął głową.

- Doskonale - powiedział.

Rozejrzał się po zagraconym i nieszczególnie czystym salonie. Wszędzie stały brudne szklanki i kieliszki, sofa przykryta była szalami z cienkiej bawełny, na stoliku do kawy leżały scenariusze, a w powietrzu unosił się zapach kadzidełek lub marihuany. Atmosfera końca lat sześćdziesiątych, pomyślał.

Był trochę zaskoczony, że Katherine tak łatwo wpuściła go do domu, lecz ona najwyraźniej nie miała żadnych wątpliwości, czy dobrze zrobiła. Szukała teraz czystych szklanek.

Była wysoką kobietą z nadwagą, ze śladami urody, która zgasła jakiś czas temu, na pewno przed czterdziestką. Miała długie gęste włosy, farbowane henną i związane szalem w hipisowskim stylu, mnóstwo brzęczących bransoletek, nazbyt rzucający się w oczy makijaż i szeroką, wielowarstwową suknię, na którą narzuciła haftowany płaszcz z afgańskiej wełny. Taki strój wyszedł z mody jakieś dwadzieścia lat wcześniej, lecz Katherine najwyraźniej tego nie zauważyła. Wykonała szeroki gest dłonią - ciemny lakier na paznokciach był popękany - i pomachała butelką wódki.

- Siadaj, siadaj! - zachęciła. - O, Jezu, zabrakło mi toniku! Napijesz się czystej?

Pascal powiedział, że nie ma nic przeciwko czystej wódce.

- Dziękuję, Katherine - dodał.

- Kate! - zawołała dramatycznie, zrzucając płaszcz. - Kate, nie Katherine, błagam!

- Mam nadzieję, że w niczym ci nie przeszkodziłem...

- Nie, skądże, wręcz przeciwnie! Mam za sobą fatalny dzień z nieudanym przesłuchaniem do roli. Przyda mi się przyjemna rozmowa na poprawę humoru.

- No, tak, naturalnie... James mówił mi, że jesteś aktorką.

- Myślałam, że uda mi się z tą durną, żalną reklamą proszku. Dwie głupie cipy rozmawiają o praniu, wielkie mi rzeczy! Tymczasem ten mały szympan z agencji, kompletny szczeniak, z gębą w trądziku, mówi mi, że nie mam odpowiedniej aparycji i dobrego akcentu! Niewłaściwy akcent, wyobrażasz sobie?! - Ze złością machnęła ręką. - Słuchaj, kochasiu, umiem mówić z dowolnym akcentem, powiedzia-



łam mu. Jestem aktorką, kapujesz? Potrafię gadać tak jak Irlandczycy, mieszkańcy Liverpoolu, Londynu, Manchesteru, jak Amerykanie, Australijczycy, nawet Walijczycy, do wyboru, do koloru...

Postawiła przed Pascalem szklanę pełną czystej wódki. Pascal uśmiechnął się zachęcająco, zaczekał, aż Kate usiądzie i dopiero wtedy sam zajął miejsce na sofie.

Kwestia akcentów językowych odgrywa w tej sprawie niemałą rolę, pomyślał. Najpierw jakaś Angielka dzwoni do biura ICD, potem Amerykanka przynosi paczki... Ciekawe. Musi pamiętać, aby powiedzieć Gini, że Kate McMullen podobno umie mówić z dowolnie wybranym akcentem.

- Musisz mi wybaczyć, że zjawiłem się bez uprzedzenia - rzekł z wystudiowaną uprzejmością. - Miałem nadzieję zobaczyć się z Jamesem w czasie pobytu w Londynie i przyszło mi do głowy, że mogłabyś podpowiedzieć mi, gdzie go szukać. Dzwoniłem do kilku naszych wspólnych znajomych, ale nikt nie wie, co się z nim dzieje.

- Ach, James... - Kate rzuciła mu nadąsane spojrzenie, zupełnie jakby to wyjaśnienie ją znudziło. - Ja też chciałabym wiedzieć, gdzie jest. Szczerze mówiąc, jestem na niego wściekła. Obiecał, że postara się wrócić przed Bożym Narodzeniem, bo na święta zawsze jeździmy do rodziców, starzeją się, wiesz, jak to jest. Tymczasem James zlekceważył mnie i staruszków. Zgadnij, kto musiał pomagać w nadziewaniu indyka i wyprowadzał te cholerne psy... Shropshire w grudniu z pewnością nie jest miejscem, o jakim marzę.

- Obiecał, że wróci na święta? - Pascal przechylił się nad stołem, żeby podsunąć jej zapalniczkę. - Więc widziałaś się z nim niedawno?

- Widziałam się z nim? Chyba żartujesz! Nie widziałam się z nim od lata, był zbyt zajęty, żeby poświęcić trochę czasu własnej siostrze. Wiecznie się spieszy, goni Bóg wie za czym... Nie, James dzwonił do mnie. Powiedział, że jedzie na narty z kumplem, ale szybko się okazało, że mnie okłamał, bo dwa dni po tej rozmowie natknęłam się na tego jego nudnego znajomego na jakiejś imprezie - biedak ostatni raz rozmawiał z moim pieprzonym bratem kilka miesięcy wcześniej...

- To dziwne... Może James zmienił plany i wyjechał z innym przyjacielem...

- Z innym przyjacielem? - Kate wymownie przewróciła oczami. - Chyba nie znasz Jamesa zbyt dobrze! On nie ma prawie żadnych przyjaciół, ostatnio stał się prawdziwym odludkiem.

- Ale dzwonił, tak? Kiedy to było?

- Och, Boże, nie pamiętam! Zaraz, zaraz... Na pewno przed świętami i chyba niedługo przed, skoro wybierał się na narty... Powiedziałam mu, że to przesada i wtedy obiecał, że wróci. Miał jechać tylko na parę dni. Musiało to być dziewiętnastego lub dwudziestego grudnia, tak... Nie, nie dziewiętnastego, dwudziestego! Przypomniałam sobie, bo właśnie dwudziestego mój pieprzony agent zaprosił mnie na obiad, co nigdy mu się nie zdarza. Wróciłam do domu i wtedy zadzwonił James...

Przerwała i rzuciła Pascalowi spojrzenie, które wzbudziło w nim lekki niepokój. Pochyliła się do przodu, odsłaniając głęboki dekolt.

- Jeszcze wódeczki? - zagadnęła. - Nie? Ja sobie trochę doleję...

- Więc nie zdążył wrócić na święta? - upewnił się Pascal.

- Nie. Ani na Boże Narodzenie, ani na Nowy Rok, w dodatku nawet nie zadzwonił. Tata był bardzo rozgoryczony, a mama płakała w pudding. Nasłuchałam się o niewdzięczności dzieci za wszystkie czasy. Wydaje mi się, że tata machnął już ręką na Jamesa. Kiedy braciszek służył w wojsku, ojciec był z niego mniej więcej zadowolony, ale gdy odszedł...

- Właśnie wtedy poznałem Jamesa - oświadczył Pascal. - W tamtym okresie, na manewrach NATO... Dokonał pośpiesznej kalkulacji, mając w pamięci datę na zdjęciu, które dostali od Jenkinsa. - W 1968 roku albo coś koło tego...

Chwilę się zastanawiał, czy siostra McMullena może wiedzieć, że udział Francuza w ćwiczeniach NATO był mało prawdopodobny, ale Kate nie zdradzała zainteresowania okolicznościami, w jakich Pascal poznał jej brata. Wszystko wskazywało na to, że należała do kobiet, które śmiertelnie się nudzą, kiedy rozmowa nie koncentruje się na nich.

- Naprawdę? - powiedziała, dolewając sobie wódki. - Niedługo potem James odszedł z armii, ale w 1968 był jeszcze złotym chłopcem, oczkiem w głowie tatusia, kandydatem na generała i tak dalej. Osobiście uważam, że to wszystko bzdury - honor, królowa i ojczyzna, cała ta antyczna propaganda... James zawsze lubił ten styl.

Powinien żyć w epoce rozkwitu imperium, to by mu się podobało. No, ale dosyć o Jamesie - lepiej opowiedz mi o sobie.

Pascal dyskretnie zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia, za oknem było już prawie ciemno. Będzie musiał się pospieszyć. Zanurzył usta w wódce, starając się pociągnąć jak najmniejszy łyk.

- Myślisz, że James rzeczywiście pojechał na narty? - odezwał się. - Może nadal siedzi gdzieś w górach...

Powrót do tego tematu rozdrażnił Kate. Wzruszyła ramionami.

- Kto to może wiedzieć... Prawdopodobnie pojechał. Może faktycznie zmienił plany w ostatniej chwili i pojechał z kimś innym. Tak czy inaczej, na pewno wybrał się do Włoch, bo tam zwykle jeździ na nartach. Całkiem niewykluczone, że zostanie na dłużej, bo ma prawdziwego kręcka na punkcie Włoch, zawsze lubił tam jeździć, zwłaszcza poza sezonem turystycznym. Może być we Florencji, Wenecji, Rzymie, Sienie... James uwielbia te sentymentalne podróże chyba dlatego, że przez całe dzieciństwo bez przerwy włóczyliśmy się po tych cholernych włoskich muzeach. Każde wakacje spędzaliśmy, gapiąc się na pieprzone obrazy, bo nasz tatuś zbierał materiały do następnej książki. Kurwa mać! - Rozlała trochę wódki na suknię. Bez przekonania wytarła plamę serwetką i znowu rzuciła Pascalowi dziwne spojrzenie. - Tata jest historykiem sztuki, cholernym ekspertem od Tycjana i Tintoretta. James pewnie ci o tym mówił?

Zmiana tonu z przyjacielskiego na wyraźnie wrogi nastąpiła w ułamku sekundy. Pascal, który wiele razy miał do czynienia z alkoholikami, był przyzwyczajony do takich zachowań.

- Tak, oczywiście - przytaknął łagodnie.

- Więc prawdopodobnie właśnie tam siedzi. - Skrzywiła się. - Albo jeździ na nartach, albo chłonie kulturę. James nie musi się niczym przejmować, dostał forszę po babci. On nie musi się podlizywać obrzydliwym agentom... Nie musi harować, żeby utrzymać się na powierzchni. James jest bogaty.

- Cóż, będę się już zbierał... - Pascal podniósł się powoli. - Chyba jednak nie zobaczę się z Jamesem... Przyjechałem tylko na parę dni, więc...

- Na parę dni? - Kate z pewnym trudem skupiła spojrzenie na jego twarzy, roześmiała się i wypiła do dna. - Trudno... Jak pech, to pech... *Salut!*

Pascal zrobił krok w kierunku drzwi i przystanął.

- Zastanawiam się... - zaczął niepewnym tonem. - Nie przychodzi ci do głowy, kto jeszcze mógłby wiedzieć, gdzie jest James?

- A z kim rozmawiałeś?

- Z paroma osobami - Pascal wymienił nazwiska, które w czasie porannej rozmowy podał mu Jenkins.

Kate McMullen wzruszyła ramionami.

- Jezu, strasznie uparty z ciebie facet! - mruknęła. - To chyba wszyscy... Kto jeszcze? Och, jest taki gość, nazywa się Nicholas Jenkins. Ohydna ropucha... Chodził z Jamesem do szkoły i może czasami się spotykają, chociaż nie sądzę...

- Nicholas Jenkins - powtórzył Pascal z powagą.

- Pracuje w redakcji „News”. No i mógłbyś jeszcze spróbować złapać Jeremy'ego Prior-Kenta. On i James studiowali razem w Christ Church. Jeremy to też niezły dupek. Robi reklamy telewizyjne, ale oczywiście nigdy nie zaświtało mu w głowie, żeby dać mi rolę...

- Dzwoniłem do niego - powiedział Pascal. - Wyjechał, wróci dopiero w przyszłym tygodniu... - Zawiesił głos i uważnie przyjrzał się siostrze McMullena. Kate mówiła w coraz bardziej bełkotliwy sposób, więc doszedł do wniosku, że warto zaryzykować. - James wspominał kiedyś o bliskiej przyjaciółce, chyba Amerykance...

- O Lise? Ukochanej Lise? - Kate wstała i parsknęła śmiechem. - Jasne, spróbuj skontaktować się z Lise Hawthorne, koniecznie! Życzę szczęścia...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Lise Hawthorne to potwornie głupia suka, w każdym razie ja tak uważam, ale nie znam jej za dobrze, więc mogę się mylić. Po prostu mam uczulenie na słodkie kobieciątka, które zawsze marnują życie facetom. Ale oczywiście porozmawiaj z nią, jeśli zdołasz się przebić przez trzydzieści pięć sekretarek... Niewykluczone, że Lise wie, co się z nim dzieje, chociaż ze względu na jego dobro lepiej by było, gdyby nie wiedziała...

- Dlaczego? - zapytał Pascal.

W tej samej chwili zorientował się, że zadał o jedno pytanie za dużo. Kate McMullen zachwiała się, zatoczyła, oparła o krzesło. Bardzo ostrożnie odstawiła szklankę i spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- O co ci chodzi? Kim ty właściwie jesteś?

- Przyjacielem twojego brata, mówiłem ci. Jestem przejazdem w Londynie, więc chciałem się z nim spotkać...

- Akurat, kurwa mać! Zadajesz mnóstwo pytań, koleś. James to, James tamto... Co to ma być, przesłuchanie?

- Lepiej już sobie pójść. - Pascal otworzył drzwi.

- Kumpel z wojska, też mi coś... Mówisz, że poznałeś Jamesa w wojsku, na ćwiczeniach, tak? Dziwne, bo nie wyglądasz mi na żołnierza, a tym bardziej na oficera... Masz za długie włosy, kurwa...

- Tym niemniej byłem oficerem. - Pascal wykonał uprzejmy ukłon. - Druga dywizja spadochronowa, kapitan Leduc... Odszedłem z wojska, podobnie jak twój brat.

Kate McMullen wcale go nie słuchała. Znowu się zachwiała i z trudem odzyskała równowagę.

- Tamten mówił to samo... - wymamrotała. - Też przedstawił się jako kumpel z wojska... Jezu Chryste, czy to jakiś żart? Może przyjdzie tu cały pieprzony pluton, co? Najpierw amerykański oficer, teraz Francuz... Kto jeszcze? Czerwoni Khmerowie, Legia Cudzoziemska? Co się tu dzieje, do kurwy nędzy? Dlaczego James nagle stał się tak cholernie popularny?

Pascal odwrócił się gwałtownie.

- Amerykanin? Szukał twojego brata? Kiedy?

- W samą Wigilię, cholera jasna! Wyjeżdżałam wtedy do Shropshire... - Kate wzięła głęboki oddech i osunęła się na sofę. - Do diabła z tym wszystkim... To wcale nie jest śmieszne. Spieprzaj, koleś.

- Przykro mi, że...

Kate McMullen rzuciła szklanką w przeciwległą ścianę, nieomal trafiając w głowę Pascala.

- Spierdalaj! - Rzuciła mu wściekle spojrzenie. - Kto wykombinował ten dowcip? Bawicie się moim kosztem, tak? Ale mnie to nie bawi, kapujesz? Och, już rozumiem... - Chwiejnie dźwignęła się na nogi. - To zakład, tak? Zakład między braćmi oficerami... Pieprzę was wszystkich! I kto wygrał? No, powiedz mi, kto wygrał?

Pascal próbował się odezwać, lecz Kate natychmiast mu przerwała.

- Lepiej nie kłam! Wyobrażam sobie, jak się umówiliście - wygrywa ten, który pierwszy mnie zaliczy, co? Skurwysyny! Powiem wszystko Jamesowi, zobaczycie... - przerwała, z trudem dotarła do barku i dołała sobie wódki. - Jeszcze tu jesteś? Spierdalaj, przecież mówiłam! Wołałam Amerykanina. Wyglądał jak dupek, ale przynajmniej zaprosił mnie na drinka.

W mieście zaczęły tworzyć się korki, wilgotne powietrze było gęste od spalin. Pascal mozolnie przebijał się między autobusami i ciężarówkami. Zatrzymał się na światłach przy dworcu King's Cross i spojrzał na zegarek. Czwarta. U Gini będzie za dziesięć minut. Miał jej dużo do powiedzenia, nie mógł się już doczekać, kiedy spokojnie porozmawiają. Powinna być w domu, było już dość późno.

Niestety, okazało się, że zaraz za dworcem samochody stoją zderzak w zderzak. Wszędzie kręciła się policja, wyły syreny, błyskały niebieskie światła. Wypadek czy zamach bombowy IRA? Serce Pascala ścisnęło lęk. A jeżeli znowu zdetonowali bombę na stacji metra? Może Gini postanowiła wrócić do domu metrem, żeby było szybciej...

Uniósł się na siodelku i spojrzał przed siebie. Ze stacji metra wylewał się potok ludzi, policja odsuwała ich na chodnik po jednej stronie ulicy. Niepokój Pascala rósł z każdą chwilą. Na następnym skrzyżowaniu udało mu się skrócić w boczną uliczkę. Przyspieszył. Wyrwał się z korka w ostatniej chwili, ponieważ policja już ustawiała płotki, i popędził w kierunku Islington. Znowu przyspieszył, z trudem wyminął nieuważnego pieszego, który niespodziewanie wbiegł na jezdnię, zjechał na bok, klnąc na czym świat stoi. Dwadzieścia po czwartej był na Gibson Square. Zahamował, zaparkował motocykl i stanął pod domem Gini.

Okna jej mieszkania były ciemne. Ze ściśniętym gardłem zbiegł po schodkach do sutereny. W ciemności znalazł schowany pod doniczką klucz, przekręcił go w zamku i pchnął drzwi.

Wszedł do salonu, zapalił światło i zawołał jej imię, z nadzieją, że może jednak wróciła. Potem rozejrzał się po pokoju i stanął jak wryty.

Nagle ogarnął go gniew. Tego już za wiele - pomyślał. Mieszkanie Gini odwiedzili nieproszeni goście, którzy zostawili na biurku coś w rodzaju dużej, niezwyklej wizytówki.

Kiedy Gini wysiadła z metra na stacji Angel, była godzina szósta. Chodnikami sunął tłum urzędników, którzy niedawno skończyli pracę i teraz wracali do domu, z oddali dobiegało wycie syren. Przez skrzyżowanie przemknęły na czerwonym świetle dwie karetki pogotowia. Nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w domu i opowie Pascalowi o swoim sukcesie. Gdy była niedaleko Gibson Square, zaczęła biec. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy, był motocykl Pascala. Serce Gini podskoczyło z radości. Zbiegła po schodach. Zastony były zasunięte, ale w mieszkaniu paliło się światło. Jak to dobrze, pomyślała. Jak to dobrze, że przynajmniej dziś nie wracam do ciemnego, cichego domu...

Jeszcze zanim otworzyła drzwi, zawołała Pascala, pragnąc jak najszybciej podzielić się z nim świeżo zdobytymi informacjami.

- Znalazłam ją! Znalazłam kobietę, która przyniosła paczki do ICD! Wiem, kim ona jest...

Dwoma krokami pokonała malutki korytarzyk, otworzyła drzwi do salonu i zamarła. Wydała cichy okrzyk i z niedowierzaniem rozejrzała się dookoła. Ktoś włamał się do jej mieszkania i dokonał tu dzieła zniszczenia...

Na środku pokoju stał Pascal. Odwrócił się do niej, ukazując pobladłą twarz. Powietrze w salonie dosłownie iskrzyło od napięcia. Gini zderzyła się z nim jak z fizyczną przeszkodą. W następnej sekundzie Pascal był przy niej, obejmował ją i tulił do piersi.

- Gini, Gini... - powtarzał. - Bogu niech będą dzięki...

Nadal miał na sobie mokrą kurtkę i Gini czuła pod policzkiem śliską od wody skórę, pod którą mocno biło jego serce. Zamknęła oczy i przylgnęła do niego z całej siły. W tej samej chwili przeszłość ogarnęła ich wielką falą. Pascal dotykał jej ociekających wodą włosów, trzymał w dłoniach głowę. Zaczął całować czoło, lecz nagle się cofnął.



Ujął jej dłonie i trzymał długo, próbując je ogrzać. Dotknął jej skóry, na wysokiej szpilce. Do środka pantofla wetknięta była pończocha, także czarna, bardzo cienka. Gini drżącymi dłońmi wyjęła obie rzeczy z pudełka i położyła na biurku. Gdy Pascal gwałtownie wciągnął powietrze, Gini ze zdziwieniem przyjrzała się pończosze. W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś złożył ją w jakiś dziwny sposób, lecz zaraz zauważyła to, co Pascal dostrzegł już wcześniej - czarna pończocha była zawiązana tak, że tworzyła coś w rodzaju stryczka.

Krzyknęła cicho. Pascal z kamienną twarzą podniósł but i pończochę, i uważnie je obejrzał. Obie rzeczy robiły wrażenie nowych. Podeszwa pantofla ze skóry była zupełnie czysta. Metki czy choćby nazwy producenta oczywiście nie było.

Odwrócił się do Gini.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział poważnie. - Ja myślę o tym samym.

Najlepiej przymierz go...

Gini zdjęła but, który miała na nodze i wsunęła stopę w miękki pantofel. Poczula ból w podbiciu, ponieważ nigdy nie nosiła tak wysokich obcasów. Mimo tego natychmiast zrozumiała, że jest to jej rozmiar, więcej, że pantofel wręcz idealnie pasuje do długości i układu jej stopy. Zupełnie jak pantofelek Kopciuszka, pomyślała.

- Tego się obawiałem - rzekł Pascal. - Tego się obawiałem...

Gini energicznym kopnięciem zrzuciła pantofel, schyliła się i włożyła swój but.

- Ktoś próbuje mnie zastraszyć - powiedziała, prostując się. - Zniechęć mnie do zajmowania się tą sprawą... Wiem jaki mieli plan. Myśleli, że będę sama, że wrócę do domu, po ciemku i znajdę to... - Zawahała się, bo na jego twarzy pojawił się wyraz, którego nie rozumiała. - Tak to sobie zaplanowali, rozumiesz? Ale pomylili się. Nie jestem sama, ty jesteś ze mną i...

- Nie, to ty się mylisz. Wiedzieli, że tu będę i zostawił wiadomość dla nas obojga.

- Przecież nie mogli tego wiedzieć! Skąd? Niemożliwe!

- Nie mam pojęcia skąd, ale jestem pewny, że wiedzieli. Chodźmy teraz do twojej sypialni. Zaraz zrozumiesz, o czym mówię...

W sypialni, podobnie jak w salonie, panował ohydny bałagan. Wszystkie drzwi szaf oraz szuflady stały otworem, wszędzie leżały porozrzucone ubrania. Od drzwi

pokoju aż do okna wiódł szlak złożony z najbardziej osobistych rzeczy Gini - jej bielizny, nocnych koszul, kosmetyków i biżuterii. Na wierzchu tego wzgóрка, obok drzwi, widniały dwa zdjęcia, które zawsze trzymała przy łóżku - Mary oraz ojca. Srebrne ramki zostały celowo powyginane, szkło zmiążdżone, chyba obcasem ciężkiego buta.

Pascal otoczył Gini ramieniem.

- Postaraj się nie denerwować - powiedział. - Wiem, że to bardzo trudne, ale zrozum, tacy ludzie lubią rozbijać i niszczyć rzeczy, na których nam zależy, ponieważ zadawanie bólu sprawia im przyjemność. Zdarza się to nawet przy zwyczajnych włamaniach, więc nie bądź zaskoczona. Teraz spójrz tam... - Z wahaniem i wyraźną niechęcią wskazał łóżko. - Tamto to tylko przypadkowe szkody, lecz w tym nie ma nic z przypadku...

Gini podążyła spojrzeniem za jego ręką. Z jej gardła wyrwał się zdławiony okrzyk i poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

Ktoś ułożył przedmioty na łóżku tak starannie i celowo, jak malarz składniki martwej natury, którą zamierza utrwalić na płótnie. Na narzucie leżała biała koszula nocna, ta sama, w której Gini spała poprzedniej nocy, a dookoła i na niej ułożono jej relikwie, smutne, utrzymywane w tajemnicy pamiątki przeszłości. Zasuszony kwiat, list od Pascala, łuskę pocisku, menu z hotelu w Bejrucie, egzemplarz *Obcego* Camusa w oryginale. Na samym środku koszuli leżał malutki złoty kolczyk. Gini postąpiła krok do przodu. Kolczyk zamigotał, zaśnił własnym światłem.

Wykonała bezradny gest i wyciągnęła rękę, lecz Pascal zatrzymał ją w pół kroku, gwałtownie, prawie brutalnie.

- Nie rób tego - powiedział ostro. - Nie dotykaj koszuli, proszę... Ja się tym zajmę.

- Co? Dlaczego? Nic nie rozumiem... Objął ją i odciągnął od łóżka.

- Zrobił to mężczyzna - rzekł. - W pewnym momencie... W pewnym momencie podniecił się i posłużył twoją koszulą. Nie patrz na to, dobrze? Chodź stąd...

Gini wyrwała mu się i stanęła tuż przy drzwiach. Skórę miała zimną jak lód i wilgotną. Miała wrażenie, że pokój zaczyna wirować, podłoga zafalowała pod jej stopami. Pascal powiedział coś i próbował wziąć ją za rękę, ale odepchnęła go.

- Nie dotykaj mnie! - syknęła. - Nie dotykaj!

Odwróciła się, wbiegła do łazienki, zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła je na klucz. Ukłękła na białych kafelkach między rozbitymi buteleczkami perfum, kłaczkami waty i kawałkami słoiczków z kosmetykami. Słyszała, jak Pascal dobija się do drzwi i woła ją. Klęczała, pochylona nisko, drżąc. Szklana drzazga rozcięła skórę na jej ręce. Po chwili Pascal przestał stukać do drzwi i przed Gini otworzył się długi, długi korytarz ciszy. Zaraz potem zaczęła gwałtownie wymiotować.

Zapomniała, jaki dobry i łagodny potrafi być Pascal. Zapomniała, a może siłą wyrzuciła z pamięci świadomość, że jego dobroć pełna jest niezwykłej siły. Kiedy wreszcie wyszła z łazienki, wziął ją w ramiona jak dziecko, delikatnie obmył twarz i dłonie, zaprowadził do salonu i posadził przy ogniu. Otulił kocem i kazał siedzieć spokojnie. Potem poszedł do kuchni i przyniósł mocno ciepłą, słodką herbatę oraz odrobinę whisky z wodą.

- Spokojnie, jesteś w szoku - powiedział. - Zaraz wrócę, dobrze? Muszę tu trochę posprzątać.

Słuchała jego kroków, kiedy chodził po sypialni, a następnie po kuchni. Słyszała, jak otwiera prowadzące na podwórko drzwi i wyrzuca coś do pojemnika na śmieci. Do pokoju wdarł się strumień zimnego powietrza. Po chwili wrócił, niosąc w ramionach Napoleona.

- Masz. - Poglaskał kota i położył go na jej kolanach. - Twój kot, mokry, sponiewierany i głodny. Wygląda na to, że cały czas siedział na podwórku. Nalać mu mleka?

Kiwnęła głową i przytuliła Napoleona. Kot najeżył sierść i czujnie popatrzył na nią dużymi, topazowymi oczami. Potem usiadł obok niej i zajął się wylizywaniem mokrego futra. Pascal przyniósł spodeczek z mlekiem i postawił obok sofy. Ukłękł naprzeciwko Gini i ujął jej dłoń.

- Posłuchaj mnie, proszę - rzekł łagodnie, lecz zdecydowanie. - Obiecujesz, że mnie wysłuchasz? I nie będziesz mi przerywać?

Skinęła głową.

- Gdzie trzymałaś te rzeczy... Te z Bejrutu? W sypialni?

- Nie... - Przełknęła ślinę i spuściła oczy. - Miałam je tutaj, w pudełku... W szufladzie biurka.

- Kochanie, nie płacz... Nie płacz, proszę...

Pochylił się i przyciągnął ją do siebie. Gładził jej włosy, spokojnie czekając, aż się wypłacze. Kiedy trochę się uspokoiła, delikatnie odsunął ją od siebie. Gini nie potrafiła powiedzieć, czy żałuje czułego słowa, które wymknęło mu się chyba przypadkiem, czy też nie. Może był to instynkt, a może tylko chciał ją pocieszyć.

- Posłuchaj... - powtórzył, lekko ściskając jej rękę. - Rozumiesz, co to wszystko znaczy, prawda? Ktoś, człowiek, który tu wszedł, lub ten, kto go przysłał, wie o tobie bardzo dużo. Sądzę, że wie o kluczu, nie ulega wątpliwości, że zna twój rozmiar obuwia... - przerwał. - Wie też o Bejrucie..

- Niemożliwe... - Gini z trudem wydobyła głos z wyschniętego gardła. - Nikt nie wie o Bejrucie... Nikt poza tobą, moim ojcem i mną... Nikt...

- A Mary?

- Nie. Nie, nigdy jej nie mówiłam...

- Może powiedział jej twój ojciec?

- Nie. Przysiągł mi, że nie powie ani Mary, ani nikomu innemu. Gdyby powiedział Mary... Ona jest taka uczciwa, taka bezpośrednia... Zorientowałabym się, gdyby wiedziała...

Pascal zmarszczył brwi.

- W takim razie nie jestem w stanie pojąć, jak to się mogło stać. Ja nigdy o tym z nikim nie rozmawiałem, nawet z żoną... Zastanów się, spokojnie... Jesteś pewna, że nikt nie może wiedzieć?

Zawahała się, spuściła wzrok.

- Dzisiaj powiedziałam przyjaciółce z pracy, że znałam cię już wcześniej... Ale nikomu innemu, nigdy, ani słowa... Naprawdę, możesz mi wierzyć. Poza tym to bez znaczenia, bo rozmawiałam z nią po południu, po trzeciej...

- To rzeczywiście bez znaczenia. Byłem tu po czwartej. Istnieje tylko jedna możliwość - twój ojciec... Musiał komuś powiedzieć, chyba że...

Pascal przerwał, ogarnął wzrokiem pokój, spojrzął na biurko.

- Chyba że co?

- Nic, teraz to nieistotne. - Odwrócił się do niej. - Później zastanowimy się, skąd wiedzieli. Weź to...

Na jego otwartej dłoni leżał mały złoty kolczyk.

- Włóż go, dobrze? - poprosił.

- Teraz?

- Tak.

Przyglądał się, jak wkłada kolczyk w ucho, a potem wyciągnął rękę, odgarnął jej włosy i ostrożnie dotknął dłoni.

- Naprawdę myślałaś, że go zgubiłaś?

- Nie. Skłamałam. Wiedziałam, że go mam.

- Dlaczego skłamałaś? - Patrzył na nią niepewnie, wyraźnie skonsternowany. - Dlaczego okłamałaś mnie, czemu wymyśliłaś coś takiego?

- Nie wiem... - Odwróciła wzrok. - Może dlatego, że wygląda to tak beznadziejnie głupio i sentymentalnie... Myślałam, że będziesz mną gardził, kiedy się dowiesz...

- Że ja będę tobą gardził? Niemożliwe, żeby coś takiego naprawdę przyszło ci do głowy...

- Cóż, jednak przyszło.

- Słuchaj, zależy mi, żebyś zrozumiała... - Głos Pascala zabrzmiał twardo, nieustępliwie. - Ci, którzy się tu dzisiaj włamali... Och, to głupi, prymitywni ludzie... Wyobrażają sobie, że mogą przyjść i wszystko zniszczyć, zranić kogoś... Powinni się nauczyć, że pewnych rzeczy nie da się zniszczyć. Nikt nie zmieni tego, co oboje pamiętamy. Ci ludzie nie mogą nas zranić, rozumiesz? Chyba że sami im na to pozwolimy, a ja nie mam takiego zamiaru...

- Chodzi ci o to, że nie mają żadnego wpływu na to, co kiedyś czuliśmy? - Gini podniosła oczy.

Zapanowało długie milczenie. Ledwo wypowiedziała te słowa, a już żałowała ich ostrożnego brzmienia i tego nieszczęsnego czasu przeszłego. Oczy Pascala błysnęły rozbawieniem. Nachylił się, pocałował ją w czoło i szybko się podniósł.

- Oczywiście - odparł spokojnie. - Właśnie o to mi chodzi. A teraz pozbędę się ich, odprawię egzorcyzmy, dobrze? Zaraz to wszystko uporządkuję.

Razem sprzątnęli mieszkanie, poukładali książki, taśmy, ubrania i naczynia. Niczego nie brakowało i Gini nie była tym zaskoczona. Pascal miał rację - celem włamania nie była kradzież.

Kiedy chowała swoje rzeczy, wciąż nie mogła pozbyć się uczucia obrzydzenia i lęku. Starła się nie myśleć, co będzie później, gdy Pascal pojedzie do hotelu, a ona zostanie sama. Udało im się doprowadzić mieszkanie do porządku, lecz poczucie bezpieczeństwa, jakie zawsze ogarniało ją, gdy tu wchodziła, znikło bez śladu. Dom wydawał jej się dziwnie kruchy, łatwo dostępny dla obcych i złych, zagrożony.

Pascal powiedział, że powinni wyjść coś zjeść, więc zdecydowali się na pobliską chińską restaurację. Tego piątkowego wieczoru, jak zwykle pod koniec tygodnia, w lokalu był tłok i gwar.

- Nie podobała ci się ta włoska restauracja, w której byliśmy dwa dni temu? - zapytała Gini, kiedy w końcu usiedli.

Spojrzał na nią chłodno.

- Nie, przeciwnie, bardzo mi się podobała - odrzekł. - Po prostu doszedłem do wniosku, że lepiej unikać powtórek... Myślę też, że powinniśmy uważać, co mówimy w twoim mieszkaniu...

Gini popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie sądzisz chyba, że...

- Dlaczego nie? Ktoś jest doskonale poinformowany na nasz temat, więc moim zdaniem należy trochę utrudnić mu życie.

- Chcesz powiedzieć, że mam założony podsłuch w telefonie?!

Nachylił się nad stołem.

- Co wiesz o nowoczesnych urządzeniach podsłuchowych?

- Niewiele...

- Zapomnij o szpiegowskich filmach, które oglądałaś, o malutkich pluskwach za obrazami, wewnątrz telefonów, pod blatami stołów. Na pewno niektórzy nadal się nimi posługują, ale pojawiły się już znacznie bardziej nowoczesne sprzęty, na przykład aparatura laserowa, za pomocą której ktoś może cię podsłuchiwać i obserwować z samochodu stojącego pod twoim domem lub z pokoju po drugiej stronie ulicy. Mimo odległości i zakłóceń słyszą cię tak dokładnie, jakby znajdowali się o krok od ciebie,

rozumiesz? Nie jesteś bezpieczna nawet gdy jesteś sama i w ogóle się nie odzywasz, bo słyszą, jak nalewasz sobie wodę do szklanki i jak stukasz w klawiaturę komputera. Jak ziewasz i jak oddychasz we śnie... Gini zadrżała.

- Zaczynasz w to wierzyć, prawda? - powiedziała powoli. - Zaczynasz wierzyć w tę historię o Hawthornie...

- Wierzę, że istnieje jakaś historia, to na pewno. Możliwe, że ta, którą opowiedział nam Jenkins. Wierzę też, że ktoś nam pomaga, a równocześnie ktoś inny przeszkadza... - przerwał. - I jeszcze jednego jestem pewny. Nie my jedni usiłujemy odszukać Jamesa McMullena. Na jego tropie są także inni.

Zrelacjonował jej przebieg spotkania z siostrą McMullena i treść rozmów z jego przyjaciółmi. Gini słuchała uważnie.

- „Ukochana” Lise Hawthorne... - powtórzyła, kiedy skończył. - Dziwne... Czy wiesz, że tamci dwaj, do których również wysłano te tajemnicze przesyłki, zniknęli?

- Obaj?

- Tak. Appleyarda nie ma w domu już od dziesięciu dni... Teraz Gini opowiedziała Pascalowi o swoich odkryciach.

- Dowiedziałam się jeszcze czegoś i to jest chyba najważniejsze. - Pochyliła się nad blatem. - Wiem, kto przyniósł paczki do ICD. Dziś po południu Susannah zidentyfikowała tę kobietę...

- Zidentyfikowała ją? Jak to?

- Rozpoznała ją na fotografii z katalogu modelek, wydanej przez jedną z dużych agencji. Pożyczyłam go z redakcji. Dziewczyna jest Amerykanką i pracuje dla nowojorskiej firmy „Models East”. Zadzwoiłam do nich z biura ICD. Potwierdzili, że zatrudniają taką modelkę. Jest nowa, dopiero zaczyna karierę. Nazywa się Lorna Munro.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. Susannah nie miała cienia wątpliwości.

- Masz numer telefonu tej modelki?

- Tak, podali mi numer do hotelu, bo ona jest teraz we Włoszech. Ma serię pokazów w Mediolanie.

- Próbowalas się do niej dodzwonić?



- Oczywiście. Nie ma jej w pokoju, więc zostawiłam wiadomość w recepcji. Zresztą, nie tylko w recepcji, bo także u agentki prowadzącej jej rezerwacje w Nowym Jorku i w redakcji magazynu, dla którego ma teraz sesję. Na pewno niedługo oddzwoni.

- I co jeszcze? - zapytał z uśmiechem.

- Co jeszcze?

- Przecież widzę, że masz w zanadrzu coś jeszcze. - Lekko wzruszył ramionami. - Widzę to w oczach, świadczą o tym twoje zarumienione policzki. Bardzo twarda i uparta jest ta dziennikarka, z którą pracuję. Nie jestem przekonany, czy chciałbym, aby prowadziła dochodzenie na mój temat...

- Po prostu nie lubię rezygnować. - Spojrzała na niego odrobinę niepewnie. - Zresztą ty także...

- To prawda. Czego jeszcze się dowiedziałas?

Wyjęła z torby notatki, które po południu zrobiła Lindsay. Przebiegła wzrokiem kilka stron i ściągnęła brwi.

- Jest tu coś, czego nie rozumiem - zaczęła. - Jakiś ślad, tyle, że zupełnie nie wiem, jak go potraktować... Ten kostium od Chanel...

- Ten, który miała na sobie Lorna Munro, kiedy przyszła do ICD?

- Tak. Myślałam, że ktoś go kupił, ale myliłam się. Kostium został wypożyczony i na cztery dni zniknął ze sklepu przy Bond Street. Zabrano go w piątek, trzydziestego pierwszego grudnia, a zwrócono we wtorek, czwartego stycznia, po długim noworocznym weekendzie...

Popatrzył na nią spod zmarszczonych brwi.

- Czy to dziwne?

- Niekoniecznie, takie rzeczy się praktykuje. Zdziwiło mnie coś innego...

Wiesz, kto wypożyczył ten kostium? Lise Hawthorne!

- Lise Hawthorne? - Na twarzy Pascala odmalowało się całkowite zaskoczenie. - Na pewno?

- Na pewno. Szef salonu Chanel przy Bond Street doskonale ją zna. Lise zadzwoniła do sklepu w piątek rano, rozmawiał z nią osobiście.

Kiedy wychodzili z restauracji, Pascal wydawał się głęboko zamyślony. Ujął Gini pod ramię i niespiesznym krokiem ruszyli w stronę domu. Deszcz ciągle padał, asfalt lśnił w świetle latarni, opony samochodów z cichym szumem przemykały po nawierzchni. Echo powtarzało odgłos kroków.

Gini nadal usiłowała nie myśleć, co zrobi po wyjściu Pascala. Na jego prośbę poszli na Gibson Square dłuższą trasą. W połowie drogi, na opustoszałej bocznej uliczce, nagle przystanął.

- Myślałem o twoim domu... - zaczął. - Kto mieszka na piętrze?

- Pani Henshaw, zaprzyjaźniona sąsiadka. Jedna z niewielu osób, które mieszkają w Islington od ponad pół wieku. W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych była to uboga dzielnica, wiesz? Potem została „odkryta”, domy odnowiono i poddano przebudowie. Większość dawnych mieszkańców wyprowadziło się stąd, z własnej woli lub pod wpływem perswazji...

- Łapówki lub groźby? - zapytał Pascal.

- Jakżeby inaczej... Ludzie dostawali tak zwane rekompensaty, oczywiście niewystarczające, albo któregoś dnia po powrocie do domu dowiadywali się, że odcięto im wodę, gaz lub prąd. Nie były to przyjemne historie. Pani Henshaw miała więcej szczęścia. Nowi właściciele wyremontowali mieszkanie w suterenie i na jakiś czas zostawili ją w spokoju. Oczywiście tylko na jakiś czas, bo te domy są teraz dużo warte. Kilka lat temu próbowali ją eksmitować. - W głosie Gini zabrzmiała gniewna nuta. - Biedaczka mieszkała tu przez całe życie, tu urodziły się jej dzieci, umarł jej mąż. Próbowалаm wyjaśnić to właścicielom, ale niewiele wskórałam.

- I co się stało?

- Znalazłam jej dobrego adwokata, który wywalczył dla niej dożywotnie prawo najmu. Dzięki temu jest bezpieczna.

- Rozumiem...

Ruszyli przed siebie, powoli, równym krokiem.

- Czy pani Henshaw jest teraz w domu? - zapytał Pascal. - Nie zauważyłem, żeby paliło się tam światło...

- Nie, teraz jej nie ma. Wyjechała do jednej z córek.

- Ale ty masz klucz do jej mieszkania?

- Tak. Czasami robię jej zakupy, albo po prostu wpadam, żeby zamienić z nią parę słów. Tak jest łatwiej.

- Dobrze... - Obejrzał się za siebie i przyspieszył kroku. - Daj mi ten klucz, kiedy wrócimy. Chciałbym sprawdzić kilka rzeczy.

Kiedy dotarli do mieszkania, Gini w milczeniu podała mu klucz. Wyszedł i po chwili usłyszała jego kroki na schodach. Włączyła telewizor i obejrzała fragment wiadomości. Na całym Bliskim Wschodzie nasilały się antyamerykańskie demonstracje; na stacji King's Cross eksplodował podłożony przez IRA ładunek wybuchowy, raniąc czterdzieści pięć osób i zabijając dwie, kobietę i czteroletnie dziecko.

Westchnęła. W porównaniu z tą tragedią jej własne lęki wydawały się egoistyczne i nieuzasadnione. Wyłączyła telewizor, zła na siebie i mimo wszystko niespokojna. Z góry nie dobiegały żadne odgłosy, ustało nawet skrzypienie podłogi. Zmusiła się do pójścia do sypialni i usiłowała udawać, że jest to ten sam przytulny pokój co przedtem. Na świeżo zmienionej pościeli leżała czysta koszula nocna. Pascal wyrzucił tamtą, przypomniała sobie.

W pokoju panował idealny porządek, lecz Gini nadal wyczuwała obecność obcego mężczyzny. Nie mogła przestać myśleć o tym, że był tu, przerzucał jej rzeczy, dotykał ubrań, oddychał tym samym powietrzem.

Szybko wyszła z pokoju. Usłyszała jakieś dźwięki z salonu i w milczeniu przystanąła w progu.

Pascal układał koc i poduszki na kanapie. Napoleon, który od początku darzył go sympatią, ocierał się o jego nogi. Kiedy koc był już rozłożony, kot wskoczył na kanapę, okręcił się dookoła własnej osi i legł na miękkiej tkaninie. Pascal nie zdawał sobie sprawy, że Gini obserwuje go z odległości kilku kroków. Uśmiechnął się, wziął kota na rękę i postawił go na podłodze.

- *Mais non...* - rzekł zdecydowanym tonem. - Nie, Napoleonie. Nie o to mi chodziło...

- Co robisz? - odezwała się nagle Gini.

- Co robię? Rozejrzałem się w mieszkaniu twojej sąsiadki i nic tam nie znalazłem, a teraz... - Rzucił jej lekko rozbawione spojrzenie. - Teraz przygotowuję posłanie - *evidemment*, to chyba oczywiste...

- Ach, tak... - Zawahała się. - Jestem ci bardzo wdzięczna, ale nie trzeba, położę się w sypialni. Wcześniej czy później i tak muszę tam wrócić, więc lepiej zrobić to od razu.

- Nie przygotowałem posłania dla ciebie, tylko dla siebie. Widzisz? Doskonale się tutaj mieszczę...

Wyciągnął się na kanapie, żeby zademonstrować słuszność swoich słów. Dość krótka kanapa na pewno nie została zaprojektowana jako miejsce do spania dla bardzo wysokich mężczyzn.

- Wcale się nie mieścisz - zauważyła Gini, tłumiąc śmiech. - Byłoby ci tu potwornie niewygodnie...

- Bardzo się mylisz. - Podniósł się i stanął naprzeciwko niej. - Mogę spać wszędzie, w każdych warunkach, nawet na podłodze. Nie spieraj się ze mną, bo i tak tu zostanę. Nie zostawię cię samej.

- Nie musisz tego robić. Nic mi nie jest, naprawdę. Muszę sobie jakoś z tym poradzić, więc...

- Nie. - Rozbawienie w jego głosie zniknęło w jednej chwili. - Nie - powtórzył i Gini po raz pierwszy od ich powtórnego spotkania poczuła, jak nieugięta jest jego wola. - Nie pozwolę, żebyś musiała radzić sobie z tym sama. Dopóki pracujemy nad tą sprawą, będę tu z tobą - taki jest mój warunek. Albo się zgodzisz, albo od razu zadzwonię do Jenkinsa i powiem mu, że sprawa Hawthorne'a nie istnieje.

Gini patrzyła na niego w milczeniu. Przemiana, jaka w nim nastąpiła, całkowicie ją zaskoczyła. Mówił twardym tonem, jakiego dawno u niego nie słyszała, nie pozostawiając najmniejszego pola do negocjacji. Był to jeszcze jeden aspekt jego charakteru, który zepchnęła w niepamięć. Teraz wspomnienia wracały powoli, ciche jak delikatny szept.

- Zrobiłbyś to? - zapytała.

- Tak. W każdym razie na pewno nakłoniłbym Jenkinsa, żeby odebrał ci ten temat. Nie byłoby to trudne. Jenkins potrzebuje mnie i moich zdjęć, więc zrobi wszystko, co mu każe.

- I nadal byś pracował, tylko beze mnie?

- Po tym, co się stało? - Ogarnął szerokim gestem świeżo sprzątnięty pokój. - Oczywiście.

Gini odwróciła wzrok. Nagle przypomniały jej się wszystkie stare plotki i pogłoski, jakie powtarzali sobie dziennikarze w prasowym barze w Bejrucie - jak to Lamartine gotów jest na wszystko, byle tylko zdobyć temat. I że nie ma co spodziewać się po nim normalnych odruchów, bo jest samotnikiem bez sumienia, który nie należy do stada i nie uznaje rządzących nim praw. I jeszcze, że Lamartine nigdy nie dzieli się informacjami i nie pozwala nikomu i niczemu stanąć na swojej drodze.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Gdybyś to zrobił, nie poddałabym się łatwo - zaczęła powoli. - Ja też mogę porozmawiać z Jenkinsem...

- Ale ja bym wygrał.

Powiedział to spokojnie i bez cienia wątpliwości. Wiedziała, że ma rację. Po chwili wahania wzruszyła ramionami.

- Dobrze. W takim razie wolę, żebyś został, to chyba jasne. Nie zamierzam rezygnować z tego tematu...

Przerwała. Nie był to zbyt wdzięczny sposób kapitulacji, zwłaszcza w tych okolicznościach, i natychmiast zrozumiała, że zraniła Pascala. Jego usta zacisnęły się w wąską linijkę.

- W porządku - odparł i odwrócił się.

- Nie, zaczekaj! - powiedziała szybko. - Bałam się zostać sama, to prawda. Z tobą będę się czuć bezpieczniej...

Pascal obrzucił ją długim, pełnym namysłu spojrzeniem. Było szacujące i pozbawione ciepła.

- Jeżeli sądziłaś, że zostawię cię dziś wieczorem, to w ogóle mnie nie znasz - rzekł cicho.

## XIV

Pascal leżał w ciemności, słuchając cichnących odgłosów ulicy. Minęły już dwie godziny, odkąd się położył, i wciąż nie mógł zasnąć.

Jego myśli wędrowały dobrze znanymi ścieżkami. Próbował je skupić na pracy, na sprawie Hawthorne'a, ale nie były mu posłuszne. Wracały do przeszłości, krążyły wokół terażniejszości i podsuwały mu przed oczy wszystkie błędy, jakie popełnił w życiu.

O drugiej zapadł w płytki, niespokojny sen. Przyśnił mu się jego angielski adwokat, z którym odbył tego ranka krótką rozmowę, a także francuski, ubrany w czarną sądową togę. Ich tożsamości nakładały się na siebie i łączyły, aby prześladować go i dręczyć. W sennej rzeczywistości towarzyszyli mu podczas wyprawy do Libanu i do Afryki. Pascal szedł środkiem ulicy w mieście Maputo w Mozambiku. Po obu stronach leżeli martwi ludzie, a ci którzy jeszcze żyli, wyciągali do niego ręce z ciemnych sieni. Zrób mi zdjęcie, zawołała jedna z tych mrocznych postaci, lecz gdy Pascal podniósł aparat i wycelował w nią obiektyw, bezwładnie osunęła się na ziemię. Szedł dalej, co jakiś czas pochylając się nad zwłokami. Powietrze przenikał ciężki, intensywny odór krwi. Ukląkł obok małej dziewczynki, ubranej w sukienkę, która wydała mu się znajoma. Leżała twarzą do ziemi, więc odwrócił ją na plecy i wtedy zobaczył, że jest to Marianne.

Obudził się zlany potem, pewny, że przed chwilą głośno, krzyknął. W mieszkaniu panowała cisza, obok jego stóp leżał zwinięty w kłębek Napoleon. Pascal znał te sny - kiedy zasypiał, zawsze ocierał się o śmierć. Wiedział, że jedynym na nie lekarstwem jest działanie i że jeżeli spróbuje znowu zasnąć, sny wrócą. Były bezlitosne, zawsze wracały.

Włączył lampę, czekając aż pokój i rzeczywistość odzyskają normalny kształt. Nienawidził swobodnych wędrówek umysłu podczas snu i bardzo się ich obawiał. Odmieniały przeszłość, wydawały się zapisywać ją od nowa. Czasami przemieniały minione wydarzenia w koszmar, tak jak dzisiaj, kiedy indziej odbierały im aurę smutku i obdarzały dziwną słodyczą.

Zdarzało się, że pozwalały mu zobaczyć, jak mogło wyglądać jego życie. Właśnie tego obawiał się najbardziej. Tej nocy zostało mu to oszczędzone. Podniósł się i zaczął chodzić po pokoju. Zaparzył sobie kawę, wypił ją, zapalił papierosa. Często praca pomagała mu otrząsnąć się z przygnębienia, więc teraz spróbował się jej chwycić. Bardzo cicho, by nie obudzić Gini, dwa razy przesłuchał taśmę McMullena, potem przeanalizował rozmowę z jego siostrą i powtórnie przeczytał artykuły o Hawthornie. Otworzył katalog agencji modelek, który wieczorem pokazała mu Gini, i uważnie przyjrzał się twarzy Lorny Munro.

W końcu, z uporem zrodzonym ze znużenia, sięgnął po kartkę papieru, znaną wewnątrz ramki ze zdjęciem na biurku McMullena. Długo wpatrywał się w cyfry, rozważając ich kolejność i układ. Na chwilę uległ niezwykle silnemu złudzeniu, że jeśli spojrzy na nie z innej strony, rozszyfruje zawartą w nich wiadomość i sens. Minęła godzina. Ulicą przemknął samochód. Pascal odłożył kartkę, uznając, że nie potrafi odczytać znaczenia cyfr ani historii, którą miał zbadać. Jeżeli istniała jakaś zakodowana informacja, to on najwyraźniej nie potrafił do niej dotrzeć.

Wrócił na kanapę, zapalił następnego papierosa i położył się, wbijając wzrok w sufit. Przyglądał się, jak dym cienką nitką wije się w górę. Po chwili, tak jak trochę miał nadzieję, a trochę się obawiał, szczegóły sprawy Hawthorne'a zaczęły odpływać. Widział i czuł, jak przeszłość ogarnia mglistym obłokiem jego umysł, krystalizuje się i przybiera ostre kształty. Oglądał film sprzed dwunastu lat - bar prasowy, maleńki pokoik w porcie, a wszystko to w mieście, które kiedyś olśniewało urodą. W Bejrucie, stolicy Libanu.

Miał dwadzieścia trzy lata i właśnie przyjechał do Bejrutu po raz trzeci. Cieszył się, to prawda, coraz większą sławą, ale miał bardzo mało pieniędzy. Dwaj dziennikarze, z którymi w przeszłości współpracował, niedawno zmarli, więc teraz wołał pracować na własną rękę. Tego dnia, kiedy spotkał Gini, mijały dwa miesiące od jego przyjazdu do Bejrutu. Dwa miesiące rozszalałego wojennego chaosu, wypełnionego krzykami konających. Dwa miesiące nieustannego upału. Dwa miesiące bez alkoholu i seksu. Gdy pracował, nigdy nie pił ani nie sypiał z kobietami, chociaż przyjaciele i wrogowie kpili z tego purytańskiego kodeksu. Ale on o to nie dbał - uważał, że powinien przestrzegać swoich zasad.



Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy, lipiec. Pewnego ranka jeden z przyjaciół zabrał go do baru dziennikarzy w hotelu Ledoyen. Tenże przyjaciel powiedział, że w barze będzie wielki Sam Hunter i jeżeli Pascal zachowa się jak należy, zostanie przedstawiony legendarnemu reporterowi. Pascal wzruszył ramionami i zgodził się. Przystanął na obrzeżach grupy, zamówił wodę mineralną i zaczął obserwować Huntera, krępego, mocno zbudowanego agresywnego Amerykanina z akcentem z Harvardu. Wielki człowiek ubrany był w garnitur firmy Brooks Brothers, palił jednego papierosa za drugim i pił gin z lodem, mimo że była dopiero jedenasta przed południem. Pascal patrzył na niego z pogardą i antypatią.

W końcu został dopuszczony przed oblicze legendy i przedstawiony. Hunter był uprzejmy, lecz w jego głosie brzmiała protekcyjna nuta.

- Oczywiście, oczywiście! - powiedział. - Widziałem twoje zdjęcia, zresztą któż ich nie widział? Są zdumiewające, ale musisz uważać, żeby nie uzależnić się od skoków adrenaliny. Któregoś dnia podejdziesz za blisko i dostaniesz kulkę...

I to wszystko. Hunter nie potrafił długo koncentrować się na innych. Jeden z jego kumpli rzucił jakiś dowcip, dworzanie parsknęli śmiechem. Audiencja dobiegła końca. Pascal doszedł do wniosku, że ten wielki zdobywca Pulitzera stracił ostrość widzenia i oceny sytuacji. Hunter był chyba zdania, że ludzie, którzy już zdobyli sławę, nie są w niczym podobni do zwykłych śmiertelników choćby dlatego, że zawsze mają czas na jeszcze jeden gin z lodem. Gdyby wydarzyło się coś ważnego, jeden z jego dworaków na pewno niezwłocznie by go o tym powiadomił. Tak czy inaczej, Liban był mało ważnym przypisem w historycznym opracowaniu. Prędzej czy później walki ustaną. Hunter owszem, napisał kilka reportaży, ale nosił się z zamiarem wyjazdu. Pisywał już reportaże z większych wojen niż ta, więc nie musiał się zbytnio przejmować.

W kącie, milcząca i ogólnie ignorowana, siedziała jedyna istota płci żeńskiej w grupie ponad dwudziestu mężczyzn - córka Huntera, jak ktoś wyjaśnił Pascalowi. Jego uwagi nie umknął fakt, że Hunter nikomu nie przedstawia swojej latorośli.

Przesunął się za plecami dziennikarza z UPI, wyminął dwóch spoconych reporterów z agencji Reuters, wysłannika „Morning Herald” z Sydney i Anglika z „The Times”, i stanął między swoim przyjacielem z „Le Monde” oraz przed-

stawicielem radzieckiej agencji TASS, ponurym Rosjaninem, który słabo mówił po angielsku. Uważniej spojrzął na dziewczynę, co jego kolega skwitował szerokim uśmiechem i uwagą, że mała wcale nie jest taką szarą myszką, na jaką wygląda. Czy Pascal nie słyszał tej historii? Nie? Więc gdzie on był przez cały ubiegły tydzień, do diabła?! Wszyscy poza nim słyszeli, co zrobiła córka Huntera. Dziewczyna uczyła się w jednej z tych ekskluzywnych angielskich szkół z internatem, gdzie gra się w hokeja na trawie, tenisa i tak dalej. Pewnego dnia po prostu opuściła teren szkoły i o szóstej rano zjawiła się w Bejrucie.

Przez ostatnich kilka dni Hunter opowiadał o tym dosłownie wszystkim, czy ktoś chciał słuchać, czy nie - jak to obudzony przez dyrektora hotelu zszedł do holu, ledwo żywy z powodu kaca, i znalazł skuloną na fotelu dziewczyninę, ściskającą pod pachą małą walizkę. Podobno w pierwszej chwili nie poznał córki, ponieważ nie widział jej trzy lata - mała mieszkała w Anglii z jego byłą żoną - a w tym czasie dziewczyna urosła i zaokrągliła się tam, gdzie trzeba... W tym miejscu przyjaciel Pascala mrugnął znacząco.

Kiedy Hunter się zorientował, że ma przed sobą swoją jedyną córkę, bynajmniej nie wpadł w radosny zachwyty. Wprost przeciwnie, początkowo zamierzał odwiedzić ją na lotnisko i wsadzić do pierwszego samolotu do Londynu. Dziewczyna okazała się jednak twardsza, niż myślał, uparła się, że zostanie, i w końcu przystał na to. Jej obecność przez parę dni dostarczała mu rozrywki. Traktował córkę jak maskotkę, lecz teraz zaczynała go irytować.

Ciekawa historia, uznał Pascal. Niewiele nastolątek poleciałoby do Bejrutu w środku nocy, dotarło z lotniska do centrum niebezpiecznego miasta i o świcie zjawiło się w hotelu... Kiedy jego kumpel ruszył w stronę baru, Pascal odwrócił się, żeby spokojnie przyjrzeć się dziewczynie.

Siedziała niedaleko ojca i w ogóle się nie odzywała. Była wysoka, smukła i ubrana jak chłopak. Ocenił jej wiek na siedemnaście, może osiemnaście lat. Jej skóra zdążyła już pociemnieć od słońca, nieuczesane włosy, ściągnięte gumką na karku, pojaśniały. Miała na sobie szorty w kolorze khaki, zwyczajną białą koszulkę, a na nogach mocno podniszczone buty do tenisa. Od czasu do czasu spoglądała w okno, potem na ojca i przeciągała się dyskretnie. Pascal odniósł wrażenie, że wołałaby wyjść

z zadymionego wnętrza na zewnątrz. Kiedy patrzyła w okno, na jej twarzy malowała się tęsknota. Z nieuświadomionym wdziękiem zakładała nogę na nogę i po chwili znowu wyciągała je przed siebie, nie zauważając, że ten jej ruch przyciąga spojrzenia wszystkich mężczyzn w barze.

Przysunął się jeszcze trochę bliżej, pragnąc przyjrzeć się jej twarzy. Miała piękne, dość szeroko osadzone oczy. Doszedł do wniosku, że byłaby całkiem atrakcyjna, gdyby nie wyraz dziwnego uporu i niechęci, zupełnie jakby otoczenie raczej jej się nie podobało, lecz ze względu na ojca postanowiła tego nie okazywać. Kiedy patrzyła na Huntera, na jej twarzy malowała się bolesna czułość.

Hunter właśnie zaczął opowiadać kolejną długą i nudną anegdotę. Dziewczyna zarumieniała się i z wyraźnym zażenowaniem utkwiała wzrok w podłodze. Przyjaciel Pascala, który przed chwilą wrócił z drinkiem, uśmiechnął się ironicznie. To żalosne, że mała tak uwielbia tego starego nadętego osła, powiedział. Tym bardziej żalosne, że wcale nie brak jej charakteru. Podobno oznajmiła ojcu, że za żadne skarby świata nie wróci do Anglii. Zamierza zostać w Libanie. Francuz skrzywił się zabawnie i wybuchnął śmiechem.

- *Pauvre petite fille* - powiedział. - *Elle veut etre journaliste...* Biedactwo, chce zostać dziennikarką...

Pascal stracił zainteresowanie dla dziewczyny. Jej ambicje nic go nie obchodziły. Jeżeli chciała być dziennikarką, to przynajmniej była to jakaś odmiana, ponieważ większość dziewcząt marzyła o karierze modelki, gwiazdy estrady lub filmu. Poczł nagle, że ogarnia go gniewne zniecierpliwienie; marnował tu tylko czas.

Dopił wodę, odstawił szklanę i wyszedł z baru. W hotelowym holu przystanął i zapatrzył się w rozedrgane od upału powietrze. Z oddali, chyba z zachodniej części Bejrutu, dobiegło ujadanie karabinów maszynowych, a potem przytłumiony huk eksplozji. Wybuchł kolejny samochód-pułapka.

Dziewczyna przystanęła tuż obok. Dopiero teraz, kiedy już miał wyjść z holu na zewnątrz, zauważył ją i spojrzał w pobladłą z wściekłości twarz i płonące oczy.

- Widziałam, jak patrzyłeś na mojego ojca - powiedziała gwałtownie, nie siląc się na wstępne uprzejmości. - Wiem, co myślałeś, ty arogancki francuski draniu. Jak śmiesz przyglądać mu się w tak bezczelny sposób?

W tamtych czasach zdarzało się, że Pascal tracił panowanie nad sobą w ułamku sekundy, zupełnie bez ostrzeżenia. Wtedy także błyskawicznie stracił cierpliwość. Spojrzał na głupią nastolatkę, która przed paroma dniami uciekła z jakiejś głupiej i drogiej szkoły z internatem, na dziewczynę, której ojca od pierwszej chwili obdarzył antypatią.

- Pokazać ci, dlaczego? - zapytał po angielsku. - Chcesz tego? Dobrze, pokażę ci. Chodź ze mną.

Niewątpliwie nie spodziewała się takiej reakcji. Zaskoczył ją, więc kiedy mocno chwycił jej ramię i prawie siłą wyciągnął z hotelu, nie wrywała się ani nie protestowała.

Pascal puścił ją prawie od razu. Przewiesił torbę z aparatem fotograficznym przez ramię i ruszył w górę ulicy. Dziewczyna poszła za nim. Przyśpieszył kroku. Właściwie już żałował, że kazał jej iść ze sobą i chętnie by ją zgubił, ale ona nie zamierzała się poddać. Co chwilę podbiegała, zdyszana i spocona, lecz uparcie dotrzymywała mu kroku.

Jej determinacja rozgniewała go, podobnie jak własna głupota. Nawet wtedy, gdy zasięg walk był jeszcze ograniczony, ulice Bejrutu nie były odpowiednim miejscem dla amerykańskich nastolatek. Przystanął.

- Wracaj do hotelu - rzekł. - Zapomnij o tym, co powiedziałem. To niebezpieczne.

- Do diabła z niebezpieczeństwem! - warknęła wrogo. - Lepiej dotrzymaj słowa, bo tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Nie wracam do hotelu.

Pascal był zmęczony. Spędził wiele tygodni w stanie napięcia, śpiąc mało i niespokojnie. Wobec tak ognistego kobiecego uporu odwrócił się i wzruszył ramionami.

- W porządku, rób, co chcesz. Popatrz sobie na wojnę, która zdaniem twojego ojca jest mała i nieistotna. Na pewno nie zobaczysz tego w hotelowym barze, o czym on także powinien wiedzieć. Ta wojna toczy się na ulicach, ot, choćby tutaj, parę kroków dalej...

Skręcił za róg, dziewczyna za nim. Gęsta chmura pyłu zaczynała już opadać. Na jezdni rozrzucone były szczątki samochodu. Na środku chodnika leżały wielkie

kawały kamienia, połowa domu pochyliła się ku ziemi. Z kupy gruzów, wysokiej na sześć metrów, sterczała dziecięca nóżka.

Gdzieś niedaleko pękła rura i ulicą płynęła wartka struga wody. Dookoła gromadzili się ludzie. Pascal już dawno temu nauczył się nie dopuszczać do świadomości rozpaczliwych krzyków i zawodzenia, lecz dziewczyna słyszała je doskonale.

Pascal wyszarpnął z pokrowca aparaty. Pracował dwoma - kolorowe zdjęcia robił leicą, czarno-białe olympusem. Obiektywem szukał obrazów żalu, gniewu i smutku. Tylko częścią świadomości rejestrował fakt, że dziewczyna nadal tkwi w tym samym miejscu. Opuścił aparat, zerknął przez ramię i ujrzał jej twarz, na której powoli, jak w zwolnionym tempie, pojawił się wyraz absolutnego przerażenia. Wreszcie zasłoniła rękami uszy potem oczy i usta.

Tuż przed nią leżał na ziemi dziecięcy plastikowy sandał, czerwony tandetny, pęknięty w kilku miejscach. Takie buciki nosiły prawie wszystkie arabskie dzieci. Dziewczyna schyliła się i podniosła sandałek, zachwiała się, zepchnięta na bok przez grupę mężczyzn. Odziana w czerń kobieta padła na kolana przy gruzach i wzniosła ręce do nieba. Nagle ulica stała się centrum zamieszania i chaosu. Ludzie biegali, przepychali się, rozgrzebywali gruzowisko gołymi rękami. Pascal stracił dziewczynę z oczu, w powietrzu znowu wirowały obłoczki kurzu. Odwrócił się, gorączkowo rozejrzał dookoła, przerażony tym, co zrobił.

Rzucił się w jedną stronę, potem w drugą. Ludzie napierali na niego, przepychali go to tu, to tam. W końcu znalazł ją w miejscu, gdzie okrzyki rozpacz rozbrzmiewały najgłośniejsze, gdzie przypadkowi ratownicy przenosili szczątki ciała mężczyzny na zaimprovizowane nosze z kawałka falistej blachy aluminiowej. Jakaś kobieta wrzasnęła na nią po arabsku i splunęła jej w twarz. Dziewczyna cofnęła się, zeszywniała z przerażenia. Na twarzy i na rękach miała krew.

Kiedy Pascal dotknął jej ramienia, nie odezwała się. Objął ją i mocno przytulił do piersi. Tumult i zamieszanie jeszcze się nasiliły. Dziewczyna drżała na całym ciele, jej ręce zacisnęły się na jego karku.

Wyprowadził ją stamtąd, byle dalej od zgiełku i jęków, które jeszcze długo biegły za nimi ulicami. Potykała się co parę kroków, ale podpierał ją i chronił od upadku.

Jego pokój znajdował się nad barem, niedaleko portu. Przed wejściem zawahał się, niepewny i zmieszany. Dziewczyna wciąż obejmowała obiema rękami jego ramię, ulica ziała potwornym żarem. Wprowadził ją do cienistej sieni. Działo się coś dziwnego, nie potrafił jednak tego określić. Ostrożnie dotknął jej twarzy, potem szyi. Spojrzała na niego. Pociągnął ją ku schodom.

Wreszcie znaleźli się w pokoju, który wydał im się bardzo cichy, pusty i biały. Cienie opuszczonych żaluzji kładły się paskami na podłodze. Powietrze wibrowało napięciem. Pascal przycisnął jej plecy do drzwi i pocałował ją w usta. Gorączkowo chwyciła jego dłonie, wsunęła je sobie pod koszulkę i położyła na nagich piersiach. Oboje milczeli. Pascal zdążył jeszcze pomyśleć, że nigdy nie czuł tak wielkiego pożądania.

Jej palce szarpały się z zapieciem jego dzinsów. Jęknęła cicho. Podniósł jej koszulkę, pochylił głowę i zaczął całować piersi. Chwyciła jego dłoń i wsunęła pod pasek szortów. Jej pochwa była wilgotna.

Pociągnęła go na podłogę, wciąż całując w usta. Jej włosy rozsypały się na ciemnych deskach jak ogromny wachlarz. Kochali się na podłodze, nadal na wpół ubrani. Pascal osiągnął orgazm z wargami na jej wargach, z rękami na jej piersiach. Wydała okrzyk, w którym brzmiała triumfalna nuta, Pocałował ją, przytulił i znowu pocałował. Jej oczy były zdumiewające, pokój był zdumiewający, świat był zdumiewający. Pascal, który nigdy nie sypiał z kobietami w strefie działań wojennych, z zaskoczeniem spojrział na swoje odmienione życie.

We Francji, między wojnami, zwykle miał dużo kochanek. Lubił kobiety, które czasami oskarżały go o to, że je wykorzystuje, i lubił seks. Podobnie jak większość ludzi, doświadczył dobrego, marnego, przeciętnego i wspaniałego seksu, ale nigdy dotąd nie przeżył czegoś takiego.

Spojrzał na dziewczynę niepewnie, z uczuciem całkowitego zagubienia. Z oddali dobiegał warkot karabinów maszynowych. W pokoju było duszno, ich ciała sływały potem. Miał wrażenie, że znalazł się na krawędzi jakiegoś niebez-

pieczeństwa. Czuł, jak już poukładane fragmenty jego świata układają się od nowa, zmieniają pozycję i przybierają idealny kształt.

Długie, powolne chwile miłości... Schylił głowę i pocałował jej piersi. Natychmiast stwardniał, nie wychodząc z jej ciepłego wnętrza i zaczął znowu się w niej poruszać. Ogarnęła go determinacja, wielkie pragnienie doprowadzenia jej do orgazmu. Pomyślał, że chyba nie jest zbyt doświadczona. Był wzruszony jej niepewnością, brakiem techniki, który oznaczał niewinność.

- W ten sposób... - powiedział. - O, tak... Nie, wolniej... Nie walcz ze mną. Tak, właśnie tak...

Powoli, pchnięcie po pchnięciu, ruch po ruchu, pieszczoty stawały się słodkie. Pascal zapomniał o drobnych szczegółach rozkoszy, o tym, jak odpowiedni dotyk, słowo czy rytm mogą zwiększyć przyjemność. Wchodził w ciemne miejsce, gdzie mieściły się pamięć i zapomnienie, a ona razem z nim. Najpierw ogarnęło ich szaleństwo, potem spokój; najpierw toczyli wojnę, potem oboje skapitulowali. Wyciągnął rękę, znalazł poduszkę, wsunął pod nią, zanurzył się głębiej. Kiedy zaczęła szczytować, zadrżała. Pascal był także bliski orgazmu, ale zaczekał na nią. Patrzył, jak rozluźnienie falami światła ogarnia jej twarz. Zamknęła te niesamowite oczy i wygięła szyję w łuk. Podparł jej kark własnym ramieniem i zgniół jej wargi pocałunkiem. Czuł, jak jej pochwa pulsuje i kiedy sam osiągnął szczyt, trwał na nim i trwał bez końca. Nie wiem nawet, jak ma na imię, pomyślał, gdy fala rozkoszy opadła, ustępując miejsca spokojnemu zadowoleniu. Zaczął głaskać jej włosy i dłonie. Całował i zlizywał sól z jej ud, brzucha i piersi. Wewnętrzzną stronę ud miała czerwoną od krwi. Smakowała żelazem, potem i seksem. Ucałował jej uda i oparł głowę obok jej głowy. Przytulił ją i spojrzał w oczy. Miał wrażenie, że tonie, że woda zamyka się nad nim powoli i cicho. Uniósł dłoń, lepką i czerwoną.

- Trzeba było mi powiedzieć - odezwał się. - Nie zdawałem sobie sprawy, że to twój pierwszy raz...

- Czy to by coś zmieniło?

- Nie - przyznał szczerze. - To by niczego nie zmieniło. Nie po tym, jak weszliśmy do tego pokoju.



- Wiedziałam o tym już wcześniej, na schodach - powiedziała. - Nawet jeszcze wcześniej, na ulicy...

- Ja także.

- Cieszę się... - Jej twarz była triumfalnie otwarta. - Pokazałeś mi dziś dwie rzeczy - śmierć i to... Cieszę się, cieszę się, tak się cieszę, że to zrobiłeś... - Przerwała i zmarszczyła brwi. - Myślałam, że cię nienawidzę. Na początku, w hotelu... Ale to była nieprawda, och, tak... - Spojrzała mu w oczy z dziecinną szczerością. - Czy zawsze tak jest? Tak cudownie? Zawsze?

- Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego - odrzekł.

Później, znacznie później, wyszli z dusznego pokoiku w przyjemny chłód wieczoru. Spacerowali po portowych uliczkach i przyglądali się rybakom, którzy oporzędzali sieci. Zjedli kolację w restauracji i patrzyli, jak zapada zmierzch, a rozpościerające się za nimi miasto staje się królestwem cieni i ruchomych świateł. Rozmawiali. Pascal na zawsze zapamiętał, że rozmawiali, lecz nigdy nie mógł sobie przypomnieć, czego dotyczyła ta rozmowa. Zachował uczucie absolutnego, dogłębnego porozumienia; siedział, obserwując ją i pragnąc jej całym sercem i ciałem. Jakie to dziwne, myślał. A więc tak to się dzieje - bez ostrzeżenia. Tak smakuje miłość, taka właśnie jest...

Musieli się stale dotykać - w restauracji, w porcie, w labiryncie uliczek. Musiał trzymać ją za rękę i gładzić jej ramię. W ciemności, na rogu ulicy, ogarnięty rosnącym pożądaniem, musiał całować jej usta i piersi.

Kochali się znowu, w gorączkowym pośpiechu, pod ścianą arabskiego domu, z jej nogami zaciśniętymi wokół jego pasa. Wrócili do pokoju, a on nadal jej pragnął. O trzeciej nad ranem odprowadził ją do hotelu Ledoyen i ciągle nie mógł się z nią rozstać. Poszedł z nią na górę, do pokoju. Znowu rozmawiali, kochali się, rozmawiali. Powiedziała, że muszą być ostrożni, bo chociaż hotel jest drogi, ściany między pokojami są cienkie jak papier.

Wtedy przypomniał sobie o jej ojcu, lecz oboje szybko wypchnęli go ze swojej świadomości.

- Nie martw się - rzekła i przez jej twarz przemknął cień. Mocniej zacisnęła palce wokół jego dłoni. - Nie obchodzi go, gdzie chodzę i co robię, zresztą mam już osiemnaście lat. To nie ma z nim nic wspólnego...

I tak się to ciągnęło, dzień po dniu, noc po nocy. Pascalowi nawet nie zaświtało w głowie, że mogła go świadomie wprowadzić w błąd. Było to po prostu niemożliwe - kiedy patrzył na nią, gdy jej dotykał, nie wątpił w nic. W jej oczach odbijała się jego miłość i pragnienie. Zaglądając w nie, dostrzegał jedynie prawdę, doskonały obraz uczucia, pożądania i niepojętego, nieogarnionego szczęścia.

Dzień po dniu, noc po nocy, tydzień po tygodniu... Oboje nie mieli poczucia upływającego czasu, bo czas mógł się dla nich rozciągać lub kurczyć. Spędzony razem dzień trwał sekundę, godzina rozstania wydawała się wiekiem. Kiedy trzymał ją w objęciach, miał wrażenie, że zamyka w ramionach przyszłość, wspólną resztę ich życia. Czasami czuł, że Gini patrzy w przyszłość i się boi. Często podzielała jego ślepy optymizm, lecz kiedy indziej miała wątpliwości. Lato mijało powoli. Gini zdawała sobie sprawę, że ojciec nie pozwoli jej pozostać w Bejrucie, zwłaszcza że sam już planował powrót do Stanów.

- Każe mi wracać do Anglii - powiedziała.

Pascal objął ją mocniej i zapewnił, że takie rozwiązanie nie wchodzi w grę.

- Nie - odparł. - Pojedziemy do Francji. Możemy wziąć tam ślub. Chcę, żebyś poznała moją matkę, moich przyjaciół, żebyś zobaczyła moją wioskę. Jest piękna. Leży na południu, wśród wzgórz. Na małym cmentarzyku obok kościoła jest grób mojego ojca. Pobierzemy się, a potem będziemy pić wino w kafejkach i tańczyć na rynku. Kochanie, muszę pokazać ci mój dom, Prowansję...

Mówiąc to, widział wszystkie te wydarzenia i miejsca i wydawało mu się, że ona także ma je przed oczami. Jej twarz rozjaśniała się uśmiechem, lecz kilka godzin lub dni później wiara zniknęła, ustępując miejsca dziwnemu smutkowi.

Raz czy dwa przyszło mu do głowy że może dręczy ją jakiś problem lub wątpliwość, o której nie chce mówić, ale kiedy usiłował ją wypytywać, zawsze zaprzeczała. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ona się waha czy boi, gdy tymczasem dla niego ich przyszłość była tak jasna, wyraźna i oczywista. Czasami przychodziło mu do głowy, że może Gini wątpi w niego i jego miłość i te myśli sprawiały mu fizyczny ból.

Kiedyś obudził się i ujrzał ją, jak stała przy przesłoniętym żaluzjami oknie, skąpana w świetle brzasku. Jej piękne ciało przecinały pasiaste cienie, a twarz była smutna i zamysłona. Serce ścisnęło mu się gwałtownie. Doszedł do wniosku, że musiał użyć niewłaściwych słów, słów o niewystarczającej mocy.

- Kochanie, nie smuć się, na pewno znajdziemy jakieś wyjście - powiedział i pociągnął ją z powrotem do łóżka.

Potem, gdy znalazła się w jego ramionach, wyjaśnił wszystko najlepiej, jak potrafił, jeszcze raz i jeszcze raz. Powiedział, że kocha ją i nigdy nie przestanie.

- Moja miłość się nie zmieni. - Mocno przytulił ją do siebie. - Gdyby mogła ulec zmianie, nic nie miałoby sensu ani znaczenia, nic... - Dotknął malutkiego kolczyka, który nosiła w uchu i musnął go wargami. - Szkoda, że nie pozwoliłaś, bym kupił ci pierścionek. Chciałem, żebyś go miała... Nie dbam o ceremonie, dokumenty i księży. Kiedy weźmiemy ślub, nic się nie zmieni. Już teraz jesteś moją żoną.

Był przekonany, że mu wierzy, wyczytał z jej twarzy tę ślełą radość, pożądanie i miłość, które czuli obydwój. Wobec tej potęgi cały świat cofnął się i zbladł. Nie przyszło mu na myśl - i jej chyba także, w każdym razie tak wtedy sądził - że inni mogą to przyjąć zupełnie inaczej i że będą mówić o nich za ich plecami, a tak właśnie było. Pewnej nocy, kiedy Gini spała w swoim hotelu, on zaś późno, dopiero koło trzeciej nad ranem wrócił ze spotkania z arabskimi łącznikami z zachodniej części Bejrutu, zastał w małym pokoiku Sama Huntera, siedzącego na krześle tuż za drzwiami. W pierwszej chwili nie zauważył go, bo patrzył na pokój, kompletnie zdewastowany.

Było tam bardzo niewiele sprzętów i mebli, więc ktoś bez wielkiego wysiłku zniszczył wszystko. Żaluzje podniesiono i zimne, nieprzyjemne światło księżycy wydobywało z mroku dzieło zniszczenia.

Lampa, krzesło i stół roztrzaskano na drobne kawałki. Po podłodze wił się węzowy zwój filmu, wszędzie leżały pogięte, podarte, pogniecione fotografie. Stożące na środku łóżko zostało odarte z pościeli, a prześcieradło, splamione śladami aktu miłości, rozłożono na podłodze, jakby przygotowując je na szczegółowe oględziny.

Kiedy Pascal wszedł do pokoju i przystanął, porażony widokiem, Hunter z trudem dźwignął się na nogi i wyłonił z ciemności.

Cuchnął alkoholem, Pascal czuł ostry odór z odległości ponad metra. Nie tracąc czasu na wyjaśnienia, Hunter wymierzył mu cios w głowę, chybił, o mało nie runął na ziemię, lecz jakimś cudem utrzymał się na nogach. Oparł się o ścianę, a wtedy blask księżyca oświetlił jego rozwścieczoną twarz.

- Ty pieprzony draniu! - wybuchnął. - Podły skurwysynu! Pieprzyłeś moją córkę. Dziewczyna ma dopiero piętnaście lat, do kurwy nędzy! Chodzi jeszcze do szkoły! Zabiję cię za to, łajdaku!

Znowu runął na Pascala, bezładnie wymachując pięściami. Pascal stał zupełnie nieruchomo, sparaliżowany nagłym odkryciem. Piętnaście lat, pomyślał, i w tej samej chwili jeden z zadanych na ślepo ciosów trafił go w głowę. Hunter był potężnie zbudowanym mężczyzną i, chociaż pijany, był bardzo silny. Pascal zatoczył się do tyłu.

Wtedy ogarnął go wielki gniew, podsycany bólem. Popatrzył na zdartą z łóżka pościel, na poszarpane fotografie - na zbrukane symbole Gini i jego pracy. Wystarczyło trzydzieści sekund, może nawet mniej, aby doszedł do siebie i zaatakował Huntera.

Walka była nierówna. Hunter był cięższy i powolniejszy, Pascal szczupły, silny, młody i sprawny. Kiedyś Hunter uprawiał boks w Harvardzie, lecz Pascal dorastał w małej wiosce, gdzie nikt nie przestrzegał sportowych zasad. Walił pięścią w twarz, wymierzał mocne ciosy prosto w brzuch. Hunter usiłował się z nim zmagać, z głuchym stękanem napierał na niego całym ciałem. Pascal uderzył raz jeszcze, Hunter chwycił go za gardło. Pascal kopnął go w żebra. Hunter zakrztusił się, osunął na kolana i tak już pozostał, z trudem chwytając oddech. Potem powoli dźwignął się na nogi i zatoczył w kierunku drzwi. Zatrzymał się w progu, plamiąc kapiącą z nosa krwią białą koszulę firmy Brooks Brothers.

- Ty gówniarzu... - powiedział w końcu. - Skurwysynu... Dopadnę cię za to, zobaczysz...

I rzeczywiście. Pascal zobaczył Gini tylko raz, następnego ranka w hotelu Ledoyen. Jej ojciec był obecny przez cały czas rozmowy, której Pascal nie chciał pamiętać nawet teraz, dwanaście lat później.

To ostatnie spotkanie trwało pół godziny. W południe Gini była już na pokładzie samolotu i pod eskortą Huntera opuszczała Bejrut.

Dzień później Pascal przestał dostawać zlecenia. Najpierw zadzwoniono do niego z redakcji „New York Times”, potem z „Washington Post”. Przez następne dwa lata żadna licząca się amerykańska gazeta nie kupiła od niego ani jednego zdjęcia. Nie zapomniał tego Hunterowi i nie zamierzał wybaczyć. Do Huntera i tych, którzy mu się podporządkowali, żywił najgłębszą pogardę. Właśnie w tym okresie życia zaczął naprawdę ryzykować. Może rzeczywiście uzależnił się od adrenaliny, ale chyba nie tylko. W strefie działań wojennych łatwiej było zrobić dobre zdjęcie, kiedy nie dbało się o życie i śmierć. W tym czasie narodziły się pierwsze mity o Pascalu Lamartine. Ani jego przyjaciele, ani wrogowie i rywale nie byli w stanie przyjąć do wiadomości, że niebezpieczeństwo i jego konsekwencje są mu całkowicie obojętne, zaczęli więc powtarzać, że do pracy motywuje go podniecenie i pragnienie śmierci.

Pascal wiedział, że nie jest to prawdą. W ciągu tych dwóch, trzech lat jego życie osobiste i zawodowe ziało pustką. Nie cieszyły go ani względy, jakie okazywały mu kobiety, ani osiągnięcia profesjonalne. Kobiety wykorzystywał w celu osiągnięcia krótkotrwałego zaspokojenia seksualnego, mężczyźni, kobiety i dzieci w celu zrobienia zdjęć, na jakich mu zależało, po czym ze spokojną bezwzględnością przechodził do następnego zlecenia i następnego przelotnego romansu.

Nie miał w sobie ani miłości, ani współczucia, był zdystansowany, wyobcowany i zimny. Czasami miał wrażenie, że żyje w stanie śmierci, jak zombie, ale miało to pewne plusy - nowe, chłodne oko i obojętność na niebezpieczeństwo nadawały jego fotografiom szczególną siłę wyrazu.

Jego przyjaciele nie rozumieli, że w mózgu, sercu i krwi nosi śmierć, twierdzili więc, że Pascal zaleca się do śmierci i uwodzi ją. Nie spierał się z nimi, nie prostował pomyłki, pozwalał snuć opowieści o sobie. W głębi serca wiedział, że nie musi uwodzić śmierci, ponieważ już ją posiadał. On i śmierć pozostawali w bliskich stosunkach, jak kochankowie. Śmierć zasiadała z nim do stołu, obserwowała go, gdy uprawiał seks, witała codziennie rano i wiernie czekała wieczorami.

Nie lubił wracać myślami do tego okresu swego życia. Z czasem wszystko stało się mniej ponure i prawie udało mu się przekonać samego siebie, że zdołał umknąć z

celi. Ożenił się, podtrzymując w sobie tę wiarę i ze wszystkich sił starał się ukryć przed żoną ciemny pierścień, obrzeżający jego pole widzenia. Kiedy spodziewała się pierwszego dziecka, pozwolił sobie mieć nadzieję i trwał w niej nawet po tym, jak poroniła. Później na świat przyszła Marianne, w której Pascal od początku dostrzegł wielki dar. W zamieszaniu i chaosie umierającego małżeństwa Marianne była jak muzyka; poprzez sam fakt swego istnienia, dzięki wielkiej, głębokiej, opiekuńczej miłości, jaką czuł do niej Pascal, była jak słodka, czysta i trwała nuta.

Marianne zwróciła mu żywe serce. Odkąd został jej ojcem, uświadomił sobie, że przynajmniej w tej dziedzinie życia śmierć cofa się lekko. Marianne była jego pociechą, jedyną istotą, która mogła nadać znaczenie życiu. Mimo tego teraz mógł być z nią tylko w dniach wyznaczonych przez sąd i wyłącznie za sądowym zezwoleniem. W ten sposób nawet ostatnia nadzieja została skażona smutkiem.

Teraz była czwarta nad ranem - najgorsza, najmroczniejsza godzina o tej porze roku. Wiedziony nagłą desperacją, zerwał się z posłania i zaczął chodzić po pokoju. Z rozpaczą wracał do tych wszystkich wydarzeń. Przyszło mu do głowy, że wszystkie błędy, jakie popełnił, wychodzą z tego samego punktu w czasie i tego samego miejsca. Z małego pokoju w pobliżu portu, w mieście, które kiedyś olśniewało urodą. Czy gdyby wtedy zachował się inaczej, jego życie byłoby teraz inne?

Zatrzymał się przy drzwiach, za którymi spała Gini. Przez chwilę miał nieodparte wrażenie, że gdyby teraz otworzył drzwi i tylko odezwał się do niej, nic więcej, może zdołałby cofnąć czas i naprawić, naprostować bieg swojego życia.

Pozwolił sobie nawet dotknąć klamki i nacisnąć ją, lecz zaraz się cofnął. Iluzja się rozviała i uznał, że to wszystko to efekt zmęczenia, rozpacz i bezsenności. Nie był już tamtym spontanicznym młodym człowiekiem, który wtedy przyjechał do Bejrutu.

Obecnie znacznie bardziej cenił przyjaźń niż miłość. Przyjaźń była mniej dynamiczna i dynamizująca, lecz trwała i godna zaufania. Romanse kończyły się boleśnie i źle. Już jakiś czas temu doszedł do wniosku, że naturalną konsekwencją związku jest rozstanie, podobnie jak naturalnym rezultatem małżeństwa było rozczarowanie, cierpienie dzieci, złamane serce i rozwód.

Wrócił na sofę i położył się. Zgasił światło. Do końca nocy myślał tylko o pracy i o Hawthorne'ach, tej idealnej parze, która podobno osiągnęła ideał - małżeństwo doskonałe. Jego umysł uchwycił się ich historii, ich przestrzeni życiowej. Godziny mijały, a on nie zasypiał.

W pokoju za drzwiami Gini także leżała bez ruchu, nie mogąc zapaść w sen. Słyszała, jak kroki Pascala zbliżają się do jej drzwi i oddalają się. Mało brakowało, by go zawołała, lecz coś kazało jej zachować milczenie. Niedługo potem pasmo światła, rysujące się pod drzwiami, znikło. Kiedy w końcu zasnęła, nawiedził ją dziwny, wyrazisty sen. Przeszukiwała rozdarłe wojną miasto, zrozpaczona i rozgorączkowana. Nie wiedziała, czego właściwie szuka, a miasto, które przemierzała, chwilami przypominało Londyn, a chwilami Bejrut.

Obudziła się wyczerpana. Przez zasłony sączyło się do pokoju szare światło, deszcz szumiał i bębnił o parapet. Gdy weszła do salonu, Pascal stał przy biurku, odwrócony do niej plecami. Powietrze przesiąknięte było zapachem świeżej kawy, faks cicho mrucał. Odwrócił się i wtedy Gini zobaczyła, że na jego twarzy nie ma śladu napięcia czy zmęczenia. Malowało się na niej skupienie i czujność. Mój kolega, pomyślała.

Podał jej kartkę papieru.

- Sprawa jest w toku - powiedział. - I nabiera tempa. Appleyard właśnie wyłonił się na powierzchnię, popatrz. Przysłał faks z wiadomością, że dziś rano przylatuje do Londynu. Proponuje spotkanie i chyba uda nam się zmieścić je w rozkładzie dnia. Możemy zobaczyć się z nim, a potem pojechać do twojej macochy i zgodnie z planem spotkać się z Hawthorne'ami... - Spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko.

Nie odpowiedziała. Nadal nie mogła otrząsnąć się z tamtego snu. Nie była pewna, jaki jest rok, nie mówiąc już o dniu tygodnia. Wzięła faks z ręki Pascala. List był krótki, napisany na komputerze, lecz dość charakterystyczny dla Appleyarda. Proponował, aby spotkali się w restauracji w Mayfair, o ósmej wieczorem, oczywiście jeżeli będą mieli czas.



## XV

W tę sobotę Mary wstała bardzo wczesnie. Na kolację miało przyjść dwadzieścia osób. Nie mogła już pozwolić sobie na zatrudnianie służby, a przygotowanie posiłku dla tylu gości oznaczało wiele godzin pracy. Ale to ją nie martwiło, ponieważ gotowanie od dziecka sprawiało jej przyjemność. Naturalnie, nie zmieniało to faktu, że z pewną nostalgią wracała myślami do dawnych czasów. Wspominała perfekcjonizm rodziców, męża i własny, a także osiągnięcia długiego orszaku kucharzy, sekretarek, lokajów i pomocników. Wtedy musiała martwić się tylko odpowiednim rozmieszczeniem karteczek z nazwiskami oraz wyborem najlepszego stroju. Przez wiele lat zabawiała obcych i słabo sobie znanych ludzi, a jednak wcale tego nie żałowała.

Dzisiaj musiała skupić się na menu. Była już prawie zdecydowana, ale dręczył ją jakiś niepokój, który nie miał nic wspólnego z potrawami i samą kolacją. Ten stan ducha sprawiał, że wciąż nie potrafiła podjąć ostatecznej decyzji. Otworzyła spiżarnię i zbadła zawartość lodówki. Westchnęła ciężko. Kiedy była roztargniona, gotowała fatalnie.

Skoncentruj się, powiedziała sobie, i trzymaj się pierwotnego menu. Wahanie zawsze pogarsza sytuację.

Doszła do wniosku, że zaczną od wędzonego łososia, potem przejdą do dania, które nieodmiennie cieszyło się wielkim powodzeniem wśród jej znajomych - bażantów duszonych w jabłkach i calvadosie. I wreszcie deser... Mary miała wielką słabość do puddingów i choć niektórzy z jej gości, między innymi Lise Hawthorne, nie podzielali tego zamiłowania, postanowiła przygotować swój ulubiony czekoladowy mus, jedną z odmian puddingu, oraz gruszki zapiekane w czerwonym winie z cynamonem. Gruszki zawsze budziły zachwyt, ponieważ przybierały piękny, rubinowy kolor i były naprawdę wyśmienite. Oczywiście, wszystko to razem miało w sobie tysiące kalorii, ale trudno.

Mary przewiązała się w pasie fartuchem i nucąc jakąś piosenkę, zabrała się do przygotowań, co od razu bardzo ją uspokoiło. Kolacja będzie ogromnym sukcesem, powiedziała sobie. Menu było cudownie proste i w jakiś sposób przywodziło jej na

myśl Richarda. Dziwne, że smaki i zapachy prowadzą do wspomnień o miłości i szczęściu. Jak to dobrze, że starannie dobrała gości... Niektórzy byli niewątpliwie nudni, to prawda, ale mogli okazać się użyteczni dla Johna Hawthorne'a, który zresztą prosił, aby umieściła ich na liście.

- Ach, ty podstępny lisie! - roześmiała się, kiedy wymienił ich nazwiska.

- Cóż, jestem teraz dyplomata - odparł. - Dobrze wiesz, co to oznacza.

- Ale urodziłeś się jako istota podstępna! - zaprotestowała. - Masz naturę Machiavellego, Richard zawsze tak twierdził.

- Tylko Machiavelli potrafi rozpoznać Machiavellego - zakpił John i lekko wzruszył ramionami. - Gdybyś była na moim miejscu, to też szybko nauczyłabyś się nie spuszczać z oczu tych, których masz za plecami...

Z pewnością, pomyślała teraz Mary. Dobrze rozwinięty zmysł ostrzegawczy jest niezbędnym atrybutem wszystkich, ludzi decydujących się na karierę polityczną. Te same słowa mogła usłyszeć z ust ojca czy męża. Zmysł ostrzegawczy oraz odrobina bezwzględności.

Zadowolona z siebie, zaczęła ucierać czekoladę na mus, z roztargnieniem wsuwając sobie do ust niewielkie kawałki. Wyjęła z lodówki śmietanę i jajka, a także kilka pasemek skórki pomarańczowej, która zawsze łamała i ożywiała słodczy czekolady. Rozdzieliła jajka, zabrała się do ubijania białek i pozwoliła sobie wrócić myślami do szczęśliwszych dni.

Przepis na mus dała jej jedna z ciotek Richarda, ekscentryczna dama, która spędziła czterdzieści lat poza ojczyzną, w Prowansji. Miała cudowny dom na wzgórzu, właściwie w połowie wysokości zbocza, do którego wiodła droga wysadzana wielkimi krzewami rozmarynu i lawendy. Richard złamał gałązkę lawendy, lekko roztarł kwiatki w palcach i podsunął go Mary. Wciągnęła w nozdrza ostry, wspaniały zapach.

- Moim zdaniem właśnie tak pachnie Francja, tak pachnie Południe... - powiedział Richard.

Mary przerwała ubijanie i zamyśliła się. Niepokój wrócił, równie męczący jak przed chwilą. Tego wieczoru, dosłownie za parę godzin, do jej domu wejdzie ten Pascal Lamartine.

Ta myśl napelniła ją przerażeniem. Nie ma sensu dłużej jej ignorować, doszła do wniosku. Musi stawić temu czoło, poradzić sobie z tym, co ją czeka, zdecydować, co zrobi. Czy powinna dać do zrozumienia temu Francuzowi, że wie, co wydarzyło się dwanaście lat wcześniej? Czy należy powiedzieć mu wprost, że wie, kim jest i co zrobił?

Usiłując opanować zdenerwowanie, zrobiła sobie kawę i złamała twardą zasadę - zapaliła papierosa, chociaż było jeszcze wcześnie. Siedziała przy stole i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń, nieszczęśliwa i rozstrojona.

Była pewna, że w chwili, gdy Gini wspomniała o Pascalu Lamartine, dobrze ukryła przed nią wstrząs i zmieszanie, co więcej, była dumna z przytomności umysłu, jaką się wykazała. Wiedziała, że nie jest najlepszą aktorką i że Gini jest wyjątkowo spostrzegawcza. Na szczęście Mary była córką i żoną dyplomatów i w trudnych sytuacjach sięgała do bogatego repertuaru sztuczek stosowanych w życiu towarzyskim. Nie podobało jej się to, bo kłamstwo nie leżało w jej naturze, a poza tym nigdy nie chciała oszukiwać Gini, którą szczerze kochała. Tym niemniej nauczono ją, jak maskować nudę, niechęć, a nawet niepokój. Mary od dziecka poznawała techniki uprzejmych uników, kłamstwa i dygresji. W przeszłości setki razy uciekała się do nich podczas przyjęć w ambasadach i skorzystała z nich także w ubiegłą środę, kiedy Gini całkowicie ją zaskoczyła, niespodziewanie wymieniając nazwisko Lamartine'a. Nie, Gini niczego nie zauważyła i niczego nie podejrzewała, Mary była o tym głęboko przekonana. Jej komentarze o paparazzi były idiotyczne, a w tych okolicznościach ton swatki mógł okazać się bardzo ryzykowny, lecz wszystko to razem pomogło jej osiągnąć cel i pozwoliło zyskać na czasie. Niestety, teraz czas uciekał i musiała zdecydować, jak zachować się wobec Pascala Lamartine'a.

Kiedy Gini wyszła od niej w środę, Mary przez pół nocy przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. W czwartek wieczorem poszła na przyjęcie do ambasady francuskiej i John Hawthorne, który zjawił się bez żony, odwiózł ją do domu. Wszedł na chwilę, przyjął zaproszenie na drinka, zauważył jej zdenerwowanie i delikatnie zadał jej kilka pytań. Mary opierała się przez chwilę, lecz w końcu wyrzuciła z siebie całą historię.

Teraz wcale tego nie żałowała, bo John nigdy w życiu nie zdradził powierzonego mu sekretu. Dla dobra Gini Mary nigdy wcześniej nie rozmawiała z nikim o tej sprawie, lecz wreszcie poczuła najprawdziwszą ulgę. Już dawno doszła do wniosku, że jednym z najgorszych i najbardziej bolesnych aspektów wdowieństwa jest samotność w podejmowaniu decyzji. Bardzo brakowało jej umiejętności słuchania, jaką posiadał Richard, jego wsparcia oraz spokojnych, dobrych rad.

Tę lukę w jej życiu w coraz większym stopniu wypełniał John Hawthorne, za co Mary była mu ogromnie wdzięczna. John, człowiek znacznie twardszy od Richarda, był pod wieloma względami podobny do niego. On także umiał słuchać, wiele osób twierdziło nawet, że właśnie ta cecha decyduje o jego sukcesach. W minionych dwunastu miesiącach Mary odkryła także, że John Hawthorne potrafi być dobry, otwarty na potrzeby innych i wrażliwy. Nie przebierał w słowach, nie pochlebiał i nie mówił pocieszających kłamstw. W bezpośredni sposób udzielał prostych rad, które po przemyśleniu zwykle okazywały się dobre i inteligentne. John był bystrym, pełnym rezerwy człowiekiem, który w ciągu ubiegłego roku odsłonił oczom Mary jakąś część swego złożonego charakteru. Dobrze mieć takiego przyjaciela, pomyślała. Dobrze wiedzieć, że można się na nim oprzeć i mu zaufać.

- To znaczy, że Gini znała go już wcześniej? - zapytał, marszcząc brwi.

- Więcej... O, Boże, co ja mam zrobić? Jeżeli Sam się dowie, będzie wściekły... John, który dość dobrze znał jej byłego męża, uśmiechnął się lekko.

- A Sam w ataku wściekłości to zjawisko, którego lepiej unikać - rzekł. - Mów dalej.

- Nie wiem, od czego zacząć. Gini nie ma pojęcia, że wiem, co się wtedy wydarzyło. Sam i ten Lamartine stoczyli walkę, słowo daję, wdali się w bójkę. Sam miał rozciętą powiekę i pęknięte żebro. Gini... Biedna Gini przez długie miesiące nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Strasznie się bałam, że zaszła w ciążę, ale niepotrzebnie, dzięki Bogu. Wciąż sobie powtarzałam, że lada dzień zwierzy mi się ze wszystkiego, lecz ona do dziś nie podjęła takiej próby. To dowód, jak głębokie było tamto uczucie, prawda? A teraz ten przeklęty Francuz zjawia się znowu i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ona nadal coś do niego czuje. Widzę to w jej twarzy. Co mam zrobić? Interweniować czy milczeć? Powiedzieć Samowi, że Lamartine znowu

wypłynął na powierzchnię? Obiecałam mu, że tak zrobię, ale to było dwanaście lat temu... Gini jest już od dawna dorosła, więc teraz wydaje się to idiotyczne... W końcu dorosłej osobie nie można zabronić, można tylko radzić. Przyszło mi do głowy, że powiem coś temu Lamartine w sobotę, kiedy tu przyjdzie, może wtedy się wycofa. Oczywiście, jeżeli nadal jest zainteresowany Gini, choć najprawdopodobniej już dawno wywietrzało mu to z głowy... - Przerwała, odrobinę zdyszana, i odwróciła się do Johna. - Widzisz, niepokoję się o Gini... Jest dużo bardziej wrażliwa, niż można by przypuszczać, i nie chcę, żeby znowu cierpiała. Lamartine głęboko ją zranił i wcale się tym nie przejął, to jasne jak słońce. Dlaczego niektórzy mężczyźni są tak bezwzględni i gruboskórni? Dlaczego?

- Nie wiem - odparł Hawthorne, rzucając Mary nieco rozbawione, pełne sympatii spojrzenie. - Mógłbym udzielić ci bardziej wyczerpującej odpowiedzi, gdybyś trochę zwolniła i opowiedziała mi wszystko od początku. Nie do końca rozumiem, o co chodzi. Mówimy o uwiedzeniu czy o romansie?

- O uwiedzeniu, oczywiście. - Twarz Mary wyrażała absolutne oburzenie. - Przecież to zdarzyło się dwanaście lat temu, Gini miała wtedy zaledwie piętnaście lat...

Rozbawienie Hawthorne'a znikło w jednej chwili. Pochylił się nad stołem i słuchał Mary w absolutnym skupieniu. Była to długa historia, lecz John Hawthorne nie przerwał swej przyjaciółce ani razu.

- To było okropne lato - zaczęła Mary. - Lato tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, najgorszego roku w moim życiu... Nie widziałam Sama od bardzo dawna, wiedziałam tylko, że wyjechał do Bejrutu...

Jeszcze raz przywołała z pamięci tamte chwile. Lodowaty głos dyrektorki szkoły w słuchawce, lęk, jaki budziła w niej myśl o konieczności skontaktowania się z policją, wielka ulga, kiedy Gini w końcu zadzwoniła z hotelu Ledoyen i wyjaśniła, gdzie jest i co się z nią dzieje... Tego samego wieczoru rozmowa z Samem, który był lekko pijany, w stanie wskazującym na spożycie trzech ginów, jak mawiała Mary... Niezdarne, aroganckie zapewnienia Sama, że Gini nic nie grozi, że będzie się nią opiekował, i wielki niepokój Mary, bo przecież Bejrut był niebezpiecznym miejscem, a Sam Hunter nigdy w życiu nie opiekował się córką...

- Och, dajże spokój! - powiedział Sam. - Przyjechała i równie dobrze może tu trochę zostać. Może nauczy się rozumu. Wiesz, co ona mówi? Że chce być dziennikarką, na miłość boską!

- Powtarza to od pięciu lat, mój drogi. Gdybyś chociaż raz jej posłuchał, nie byłaby to dla ciebie żadna nowina.

- Posłuchaj, mówimy o dzieciaku, o szesnastoletniej dziewczynce...

- Piętnastoletniej - sprostowała Mary. - Szesnaście lat będzie miała dopiero za miesiąc.

- Piętnastoletniej, szesnastoletniej, co za różnica... - Głos Sama zagłuszyła seria głośnych trzasków. - Dziennikarką! Więc dobrze, dajmy jej posmakować dziennikarstwa! Gwarantuję ci, że za tydzień już jej tu nie będzie!

Mary spojrzała w ogień, przerwała i westchnęła. Po chwili podjęła opowieść.

Oczywiście Sam bardzo się mylił. Minęły dwa tygodnie, potem trzy. Próbowwała dzwonić, lecz Sam nie odbierał telefonów, a Gini nigdy nie było w pokoju, nawet bardzo późnym wieczorem.

Opisała rosnący niepokój i bezradność, które dręczyły ją bez przerwy, opowiedziała, jak codziennie przeglądała prasowe doniesienia z Bejrutu. I wreszcie dzień, kiedy Sam i Gini nagle, bez uprzedzenia zjawili się u niej. Była dziesiąta rano, kiedy Mary usłyszała zatrzymującą się pod domem taksówkę. Wybiegła na zewnątrz, gotowa zasypać ich pytaniami, zobaczyła ich twarze, chmurne i napięte, i stanęła jak wryta.

Twarcz Gini była blada, poznaczona śladami łez, Sam pocił się, kłął i wygrażał wszystkim i wszystkiemu. Miał obrzmiałą szczękę, dziesięć szwów przytrzymujących poszarpane rozcięcie nad okiem i utykał na jedną nogę. Prawie wciągnął Gini do holu.

- No, dobra! - warknął. - Zjeżdżaj do swojego pokoju i zostań tam. Wyjdiesz dopiero wtedy, gdy ci pozwolę, ani sekundy wcześniej. Jezu, całą noc nie zmrużyłem oka! Zrób mi drinka, Mary, dobrze? Tylko dużego...

Gini bez słowa pobiegła na górę. Jej pokój znajdował się na poddaszu. Przeszli do salonu, Sam zamknął drzwi. Mary patrzyła na niego, skonsternowana i pobladła. Jednym haustem wypił pół szklanki ginu i zaczął mówić.

- Chcesz wiedzieć, co się stało? Dobrze, powiem ci. Mężczyzna, niejaki Pascal Lamartine, pieprzony Francuz. Fotoreporter, jedna z tych pijawek. Teraz słuchaj uważnie i trzymaj się - ten drań pieprzył Gini. Pieprzył ją dzień i noc, przez parę tygodni... - Hunter przerwał i nalał sobie następną porcję ginu. - Wspaniale, co? Nie widziałem córki przez trzy lata i czego się dowiaduję? Że jest cholerną kłamczuchą i dziwką! Wiesz, co się stało? Wziął ją do łóżka pierwszego dnia, ledwo się poznali i zostali tam na całe trzy tygodnie. Pieprzyli się dwadzieścia cztery godziny na dobę, moja droga! Mojej córce ciągle było mało, na miłość boską! - Przełknął alkohol i wytarł twarz. - Zdajesz sobie chyba sprawę, co będzie dalej? Dziewucha zaszła w ciążę, dam głowę, chociażby dlatego, że jest głupia jak but z lewej nogi! Piętnastolatka z bachorem! Co ja takiego zrobiłem, czym sobie na to zasłużyłem? Cóż, jeżeli jest w ciąży, zapłacę za skrobankę i umyвам ręce! Nie chcę jej więcej znać! Do diabła z nią i tą cholernie elegancką szkołą, którą dla niej wybrałaś i za którą trzeba płacić cholernie wysokie chesne! Mam nadzieję, że wywalą ją na zbity pysk. I mam nadzieję, że mnie rozumiesz - to ty się nią opiekujesz, ty z nią mieszkasz i dlatego ciebie za to wszystko winię...

Ten monolog ciągnął się całymi godzinami. Sam oskarżał, przeproszał, obrażał i klął na czym świat stoi. Mary słuchała w milczeniu, dopóki nie dowiedziała się wszystkiego.

Z przedstawionej przez Sama wersji wynikało, że Lamartine miał trzydzieści lat i fatalną reputację. Wdał się w bójkę z Samem, który o mało go nie zabił i zupełnie nie pojmował, dlaczego nie dokończył dzieła. Mary co najmniej trzy razy wysłuchała opowieści o pokoju w porcie, o łóżku i prześcieradle.

- Jesteś pewny, że wiedział, ile Gini ma lat? - zapytała Mary.

- Czy jestem pewny? Oczywiście!

- Przyznał się?

- Myślisz, że by się przyznał? To drań, ale nie głupiec! Gini próbowała go osłaniać, powiedziała, że go okłamała. Okłamała go, wyobrażasz sobie coś takiego? Mała kłamczucha! Lamartine od początku wiedział, ile Gini ma lat, przechwalał się tym w barach, w restauracjach, opowiadał wszystkim, jak uwiódł moją pieprzoną córkę! Jak zaciągnął ją do łóżka tego samego dnia, kiedy ją poznał! Mówił, że Gini ma



piętnaście lat, ale przecież nieletnie są najlepsze... Mówił o tym wszystkim, wszystkim, rozumiesz? Dziennikarzom, barmanom, kelnerom, każdemu, kto chciał go słuchać. Przez niego stałem się pośmiewiskiem! Opisywał, czego ją nauczył, ze szczegółami, co robili...

- Co robili? - zapytał John Hawthorne.

Jego pytanie zaskoczyło Mary. Podniosła wzrok i z westchnieniem potrząsnęła głową.

- Przepraszam, byłem myślami daleko stąd... Ciągle mam te chwile przed oczami... Dokładnie pamiętam, jak się czułam, co powiedział Sam... O co pytałeś?

- Och nic, to nieważne... - Hawthorne się wyprostował.

Mary wstała i zaparzyła kawę dla nich obojga. Potem szybko opowiedziała Hawthorne'owi całą resztę. Jak postanowiła milczeć i pozwoliła Gini wierzyć, że Sam dotrzymał danego jej słowa, iż nikomu nie powie, co wydarzyło się w Bejrucie. Jak udawała, że uwierzyła, iż przyczyną niespodziewanego powrotu Sama i Gini był jakiś głupi wyskok młodej dziewczyny - późny powrót do hotelu czy coś równie nieistotnego. Jak wciąż miała nadzieję, że z czasem Gini się jej zwierzy, przedstawi własną wersję tamtej historii...

- Ale ta chwila nigdy nie nadeszła, tak? - odezwał się Hawthorne.

Mary wyczuła, że jego uwaga uległa rozproszeniu, ponieważ ta część opowieści interesuje go mniej niż poprzednia. Skinęła głową.

- W porządku... - Nachylił się w jej stronę i delikatnie pogładził ją po dłoni. - Rozumiem... Teraz powiem ci, co bym zrobił na twoim miejscu...

Jego rada okazała się prosta i rozsądna, jak zwykle.

- Nic - rzekł krótko. - Na twoim miejscu nie zrobiłbym nic...

Teraz z piersi Mary wyrwało się ciężkie westchnienie. Podniosła się i rozejrzała po kuchni. Chaos, pomyślała. Kompletny chaos... Robiło się późno i naprawdę musiała wziąć się do pracy, skończyć przygotowywanie musu, zabrać się do bażantów... Zaczęła bez zapału ubijać pianę z białek. Odmierzyła śmietanę, ale wątpliwości nie opuściły jej ani na chwilę. Czy rzeczywiście była to najlepsza rada? Najwłaściwsza decyzja? Kiedy słuchała Johna, była tego absolutnie pewna, może

dlatego że jego głos brzmiał tak chłodno, beznamiętnie i przekonująco. I trochę bezwzględnie...

- Po pierwsze, nie ulega wątpliwości, że ten Lamartine to nicpoń - powiedział. - To nazwisko nie jest mi obce... Dowiem się, kto to taki i dam ci znać... - przerwał. - Po drugie, Gini musi sama odkryć, że ma do czynienia z draniem. Nie zrobisz tego za nią, nie powinnaś nawet próbować. To dorosła kobieta, nie dziecko. Inteligentna osoba, sądząc po tekstach, które pisze. Wydaje mi się, że niełatwo ją oszukać... - Uważnie spojrzał na Mary. - Mam rację?

- Chyba tak...

- Więc pozwól jej na samodzielność, nie wtrącaj się, a przede wszystkim nie wciągaj w to Sama. Jego udział z pewnością tylko pogorszyłby sprawę. Po trzecie, nie podejmuj decyzji z góry - dodał po krótkiej przerwie, zupełnie zaskakując ją tą radą. - Jesteś uprzedzona do Lamartine'a...

- Uprzedzona? - Mary spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Nie sędzę, bym była do niego uprzedzona. Jest oczywiste, co zrobił, wykorzystał Gini, a potem poleciał do następnej. Było to okrutne i niewybaczalne...

- Jesteś tego pewna?

Jakaś nuta w jego głosie wydała jej się co najmniej dziwna. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że John rozumie Lamartine'a, a była to ostatnia reakcja, jakiej by się po nim spodziewała. John był przecież taki konserwatywny i staroświecki, kiedy chodziło o moralność seksualną... Mary zawsze uważała, że jest to efekt katolickiego wychowania.

- Jesteś tego pewna? - powtórzył. - Pomyśl, wysłuchałaś tylko jednej wersji tej historii, bardzo stronnicej. Z mojego doświadczenia wynika... - Odwrócił wzrok i ściągnął brwi. - Z mojego doświadczenia wynika, że jedna wersja zawsze wyklucza okoliczności łagodzące, jakie zwykle istnieją...

- Co za bzdury! - Mary się zdenerwowała. - Fakty mówią same za siebie...

- Nieprawda - przerwał jej spokojnie. - Fakty rzadko mówią same za siebie, a ty interpretujesz fakty, które znasz z drugiej ręki. Ludzie zwykle tak robią. - W głosie Hawthorne'a zabrzmiała gorzka nuta. - Często byłem ofiarą takich interpretacji, więc wiem, o czym mówię, możesz mi wierzyć.

- W porządku, zaczekam - odparła Mary. - Zaczekam z wydaniem sądu. O to ci chodziło, tak?

- Tak. - Ton jego głosu był zdecydowany i twardy. Mary trudno było to zaakceptować.

- Nie osądzaj w pośpiechu - podjął. - Poczekaj do chwili, gdy poznasz tego człowieka, a na razie... - Zawiesił głos i w jego oczach błysnęło rozbawienie. - Na razie Wyluzuj trochę, nie bądź taka sztywna. Spróbuj spojrzeć na to z punktu widzenia Lamartine'a, pomyśl o pokusach, z jakimi musiał się zmierzyć. Żył w wielkim napięciu, pracował pod ogniem karabinów maszynowych, w niebezpiecznym miejscu i niebezpiecznym czasie. I nagle spotkał nieznaną, piękną, jasnowłosą nieznaną. Przecież potrafisz zrozumieć dynamikę takiej sytuacji, moja droga. Przyznasz chyba, że nosi ona w sobie spory ładunek erotyzmu.

- I to ma usprawiedliwić jego zachowanie? Z pewnością nie w moich oczach...

- Nie usprawiedliwić, ale może tłumaczyć... Bądź realistką. - W jego głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie. - Piętnastoletnie dziewczęta potrafią prowokować, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Umieją uwodzić niepostrzeżenie i bardzo sprawnie. Lubią wypróbowywać swoją potęgę seksualną, a jednym z takich testów może być otwarte zaproszenie do gry. Dlatego nie zawsze można winić mężczyznę, który reaguje na to zaproszenie...

- Obwiniasz Gini! - oburzyła się Mary. - Wstydz się!

- Wcale jej nie obwiniam - powiedział ostro. - Mówię tylko, że istnieje taka możliwość. Aby uwiedzenie mogło dojść do skutku, potrzeba dwojga ludzi...

Mary popatrzyła na niego z niezrozumieniem i poczuciem winy. Nagle dotarło do niej, że są o krok od kłótni. Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że i on tak uważa.

- Nie odpowiadaj na to - rzekł szybko. - Przepraszam cię. Jest już późno i powinienem się zbierać. Tak czy inaczej, nie ująłem tego zbyt dobrze... - Wstał i otoczył jej barki ramieniem. - Staram się tylko uświadomić ci podstawową różnicę między mężczyznami i kobietami. Dla Gini na pewno była to wielka miłość, tak jak mówisz, ale z męskiego punktu widzenia... Musisz przyznać, że prawdopodobnie pokusa była naprawdę silna. Mężczyźni lubią seks, prosty, bezpośredni seks bez emocjonalnych podtekstów. Jeżeli wyczuwają zaproszenie, korzystają z niego... I nie

udawaj, że nie wiesz o tym równie dobrze jak ja... że potępiasz to z góry. To niemożliwe, zbyt dobrze znam twoją przeszłość...

Mary się zawahała, lecz zaraz uśmiechnęła się, wdzięczna za zażegnanie kłótni.

- Dobrze, już dobrze... - powiedziała. - Przekonałeś mnie, chociaż nie mam zielonego pojęcia, dlaczego wzięłeś na siebie rolę adwokata Lamartine'a. W porządku, postaram się zachować otwarty umysł...

- Wiesz, jak często mężczyźni myślą o seksie? - John z uśmiechem podszedł do drzwi. - Tydzień temu widziałem wyniki sondażu na ten temat... Co dwie minuty, moja droga, czy może co trzy...

- Ty kłamco! - Mary parsknęła śmiechem. - Zmyśliłeś to na miejscu!

- Wcale nie, to prawda. Przetestowałem to nawet na sobie, żeby sprawdzić, czy jestem prawdziwym mężczyzną... - Rzucił jej chłopięcy, rozbrajający uśmiech. - Zrobiło się już strasznie późno. Jadę do domu.

Gdy wyszedł, Mary pogratulowała sobie. Doszło do spięcia, ale takie chwile zdarzały się między bliskimi przyjaciółmi. Na szczęście obydwójce w odpowiednim czasie dostrzegli grożące im niebezpieczeństwo... Przy pożegnaniu jak zwykle przerzucali się żartobliwymi uwagami. Przyjaźń pozostała nienaruszona.

Ale czy rada Johna była dobra? Teraz, dwa dni po tamtej rozmowie, kilka godzin przed pojawieniem się Lamartine'a, nie była już tego taka pewna... Nie robić nic czy jednak coś zrobić? Znowu ogarnęła ją niepewność.

W końcu postanowiła zaczekać i podjąć decyzję po poznaniu Francuza. Pozostawi to wyczuciu, tak jest... Z zadowoleniem wróciła do ubijania piany z białek i była już bliska osiągnięcia celu, kiedy nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

Na progu stał John Hawthorne, ubrany w nieformalny weekendowy strój, z nowym ochroniarzem u boku, który był obładowany wielkimi pudłami pełnymi kwiatów.

- To dla ciebie - oświadczył John. - Na dzisiejsze przyjęcie. Malone, wnieś je do środka, najlepiej do kuchni.

Mary spojrzała na piękne kwiaty i o mało nie rozplakała się z zachwytu i radości. Żonkile, hiacynty, irysy, tulipany... Wiosenne kwiaty, na które teraz nie było ją stać. W oczach poczuła łzy wzruszenia.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry... - powiedziała, sięgając po jego dłoń.

Jeżeli zauważył łzy, to miał dość delikatności i dyskrecji, aby udać, że ich nie widzi. Lekko ścisnął jej rękę.

- Zobaczymy się wieczorem - rzekł. - Muszę już uciekać... - Spojrzał w głąb domu, upewnił się, że ochroniarz nie może ich usłyszeć, i podał Mary dużą brązową kopertę. - Masz tu te informacje o Pascalu Lamartine, które obiecałem ci zdobyć. Zagoniłem do roboty dwóch ludzi i muszę przyznać, że nieźle się spisali.

- Na miłość boską... - Mary zważyła kopertę w rękach. - Co tam włożyłeś? To waży co najmniej tonę...

- Wszystkie wycinki prasowe. Detale związane z jego pracą, kilka rzeczy z mniej oczywistych i jawnych źródeł...

Odwrócił się i ruszył w dół po schodach. Po obu stronach samochodu natychmiast zmaterializowali się dwaj ochroniarze.

- Kolacja pachnie wspaniale. - John uśmiechnął się szeroko. - Czuję wino, cynamon... Same smakowitości. Lise przesyła ucałowania. Przyjemnej lektury...

Mary otworzyła kopertę dopiero po południu i na widok zawartości na sekundę wstrzymała oddech.

Zaskoczył ją nie rodzaj informacji, lecz ich ilość. Naturalnie zdawała sobie sprawę, że przy obecnej technologii takie rzeczy są możliwe, wiedziała też, że ktoś taki jak John Hawthorne może bez trudu i skutecznie przeprowadzić prywatne dochodzenie w dowolnej sprawie, ale tempo działania jego ludzi i zakres informacji zupełnie zbiły ją z nóg.

Miała przed sobą szczegóły dotyczące narodzin i dzieciństwa Pascala Lamartine, jego edukacji, kariery zawodowej, małżeństwa, rozwodu, kont bankowych, zarobków, zadłużenia, zwrotu nadpłat podatkowych. Mogła się przekonać, czy terminowo spłacał kredyt hipoteczny oraz kiedy i gdzie korzystał z kart kredytowych. Mogła sprawdzić, co kupował w sklepach, jakie kraje odwiedził, jakimi liniami lotniczymi latał i jakie hotele wybierał. Miała przed sobą adres jego studia w Paryżu i nazwisko dozorczyńi. Dowiedziała się, do kogo dzwonił z domu, ponieważ wśród informacji znalazła kompletny biling rozmów z jego telefonu...

Długo przeglądała papiery, wreszcie włożyła je, w znacznej części w ogóle nieprzeczytane, z powrotem do koperty. Miała świadomość, że drży i czuła się głęboko zawstydzona.

Po paru minutach spaliła kopertę razem z zawartością. Sam fakt, że jej dotykała, sprawił, iż ogarnęło ją poczucie nieczystości i lęku, zupełnie jakby była szpiegiem lub nałogowo podglądała Bogu ducha winnych ludzi...

## XVI

Restauracja, którą zaproponował Johnny Appleyard, nosiła nazwę Stiltskins i była ostatnią londyńską restauracją, jaką wybrałaby Gini. Przychodziło tu mnóstwo turystów, biznesmenów przyjeżdżających do Londynu w interesach oraz kobiet, które Mary nazywała „córami Koryntu”.

Lokal ten znajdował się na obrzeżach Mayfair, przy Shepherd Market. Pojechali tam garbusem Gini, zaparkowali samochód kilka przecznic wcześniej i w deszczu ruszyli dalej na piechotę. Zawsze znajdowała się tu dzielnica czerwonych lamp i dziewczyny na telefon nadal świadczyły usługi w tej okolicy, chociaż robiły to w bardzo dyskretny sposób, wyłącznie w pokojach na piętrze. Gini i Pascal minęli kilku klientów, którzy szybko odwrócili głowy, aby uniknąć ich spojrzeń.

Hałas dobiegający ze Stiltskins słychać było już dwie ulice dalej. Kiedy dotarli do restauracji, na chodnik wysypała się właśnie grupa japońskich biznesmenów z angielskimi dziewczynami. Ciemne wnętrza przypominało długi ciąg zadymionych jaskiń o czerwonych ścianach, z głośników huczał głos Toma Jonesa, nad stolikami wisiały oprawione w ramki wulgarne dowcipy.

Okazało się, że Appleyard wcześniej dokonał rezerwacji. Szef kelnerów, który spokorniał na sam dźwięk jego nazwiska, zaprowadził ich do stolika na cztery osoby daleko pod ścianą. Usiedli. Pascal poprosił o wino. Gini westchnęła.

- Obawiam się, że przyjdzie nam poczekać - powiedziała. - Appleyard słynie z niepunktualności...

- Wspaniale... - Pascal ponuro rozejrzał się po sali. - Cóż, mam nadzieję, że wkrótce się zjawi. Nie wytrzymam tu długo.

- Jestem pewna, że trochę potrzyma nas w napięciu, co najmniej dwadzieścia minut. Należy do tych, którzy uważają, że spóźnienie jest oznaką wysokiej pozycji.

Pascal jęknął. Od stolika obok gruchnął śmiech - jakaś hałaśliwa grupka zamawiała właśnie największe butelki szampana. Odwrócił się w kierunku wejścia, gdzie pojawiło się kilkoro nowych gości.

- To nie jeden z nich? Jak on wygląda?

- Nie, nie ma go tu. Ma bardzo charakterystyczny wygląd, na pewno z nikim go nie pomylił. Kiedy natknęłam się na niego ostatnim razem, jadł lunch z Jenkinsem, ubrany w biały garnitur, fioletową koszulę i różowy krawat. Nie zawsze aż tak rzuca się w oczy, ale lubi wyrafinowany styl. Jest średniego wzrostu, raczej drobnej budowy, jasnowłosy. Często nosi goździk w butonierce i uważa się za wcielenie Oscara Wilde'a.

- A nie jest nim? - Pascal uśmiechnął się lekko.

- Zawodzą go umiejętności pisarskie. Poza tym... - Gini się zawahała. - Poza tym nie jest zbyt miły. Zjadliwy i przykry, no i ciągle ugania się za nowymi facetami...

- Biedny Stevey z Nowego Jorku nie utrzyma się długo, tak?

- Tak. Biedny Stevey miał bardzo smutny głos, kiedy z nim rozmawiałam. - Gini odwróciła wzrok.

Pascal zobaczył, jak jej oczy przesuwają się po sąsiednich stolikach. Zmarszczył brwi.

Tego dnia pracowali w jego pokoju hotelowym, ponieważ nie miał zaufania do jej telefonu. On skoncentrował się na Jamesie McMullenie, natomiast Gini na Lornie Munro i jej stroju. Późnym popołudniem poszli do mieszkania Gini, żeby mogła się przebrać. Ze względu na przyjęcie u Mary włożyła nową sukienkę. Powiedziała mu, że dostała ją na Gwiazdkę od Mary i miała na sobie tylko raz, na noworocznym obiedzie. Czuła się w niej trochę niepewnie, bo rzadko nosiła sukienki tego rodzaju, ale postanowiła ubrać się w nią, żeby sprawić przyjemność ofiarodawczyni. Pascal nie skomentował jej wyglądu. Pomyślał, że sukienka może by mu się spodobała, gdyby Gini włożyła ją dla niego, lecz zaraz odepchnął tę myśl, bo wydała mu się wyjątkowo małoduszna.



Była to piękna sukienka, wąska kolumna z czarnej jedwabnej krepy, odsłaniająca dekolt i ramiona. Trzymała się na dwóch ramiączkach, cienkich jak ostrze noża. W zestawieniu z czernią jedwabiu, skóra Gini olśniewała kremową bielą. Tuż nad obojczykami zaznaczały się dwa niebieskawe cienie. Uznał, że wygląda bardzo subtelnie, młodo i niewinnie.

Objął wzrokiem owal jej twarzy. Ściągnęła jasnozłote włosy do tyłu i związała je na karku. Jako jedyną ozdobę nosiła mały złoty kolczyk, kolczyk od niego. Złoto, kość słoniowa i sukienka jak ruchome cienie... Nagle wyobraził sobie jej rozpuszczone jasne włosy, rozpostarte na podłodze niczym olbrzymi wachlarz. Obraz ten zupełnie niespodziewanie wyłonił się z jego pamięci, więc czym prędzej przeniósł spojrzenie w inne miejsce. Nie wspominał o tym Gini, ale głęboko niepokoił go fakt, że sprawa, nad którą pracowali, dotyczyła perwersyjnych randek z jasnowłosymi kobietami i najprawdopodobniej obsesji na ich punkcie. Pomyślał o czarnym pantoflu i czarnej jedwabnej pończosze, które jej przysłano, a także o kajdankach i nagle z całego serca zapragnął, aby była szatynką lub brunetką.

Zepchnął tę myśl w głąb podświadomości i rozejrzał się dookoła. Czas mijał, a Appleyarda wciąż nie było. Gini wyjęła notes i z pochyloną głową zaczęła przerzucać kartki, nie dostrzegając spojrzenia Pascala, który teraz wpatrywał się w gładki węzeł jej włosów. Z trudem panował nad pragnieniem, aby wyciągnąć rękę nad stołem, wyjąć spinki z włosów i zobaczyć, jak jasna fala przykrywa ramiona dziewczyny. Nagle uderzyło go, że oto uczestniczy w scenie, jaką wyobraził sobie kilka dni wcześniej - byli w restauracji, nawet jeżeli on sam wybrałby zupełnie inną, siedzieli przy stoliku, na którym płonęła świeca, i pili wino. Pascal, także ze względu na przyjęcie u Mary, miał na sobie marynarkę, którą kupił w hotelowym sklepie, białą koszulę i ten przeklęty krawat. W zasadzie wszystko było więc tak, jak sobie wymarzył, lecz co robiła Gini? Gini przeglądała notes, pracowała. Czy ona kiedykolwiek robi sobie przerwy w pracy? Westchnął.

Gini podniosła oczy i uśmiechnęła się.

- Przykro mi... - powiedziała. - Na pewno zaraz tu będzie, lada chwila...

Pomyślałam sobie, że skoro już i tak siedzimy beczynnienie... - Postukała palcem w

okładkę notesu. - Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym sprawdziła kilka informacji, prawda? Obawiam się, że mogłam coś przeoczyć...

Zapalił papierosa.

- Teraz? - odezwał się. - Dlaczego nie? Sprawdź, oczywiście...

Jego odpowiedź zabrzmiała sucho i niechętnie. Rzuciła mu niepewne spojrzenie.

- Wolisz porozmawiać o McMullenie?

- Nie, skądże. Możemy zająć się nim jutro, w samolocie do Wenecji. Niedługo spotkamy się z Hawthorne'ami, więc skoncentrujmy się teraz na nich, a w każdym razie na Lise... - Dolał wina do kieliszka Gini.

- Na Lise skupię się za chwilę, bo dosłownie przed sekundą zauważyłam tu coś interesującego... - Przerzuciła kilka kartek. - Po pierwsze, ta Lorna Munro...

- Jeszcze nie oddzwoniła?

- Nie, może dlatego, że już wyjechała z Mediolanu do Rzymu, gdzie ma sesję zdjęciową dla włoskiej edycji „Vogue”. Udało mi się zdobyć jej nowy numer telefonu i zostawiłam jej tam wiadomość... - Przerwała i ściągnęła brwi. - Im więcej o tym myślę, tym głębiej jestem przekonana, że Lorna Munro nie ma bezpośredniego związku z naszą sprawą... Wydaje mi się, że została przez kogoś wynajęta. Miała przyjechać do Londynu, ubrać się w to niesamowite futro, dostarczyć przesyłki. Ot, takie nietypowe zlecenie dla modelki...

- To całkiem możliwe. Dowiemy się wszystkiego, kiedy w końcu z nią porozmawiamy. Mów dalej...

- Wobec milczenia Lorny, zainteresowałam się jej strojem. - Gini westchnęła. - Ktoś powiedział mi kiedyś, że tajemnicą dobrego reportażu jest dokładne sprawdzanie szczegółów, raz, drugi i trzeci... Postanowiłam zastosować się do tej rady i porozmawiałam ze wszystkimi osobami, do których wczoraj dzwoniła Lindsay, lecz muszę przyznać, że nie dało mi to zbyt dużo. Chcesz posłuchać streszczenia, czy wolałbyś zająć się czymś innym?

- Chętnie posłucham... - Pascal zerknął przez ramię ku wejściu.

Nadal ani śladu tego cholernego Appleyarda. Facet spóźnił się już ponad pół godziny.

- Zadzwoiłam do wszystkich dużych salonów futrzarskich w Londynie. Z satysfakcją mogę powiedzieć, że nie zostało ich dużo. Nienawidzę futer, brrr... Nie poszczyło mi się. Nikt nie chciał rozmawiać o dokonywanych przez klientów zakupach, ani wczoraj z Lindsay, ani dziś ze mną. To samo u Bulgarego. Przyznali tylko, że naszyjnik z pereł, który znalazł się na okładce „Vogue”, został sprzedany.

Pascal wzruszył ramionami.

- Czy Lorna Munro rzeczywiście nosiła właśnie ten naszyjnik? - zapytał. - Sznury pereł niczym się nie różnią, prawda? Prawdziwe, sztuczne, hodowlane, wszystkie są takie same.

Gini się uśmiechnęła.

- Może w oczach mężczyzny... - mruknęła. - Te perły od Bulgarego były prawdziwe, idealnie dobrane i miały niepowtarzalną zapinkę - złotą, z rubinem, zaprojektowaną specjalnie po to, aby nosić ją z przodu. Susannah z ICD jest absolutnie pewna, że Lorna Munro miała na szyi ten naszyjnik, żaden inny. - Gini przewróciła kartkę. - Zostawiłam Bulgarego w spokoju i zadzwoniłam do Cartiera, bo chyba pamiętasz, że Susannah powiedziała nam, iż tamta kobieta nosiła jeden z ich dużych, prostokątnych zegarków, na pasku z zielonej krokodylej skóry. Beznadzieja! Okazało się, że tylko w sklepie firmowym na Bond Street w tygodniu przed Bożym Narodzeniem sprzedali ich piętnaście. W całej Anglii są setki sklepów jubilerskich, w których można kupić zegarki od Cartiera, więc się poddałam.

Przerwała i podniosła wzrok. Na jej twarzy pojawił się wyraz, który Pascal nauczył się już rozpoznawać. Uśmiechnął się, wzruszony jej spontaniczną radością.

- Niech zgadnę... - rzekł. - Podałaś się, lecz zaraz potem dokonałaś odkrycia, czy tak?

- Może nie aż odkrycia, ale w każdym razie dowiedziałam się kilku interesujących rzeczy. Przed wszystkim od początku miałam wrażenie, że z tym kostiumem od Chanel coś jest nie tak... Nie zaskoczyło mnie, że Lise ma zwyczaj zamawiania ubrań z wielkich salonów przez telefon, bo wiele sławnych, bogatych kobiet woli nie korzystać z ogólnie dostępnych przymierzalni, ale byłam zdziwiona, dlaczego żona ambasadora Stanów Zjednoczonych wybrała kostium z francuskiego domu mody. Przejrzałam mnóstwo czasopism i zorientowałam się, że Lise jest bardzo

ostrożna i na publicznych fetach zawsze zjawia się w strojach amerykańskich projektantów - Oscara de la Renty, Calvina Kleina, Donny Karan...

Pascal wyglądał na nieco znudzonego. Zapalił następnego papierosa.

- Stroje? - zapytał. - Czy to ważne?

- Tak jest, nawet bardzo. - Gini cierpliwie pokiwała głową. - Postaraj się zrozumieć. Wiem, że moda zupełnie cię nie interesuje, ale dla Lise to poważna sprawa. Ubrania odgrywają istotną rolę w tworzeniu jej wizerunku publicznego, można powiedzieć, że nawet jej tożsamości...

- Głupia kobieta...

- Posłuchaj mnie! Dlaczego Lise Hawthorne jest sławna? Z trzech powodów - po pierwsze, jest piękna, po drugie, wybitnie elegancka, po trzecie, stara się zostać świętą...

- Pominęłaś czwarty powód, jest żoną Johna Hawthorne'a. - Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. - Gdyby nie mąż, w ogóle nie byłaby sławna.

Gini się zawahała, lecz w końcu kiwnęła głową.

- Tak, masz rację, na pewno byłaby o wiele mniej znana. Ciekawe, czy jej to przeszkadza? Mnie by przeszkadzało...

- Naprawdę? - Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Oczywiście - odparła. - Jaka kobieta chciałaby, żeby jej tożsamość zależała od męża? Jaka kobieta chce być postrzegana jako... Jako rodzaj dodatku do męża? Jego własność, coś w rodzaju samochodu?

- Wiele kobiet nie ma nic przeciwko temu - rzekł Pascal. - Nie zamierzam wypowiadać się na temat takiego podejścia do życia, ale nie sposób zaprzeczyć jego istnieniu i sporej popularności...

- Wiem, wiem... - Odwróciła głowę.

Czuła iskrzące w powietrzu napięcie. Od sąsiedniego stołu dobiegł ich kolejny wybuch gromkiego śmiechu. Pascal spojrział na zegarek i zaklął.

- Cholerny Appleyard! Siedzimy tu już od godziny, to po prostu śmieszne! Zamówmy coś do jedzenia, przecież równie dobrze możemy zjeść tutaj...

Zgodziła się. Obejrzelili menu, które wydało im się wyjątkowo mało zachęcające.

- Steki? - Pascal przechwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się. - Przypuszczam, że nawet tutaj nie mogą spaskudzić steku i sałaty...

- Dobrze.

Przywołał kelnera i złożył zamówienie. Kiedy odwrócił się do Gini, na jego twarzy malował się wyraz po trosze niepewności, po trosze smutku.

- Przepraszam... - Na chwilę przykrył jej rękę dłonią. - Nie byłem zbyt dobrym słuchaczem. To nie twoja wina... Myślę o spotkaniu z Hawthorne'ami, poza tym to miejsce działa mi na nerwy... - Zawahał się. - Nie zwracaj na to uwagi. Chyba jestem też zmęczony, bo źle spałem.

- Ostrzegalam cię, że kanapa nie jest wygodna... - zaczęła Gini i zaraz przerwała. Przyjrzała mu się uważniej. - To nie tylko to, prawda? - zapytała ciszej. - Coś jeszcze? Powiedz mi, o co chodzi... Chyba możesz mi powiedzieć...

Pascal odwrócił głowę i wykonał krótki, lekceważący gest dłonią.

- To nic ważnego - powiedział. - Cóż, mam w tej chwili pewne kłopoty, które są konsekwencją rozwodu. Wczoraj musiałem porozumieć się z moimi tutejszymi prawnikami. Tak czy inaczej, często źle sypiam. - Wzruszył ramionami. Śni mi się wojna.

Zapadła krótka cisza. Gini zastanawiała się, czy Pascal kiedykolwiek dopuszcza kogoś do swoich tajemnic. Miała nadzieję, że tak, głównie ze względu na niego. Pochyliła się nad stołem.

- Dlaczego zatrudniasz prawników tutaj, w Anglii? - zapytała łagodnie.

- Moja żona sprzedała dom w Paryżu i chce wrócić na stałe do Anglii, razem z Marianne. Wolałbym, żeby do tego nie doszło...

Pascal zawiesił głos, a Gini, która bez trudu mogła dopowiedzieć sobie resztę i teraz doskonale rozumiała przyczynę cierpienia w jego oczach, nie naciskała.

- Rozumiem... - powiedziała.

Kelner przyniósł zamówione steki, które okazały się niesmaczne. Pascal popatrzył na talerze z bardzo francuskim w takiej sytuacji oburzeniem.

- Mam mu kazać, żeby zabrał to z powrotem do kuchni? - zapytał.

- Nie, daj spokój. Nie warto.

- Masz rację, do diabła z tym wszystkim... - Spojrzał na zegarek. - Zjedźmy i chodźmy stąd. Półtorej godziny spóźnienia... Myślisz, że Appleyard może jeszcze się zjawić?

- Niewykluczone - odparła spokojnie. - Z Appleyardem nigdy nic nie wiadomo...

Chwilę jedli w milczeniu, a potem, rozumiejąc się bez słów, zgodnie odsunęli talerze. Pascal zamówił kawę i zapalił papierosa. Gini odniosła wrażenie, że jego nastrój uległ pewnej poprawie. Rzucił jej odrobinę ironiczne spojrzenie.

- W porządku, jestem gotów słuchać - powiedział. - Skupiam całą swoją uwagę. Mówiłaś o Lise i jej strojach...

- Dobrze. - Gini znowu otworzyła notatnik. - Dręczyło mnie pytanie, dlaczego zdecydowała się na kostium Chanel... Zadzwoiłam do starej znajomej, która pracuje dla „Washington Post”, w dziale stylu i mody. To, co mi powiedziała, było bardzo interesujące, naprawdę... Zacznijmy od początku. Podobno Lise Hawthorne zawsze najchętniej nosiła francuskie ubrania...

- Suknia ślubna?

- Otóż to. Dwa lata po ślubie niespodziewanie zmieniła upodobania. Po Waszyngtonie krążyły plotki, że John Hawthorne postawił jej ultimatum. Oświadczył, że francuska moda jest dobra dla kobiet takich jak Ivana Trump, ale nie dla żony senatora i przyszłego kandydata na prezydenta z ramienia Partii Demokratycznej. Lise wzięła to pod uwagę i na publiczne występy zaczęła ubierać się w stroje amerykańskich projektantów, chociaż prywatnie dalej nosiła rzeczy ze swoich ulubionych domów mody, głównie francuskich i włoskich. Od trzech, może czterech lat faworyzuje Karla Lagerfelda i jego kolekcje dla Chanel... - Gini przerwała. - No cóż, jest to wprawdzie bardzo drobne oszustwo, ale może świadczyć o tym, że i pod innymi względami Lise Hawthorne może nie być taką kobietą, za jaką uchodzi. Moja znajoma powiedziała mi, że ludzie plotkują o Hawthorne'ach. Na razie wszystko ogranicza się do uwag, wymienianych szeptem podczas przyjęć w Waszyngtonie, uwag, których podstawą są jedynie przypuszczenia, ale jednak...

- Plotkują o Hawthornie? - zapytał Pascal. - Chyba nie o jego comiesięcznych randkach, co? Och, do diabła...

- Nie, spokojnie. Nic z tych rzeczy. Pogłoski głoszą, że Lise jest chora.

Wszystko jakoby zaczęło się jakiś czas temu, po zapaleniu opon mózgowych, które przeszedł ich młodszy synek, Adam. Podobno mniej więcej w tym czasie Lise poroniła... - Gini z zaniepokojeniem spojrzała na Pascala. - Czy co się stało?

- Nie, nie... - Przesunął dłonią po twarzy. - Nic. Straszny tu hałas... Mów dalej.

- Więc po poronieniu Lise znalazła się na krawędzi załamania nerwowego.

Wszystko to działo się jakieś cztery lata temu...

- Cztery lata temu? Właśnie wtedy zaczęły się te niedzielne randki, w każdym razie tak twierdzi Jenkins.

- Właśnie... - Gini pokiwała głową - Możesz sobie chyba wyobrazić, że słuchałam z coraz większą uwagą i dyskretnie zadawałam pomocnicze pytania. Nie było to trudne, bo moja znajoma jest straszną plotkarą. Zapewniła mnie, że przez pewien czas Georgetown dosłownie trzęsło się od plotek, które potem przycichły. Wynika z nich, że po poronieniu Lise przestała sypiać z Hawthorne'em. Twardo odmówiła i wytrwała w tym postanowieniu. Mają osobne sypialnie, o czym jedna pokojówka powiedziała drugiej - wiesz, jak to jest...

- Wiem. - Pascal uśmiechnął się lekko.

- Szczególnie interesujące wydaje się to, że Hawthorne podobno zaakceptował jej decyzję. Kiedy ludzie zaczęli gadać, tłumy kobiet usiłowały go pocieszać, ale akurat w tym nic ma nic dziwnego... Jest wpływowym, sławnym człowiekiem, no i wyjątkowo przystojnym mężczyzną...

- Mówiłaś to już, nawet kilka razy.

- Bo jest przystojny, trudno tego nie zauważyć! To ważny aspekt całej sprawy... Tak czy inaczej, te napalone damy doznały zawodu, jak utrzymuje moja znajoma. Składały mu propozycje, a on je odrzucał, jedną po drugiej.

Pascal wykonał pełen zniecierpliwienia gest.

- Chcesz powiedzieć, że Hawthorne żyje w celibacie? Od czterech lat? Daj spokój...

- Możliwe, że to tylko plotki, ale nie da się tego wykluczyć - odparła. - Mężczyźni potrafią żyć w celibacie, na przykład księży, zakonnicy..



Pascal uśmiechnął się, sięgnął ponad stołem i dotknął jej włosów. Jedno pasmo uwolniło się z węzła i opadło na szyję. Odgarnął je za ucho.

- Och, Gini, Gini... - westchnął łagodnie. - Zastanów się... Księża i zakonnicy składają śluby czystości, a to zupełnie co innego, nie sądzisz? Dla większości mężczyzn cztery lata to bardzo długi okres. Nawet cztery miesiące wydałyby im się wiecznością...

Gini zaczerwieniła się gwałtownie i odwróciła głowę.

- Wiem o tym - powiedziała obojętnym tonem. - Chodzi mi tylko o to, że...

Ujął jej dłoń.

- Nie kpię z ciebie - rzekł. - Chcę tylko podkreślić, że patrzymy na to z dwóch różnych punktów widzenia. To nieuniknione. Ja jestem mężczyzną, a ty kobietą. Uważam, że twoja znajoma opowiedziała ci ciekawą, ale absurdalną historyjkę. Nie wierzę w nią. Gdyby Lise rzeczywiście zrobiła coś takiego, Hawthorne wcześniej czy później odszedłby do innej kobiety. Nie z miłości, lecz dla seksu. Mężczyźni z łatwością rozróżniają te dwie sprawy. Wiem coś o tym, więc możesz mi wierzyć.

Gini cofnęła rękę.

- Ja też coś o tym wiem - zaczęła szybko. - Mylisz się, kobiety także potrafią odróżnić miłość od seksu...

- Naprawdę? - Nie spuszczał oczu z jej twarzy. - Nie jestem przekonany, ale nie zamierzam się z tobą spierać. Tak czy inaczej, opowiedziano ci plotkę, naturalnie bardzo sugestywną, szczególnie dla nas. Może te niedzielne spotkania z blondynkami były rozwiązaniem, jakie znalazł Hawthorne, kto wie... - Odwrócił się i jeszcze raz rozejrzał po restauracji. - Dochodzi dziesiąta - rzucił. - Chodźmy stąd, Appleyard nie przyjdzie...

Gini utkwiała wzrok w notesie. Czuła się bezpieczniej, kiedy wpatrywała się w zapisane kartki. Słowa i fragmenty zdań wydawały się atakować jej uwagę, Poronienie; osobne sypialnie; wreszcie dokładnie przytoczone słowa znajomej z Waszyngtonu: Plotka głosi, że od czterech lat nie żyją ze sobą...

Nagle poczuła obrzydzenie do siebie i swoich pytań. Czy to był ten rodzaj dziennikarstwa, jaki chciała uprawiać, to wtykanie nosa w małżeńskie problemy

obcych ludzi, szpiegowanie najintymniejszych uczuć, myśli i czynów? Pośpiesznie przewróciła kartkę i spojrzała na Pascala.

- Nie - powiedziała. - Zaczekajmy, dajmy mu jeszcze dziesięć minut. Mamy czas. Posłuchaj, dowiedziałam się dziś jeszcze jednej rzeczy. Nie jest to plotka ani pogłoska, ale fakt... Otóż te fakty, które odebrałam dziś wieczorem u siebie w domu...

- Tak?

- Przysłał je mój przyjaciel, który pracuje teraz w Oksfordzie, w redakcji „Oxford Mail”. Wiejska rezydencja Hawthorne'ów znajduje się niecałe trzydzieści kilometrów od Oksfordu...

- I co?

- Zastanów się, jak to wszystko układa się w czasie... Ten kostium został zamówiony telefonicznie, w piątek rano, trzydziestego pierwszego grudnia, prawda?

- Tak twierdzi szef salonu.

- Szef salonu Chanel, który był przekonany, że rozmawia z Lise, ponieważ zna jej głos i spotkał ją kilka razy. Trzeba przyznać, że Lise faktycznie ma bardzo charakterystyczny głos, ale jak powiedziała ci Katherine McMullen, głos i akcent można zmienić. Musimy więc przyjąć, że może dzwoniła sama Lise, a może ktoś, kto umie doskonale ją naśladować. Pomyśl, szef salonu Chanel powiedział, że Lise zależało na tym kostiumie, ponieważ chciała włożyć go następnego dnia, czyli w Nowy Rok, na bardzo ważny lunch w Chequers, w prywatnej rezydencji premiera Wielkiej Brytanii...

- Zaczynam rozumieć... - Pascal pochylił się do przodu. - Naturalnie szef Chanel był zachwycony...

- Wniebowzięty. Tyle, że to było kłamstwo, w dodatku bardzo głupie kłamstwo... - Gini postukała końcem długopisu w notes. - Naprawdę nietrudno jest sprawdzić, co i kiedy robili tak znani ludzie jak Hawthorne i jego żona, więc sprawdziłam, gdzie byli w czasie tego czterodniowego weekendu, w piątek, sobotę, niedzielę i poniedziałek...

- Nie zostali zaproszeni do Chequers?

- Nawet jeżeli otrzymali zaproszenie, to nic pojechali tam. Lise była w Oxfordshire, w wiejskiej rezydencji ambasadora Stanów. Pamiętasz, że na taśmie

McMullena wspomina, iż jedzie tam w następnym tygodniu, prawda? Pojechała do Oxfordshire dwa dni po Bożym Narodzeniu i została aż do środy po Nowym Roku, Wróciła do Londynu w czwartek rano i po południu była na podwieczorku z Mary... - przerwała. - Przeczytaj te faksy, kiedy przyjedziemy do domu. Lokalna prasa wyczerpująco opisała, jak spędziła tamten weekend. W piątek wieczorem oboje z Johnem wybrali się na noworoczny bal, wydany przez członka parlamentu z Oxfordshire. W sobotę Lise wzięła udział w polowaniu. W niedzielę ona i Hawthorne uczestniczyli w uroczystej mszy w miejscowym kościele i złożyli dużą ofiarę na nowy dach świątyni, w poniedziałek Lise wydała przyjęcie w rezydencji Hawthorne'ów, a we wtorek...

- Tego samego dnia, kiedy Lorna Munro dostarczyła paczki do biura ICD?

- Tak jest. Tego dnia Lise była jeszcze w Oxfordshire. Rano odwiedziła dom dziecka, a po południu hospicjum dla chorych na raka. W ogóle nie było jej w Londynie, rozumiesz? Nie było jej też w Chequers. Więcej, moim zdaniem to nie ona dzwoniła do Chanel, lecz ktoś inny...

Pascal zmarszczył brwi.

- To nie jest oczywiste...

- Wiem, że nie! - przerwała mu. - Jest jeszcze coś, możliwe, że Lise przez całe cztery dni nie ruszała się z Oxfordshire, ale jej mąż z całą pewnością wyjeżdżał do Londynu.

W piątek przemawiał na lunchu dla biznesmenów i przedsiębiorców, był też w Londynie we wtorek, czyli wtedy gdy Lorna Munro wysłała paczki. Zjadł lunch z premierem, na Downing Street...

- Jesteś pewna?

- Na sto procent. To był uroczysty lunch, wydany z okazji wizyty głowy zaprzyjaźnionego państwa. „The Times” wydrukował listę gości.

Pascal rzucił jej pytające spojrzenie.

- Żony ambasadorów też zostały zaproszone?

- Naturalnie.

- A jednak Lise Hawthorne się nie zjawiała? Bardzo ciekawe... Zupełnie tego nie rozumiem... Załóżmy, że Lise nie miała nic wspólnego z tymi paczkami... Ale

dlaczego i w jaki sposób można by je łączyć z Johnem Hawthorne'em... To bez sensu... Dlaczego miałby robić coś, co uwiarygodniłoby tę opowieść o blondynkach? Wydaje mi się, że byłoby to całkowicie absurdalne, wręcz głupie...

- Zgadzasz się z tobą. Tym niemniej, Hawthorne był w Londynie w kluczowych momentach.

Pascal westchnął i podniósł się zza stolika.

- Bardzo dobrze, że dowiedziałaś się tego wszystkiego - powiedział. - Liczy się każda informacja, jaką uda nam się zdobyć, choćby najdrobniejsza. Nadal daleko nam do rozwiązania zagadki, wciąż błądzimy w ciemnościach...

Odsunął krzesło Gini.

- Poddajemy Appleyarda? - zapytała, wstając.

- Tak. Nie możemy tracić więcej czasu. - Ujął ją za ramię. - Zrobimy najlepiej, jadąc teraz na spotkanie z Hawthorne'ami.

Poprowadził ją między stolikami. Tuż za wnęką, w której siedzieli, bawiła się szczególnie hałaśliwa grupa Amerykanów - czterech mężczyzn w ciemnych garniturach, otoczonych wianuszkami rudowłosych i jasnowłosych dziewcząt.

Kiedy przechodzili, jeden z Amerykanów z wyraźnym trudem dźwignął się na nogi i zatoczył się, o mało nie przewracając Gini.

- Gdzie jest kibel? - zapytał głośno. - Pokażcie mi, gdzie tu jest pieprzony kibel...

Pascal rzucił mu pełne niesmaku spojrzenie i przeszedł na drugą stronę Gini, aby odgrodzić ją od pijanego mężczyzny. W końcu znaleźli kelnera, uregulowali rachunek i zaczęli przeciskać się do wyjścia przez labirynt malutkich, ciasnych pomieszczeń. W połowie drogi zatrzymał ich szef kelnerów.

- Pan Lamartine? Pan Appleyard serdecznie przeprasza, ale zatrzymała go bardzo ważna sprawa...

- Szkoda, że nie poinformował nas pan o tym wcześniej... - zaczął Pascal i nagle przerwał. Gini poczuła, jak mięśnie jego ramienia napinają się gwałtownie. - Wymieniono moje nazwisko? - zwrócił się do kelnera. - Na spotkanie umówiona była panna Hunter...

- Podano mi pańskie nazwisko. Asystent pana Appleyarda dzwonił dosłownie przed chwilą... Och, powiedział jeszcze, że będzie to panu potrzebne... Przesłał to taksówką...

Mężczyzna wręczył Pascalowi małą paczuszkę. Pascal bez słowa pociągnął Gini na zewnątrz. Otworzył szarą kopertę dopiero wtedy, gdy znaleźli się w pewnej odległości od restauracji, i ze środka wyjął kasetę magnetofonową. Podniósł ją w górę i uważnie obejrzał w świetle latarni. Po drugiej stronie ulicy jakiś człowiek wszedł do sieni kamienicy i po dłuższej chwili wahania nacisnął jeden z dzwoneczków. W oknie na pierwszym piętrze natychmiast zapaliło się światło. Rozległ się brzęczyk, mężczyzna wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- To nic jest zwyczajna taśma - odezwał się Pascal. - Spójrz... Jest za krótka. Cholera jasna...

- Zostaliśmy oszukani, prawda? To nie Appleyard wysłał ten faks...

- Też tak uważam. I to nie on przysłał nam tę taśmę... Zrobiliśmy straszne głupstwo. Przez ponad dwie godziny siedzieliśmy w restauracji, omawiając sprawę Hawthorne'a... Mówiliśmy o tym, co wiemy i czego nie wiemy... Jak mogłem być takim idiotą? Do diabła!

Odwrócił się ze złością i ruszył w górę ulicy. Gini pośpieszyła za nim.

- Zwolnij trochę. Spokojnie... Jesteś zmęczony, oboje jesteście zmęczeni. Trudno, popełniliśmy błąd, ale pomyśl, na szczęście w restauracji panował potworny gwar. Nie sądzę, żeby komuś udało się podsłuchać naszą rozmowę.

- Może, może... Teraz jest już za późno, żeby się tym martwić.

Dotarli do samochodu. Pascal niecierpliwie obracał w rękę kopertę, czekając, aż Gini otworzy drzwi. Zanim zdążyła wsiąść, wsunął kasetę do magnetofonu.

- Wsiadaj! - polecił. - Pośpiesz się. I zamknij drzwi.

Włączył magnetofon i oparł głowę o oparcie. Siedzieli w milczeniu. W głośniku coś zasyczało. Parę sekund później usłyszeli ciężki, coraz szybszy oddech, potem jęki. Gini poczuła, jak jej skóra robi się zimna. Pascal wydał cichy okrzyk, spojrzał na nią i sięgnął do przycisku.

- Nie... - Gini wyciągnęła rękę. - Ktoś przysłał nam wiadomość. Wysłuchajmy jej.

- Zdążyłem się już zorientować, co to za wiadomość! - rzucił gniewnie.

- Ja także.

- Jest sam?

- Jeżeli nie, to ma milczącą partnerkę - odparła.

- One mają milczeć - zauważył ponuro. - Taka jest zasada...

Nagranie trwało siedem minut. Po pięciu mężczyzna osiągnął orgazm. Potem zapadła cisza. W połowie szóstej minuty, tuż przed końcem, rozległ się kobiecy krzyk. Pascal pochylił się i wyjął taśmę z magnetofonu. Uważnie popatrzył na Gini.

- Wszystko w porządku?

Nic nie było w porządku, ale nie zamierzała mu się z tego zwierzać. Zwolniła hamulec i ruszyła.

- Mówiłam ci już, że ktoś próbuje nas przestraszyć - powiedziała, kiedy minęli kilka przecznic. - Do diabła z tym... Będziemy trzymać się planu. Pojedziemy teraz na przyjęcie. Ty skupisz się na Lise, ja porozmawiam z Hawthorne'em. Po pewnym czasie zmienimy się, jeżeli będzie taka możliwość.

Odbierała jego niepokój i napięcie, jakby uczucia były uderzającymi w nią falami. Odezwał się dopiero po paru minutach.

- Bądź bardzo ostrożna - rzekł. - Uważaj, co mówisz... - Spojrzał na nią spod ściągniętych brwi. - To włamanie, przesyłki, spotkanie, na które nikt nie przyszedł, taśma... Ktoś przez cały czas posuwa się dwa kroki przed nami.

- Hawthorne? - zapytała.

Odwrócił twarz do okna, utkwił wzrok w mokrej ciemności.

- Może... - odparł w końcu. - Może. Wszystko jedno, kto to jest, wiemy o nim jedno - lubi gry. Paskudne gry.

## *XVII*

Kolacja wypadła doskonale. Bażanty udały się znakomicie, gruszki i mus czekoladowy były po prostu przepyszne. Zbliżała się dziesiąta piętnaście, niedługo miała przyjechać Gini, i Mary właśnie zabrała się do dyskretnego usuwania nudziarzy, który to proces nigdy nie sprawiał jej najmniejszych trudności. Dwoje nudziarzy już

wychodziło; dwoje nadal tkwiło w salonie, lecz Mary dostrzegła, że John Hawthorne, równie uzdolniony w tym względzie jak ona sama, powoli, lecz skutecznie kieruje ich do holu. Pierwszy sekretarz ambasady Bułgarii oraz jego małżonka wkładali wierzchnie okrycia przy pomocy amerykańskiego ochroniarza. Nowy goryl, pomyślała Mary. Malone, bo tak się nazywał, okazał się wyjątkowo użyteczny. Bułgar potrzęsął jej ręką.

- Dziękujemy za wspaniały wieczór, lady Pemberton. Mówił po angielsku prawie płynnie, jego żona znacznie gorzej.

- Te ptaki, bażanty, bardzo mi będą smakowały - oświadczyła z uśmiechem.

- Odbyłem bardzo interesującą rozmowę z ambasadorem Hawthorne'em - ciągnął Bułgar. - Doskonale zna szacunkowe dane naszego eksportu za ostatnie półrocze. Świetnie poinformowany człowiek.

- Nieprawdaż? - zapytała Mary z ożywieniem, niepostrzeżenie zaganiając parę nudziarzy w stronę drzwi.

Bułgar był jednym z gości, których zaprosiła na prośbę Johna. W ciągu dziesięciu minut, które musiała mu poświęcić, szczegółowo opowiedział jej o bułgarskim przemyśle wydobywczym. Otworzyła drzwi.

- Co za szkoda, że nie mogą państwo zostać. Tak się cieszę, że mogłam poznać pańską małżonkę. Oczywiście... Och, naturalnie... Ależ tak! Do widzenia, do widzenia!

Zamknęła drzwi i wzniosła oczy do sufitu. Malone, nowy ochroniarz, uśmiechnął się.

- Jeszcze dwoje do wyplenienia, prawda? - Skinieniem głowy wskazał salon.

Mary zmierzyła go baczny spojrzeniem. Doszła do wniosku, że w stosunku do tego człowieka określenie „goryl” jest błędne i nieadekwatne. Malone był co prawda potężnie zbudowany, miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i fryzurę na jeża, lecz najwyraźniej posiadał także poczucie humoru. Było to bezprecedensowe zjawisko. Spojrzała na jego szerokie bary i obowiązkowy ciemny garnitur. Czasami się zastanawiała, czy ochroniarze Johna byli uzbrojeni. Jak właściwie wygląda wypukłość, pod którą kryje się kabura pistoletu? Czy ją w ogóle widać? A może broń



chowa się teraz nie w kaburze, tylko jakoś inaczej? Na przykład za paskiem od spodni. Niemożliwe, pomyślała. To byłoby zbyt śmieszne.

- Nie zdążyłam podziękować panu za dostarczenie tych pięknych kwiatów - powiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Jest pan nowy, tak? Nie widziałam pana wcześniej...

- Tak jest. Przyleciałem z Waszyngtonu dwa dni temu.

Mary spojrzała na niego ze zdziwieniem. Z jej doświadczenia wynikało, że ci ludzie z własnej woli nie udzielają żadnych informacji. Mówili wyłącznie zdaniami składającymi się z dwóch, najwyżej trzech wyrazów. Najczęściej były to zdania typu: „Tak, proszę pani” lub „Nie, proszę pani”.

- Zwykle Johnowi towarzyszy Frank...

Z nadzieją podniosła oczy na Malone'a. Skoro posługiwał się pełnymi, rozwiniętymi zdaniami, mogła pozwolić sobie na drobną manifestację ciekawości. Chętnie dowiedziałaaby się, co oznaczała ta koncentracja sił ochrony wokół Johna, nieobecność Franka i pojawienie się nowego człowieka z Waszyngtonu. Czuła, że coś się dzieje. Lise przez cały wieczór była spięta i zachowywała się trochę nienaturalnie. Mary zerknęła w kierunku kominka, przy którym samotnie stała żona amerykańskiego ambasadora. Lise nigdy nie piła alkoholu i teraz trzymała w ręku pustą szklanę po wodzie mineralnej. Wpatrywała się w przestrzeń, obracając naczynie w palcach.

Malone nie odpowiedział. Mary odwróciła się do niego i postanowiła spróbować jeszcze raz.

- Nawet wy musicie chyba czasami odpoczywać - zauważyła pogodnie. - Na pewno Frankowi należał się krótki urlop...

- Tak, proszę pani. W ten weekend nie ma dyżuru.

- Jak to miło...

- Tak, proszę pani.

- Wydaje mi się, że musi to być bardzo wyczerpujące zajęcie - ciągnęła, wykonując niepewny gest ręką. - Ciągła czujność, nieustanna koncentracja...

- Tak, proszę pani.

- Trochę jak Cerber...

Nie było to najbardziej taktowne porównanie. Pies Cerber, wiecznie strzegący wrót piekieł... Usiłując ukryć zmieszanie, powiedziała sobie, że Malone najprawdopodobniej nie ma zielonego pojęcia o mitologii greckiej i nigdy nie słyszał o Cerberze. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że jednak słyszał. W jego oczach na moment pojawił się błysk rozbawienia, którego miejsce szybko zajęła chłodna obojętność.

- Tak, proszę pani.

- Nie ma pan ochoty na drinka albo sok? Może trochę wody mineralnej?

- Nie, proszę pani. Dziękuję.

Odsunął się o kilka kroków. Robił to samo, co oni wszyscy, tę dziwną rzecz, którą opanowali w mistrzowski sposób - stawał się niewidzialny, wtapiał się w ścianę.

- Nie ma za co - powiedziała Mary, czując, że zrobiła z siebie idiotkę.

Spojrzała na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Gini i ten Lamartine będą tu lada chwila. Ogarnął ją dziwny niepokój, lecz natychmiast odezwał się w niej instynkt gospodyni. Wróciła do dużego salonu i za plecami gości podeszła do kominka. Lise nadal stała tam, zupełnie sama.

- Nie ma Doga? - zapytała Lise, kiedy Mary schyliła się, żeby dorzucić drewna do ognia.

Wyciągnęła rękę do płomieni. Mary zauważyła, że drży, chociaż stoi nie więcej niż metr od kominka, a w pokoju jest bardzo ciepło.

- Nie - uśmiechnęła się. - Został wygnany na górę, bo tu bez przerwy żebrałby o skrawki czegokolwiek... Poza tym, muszę spojrzeć prawdzie w oczy - ja kocham Doga, ale nie zmienia to faktu, że jest stary i śmierdzi.

- Jest słodki - Lise powiedziała to bez wielkiego przekonania. Mary doskonale wiedziała, że nigdy nie lubiła psów. - Bardzo słodki. Taki...

Przerwała. Najwyraźniej nie przychodził jej do głowy żaden odpowiedni komplement. Podniosła na Mary oczy pełne milczącej udręki i szybko odwróciła wzrok.

Mary ujęła ją za ramię.

- Czy coś się stało? - zapytała zdecydowanym tonem.

- Stało? Ależ nie, nie... Wspaniale się bawię, naprawdę...

Mary przyjrzała jej się uważnie.

Lise wyglądała bardzo pięknie w białej sukni z długimi rękawami, która, podobnie jak wszystkie jej stroje, była prosta i przez to wyrafinowanie elegancka. Jak dobrze dobrana rama podkreśla walory obrazu, tak ta suknia, dzięki swej prostocie, uwydatniała urodę Lise. Na szyi miała naszyjnik, który dostała na urodziny od Johna, a jej rozpuszczone czarne włosy opadały na ramiona. Na twarzy o dużych ciemnoniebieskich oczach malował się wyraz niepokoju, prawie lęku, niczym u przestraszonego dziecka. Tego dnia kończyła trzydzieści osiem lat. Zbliżała się do czterdziestki i wielokrotnie mówiła Mary, że przekroczenie tego proggu napęłnia ją wielką obawą, choć wyglądała na dwadzieścia pięć lat.

Tyle że... Tyle że była bardzo spięta i chyba zmęczona. Wydawała się nie tyle szczupłą, co wychudzona, i jej długie piękne dłonie, ozdobione tylko obrączką, ścisnęły szklankę tak mocno, że aż zbieleły knykcie. Znowu zadrżała.

- Dajże spokój, nie udawaj, przynajmniej przede mną. - Mary poklepała ją po ramieniu. - Od początku wieczoru jesteś ledwo żywa ze zdenerwowania. Wiem, że coś jest nie tak...

Lise przygryzła dolną wargę jak mała dziewczynka, spuściła oczy i zerknęła na Mary spod rzęs.

- Och, dobrze, przyznam się... - westchnęła. - Zdaję sobie sprawę, że to głupie, ale strasznie martwię się o Johna. Cała ta okropna sytuacja na Bliskim Wschodzie... Widzę, że ochrona jest w stanie podwyższonej gotowości, chociaż naturalnie John nie chce się do tego przyznać... W pobliżu naszej ambasady w Paryżu podłożono bombę, na pewno wiesz o tym... Saperzy rozbili ją dziś wieczorem.

- Nic nie słyszałam. W wiadomościach nie wspomnieli o tym ani słowem...

- Powiedzą jutro. Dowiedziałam się o tym od Johna, kiedy ubieraliśmy się na twoje przyjęcie... Skoro doszło do zamachu na ambasadę w Paryżu, to dlaczego nie tutaj? Rozumiesz mnie, prawda?

- Nie wolno ci tak myśleć! - Mary uśmiechnęła się pocieszająco. - Jestem pewna, że Johnowi nic nie grozi, tylko popatrz na jego ochronę, są przy nim, ten miły pan Malone czuwa w holu...

- Jest miły? - Lise rzuciła jej dziwne spojrzenie. - Nie odniosłam takiego wrażenia. Oni wszyscy są ponurzy i milczący. Nienawidzę ich, a zwłaszcza Franka, bo on jest najgorszy...

- Myślałam, że lubisz Franka... - Mary się zdumiała. - Pamiętasz, jak jadłyśmy lunch przed Bożym Narodzeniem? Powiedziałaś wtedy, że bardzo go lubisz, że jest dobrze wychowany, sprawny i uprzejmy...

- Naprawdę tak mówiłam? Nie pamiętam... - Zadrżała. - Jeżeli tak, to zmieniłam zdanie. Jest zbyt sprawny, wiecznie obecny, jak okropny cień, który zawsze się za mną snuje...

- Tak czy inaczej, na razie nie będzie cię denerwował - odparła spokojnie Mary. - Podobno ma wolny weekend, więc...

- Wolny weekend? - Odwróciła się gwałtownie. - Kto ci o tym powiedział? John? Dokąd pojechał Frank?

- Skąd mam wiedzieć? - Mary ze zdziwieniem popatrzyła na przyjaciółkę. - Wspomniał mi o tym ten Malone. Nie mam pojęcia, dokąd oni wyjeżdżają, nie potrafię sobie nawet wyobrazić... Może piją na umór przez dwa dni, może uganiają się za dziewczynami, może dzwonią do swoich matek-staruszek w Omaha, kto wie... - Uśmiechnęła się lekko. - Co robią w wolnym czasie byli żołnierze piechoty morskiej? Skaczą ze spadochronem? Doskonala się w strzelaniu do celu? Uprawiają biegi na sto kilometrów?

- Byli żołnierze piechoty morskiej? Frank nigdy nie służył w oddziałach *marines*. Skąd ci to przyszło do głowy?

Pytanie zostało zadane ostrym tonem, lecz Mary nie zwróciła na to uwagi. W holu pojawili się nowi goście, oczekiwani, mili i zabawni goście, jedni z tych, którzy zwykle przychodzili mniej więcej o tej porze. Mary dostrzegła znanego poetę, któremu ktoś towarzyszył, ale kto... Naprawdę, muszę sobie sprawić okulary, pomyślała. Ale nie było tam ani Gini, ani tego Lamartine. Kilkoro aktorów, których bardzo lubiła i... Tak, ten zabawny dziennikarz, redaktor naczelny jednego z londyńskich brukowców. Musi pamiętać, żeby trzymać go z daleka od Johna...

- Przepraszam cię, zupełnie się zdekoncentrowałam. - Odwróciła się szybko do Lise. - Wydawało mi się, że przyszła Gini... Co mówiłaś, kochanie?

- Nic, nic ważnego.
- No, proszę cię, powiedz...
- Och, mówiłam o Franku, że nigdy nie służył w *marines*...
- Naprawdę? Myślałam, że oni wszyscy...

Mary rozejrzała się po pokoju. Dwoje nudziarzy stało tuż przy wyjściu do holu. Najwyższy czas odciąć im odwrót...

- Frank pracował wcześniej dla ojca Johna, nie wiedziałaś? - Lise patrzyła teraz na Mary twardym, prawie podejrzliwym wzrokiem, jakby myślała, że ta coś przed nią ukrywa.

- Nie, nie wiedziałam... - Mary zmarszczyła brwi.

- No, tak... - Ciałem Lise znowu wstrząsnął dreszcz. - Kiedy John objął placówkę w Londynie, jego ojciec uznał, że należy wzmocnić tutejszą ochronę. Wiesz, jaki on jest...

- Wiem - Mary ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Uparł się, żeby wymienić część ludzi. Frank był jednym z tych, którzy przyjechali z jego rekomendacją... - Przerwała i spojrzała Mary prosto w oczy. - John nigdy ci o tym nic wspominał?

- Nie, kochanie. Pierwszy raz o tym słyszę. Lise westchnęła. Na sekundę przymknęła oczy.

- Och, byłam przekonana, że... Przecież ty i John jesteście tak bliskimi przyjaciółmi... Często się widujecie...

Mary poczuła ukłucie niepokoju i zaskoczenia. Dałaby sobie rękę uciąć, że w głosie Lise zabrzmiała nuta zazdrości.

- Kochanie, poznałam Johna, kiedy miał dziesięć lat - powiedziała zdecydowanym tonem. - Jestem starą, grubą i nieznośną wdową, a John okazuje mi wiele serca od śmierci Richarda. Przyjeżdża tu, żeby mnie pocieszyć i rozweselić, i doskonale mu to wychodzi. Nie rozmawiamy o jego ochroniarzach. Dlaczego mielibyśmy to robić, na miłość boską?

Lise natychmiast wyczuła wyrzut. Rzuciła Mary onieśmiałe spojrzenie i wzięła przyjaciółkę za rękę.

- Zachowuję się dziś jak ostatnia idiotka - powiedziała pośpiesznie. - Nie chodziło mi o to, że... Naprawdę jestem rada, że przyjaźnisz się z Johnem. Żyje w ciągłym napięciu i potrzebuje kogoś, z kim mógłby swobodnie porozmawiać...

- Ma ciebie, kochanie. To z tobą może swobodnie porozmawiać, zawsze, w każdej chwili.

Lise nie odpowiedziała. Jej ciemne oczy rozszerzyły się i przez jedną przerażającą chwilę Mary miała wrażenie, że zaraz się rozplacze. Opanowała się jednak, chociaż przyszło jej to z wyraźnym trudem, i wykonała dziwny, bezbronny gest. Potem wyjęła spod pachy małą wieczorową torebkę i otworzyła ją.

- Chyba zaraz dopadnie mnie migrena... - przemówiła nieco niepewnym głosem. - Czasami dręczą mnie okropne bóle głowy i...

- Może chciałabyś pojechać do domu? - Mary zaniepokoiła się nie na żarty. - Zaraz powiem Johnowi...

- Nie! Nie, nie rób tego... - Lise zadrżała i o mało nie wypuściła torebki z rąk. - Nie... John nie byłby zadowolony. Wiem, że czeka na Gini, zresztą ja także... Zawsze noszę przy sobie te wspaniałe małe pigułki, moje cudowne pigułki... Ach, tu są... Naprawdę, wystarczy jedna i zaraz poczuję się lepiej... Nic więcej mi nie trzeba, możesz mi wierzyć...

Lise była dziwnie rozgorączkowana, ręce jej drżały. Mary poszła do bufetu, żeby przynieść jej szklankę wody. Spojrzała w kierunku holu. Ostatni nudziarze już wyszli, i to bez pożegnania, dzięki Bogu. Nie dość, że nudni, to jeszcze źle wychowani, pomyślała. John rozmawiał z dwojgiem aktorów. Mary usłyszała jakąś uwagę o nominacjach do Oscarów. Wszyscy byli zajęci rozmową, wszyscy mieli drinki... Ktoś właśnie wchodził do holu.

Podawała Lise szklankę z wodą mineralną. Młoda kobieta wydawała się spokojniejsza. Włożyła do ust małą białą tabletkę, popiła ją i obdarzyła Mary pełnym wdzięczności spojrzeniem. Potem ona także rozejrzała się po pokoju.

- Czy to Gini? - zapytała. - Och, na pewno tak... Jakaż ona śliczna... I co za piękna suknia... Kim jest ten mężczyzna, który wszedł razem z nią?

Mary westchnęła.

- To fotoreporter - odparła. - Francuz, nazywa się Pascal Lamartine.

- Uwielbiam Francję - powiedziała Lise. - Muszę z nim później porozmawiać...

Odwróciła się i ruszyła w kierunku redaktora brukowca. Mary delikatnie, choć zdecydowanie ujęła ją za ramię i skierowała ku obiecującemu poecie.

- Na pewno go pamiętasz... - rzekła cicho. - Poznaliście się kiedyś, na przyjęciu u mnie. To Stephen... Niedawno wydał nowy tomik wierszy...

- Pod jakim tytułem? - zapytała Lise równie cicho. Mary się uśmiechnęła. Lise szybko odzyskiwała równowagę, a jej towarzyskie instynkty działały niezawodnie.

- *Lustrzane odbicia*.

- Dziękuję... - Lise rzuciła jej rozbawione spojrzenie i lekki uśmiech.

Podeszła do poety i wyciągnęła rękę.

- Stephen! - usłyszała Mary. - Tak się cieszę... Miałam nadzieję, że wpadniesz. *Lustrzane odbicia* są doskonałe. John i ja zakochaliśmy się w twoich wierszach. Naprawdę, czytaliśmy je razem, tak, dziś wieczorem, zanim przyjechaliśmy tutaj...

- Jak długo zabawi pan w Londynie, panie Lamartine?

- Jeszcze nie wiem. Może tylko kilka dni, może kilka tygodni...

Pascal spojrział na Mary, macochę Gini. Była inna niż się spodziewał. Z bliżej niewyjaśnionego powodu wyobrażał sobie, że kobieta, która kiedyś była żoną Sama Huntera, będzie wysoka, elegancka i pełna chłodnej pewności siebie. Nie mógł się bardziej mylić. Mary była niska i bynajmniej nie elegancka. Pulchna i ubrana w typowo angielskim stylu, w niezgrabną, wręcz bezkształtną suknię z jakiegoś jasnego materiału, który po prostu domagał się wyprasowania. Miała siwe włosy, które kłębiły się wokół twarzy, tworząc spletaną aureolkę, doskonałą, typowo angielską cerę, bez śladu makijażu, i uśmiechała się do niego. Uśmiech ten nie dotarł jeszcze do jej oczu, które były jasnoniebieskie i obserwowały go od chwili, gdy parę minut temu wszedł do pokoju. Od razu odniósł wrażenie, że ma do czynienia z osobą roztargnioną i nieco ekscentryczną. To wrażenie szybko uległo zmianie. Mary powitała Gini i Pascala bardzo ciepło i zasypała ich gradem słów, żywo gestykulując, lecz zaraz potem szybko i sprawnie ich rozdzieliła. Gini rozmawiała teraz z Johnem Hawthorne'em, Pascal zaś został odcięty od reszty gości w kącie przy kominku. Po prawej stronie miał wesoło trzaskający ogień, po lewej wielki, stary, obity kretonem fotel, a przed sobą tę



zadzierzystą pulchną kobietkę, która nie zamierzała go puścić. Patrzył na nią z narastającym zdziwieniem, aż nagle wszystko zrozumiał. Przypomniał sobie, że podobny, nie, identyczny wyraz malował się na twarzy jego matki, kiedy jako młody chłopak przyprowadzał do domu dziewczyny, i uśmiechnął się.

Mary podniosła na niego oczy, starając się, żeby mimo poważnej różnicy wzrostu, jaka ich dzieliła, nie wypadło to śmiesznie. Uznała, że Pascal ma rozbijający uśmiech, ale nie chciała ulec jego urokowi. To prawda, że zupełnie inaczej wyobrażała sobie tego Francuza... Miała żywą wyobraźnię i dwanaście lat na snucie rozmaitych przypuszczeń na jego temat. Niezbyt dokładnie przejrzała materiały przyniesione przez Johna Hawthorne'a, dzięki czemu obraz Lamartine'a, jaki stworzyła sobie bezpośrednio po powrocie Gini z Bejrutu, pozostał nienaruszony. Francuski kobieciarz - oto było podstawowe założenie, jakie Mary przyjęła dwanaście lat wcześniej. Dobrze znała ten typ. Przystojny, zmysłowy, z lubieżnymi oczami, które mówiły: „Chodź do łóżka...”. Nigdy nie spotkała takiego Francuza, ale była pewna, że tacy właśnie są. Pascal okazał się przystojny, nawet bardzo, chociaż przydałaby mu się wizyta u fryzjera, lecz poza tym w niczym nie przypominał pierwowzoru. Miał spokojny, wręcz chłodny sposób bycia, a jego zachowanie w stosunku do Gini było bardzo poprawne i czarujące. Wszedł do pokoju, trzymając ją pod rękę, aby pomóc jej precyzyjnie się między gośćmi. Kiedy Gini przedstawiła go Mary, uściskał rękę starszej pani, lekko pochylił głowę w ten uroczy sposób, charakterystyczny dla niektórych Francuzów, i uprzejmie powiedział: „Madame...”.

Wcale nie był lubieżny, zdecydowała Mary, mrugając nerwowo. Nie miał też czterdziestu paru lat, a powinien być w tym wieku, gdyby Sam mówił prawdę. Był znacznie młodszy, miał najwyżej trzydzieści dwa, trzy lata. Do cholery z Samem, pomyślała, i z moim marnym wzrokiem...

Rzuciła Lamartine'owi szybkie, szacujące spojrzenie. Nie wyglądał na tandetnego kobieciarza i nie miał oczu, które mówią: „Chodź do łóżka...”. Teraz, kiedy przyjrzała mu się dokładniej, odkryła, że ma piękne oczy, szare jak dym. Ich wyraz był ironiczny, pytający, jakby coś go mocno rozbawiło. Nagle uświadomiła sobie, że gapi się na niego z absolutnie niewybaczalną ciekawością. Cofnęła się o krok. Lamartine uśmiechnął się szerzej. Miał naprawdę rozbijający uśmiech...

- Bardzo przepraszam... - powiedziała, szybko machając rękami. - Sęk w tym, że... Spodziewałam się zobaczyć kogoś całkiem innego...

- Ja również - przyznał uprzejmie.

- Widzi pan... - ciągnęła, usiłując omijać zasadzki i pułapki konwersacji, które czyhały dosłownie na każdym kroku. - Widzi pan, Gini powiedziała mi, że jest pan jednym z tych paparazzi...

Jej wyznanie nie wzbudziło jego zachwytu. Uśmiech zniknął.

- Naprawdę? Tak powiedziała?

Spojrzał na Gini, pogrążoną w rozmowie z Johnem Hawthorne'em. Mary przełknęła ślinę.

- Może źle ją zrozumiałam... Na pewno tak... Jestem strasznie roztargniona... Ciągle coś myślę, więc pewnie...

- Nie, Gini miała całkowitą rację. Jestem paparazzi, to prawda.

Powiedział to poważnie, trochę ostro. Mary pociągnęła spory łyk wina.

- No, właśnie... - przytaknęła bezsensownie. - Założę się, że to bardzo ekscytujące... Częste podróże po całym świecie i tak dalej... - Pośpiesznie wzięła się w garść. - Dobrze zna pan Gini?

Zawahał się.

- Nie - odparł ostrożnie. - Spotkaliśmy się kilka razy, to wszystko.

Mary wykonała w myśli kilka gorączkowych kalkulacji. Teraz był właściwy moment, by wyprostować się z godnością, zmierzyć go lodowatym spojrzeniem i powiedzieć: „Jakże to, panie Lamartine? Wydaje mi się, że kiedyś znał pan Gini bardzo dobrze. W Bejrucie, dwanaście lat temu...”. Spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę i odkryła, że słowa nie chcą wydobyć się z jej gardła. Nie była w stanie ich wypowiedzieć. Po pierwsze, Pascal mocno ją onieśmiał, po drugie, zdawała sobie sprawę, że wszystko, co by powiedziała, byłoby niewybaczalnie niedelikatne, nieuprzejme, niesłuszne i najprawdopodobniej niesprawiedliwe. Nie wiem nic o tym, co się tam wydarzyło, pomyślała, zupełnie nic. Znam tę historię tylko z ust Sama.

Znowu spojrzała Lamartine'owi w oczy. Instynkt podpowiadał jej, że wersja jej byłego męża nie musi być prawdziwa, z drugiej jednak strony, miała świadomość, że nigdy nie była dobrym sędzią charakterów i często myliła się w ocenie ludzi. John

miał absolutną rację, pomyślała. Nie powinnam się wtrącać. Ta decyzja przyniosła jej ogromną ulgę. Nagle zupełnie się rozluźniła.

- A teraz pracuje pan dla „News” razem z Gini, prawda?

- Tak, na krótko.

- Zrobiłby mi pan wielką przysługę, gdyby uświadomił pan Gini, że powinna odejść z redakcji - ciągnęła Mary, już znacznie cieplej. - „News” staje się okropną gazetą, po prostu szmata. - No, może trochę przesadzam, ale nie podoba mi się dobór i ton zamieszczanych tam artykułów. A ten potworny nowy redaktor naczelny przydziela Gini żalosalne tematy. Przed jego przyjściem świetnie sobie radziła. Dwa lata temu dostała dwie nagrody, mówiła panu?

- Nie, nie wspominała o tym.

- To dla niej typowe! Tak, przyznano jej dwie poważne nagrody. Napisała kilka świetnych tekstów o korupcji w policji na północy Anglii. Poprzedni naczelny wysoko ceniał jej pracę, zgodził się nawet wysłać ją zagranicę, do Jugosławii.

Gini zawsze chciała zajmować się właśnie takimi tematami i długo przygotowywała się do wyjazdu, kiedy nagle...

- Do Jugosławii? - Zmarszczył brwi. - Chciała zostać korespondentką wojenną?

- Tak. I wierzę, że by się jej udało. Gini ma w sobie mnóstwo determinacji i jest bardzo odważna.

- Nie wątpię... - Znowu poszukał wzrokiem Gini, która nadal rozmawiała z Johnem Hawthorne'em.

Powiedziała coś, spoglądając na niego z błyskiem rozbawienia w oczach, a on wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Gini nigdy by się do tego nie przyznała, ale ojciec zawsze miał na nią ogromny wpływ - ciągnęła Mary, dosiadłszy swego konika. - Jej matka umarła, kiedy Gini była maleńka, miała niecałe dwa latka, więc w ogóle jej nie pamięta. Gdy ją poznałam, skończyła pięć lat, lecz była bardzo rozwinięta jak na ten wiek. Potrafiła całkiem dobrze pisać i czytać. Pisywała opowiadania... Można powiedzieć, że wiele dzieci to robi, ale Gini układała je w małe książeczki, podobne do gazety. Potem pokazywała ojcu, tylko że on... Cóż, niestety, Sam nigdy nie okazywał jej wielkiego zainteresowania, ale to chyba motywowało ją do jeszcze większego wysiłku. Gini

koncentruje się i dąży do celu, nie można jej powstrzymać. Kiedy miała piętnaście lat, pewnego dnia po prostu wyszła ze szkoły i poleciała do...

Mary przerwała i oblała się szkarłatnym rumieńcem. Wiedziała, że gdy raz zacznie mówić na temat Gini, trudno jej przestać, *ale* żeby wykazać się tak nieograniczoną głupotą... Pomyślała, że nigdy by tego nie powiedziała, gdyby Lamartine nie słuchał z taką uwagą i skupieniem. Nigdy by się tak nie zachowała, gdyby nie okazał się tak zupełnie inny od uwodziciela z Bejrutu, którego sobie wyobraziła. Tak czy inaczej, zrobiła to i tyle, a teraz musiała się jakoś wyplątać z tej sytuacji...

- I poleciała dokąd? - zapytał z uprzejmym zainteresowaniem.

- O, Boże... - Potoczyła dookoła roztargnionym wzrokiem. - Proszę mi wybaczyć, zaraz wrócę... Ten nieszczęsny poeta zupełnie zmonopolizował Lise... Chyba muszę interweniować...

Uciekła. Pascal patrzył za nią w zamyśleniu. Polubił ją, a poza tym dużo się od niej dowiedział, i to rzeczy, o których Gini nigdy by mu sama nie powiedziała. A przy okazji dowiedział się też, że Gini bardzo się myliła. Jej macocha doskonale wiedziała, co stało się w Bejrucie, a to znaczyło, że Sam Hunter nie dotrzymał słowa i opowiedział Mary o tamtych wydarzeniach. A komu mogła powiedzieć o nich Mary?

Pascal wolałby, aby Mary nie usłyszała tej historii z ust Huntera i nie uprzedziła się do niego, lecz na to nie mógł nic poradzić. Tłumaczyło to chłód, z jakim go przywitała, oraz szczegółowe oględziny, jakim został poddany. Teraz najwyraźniej doszła do wniosku, że nie może ryzykować popelnienia dalszych nietaktów, bo szła w jego stronę, prowadząc ze sobą Lise Hawthorne.

Dokonała ceremonii prezentacji i znowu uciekła. Pascal spojrzął na żonę amerykańskiego ambasadora. Jej śliczna twarz była uniesiona ku niemu, ożywiona i pełna napięcia.

- Bardzo się cieszę, że pana poznałam - powiedziała Lise niskim, trochę zdyszczanym głosem, tak cicho, że musiał nachylić się, aby ją słyszeć. Rzuciła mu rozbawione spojrzenie, więcej niż odrobinę zalotne. - Widziałam pańskie zdjęcia - ciągnęła. - Te, na których uchwycił pan Stefanię, księżniczkę Monako... - Lise pogroziła mu długim, pięknym palcem. - Byłam bardzo poruszona, panie Lamartine. Chyba zdaje sobie pan sprawę, że ma pan fatalną reputację...

- Proszę powiedzieć, co dzieje się z pani ojcem - powiedział John Hawthorne. - Ostatni raz widzieliśmy go pięć, może nawet sześć lat temu... Wielka szkoda...

- Jest teraz w Waszyngtonie.

- W Waszyngtonie... Tak, oczywiście... Ktoś mi chyba mówił, że zamierza napisać nową książkę. O Afganistanie? Nie, chyba raczej o krajach Bliskiego Wschodu... Tak, podobno Sam liczy na kolejny wielki sukces.

- Píše książkę o Wietnamie - sprostowała Gini.

Była prawie pewna, że Hawthorne wiedział o tym równie dobrze jak ona, lecz z jakichś powodów - może po to, żeby pociągnąć ją za język - wolał ukryć tę wiedzę.

- O Wietnamie, Laosie i Kambodży - dodała. - Był tam dwadzieścia pięć lat temu, więc teraz chce wrócić i opisać zmiany, jakie zaszły od czasu wojny. Chyba uważa, że właśnie tam napisał swoje najciekawsze, najlepsze teksty.

- Myli się - powiedział szybko Hawthorne. - Oczywiście, jego korespondencje z Wietnamu były znakomite, w pełni zasłużył na tego Pulitzera, ale Sam stworzył odrębną kategorię dziennikarstwa. Od czasu wojny w Zatoce Perskiej uważnie czytałem wszystkie jego artykuły, chyba nawet zapożyczyłem z nich sporo cytatów do swoich przemówień...

- Na pewno nie miałby nic przeciwko temu. Powiedziałabym nawet, że to by mu pochlebilo.

- Może. Może... Sam nigdy nie miał wielkiego nabożeństwa do polityków. - Uśmiechnął się. - Zawsze potrafił dokopać się do czegoś nowego i ciekawego, do czegoś, co wojskowi woleliby ukryć. Nie mogli go ani kupić, ani zakneblować. Powinien napisać tę książkę o Wietnamie, na pewno świetnie by się sprzedała... - przerwał. - Ma pani pustą szklankę... Przyniosę coś do picia. Może być białe wino?

Podszedł do stołu z napojami i przystanął, żeby zamienić parę słów z innymi. Nowi goście nadal napływali. W salonie zrobił się tłok. Gini rozejrzała się dookoła i zobaczyła, jak macocha prowadzi w stronę Pascala Lise Hawthorne. Przedstawiła ich sobie, Lise wyciągnęła rękę.

Gini odwróciła się i poszukała wzrokiem Hawthorne'a. Rozmowa o ojcu sprawiła jej przyjemność, ucieszyło ją zwłaszcza dobre zdanie Hawthorne'a o jego warsztacie pisarskim.

Czy zrobił te uwagi właśnie po to, by sprawić jej przyjemność, zaskarbić sobie przychylność?

Nie mogła być tego pewna. Hawthorne nie musiał przecież zabiegać o jej sympatię, niby dlaczego miałby to robić? Po co? Zresztą, jego sposób zachowania nie sugerował niczego takiego, wręcz przeciwnie, był bezpośredni i swobodny. Kiedy pierwszy raz wspomniał o jej ojcu, a zrobił to prawie natychmiast po rozpoczęciu rozmowy, mówił z zabarwioną lekkim rozbawieniem sympatią.

- Nie wiedziała pani o tym? - powiedział. - Dzięki pani ojcu wróciłem z Wietnamu przy zdrowych zmysłach. Sam pojechał z moim plutonem na dwie misje jako obserwator. Raz siedzieliśmy we dwóch w lisiej norze przez trzy dni, pod ciągłym ostrzałem. Sam pożarł moje racje żywnościowe, a ja pochłonałem zawartość jego manierki. Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat i byłem nieprzytomny ze strachu. Pani ojciec niczym się nie przejmował. Dał mi lekcję, której nigdy nie zapomniałem. Do dziś nie jestem pewny, czy to była odwaga, czy ślepa głupota. Tak czy inaczej, Sam i ja znamy się od wieków...

Wzruszająca historia, pomyślała Gini. Wynosząca pod niebiosa zimną krew jej ojca, wyśmiewająca samego Hawthorne'a... Tak, niewykluczone, że opowiedział ją, by zdobyć jej sympatię, ale z drugiej strony, zrobił to w naturalny, ciepły sposób...

Zmarszczyła brwi. Rozmowa z ważnymi, wpływowymi ludźmi nie była dla niej nowiną, przeprowadzała już wywiady z wieloma politykami. Hawthorne nie przypominał żadnego z nich. Nie usiłował zdominować partnera i nie dążył, aby rozmowa skupiona była na nim. Nie traktował rozmówcy z pobłażliwą wyższością i nie zerkał co parę minut w kierunku drzwi, żeby sprawdzić, czy do pokoju nie wszedł właśnie ktoś ważniejszy. Poświęcił Gini całą swoją uwagę. Słuchał, kiedy mówiła i odpowiadał na jej uwagi i pytania. Czowała, że ocenia ją, więcej - egzaminuje i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że szybko i zdecydowanie wystawia oceny. Odniosła też wrażenie, że zdała. Była pewna, że gdyby Hawthorne uznał ją za głupią gęś, nie tracąc czasu odwróciłby się na pięcie i odszedł.

Oczywiście, pochlebiało jej to, chociaż nie mogła wykluczyć, że taka właśnie sztuczka leżała u podstaw jego charyzmatycznego uroku. Może celowo budził w rozmówcy przekonanie, że to on jest jedyną interesującą osobą w promieniu

kilkunastu metrów, jedyną, na której pragnie skupić swoją uwagę. Musiała brać to pod uwagę, wiedziała bowiem, że uległa urokowi Hawthorne'a i polubiła go od pierwszych chwil ich znajomości.

Teraz wracał do niej, ostrożnie niosąc dwa drinki. Przyjrzała mu się uważnie. Czy to możliwe, aby był człowiekiem, którego opisała Lise Hawthorne? Czy ten mężczyzna mógł być przedmiotem rewelacji McMullena? Doszła do wniosku, że nie wierzy w to.

- Dlaczego pracuje pani dla „News”? - zapytał, wręczając jej kieliszek. - Nicholas Jenkins może rzeczywiście zwiększa nakład, ale ciągnie poziom gazety w dół. Jeżeli nie będzie uważał, straci czytelników z klasy średniej.

- Och, Jenkins jest tego świadomy, ale sądzi, że uda mu się kontynuować ten taniec na linie w nieskończoność.

- Jenkins sądzi, że umie chodzić po wodzie. - Hawthorne się uśmiechnął. - Natomiast ja nie dałbym głowy, czy istotnie posiada tę umiejętność. Zobaczmy. Jedno jest pewne, w tej chwili nie cieszy się zbyt dużą popularnością w Pałacu Buckingham ani w Paryżu, sądząc po dzisiejszym wydaniu. Francuski minister zrezygnował, ale to naturalnie niewielka strata. Nad czym pani teraz pracuje?

Zadał to pytanie z reflekssem godnym eksperta. Gini czuła, że o sekundę, może dwie za długo zwleka z odpowiedzią.

- Nad czym pracuję? Cóż, nad typowym dla Jenkinsa tematem... Seks na telefon, wie pan, te agencje, które wszędzie się ogłaszają...

- Nie wiem, ale słyszałem. - W głosie Hawthorne'a zabrzmiało rozbawienie. - Jest pani zadowolona z tego tematu?

- Nie, skądże... - Przerwała. Przyszło jej do głowy, że ten wątek rozmowy może okazać się użyteczny. Spojrzała Hawthorne'owi prosto w oczy. - Na razie przesłuchuję nagrania, to dopiero początek.

- Są ciekawe? Zabawne?

- Nie, całkowicie bezbarwne. Dziewczyny wydają się śmiertelnie znudzone. Opisują swoje ciała i bieliznę...

- Naprawdę?



- Od czasu do czasu włączają wibrator. Mam wrażenie, że sama napisałabym lepszy scenariusz.

- Tak pani uważa?

- Oczywiście, mogę się mylić... Jestem kobietą, a te nagrania są przeznaczone dla mężczyzn. Może nie potrafię zrozumieć, co podnieca mężczyznę.

- Z pewnością pani potrafi, nie jest pani głupia. - Jego ton głosu, dotąd z wyraźną nutką humoru, nagle stał się ostry.

Przez chwilę Gini sądziła, że Hawthorne zakończy rozmowę. Spojrzał w drugi kraniec salonu, gdzie jego żona siedziała teraz obok Pascala. Potem, ku zdumieniu Gini, odwrócił się do niej i podjął rozmowę, tym razem zupełnie poważnie.

- Wszyscy mężczyźni, którzy korzystają z tych telefonów, są samotni. Wyobrażam sobie, że każdy z nich dzwoni w określonym celu, prawda? I chce osiągnąć ten cel... Cóż, z pewnością orientuje się pani, że przeprowadzono wiele badań, ich zadaniem była ocena reakcji mężczyzn na pornografię. W przeciwieństwie do kobiet, które reagują na słowa, mężczyźni reagują na obrazy, więc ludzie zarabiający na tych liniach telefonicznych muszą się postarać, aby dzwoniący mężczyźni zobaczyli to, co opisuje kobieta. Nie wymaga to oryginalności, zresztą pornografia nigdy nie jest oryginalna i nie ma takich ambicji. Poza tym... - Hawthorne ściągnął brwi. - Wydaje mi się, że ci mężczyźni doznają dwojakiego podniecenia. Po pierwsze, odgrywają rolę podsłuchującego i podglądającego, po drugie... - Wzruszył ramionami. - Może taki telefon daje im złudzenie władzy, dominacji. Wybierają numer telefonu, a więc i dziewczynę. W każdej chwili mogą skończyć rozmowę, przerwać połączenie. Prawdopodobnie daje to im satysfakcję bez żadnych reperkusji czy zaangażowania. Seks na warunkach mężczyzny, seks z zupełnie obcą osobą... - Wykonał pełen zniecierpliwienia gest. - Wielu mężczyznom może wydawać się to pożądane i atrakcyjne. Myślę, że te agencje czeka wielki rozkwit, podobnie jak w Stanach. Nie wyobrażam sobie, aby mogły nie odnieść sukcesu.

Gini spuściła oczy. Wysłuchiwała interesującego wykładu, wygłoszonego w beznamiętny sposób, zupełnie jakby mówca zwracał się do uczestników jakiegoś seminarium. Słowom towarzyszyło ostre, bezpośrednie spojrzenie, a pod koniec wyraźne zniecierpliwienie - może tematem, a może jej towarzystwem.

- Tak czy inaczej, nie jest to ten rodzaj historii, nad którymi powinna pani pracować - odezwał się nagle. - Mary często to powtarza i muszę przyznać jej rację. Jeżeli Jenkins podsuwa pani tylko takie tematy, to bez wątpienia lepiej byłoby pani gdzie indziej.

- Mnie także przyszło to już do głowy.

- To dobrze. - Uśmiechnął się. - Zna pani Henry'ego Melrose'a? Powinna pani pomówić z nim o swojej pracy, jasno określić preferencje.

Gini rzuciła mu niedowierzające spojrzenie. Henry Melrose - lord Melrose - był właścicielem „News”.

- Nie, nigdy nie poznałam lorda Melrose'a - odparła sucho. - Niewielu reporterów ma tę szansę. Kiedy jest w budynku redakcji, co nie zdarza się często, nie schodzi z Olimpu, to znaczy z piętnastego piętra...

Hawthorne odwzajemnił jej uśmiech.

- W takim razie powinna pani poznać go poza redakcją. Nic łatwiejszego. Henry Melrose na pewno przypadnie pani do gustu, to bardzo bystry, inteligentny człowiek, a to znacznie więcej niż można powiedzieć o większości właścicieli gazet. W dodatku naprawdę interesuje się tym, co piszą w jego gazetach i w przeciwieństwie do Jenkinsa nie jest ślepy na zdolności i osiągnięcia innych. Warto też pamiętać, że poza „News” ma kilka innych gazet, tu i w Stanach. Szczerze mówiąc, jeżeli jest pani niezadowolona, po co w ogóle trzymać się Londynu? Nie wolałaby pani wrócić do Waszyngtonu albo do Nowego Jorku?

- Nigdy tam nie pracowałam - odparła Gini. - Napisałam sporo tekstów dla amerykańskich gazet, ale robiłam to jako wolny strzelec... Po skończeniu szkoły zaczęłam pracować w Anglii i tu już zostałam...

- Może czas pomyśleć o zmianie? Proszę spróbować. Sam mógłby przecież pani pomóc, prawda? Na pewno ma aż za dużo kontaktów...

- Właśnie dlatego wolę nie szukać tam pracy. Nie chcę jechać na opinii ojca, a tutaj mi to nie grozi.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że tak się sprawy mają... Gini odezwała się ostrym tonem i natychmiast poczuła, że Hawthorne ocenia ją od nowa. Miała wrażenie, że parę minut wcześniej jego zainteresowanie jej osobą znacznie zmalało -

może dlatego, że nie знаła lorda Melrose'a, a może dlatego, że uznał ją za mało ambitną - lecz teraz została przywrócona do łask. Jego zachowanie stało się znacznie cieplejsze.

- Potrafię to zrozumieć - zaczął. - Sam bywa cholernie niezdolny, wszyscy o tym wiemy. Może wszyscy ojcowie są tacy, na przykład mój własny... - przerwał. - Kiedy byłem młodszy, przeżywałem ciężkie chwile z jego powodu, zresztą czasami nadal się to zdarza. Chyba zbyt ambitnie podchodzę do tych starć... Tak czy inaczej, miałem dużo szczęścia.

Szybko się nauczyłem, jak sobie z nim radzić, no i Lise bardzo mi w tym pomogła...

Uśmiechnął się i ujął Gini za ramię. Poczowała ciepło jego dłoni na skórze, tuż nad łokciem i zauważyła, że uważnym spojrzeniem objął sukienkę, którą miała na sobie.

- Piękna suknia - powiedział. - Czyżby to był ten słynny gwiazdkowy prezent od Mary? Mówiła mi o nim.

- Tak, to właśnie ta sukienka.

- Dobrze wybrała. Czerń podkreśla odcień pani włosów. A teraz chodźmy do Lise. Wiem, że miała wielką ochotę z panią porozmawiać. Czy Mary opowiadała pani tę swoją historyjkę, jak to namówiła mnie, żebym się oświadczył? - Zrobił zabawną minę. - Oczywiście, to nonsens. Mój ojciec też twierdzi, że przyczynił się do tego. W rzeczywistości sam podjąłem decyzję, ale nie mówię tego Mary, bo lubię sprawiać jej przyjemność. - Uśmiechnął się. - Darzę pani macochę wielką sympatią. Czy wie pani, że kiedy ją poznałem, miałem dziesięć lat? Od tej pory wciąż bezlitośnie pokpiwa ze mnie...

Trzymając dłoń na ramieniu Gini, delikatnie poprowadził ją w kierunku żony. Patrzył teraz na Lise, która siedziała na kanapie, z ożywieniem rozmawiając z Pascalem. Gini zerknęła na Hawthorne'a, który podobnie jak większość obecnych mężczyzn, miał na sobie smoking i czarny krawat. Był jasnowłosy, opalony, przystojny i tajemniczy, tak samo jak w chwili, gdy wszedł do pokoju i wtedy, kiedy spotkała go po raz pierwszy, jeszcze jako dziewczynka. Nie zrobiłam żadnych postępów, pomyślała. Nie dowiedziałam się niczego...

Nagle dostrzegła, że Hawthorne marszczy brwi i podążyła za jego spojrzeniem. Lise i Pascal siedzieli blisko siebie, pogrążeni w rozmowie. Pascal wyglądał na bardziej zrelaksowanego i swobodnego niż w ciągu ostatnich dni. Oczy utkwione w twarzy Lise miały wyraz skupiony, lecz pogodny.

- Nie... - odezwał się w odpowiedzi na jakąś uwagę, którą Lise zrobiła niskim, nieco zdyszczanym głosem. - Nie, *C'est impossible*. Kobiety lubią opowiadać takie rzeczy i *może* nawet niektóre w nie wierzą, ale nie pani...

Lise się roześmiała. Pochylona do przodu, znowu zaczęła mówić. Hawthorne przystanął i dłuższą chwilę obserwował żonę. Potem odwrócił się do Gini.

- Chyba jednak nie powinniśmy im teraz przerywać. Wszystko wskazuje na to, że Lise właśnie wsiadła na swojego konika...

- To znaczy?

- Mówi o astrologii, tarocie, przeznaczeniu, łosie... - Rzucił Gini rozbawione spojrzenie. - O takich tam bzdurkach... Jeżeli pani przyjaciel nie będzie uważał, a nie wygląda na zbyt ostrożnego, to za jakieś trzy minuty Lise zaproponuje, że powróży mu z dłoni...

- Często to robi?

Gini poczuła się odrobinę niepewnie, lecz Hawthorne nie wyglądał ani na zażenowanego, ani zirytowanego. Puścił jej ramię i nagle Gini się zorientowała, że patrzy na nią w inny, bardziej skupiony sposób. Jego oczy spoczęły na dekolcie sukni, potem na włosach, ustach, oczach. Obdarzył ją olśniewającym uśmiechem i było to tak, jakby zdecydował się włączyć lampę, kierując na nią pełną moc legendarnej charyzmy i uroku. Więc taką ma metodę działania, pomyślała Gini. Kiedy jego żona flirtuje, on odwzajemnia się tym samym...

- Bardzo często - odparł. - Obawiam się, że Lise rzeczywiście wierzy w to wszystko. Oboje obchodzimy urodziny w styczniu. Gdy ją poznałem, powiedziała mi, że to znak... Byliśmy wtedy dziećmi. A skoro już mówimy o urodzinach - za dwa tygodnie przypadają moje. Wydajemy przyjęcie w domu w Oxfordshire. Mary na pewno przyjedzie, Henry Melrose także. Musi nas pani odwiedzić. Teraz, kiedy wreszcie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni, musimy nadrobić stracony czas. O, widzi pani? Minęły dokładnie trzy minuty...

Ruchem głowy wskazał Lise, która trzymała dłoń Pascala i właśnie zaczęła wskazywać wpisane w nią linie. Pascal wydawał się traktować to zupełnie poważnie. Gini odwróciła wzrok.

- Przyjedzie też mój ojciec - ciągnął Hawthorne. - Razem z moim bratem Prescottem i siostrami. Szykuje się wielkie spotkanie całego klanu. Musi pani przyjechać, powiem o tym Lise... Myślę, że dobrze by jej zrobiło, gdyby miała młodych znajomych w Londynie... - Znowu położył rękę na jej ramieniu i lekko popchnął ją do przodu. - Wszystkie te oficjalne przyjęcia nie są w jej stylu, zresztą w moim także... Niestety muszę w nich uczestniczyć, a nie mam zbyt dużo wolnego czasu. Za dużo spotkań i konferencji, za dużo przemówień... I teraz jeszcze ten konflikt na Bliskim Wschodzie...

- To poważne obciążenie psychiczne, prawda? - wtrąciła szybko Gini. - Konieczność wzmocnienia ochrony, przestrzeganie zasad bezpieczeństwa... To chyba uciążliwe, że ani przez chwilę nie może pan być sam...

- Wręcz przeciwnie, wszystko to stale mi przypomina, jak bardzo jestem samotny. - W jego głosie nieoczekiwanie zabrzmiała nuta całkowitej szczerości.

Trwało to jednak tylko sekundę - zaraz potem znowu był pogodny i zadowolony z życia.

- Tak czy inaczej, można się do tego przyzwyczaić - podjął. - I przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza...

W końcu dotarli do Pascala i Lise. Pascal wstał. Z boku podeszła do nich Mary. Lise także podniosła się i ciepło przywitała Gini. Mocno uścisnęła jej dłoń, patrząc na nią w sposób, który Gini wydał się niepokojący, wręcz dziwny.

- Och, tak się cieszę, że wreszcie mogę panią poznać! - powiedziała Lise miękkim, odrobinę zachrypniętym głosem. - Tyle słyszałam o pani od Mary, no i od Johna...

Hawthorne się uśmiechnął.

- Dobry Boże, Gini już dawno o tym zapomniała... - rzekł. - Było to strasznie dawno temu, ale rzeczywiście spotkaliśmy się kiedyś w Kent, w domu Mary, w czasie ferii wielkanocnych... Tego samego dnia wracała pani do szkoły...

- Pamiętam - odezwała się Gini.

Lise uwolniła jej rękę. Mary usiłowała przedstawić Pascala Johnowi Hawthorne'owi. Kiedy ostatecznie zdołała zwrócić jego uwagę, ten obrzucił Pascala niezbyt przyjaznym spojrzeniem i szybko uściśnął mu dłoń.

- Lamartine? - zmarszczył brwi. - Chyba znam to nazwisko... No, tak, z dzisiejszych porannych gazet... Przepraszam na chwilę...

Odwrócił się w drugą stronę. Przez twarz Mary przemknął dziwny wyraz ni to żalu, ni to poczucia winy. Lise mocno trzymała swoją wieczorową torebkę, jej knykie były białe.

- Lise, mamy tylko pięć minut... - rzucił Hawthorne przez ramię. - Potem musimy jechać. Zaraz uprzedzę Malone'a...

Z tymi słowami, z celową nieuprzejmością, odszedł w kierunku drzwi.

Dokładnie pięć minut później Hawthorne'owie wyszli do holu. Ze względu na Mary Gini była gotowa zostać trochę dłużej, ale Pascal zdecydowanie potrząsnął głową i ujął ją za ramię.

- Nie, wyjdziemy teraz - odezwał się cicho. - W tym samym czasie co oni...

W holu zrobił się tłok. Była tu Mary, Hawthorne'owie, dwoje aktorów, którzy także postanowili już wyjść, a przy drzwiach tkwił potężnie zbudowany, krótko ostrzyżony ochroniarz. Z zewnątrz dobiegał statyczny trzask pagerów.

- Malone? - odezwał się Hawthorne.

Mężczyzna skinął głową. Otworzył drzwi, powiedział coś niedosłyszalnego i znowu je zamknął.

Hawthorne pomagał żonie włożyć wierzchnie okrycie. Gini z trudem stłumiła okrzyk. Pascal ostrzegawczo zacisnął palce na jej ramieniu. Lise pogładziła futro i z uśmiechem odwróciła się do Mary.

- Boskie, prawda? John podarował mi je na urodziny, razem z naszymi... - Lekko wspięła się na palce i musnęła policzek męża czułym pocałunkiem. - Tak mnie rozpieszcza...

- Nonsens, kochanie... - Hawthorne uśmiechnął się do niej i otoczył jej barki ramieniem. - Zaslugujesz na to.

Hawthorne'owie podziękowali Mary i pożegnali się z nią, potem wymienili uściski dłoni z aktorami. Malone otworzył drzwi i szybko wyszedł. Na schodach

natychmiast wyłoniły się z mroku jeszcze dwa cienie, cicho zatrzeszczały krótkofalówki. Gini i Pascal patrzyli, jak ambasador i jego żona schodzą w dół i wsiadają do długiej czarnej limuzyny. Malone pozostał u szczytu schodów, uważnie omiatając wzrokiem ulicę. Kiedy samochód ruszył, podniósł rękę i powiedział coś do umieszczonego przy przegubie dłoni mikrofonu. Limuzyna zniknęła, za nią w przepisowej odległości dwudziestu metrów pojechał drugi wóz. Malone zbiegł po schodach z lekkością zdumiewającą u mężczyzny jego budowy i wskoczył do trzeciego samochodu, który właśnie podjechał pod dom.

- Nic nie mów... - Pascal nachylił się do ucha Gini. - Ani słowa... Zaczekaj, aż wyjdziemy.

Gdy znaleźli się na ulicy, ujął ją za ramię i szybko poprowadził w odwrotnym kierunku niż miejsce, gdzie zaparkowali samochód. Upewniwszy się, że nikt za nimi nie idzie, wciągnął ją do malutkiego zaułka. Tu przystanęli. Odwrócił się do Gini, ukazując pobladłą, napiętą twarz.

- Widziałas?

- Futro? Oczywiście! Trudno przegapić futro z soboli, długie do kostek...

- A naszyjnik? Zauważyłaś te perły?

- Nie.

- To dlatego, że przekreśliła zapinkę do tyłu. Złota zapinka z wielkim rubinem... I perły, i futro dostała na urodziny od męża. Dziś są jej urodziny.

- Wiem, Mary wspominała o tym.

- No, właśnie... - Wyjął papierosa i zapalił. Oparł się o mur wokół ogrodu i spojrzał na nią. - Bardzo hojny mąż z pana ambasadora... Perłowy naszyjnik, futro z soboli... Ciekawe, czy powiedział jej, kto nosił je przed nią...

- Zaczekaj... Jesteś pewny, że to te perły?

- Oczywiście. I mieliśmy rację, kiedy po przesłuchaniu taśmy doszliśmy do wniosku, że Lise się boi i bardzo denerwuje. Rzeczywiście tak jest, zauważyła to nawet twoja macocha. Dwa razy pytała Lise, czy czuje się już lepiej...

- Moim zdaniem wyglądała zupełnie nieźle. - Gini rzuciła mu ostre spojrzenie. - Nie sprawiała wrażenia chorej, kiedy wróżyła ci z ręki...



- Skąd możesz wiedzieć? - odpalił błyskawicznie. - Byłaś tak zajęta Hawthorne'em, że nie zwróciłaś uwagi na trzęsienie ziemi...
- Ale przynajmniej ja nie flirtowałam, czego nie można powiedzieć o tobie i Lise!
- Naprawdę? Nie flirtowałaś? Słuchałaś go z taką uwagą, jakby wyjawiał ci prawdy życia! Widziałem, jak na ciebie patrzył, jak wziął cię za ramię...
- Nie bądź śmieszny, do cholery! To chyba naturalne, że go słuchałam, w końcu po to tam przyszedłam! Miałam mu się przyjrzeć, zorientować się, jaki to człowiek...
- Doskonale. Świetnie. I jakie są twoje wrażenia?
- Polubiłam go, jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć. Ogólnie biorąc, to całkiem sympatyczny człowiek. Jest autokratyczny, ale tego można się było spodziewać. Gdybyś spróbował z nim porozmawiać, zamiast siedzieć tam i słuchać fascynujących wróżb, doszedłbyś do takich samych wniosków.
- Gdybym spróbował z nim porozmawiać? Jezu Chryste, czy ty jesteś kompletnie ślepa? - Pascal bezradnie rozłożył ręce. - Widziałaś, co się stało, kiedy nas sobie przedstawiła! Ledwo usłyszała moje nazwisko, i już go nie było! I oczywiście nie omieszkała gwizdnąć na żonę...
- Dziwię się, że nie zrobił tego wcześniej - odparła Gini. - W życiu nie widziałam czegoś równie żalospnego. Wpatrywała się w twoją dłoń jak w największy skarb i szeptała do ciebie...
- Nie szeptała, ona po prostu ma cichy głos, to wszystko.
- Szeptała! I trzymała cię za rękę na oczach tłumu! Rozumiem, że bardzo ci to pochlebilo i naprawdę mi przykro, że muszę cię rozczarować, ale podobno ona wykonuje taki numer przy każdej okazji!
- Naprawdę? - Głos Pascala, jeszcze przed chwilą pełen gniewu, nagle zabrzmiał niebezpiecznie chłodno.
- Jasne! Hawthorne powiedział mi, że to jej stara sztuczka. Usłyszał, co mówiła - wszystkie te bzdury o horoskopach, astrologii i tak dalej, i uprzedził mnie, że za trzy minuty zaczniesz ci wróżyć z ręki. I miał rację, co do sekundy...
- Więc to było sprytne zagranie z jej strony.
- Sprytne zagranie z jej strony? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Jak to?

- Zrobiła coś, czego się po niej spodziewał i właśnie dlatego przestał ją obserwować. Skupił uwagę na tobie...

- Przestań już, dobrze? Toczyliśmy normalną, zwyczajną rozmowę. O pracy, o moim ojcu. Hawthorne poznał go w Wietnamie...

W oczach Pascala błysnęło zniecierpliwienie.

- Oczywiście, facet dołożył wszelkich starań, żeby cię oczarować, to było jasne od pierwszej chwili. Rozmawiał z tobą o ojcu, robił wszystko, żeby ci pochlebić, nie rozumiesz?

- Nie. Powiedziałam ci już, że go polubiłam. Wydał mi się uczciwy, bezpośredni, zdecydowany... To wszystko.

- I teraz stoisz już murem za nim, tak? Ale nie uda ci się wytłumaczyć tych pereł i futra...

- Nie. Tobie też się to nie uda, bo same w sobie te rzeczy niczego nie dowodzą...

- Ale sporo sugerują.

- Posłuchaj... - Gini westchnęła ciężko. - Staram się tylko nie zakładać z góry, że Hawthorne jest winny. Dopóki nie dowiedzimy mu winy, jest niewinny. Ty jesteś odmiennego zdania, bo wystarczyło ci raz spojrzeć, żeby poczuć do niego antypatię. To dla ciebie typowe - tak samo zachowałeś się w stosunku do mojego ojca...

- Własnym uszom nie wierzę! - Odwrócił się i zaczął nerwowo odmierzać parę kroków w jedną i drugą stronę. - W porządku, chcę zrozumieć, w czym rzecz. - Spojrzał przez ramię na Gini. - Kojarzysz teraz Hawthorne'a z twoim ojcem, tak?

- Nie, do diabła! - wybuchnęła. - Powiedziałam coś takiego? Nie! Chodzi mi tylko o to, że w mgnieniu oka zdecydowałeś, iż Hawthorne nie zasługuje na sympatię i zaufanie... Często tak robisz...

- To nieprawda.

- Prawda. Jak było z Lise? Spojrzałeś na nią i od razu skapitulowałeś! Nagle okazało się, że Lise jest biedną, przestraszoną istotką, którą trzeba chronić i osłaniać! Sęk w tym, że wcale nie wiemy, czy tak jest. Lise mogła zmyślić całą tę historię, prawdopodobnie z pomocą McMullena. Niewykluczone, że to jedna wielka mistyfikacja, od początku do końca.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Dlaczego tak długo rozmawiałem z tą głupią babą, jak ci się wydaje? Dlaczego tak uważnie jej słuchałem? Sądysz, że sprawiło mi to przyjemność, chciałem słuchać tych nonsensownych rewelacji na temat przeznaczenia i tajników astrologii? Czy ty w ogóle mnie nie znasz, na miłość boską?!

- Nie wyglądałeś na znudzonego.

- Wysłuchasz mnie wreszcie czy nie? - Zrobił krok w jej kierunku i chwycił ją za ramię.

- Nie. Widziałam cię, nie zapominaj o tym. Nigdy dotąd nie zachowywałeś się w ten sposób, ja...

Przerwała. Pascal stał tuż obok i z wysokości prawie dwóch metrów patrzył jej w twarz.

- Chcesz powiedzieć coś jeszcze? - zapytał cicho. - Chcesz coś dodać? Czy może wolałabyś chwilę pomilczeć i posłuchać mnie?

- Nie, nie wolałabym. I mam jeszcze dużo do powiedzenia.

Westchnął.

- Trudno... W takim razie zmuszę cię do milczenia. Pocałował ją. Zrobił to tak szybko, że zupełnie ją zaskoczył. Przyciągnął do siebie i mocno pocałował w usta.

- Teraz posłuchasz tego, co ja mam ci do powiedzenia i nie będziesz mi przerywać - rzekł, cofając się o krok. - Po pierwsze, Lise Hawthorne naprawdę była w stanie wielkiego napięcia, zachowywała się dziwnie, nerwowo, niewykluczone, że przyjmuje jakieś leki. Po drugie, ochrona Hawthorne'a jest w stanie podwyższonej gotowości, w domu dosłownie roilo się od goryli. Na zewnątrz czekały dwa samochody i dwóch ochroniarzy. W środku, w holu był ten Malone, a przy drugich drzwiach salonu jeszcze jeden. To niezwykle środki ostrożności, nigdy nie widziałem czegoś podobnego na prywatnym przyjęciu. Po trzecie, Lise Hawthorne była zaniepokojona obecnością ochroniarzy. Ciągłe zerkania na nich i na męża, zupełnie jakby czuła, że jest pod obserwacją. Po czwarte, jej zachowanie jest w pełni zrozumiałe, bo Hawthorne faktycznie nie spuszczał z niej oczu. Ty stałaś plecami do nas, ale on bezustannie nam się przyglądał. Biorąc to wszystko pod uwagę, jestem pod wrażeniem tego, co zrobiła, kiedy wróżyła mi z ręki i ten jej cholerny mąż w końcu się odwrócił. Dała mi to, popatrz...

Pascal wyciągnął rękę w kierunku bijącego z latarni światła i pokazał Gini malutki kawałek papieru, kwadracik o boku długości najwyżej półtora centymetra.

- Teraz chyba rozumiesz, dlaczego ta pozornie głupia kobieta postanowiła mi powróżyc. Wykazała się wielkim sprytem. Nie zauważyłem nic, dosłownie nic, dopóki nie poczułem papieru na dłoni. Zrobiła to w mgnieniu oka. Chcesz zobaczyć, dlaczego tak się starała?

Pociągnął ją bliżej latarni, rozłożył kawałek papieru i starannie go rozprostował. Na miniaturowej karteczce wypisane było słowo „niedziela”, a niżej adres.

Chwilę stali w milczeniu. Gini zadrżała.

- McMullen nie zdołał dostarczyć adresu, pod którym ma się odbyć następna niedzielna randka, więc Lise Hawthorne zrobiła to sama - rzekł Pascal. - Podejmując niemałe ryzyko...

Gini złożyła karteczkę.

- Musisz wiedzieć, że to miejsce znajduje się bardzo blisko Regent's Park - powiedziała. - Mniej więcej pięć minut od rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych, od domu Johna Hawthorne'a. Możemy przejść obok niego w drodze powrotnej.

Pojechali na północ, okrążyli Regent's Park i skręcili w Avenue Road. Po obu stronach ulicy stały duże, luksusowe domy.

- Niezła okolica - mruknął Pascal bez entuzjazmu. Avenue Road przypominała mu dzielnicę, w której znajdował się dom Helen.

- Bogata okolica - poprawiła go Gini. - Dzielnica nowobogackich, zwłaszcza w tej części...

Minęli kilka wielkich, białych wiktoriańskich willi, między którymi stały jeszcze większe ceglane pałace świeżej daty. Większość z nich wyposażona była w alarmy i specjalne oświetlenie, prawie wszystkie okna na parterze były zakratowane.

- Ludzie lokują w nich pieniądze, tak podejrzewam - zauważyła Gini. - Połowa tych domów stoi pusta, mieszka tu tylko służba. O, ten budynek to znana klinika ginekologiczna, w której przeprowadzają aborcje bardzo zamożne kobiety. Kiedyś robiłam wywiad z jej dyrektorem. Teraz chyba powinniśmy skręcić w prawo... - Zwolniła. - Cholera jasna! Ślepa uliczka...

- Nie szkodzi. Skręć i zawróć na końcu.

Przy króciutkiej ulicy stało sześć domów, po trzy z każdej strony. Ten, do którego skierowała ich Lise, znajdował się na samym końcu i był jedynym starym budynkiem w tym zaułku. Zdążyli dostrzec białą fasadę i dziwaczny pseudogotycki portyk. Resztę domu skrywały wysokie krzewy laurowe. Był nieoświetlony, podobnie jak pozostałe. Mrok rozpraszała tu tylko jedna latarnia.

Gini wyjechała z powrotem na główną ulicę. W milczeniu dotarli do Islington. W mieszkaniu Gini Pascal bez słowa przygotował posłanie na kanapie i zaczął pakować swoje rzeczy do torby. Gini obserwowała go uważnie.

- Jutro lecimy do Wenecji - odezwała się w końcu.

- Tak. Samolot odlatuje o dziewiątej, więc musimy wyjechać stąd koło siódmej. Lepiej idź już spać.

- Może odnajdziemy McMullena - powiedziała. - I on wreszcie wszystko nam wyjaśni...

Pascal wyprostował się i rozejrzał po pokoju.

- Może... - mruknął, przenosząc na nią spojrzenie. - Nie tutaj...

Ona także rozejrzała się po swoim salonie, który być może wcale nie był bezpieczny. Chciała zapytać Pascala, dlaczego ją pocałował, i czy czuł wtedy to, co ona, ale wolała nie robić tego w miejscu, gdzie ściany mają uszy.

Pomyślała, że może wyczyta odpowiedź z jego twarzy lub zdecydowanych ruchów, lecz nie była tego pewna. W progu sypialni przystanęła, pełna wahania. Pascal przerwał pakowanie, wyprostował się i spojrzał na nią. Panujące w pokoju milczenie było bardzo wymowne.

- Czy zrobiłeś to tylko dlatego, żeby mnie uciszyć? - zapytała w końcu.

- Nie. - Uśmiechnął się lekko. - Pragnąłem zrobić to już od dawna. *Depuis mercredi, tu sais. Depuis douze ans...*

Znowu pochylił się nad torbą. Gini weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Dwa zdania, które wypowiedział, wciąż brzmiały jej w uszach jak najpiękniejsza muzyka. Lubiła francuską gramatykę i składnię, w której słowa i

konstrukcje zdaniowe powtarzały się niczym muzyczne frazy. Od środy, przetłumaczyła szybko. Od dwunastu lat...

## XVIII

Lot był opóźniony. Pascal i Gini stali w kolejce do stanowiska kontroli paszportowej. Pasażerów do Wenecji było niewielu. Większość podróżnych wybierała się na narty. Co jakiś czas spokojny, lekko znudzony głos powtarzał przez głośniki wciąż ten sam refren: „Z powodu napiętej sytuacji międzynarodowej na lotnisku wprowadzono dodatkowe środki bezpieczeństwa. Nie należy pozostawiać bagażu w miejscach niestrzeżonych. Prosimy o cierpliwość i współpracę z funkcjonariuszami służb lotniskowych...”.

Torby Gini i Pascala dwukrotnie przeszukano, obejrzano dokładnie aparaty fotograficzne. Celnik otworzył magnetofon Gini, wyjął z niego taśmę, zajrzał do środka, włożył taśmę na miejsce.

Połowa miejsc w samolocie była wolna. Pascal, który w hali odlotów uważnie obserwował pozostałych pasażerów, postarał się, aby przydzielono im miejsca z dala od innych. Z przodu i z tyłu mieli po dwa rzędy wolnych foteli.

- Nie najgorzej - ocenił, kiedy samolot oderwał się od ziemi. - Nic lepszego nie da się chyba wymyślić. Nie jest idealnie, ale możemy mieć pewność, że niełatwo będzie nas podsłuchać, nawet gdyby komuś bardzo na tym zależało.

- Myślisz, że ktoś nas śledzi? Wzruszył ramionami.

- To możliwe. Cały czas mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi i podsłuchuje, ale może to swoista paranoja, jak to określasz. Tak czy inaczej, podjąłem pewne kroki - nie pojedziemy do hotelu, w którym zarezerwowałem dla nas pokoje, ale do innego. Znam go dość dobrze, jest tam cicho i spokojnie...

Przerwał, ponieważ stewardesa roznosiła właśnie gazety.

- Jedno zasługuje na uwagę - podjął, kiedy odeszła. - Jeżeli McMullen rzeczywiście wyjechał z Anglii do Włoch, to zrobił to w idealnym momencie, bo teraz od mniej więcej dwóch tygodni policja dokładnie sprawdza wszystkie paszporty.

- Twój oglądali prawie dziesięć minut.

- Mam za dużo wiz z krajów Bliskiego Wschodu, to im się nie podoba.  
- Popatrz... - Gini podsunęła mu „The Sunday Times”. - Nowa fala antyamerykańskich demonstracji, w Syrii, w Iranie...  
- Będzie ich coraz więcej, to nieuniknione. Spójrz na to... - Wskazał informację na drugiej stronie. - Wczoraj podłożono bombę w pobliżu amerykańskiej ambasady w Paryżu, zauważyłaś to?

- Tak. Może przynajmniej w pewnej mierze tłumaczy to zdenerwowanie Lise Hawthorne. Mary mówiła mi, że Lise bardzo obawia się o bezpieczeństwo męża.

Pascal zmarszczył brwi i utkwiał wzrok w oknie.

- Nie - odparł. - Chodziło jej o *coś* innego, *coś* znacznie poważniejszego...  
- Może martwi się o McMullena. Wygląda przecież na to, że to jej jedyny powiernik. Lise liczy na jego pomoc i wsparcie, a on zniknął już ponad dwa tygodnie temu.

- Dwadzieścia dni temu - sprostował Pascal. - Prawie trzy tygodnie.

- Załóżmy, że przez cały ten czas nie miała od niego żadnej wiadomości, że nie wie, gdzie jest, ani nawet czy żyje, a tymczasem zbliża się kolejna niedziela... - Zerknęła na Pascala. - Nieobecność, pustka, niepewność... To wystarczy, nie sądzisz?

- Jeżeli rzeczywiście nie ma z nim kontaktu, to całkiem możliwe - rzekł. - Ale ja nie wierzę, że McMullen w ogóle się do niej nie odzywa. Słyszałaś ten fragment nagrania, gdzie mówił, że przeszedłby cały świat, by spędzić pięć minut u jej boku... Dam głowę, że poruszyłby niebo i ziemię, aby rozwiać jej niepokój, słyhać to w jego głosie...

Zawahał się i odwrócił wzrok. Samolot nabierał wysokości. Za oknem kłębiły się gęste chmury, potem zabłysło słońce.

Pascal złożył gazety i rzucił je na wolny fotel obok.

- Skoncentrujmy się - powiedział. - Mniej więcej za dwie godziny będziemy w Palazzo Ossorio, niewykluczone, że uda nam się porozmawiać z McMullenem. Powinniśmy się przygotować. Masz zdjęcie, które dał nam Jenkins?

Gini wyjęła fotografię. Przyjrzeni się jej uważnie. McMullen w wojsku, ubrany w panterkę, z odznaką formacji spadochroniarskiej na berecie. Odwrócił się, żeby spojrzeć w obiektyw i rysy jego twarzy były nieco rozmazane. Mężczyzna średniego



wzrostu, jasnowłose, przystojny, chociaż nie uderzająco przystojny. Na małym palcu lewej ręki widać sygnet. Na odwrotnej stronie zdjęcia ktoś napisał: „Wiesbaden, Republika Federalna Niemiec - manewry NATO w 1988 roku”.

- Niewiele nam to mówi - westchnęła Gini. - Z drugiej strony to normalne, fotografie rzadko coś wyjaśniają...

Pascal się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że nie myślisz tak naprawdę...

- Nie chodzi mi o takie zdjęcia, jakie ty robisz, doskonale o tym wiesz. To jest przypadkowo zrobione zdjęcie i moim zdaniem nic z niego nie wynika.

- W zestawieniu z informacjami, które mamy, coś jednak mówi... McMullen jest teraz po czterdziestce, przystojny, lecz nierzucający się w oczy, z sygnetem... Pamiętasz te garnitury i koszule w jego mieszkaniu? Konserwatywny Anglik, prawda? Czyli dokładnie taki, jaki powinien być człowiek jego pochodzenia. Oficer i dżentelmen, gotowy wcześniej czy później przyjąć generalskie szlify, tak opisała go jego bardzo niekonwencjonalna siostra...

- No tak, ale McMullen odszedł z wojska.

- Właśnie. Poza tym, zastanawia mnie wybór formacji wojskowej. Czerwone Berety? Czy ktoś taki jak on, absolwent prywatnej szkoły, były student Oksfordu, dekorowany medalem Miecza Honoru w Sandhurst, nie powinien zdecydować się na bardziej konwencjonalny, a tym samym elitarny regiment, na przykład na Gwardię Królewską?

- Może... - mruknęła Gini. - Nie jestem zbyt dobrze zorientowana w problematyce brytyjskiej armii.

- Możesz mi wierzyć, McMullen dokonał dość niezwykłego wyboru. Oczywiście, nie bezprecedensowego, to byłoby zbyt mocne określenie, ale mimo wszystko dość zaskakującego. Kiedy zacząłem sprawdzać poszczególne etapy jego edukacji i kariery, okazało się, że niektóre z nich również zasługują na uwagę.

- Na przykład?

- Studia w Oksfordzie. Pamiętasz, co powiedział nam Jenkins? Miał rację. McMullen faktycznie studiował historię nowożytną w college'u Christ Church, w 1968

roku. Był wybitnym studentem, a jednak... Nigdy nie zrobił dyplomu. Rzucił studia po pierwszym roku.

- Dzwoniłeś do college'u?

- Oczywiście.

- Podali ci powód jego odejścia? Był chory czy go wyrzucili?

- Nie chcieli mi nic powiedzieć. - Popatrzył na fotografię i odłożył ją. -

Zwróciłem uwagę, że w jego karierze wojskowej powtarza się ten sam schemat. Po odejściu z Oksfordu mamy trzyletnią lukę - nie wiemy, co się z nim przez ten czas działo. W 1972 roku McMullen wstępuje do wojska. Wydawałoby się, że jest przeznaczony do wielkich rzeczy, tymczasem co się dzieje? Osiąga rangę kapitana, w jego przypadku tylko kapitana, bo jest to zupełnie przeciętny awans, jeśli weźmie się pod uwagę jego wiek i czas trwania służby. I nagle, w 1989 roku, odchodzi z wojska...

Gini zamyśliła się, zmarszczyła brwi.

- Cztery lata temu - powiedziała. - Ciekawe... Ta data pojawia się także w innych miejscach naszej historii. Cztery lata temu młodszy syn Hawthorne'a zapadł na poważną chorobę, w rezultacie Hawthorne odłożył swoją karierę na półkę. Cztery lata temu, jeżeli wierzyć krążącym po Waszyngtonie plotkom, Lise Hawthorne wpada w depresję, a w rezultacie jej małżeństwo zaczyna przeżywać ciężkie chwile. Cztery lata temu... Czy te wydarzenia mogą być jakoś powiązane?

- Niewykluczone. Szkoda, że nie wiemy, kiedy McMullen poznał Lise, gdzie i w jakich okolicznościach. Jego siostra mogła mi to powiedzieć, ale wiesz, jak skończyła się nasza rozmowa...

- Jego przyjaciele i znajomi także nic nie wiedzieli?

- Nic. Byli całkowicie beużyteczni, nie ulega wątpliwości, że nie byli z nim w bliskim kontakcie. Cóż, Katherine McMullen mówiła, że jej brat stał się odludkiem. Ktoś widział się z nim w sierpniu ubiegłego roku, byli razem na polowaniu w Yorkshire. Opisał McMullena jako przyzwoitego faceta... Beznadziejne. Kilka razy wspomniałem o Lise Hawthorne, ale nikt nie zareagował. Wszyscy powtarzali to samo: tak, oczywiście mogę spróbować się z nią skontaktować, jeżeli bardzo chcę się dowiedzieć, co dzieje się z McMullenem, lecz oni nigdy nie słyszeli, aby o niej mówił.

- Co z tym przyjacielem, o którym powiedziała ci jego siostra? - zapytała Gini.

- Jeremy Prior-Kent? Wyjechał. Robi reklamy dla telewizji. Ma wrócić do Londynu w poniedziałek albo we wtorek. Możemy do niego zadzwonić, ale nie jestem optymistą...

- A inni ludzie, ci, z którymi pracował w City? Jenkins mówił, że po odejściu z wojska McMullen znalazł sobie jakieś zajęcie w jednej z dużych firm consultingowych czy coś takiego...

- Rozmawiałem ze wszystkimi. - Pascal wzruszył ramionami. - Również zupełnie nieprzydatni. Ostatnio McMullen pracował w firmie brokerskiej, załatwił mu to jego ojciec. Nie dochrapał się tam wysokiego stanowiska i w styczniu ubiegłego roku złożył wypowiedzenie. Później nie podjął już żadnej pracy, zresztą chyba nie musiał, jeżeli wierzyć słowom jego siostry.

- W styczniu, rok temu... - Gini pokiwała głową. - Jeszcze jeden zbieg okoliczności. Właśnie wtedy Hawthorne został ambasadorem. McMullen rzucił pracę zaraz po przyjeździe Lise do Londynu. Myślisz, że coś w tym jest?

- Tego także nie możemy wykluczyć. - Pascal nie krył narastającego rozczarowania. - Mam serdecznie dosyć przypuszczeń... Szkoda, że nie dysponujemy przynajmniej kilkoma faktami.

Odwrócił się i zapatrzył w okno. Wycie silników zmieniło natężenie i trochę przycichło. Podano posiłek i drinki. Niedługo potem zabłysł czerwony napis, wzywający pasażerów do zapięcia pasów i maszyna zaczęła schodzić w dół. Gini wyjrzała przez okno. Nigdy nie była w Wenecji i wyobrażała sobie to miasto jako miejsce magiczne. Wiele razy widziała zdjęcia i obrazy przedstawiające Wenecję, czytała też jej opisy w powieściach i reportażach. Chciała zobaczyć wyspy i lagunę, ale w dole zalegała gruba warstwa chmur i mgły.

Przeniosła spojrzenie na napiętą, zamyśloną twarz Pascala. Już wcześniej zastanawiał ją jego brak entuzjazmu dla tego tak istotnego dla sprawy spotkania, teraz nagle zrozumiała, o co mu chodzi.

- Nie wierzysz, że go znajdziemy, prawda? - odezwała się cicho. - Sądziysz, że McMullen nie żyje...

Lekko wzruszył ramionami.

- Takie rozwiązanie wydaje mi się najbardziej prawdopodobne. Dwadzieścia dni milczenia?

- Śmierć w Wenecji?

- Cóż za nowatorskie ujęcie tematu... - Uśmiechnął się. - Tak, obawiam się, że tak to się dla niego skończyło.

W Wenecji padał deszcz. Padało na lotnisku, w drodze do miasta i później, kiedy labiryntem wąskich kanałów płynęli do hotelu. Ich pokoje sąsiadowały ze sobą przez ścianę. Pascal wszedł za Gini do jej pokoju, a ona podeszła do okna, otworzyła okiennice i wydała cichy okrzyk zachwytu.

- Och, tylko popatrz, co za niezwykle miejsce! Cieszę się, że pada, bo dzięki temu światło jest zupełnie niesamowite...

Pascal stanął u jej boku. Z okna roztaczał się widok na Wielki Kanał, przesłonięty świetlistymi cząsteczkami pary wodnej. Na drugim brzegu widać było jakiś pałac, lśniący srebrzyście od deszczu, a niżej, w wodzie, jego bliźniaczy obraz. Mgielka i perspektywa oszukiwały oko, i odbicie pałacu wydawało się równie rzeczywiste jak budynek. Przez kanał przemknęła łódź *vaporetto*, niszcząc obraz pałacu, lecz kiedy fale uspokoiły się, na powierzchni wody znowu ukazało się jego odbicie.

Niebo było pozbawione koloru, światło miało tę zmienną subtelność barwy, w której srebro przechodzi w perłę, perła w szarość, a szarość w czerń. W pierwszej chwili Pascal chciał sięgnąć po aparat fotograficzny, lecz kiedy się zastanowił, zrozumiał, że nigdy nie uchwyci tego niezwykłego światła, nie utrwali na kliszy jego ulotnej piękności.

W milczeniu oparł rękę na ramieniu Gini, a ona odwróciła się do niego, z twarzą rozpromienioną zachwytem.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedziała. - Spójrz, deszcz oszukuje wzrok, odmienia odbicia w wodzie i światło...

- Ja ufam twoim oczom - rzekł Pascal.

Po pewnym czasie zamknął okno. Wyszli z hotelu, lecz szybko zgubili drogę. Dopiero po godzinie udało im się odnaleźć Palazzo Ossorio, chociaż budynek

znajdował się blisko ich hotelu, a Pascal, jak zwykle praktyczny, zaopatrzył się w plan miasta.

- Wenecja przypomina labirynt - odezwał się Pascal, przystając.

- Bardzo piękny labirynt.

- To prawda, ale co z tego... - Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w mapę. - Na planie wszystko wydaje się proste. Powinniśmy pójść tędy, wyjść na plac, potem skrócić w lewo...

- Zrobiliśmy to już dwa razy. Chodzimy w kółko.

Wrócili do punktu wyjścia. Tym razem, chociaż wydawało im się, że idą tą samą drogą, znaleźli się w innym miejscu, w wąskim i ciemnym pasażu. Za ich plecami wody kanału falowały, poruszane przyływem. Powietrze pachniało solą. Przy molo kołysała się gondola i łódź. Przeszli pod niskim, łukowatym sklepieniem i stanęli przed wysokim murem. Mieli już zawrócić, kiedy Gini podniosła rękę.

- Posłuchaj... - zacisnęła palce na rękawie Pascala. - Kroki... Ktoś idzie za nami. Już wcześniej tak mi się wydawało, ale nie byłam pewna...

Pascal krótkim gestem nakazał jej milczenie. Stali bez ruchu, nasłuchując. Kroki zbliżyły się do początku pasażu, ucichły, rozległy się znowu, tyle że coraz ciszej. Pascal wybiegł na molo, ale nikogo nie dostrzegł.

- Widziałeś kogoś? - zapytała Gini, zatrzymując się obok niego.

- Nie, ale przyjrzyj się tym wszystkim przejściom, bramom i uliczkom... - odrzekł, bezradnie wzruszając ramionami. - Można się tu bez trudu ukryć. Najprawdopodobniej to jakiś przypadkowy przechodzień, ale teraz będziemy już ostrożniejsi.

Starali się, lecz pałac rodziny Ossorio okazał się wyjątkowo trudny do odnalezienia. W końcu Pascal stracił cierpliwość.

- Powinien tu być mostek, do cholery! - rzucił ze złością. - Gdzie on jest?

- Chyba źle skręciliśmy...

- To idiotyczne. Mam dobrą orientację w terenie, nigdy się nie gubię.

Przyjrzyjmy się tej mapie jeszcze raz.

Gini spojrzała przez jego ramię na plan i palcem przejechała po splątanej sieci przecznicy.

- Jesteśmy tutaj, w tym punkcie, tak mi się w każdym razie wydaje...

- Niemożliwe. Jesteśmy tu i idziemy w złym kierunku. Musimy wrócić do tego skrzyżowania - tu, gdzie łączą się te cztery ulice, widzisz? Potem skęcimy tutaj, wyjdziemy na plac i powinniśmy znaleźć się na miejscu. To blisko.

Poszli dokładnie tak, jak powiedział. Kiedy dotarli do najważniejszego skrzyżowania, odkryli, że łączy ono sześć wąskich uliczek, nie cztery.

- *Merde!* - Pascal zaczął kląć po francusku i robił to z zapałem.

- Mnie się to wydaje dość proste - odezwała się Gini, gdy umilkł. - Pójdziemy tędy, w prawo i zaraz będziemy na miejscu.

- Jesteśmy bardzo blisko, ale nie znajdziemy Palazzo Ossorio dzięki zgadywankom lub instynktowi. Zaczekaj...

Gini pobiegła uliczką, którą przed chwilą wskazała, więc poszedł za nią. Nagle zniknęła mu z oczu, przyspieszył kroku i po paru sekundach znalazł się na placu z małą kawiarnią. Gini czekała na niego. Deszcz zmoczył jej włosy i dużymi kroplami ściekał po twarzy. Wzięła go za rękę i odwróciła w kierunku ledwo widocznego z placu pasażu. Przeszli nim parę metrów i w końcu znaleźli kanał i moło oraz Palazzo Ossorio. Przystanęli i w milczeniu wpatrywali się w ten tak trudny do znalezienia budynek. Trudno było teraz nazwać go pałacem, gdyż dawna wspaniałość minęła bez śladu. Tynk opadał z fasady wielkimi płatami, odsłaniając grube belki. Nic nie wskazywało na to, że ktoś tu mieszka.

- Nie wierzę, żeby McMullen tu był... - powiedziała Gini. Duży szczur przebiegł przez dziedziniec i zsunął się do kanału.

- Sprawdźmy, czy uda nam się go znaleźć - rzekł Pascal.

Mieszkanie McMullena znajdowało się na najwyższym piętrze. Reszta budynku była chyba niezamieszkana. Pod drzwiami, przy których nie było ani kołatki, ani dzwonka, stał pusty spodeczek. Z parapetu obserwował Gini i Pascala wychudzony rudy kot. Do framugi przyczepiona była usiana odchodami much kartka z informacją po angielsku, aby w razie nieobecności lokatora przyjść później.

W kątach klatki schodowej szeleściły zeschnięte liście. Z sąsiedniego domu dobiegł ich odgłos trzaśnięcia drzwiami. Jakaś kobieta krzyknęła coś ze złością, dziecko zapłakało. Potem zapadła cisza. Kot obserwował ich zielonymi oczami spod

zmruczonych powiek. Pascal podszedł do drzwi i głośno zastukał. Cisza, tylko echo w dole klatki schodowej powtórzyło uderzenia. Zastukał znowu. Kot zeskoczył na ziemię, wyminął ich i z wysoko podniesionym ogonem, którego koniuszek poruszał się rytmicznie, zbiegł po schodach i zniknął za zakretem.

- Okropne miejsce... - przemówiła Gini. - Cuchnie tu wilgocią, pleśnią i zgnilizną... Chodźmy stąd. McMullena tu nie ma.

Pascal uważnie oglądał drzwi, stare i ciężkie. Przytknął oko do jedyne go zamka, potem stanął przy parapecie, na którym siedział kot, z trudem otworzył okno i wyjrzał. Wysoka na kilkanaście metrów ściana opadała prosto do kanału, nie było w niej ani innych okien, ani rur.

- Wiem, o czym myślisz - westchnęła Gini. - Daj spokój, proszę. Jedno włamanie to i tak za dużo. Wrócimy później, teraz możemy zajrzeć do tej kawiarni na placu, może tam wiedzą coś o mieszkańcach Palazzo Ossorio...

Pascal ostatni raz zastukał do drzwi i napał na nie barkiem. Solidny drewniany panel nawet nie drgnął. Cofnął się, zrezygnowany.

- Dobrze... Prawdopodobnie masz rację. Popytamy w kawiarni, a potem wrócimy.

Właściciel kawiarni, człowiek małomówny, zmierzył ich krytycznym wzrokiem i wzruszył ramionami. Anglik? Jaki Anglik? Nie zna nikogo takiego, ta część miasta nie cieszy się popularnością wśród turystów. Palazzo Ossorio? Niemożliwe, nikt tam nie mieszka. Jakiś czas temu nocowała tam jakaś zwariowana staruszka, ale od paru tygodni nikt jej nie widział. Może umarła albo przeniosła się gdzieś indziej. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby mieszkać w takim miejscu?

Właściciel Palazzo? Nie wiadomo. Tak, mogliby popytać w agencjach nieruchomości, to rzeczywiście nie najgorszy pomysł, ale w tej okolicy nie ma żadnych agencji. Mogą spróbować po drugiej stronie Wielkiego Kanału, tam są instytucje, które wynajmują mieszkania cudzoziemcom, tyle że zimą większość jest zamkniętych. Jest jedna, która działa okrągły rok - na Calle Larga XXII Marzo, po zachodniej stronie placu św. Marka.



Właściciel kawiarni stanął w drzwiach i patrzył za odchodzącymi. Kiedy znikli za rogiem, zakasłał głośno i wtedy z małej sali na tyłach wyłonił się wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu.

- *Grazie mille.* - Uśmiechnął się.

Postawił na barowej ladzie pustą filiżankę po espresso, spojrzął w niebo i również po włosku zrobił parę uwag na temat marnej zimowej pogody. Właściciel zauważył, że mężczyzna mówi z bardzo dobrym akcentem i posługuje się idiomami, chociaż z pewnością nie jest Wenecjaninem. Obcy wyjął z portfela kilka banknotów i położył je na barze. Była to suma znacznie przewyższająca cenę espresso. Potem bez słowa wyszedł w deszcz.

Po drugiej stronie kanału Pascal i Gini znaleźli cztery agencje nieruchomości, w tym tę wspomnianą przez właściciela kawiarni, na Calle Larga, lecz wszystkie były zamknięte. Pytali w kilku hotelach, ale w żadnym nie mieszkał Anglik choćby w przybliżeniu odpowiadający opisowi McMullena. Poza sezonem działało niewiele kawiarni i restauracji, lecz Gini i Pascal zajrzeli chyba do wszystkich, które były otwarte. W żadnej nie rozpoznano McMullena na fotografii, którą cierpliwie pokazywali.

- Nic, czyli zero - powiedział Pascal.

Wrócili na plac św. Marka i stanęli w migotliwej mgiełce pod katedrą.

- To beznadziejne zadanie. W tym mieście jest wiele tysięcy kawiarni i prawie tyle samo hoteli...

Ze złością rozejrzał się dookoła. Powoli zapadał zmierzch. Kamienie, którymi wybrukowany był plac, lśniły od wilgoci, z okien restauracji i barów pod arkadami po obu stronach sączyło się światło elektryczne.

Gini zerknęła przez ramię. Od katedry dolatywały urywki rozmów po angielsku i w innych językach, których nie znała i nawet nie potrafiła zidentyfikować. To nieliczne grupki turystów podziwiała jeden z największych światowych zabytków. Widziała rozmywające się we mgle zarysy sylwetek, cienie. Odwróciła się do Pascala i nie zauważyła, że jeden z tych cieni przystanął na schodach za ich plecami.

Nagle ogarnęła ją irytacja. Odbyli długą podróż, i po co? Szybko otrząsnęła się ze zniecierpliwienia, zatarła zmarznięte dłonie. Pascal bez trudu odczytał wyraz jej twarzy.

- Nie poddawaj się... - Otoczył ją ramionami. - Jest ci zimno i jesteś głodna. Chodźmy coś zjeść i napić się gorącej kawy. Potem wrócimy do tego mieszkania...

- A jeżeli nadal nikogo tam nie będzie? Zawahał się.

- Przecież znasz odpowiedź na to pytanie - powiedział łagodnie. - W jakiś sposób, legalnie albo nielegalnie, dostaniemy się do środka.

O piątej wrócili do Palazzo Ossorio. Było już ciemno, nieliczne latarnie oświetlały okoliczne ulice. Nigdzie nie było żywego ducha, wszędzie panowała cisza. Nad mrocznymi wodami kanału unosiła się przejrzysta, zielonkawa mgła.

Pascal poprowadził Gini przez plac do pogrążonego w sennym milczeniu budynku. Wziął ją za rękę i razem, ramię w ramię, przeszli przez dziedziniec. U stóp schodów wyjął latarkę i przy jej świetle, nadal trzymając się za ręce, ruszyli w górę po kamiennych schodach.

W połowie drogi Gini znieruchomiała.

- Co to? - zapytała.

Przystanęli, nasłuchując. Pascal wyłączył latarkę. Ciemność była prawie namacalnie gęsta. Gini nie widziała nic, nawet zarysu stopni. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

Z jakiegoś miejsca, może z dołu starego pałacu, a może z góry, niosło się ciche zawodzenie. Dźwięk narastał, potem zniżał się do szeptu, jeszcze raz i jeszcze, w końcu ucichł. Gini poczuła, jak wszystkie mięśnie Pascala napięły się gwałtownie.

Po chwili pomrukiwanie rozległo się znowu, ciche i śpiewne jak inkantacja. O nogi Gini otarło się coś miękkiego. Stłumiła krzyk, a Pascal przyciągnął ją bliżej do siebie i zasłonił jej usta swoją dłonią.

- Ktoś tu mieszka - rzekł ledwo dosłyszalnie. - Ten dom jednak nie jest pusty...

Poszeptywanie znowu się nasiliło i znowu ucichło. Gdzieś pod nimi coś zaszurało, drzwi otworzyły się i zamknęły. Na jednej ze ścian na chwilę ukazało się wąskie pasmo światła, które zaraz znikło. Mamrotanie ponownie rozniosło się po klatce schodowej.

- Koty... - szepnął Pascal. - Nic nam nie grozi, spokojnie... Ktoś tu mieszka...  
Posłuchaj, to kobieta... Stara kobieta, która rozmawia ze swoimi kotami...

Gini wyteżyła słuch. Pascal miał słuszość. Drżała na całym ciele i wstydziła się tego. Pascal mocniej zacisnął palce na jej ręce, włączył latarkę i ruszył w kierunku następnej kondygnacji.

Z ostatniego piętra, gdzie znajdowało się mieszkanie McMullena, pomrukiwanie staruszki było niedosłyszalne. Gini oparła się o ścianę. Na zewnątrz wiatr mocnym skrzydłem uderzył w pałac, jakieś okno zaskrzypiało donośnie.

Nagle odwróciła się, zaalarmowana cichym okrzykiem Pascala.

- Spójrz na to... - wyszeptał.

Po ich ostatniej wizycie ktoś otworzył drzwi, które teraz były lekko uchylone.

Za drzwiami ziała ciemność i cisza. Pascal się zawahał. Gini zrobiła krok do przodu. Tuż przy drzwiach odór stęchlizny i rozkładu wydawał się wyjątkowo silny, więc mimo woli przytknęła dłoń do nosa. Twarz Pascala przybrała skupiony, surowy wyraz. Oparł rękę o framugę drzwi, odgradzając Gini od wejścia.

- Zaczekasz tutaj, na podeście - powiedział. - Wejdę teraz do środka...

- Nie zostawisz mnie tutaj! - przerwała mu. - Idę z tobą!

- Nie! Zostaniesz...

W świetle latarki zobaczyła jego bladą twarz i niepokój w oczach. Bijący zza drzwi smród przyprawiał ją o mdłości. Zakryła usta, odsunęła się o parę kroków i odetchnęła głęboko.

- Proszę cię... Nie chcę, żebyś tam wchodziła...

- Boję się! - Mocno chwyciła go za ramię. - Boję się tak bardzo, że nie mogę zostać tu sama. Ktoś może tam być i...

- Och, ktoś z pewnością tam jest - odparł ponuro. - Ale nie sądzę, żeby był w stanie zrobić nam coś złego...

- Błagam cię, Pascal...

- Dobrze.

Wyłączył latarkę i lekko pchnął drzwi. Coś zaszeleściło - to kilka kawałków papieru i tektury stawiało opór drzwiom, lecz zaraz opadło na podłogę. Pascal poświecił na nie latarką i zaraz znowu ją zgasił. Wszedł w ciemność, trzymając przed sobą

wyciągnięte ręce. Gini, postępująca tuż za nim, także starała się wyczuć drogę. Po obu stronach mieli ściany - znajdowali się w długim, wąskim korytarzu. Pod ich stopami skrzypiały deski.

Po mniej więcej dziesięciu krokach - w ciemności Gini zupełnie straciła poczucie odległości - ściany znikły. Przed sobą mieli wejście do jakiegoś pokoju, odgródzone nie drzwiami, lecz ciężką zasłoną, którą Pascal odsunął na bok. Gini usłyszała grzechot drewnianych pierścieni, przesuwających się po karniszu nad jej głową. Przystanąła, gwałtownie przyciskając rękę do ust.

Później wielokrotnie mówiła sobie, że musiała od początku wiedzieć, co znajdują, lecz w tamtych chwilach jej umysł pracował bardzo powoli. Wtedy potrafiła myśleć wyłącznie o tym, że całe to pomieszczenie, do którego właśnie wchodzili, jest strasznym, przerażającym miejscem, wypełnionym słodko-kwaśnym odorem gnijącego mięsa.

Pascal, który bardzo często pracował na froncie, doskonale wiedział, co wydziela taki odór i co znajduje się przed nimi. Poświecił latarką po ścianach, szukając włącznika prądu.

- Odwróć się - polecił cicho. - Chcę zapalić światło. Nie patrz...

Gini zamknęła oczy i poczuła ostry dotyk światła na powiekach. Za swoimi plecami słyszała kroki Pascala, skrzypienie desek podłogi, wypowiedziane cichym głosem słowa, których znaczenia nie zrozumiała. Odwróciła się, otworzyła oczy i spojrzała.

W pokoju były dwa trupy. Przeguby ich rąk i kostki nóg mocno owinięto szeroką taśmą klejącą. Umieszczono je w makabrycznej bliskości, tuż obok siebie, opierając ich plecy o komodę, która razem ze stołem i krzesłem stanowiła jedyne meblowanie pomieszczenia.

Gini tylko przelotnie spojrzała na ciało bliżej niej. Zobaczyła opuchliznę, dziwaczną miękkość rysów, przebarwienia skóry i pośpiesznie odwróciła wzrok.

Były to zwłoki mężczyzny w średnim wieku, jasnowłosego, raczej drobnej budowy. Był dobrze ubrany, w sportowe, lecz wyraźnie drogie rzeczy. Stan jego ciała ostro kontrastował teraz z elegancką, sportową marynarką, jedwabnym krawatem, koszulą, dżinsami, zamszowymi mokasynami i żółtymi skarpetkami. Nabrzmiałe,

rozkładające się mięso wylewało się z ubrania. Gini ukryła twarz w dłoniach i dopiero po chwili znowu ją odsłoniła.

Drugi mężczyzna, także blondyn, miał na sobie tylko niebieskie slipy. W prawym uchu nosił złoty kolczyk. Jedną ręką, wyciągniętą w kierunku partnera, zamarła w ostatnim, konwulsyjnym geście. Głowa opadła mu na piersi, ciało w parodii czułości opierało się o ramię pierwszego mężczyzny. U podstawy czaszki, gdzie dość długie włosy opadały do przodu, widać było dziurkę o równych brzegach, wielkości dziesięciopensówki.

Krwi wypłynęło bardzo niewiele, tylko parę kropli, które zaschły dookoła rany. Zanim Gini odwróciła oczy, zrozumiała, że przed śmiercią mężczyznę zmuszono, aby się rozebrał. Jego rzeczy leżały na podłodze kilka metrów od niego. Były porządnie poskładane, buty ułożono na wierzchu. Na ten widok serce Gini zapłonęło wściekłością. Czy morderca kazał ofierze złożyć ubrania w kostkę, a potem usiąść na podłodze, aby mógł ją zastrzelić? A może to zabójca ułożył je sam, bardzo porządnie, wręcz pedantycznie, jak przed inspekcją w wojsku, już po zabiciu mężczyzny?

Pascal przykląkł obok zabitych. Zbadał rany postrzałowe, które otrzymali, w obu przypadkach u nasady czaszki. Obejrzał szeroką taśmę klejącą, którą unieruchomiono ich przeguby dłoni i nogi w kostkach. Potem odwrócił się do Gini. Jego twarz była biała jak ściana.

- Zabił ich zawodowiec. Jednym strzałem...

- Ale nie w tym samym czasie... - szepnęła Gini.

- Nie. Ten drugi zginął najwyżej dwa dni temu, lecz tamten... - Pascal wykonał gniewny gest. - Tamten nie żyje od dziesięciu dni, może nawet od dwóch tygodni. Nie ma tu ogrzewania, jest zimno... - Pochylił się nad ciałem ubranego mężczyzny i przyjrzał się jego jasnym włosom oraz sygnetowi, który nosił na lewej ręce. - To McMullen... - mruknął. - Co za okrucieństwo - posadzić tamtego obok rozkładających się zwłok...

Zmarszczył brwi, jakby nagle coś sobie przypomniał i rozejrzał się po pokoju.

- Paczka... Gdzie jest paczka? McMullen musiał być już martwy, kiedy ją dostarczono, a nawet wcześniej, więc gdzie ona jest? Ktoś zabrał ją spod drzwi mieszkania...

Kilkoma długimi krokami przemierzył pokój i otworzył drzwi w kącie po prawej stronie. Gini zobaczyła, że za drzwiami znajduje się mała sypialnia, a w niej tylko materac i parę rzuconych na podłogę koców. Pascal wszedł do środka. Usłyszała, jak otwiera i zamyka drzwiczki jakichś szafek. Przykłęła obok zamordowanych. Odór był tak straszny, że o mało nie zwymiotowała. Przyjrzała się sygnetowi ubranego mężczyzny i zmusiła się, aby spojrzeć w jego zniekształconą przez procesy gnilne twarz. Podwinęła mankiet koszuli, odsłaniając złotą bransoletę. Spozstrzegła, że drugi zabity ma na rękę identyczną ozdobę. Jęknęła i powoli podniosła się z kolan.

Pascal wrócił do pokoju. Otworzył kredens, w którym na półce znajdował się elektryczny czajnik, kawałek spleśniałego chleba, kilka filizanek i talerzyków, i zamknął ją.

- Gdzież to jest? - zapytał niespokojnie. - Nie ulega wątpliwości, że ktoś odebrał przesyłkę, bo papier nadal leży na podłodze w sypialni, obok pustego pudełka.

- Wiem, co mu przysłali - odezwała się cicho. - Znalazłam to pod ubraniami. Morderca posłużył się tym, spójrz...

Jej głos drżał. Pascal ze stłumionym okrzykiem schylił się i podniósł z podłogi mały złoty przedmiot. Otworzył go i podniósł do światła.

- Szminka? Przysłali McMullenowi szminkę?

- Tak mi się wydaje. Popatrz, wysmarowali nią twarz tamtego... To okropne...

Pascal delikatnie podniósł głowę nagiego mężczyzny. Ktoś obrysował szkarłatem jego wargi i uróżował policzki, nadając bladej twarzy wyraz wulgarnej kobiecości. Niebieskie oczy zabitego były otwarte. Pascal zaklął pod nosem.

- Kto to zrobił? Kim jest ten człowiek? Jeżeli to jest McMullen, to kto to jest?

- To nie McMullen. - Gini odwróciła się do Pascala. - Wiem, kim są... Ten ubrany to Johnny Appleyard, a drugi to jego przyjaciel, Stevey...

- Stevey? Niemożliwe! Przecież rozmawiałaś z nim dwa dni temu, był wtedy w Nowym Jorku!

- Myślę, że to jednak on. Widzisz, taśma częściowo je zakryła, ale obaj noszą identyczne złote bransoletki. To pamiątkowe ozdoby, z wygrawerowanymi imionami i dwoma sercami, przebitymi strzałą. Johnny i Stevey, Stevey z „y” na końcu... To oni.

Pascal nie odpowiedział. Uważnie obejrzał bransoletki i podniósł się.

- Musimy dokładnie sprawdzić to mieszkanie - rzekł z namysłem. - McMullen mógł tu być... - Nagle przerwał. - Szczerze mówiąc, McMullen mógł to zrobić... Nie wolałabyś poczekać na zewnątrz?

- Nie. - Odwróciła wzrok i przeszła na drugą stronę pokoju. - Zajmę się sypialnią. Mogłeś coś przeoczyć...

W sypialni był jednak tylko materac i parę koców. Przełożyła je w inne miejsce, ale nic nie znalazła ani pod nimi, ani między fałdami tkaniny. Śmierdziały pleśnią. Za sypialnią znajdowała się prymitywna łazienka - toaleta, prysznic, z którego kapiała woda, pęknięta umywalka. Żadnych ręczników ani mydła.

Wróciła do dużego pokoju. Pascal klęczał obok Appleyarda. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni jego marynarki i wyjął z niej portfel. Pośpiesznie przeniosła wzrok w inne miejsce, bo zrobiło jej się niedobrze. Otworzyła kredens, do którego Pascal już zaglądał. Czajnik, spleśniały chleb, filiżanki i talerzyki, wszystkie naczynia umyte. W kącie tkwił mały zlew, a nad nim dwie drewniane półki z popękkanymi pojemnikami.

Zajrzała do wszystkich po kolei. Wewnątrz znalazła rozpuszczalną kawę, herbatę w saszetkach, sól, trochę ryżu i makaronu. Przyglądała się w skupieniu, usiłując coś z nich wyczytać. Najwyraźniej ktoś zamierzał spędzić tu parę dni, bo inaczej po co kupowałby ryż i makaron? Czy tym kimś był McMullen, który potem w pośpiechu zmienił plany? Przesunęła zawilgocone opakowanie soli i nagle zauważyła, że pod nim leży książka w miękkiej okładce.

Wyjęła ją. *Raj utracony* Milтона... Tę samą książkę znalazła na biurku w londyńskim mieszkaniu McMullena...

Drżącymi dłońmi zaczęła przewracać kartki, ale wewnątrz nie było żadnej wiadomości, żadnych zapisanych na marginesie uwag.

- Podejdz tu... - odezwał się Pascal przyciszonym głosem. - Spójrz... - Podniósł się z klęczek. - Są tu ich portfele z pieniędzmi, kartami kredytowymi, wszystkim... Myślałem, że nic więcej tu nie ma, ale zauważyłem ten guzik. Utknął w szparze między deskami...



Wyciągnął dłoń i pokazał jej mały, błyszczący przedmiot. Był to mosiężny guzik, chyba mundurowy lub jeden z tych, które przyszywa się do rozpinanych swetrów myśliwskich, z motywem girlandy liści.

- Od munduru? - zapytała.

- Może. Na pewno nie odpadł z ich marynarek. Należał do kogoś innego, prawdopodobnie do mężczyzny, który ich zastrzelił... - Pascal zauważył książkę. - Co to takiego?

Powiedziała mu, ale kiedy usłyszał, że w środku nie ma żadnej informacji, odwrócił się i sięgnął po torbę z aparatami fotograficznymi.

- Zaczekaj w korytarzu - powiedział. - Przykro mi, ale muszę to zrobić...

Gini spełniła jego polecenie. Oparła się o ścianę, przyciskając do piersi książkę i zamknęła oczy. Miała wrażenie, że podłoga kołysze się pod jej stopami, a ciężkie, cuchnące powietrze zapierało dech w piersiach. Poprzez przymknięte powieki ujrzała błysk flesza, kiedy Pascal robił zdjęcia. Wiedziała, że to konieczne, ale natychmiast ogarnęły ją mdłości. Całe szczęście, że Pascal pracował szybko i już parę minut później był u jej boku.

- Skończyłem - powiedział. - Mamy dowody. Wychodzimy stąd...

Nie ruszyła się z miejsca.

- Wychodzimy? - powtórzyła. - Nie możemy ich tak zostawić. Musimy coś zrobić, zadzwonić na policję...

- Nie możemy nic dla nich zrobić. Są martwi. Lekarze, karetki pogotowia, policja - dla nich nie ma to już żadnego znaczenia.

- Nie możemy ich zostawić! Nie tak... To straszne, obsceniczne... Ktoś powinien tu zostać i...

Pascal zaczął popychać ją do wyjścia.

- Jeżeli wezwiemy policję, zaangażujemy się w tę sprawę. Będą nas przesłuchiwać, więc utkniemy w Wenecji na parę dni, może nawet tygodni. Jak wtedy poprowadzimy własne dochodzenie? Nie zależy ci na znalezieniu ich zabójcy? Moim zdaniem, przede wszystkim to powinniśmy dla nich zrobić...

- Tak, ale mimo wszystko to nie w porządku... Nie zostawiamy ich... To takie okrutne i smutne...

- Wychodzimy. - Pascal wyłączył światło i pociągnął Gini do drzwi. W progu się zatrzymał. - Zastanów się chwilę... Kiedy przyszedliśmy tu wcześniej, drzwi były zamknięte, teraz ktoś je otworzył. Gdy my przez pół popołudnia krążyliśmy po Wenecji, ktoś tu wrócił, żeby zostawić otwarte drzwi, specjalnie dla nas. Chyba rozumiesz, co to znaczy. Chcesz czekać, aż morderca wróci jeszcze raz?

Zeszli po schodach, przecięli pogrążony w ciszy dziedziniec i dotarli na brzeg kanału. Nagle Gini krzyknęła. Gdzieś w oddali rozległo się przerażające, metaliczne zawodzenie. Woda wzmacniała odgłos, który nasilał się z każdą chwilą. W ciemności dostrzegli sunące po powierzchni kanału światła.

- Oczywiście... - Pascal chwycił Gini za rękaw i wciągnął ją do mrocznej alejki.  
- Oczywiście... Ależ ze mnie głupiec... Wezwać policję? Nie musimy dzwonić na policję, bo ktoś już to zrobił, rozumiesz? Ktoś, kto ma doskonałe wyczucie czasu... Pozwolił nam wejść do mieszkania, zrobić, co należało i wyjść. Popatrz...

Światła się zbliżały. Usłyszeli krzyki. Pascal przycisnął Gini ramieniem do wilgotnej ściany w zaułku, z którego ledwo widać było moło przed Palazzo Ossorio. Z mgły wyłonił się biały dziób łodzi, reflektory zaświeciły im prosto w oczy. Wciągnął Gini dalej w mrok. Policjanci przycumowali, po deskach moło zabębniły szybkie kroki. Usłyszeli jeszcze odgłos butów uderzających o bruk i kamienne schodki, potem wszystko ucichło.

Pascal stał nieruchomo długą chwilę, z namysłem marszcząc brwi.

- Dlaczego zawiadomili policję właśnie teraz? - odezwał się cicho. Nagle jego twarz się rozjaśniła. - Jasne, wszystko jasne! Nie chcą, żeby nas aresztowano lub zatrzymano na przesłuchanie, ponieważ jesteśmy dla nich użyteczni... Już rozumiem, a w każdym razie zacznam rozumieć...

Znowu zapanowała cisza, przerywana tylko podmuchami wiatru, odgłosem kropli deszczu, spadających na kamienie i szmeru wody, ocierającej się o brzegi kanału.

Gini zamknęła oczy i pozwoliła, żeby deszcz obmył jej twarz.

Pascal zaprowadził Gini do jej pokoju. Widząc, że wciąż wstrząsają nią dreszcze, otulił ją miękką puchową kołdrą, zszedł na dół i poprosił recepcjonistkę, by kazała przynieść koniak i coś do jedzenia, najlepiej gorącą zupę i pieczywo. Zaniósł to

wszystko do pokoju i zamknął drzwi. Chciał opuścić żaluzje, lecz Gini go powstrzymała.

- Nie, zostaw je - powiedziała. - Chcę widzieć księżyc, niebo i wodę. To pomaga...

Odwrócił się i spojrzał na nią. W pokoju paliła się tylko jedna lampa o abażurze z grubego płótna, której światło cięło sufit w pasy cienia. Blask księżycy tworzył plamę na podłodze przy oknie. Oczy Gini były ciemne, twarz kredowobiała. Nadal drżała. Spokojnie podszedł do niej i zaczął namawiać, żeby coś zjadła. Nalał mały kieliszek koniaku i podał jej.

- Już jest lepiej... - Przykucnął przed Gini, ujął jej dłonie i zajął się ich rozcieraniem. - O wiele lepiej... Jesteś jeszcze zmarznięta, ale nabrałaś już trochę rumieńców... - Zawahał się i przytulił ją do siebie. - To wszystko zmienia - zaczął cicho. - Wcześniej było niebezpiecznie, to prawda, ale teraz... Teraz chodzi o morderstwo. Ktoś z zimną krwią zabił tamtych dwóch i zaplanował wszystko tak, żebyśmy ich znaleźli. Jestem tego pewny. - Przerwał, ani na sekundę nie przestając patrzeć jej w oczy. - Widzisz, miałem rację - ktoś idzie za nami krok w krok, przez cały czas. Posługuje się nami. Może sądzi, że prędzej czy później doprowadzimy go do McMullena. Ale dosyć tego. Nie pozwolę ci dłużej zajmować się tą sprawą. Jutro porozmawiam z Jenkinsem.

Gini spuściła oczy. Milczała. Czowała, że w tej chwili nie ma sensu spierać się z Pascalem, poza tym nie mogła myśleć o następnym dniu, Jenkinsie i pracy. Wszystko to razem było nierzeczywiste - i tak przed oczami wciąż miała tylko pokój, który niedawno opuścili.

- Kto ich zabił? - zapytała. - Kto mógł zabić w tak straszny sposób? Appleyard był zwykłym plotkarzem, który zbierał informacje dla gazet, a Stevey w ogóle nie miał z tym nic wspólnego. Dlaczego komuś miałyby zależeć na ich śmierci?

- Morderca chciał być pewny, że będą milczeć. - Uwolnił jej dłonie, wstał i zaczął chodzić po pokoju. - To proste. Appleyard musiał coś wiedzieć i zabójca zapewne podejrzewał, że podzielił się tą wiedzą ze Steveyem, więc uznał, iż najlepiej będzie raz na zawsze uciszyć ich obu...

- Ale dlaczego w taki sposób? - Ukryła twarz w dłoniach. - Jeżeli ci ludzie chcieli zabić Steveya, to czemu ściągnęli go tutaj, czemu kazali mu usiąść obok zwłok człowieka, którego kochał? Czy musieli umalować go szminką? To wszystko jest tak potwornie okrutne...

- Okrucieństwo jest motywem, który powtarza się w tej sprawie, powiedziałbym nawet, że to motyw kluczowy... - Znowu przykleknął przed Gini i łagodnie ujął jej dłoń. - Wiesz o tym, widziałaś to na własne oczy. Upokorzenie, podporządkowanie sobie drugiej osoby. Seks, a teraz śmierć... Temu, kto za tym stoi, zadawanie bólu sprawia wielką przyjemność. Chyba nie wątpiłaś w to od chwili, gdy zobaczyłaś swoje splądrowane mieszkanie, prawda? I kiedy przesłuchiwałaś tę drugą taśmę? I dzisiaj...

- Nie - odparła Gini. - Nie wątpię w to, oczywiście że nie, ale trudno jest przyjąć do wiadomości dowody takiego okrucieństwa... Jak można było kazać temu biedakowi rozebrać się i poskładać ubranie, jak można było pozbawić go twarzy...

- Chcieli, żeby wyglądał jak kobieta, a raczej jak parodia kobiety. - Głos Pascala stał się lodowato zimny. - Ci, którzy to robią, nienawidzą homoseksualistów, kobiet i seksu, a jednocześnie pożądamy ich... Znasz odpowiedź, wiesz, kto to może być...

- Hawthorne?

- Myślę że tak...

Chciała zaprzeczyć, lecz Pascal przerwał jej protesty.

- Wiem, wiem. - Ze zniecierpliwieniem machnął ręką. - Nie mamy dowodów, jedynie podejrzenia, jasne, ale przyjrzyj się mechanizmom tej sprawy... - Wstał i znowu zaczął chodzić po pokoju. - Ten ktoś jest doskonale poinformowany, prawda? Jeszcze przed nami wiedział, że dostaniemy to zlecenie. Wiedział, kiedy twoje mieszkanie będzie puste i jak się do niego dostać. Wiedział, że jedziemy do Wenecji i zadbał, abyśmy mogli wejść do mieszkania McMullena w dogodnej dla niego chwili. Jesteśmy stale obserwowani, nie mam cienia wątpliwości, że tak właśnie jest. Zastanówmy się więc, kto jest w stanie zorganizować taką operację... Kto może sobie pozwolić na wynajęcie mordercy? Kto jest jedyną osobą, która może odnieść jakąś korzyść z tego wszystkiego?

Gini się wyprostowała. Pociągnęła łyk koniaku i spróbowała się skupić, lecz nadal miała wrażenie, że jest zimna jak lód.

- Hawthorne - przyznała w końcu. - Ale nie tylko on - dodała zaraz. - Wciąż za mało wiemy o McMullenie, a niewykluczone, że on także miał coś do zyskania... Jeżeli rzeczywiście ma obsesję na punkcie Lise, jeżeli chce zniszczyć karierę jej męża i ich małżeństwo, to może być on... Sam powiedziałaś, że była to egzekucja w wojskowym stylu, dwa precyzyjne strzały w tył głowy...

- Zgadzasz się z tobą - powiedział Pascal, siadając obok niej. - Zastanawiałem się nad tym wszystkim, o czym przed chwilą mówiłaś, ale chyba sama widzisz, że z dwóch kandydatów, których bierzemy pod uwagę, to Hawthorne jest bardziej podejrzany niż McMullen. Czy McMullen mógłby z taką łatwością zorganizować stałą obserwację dwóch osób? Nie, raczej nie. To prawda, że McMullen mógłby mieć osobiste powody, aby zniszczyć dobre imię Hawthorne'a, ale czy naprawdę wierzysz, że posunąłby się aż do morderstwa? Ja nie. Mógłby wymyślić skomplikowaną i kompromitującą intrygę seksualną, oczernić wroga, zgoda, ale zabić dwóch ludzi? Nie mogę w to uwierzyć. Natomiast Hawthorne ma dużo do stracenia - małżeństwo, dwóch synów, reputację, karierę, całą swoją przyszłość...

Gdy przerwał, zorientowała się, że jest jeszcze coś, o czym nie chce jej powiedzieć.

- O co chodzi? - Spojrzała na niego z bliska. - Przecież widzę, że dręczy cię coś jeszcze...

- Kilka rzeczy - odparł po chwili. - Przede wszystkim zniknięcie McMullena. Wydaje mi się, że on zdawał sobie sprawę, iż jest w niebezpieczeństwie, a jeżeli przyjmemy to do wiadomości, wrócimy do tego samego pytania. Kto mógł odkryć plany McMullena? Kto mógł wiedzieć o jego rozmowach z Lise i o tym, że skontaktował się z prasą? Kto może bez trudu zorganizować obserwację? Kto może przejmować pocztę i podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, nawet te pozornie całkowicie bezpieczne? Kto? Hawthorne. Naturalnie, McMullen również dysponuje pewnym doświadczeniem i wiedzą w tych dziedzinach - w końcu jest świetnie wyszkolonym żołnierzem oddziałów specjalnych. Prawdopodobnie właśnie dlatego spadł na cztery łapy i uciekł. Sądzę, że udało mu się. McMullen żyje.

- Zmieniłeś zdanie? Dlaczego?

- Mówiłem ci już, ktoś się nami posługuje. Ktoś nadal szuka McMullena i liczy, że my go do niego doprowadzimy. Dopóki istnieje ta szansa, jesteśmy dla niego użyteczni, ale gdy szansa zniknie albo w końcu nam się powiedzie... - Zawiesił głos. - Wtedy pozbędzie się nas, może w taki sam sposób jak Appleyarda i Steveya. Kiedy doprowadzimy go do McMullena, będziemy martwi.

- Naprawdę tak myślisz? - W głosie Gini zabrzmiał przestрах.

- Jeszcze dziś rano nie przyszłoby mi to do głowy, lecz dziś wieczorem jestem o tym głęboko przekonany. - Odwrócił się ku niej gwałtownie i chwycił za rękę. - To proste, wiesz? Nie muszą strzelać nam w tył głowy, mogą zastosować subtelniejsze środki: wypadek na szosie, potknięcie się przy wsiadaniu do metra, upadek do szybu windy...

- To niemożliwe, niemożliwe! - Gini się poderwała.

Podeszła do okna i wyjrzała. Wody kanału w jednej chwili lśniły jak srebrna tafla, w drugiej wydawały się zupełnie czarne, po tarczy księżyca przemykały gnane wiatrem chmury.

- Rozmawiałam z Hawthorne'em - powiedziała łamiącym się głosem. - Rozmawiałam z nim zaledwie wczoraj... Przez cały czas obserwowałam jego twarz, patrzyłam mu w oczy... Na pewno zauważyłabym, że kłamie...

Pascal wykonał gest zniecierpliwienia.

- Wydaje ci się, że zło jest takie oczywiste i jawne? Mylisz się. Spotkałem wielu złych ludzi, fotografowałem byłych nazistów, członków mafii, arabskich despotów, afrykańskich generałów. Pochodzili z różnych krajów, różnych ras, różnych grup wiekowych, lecz łączyło ich jedno - każdy zabijał bez wahania i bez wyrzutów sumienia, i chętnie powtórzyłyby swoje wyczyny. Daję ci słowo, że żadnego z nich nie wzięłabyś za bezwzględnego mordercę.

- Ale to co innego! - wybuchnęła. - Hawthorne nie jest jakimś tam despotą czy samozwańczym generałem, to amerykański polityk!

- Och, jasne, jak mogłem zapomnieć. I spotkałaś go w pięknym salonie, w otoczeniu innych kulturalnych ludzi, popijających drinki. Zastanów się, co mówisz.

Pomyśl o niektórych politykach amerykańskich, angielskich, włoskich czy francuskich. Pomyśl o nich i nie wmawiaj mi, że wszyscy mają czyste ręce.

- Myślę o nich, ale wciąż uważam, że mamy do czynienia z zupełnie inną sytuacją. Politycy podejmują czasami bezwzględne, brutalne decyzje, na przykład w czasie wojny. Mogą wydać rozkaz dokonania nalotu bombowego, dopuścić się przerażających rzeczy, jednym skinieniem palca nakazać starcie wioski z powierzchni ziemi... Wiem, że zdarzają się takie rzeczy, lecz to są decyzje polityczne, nie osobiste. Nie chodzi w nich o to, aby zabić kogoś czy zrobić komuś krzywdę tylko po to, by ocalić swoją skórę...

- Jesteś pewna, że żaden amerykański polityk nie posunąłby się do czegoś takiego? - Pascal długą chwilę patrzył na nią w milczeniu, potem wzruszył ramionami i odwrócił się. - Czy naprawdę wszyscy są czyści jak świeży śnieg? Popatrz na ostatnich prezydentów i ludzi z ich otoczenia i powiedz mi, że jesteś tego absolutnie pewna.

Gini milczała.

- Masz rację - westchnęła w końcu. - Oczywiście, to samo dotyczy polityków i innych wpływowych ludzi na całym świecie, w Europie, Afryce, Ameryce Południowej, na Dalekim Wschodzie...

- Oczywiście - przytaknął ze smutkiem. - W państwach demokratycznych system hamulcowy działa skuteczniej niż w innych krajach, lecz sęk w tym, że pewien rodzaj polityków, postawiony wobec zagrożenia, posunie się do kłamstw, szantażu i oszustw, a w niektórych sytuacjach nawet do zabójstwa. I w gruncie rzeczy można być pewnym tylko jednego - że nigdy, przenigdy nie wyczytasz z twarzy zabójcy, złodzieja i oszusta, że jest tym, kim jest.

Zapadła długa cisza. Pascal spokojnie palił papierosa, Gini stała przy oknie i obserwowała kanał. Myślała o sprawie, nad którą pracowali i różnych jej aspektach, niepokojących ją od samego początku. Przystępując do pracy, nie była do końca przekonana, czy ktokolwiek ma prawo ingerować w prywatne, intymne życie drugiego człowieka. Czy nie powinno się wytyczyć wyraźnej granicy, oddzielającej sprawy publiczne od prywatnych? Jakie znaczenie można przypisać temu, że polityk, pod każdym innym względem uczciwy, okaże się kłamcą i uwodzicielem? Czy



kompromitacja w życiu prywatnym powinna niszczyć karierę zawodową? Czy nie należy rozgraniczyć dwóch sfer życia?

Teraz była pewna, że kłamstw i oszustw nie da się rozdzielić - były jak choroba, która szybko rozszerza się i ogarnia cały organizm, całe życie. Nie mogła także zapomnieć, że dwóch ludzi poniosło śmierć dlatego, że mogli mieć jakiś związek ze sprawą Hawthorne'a. Doskonale pamiętała rozmowę telefoniczną ze Steveyem. Nigdy nie byłam za granicą, powiedział. Cóż, w końcu wyruszył w zagraniczną podróż, pierwszą i ostatnią. Kiedy w pełni to zrozumiała, gniew i oburzenie, które czuła, napełniły ją dziwnym spokojem. Odwróciła się i popatrzyła na Pascala.

- Musisz coś zrozumieć - zaczęła. - Nie zamierzam się poddać. Nie teraz. Rób, co chcesz, jeżeli musisz porozmawiaj z Jenkinsem i zmuś go, żeby odebrał mi tę sprawę, ale ja nie przestanę nad nią pracować. Nie powstrzymasz mnie ani ty, ani Jenkins. Będę pracowała z tobą lub bez ciebie i nie ustane, dopóki nie poznam prawdy. Jeżeli Hawthorne odpowiada za to, co się stało, wykończę go. - Zrobiła krótki gest dłonią. - Wybieraj - ze mną lub beze mnie. Jak sobie chcesz.

Pascal obserwował ją w milczeniu. Ani przez chwilę nie wątpił w jej słowa. Mówiła cicho, twarz miała poważną i bladą, patrzyła mu prosto w oczy. Nie było w tym ani brawury, ani gry. Rozpoznał tę cechę, którą sam kiedyś posiadał - uparta, niezachwiana wiara, że prawdę można odsłonić i że właśnie w tym zawiera się sens ich pracy.

W tej chwili, patrząc na Gini, widział i słyszał siebie z nieodległej przeszłości i przypominał sobie, jak to było, gdy praca nadawała sens jego życiu. Poczul zawstydzenie, lecz jednocześnie przyplływ siły, chociaż wiedział, że nie może powiedzieć tego Gini.

Wstał i powoli podszedł do niej. Blask księżycy posrebrzył jej włosy nieziemską bielą, utkwione w nim oczy były duże ciemne w bladej twarzy. Zauważył, że nadal drży i zrozumiał, że wciąż nie otrząsnęła się z tego, co zobaczyła w Palazzo Ossorio. Pozwolił sobie oprzeć dłoń na jej szyi, rozpuścić włosy, unieść je i odgarnąć do tyłu. Kiedy dotknął jej skóry, szybko wciągnęła powietrze. Wtedy mocno przytulił ją do siebie. Bał się konsekwencji każdego ruchu i wiedział, że są one nieuchronne.

Trzymał ją blisko siebie, starając się, aby jego ciepło przeniknęło jej zziębnięte ciało. Ogarnęło go uczucie, że robi rzecz dobrą, znajomą i od dawna wyczekiwaną. Świadomość tę odebrał niczym wstrząs, poczuł też, że Gini zareagowała podobnie. Miał wrażenie, że pasują do siebie jak dwie połówki, umysł do umysłu, serce do serca, ciało do ciała. Wraz z tą myślą obudziło się w nim pożądanie, które zawsze towarzyszyło jej fizycznej bliskości. Wiedział i pamiętał, jak potężne i wszechwładne potrafi być to pożądanie, lecz dotykając jej teraz zrozumiał, że wspomnień, choćby najbardziej intensywnych, nie da się porównać z rzeczywistością.

O tym, że Gini czuje to samo, mówiła każda linia jej ciała. Kiedy cofnęła się i podniosła wzrok, ujrzał to w jej oczach i twarzy. Wyłączył lampę, wziął ją za rękę i pociągnął w stronę łóżka. Położyli się obok siebie, łagodnie otoczył ją ramionami. Leżeli w ciemności rozjaśnianej tylko światłem księżyca, które falami przepływało przez pokój. Pascal gładził włosy Gini. Po długiej chwili zaczął mówić.

Zamierzał opowiedzieć jej o dwunastu latach, które spędzili osobno, o tych latach, kiedy śmierć wciąż stała tuż obok niego, o swoim małżeństwie i wielu innych rzeczach, i zrobił to, przynajmniej w pewnej części. Gini słuchała go w milczeniu. W pewnej chwili Pascal odkrył jednak, że pragnie zabrać ją na jeszcze dalszą wyprawę w głąb czasu i zaczął mówić o tamtych tygodniach w Bejrucie, potem zaś sięgnął jeszcze głębiej, aż do swego dzieciństwa, nieżyjących rodziców i małej wioski w Prowansji.

Część tej historii była dla niej nowością, inne fragmenty słyszała już wcześniej, w Bejrucie. Wyczuł, że fala wspomnień, która niesie mu ukojenie, uspokaja także i ją. Oboje zostawili daleko za sobą wydarzenia tego wieczoru. Gini przestała drzeć, a jej skóra stała się cieplejsza.

Po chwili, gdy przerwał, sama zaczęła mówić. Zabrała go ze sobą w przeszłość, do czasów swojego dzieciństwa. Wcześniej nigdy z nim o tym nie rozmawiała, więc dopiero teraz zaczął sobie uświadamiać, dlaczego tamta historia w Bejrucie zakończyła się tak tragicznie. Opowiedziała mu, co czuła po rozstaniu i jak przez wszystkie te lata nigdy nie przestała o nim myśleć.

Pascal był głęboko wzruszony. Zaczął gładzić jej ramię, przesuwając palcami wzdłuż żyły, która biegła po wewnętrznej stronie, od łokcia do przegubu dłoni. Świadomość, że może jej dotykać napełniła go głębokim, miękkim spokojem. Gini

zadrzała. Odwrócili się twarzami do siebie, żeby być jeszcze bliżej. Patrzył w jej twarz, a ona odpowiadała mu równie uważnym spojrzeniem. Odnalazł palcami linię włosów i brwi, oczy i usta. Zaczął łagodnie pieścić jej szyję, potem piersi. Jęknęła cicho i przywarła do niego; rozkosz rozluźniła i wygładziła mięśnie jej twarzy, napełniła ją spokojną radością. Uniósł się nad nią i dotknął wargami jej ust. Chwilę trwali tak nieruchomo, lecz po paru sekundach usta Gini otworzyły się.

Smakowały koniakiem. Jej skóra i włosy pachniały solą, wiatrem i deszczem. Kochali się powoli, po omacku wracając do ukochanych miejsc. Czuł, jak w jego umyśle budzą się tysiące drobnych wspomnień - taki był jej zapach, taki gest, który wykonywała w pewnych sytuacjach, taki dotyk... Przypominał sobie wszystko, co powinien sobie przypomnieć. Kiedy w nią wszedł, od nowa odkrył nie tylko kobietę, którą kiedyś kochał, ale także samego siebie.

Potem leżeli nieruchomo i w miarę, jak wielka rozkosz powoli opadała, Pascal myślał o akcie, który ich połączył, o akcie, który poeci określali czasami mianem „małej śmierci”. Te słowa nie miały nic wspólnego z tym, co teraz odczuwał. Nawet nie dotknął śmierci - spadł z wysokiego szczytu, przebył wielką odległość i odrodził się.

Prawie przez całą noc rozmawiali i kochali się. Budząc się w ramionach Gini następnego dnia rano, Pascal poczuł najpierw absolutny spokój, a potem ogromną, bezgraniczną radość. Wydawało mu się, że teraz słyszy, widzi i odbiera doznania z nową, głębszą i większą precyzją. Z całego serca pragnął trwać w tym stanie, lecz zdawał sobie sprawę, że musi działać, więc uczynił wielki wysiłek, aby wydobyć się z radosnego uniesienia.

Zajął się wszystkimi rutynowymi czynnościami, które zwykle pomagały mu się obudzić. Wziął prysznic, ubrał się, wypił jedną kawę, potem drugą, zadzwonił do recepcji, pokreślił się po pokoju, zamówił wodną taksówkę. Był zdeterminowany, aby nie spóźnili się na samolot, wyruszyli więc na lotnisko znacznie wcześniej, niż było trzeba. Motorówka zniknęła między czarnymi kopczykami, którymi oznaczony był ich kanał, a w porannym świetle, szarym i słabym, miasto ukryło się za zielonkawą mgłą.

Był poniedziałkowy ranek. Na małe lotnisko w Wenecji dotarli przed ósmą. Kilku uzbrojonych wartowników sennie przechadzało się po sali, dziewczyna przy

stanowisku kontroli biletów ziewała. Powiedziała im, że oba loty są nieco opóźnione i będą musieli poczekać co najmniej godzinę.

Dopiero jej słowa przypomniały Pascalowi o ich planach - Gini wracała bezpośrednio do Londynu, tymczasem on leciał do Paryża i dopiero stamtąd, o piątej po południu, do Londynu. Marianne miała jeszcze świąteczną przerwę i Pascal powinien spotkać się z nią za mniej więcej trzy godziny, koło południa. Jak mógł o tym zapomnieć? Zaklął cicho, wściekł na siebie, lecz kiedy spojrzał na Gini, od razu wszystko zrozumiał.

- To twoja wina - powiedział, nawet nie próbując walczyć z radością, która brzmiała w jego głosie. - Twoja wina... Nie mam pojęcia, gdzie jestem i co robię. Nie mogę myśleć...

Nagle dotarło do niego, że musi znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji, najlepiej odwołując spotkanie z Marianne.

- Nie puszcze cię do Londynu - oświadczył. - Nie pozwolę, żebyś sama siedziała w mieszkaniu...

To Gini zaprowadziła go do lotniskowej kawiarni, napiła kawą i odwiodła od tego pomysłu.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała. - Powinieneś porozmawiać z żoną, Kochany. Marianne czeka na ciebie. To tylko trzy godziny, wczesnym wieczorem będziesz w Londynie. Nic mi się nie stanie, naprawdę.

Ale Pascal wciąż miał przed oczami tamten pokój w Palazzo Ossorio i ciała, które w nim znaleźli. Gini pojęła, że nic nie skłoni go do zmiany decyzji. Nie, nie i jeszcze raz nie - nie pozwoli, aby sama tkwiła w mieszkaniu w Islington...

Wtedy zaproponowała kompromis. Dobrze, nie pojedzie do Islington, ale do Mary, i zostanie u niej aż do powrotu Pascala.

- Możesz mnie nawet od niej odebrać - zaproponowała. - Będę tam na ciebie czekała. Zadzwoń do Mary teraz, aby się upewnić, że ją zastanę. Sam widzisz, że wszystko będzie w porządku... - Na chwilę zawiesiła głos. - To naprawdę idealne rozwiązanie, zwłaszcza że chciałabym zapytać Mary o parę spraw... - Rozejrzała się po pustej hali odlotów i równie pustej kawiarence. - Na pewno wiesz, o co mi chodzi... Jęknął i znowu zaczął się spierać, lecz szybko mu przerwała. Z tego, co powiedział jej

w ciągu minionej nocy, jasno wynikało, że spotkanie z Marianne jest dla niego bardzo ważne. Znalazła automat i zadzwoniła do Mary. Bez trudu uzyskała połączenie. Mary, która zawsze wstawała wcześniej, odezwała się po drugim sygnale. Jak zwykle ucieszyła się z jej telefonu, lecz Gini nie mogła pozbyć się wrażenia, że Mary jest spięta i chyba trochę zdenerwowana.

- Koło południa? - zapytała. - Dobrze wiesz, kochanie, że z radością się z tobą zobaczę, ale jest pewien problem... Słucham? Nie słyszę cię zbyt dobrze, coś strasznie trzeszczy... Jeżeli bardzo ci zależy, żeby dzisiaj ze mną porozmawiać, to oczywiście, skarbie... Nie jestem jeszcze pewna, ale możliwe, że później będę musiała wyjść... Może zadzwoniłabym do ciebie za jakąś godzinę, wtedy powinnam już wszystko wiedzieć...

Gini nie powiedziała Mary, skąd dzwoni.

- Nie dodzwonisz się do mnie - rzekła pośpiesznie. - Właśnie wychodzę i nie będzie mnie przez całe przedpołudnie... A gdybym przyjechała trochę później, o wpół do pierwszej albo o pierwszej? Chyba że umówiłaś się z kimś na lunch...

- Nie, nie... Nie chodzi o lunch... Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić. Powiem ci, kiedy się zobaczymy. Sęk w tym, że wydarzyło się coś okropnego i... - Głos Mary ucichł, zagłuszony zakłóceniami na linii. - Już wiem, kochanie! - rozległo się po chwili. - Wymyśliłam bardzo proste rozwiązanie... Kiedyś już tak zrobiliśmy, na pewno pamiętasz... Zostawię klucz u sąsiadów, wiesz których, tych pod numerem pięćdziesiąt sześć i jeżeli się okaże, że muszę wyjść, wejdiesz i zaczekasz na mnie. Nie chcę, żebyś stała na dworze przy tej paskudnej pogodzie. Tak, to znakomite rozwiązanie. Całkiem możliwe, że zastaniesz mnie w domu, skarbie, ale jeżeli nie, to wejdź, rozgość się i trochę pogadaj z biednym starym Dogiem. Przygotuję ci kanapki.

- Mary...

- Tak, to najlepsze rozwiązanie. Sądzę, że nie będzie mnie jakieś pół godziny, najwyżej godzinę, ale gdyby miało się to przeciągnąć, przynajmniej będę wiedziała, gdzie jesteś... - Mary przerwała. - Czy coś się stało, kochanie? Czy może... Czy to... Nie masz chyba problemów z... Mam nadzieję, że nie chodzi o mężczyznę?

Gini uśmiechnęła się do siebie.

- W pewnym sensie - powiedziała.

- Och, kochanie... Ale nie o twojego Pascala, prawda? Wydał mi się taki sympatyczny... Nie? Słucham? Dobrze, w porządku, w takim razie ustaliliśmy plan... Do zobaczenia za parę godzin, całuję cię...

Gini powoli odłożyła słuchawkę. Doszła do wniosku, że lepiej będzie nie wprowadzać Pascala w szczegóły tego planu. Zmarszczyła brwi, lekko zaniepokojona, i wróciła do kawiarni.

- Wszystko w porządku - oznajmiła. - Umówiłam się z Mary. Pojadę do niej prosto z lotniska, a potem...

Nagle przerwała, ponieważ nie była w stanie mówić dalej. Cała ta sytuacja, wszystkie słowa, ustalenia i pytania stały się nagle zupełnie nieważne - wystarczyło jedno spojrzenie na Pascala, który właśnie wstał i chwycił ją w ramiona. Całował jej włosy, podniesioną ku niemu twarz.

- Chyba wiesz, że wolałbym nie rozstawać się tobą ani na minutę... - szepnął. - Wiesz o tym, prawda?

Pociągnął ją do ustronnej wnęki, z dala od obojętnych spojrzeń włoskich *carabinieri*. Tam zatonęli w morzu słów, wyznań i pieszczot. Pascal był bardzo szczęśliwy, ale także zaniepokojony. Mało brakowało, by mimo wszystko zmienił plany i poleciał z Gini. Potem nigdy nie potrafił ocenić, czy wybrał lepsze rozwiązanie.

Dopiero kiedy z głośników rozległ się głos zapowiadający odlot do Londynu, przypomniał sobie, czego nie zdążył powiedzieć Gini poprzedniej nocy.

- Bejrut... - zaczął gorączkowo. - Do diabła, musisz o tym wiedzieć... Pamiętaj, co zrobili ci, którzy włamali się do twojego mieszkania? Mówiłem ci wtedy, że to na pewno sprawa kogoś, kto wiedział, jak nas zranić, kto wiedział o Bejrucie...

- Nikt nie wie o Bejrucie, tylko mój ojciec...

- Mylisz się, kochanie. Mary także wie, nie ukrywała tego przede mną, kiedy rozmawiałem z nią w czasie przyjęcia. Nie, teraz to nieistotne, nie mamy czasu... Uwierz mi, jestem tego pewny, nie mam cienia wątpliwości. Mary wie, co się wtedy wydarzyło i wydaje mi się, że powiedziała o tym jeszcze komuś...

- Nigdy by tego nie zrobiła. Nie Mary...

Zobaczył, jak jej twarz przesłania maska uporu i z całej siły przytulił ją do siebie.

- Posłuchaj mnie, najdroższa. Pomyśl... Na pewno nie zrobiła tego po to, żeby sobie poplotkować, oczywiście że nie... Ale przecież mogło ją to niepokoić, może chciała zwierzyć się komuś, poprosić o radę... Kto był i jest jej najbliższym przyjacielem, poza tobą, od śmierci jej męża? Kto pomagał jej przetrwać najgorsze chwile, odwiedzając ją, przynosząc książki i prezenty? Kto zasłużył sobie na jej absolutne zaufanie?

- John Hawthorne.

- Właśnie... - Wypuścił Gini z objęć i oczami pociemniałymi od troski spojrzał w jej twarz. - Jeżeli mam rację, to John Hawthorne wysłał kogoś do twojego mieszkania, aby sprawić ci ból... - Zmarszczył brwi. - Obiecuj mi, że będziesz ostrożna, kochanie. Nie chcę, żeby cię zranił.

Gini wspięła się na palce i pocałowała go.

- Nie pozwolę mu na to. Nikomu na to nie pozwolę... - Zrobiła kilka kroków w stronę przejścia do samolotu, lecz jeszcze przystanąła i impulsywnie odwróciła się do Pascala. -

Hawthorne i tak nie wie, co wydarzyło się w Bejrucie - powiedziała. - Może sobie myśleć, że wie, ale bardzo się myli. Tego nie wie ani on, ani ktokolwiek inny. Tylko my.

## XIX

W pokoju było ciepło i cicho. Gdzieś niedaleko tykał zegar. Na ulicy pod oknami panował spokój, tylko czasem zakłócany szmerem opon przemykających po mokrym asfalcie. Na zewnątrz padał teraz deszcz ze śniegiem. Gini przyjechała do Mary godzinę później, niż planowała, i teraz dochodziła już druga. Światło dnia gęstniało, przybierając żółtawą barwę - zbliżał się zmierzch. Gini oparła głowę o poduszkę fotela. Sen podkradał się do niej na miękkich łapach i nie było w tym nic dziwnego, bo przecież poprzedniej nocy prawie w ogóle nie zmrużyła oka. Próbowwała się skupić i myśleć o tym, co jeszcze czeka ją tego dnia, lecz senność okazała się



silniejsza. Czują, jak ciało robi się coraz cięższe, a wszystkie myśli powoli opuszczają umysł. Zdecydowała, że zaczeka na Mary i spróbuje dowiedzieć się od niej czegoś więcej o Hawthorne'ach. Można śmiało powiedzieć, że sama poznała ich dopiero niedawno, więc jej zaciekawienie nie powinno zaskoczyć Mary. Chciała zapytać macochę, dlaczego na przyjęciu Lise była tak zdenerwowana, postanowiła nawet zaryzykować i wspomnieć o McMullenie. Mary mogła wiedzieć, jak i kiedy zaczęła się jego przyjaźń z Lise. Poprowadzi Mary ścieżkami wspomnień i anegdot, może nawet dopuszczając się pewnego oszustwa, lecz chyba na tyle drobnego, że zasługującego na wybaczenie...

Dog, który wygodnie wyciągnął się na dywanie przed kominkiem, zaczął cicho chrapać. Najwyraźniej coś mu się śniło, bo kilka razy poruszył łapami, jakby biegł, i głośno zasapał. Gini usłyszała, jak zegar wybija pół do trzeciej, potem trzecią. Powieki ciążyły jej coraz bardziej, od kominka było przyjemne ciepło. Pomyślała o Pascalu i o tym, że każda mijająca godzina zbliża ją do ponownego spotkania z ukochanym. Teraz Pascal na pewno jest z Marianne, może bawi się z nią, czyta jej lub są na spacerze. Potem pojedzie na lotnisko, wsiądzie do samolotu i... Gini westchnęła. Po raz ostatni spróbowała otrząsnąć się z senności, lecz przegrała tę walkę i odpłynęła w sen.

Obudziła się nagle. Dookoła było ciemno, skądś niosło się przeraźliwe dudnienie i dzwonienie. Przez chwilę, ogłuszona hałasem i zmęczeniem, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest, lecz zaraz oprzytomniała. Była u Mary, oczywiście, a hałas dobiegał od wejściowych drzwi, do których ktoś wciąż się dobijał. Zerwała się z fotela i o mało nie upadła, ponieważ potknęła się o Doga. Zauważyła, że ogień w kominku prawie wygasł. Jak długo spała? Gdzie była Mary? Ostrożnie, po omacku dotarła do najbliższego stolika i zapaliła lampę. Dog także się obudził, podniósł głowę i warczał cicho. Na zewnątrz było już zupełnie ciemno. Spojrzała na zegarek - do piątej brakowało tylko kilku minut. Jej serce ścisnął niepokój. Co się dzieje z Mary, pomyślała. Dlaczego nie zadzwoniła, tak jak obiecała?

Stukanie do drzwi ucichło. Gini wyszła do holu i przystanęła, nasłuchując. Czy dobijająca się osoba odeszła, czy nadal czekała pod drzwiami? Ogarnął ją lęk. Była sama w pustym domu, na dworze dawno zapadła ciemność. Pamięć natychmiast podsunęła jej obraz tamtego pokoju w Wenecji. Ujrzała szeroko otwarte, niebieskie

oczy Steveya i małą ranę u podstawy czaszki. Usłyszała ostrzegawczy głos Pascala, uświadamiający jej, że czyjeś życie można zakończyć w jeszcze inny, może prostszy sposób.

Próbując pokonać strach i gardząc sobą, otworzyła drzwi, wydała krótki okrzyk i natychmiast cofnęła się do środka. Usłyszała szelest i zaraz potem znajome trzaski krótkofalówki. W progu stał obcy mężczyzna, bardzo wysoki, potężnie zbudowany, w ciemnym płaszczu i czarnych rękawiczkach.

Gini z trudem przełknęła ślinę i zaczęła coś mówić, zaraz jednak zmieniła zdanie i sięgnęła do klamki, aby zatrzasać drzwi.

Mężczyzna wsunął w szparę dużą stopę w klasycznym czarnym półbutcie.

- Panna Hunter? - odezwał się z amerykańskim akcentem, przytrzymując drzwi.

- Chwileczkę...

Pascal dotarł do domu byłej żony o dwunastej piętnaście. Helen sama otworzyła mu drzwi.

- Spóźniłeś się.

- Tylko piętnaście minut. Samolot wylądował z opóźnieniem, musiałem odebrać samochód...

- Nigdy nie wiadomo, kiedy się zjawisz... - Helen obrzuciła Pascala niezadowolonym spojrzeniem. - Nie jest to zbyt wygodny układ... Wychodzę, a niania ma dziś wolne. Przez ciebie ja też się spóźnię. Cóż, skoro przyjechałeś, to wejdź do środka. Nie mam pojęcia, co będziecie robić. Pogoda jest wyjątkowo paskudna, a Marianne od rana kaprysi - te twoje wizyty zupełnie wytrącają ją z równowagi...

Pascal uznał, że najlepiej będzie milczeć. Helen wprowadziła go do tak zwanego pokoju telewizyjnego, pełnego drogich, obitych skórą mebli i kretonowych zasłon oraz narzut. Marianne siedziała na podłodze przed telewizorem. Oglądała amerykańską kreskówkę, w której jaskrawo ubarwione zwierzątka hałaśliwie okładały się różnymi narzędziami walki.

Przywitała się z ojcem, ale nie podeszła do niego i nie wstała. Popatrzył na nią i serce ścisnęło mu się boleśnie. Ich popołudnia często były pełne napięcia. Trzy godziny to za mało, aby zbudować most porozumienia między ojcem i córką.

Czuł, że coraz trudniej jest im obojgu wymyślać cele cotygodniowych wycieczek. Latem zabierał Marianne na basen lub do parku, lecz zimą nie było to takie proste. Popatrzył w okno. Na dworze było zimno i wietrznie, dobrze chociaż, że na razie nie padało.

- Pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę pójść na plac zabaw, kochanie - zaczął, myśląc o pobliskim parku. - Lubisz huśtawki i karuzelę, więc...

Marianne posłusznie podniosła się z podłogi.

- Tak, tatusiu - powiedziała bez entuzjazmu. - Bardzo chętnie. Pójdę po palto.

Wyszła z pokoju, po drodze rzucając matce niepewne spojrzenie. Helen wzruszyła ramionami.

- Naprawdę nie wiem, co będziecie robić w parku przez całe popołudnie. Jest potwornie zimno...

- Pójdziemy na pół godziny do parku, a potem na herbatę... - wyjaśnił Pascal.

- Jak sobie chcesz - przerwała mu Helen. - Twój wybór... Chyba powinnam dać ci klucz. Postaram się wrócić przed trzecią, ale gdybym nie zdążyła, będziecie mogli wejść do domu.

- Gdybyś nie zdążyła?

- Mam prawo raz na jakiś czas wyjść z domu, prawda? Umówiłam się z przyjaciółmi na lunch, ale naturalnie zrobię wszystko, żeby zdążyć na trzecią... - Jej oczy tylko na sekundę spoczęły na jego twarzy i zaraz umknęły w bok.

- Dobrze - powiedział Pascal. - Może na wszelki wypadek zostaw mi telefon do tych przyjaciół...

W odpowiedzi rzuciła mu zimne, zniecierpliwione spojrzenie.

- Nie mogę tego zrobić, bo idziemy do restauracji, nawet nie wiem, której... Mam nadzieję, że przez trzy godziny jakoś dasz sobie radę... Wydaje mi się, że to niezbyt trudne zadanie...

Pascal w myśli liczył godziny. Jeżeli Helen wróci o trzeciej, powinien bez trudu złapać samolot o piątej, ale jeśli się spóźni... Zawahał się. Już miał wspomnieć o locie do Londynu, lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język. Gdyby Helen wiedziała, że ma jakieś konkretne plany, na pewno stanęłaby na głowie, żeby nie zdążyć na trzecią.

- Tu masz klucze - powiedziała. - Zamknij drzwi na oba zamki, dobrze? Do zobaczenia koło trzeciej. Pa, pa, Marianne... Nie pozwól, żeby tatuś cię zameczył.

Na placu zabaw Marianne pozwoliła trochę się pohuścić, ale nic nie wskazywało, aby sprawiło jej to przyjemność. Zgodnie z sugestią Pascala wdrapała się na karuzelę i siedziała uprzejmie i cierpliwie, podczas gdy on wprawiał urządzenie w ruch. Potem szybko zeskoczyła na ziemię. Trzymając się za ręce, poszli w stronę małego jeziora, po którym pływały kaczki. Pascal zapomniał o chlebie dla ptaków.

- Nie szkodzi, tatusiu - rzekła Marianne.

Puściła rękę ojca, podeszła do ławki i usiadła. Pascal zajął miejsce obok. Powoli ogarniała go rozpacz - minęło dopiero pół godziny.

- Czy coś się stało, kochanie? - zagadnął łagodnie. - Dobrze się czujesz?

- Trochę boli mnie ucho i gardło - odparła, pocierając szyję. - I jest mi zimno...

Pascal przyjrzał jej się uważnie. Czoło i wargi miała normalnego koloru, lecz policzki płonęły rumieńcem. Zadrżała. Położył dłoń na czole córki. Wydało mu się ciepłe.

- Kłuje cię w ucho, skarbie?

- Nie kłuje, tylko boli. Słabo słyszę.

Pascal z niepokojem rozejrzał się po parku. Nigdzie nie było widać innych dzieci. Najwyraźniej ich rodzice uznali, że pogoda nie sprzyja zabawom na świeżym powietrzu.

- Może to tylko z zimna - powiedział pocieszającym tonem. - Lepiej chodźmy stąd, co ty na to? Może chciałabyś pójść do tej kawiarni, w której już kiedyś byliśmy? Pamiętasz? Tam, gdzie podają takie pyszne lody... Uśmiechnęła się słabo.

- Nie, dziękuję, tatusiu. Wolałabym wrócić do domu.

Jak na nią było to bardzo dziwne zachowanie. Przestraszył się nie na żarty. Jeszcze raz zbadał czoło córeczki i wziął ją za rękę.

- Świetny pomysł, skarbie. Pójdziemy do domu i zrobimy sobie gorącej herbaty, a potem możemy razem pooglądać telewizję, dobrze?

Ta propozycja wyraźnie ją ucieszyła. Drobna buzię rozjaśnił uśmiech.

- Och, tak! - powiedziała. - Zawsze sama oglądam telewizję...

- Mama z tobą nie ogląda? Ani niania, ta nowa niania? Jak ona ma na imię?

- Elizabeth. To Angielka. Czasami ze mną ogląda. Mama zawsze mówi, że obejrzymy razem jakiś film, ale potem okazuje się, że jest zajęta... - Łapka Marianne mocniej zacisnęła się na dłoni Pascala. - W poniedziałki po południu puszczają serial *Niebezpieczna mysz*. Lubię to.

- Dobrze, w takim razie obejrzymy sobie *Niebezpieczną mysz*.

Od domu dzieliła ich niewielka odległość, ale Marianne szła coraz wolniej. Pascal znowu dotknął jej czoła, które teraz było gorące. Do domu doniósł ją na rękach.

Posadził córeczkę na sofie w pokoju telewizyjnym i otulił jej nóżki kocem. Włączył telewizor i gazowy kominek, który udawał prawdziwy, i udał się na poszukiwanie aspiryny lub paracetamolu. Znalazł je w trzeciej łazience z rzędu, tej, która chyba należała do Helen. Było to bardzo eleganckie pomieszczenie, wyłożone różowym marmurem. Na długiej półce tłoczyły się rozmaite kosmetyki, przede wszystkim słoiczki i tubki z przeciwmarszczkowymi kremami oraz buteleczki z perfumami. Aspiryna znajdowała się w apteczce, obok pudełka w kształcie podkowy, które teraz było otwarte i puste, ale wcześniej zawierało chyba krążek Helen, oraz kilku tubek plemnikobójczego żelu.

Zamknął szafkę, pełen poczucia winy, że zobaczył fragment intymnego życia byłej żony napełnił szklanek wodą i wrócił do Marianne. Nie było go najwyżej pięć minut, lecz w tym czasie trawiąca ją gorączka jeszcze wzrosła. Dziewczynka była czerwona i rozpalona, przełknięcie niewielkiej tabletki sprawiło jej wyraźny ból.

- Boli mnie gardło, tatusiu - powiedziała.

Pogłaskał ją po głowie, podsunął poduszkę pod kark i delikatnie rozpiął guziczki sukienki. Szyja i klatka piersiowa dziecka zsypane były zlewającą się w plamy wysypką. Zapiął sukienkę Marianne i spojrzął na zegarek. Dochodziła pierwsza.

- O której wraca Elizabeth, twoja niania? - zapytał.

- Wieczorem, po herbacie, żeby mnie umyć.

- Mama nie myje cię w te dni, kiedy Elizabeth ma wolne?

- Nie. Elizabeth zawsze myje mnie i wyciera, a potem czyta mi bajkę i kładzie spać...

Pascal zmarszczył brwi.

- Posłuchaj, skarbie... - zaczął, starając się mówić jak najspokojniejszym tonem.  
- Tatuś powinien chyba zadzwonić do doktora, żeby dał ci coś na gardło... Chciałabyś, żebym wezwał mojego pana doktora, czy tego, który zwykle cię bada?

- Twojego, tato. Nasz jest okropny, stary i zawsze się spieszy. I ciągle się złości...

Lekarz Pascala był na drugim końcu miasta, wezwany do chorego z objawami zawału. Jego asystentka powiedziała, że przyjedzie do Marianne, lecz mogą się go spodziewać najwcześniej za dwie godziny.

Pascal wrócił do pokoju telewizyjnego. Marianne zasnęła, więc usiadł obok i przez chwilę obserwował ją z niepokojem. Oddychała dość regularnie, a jej skóra wydawała się trochę chłodniejsza - najwyraźniej aspiryna zadziałała.

Wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Nie mógł się uspokoić. Sięgnął po jeden z magazynów mody leżących na stole, lecz zaraz go odłożył. W tym domu nigdy nie ma nic, co warto przeczytać, pomyślał z irytacją. Spojrzał na telefon, zastanawiając się, czy zadzwonić do Gini. Było parę minut po drugiej. Marianne nadal spała. Pascal zaczął dopuszczać do świadomości myśl, że może nie zdążyć na samolot o piątej. Koło pół do trzeciej, nie mogąc usiedzieć na miejscu, wyszedł na ulicę, lecz samochodu lekarza nie było nigdzie widać.

Wrócił do domu i usiadł naprzeciwko córki. Aby się uspokoić, próbował myśleć o pracy, lecz jego wysiłki nie przyniosły spodziewanego efektu. Nie był w stanie otrząsnąć się ze wspomnień o Palazzo Ossorio. Czuł się rozdarty między dwoma lękami - o Gini i o Marianne. Wyjął z kieszeni mosiężny guzik, który poprzedniego wieczoru znalazł w szparze między deskami podłogi, pod rzeczami Steveya. Czy guzik mógł należeć do mordercy? Wyglądał na zupełnie nowy, błyszczał w świetle. Obejrzał go dokładnie. Niewielki krążek zdobił wzór w postaci wieńca z liści, takiego, jaki dawno temu wkładano na głowę bohatera lub zwycięskiego wodza. Wieniec z liści laurowych, a może dębowych - nie był tego pewny.

Schował guzik i z torby, w której przewoził aparaty fotograficzne wydobyl znaną przez Gini książkę, starą, mocno podniszczoną, w miękkiej okładce z portretem młodego Johna Milтона. Kartki były pożółkłe i miejscami odbarwione z powodu wilgoci. *Raj utracony*, ta sama książka, w tym samym wydaniu Penguina,

którą Gini zobaczyła na biurku McMullena. Czy wskazywało to na coś więcej niż tylko upodobanie do epickiej poezji Milтона, czy też nie? Istniało duże prawdopodobieństwo, że także i ten egzemplarz należał do McMullena, co z kolei świadczyłoby, że McMullen był w Wenecji, ale o niczym więcej...

Pascal spojrział na pogrążoną we śnie córkę. Z braku innego zajęcia, zaczął czytać *Raj utracony*, lecz szybko natknął się na trudności. Płynnie mówił po angielsku - jego ojciec uczył języków w wiejskiej szkole. Ojciec zmarł, kiedy Pascal miał dziesięć lat, lecz nadal pamiętał wieczory, w czasie których ojciec czytał mu fragmenty wielkiej angielskiej prozy i poezji, Szekspira i Dickensa... Nie mógł sobie przypomnieć, czy czytali także Milтона. Odwrócił kartkę. Niezwykła, bardzo skomplikowana składnia przekraczała jego możliwości. Jego angielski był dobry, ale nie aż tak dobry. Przerzucił kilka kartek i nagle znieruchomiał. Szybko zbliżył książkę do światła.

Jeden fragment został delikatnie zaznaczony ołówkiem na marginesie. Uważnie odczytał słowa:

*I teraz dręczy go myśl*

*O utraconym szczęściu i nieprzemijającym bólu.*

Zmarszczył brwi. Krótki dwuwiersz wydawał się rozbrzmiewać echem w jego umyśle. Śmiało mógł zastosować go do swojego życia. Czyżby McMullen odniósł to samo wrażenie? Zamknął książkę. Marianne zamruczała coś przez sen i zrzuciła koc na podłogę. Dotknął jej czoła. Aspiryna przestała już chyba działać, bo dziewczynka była znowu rozpalona.

Wybiegł do holu i otworzył drzwi. Lekarza nadal nie było. Przerażony, wrócił do pokoju, wyłączył ogrzewanie i uchylił okno. Wiedział, że w jakiś sposób musi obniżyć gorączkę Marianne.

Przyklęknął obok niej i zaczął gładzić jej czoło. Zastanawiał się, czy można dać jej drugą aspirynę. Na opakowaniu przeczytał zalecenie, zgodnie z którym lek należało podawać co cztery godziny. Niespokojnie zerknął na zegarek. O której dał Marianne tabletkę aspiryny? Chyba koło drugiej, teraz dochodziła czwarta, było więc za wcześnie na następną dawkę...



Nie mógł zdecydować, co robić. Uświadomił sobie, że już nie zdąży na samolot i natychmiast o tym zapomniał. Marianne obudziła się i poprosiła o wodę. Kiedy przyniósł szklanekę, pociągnęła łyk, ale nie była w stanie go przełknąć. Ułożył ją na poduszce, przeszedł do pokoju obok i jeszcze raz zadzwonił do doktora.

- Proszę się nie martwić, panie Lamartine - powiedziała asystentka, słysząc niepokój w jego głosie. - Na pewno nic jej nie grozi. Dzieci dość często dostają wysokiej gorączki. Proszę podawać jej dużo płynów i robić chłodne okłady. Doktor powinien wkrótce przyjechać. Pana córeczka szybko poczuje się lepiej...

Myliła się, i to bardzo. Marianne nie poczuła się lepiej. O piątej trzydzieści, kiedy Pascal wyjmował z opakowania drugą tabletkę aspiryny, pod domem zatrzymał się samochód. Pascal ruszył do drzwi, aby wpuścić lekarza, lecz nagle zatrzymał się jak wryty. Z gardła Marianne wydobył się cichy dźwięk, przerażające, suche kasznięcie, zupełnie jakby dziewczynka na sekundę zassała powietrze.

Odwrócił się. Oczy dziecka otworzyły się gwałtownie, źrenice skryły się pod powiekami. Ciałem Marianne wstrząsnął krótki dreszcz. Potem dziewczynka dostała drgawek.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem.

Potężny mężczyzna był bardzo uprzejmy, uprzejmy i chłodny. Twarz miał pozbawioną wyrazu, zupełnie obojętną. Podsunął Gini otwarty portfel, w którym za plastikową osłoną znajdowała się legitymacja z pieczęcią ambasady Stanów Zjednoczonych, zdjęciem i nazwiskiem. Frank Romero, przeczytała.

Zamknął portfel i schował go do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Lady Pemberton przebywa teraz w rezydencji ambasadora - powiedział. - Nie mogła do pani zadzwonić, więc pan ambasador uznał, że będzie prościej, jeżeli pani dołączy do niej. Samochód stoi przed domem. Pan ambasador przeprasza, że musiała pani czekać...

Gini zawahała się, a Frank Romero natychmiast to wyczuł. Podał jej kartkę z wydrukowanym numerem telefonu.

- Proszę zadzwonić pod ten numer. Będzie pani mogła osobiście porozumieć się z lady Pemberton.

- Dziękuję - odparła Gini. - Tak czy inaczej, muszę zabrać parę rzeczy...

Znowu się zawahała i zamknęła drzwi. Pobiegnęła do salonu i pośpiesznie wybrała podany numer. Po trzecim sygnale usłyszała głos Johna Hawthorne'a, zupełnie spokojny, taki jak zwykle.

- Bardzo mi przykro z powodu tego zamieszania - rzekł. - Oddaję słuchawkę Mary.

W przeciwieństwie do Hawthorne'a, Mary sprawiała wrażenie całkowicie wyczerpanej i zdenerwowanej do granic możliwości.

- Strasznie cię przepraszam, kochanie! Mamy tu duży problem... Nie, nie mogę ci nic powiedzieć przez telefon... Gdybyś mogła po prostu przyjechać... O co chodzi, John? - Mary przerwała. - Och, świetnie. Jesteś tam, Gini? Okazuje się, że John wysłał po ciebie samochód z jednym z... Z jednym z ochroniarzy, Frankiem. Tak, kochanie. Słucham?

- Nic nie rozumiem - powiedziała Gini. - Dlaczego jestem ci tam potrzebna?

- Skarbie, naprawdę nie mogę ci teraz tego wytłumaczyć. Tak, opowiem ci o wszystkim na miejscu... Dobrze... Za dwadzieścia minut? Za pół godziny, doskonale.

Gini odłożyła słuchawkę. Chwyciła torbę i płaszcz, pocałowała Doga w głowę i wyszła na schody. Deszcz przestał padać. Frank Romero stał przy samochodzie. Właśnie zdjął płaszcz, złożył go porządkie i umieścił na tylnym siedzeniu. Zanim Gini zdążyła zejść na chodnik, otwierał już przednie drzwiczki po stronie pasażera. Przyjrzała mu się uważnie, może nawet zbyt uważnie. Ubrany był w klasyczny, nieformalny strój, czy może raczej rodzaj uniformu - czarne buty, ciemnoszare spodnie z ostrym kantem i czarny rozpinany sweter z dwoma rzędami mosiężnych guzików. Gini potknęła się niebezpiecznie. Frank Romero podtrzymał ją.

- Ostrożnie, chodnik jest śliski... - powiedział.

Wsparła się na jego ramieniu, poruszyła zupełnie zdrową kostką i skrzywiła się. Mosiężne guziki zdobiły także rękaw swetra, zauważyła to dopiero teraz. Wszystkie miały ten sam motyw - wieniec z dębowych liści. Wyprostowała się i obdarzyła Franka Romero pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Nic mi się nie stało, wszystko w porządku - zapewniła go. - Wykręciłam nogę w kostce, ale na szczęście tylko odrobinę...

Wsiadła do samochodu i cierpliwie odczekała parę minut.

- Od dawna pracuje pan dla ambasadora? - zapytała.

- Tak, proszę pani.

- Jak długo?

Spojrzał na nią, lecz zaraz utkwiał wzrok w przedniej szybie.

- Odkąd został nominowany. .

- Na pewno jest to bardzo ciekawa praca...

- Tak, proszę pani.

Cholera jasna, pomyślała Gini. Chwilę siedziała w milczeniu, zastanawiając się, jak go nakłonić do rozmowy. Frank Romero nie spuszczał oczu z ulicy. Była godzina szczytu i wszędzie tworzyły się korki. W pobliżu Hyde Parku musieli się zatrzymać.

- Mogę pana o coś zapytać?

Rzucił jej szybkie spojrzenie i znowu skupił uwagę na zatłoczonej ulicy przed nimi.

- Zawsze mnie to interesowało... - ciągnęła Gini. - Wy, ludzie pracujący w ochronie, musicie być specjalnie wyszkoleni, prawda? Gdzie można przygotować się do takiej pracy?

W policji, w wojsku? Jak to się dzieje, że jesteście tak sprawni i obyci z różnego rodzaju zagrożeniami?

- W moim przypadku, proszę pani... - Frank Romero nie odrywał oczu od przedniej szyby. - Cóż, mam za sobą dość długi okres służby w wojsku. Jestem weteranem wojny w Wietnamie.

- Och, rozumiem... Więc ma pan wiele wspólnego z ambasadorem. On także służył w Wietnamie, mówił mi o tym przedwczoraj...

- Tak, proszę pani?

Zapadło długie milczenie. Gini nie zachęcała do dalszej rozmowy. W końcu, zgodnie z jej oczekiwaniami, Frank Romero odezwał się z własnej woli.

- Służyłem pod ambasadorem Hawthorne'em, proszę pani. W Wietnamie byłem sierżantem w jego plutonie.

- Ach, tak... - Pokiwała głową. - W takim razie rzeczywiście od dawna jest pan związany z ambasadorem i jego rodziną...

- Tak, proszę pani.

Romero nie zaoferował żadnych innych informacji, a Gini wiedziała, że nie powinna zadawać więcej pytań. Rzuciła jeszcze parę niewinnych uwag na temat pogody i ruchu ulicznego w Londynie. Zaraz potem dotarli do Regent's Park i skręcili w aleję przy Hanover Gate. Minęli stojący po lewej stronie meczet i zatrzymali się przed bramą do Winfield House. Tam wartownik skinieniem głowy pozwolił im wjechać na podjazd. Frank Romero zaparkował przed rezydencją. Obszedł samochód dookoła i uprzejmie otworzył drzwiczki. Gini wysiadła, uważnie przyglądając się guzikom na jego blezerze. Sześć z przodu, po trzy na każdym rękawie... Żadnego nie brakowało.

Na schodach pojawił się John Hawthorne.

- Wszystko w porządku, Frank?

- Tak jest, panie ambasadorze.

- Za trzy minuty będę gotowy. Gini, proszę do środka, jest zimno... - Spojrzał w niebo i ujął ją za ramię. - Bardzo przepraszam za to wszystko - powiedział, wprowadzając ją do dużego holu. - Mary wyjaśni pani, co się stało. Przykro mi, ale muszę teraz wyjść. I tak spóźniłem się już na spotkanie w ministerstwie spraw zagranicznych... Mary jest w tamtym salonie, Lise wkrótce do was dołączy.

Otworzył drzwi do różowego salonu, którego zdjęcia Gini widziała w najnowszym wydaniu magazynu „Hello!”. Zasłony były zasunięte, w kominku płonął ogień. Na ścianie wisiał Picasso z okresu różowego, obok różowawy Matisse. Mary podniosła się z fotela. Gini od razu zauważyła, że jest blada ze zmęczenia.

John Hawthorne, który wyglądał na wypoczętego i spokojnego, po paru minutach zostawił je same.

Kiedy drzwi się zamknęły, Mary wyciągnęła ramiona i mocno przytuliła Gini. W jej dobrych, szczerych oczach malowała się troska. Westchnęła ciężko.

- Tak cię przepraszam, kochanie... Zadzwoiłabym, ale nie miałam najmniejszej szansy... - Bezradnie rozłożyła ręce. - Rozpętało się tu piekło, coś okropnego... Głowa mi pęka. Przynieśli mi herbatę, napijesz się ze mną? Muszę powiedzieć ci, co się dzieje, zanim Lise do nas zejdzie... Może mimo wszystko uda nam się wtedy wyjść... Słowo daję, że nie wytrzymam tu ani chwili dłużej...

Gini podeszła do kominka i usiadła naprzeciwko Mary. Kiedy starsza pani nalewała herbatę do filiżanek, rozejrzała się po różowym pokoju. Na stole obok ustawiono dużą grupę zdjęć oficjalnych i rodzinnych. Młody John Hawthorne w mundurze, Hawthorne'owie z kilkoma byłymi prezydentami Stanów i głowami innych państw, Hawthorne'owie w rodzinnym gronie. Dwóch ślicznych jasnowłosych chłopców, rodzinny dom Johna w stanie Nowy Jork... Robert i Adam Hawthorne'owie przed tymże domem, razem z dziadkiem, S.S. Hawthorne'em - ojciec ambasadora siedział w fotelu inwalidzkim, John stał obok, Lise nie było na zdjęciu.

Gini spojrzała na Mary, która właśnie podawała jej filiżankę. Nagle ręka jej zdrząła i srebrna łyżeczka zagrzechotała o spodeczek. Ku zdumieniu Gini, Mary wyjęła papierosa ze stojącego przed nią pudełka i zapaliła. Podniosła oczy i rzuciła Gini słaby uśmiech.

- Wiem, wiem... - powiedziała. - Muszę zapalić, inaczej nie dojdę do siebie po tym, co przeszłam...

- Co tu się właściwie dzieje? - zapytała Gini. - Dlaczego tu jestem? Nic z tego nie rozumiem...

Mary westchnęła.

- Nie pytaj mnie, jak to się zaczęło, ani kiedy, bo po prostu nie wiem... Wiem tylko, że w sobotę, na przyjęciu u mnie, zwróciłam uwagę, iż Lise była potwornie spięta. Powiedziała, że niepokoi się o bezpieczeństwo Johna. Wydało mi się trochę dziwne, że denerwuje się aż tak bardzo, ale gdy wychodzili, wyglądała już dużo lepiej, zresztą sama widziałas. Była ożywiona, może nawet przesadnie, lecz na pierwszy rzut oka wszystko było prawie normalnie. Tak czy inaczej, przestałam się niepokoić. W niedzielę wieczorem - tak, wczoraj - zadzwonił do mnie John. Rozmawialiśmy strasznie długo, chyba ze dwie godziny, ponieważ był bardzo zdenerwowany...

- Stanem Lise?

- Nie tylko... - Mary powoli pokręciła głową. - Sęk w tym, że John jest absolutnie lojalny i dumny jak wszyscy diabli... Nigdy nie chce się przyznać, że ma kłopoty. Tłamsi je w sobie i za nic w świecie nie poprosi o pomoc czy radę. Nie powiedział mi ani słowa, ale najwyraźniej ta sytuacja trwa od miesięcy... No, nieważne. Tak czy inaczej, w niedzielę uświadomiłam sobie, że John jest na krawędzi

załamania. W końcu wyrzucił z siebie to, co go dręczyło. Wygląda na to, że stan Lise jest nie najlepszy, i to od dawna, co najmniej od ubiegłego lata. Odwiedza jednego lekarza za drugim, lecz żaden nie potrafi jej pomóc. John powiedział mi, że przez całą niedzielę urządzała straszne sceny, szlochała, histeryzowała...

- Dlaczego? Co spowodowało, że zaczęła się tak zachowywać?

Na twarzy Mary odmalowało się zmieszanie. Znowu westchnęła.

- Cóż... Myślę, że John sam sprowokował ten atak, chociaż oczywiście nie zrobił tego celowo. Okazało się, że coraz bardziej niepokoił go stan zdrowia Lise, także ze względu na chłopców. Wiesz, jakie są dzieci - odbierają wszystkie emocje, zupełnie jak najczulsze urządzenia. Lise wpadła w panikę, była przekonana, że cała rodzina żyje w ciągłym zagrożeniu. Szlochała, nie pozwalała chłopcom wychodzić z domu, nie pozwalała im normalnie żyć... Bardzo często zdarzało się, że traciła nad sobą panowanie, zupełnie bez powodu. Wydaje mi się też, że... - Mary przerwała. - John nie powiedział mi tego wprost, ale domyśliłam się, że zaczęli się kłócić i młodszy chłopiec, Adam, przypadkiem usłyszał jedną z tych awantur... Stał się trudny, wręcz nieznosny. Jest bardzo przywiązany do Lise, więc całe jej napięcie i niepokój dotknęły także jego. John mówi, że Adam coraz gorzej radzi sobie w szkole, źle się zachowuje, jego nauczyciele martwią się o niego... Krótko mówiąc, John podjął decyzję. Uznał, że najlepiej będzie wysłać chłopców na kilka miesięcy do Stanów, gdzie zamieszkaliby u jego brata. Prescott ma kilkoro dzieci, więc Robert i Adam nie byłiby osamotnieni i trochę odpoczęliby od tej sytuacji... Doszedł do wniosku, że Lise także powinno to dobrze zrobić, ponieważ ostatnio wymyśliła sobie, że ktoś zamierza porwać chłopców. Pomyślał, że Lise trochę odetchnie, a kiedy konflikt na Bliskim Wschodzie przygaśnie i przyczyny obecnego zagrożenia znikną, chłopcy wrócą do Londynu...

Mary przerwała na chwilę i niepewnie spojrzała na Gini.

Ta milczała. Przedstawione przez Mary wytłumaczenie było oczywiście wiarygodne, lecz z pewnością nie jedyne i niepodważalne.

- Niestety, John postąpił bardzo głupio, w każdym razie taka jest moja opinia - podjęła Mary. - Nie myśl, że mu o tym nie powiedziałam. John podejmuje decyzję i uważa, że jest po wszystkim - to dla niego typowe. Zamiast porozumieć się z Lise, omówić z nią sprawę do końca, zrobił następny krok i zorganizował wyjazd. Wczoraj

rano poinformował o tym Lise, a wieczorem chłopcy byli już na pokładzie samolotu, oczywiście z asystą...

- Wczoraj wieczorem? - przerwała jej Gini. - Chcesz powiedzieć, że tak po prostu zawiadomił ją, że za parę godzin ich synowie wyjeżdżają?

- Kochanie, wiem, jak to wygląda, ale John czasami zachowuje się jak ślepiec! Wydawało mu się, że wszystkim wyjdzie to na dobre, więc założył, że Lise również dojdzie do takiego wniosku. Zresztą, nawet gdyby wiedział, że będzie temu przeciwna, i tak przeprowadziłby swój plan. Kiedy John już podejmie decyzję, która jego zdaniem jest dobra, nic i nikt nie zmusi go, aby ją zmienił.

- Więc Lise bardzo się zdenerwowała?

Mary zerknęła przez ramię w kierunku drzwi i zniżyła głos.

- Znacznie gorzej, skarbie! Wczoraj przez cały dzień krzyczała, płakała i rzucała różnymi przedmiotami. Zanim John zadzwonił do mnie wieczorem, musieli wezwać lekarza, który podał jej leki uspokajające. John był w rozpacz. Współczułam mu z całego serca. Był bliski łez, słyszałam je w jego głosie. Zamartwiał się, co będzie dzisiaj, więc powiedziałam mu, że przyjadę, gdyby mnie potrzebował, no i przyjechałam... - Mary wstrząsnęła się lekko. - Byłam tu o dziesiątej rano i nie wyszłam nawet na chwilę. John musiał odwołać kilka ważnych spotkań, bo nie chciał zostawić Lise w takim stanie. Myślał, że jeśli obydwójce z nią porozmawiamy, uspokoi się. I rzeczywiście, na początku było nie najgorzej, ale chyba tylko dlatego, że z samego rana dostała kolejną porcję środków uspokajających. Koło jedenastej przestały działać i wtedy rozpętało się piekło... Byłam w szoku, kochanie. Lise zaczęła oskarżać Johna o najstraszniejsze rzeczy, byłoby to zabawne, gdyby nie mówiła tego zupełnie poważnie...

- O jakie rzeczy?

- Nie chcę tego powtarzać... - Mary się zaczerwieniła. - Że ma kochanki, spotyka się z innymi kobietami i tak dalej... To absurd! John nigdy nawet nie spojrzał na inną kobietę, jest najwierniejszym, najbardziej lojalnym mężem... Potem mówiła, że John zamierza odebrać jej dzieci, że... Och, to był stek okropnych, przerażających bzdur! Że John kazał ją śledzić, że otwiera jej listy... Powtarzała te oskarżenia raz po raz, bez końca. John wykazał się nieprawdopodobną cierpliwością i łagodnością.



Staralam się, jak moglam, ale ona w ogole mnie nie sluchala. John znowu wezwal lekarza, lecz Lise nie chciala sie z nim zobaczyc, zagrozila, ze zabije sie, jezeli on wejdzie do pokoju, wiec w koncu John go odeslal. Poszilmy z nia na gore, podjelismy jeszcze jedna probe i wtedy wreszcie troche sie uspokoila. Powiedziala, ze czuje sie lepiej i ze chce sie zdrzemnac. Bylo to koło trzeciej po poludniu. I nagle, bez zadnego powodu, wpadla w szał. John wlasnie probowal pomoc jej ulozyc sie wygodnie, kiedy rzucila sie na niego, dosłownie go zaatakowala, skarbie... Szarpala go za wlosy, darla na nim ubranie... Ze strachu po prostu nie wiedzialam, co robic. John tylko sie bronil, usilowal oslaniac sie przed ciosami, stal tam z takim strasznym wyrazem na twarzy... Wygladal jak trup, widzialam, ze jest w desperacji... Wiec w koncu... W koncu ja powstrzymalam...

- Powstrzymalas ja? W jaki sposob?

- To byl atak hysterii, nie mialam co do tego cienia watpliwosci, wiec uderzylam ja w twarz, raz i drugi... - Mary ze smutkiem potrzasnela glową. - Dziwne, ale podzialalo... Uspokoila sie. Nadal mowila bardzo szybko, jak karabin maszynowy, lecz przynajmniej przestala krzycec i szlochac. Wtedy powiedzialam, ze musze wracac do domu, bo ty na mnie czekasz. Lise natychmiast przypuscila nowy atak. Zaczela opowiadac, jak to John nie pozwala jej sie z nikim przyjaznic, jak odgradza ja od znajomych, jak poprzedniego wieczoru chciala z toba spokojnie porozmawiac, ale on jej przeszkodzil, i tak dalej, i tak dalej. Po prostu same bzdury, kochanie... Potem powiedziala, ze chce sie z toba zobaczyc i w kolo to powtarzala. Chce sie zobaczyc z Gini, chce z nia porozmawiac... Zostal z nia, a John zszedl na dol i wyslal po ciebie samochod, bo wydawalo nam sie, ze tak bedzie najprosciej. Lise powinna lada chwila przyjsc tutaj. Mam nadzieje, ze nie bedzie pamietala, iz koniecznie chciala sie z toba spotkac, wiec moze uda nam sie stad wymknac, co daj Boze... Od paru godzin jest tu pielegniarka, zreszta John mowil, ze za jakas godzine wraci do domu. Bardzo mu wspolczuje, kochanie, slowo daje, ale mam juz tego dosyc...

Gini milczala. Wypila herbate i postawila filizanke na tacy. Jeszcze raz rozejrzala sie po eleganckim salonie. W rezydencji panowala cisza. Bylo pare minut po szostej. Pascal zamierzal zlapac samolot wylatujacy z Paryza o piatej, czyli o szostej londyńskiego czasu. Oznaczo to, ze koło siódmej wyladuje na lotnisku

Heathrow. Mniej więcej godzinę zajmie mu dojazd do centrum, więc koło ósmej powinien być u Mary. Gini za nic nie chciała się spóźnić, ale miała wrażenie, że spotkanie z Lise może potrwać dłużej, niż sądziła Mary. Wiedziała, że jest wiele powodów, dla których Lise chciała z nią pomówić, lecz chyba nie tutaj... Od dłuższej chwili zastanawiała się, czy ktoś zdobyłby się na to, żeby założyć podsłuch we własnym domu. Jeszcze cztery dni wcześniej bez wahania odrzuciłaby takie podejrzenie, uznając je za objaw paranoi, ale teraz już nie.

W tej chwili drzwi otworzyły się i do salonu weszła Lise, od stóp do głów spowita w cudowną, jasnobezową dzianinę - na kaszmirową suknię narzuciła długi kaszmirowy płaszcz. Wyglądała olśniewająco.

Zbliżyła się do Gini i serdecznie ucałowała ją w oba policzki. Mary patrzyła na nią ze zdumieniem.

- Chodźcie, moje drogie... - odezwała się. - Wychodzimy...

- Wychodzimy? - Mary wstała z fotela. - To chyba nie jest dobry pomysł...

- Przeciwnie, wspomniały. Mary, bardzo cię przeproszam za wszystko, co przeze mnie wycierpiałas. Dotarło już do mnie, że zachowałam się jak ostatnia idiotka i neurotyczka. Myślę, że mogła to być reakcja na jakiś lek, który wczoraj podał mi ten lekarz. Tak czy inaczej, teraz wszystko jest już w porządku. Czuję się świetnie, dzięki Bogu. Wykąpałam się i chwilę zdrzemnęłam. Kazałam podstawić samochód i zapraszam was obie na kolację. Nie odmawiaj mi, Mary, bo naprawdę chciałabym jakoś podziękować ci za twoją dobroć i cierpliwość.

- Nie, nie teraz. - W głosie Mary zabrzmiała zdecydowana nuta. - Obiecałam Johnowi, że będziesz odpoczywała. Niedługo wróci do domu i...

- Nonsens! - przerwała jej Lise. - John wróci najwcześniej przed ósmą. Jeżeli nie chcesz pojechać na kolację, to może przynajmniej na drinka? Bardzo cię proszę... Przez cały weekend nawet nie wysunęłam nosa z domu, potrzebuję chwili oddechu... Niedaleko twojego domu jest wspomniały nowy bar, prowadzi go znajomy moich przyjaciół. Podają tam wysmienite chipsy tupa. Wyrwijmy się na godzinę, dobrze?

Mary westchnęła ciężko i odwróciła się do okna. Lise nie spuszczała wzroku z twarzy Gini. Zgódź się, powiedziała bezgłośnie.

- Myślę, że to dobry pomysł - odezwała się szybko Gini. - Tylko na godzinę, Mary. Wyjście z domu na pewno Lise nie zaszkodzi...

Lise uśmiechnęła się i ruszyła w stronę drzwi. Mary rzuciła Gini bezradne spojrzenie.

- Wszystko w porządku. - Gini przyciszyła głos. - Całkiem możliwe, że dobrze jej to zrobi, nigdy nie wiadomo... Teraz zachowuje się zupełnie normalnie. Zawiozą nas do tego baru i odwiozą Lise z powrotem do rezydencji, nie martw się...

Mary ze znużeniem wzruszyła ramionami.

- Niech będzie - powiedziała. - W razie czego ty będziesz się tłumaczyć przed Johnem.

Wybrany przez Lise bar w Kensington rzeczywiście znajdował się blisko domu Mary, bo zaledwie dwie przecznice dalej. Był elegancki, nowoczesny i zatłoczony. Z rezydencji ambasadora USA zawiózł je tam szofer w uniformie, któremu towarzyszył siedzący obok niego nowy ochroniarz, Malone.

Malone przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Kiedy dotarli na miejsce, wyskoczył z wozu i pierwszy wszedł do baru, gdzie zniknął na całe pięć minut. Lise zaczęła się irytować.

- O, dobry Boże... - jęknęła. - I po co to wszystko? Kiedyż on wreszcie stamtąd wyjdzie?

Okazało się, że Malone nie marnował czasu. Kiedy weszły do zatłoczonego baru, kelner natychmiast wskazał im wolny stolik, tuż obok wyjścia ewakuacyjnego, co nie uszło uwagi Gini. Malone stał w pobliżu przez parę sekund, po czym zniknął. Lise odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu! Będzie czekał na zewnątrz i co dziesięć minut sprawdzał, czy nadal tu jestem. Można wyregulować zegarek według tych ochroniarzy...

- Daj spokój, Lise. - Mary uśmiechnęła się pocieszająco. -

Nie powinnaś mieć im tego za złe, przecież wykonują swoją pracę...

- Och, wiem, wiem! - Lise wykonała krótki gest zniecierpliwienia. - Tak czy inaczej, lepszy już ten Malone niż Frank... - odwróciła się do Gini. - Czy to Frank przywiózł cię do nas?

- Tak.

Lise skrzywiła się niechętnie.

- Okropny facet! Całe szczęście, że wziął sobie wolny weekend. Nie lubię go, zawsze skrada się jak kot na tych swoich miękkich podszwach. Oczywiście, John nikomu nie da powiedzieć o nim złego słowa. Znają się od bardzo dawna, służyli razem w Wietnamie. Frank był sierżantem w plutonie, którym dowodził John, potem przez wiele lat pracował dla jego ojca...

Lise mówiła teraz głośniej i szybciej. Mary wyraźnie się zaniepokoiła.

- Nie irytuj się tak, nie trzeba - powiedziała. - Nie myśl o nim, zapomnij o tym wszystkim...

- Masz rację - Lise uśmiechnęła się i otworzyła menu. - Popatrzcie tylko, jakie mają tu koktajle... Co chcecie zamówić? Mary? Gini?

Lise i Gini zdecydowały się na wodę mineralną. Mary, rzuciwszy Gini wymowne spojrzenie, zamówiła podwójną szkocką. Po chwili kelner przyniósł im napoje i ostre chipsy tapa. W barze panował ogłuszający hałas - muzyka, rozmowy, śmiech. Lise rozejrzała się dookoła i jej twarz powoli się rozpogodziła.

- Bardzo tu miło - oświadczyła. - Podoba mi się to miejsce... Przepraszam panią... - zatrzymała przechodzącą kelnerkę. - Mogłaby pani zabrać te rzeczy? Nie będą nam potrzebne...

Wskazała mały wazonik z kwiatami oraz pojemniczki na sól i pieprz. Kelnerka spojrzała na nią z pewnym zdziwieniem, ale bez słowa usunęła przeszkadzające klientce przedmioty.

Kiedy stół został oczyszczony, Lise trochę się rozluźniła. Chwilę prowadziła z Mary i Gini pogodną rozmowę o niczym, potem nagle podniosła się z krzesła.

- Idę do toalety - powiedziała. - Zaraz wracam...

Gini obserwowała, jak Lise przeciska się wśród stłoczonych przy barze ludzi. Toalety, jak wynikało z oznaczeń nad drzwiami, znajdowały się obok kabin telefonicznych. Gini przypomniała sobie nagranie na taśmie, przesłuchane razem z Pascalem, oraz podobny wybieg, którym Lise posłużyła się w innej sytuacji. Czy teraz także zamierzała do kogoś zadzwonić? I dlaczego kazała kelnerce uprzątnąć rzeczy ze stołu? Czyżby podejrzewała, że ukryta jest w nich aparatura podsłuchowa? Napotkała spojrzenie Mary. Starsza pani westchnęła i pociągnęła spory łyk alkoholu.

- Nic nie mów, skarbie... Doskonale wiem, o co ci chodzi. Na pewno myślisz, że wyobraziłam sobie całą tę awanturę, prawda? Lise sprawia teraz wrażenie zupełnie normalnej, opanowanej osoby. Cóż, mam nadzieję, że nie jest to tylko chwilowa poprawa... Gdyby nagle jej się pogorszyło, John obdarłby nas żywcem ze skóry...

- Nie ma przecież nic złego w tym, że sprawiliśmy jej przyjemność - odezwała się Gini.

- Obyś miała rację... Och, właśnie sobie przypomniałam, że chciałaś się ze mną zobaczyć i porozmawiać... Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Co się stało, kochanie?

- Nic takiego. Wszystko jest już w jak największym porządku.

- Wyglądasz doskonale, znacznie lepiej niż w ostatnich miesiącach. - Mary przyjrzała się jej uważnie. - Ciekawe, dlaczego? Czy istnieje jakiś szczególny powód tej nagłej transformacji? Nowa praca, nowy mężczyzna lub coś w tym rodzaju?

- Nie podpuszczaj mnie... - Gini uśmiechnęła się lekko.

- Nie wiem nawet, co to znaczy! - Zrobiła niewinną minę. - Miałam ci o tym wcześniej powiedzieć, ale też zapomniałam... - ciągnęła z pozorną obojętnością, która w najmniejszym stopniu nie oszukała Gini. - Twój fotoreporter przyjemnie mnie zaskoczył. Co prawda nie rozmawiałam z nim zbyt długo, ale zrobił na mnie bardzo miłe wrażenie... Ile on ma lat?

- Trzydzieści pięć.

- Naprawdę? Tak mi się właśnie wydawało... Ma bardzo piękne oczy. Oczy są szczególnie ważne u mężczyzny, bo...

- O kim mówicie?

Lise wróciła do stolika. Zdjęła płaszcz, przerzuciła go przez oparcie wolnego krzesła i usiadła.

- O znajomym Gini, Pascalu Lamartine - odparła Mary. Twarz Lise rozjaśnił uśmiech.

- Och, tak, to naprawdę bardzo sympatyczny człowiek, Gini! I taki inteligentny! Typowy Francuz! - Rzuciła Gini figlarne spojrzenie. - Wiesz, że wróżyłam mu z ręki. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, bo to tylko taka moja sztuczka, którą wykorzystuję na wszystkich przyjęciach... Swoją drogą, twój przyjaciel ma bardzo

interesujący układ linii. Bardzo wyraźne linie życia i przeznaczenia... Jedno małżeństwo, jeden stały, niezwykle stabilny związek, czworo dzieci...

- Czworo?

- Podobno jedno już ma, więc jeszcze troje... - Lise zawiesiła głos. - Och, i jeszcze coś - między trzydziestym piątym i czterdziestym rokiem życia czeka go poważna zmiana. Powiedziałam mu, że nie sposób określić, czy będzie to zmiana na gorsze, czy na lepsze, ale nie ulega wątpliwości, że w tym okresie przydarzy mu się coś wyjątkowo ważnego...

- Naprawdę? - Gini z niesmakiem odkryła, że słucha Lise jak wyroczni.

- Zdecydowanie. - Lise pokiwała głową. - Nigdy się nie mylę. Upowiedziałam Johna, że ten rok będzie dla niego bardzo trudny, wręcz niebezpieczny, i miałam rację.

- Jest dopiero styczeń... - wtrąciła Mary.

Lise niedbale machnęła ręką.

- Wiem, ale rok zaczął się tak, jak się skończy. Weź chipsa, Mary. Są naprawdę pyszne, prawda?

Przez dwadzieścia minut Lise mówiła o wszystkim i o niczym, o modzie i pogodzie.

Nie jadła nic - od czasu do czasu brała chipsa i kruszyła go na talerzu. Poza tym robiła wrażenie całkowicie spokojnej i zrelaksowanej. Gini zaczęła się zastanawiać, czy Lise jest dobrą aktorką, a jeżeli tak, to czy wcześniej udawała histerię, czy gra teraz. Która z jej twarzy jest prawdziwa?

Mary, najwyraźniej kompletnie wyczerpana, nie brała zbyt aktywnego udziału w rozmowie. Lise opowiedziała Gini, jak odnowiła rezydencję w Londynie i jakie zmiany wprowadziła w rezydencji wiejskiej, a także o tym, jak John, jej zdaniem zapalony ogrodnik, odmienił londyński ogród przy domu. Bez cienia zdenerwowania opowiedziała jej też o szkolnych osiągnięciach obydwu synów, ze szczerą sympatią wspomniała o ich stryju i wyraziła nadzieję, że kilkumiesięczny pobyt w Stanach doskonale wpłynie na rozwój i samopoczucie chłopców. Streściła plan przyjęcia z okazji czterdziestych ósmych urodzin Johna, które miało się wkrótce odbyć, i wymogła na Gini przyjęcie zaproszenia, podobnie jak wcześniej jej mąż. Jediną rzeczą, która zwróciła uwagę Gini, była częstotliwość, z jaką Lise powoływała się na

męża. Bezustannie cytowała jego poglądy i uwagi, jego imię pojawiała się w każdym zdaniu. John sądzi, John mówi, John ma nadzieję, John przypuszcza...

Gini niepostrzeżenie zerknęła na zegarek. Zamierzała wkrótce wyjść i doszła do wniosku, że nadszedł czas, aby nadać rozmowie właściwy kierunek.

- Czy po zakończeniu misji dyplomatycznej w Londynie twój mąż planuje wrócić do aktywnego życia politycznego? - zapytała.

- Ależ oczywiście! - Lise spojrzała na Mary. - Biedny John... Przyjął to stanowisko ze względu na mnie. Myślał, że dzięki niemu zyskam nową rolę i że tutaj będziemy mieli więcej czasu dla siebie. Wiedział, że życie w Waszyngtonie było dla mnie prawdziwą męką. Waszyngton jest takim nudnym miasteczkiem - nic, tylko polityka, na śniadanie, obiad i kolację... - Przerwała i znowu spojrzała na Mary. - Liczę, że zdążył już zrozumieć, iż nie powinien był tego robić. Nigdy nie wymagałam od niego takiego poświęcenia. Błagałam, żeby nie rezygnował z miejsca w Senacie, ale on bywa potwornie uparty... Wiedziałam, że będzie żałował swojej decyzji i oczywiście miałam rację. Jeżeli ktoś się urodził, aby dążyć do wielkich celów, tak jak John, nie powinien uciekać przed przeznaczeniem.

- Dlaczego zrezygnował? - zagadnęła Gini. - Nigdy tego nie rozumiałam...

- Nikt nie był w stanie tego pojąć. - Lise westchnęła. - Żeby zrozumieć Johna, trzeba go bardzo dobrze znać. Myślę, że męczyło go wielkie poczucie winy... Nasz młodszy synek, Adam, był poważnie chory o mało nie umarł... Przeżyliśmy straszne chwile. John czuł, że powinien był spędzać z nami więcej czasu, że w jakiś sposób nas zawiódł, więc podjął tę nieszczęsną decyzję, nie radząc się mnie ani nikogo innego... - Zawahała się, jej piękna twarz posmutniała. - Od tamtej pory bardzo się zmienił. Wiem, że nie jest szczęśliwy, to stanowisko zupełnie go nie satysfakcjonuje... Ambasador! - parsknęła pogardliwie. - Każdy może być ambasadorem, lecz John zawsze był przeznaczony do wyższych celów.

Zapadła cisza. Mary uniosła brwi, ale nie odezwała się. Gini pochyliła się nad stolikiem.

- Więc sądzisz, że wcześniej czy później wróci do polityki?

- Jakżeby inaczej? - Lise wyglądała teraz jak dziecko, które powtarza doskonale przygotowaną lekcję. - John będzie kandydował na urząd prezydenta Stanów



Zjednoczonych, spełniając tym samym nadzieje swojego ojca i własne... I naturalnie zostanie wybrany.

Powiedziała to z całkowitym, niezachwianym przekonaniem, zupełnie jakby widziała przyszłość. W jej słowach nie było cienia przechwałki.

- Rozumiem... - Gini była poruszona szczerością tego wyznania. - A jak ty to przyjmiesz? - zapytała ostrożnie. - Nie znosisz Waszyngtonu, więc na pewno będzie ci ciężko przeprowadzić się tam na parę lat...

- Do Waszyngtonu? - Lise wydawała się nie rozumieć, o co Gini chodzi.

- Biały Dom znajduje się w Waszyngtonie, w każdym razie jeszcze wczoraj tak było...

- Och, mówisz o prezydenckiej kadencji, którą będziemy musieli tam spędzić! - Lise spojrzała na Gini z lekkim rozbawieniem. - Właściwie nigdy nie miałam nic przeciwko mieszkaniu w Waszyngtonie... John wymyślił sobie, że nie lubię tego miasta, ale to nieprawda...

Gini zmarszczyła brwi.

- Przecież przed chwilą powiedziałas, że Waszyngton to śmiertelnie nudne miasteczko, gdzie wszyscy żyją wyłącznie polityką...

- Tak powiedziałam? - zdumiała się szczerze Lise, chociaż od chwili, gdy wyraziła tę opinię minęło najwyżej pięć minut. Wzruszyła ramionami, spojrzała na zegarek, potem na Mary. Westchnęła. - Może w przeszłości rzeczywiście miałam pewne obiekcje... Byłam bardzo nieśmiałą osobą i dopiero po paru latach przywykłam do publicznego życia. Ale teraz... Cóż, nie mogę utrudniać Johnowi kariery, byłoby to nie fair z mojej strony. Poza tym... - Głos jej się nagle załamał. - Poza tym, przynajmniej w pewnej mierze mogę przyczynić się do sukcesu Johna. Organizacje charytatywne, do których należę, także wiele by na tym zyskały, no i mogłabym zmienić oblicze Białego Domu, tak jak wcześniej zrobiła to Jackie Kennedy. Dobrze radzę sobie z projektowaniem, nawet John jest tego zdania...

Uśmiechnęła się ujmująco i trochę niepewnie, jak dziecko. Potem podniosła rękę i machnęła kilka razy, chyba usiłując zwrócić uwagę kelnerki.

- Och, jakież to irytujące! - syknęła ze zniecierpliwieniem. - Ta nieszczęsna dziewczyna ani rusz nie chce spojrzeć w tę stronę, a widzę, że biedna Mary jest ledwo

żywa... Nie, nie zaprzeczaj, Mary, wiem, że tak jest i że to moja wina... Gadam i gadam, a tymczasem ty marzysz wyłącznie o tym, żeby wreszcie wrócić do domu i odpocząć. No, popatrz wreszcie tutaj, na miłość boską!

Lise się podniosła, lecz Mary ją zatrzymała.

- Nie wychodź stamtąd! - zaprotestowała. - Siedzisz w samym rogu... Ja pójdę. Gdzie ona jest?

- Gdzieś tam, w tym tłumku przy barze. To chyba ta z kręconymi rudymi włosami...

Mary wstała i zaczęła mozolnie torować sobie drogę wśród tłumu. Gini rozejrzała się po sali. Zauważyła, że kelnerka, która je obsługiwała, bynajmniej nie rudowłosa, stała nie przy barze, lecz dokładnie po przeciwnej stronie. Odwróciła się i spojrzała na Lise. Jej zachowanie uległo wyraźnej, natychmiastowej zmianie, wyraz słodkiego dziewczęcego roztargnienia zniknął z twarzy. Była blada, skupiona i pełna napięcia. Szybko obejrzała się do tyłu, nachyliła nad stołem i chwyciła Gini za rękę.

- Przepraszam, ale musiałam z tobą porozmawiać - wyrzuciła z siebie. - Możesz mi pomóc? Pomożesz?

Gini zaczęła mówić, lecz Lise przerwała jej pośpiesznie.

- Musiałam, po prostu musiałam jakoś się jej pozbyć - podjęła. - Spróbowałabym na przyjęciu przedwczoraj, ale on ciągle mnie obserwował i nie ośmieliłam się... Staralam się, naprawdę... Czy twój przyjaciel przekazał ci wiadomość? Oczywiście, John nie ma pojęcia, co zrobiłam, lecz i tak był wściekły... Nie umiem opisać, jaki jest, kiedy wpada w furję... Karze mnie, dlatego następnego dnia po przyjęciu wysłał moich synów do Stanów tylko po to, żeby mnie ukarać. Proszę, musicie mi pomóc... Jesteście moją ostatnią nadzieją... - Zaczęła drżeć, jej palce mocniej zacisnęły się na przegubie dłoni Gini. - Odnaleźliście Jamesa? Musicie go znaleźć! Wiecie, gdzie on jest?

- Nie - odparła Gini.

- O, mój Boże, mój Boże... - Twarz Lise pobladła jeszcze bardziej. - Musicie go znaleźć... Na ten weekend Frank gdzieś wyjechał, nie było go... Muszę wiedzieć, czy James jest bezpieczny... Strasznie się boję, że nie żyje...

Nagle Lise uwolniła dłoń Gini i jednym ruchem podciągnęła rękaw kaszmirowego swetra.

- Spójrz - powiedziała. - Patrz...

Jej obnażone ramię było przeraźliwie chude, a widniejący na nim siniak bardzo duży i ciemny. Gini wyraźnie widziała odcisk palców, fioletowoczarny na białej skórze. Nad siniakiem znajdowały się trzy okrągłe strupy. Gini nagle zdała sobie sprawę, że są to ślady po oparzeniach tłącym się papierosem.

- John zrobił to wczoraj - ciągnęła Lise. - Mam inne takie rany, na szyi i na plecach. Dlatego się załamalam. Nie zniosę tego dłużej. Mary nic nie wie, nikt nie wie. Słuchaj, musisz znaleźć Jamesa. Przed przyszłą niedzielą, rozumiesz? W przyszłą niedzielę... - Jej głos zamarł, zdławiony łzami.

- Rozumiem - szybko powiedziała Gini. - Za tydzień jest trzecia niedziela miesiąca.

- Znajdźcie Jamesa i pojedźcie do tego domu, którego adres dałam twojemu przyjacielowi. Myślę, że John tam sprowadzi dziewczynę, bo zwykle korzysta z tego adresu. W niedzielę, rozumiesz? Nieustannie mnie obserwuje... - Lise zadrżała i znowu spojrzała w stronę drzwi. - Jest diabelsko przebiegły, nie wolno wam o tym zapomnieć... Wysła mnie do tych wszystkich lekarzy, oni przepisują mi pigułki, a wtedy on zmusza mnie, żebym je przyjmowała... Robią mi zastrzyki, chociaż próbuję się sprzeciwiać... Chce przekonać ludzi, że przeżywam załamanie, że wariuję... Dzisiaj sprowadził do domu Mary, bo chciał, żeby była świadkiem, rozumiesz? I oczywiście to działa. Wiem, co ludzie myślą. Że jestem idiotką, głupią, niezrównoważoną kobietą i złą matką... - Jej oczy wypełniły się łzami. - Czasami sama zaczynam wierzyć w te wszystkie kłamstwa... Jestem w rozpacz. Musicie mi pomóc, mnie i moim synom... Oni tak bardzo mnie potrzebują... Zrozum, jemu jest wszystko jedno, jakim kosztem się mnie pozbędzie... - Zachłystnęła się łzami, szybko wytarła policzki wierzchem dłoni. - Nie kocha mnie od lat, jeżeli w ogóle kiedykolwiek kochał. To zimny człowiek, taki jak jego ojciec. Chce usunąć mnie ze swojej drogi i dalej robić karierę. Wiedziałam, że jeśli John odkryje, iż rozmawiałam z Jamesem, a on skontaktował się z prasą, to przepadłam... John wie, jestem tego pewna. Dlatego James wyjechał i teraz... O, Boże, Mary już wraca... - Ściągnęła rękaw w dół i zaczęła obracać obrączkę

na palcu. - Posłuchaj mnie uważnie... Nie rozmawiaj przez telefon w domu i bądź ostrożna. Obserwują mnie i was także. Nie pozwól, żeby Frank Romero zbliżył się do ciebie, nigdy, pamiętaj o tym... Pozostali ochroniarze są w porządku, ale nie Frank. Nie zapomnij o tym, na miłość boską! Jeżeli będziesz musiała porozmawiać, idź do parku, a jeszcze lepiej do zatłoczonego lokalu, takiego jak ten, to najbezpieczniejsze wyjście... Dobry Boże...

Utkwiła w twarzy Gini wielkie oczy o rozszerzonych, czarnych źrenicach. Drżała na całym ciele, jej wargi zsiniały.

- Mary zaraz tu będzie. Postaram się zobaczyć z tobą jeszcze raz, chociaż nie wiem, czy mi się uda... Może w środę. Przyjdź do parku, do tej części za moim domem. Wcześniej spotykałam się tam z Jamesem, zawsze w środę, o dziesiątej rano. Obiecuj, że przyjdiesz...

- Przyjdę na pewno.

- Dziękuję. - Lise gorączkowo chwyciła jej rękę suchymi, rozpalonymi dłońmi.

- Niech ci Bóg błogosławi... Nigdy ci tego nie zapomnę...

Mary wreszcie dotarła do stolika i z niepokojem spojrzała na Lise. Młoda kobieta wytarła oczy chusteczką i wstała z krzesła. Gorąco uściskała Mary, pocałowała Gini.

- Przepraszam was - powiedziała. - Kiedy pomyślę, jak długo nie zobaczę chłopców, nie mogę powstrzymać łez. Wrócę teraz do domu razem z Malone'em. Dziękuję wam bardzo, naprawdę lepiej się czuję...

Chwyciła płaszcz i ruszyła w stronę wyjścia. Mary pośpieszyła za nią, lecz gdy wybiegła na zewnątrz, samochód z Lise i Malone'em właśnie odjeżdżał.

Chwilę stała nieruchomo, patrząc za ciemnym wozem. Kiedy zniknął za rogiem, odwróciła się do Gini i mocno ścisnęła jej rękę. W oczach miała łzy współczucia.

- Boję się o nią - przemówiła drżącym głosem. - Bardzo się o nią boję... Dwoje wspaniałych ludzi i teraz taka katastrofa... Lise stara się robić tyle dobrego, wniosła w to małżeństwo tyle miłości i wszystko na nic... Życie jest okrutne, kochanie...

- To ludzie są okrutni - odparła Gini, ale Mary jej nie usłyszała.

## XX

Pascal zadzwonił do Gini z telefonu w salonie byłej żony. Po skończonej rozmowie odłożył słuchawkę, długą chwilę patrzył w ciemne okno i wreszcie wrócił do kuchni. Helen siedziała tak, jak ją zostawił, przy stole, z głową opartą na złożonych dłoniach.

- Zostaję - powiedział. - Nie bój się, nie będziesz sama. Zostanę do jutra, może nawet dłużej, aż oboje będziemy pewni, że jest z nią lepiej.

Helen rzuciła mu pozbawione wyrazu spojrzenie. Jej twarz była mokra od łez. Kiedy usiadł naprzeciwko niej, poczuł lekki zapach wina, które wypła do lunchu. Zegar tykał cicho. Kuchnia była biała, higieniczna i czysta jak sala operacyjna. Na górze Marianne spała spokojnym snem, a jej angielska niania czuwała obok. Było pół do dziewiątej, lecz Pascalowi wydawało się, że od jego przyjazdu w południe minął co najmniej tydzień.

- Szkarlatyna... - powtórzyła głucho Helen. - Zupełnie nie rozumiem, przecież ludzie nie chorują już na szkarlatynę...

- To prawda, ale na szczęście penicylina zadziałała jak należy. Nie płacz już, dobrze? Kryzys minął. Doktor powiedział, że Marianne szybko wyzdrowieje.

- Nie było mnie tutaj. - Helen odwróciła wzrok. - Nie było mnie przy niej... Nie mogę sobie tego wybaczyć...

- Nie możesz być przy niej bez przerwy, na miłość boską. Ja byłem tutaj, chociaż też nie na wiele się przydałem. - Bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie mów tak. - Helen spojrzała mu prosto w oczy. - Zrobiłeś wszystko, co można było zrobić. Marianne nigdy tak poważnie nie chorowała... Ja też nie wiedziałabym, jak jej pomóc. Nie miałabym pojęcia, że trzeba zrobić chłodne okłady, podać jej drugą tabletkę aspiryny... - Zawahała się. - Mógłbyś zrobić mi herbaty? Ciągle jest mi niedobrze...

Pascal zaparzył herbatę. Kiedy napełniał imbryczek wrzątkiem i nalewał napój do kubka, czuł na plecach badawczy wzrok Helen.

- Nie zawsze byłam wobec ciebie sprawiedliwa - odezwała się w końcu, dość oficjalnym tonem. - Zdaję sobie z tego sprawę, w każdym razie czasami...

- Ja także czasami rozumiem, że wyrządziłem ci wiele krzywd. - Podsunął jej parujący kubek i z trudem przywołał zmęczony uśmiech. - Zdarza się nawet, że dokładnie widzę popełnione błędy...

- Naprawdę? - Helen napiła się herbaty. - Cóż, to już przeszłość. Chciałam tylko powiedzieć, że...

Przerwała. Pascal patrzył, jak walczy ze łzami. Nienawidziła sytuacji, w których inni mogli dostrzec jej słabość.

- Nie potrafię już okazywać uczuć - podjęła, gdy udało jej się zapanować nad sobą. - Nawet Marianne... Chyba straciłam tę zdolność...

- Na pewno nie.

- Mylisz się. Tak jest, chociaż nie wiem, dlaczego... - Zaczerwieniła się i zaraz zaczęła mówić dalej, pośpiesznie wyrzucając z siebie słowa, zupełnie jakby wbrew swojej woli musiała się do czegoś przyznać. - Nie, to nieprawda, dobrze wiem, dlaczego... Boję się, oto powód. Wydaje mi się, że jeżeli okażę komuś miłość, to wcześniej czy później ten ktoś rzuci mi to uczucie w twarz, czy raczej po prostu je odrzuci... Nie, nic nie mów. To nie twoja wina. Zawsze taka byłam, jeszcze zanim cię poznałam.

Pascal przyglądał jej się w milczeniu. Wreszcie wziął ją za rękę.

- Dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś? - zapytał. - Gdybyśmy więcej rozmawiali, byli wobec siebie bardziej otwarci...

- Niczego by to nie zmieniło - przerwała mu. - Od początku nie pasowaliśmy do siebie. Ja o tym wiem i ty także... Taka jest prawda.

Pascal cofnął dłoń. Spojrzeli na siebie. Helen uśmiechnęła się smutno.

- Widzisz? Oboje rozumiemy, że tak jest. To już jakiś postęp... Wiesz... - Odwróciła wzrok. - Wiesz, miałam nadzieję, że się zmienię. Szczerze mówiąc, nadal ją mam. Że nauczę się komuś ufać... To jeden z powodów, dla których chcę wrócić do Anglii...

W kuchni zapanowała cisza. Pascal liczył sekundy.

- Poznałaś kogoś? - zapytał w końcu.

- Tak... - Zawahała się. - To dobry człowiek. Typowy Anglik, bardzo odpowiedzialny, zrównoważony... Nie tak fascynujący jak ty, ale ja pragnę już tylko spokojnego życia... Spokoju.

- Potrafię to zrozumieć.

- Naprawdę? - Wyglądała na zaskoczoną. - Nie chcę się z niczym spieszyć, mam nadzieję, że mi wierzysz. Tym razem wolę być zupełnie pewna, zanim się związę...

- Chce się z tobą ożenić?

- Tak mówi. Widziałam się z nim dzisiaj, to z nim byłam na lunchu.

Rozmawialiśmy o małżeństwie. Powiedziałam mu, że musi być cierpliwy i wiem, że będzie się starał... - Przez jej twarz przemknął cień czułego uśmiechu. - To bardzo dobry człowiek. Myślę, że polubiłbyś go. Byłby dobrym ojczymem dla Marianne, zresztą on sam też ma dzieci, jest wdowcem. Nie próbowałby zająć twojego miejsca w jej sercu, w żadnym razie... Jest wrażliwy, sympatyczny, trochę nudny... Byłoby ci lżej, także pod względem finansowym, gdybym za niego wyszła. Poza tym... Przecież ja mam dopiero trzydzieści jeden lat... Muszę rozpocząć jakieś normalne życie...

- Wiem o tym.

Pascal utkwiał wzrok w białym blacie stołu. Usiłował przekonać samego siebie, że wiedział, iż coś takiego musi się zdarzyć.

- Naprawdę to rozumiesz?

Podniósł wzrok i lekko zmarszczył brwi.

- Tak, chociaż może ci się to wydawać dziwne... Od naszego ostatniego spotkania sporo myślałem o nas, miałem na to czas... Zebrało się w nas tyle gorzkości - nigdy nie chciałem, żeby tak się to skończyło. Nie powinno tak być, głównie ze względu na Marianne.

- Ze względu na nas także... - Helen zmierzyła go uważnym spojrzeniem. - Kiedyś naprawdę się lubiliśmy, byliśmy chyba bliscy miłości... Przez jakiś czas. Byłeś dla mnie dobry, gdy poroniłam, bardzo się starałeś. Mimo całego rozgoryczenia miałam świadomość, że robiłeś wszystko, co w twojej mocy. Dziś wieczorem, kiedy wróciłam i zobaczyłam twoją twarz... - Helen przerwała. - Wiem, jak bardzo kochasz Marianne, naprawdę. Chyba wiesz, że ja też ją kocham...



Pochyliła głowę i rozplakała się cicho. Po chwili wytarła oczy i wyprostowała się.

- Mogę porozmawiać z prawnikami - oświadczyła. - Jestem gotowa to zrobić, ułatwić ci warunki spotkań z Marianne, jeżeli przeprowadzimy się do Anglii...

Pascal kilka razy przesunął kubek w prawo, potem w lewo.

- A gdybym ja zamieszkał w Anglii, gdybym przeniósł się tam na stałe... - zaczął niepewnie. - Czy miałabyś coś przeciwko temu?

- Chcesz zamieszkać w Anglii? - powtórzyła ze zdumieniem. - Nie, nie miałabym nic przeciwko temu... Nie chciałabym, naturalnie, żebyśmy byli sąsiadami, ale poza tym... - Wzruszyła ramionami.

- Na pewno nie bylibyśmy sąsiadami, ja też bym tego nie chciał.

- Wiem... - Helen zawiesiła głos. - Cóż, może to i dobry pomysł... Marianne byłaby szczęśliwa. - Uśmiechnęła się nieco ironicznie. - Niewykluczone, że w końcu się zaprzyjaźnimy, na tym świecie zdarzały się już dziwniejsze rzeczy... Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Ty na stałe w Anglii? Co cię tam ciągnie?

- Przeszłość - odparł. - Przyszłość... Mogę jeszcze raz skorzystać z telefonu?

Gini wróciła do mieszkania o dziesiątej wieczorem. Na wycieracze leżał stos kopert. Otworzyła drzwi, weszła do środka i zatrzymała się na środku salonu. Pod oknami rozległy się kroki, potem przejechał jakiś samochód. Próbowwała powiedzieć sobie, że jest w domu, ale wcale nie miała takiego wrażenia. Nie czuła się tu bezpiecznie.

Kiedy Pascal zadzwonił, żeby wyjaśnić jej, dlaczego na razie nie może wrócić, usiłował przekonać ją, by została na noc u Mary. Odmówiła, czując, jak wzbiera w niej bunt i gniew. Nie zamierzała pozwolić, aby z jej własnego domu wygnały ją wspomnienia włamania i tego, co przeżyła w Wenecji. Niech sobie przysyłają choćby najohydniejsze rzeczy i taśmy magnetofonowe, ona nie da się zastraszyć... Pascal jeszcze dwa razy dzwonił do Mary, chcąc wpłynąć na zmianę postanowienia Gini, ale ona twardo trwała przy swojej decyzji.

- Nie zrobią ze mnie uciekinierki - oznajmiła.

Wszystko wydawało się proste, kiedy rozmawiała z nim z salonu Mary, która była tuż obok, w kuchni, gdzie pogodnie grzechotała talerzami. Znacznie gorzej było teraz, gdy została całkiem sama...

Zamknęła frontowe i tylne drzwi, dokładnie sprawdziła wszystkie okna. Zasunęła zasłony i opuściła rolety, szybkim krokiem przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia, wciąż w płaszczu. Rozpaliła ogień w kominku, włączyła wszystkie lampy, rzuciła znaną pod drzwiami pocztę na biurko, zdjęła płaszcz, rozejrzała się dookoła i od razu poczuła się lepiej. Może to głupie, ale zasłonięte okna dawały iluzję bezpieczeństwa - mogła być pewna, że nikt jej nie obserwuje.

Napoleon siedział na kanapie, przyglądając się jej poczynaniom. Kiedy podeszła do niego, odwrócił topazowe oczy i z irytacją strzepnął ogon. Koty potrafią mówić, pomyślała Gini. W tej chwili każdy fragment ciała Napoleona wyrażał głęboki wyrzut.

Nie lubił zostawać sam, a tym razem, pod nieobecność pani Henshaw, sąsiadki Gini, czuł się podwójnie opuszczony. Gini pogłaskała go i ucałowała uszy koloru marmolady, lecz Napoleon nie dał się tak łatwo ułagodzić. Obrzucił Gini zimnym, kocim spojrzeniem, zeskoczył na podłogę i dostojnym krokiem udał się do kuchni, zupełnie jakby nagle przypomniał sobie, że ma na głowie znacznie ważniejsze sprawy.

Zignorował jedzenie, które mu przygotowała. Na szczęście Gini, przewidując taki rozwój wydarzeń, przyniosła mu specjalną przekąskę od Mary - mały kawałek gotowanego na parze łososia. Było to ulubione danie Napoleona. Gdy poczuł jego zapach, łakomie oblizwał wargi. Zjadł wszystko do ostatniego źdźbła mięsa, przez otwór w dolnej części drzwi wyszedł na podwórko, starannie obwąchał pojemniki na śmieci i wrócił do domu w doskonałym humorze. Znalazł swoją panią w salonie i wskoczył jej na kolana.

Gini ziewnęła i przeciągnęła się. Postanowiła, że przejrzy pocztę - prawie same rachunki - i wcześniej pójdzie spać. Chciała z samego rana pojechać do redakcji, sprawdzić pewne informacje i dane w archiwum, i zadać kilka ważnych pytań Nicholasowi Jenkinsowi. Musiała się dowiedzieć, kto jeszcze wiedział, że ona i Pascal rozpracowują sprawę Hawthorne'a. Jenkins utrzymywał, że nikt poza nimi trojgiem, ale było oczywiste, że kłamie.

Zabrała się do przeglądania listów. Reklamy, informacje o promocjach, rachunki... Dwa zaproszenia, dwie pocztówki... Pierwszą, od niewartego wspomnienia przyjaciela, który był teraz w Australii, przeczytała szybko i odrzuciła na stolik. Druga kartka... Przyjrzała się jej uważnie. Kto ją przysłał?

Ze zmarszczonymi brwiami popatrzyła na reprodukcję obrazu Uccella, przedstawiającego św. Jerzego zabijającego smoka. W pobliżu, u wejścia do jaskini, stała dziewczina, którą św. Jerzy właśnie ratował od pewnej śmierci. Patrzyła spokojnie, niewzruszona na toczącą się na jej oczach walkę... Piętnasty wiek, szkoła florencka. Był to bardzo znany obraz. Perspektywa i proporcje naiwne, typowe dla tego okresu - św. Jerzy i smok ogromni, dziewczina malutka. Gini odwróciła pocztówkę. Wiadomość była krótka, charakter pisma ładny i równy.

*Pamiętasz te trzy książki, które ci pożyczyłem? Czy mogłabyś je oddać, kiedy następnym razem będziesz w Oksfordzie? Są mi potrzebne do powtórzenia materiału - co za obrzydlistwo i nuda! Dziękuję za makaron. Robisz wspaniałe spaghetti bolognese, najlepsze na świecie! Do zobaczenia wkrótce. Nie pracuj zbyt ciężko i uważaj na siebie. Serdeczne ucałowania,*

*Jacob*

Gini długo wpatrywała się w kartkę. Nie знаła nikogo, kto miał na imię Jacob i nikogo, kto studiował w Oksfordzie. Ostatnio nie pożyczała od nikogo żadnych książek, a spaghetti po bolońsku przygotowała rok temu, i to dla Lindsay...

Jeszcze raz odwróciła kartkę. Obraz włoskiego malarza, trzy książki... Czy to możliwe? Czy McMullen rzeczywiście postanowił nawiązać z nią kontakt właśnie w ten sposób? Spojrzała na resztę poczty - rachunki, broszury... Nic nie wskazywało na to, aby któraś koperta była otwierana, chociaż Gini oczywiście wiedziała, że nawet gdyby tak było, i tak nie dostrzegłaby śladów. Gdyby McMullen chciał się z nią porozumieć, to cóż mogłoby sprawiać bardziej niewinne wrażenie niż pocztówka z kilkoma pogodnymi zdaniem, niczym nie różniąca się od tej, którą przysłał jej dawny przyjaciel z Australii...

Po raz któryś z kolei przeczytała wiadomość i nagle ją olśniło - *Jacob*, oczywiście. Na moment wróciła myślami do zniechęconej angielskiej szkoły z internatem, do lekcji łaciny i historii. Łacińska forma imienia James - *Jacobus*... Używana, przez angielskich królów, Jamesa I i II - *Jacobus rex*.

Sprytne, pomyślała. Aż zbyt sprytne. Jeżeli McMullen posługiwał się tego rodzaju kodami, to miała niewielkie szanse, by rozszyfrować jego przesłanie. Które zdania zawierały ukryte znaczenie, a które zostały dodane wyłącznie dla niepoznaki? Chciał zwrócić jej uwagę na Oksford, to wydawało się dość oczywiste, i na tamte trzy książki, które widziała na jego biurku, lecz co mógł znaczyć zwrot „powtórzenie materiału”? Czy odniesienia do włoskiej potrawy były ważne, czy też nie?

Odszukała kawałek papieru, który znalazła w mieszkaniu McMullena i w zamyśleniu popatrzyła na wypisane na nim cyfry. Nadal nie mogła się dopatrzeć w tym wszystkim żadnego sensu. Jedną z książek była *Oksfordzka antologia poezji współczesnej* - znowu Oksford... I dwa razy Milton, jeżeli liczyć egzemplarz *Raju utraconego* z Wenecji... Milton, Oksford i powieść Carson McCullers... Może pierwszy zestaw cyfr odnosił się do stron, a drugi do wyrazów na wskazanych stronach, na przykład... Nie mogła teraz tego sprawdzić, bo nie miała w domu tych książek, sądziła jednak, że chodzi o coś prostszego. Przesiedziała tak całą godzinę, czując, jak jej umysł z każdą chwilą coraz bardziej blokuje się ze zmęczenia.

Koło północy wreszcie się poddała. Zostawiła wszystkie lampy w salonie zapalone, bo dzięki temu czuła się bezpieczniejsza, i położyła się.

Położyła się, ale nie mogła zasnąć. Leżała w półmroku, z Napoleonem zwiniętym w kłębek w nogach łóżka. Wpatrywała się w sufit, a przed oczami wciąż przepływały fragmenty niedawnych przeżyć. Widziała mosiężne guziki na blezerze Franka Romero, zaraz potem śmiertelnie bladą twarz Lise Hawthorne, raz po raz wracała myślami do pierwszej rozmowy z Nicholasem Jenkinsem. W pewnej chwili przypomniała sobie zwrot, którego wtedy użył.

Obsesyjne zachowanie, tak to nazwał. Psychoza maniackalna... Niezbyt pocieszające, pomyślała. W przeszłości przeprowadziła wywiady z kilkoma ludźmi, których można było uznać za maniaków. Rozmawiała z mężczyzną, który odbywał karę dożywocia w więzieniu w Broadmoor, w zakładzie dla psychicznie chorych

przestępców. Człowiek ten przed aresztowaniem mieszkał ze swoim psem w północnej części Londynu i zawsze uwieczniał się na zdjęciach z ciałami swoich ofiar, obejmując je, potem zaś rozczłonkował je i wyrzucał. Miał swoje zasady - wszyscy chłopcy, których mordował, mieli najwyżej dziewiętnaście lat, byli biali i ciemnowłosi. Podrywał ich w tym samym barze, zawsze w sobotę wieczorem.

Była też kobieta, która święcie wierzyła, że pewien znany chirurg jest w niej namiętnie zakochany. Nieszczęsny lekarz widział ją zaledwie dwa razy, na jakiejś naukowej konferencji, lecz nierozważnie odpowiedział na jeden z listów nawiedzonej wielbicielki, tłumacząc jej, że kocha swoją żonę i dzieci. Kobieta sama zgłosiła się do Gini, ponieważ uznała, że ktoś powinien powiedzieć światu, iż ten cieszący się ogólnym szacunkiem człowiek i wybitny specjalista w rzeczywistości jest kłamcą i oszustem. Z oburzeniem pokazała Gini miłosne listy od chirurga, napisane jej własnym charakterem pisma. Gini trochę współczuła maniaczce, lecz chirurg obawiał się z zupełnie zrozumiałych względów - któregoś dnia kobieta włamała się do jego domu i nożem pocięła na strzępy wiszące w szafie garnitury.

Tak więc Gini miała pewne doświadczenie, jeśli chodzi o zachowania typu obsesyjnego, i doświadczenie to nie nastrojało jej zbyt pogodnie. Obsesja wyrwała rozsądek z korzeniami i zacierała kontury życia. Rozmowa z maniakiem była jak przejście na drugą stronę lustra, w miejsce, skąd widać zniekształcone odbicie prawdy. Zdawała sobie sprawę, że żaden z maniaków, z którymi miała do czynienia, nie zdradzał objawów choroby psychicznej. W oczach kogoś z zewnątrz byli to zwyczajni ludzie, tacy sami jak dziesiątki innych, których codziennie spotyka się w supermarkecie czy w autobusie. Maniacy kłamali z absolutnym przekonaniem, ponieważ rzeczywiście byli przekonani, że ich kłamstwa i wykoślawienia są prawdą.

Czy Lise Hawthorne kłamała w czasie ostatniej rozmowy? Gini nie potrafiła tego ocenić. Czy na przyjęciu u Mary Hawthorne grał, starannie ukrywając swoje prawdziwe ja? Tego także nie wiedziała. Poza argumentami Pascala i gromadzonymi dowodami musiała jednak wziąć pod uwagę jeden aspekt, przemawiający przeciwko Hawthorne'owi - sławni i wpływowi ludzie często wydawali się igrać z niebezpieczeństwem i możliwym unicestwieniem kariery. Gazety co tydzień opisywały przykłady takich zachowań.

Gini rozmawiała o tym z Pascalem w weneckiej kawiarni. Takim właśnie instynktom możliwych tego świata Pascal zawdzięczał nawał pracy. Jak można wytłumaczyć, dlaczego tak wielu mężczyzn stojących u szczytu kariery rzuca na szalę dosłownie wszystko, aby spędzić noc z dziewczyną na telefon lub podrzędną aktoreczką, która prosto z łóżka biegnie do redakcji brukowca i tam zwierza się ze swojego romansu ze sławnym człowiekiem? Jak wyjaśnić, dlaczego człowiek, który w życiu publicznym dzielnie walczy z korupcją, dopuszcza się oszustwa podatkowego lub przyjmuje łapówkę?

Kiedy zadała te pytania, Pascal westchnął.

- Robią to, ponieważ kochają ryzyko - odparł. - Pragną niebezpiecznych sytuacji, nie mogą bez nich żyć. Może doceniają swoje osiągnięcia tylko wtedy, gdy wiedzą, że wystarczy jedno słowo osoby, od której są uzależnieni, albo przypadkowego świadka i wszystko będzie stracone... A może po prostu nudzi ich poczucie bezpieczeństwa, jakie daje sukces... Ci ludzie pożądamy samozniszczenia, myślę, że o to im chodzi...

Była to interesująca teoria, która tłumaczyła ten fenomen mniej więcej w takim samym stopniu, jak każda inna. Niewykluczone, że tłumaczyła także zachowanie Hawthorne'a, kto wie...

Zamknęła oczy. W domu panowała cisza, było już po północy. Poczowała, że wreszcie odpływa w sen.

Obudziła się o drugiej w nocy. Usiadła i zaczęła nasłuchiwać. Coś obudziło i ją, i kota. Napoleon podniósł głowę i zwrócił oczy w kierunku okna sypialni. Gini zamarła. Z podwórka dobiegło ją skrzypnięcie furtki, a może ogrodzenia. Gdzieś blisko trzasnęła gałązka. Gini siedziała sztywno wyprostowana, słuchając zbliżających się kroków. Ktoś powoli, skradając się, podszedł do okna i przystanął. Po chwili ruszył w stronę kuchennych drzwi. Gini usłyszała szelest i cichy zgrzyt klamki.

Stłumiła okrzyk. Ostrożnie zsunęła z nóg kołdrę i wstała. Nocny gość przeszedł przez podwórko, furtka znowu skrzypnęła. Gini mocno zacisnęła dłonie, aby opanować ich drżenie. Odszedł czy tylko szuka innego wejścia?

Na bosaka, starając się nie wydawać żadnych dźwięków, przyciskając plecy do ściany, zaczęła posuwać się w kierunku włącznika światła w salonie. Zasłony były

porządnie zaciągnięte, więc chyba nikt nie mógł zobaczyć, co dzieje się w środku... Przystanęła, znowu nasłuchując. Usłyszała skrzypnięcie metalowej furtki u szczyty schodków prowadzących do jej mieszkania. Z trudem przełknęła ślinę, na palcach podkradła się do frontowych drzwi i przytknęła do nich ucho. Ktoś schodził po schodach.

Zszedł bardzo powoli, zatrzymał się. Ruszył do okna. Gini przygotowała się na dźwięk tłuczonego szkła lub wyłamywanego zamka.

Nic takiego się nie stało. Coś zaszurało, potem kroki zbliżyły się do drzwi, za którymi stała. I ucichły.

Nieproszony gość stał po drugiej stronie, od Gini dzielił go tylko czterocentymetrowej grubości drewniany panel. Wyraźnie słyszała oddech - wdech i wydech, wdech i wydech...

Strach zupełnie ją sparaliżował. Trzeba było wyłączyć światło, pomyślała. Teraz jest już za późno... Muszę natychmiast wymyślić, co zrobię, jeżeli on tu wejdzie...

Jej umysł pracował bardzo powoli, lecz mimo wszystko dość sprawnie. Czuliła się tak, jakby przyglądała się, jak jadący z szybkością stu kilometrów na godzinę samochód pędzi prosto na gruby mur. Muszę się ruszyć, pomyślała. Kiedy otworzy drzwi, powinnam być za nimi... Zrobiła jeden krok, drugi... Lampy zamigotały i zgasty.

Z gardła Gini wyrwał się cichy jęk przerażenia. W gęstej ciemności nie widziała kompletnie nic. Cofnęła się i natychmiast wpadła na stół. Wazon spadł na podłogę i roztrzaskał się w drobny mak. Znowu dobiegł ją odgłos kroków, które teraz powoli się oddalały. Ktoś wszedł po schodach na chodnik i najwyraźniej zmierzał w kierunku środkowej części placu. Kroki przyspieszyły, coraz cichsze i cichsze. Zapanowała cisza.

Uczucie ulgi przepłynęło przez całe ciało Gini jak krew. Po omacku zrobiła pół kroku naprzód i rozcięła sobie stopę kawałkiem szkła. W biurku miała latarkę. Bardzo powoli, trzymając przed sobą wyciągnięte ręce, dotarła na miejsce, otworzyła szufladę i rozgarnęła dłonią znajdujące się w środku przedmioty. Dotknęła skórzanej rękawiczki i zimnych kajdanek. Wstrząsnęła się, przykucnęła i zaczęła gorączkowo



szukać latarki. Nie mogła znieść braku światła. Nagle tuż obok jej twarzy rozdzwonił się telefon. Przerazona, drgnęła, o mało nie zrzucając urządzenia na podłogę.

Kto mógł dzwonić do niej o takiej porze? Znalazła słuchawkę i gdy podniosła ją, znowu ogarnęła ją ulga. Pascal, oczywiście, że to on... Zacisnęła palce na słuchawce i z radosnym zniecierpliwieniem przytknęła ją do ucha.

Usłyszała męski głos, obcy, nie Pascala.

- Gini... - przemówił mężczyzna. - Gini, czy to ty?

Skóra Gini w jednej chwili stała się lodowato zimna. Głos był niski, lekko zachrypnięty.

- Wiem, że to ty - ciągnął. - Wyrwałem cię z łóżka. Jest późno, ale powinniśmy porozmawiać...

- Kto mówi? - odezwała się. - Czego chcesz?

Mężczyzna mówił dalej, zupełnie jakby nie usłyszał jej pytania. Teraz szeptał, a połączenie było nie najlepsze.

- Masz na sobie koszulę nocną, Gini? Chyba tak, prawda? Tę białą, z niebieską wstążką przy dekolcie? Podoba mi się. Materiał jest taki cienki...

- Posłuchaj, wszystko mi jedno, kim jesteś... - zaczęła i natychmiast usłyszała strach w swoim głosie.

Rzeczywiście miała na sobie koszulę nocną, i to tę z niebieską wstążką, uszytą z cieniutkiego, półprzezroczystego płócienka.

- Stój spokojnie - mówił głos, nie zważając na jej słowa. - O, tak... Teraz widzę twoje piersi... Masz piękne piersi, Gini. Wiesz, co się ze mną dzieje, gdy na nie patrzę? Robię się twardy... Cała krew napływa do mojego kutasa, Gini... Jest sztywny.

Dłoń Gini zacisnęła się na latarce. Wyjęła ją z szuflady i zapaliła. Światło dodało jej sił. Odsunęła słuchawkę na odległość ramienia i zaraz znowu przytknęła ją do ucha.

- Słuchaj, kretynie, coś ci poradzę - powiedziała dobitnie. - Zrób uprzejmość sobie i mnie, i idź się pieprzyć!

Potem odłożyła słuchawkę na widelki. Kiedy w pokoju zapadła cisza, poszła do łazienki i wymiotowała.

Była przekonana, że mężczyzna zatelefonuje jeszcze raz i kiedy dokładnie piętnaście minut później zadzwonił, czekała przy biurku. Dzięki latarce i świecom rozproszyła ciemność na tyle, na ile było to możliwe. Na blacie ustawiła magnetofon, podłączyła mikrofon i włożyła do środka czystą kasotę.

Nie była to najlepsza metoda nagrania rozmowy telefonicznej, lecz w tej chwili jedyna dostępna. Gdy telefon zadzwonił, podniosła słuchawkę i przedstawiła się, a kiedy mężczyzna zaczął mówić, przysunęła mikrofon jak najbliżej i włączyła magnetofon. Mimo woli słyszała część dziwnego monologu.

Nagle zmarszczyła brwi. Były to te same słowa, te same zdania, w dokładnie takiej samej kolejności jak poprzednio...

Zrozumiała, że słucha nie mężczyzny, lecz nagranej taśmy. To dlatego głos nie reagował na jej słowa nawet milczeniem... Wszystkie kwestie, które mężczyzna wypowiadał, zostały wcześniej nagrane. Z kim rozmawiała przed dwoma dniami na temat nagranych monologów o seksie? Z Johnem Hawthorne'em. Słuchała uważnie, starając się nie dopuszczać do świadomości wypowiedzianych półszepem słów i zwracając uwagę wyłącznie na intonację.

Czuła, że nie jest to Hawthorne, chociaż nie mogła być pewna. Głos był pozbawiony typowo brytyjskiego czy amerykańskiego akcentu, nieco przytłumiony, jakby mężczyzna mówił przez przyciśnięty do ust kawałek materiału. Musiał wiedzieć, że bierze udział tylko w nagraniu, nie w prawdziwej rozmowie, lecz w miarę jak mówił, coraz bardziej się podniecał. Gini słyszała jego przyspieszony oddech, towarzyszący pornograficznym opisom.

- Pozwól mi ssać swoje piersi... - szeptał. - Zwiążę ci ręce na plecach... Masz kajdanki, Gini, prawda? Chyba mi się przydadzą... Potem klęknieś przede mną, jak w kościele, bo chcę, żebyś patrzyła, jak go wyjmuję...

Głębokie westchnienie, szelest.

- I wreszcie będę robił wszystko to, co lubię najbardziej - ciągnął. - Chcę ocierać się kutasem o twoje włosy, twarz, wargi... O piersi, tam, gdzie skóra jest najdelikatniejsza... Jest twardy i duży, suko, czujesz go? Otwórz usta i ssij, wysсий mnie do końca. Kiedy mnie zaspokoisz, może zacznę cię pieprzyć, tak jak jeszcze nigdy nikt cię nie pieprzył...

Gniew wzbierał w Gini jak wielka, gorąca fala, silniejszy od strachu, nawet od obrzydzenia. Rozpalony gniew był użyteczny, potrzebny, dobry. Ostrożnie położyła słuchawkę i mikrofon na blacie biurka. Postanowiła, że nie będzie dłużej słuchała, lecz nagra mężczyznę, z taśmy na taśmę.

Pozwoliła mu mówić przez dziesięć minut. Stała w odległości dwóch metrów od biurka, więc nie słyszała słów, tylko szmer głosu. Dziesięć minut wystarczy, pomyślała.

Podeszła do biurka i odłączyła mikrofon. Mężczyzna był bliski orgazmu. Gini bała się, co usłyszy później - może znowu kobiecy krzyk. Odłożyła słuchawkę, przerywając jęki i włączyła automatyczną sekretarkę. Potem wróciła do sypialni i przytuliła Napoleona. Pozostała część nocy ciągnęła się w nieskończoność. Prawie nie zmrużyła oka, lecz mężczyzna już nie zadzwonił.

Rano ocknęła się z płytkiego, krótkiego snu. Wszystkie lampy były zapalone. Kiedy weszła do kuchni, odkryła, co było źródłem szelestów przy drzwiach, które słyszała w nocy. Nieproszony gość zostawił jej prezent, który wepchnął do środka przez otwór dla kota.

Była to opakowana w szary papier paczka, a wewnątrz czarny pantofel na wysokim obcasie, tworzący parę z tym, który przysłano jej wcześniej, tym razem bez pończochy.

Chwilę wpatrywała się w but, potem otworzyła kuchenne drzwi. Znowu padał deszcz.

Rzuciła pantoflem przez całe podwórko. Uderzył o płot i wpadł między krzewy. Zamknęła drzwi i zasunęła zasuwę.

Była szósta trzydzieści rano, wtorek. Wzięła prysznic i ubrała się. Nakarmiła Napoleona i pozwoliła mu poleżeć na swoich kolanach. Kot mruczał, pogrążony w rozkosznej drzemce, a ona opracowywała plan. Najpierw zrobi to, potem tamto... Do końca tygodnia, przed niedzielą, znajdzie McMullena i zakończy całą sprawę.

- Załatwię go - powiedziała do Napoleona. - Zniszczę drania, który to zrobił.

Napoleon zmrużył topazowe oczy i popatrzył na nią ze zrozumieniem. Potem umył się dokładnie i poszedł spać.

Punktualnie o ósmej zadzwonił Pascal, spełniając nadzieje Gini.

- Nie rozmawiaj z tego telefonu - rzekł. - Zadzwoń do mnie później, tak jak uzgodniliśmy, dobrze?



RS